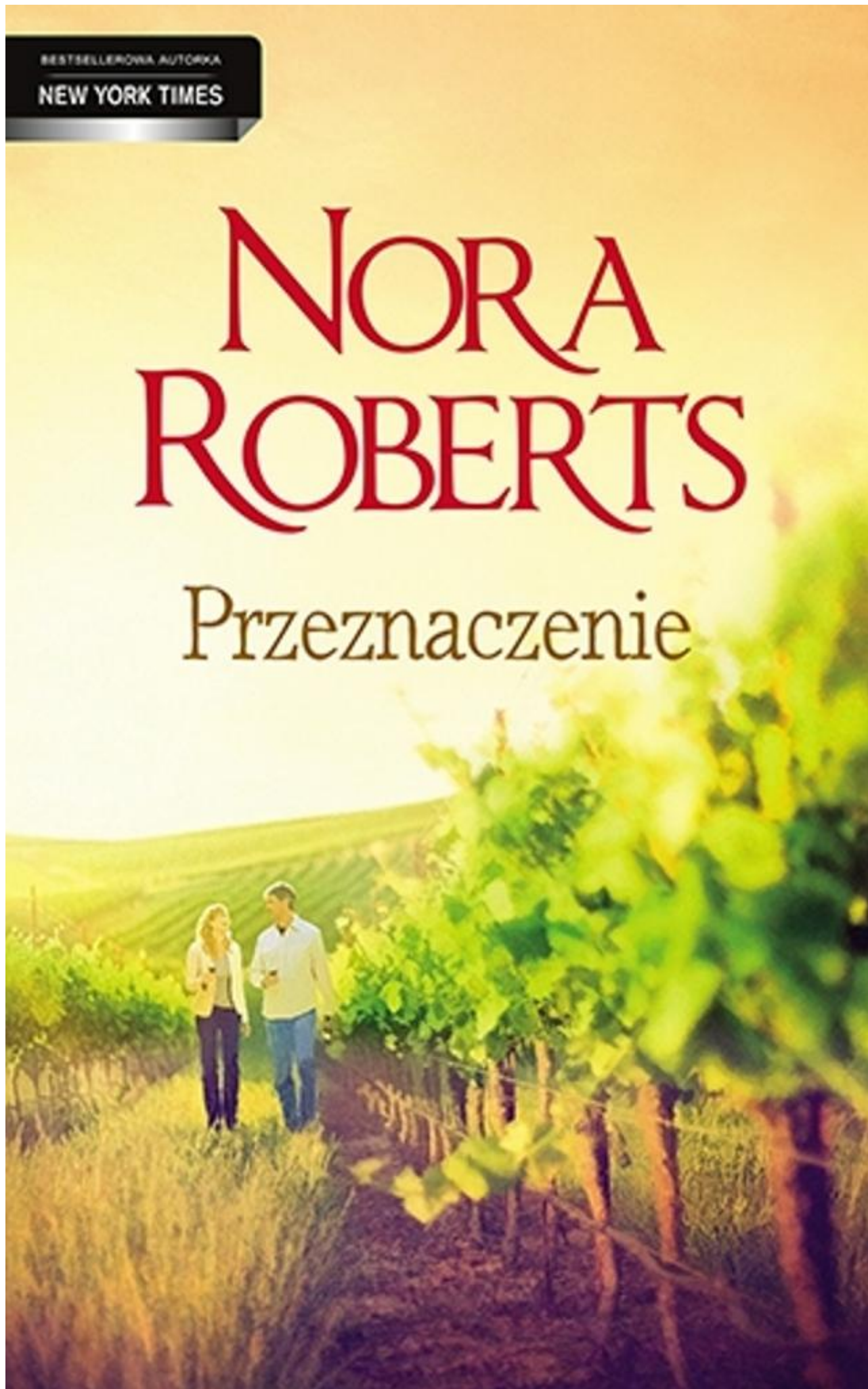


BESTSELLEROWA AUTORKA

NEW YORK TIMES

NORA ROBERTS

Przeznaczenie



NORA ROBERTS

W ZAKŁĘTYM KRĘGU

PROLOG

Magia naprawdę istnieje. Jak można w to wątpić, skoro istnieją także tęcze, kwiaty, muzyka wiatru i milczenie gwiazd. To taki prosty, a zarazem niezwykle element naszego życia.

Jednak niektórzy otrzymali od losu coś więcej. To właśnie oni zostali wybrani, by przekazywać to niezwykle dziedzictwo z pokolenia na pokolenie. Przodkami ich byli Merlin, czarodziejka Ninian, królowa wróżek Rhiannon oraz dziny z Arabii. To w ich żyłach płynęła moc Celta Finna, ambitnej Morgan le Fay oraz wielu innych, których imiona wypowiedano wyłącznie potajemnie i szeptem.

Kiedy świat był jeszcze młody, a magia tak powszechna jak krople deszczu, w głębi borów tańczyły wróżki - i czasami na swoje nieszczęście, a czasami z miłości - łączyły się ze zwykłymi śmiertelnikami.

I robią to nadal. Anastasia miała sięgające daleko wstecz koneksje i prastare moce. Już jako dziecko rozumiała - nauczyła się - że za takie dary trzeba zapłacić wysoką cenę. Nawet kochający rodzice nie byli w stanie obniżyć tych kosztów albo ponieść ich zamiast niej. Mogli ją tylko kochać, uczyć i patrzeć, jak z dziewczynki zmienia się w kobietę. Mogli trwać przy niej z nadzieją, że przyjmie cierpienia i radości tej najbardziej fascynującej ze wszystkich podróży.

A ponieważ czuła więcej niż inni, bo tego wymagał od niej dar, który otrzymała wraz z życiem, nauczyła się cenić spokój.

Jako kobieta wolała wieść spokojne życie i często była sama, nie odczuwając przy tym mąk samotności.

Jako czarodziejka akceptowała swój dar, nigdy też nie zapomniała, że wiąże się z nim spora odpowiedzialność.

Być może, jak wszyscy zwyczajni śmiertelnicy - i nie tylko oni - tęskniła za prawdziwą miłością. Bo któż mógł wiedzieć lepiej niż ona, że nie ma mocy, nie ma zaklęć i czarów większych niż dar otwartego, kochającego serca.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy Anastasia zobaczyła małą dziewczynkę, wyglądającą zza krzaka róż, nie przypuszczała, że to dziecko odmieni jej życie. Pracowała właśnie w ogrodzie i nucać półgłosem, z lubością wdychała zapach ziemi. Wrześnie słońce było złociste, a łagodny szum morza rozbijającego się o skały, stanowił wspaniałe tło dla bzyczenia pszczół i ptasich treli. Olbrzymi kocur wyciągnął się na trawie i przez sen machał puszystym ogonem.

Motyl przysiadł jej na rękę, a ona koniuszkiem palca obwiodła jego przejrzyste skrzydełka. Kiedy odfrunął, usłyszała trzask gałęzi. Podniosła wzrok i zobaczyła drobną twarzyczkę, wyglądającą zza żywopłotu.

Uśmiechnęła się przyjaźnie. Buzia była naprawdę urocza. Ze spiczastym podbródkiem, zadartym noskiem i wielkimi niebieskimi oczyma, w których odbijał się błękit nieba. Całości dopełniała lśniąca, ciemnobrązowa czupryna.

Dziewczynka odpowiedziała uśmiechem. W jej oczach malowała się ciekawość.

- Dzień dobry - odezwała się Ana, jakby zawsze znajdowała małe dziewczynki w swoim ogrodzie wśród róż.

- Hej! - Dziewczynka miała przenikliwy głosik.

- Czy pani umie łapać motyle? Mnie się nigdy nie udało pogłaskać motyla.

- Myślę, że umiem. Ale lepiej tego nie robić, chyba że same cię o to poproszą. Odgarnęła włosy z czoła i przysiadła na piętach. Poprzedniego dnia zauważyła w uliczce ciężarówkę, z której wyładowywano meble. Stąd wniosek, że właśnie poznała nową sąsiadkę.

- Czy to ty wprowadziłaś się do tego domu obok?

- Aha. Będziemy tu mieszkać. Bardzo mi się tu podoba, bo z mojego pokoju widzę morze. Widziałam też fokę. W Indianie można je było zobaczyć tylko w zoo. Mogę do pani przyjść?

- Oczywiście. - Ana odstawiła łopatę. Dziewczynka precyzyjnie się między krzewami róż. W ramionach trzymała szczeniaka. - A to kto?

- To Daisy. - Mała wycisnęła czuły pocałunek na łebku pieska. - Labrador złocisty. Sama ją wybrałam przed wyjazdem z Indiany. Przyleciałyśmy tu samolotem, ale wcale się nie bałyśmy. Muszę się nią opiekować. Karmię ją, daję jej pić, szczotkuję jej sierść i w ogóle robię wszystko, bo ja za nią odpowiadam.

- Jest śliczna - stwierdziła Ana. I pewnie za ciężka dla sześciolatniej dziewczynki. Wyciągnęła rękę. - Mogę ją potrzymać?

- Lubi pani psy? - zaszczębiotała dziewczynka, podając Daisy. - Bo ja lubię. Psy i koty, i wszystko. Nawet chomika Billy' ego Walkera. Pewnego dnia będę miała konia. Trzeba się będzie o to postarać. Tak mówi mój tata. Trzeba się będzie o to postarać.

Ana, oczarowana, pogłaskała pieska, a on sapnął i polizał ją po rękę. Pomyślała, że ta mała dziewczynka to jest sam urok.

- Bardzo lubię psy i koty, i wszystko - powiedziała. - Mój kuzyn ma konie. Dwa duże i jednego źrebaczka.

- Naprawdę? - Dziewczynka przykucnęła i zaczęła głaskać śpiącego kota. - Będę mogła je zobaczyć?

- To niedaleko stąd, więc może pojedziemy tam któregoś dnia. Musimy tylko zapytać twoich rodziców, czy ci pozwolą.

- Moja mama poszła do nieba. Jest teraz aniołem. Anie serce ścisnęło się w piersi. Wyciągnęła rękę i pogłaskała dziewczynkę po lśniącej czuprynie. Na szczęście nie odebrała wibracji bólu. W sercu dziecka były jedynie miłe wspomnienia. Dziewczynka podniosła na nią oczy i uśmiechnęła się.

- Nazywam się Jessica. Ale może pani mówić do mnie Jessie.

- A ja się nazywam Anastasia. - Wiedziona instynktem nachyliła się i pocałowała zadarty nosek. - Możesz mówić do mnie Ana.

Po tej prezentacji Jessie zasypała Anę gradem pytań, dostarczając jej przy okazji szczegółowych informacji na własny temat. Niedawno miała urodziny. Skończyła sześć lat. We wtorek pójdzie do pierwszej klasy w nowej szkole. Najbardziej lubi kolor czerwony i nie znosi fasolki.

Czy Ana może jej pokazać, jak sadzi się kwiaty? Czy jej kot ma jakieś imię? Czy ma córeczkę? Czemu nie ma dzieci?

Siedziały na słońcu - mały chochlik w różowych ogrodniczkach i długonoga kobieta w uwalanych ziemi szortach - a kocur Quigley ignorował przyjazne zaczepki Daisy.

Ana miała długie włosy w kolorze dojrzałej pszenicy, które związała w koński ogon. Kilka pasemek wysunęło się z gumki i tańczyło wokół twarzy. Nie używała kosmetyków. Jej delikatna uroda była równie naturalna jak jej moce i stanowiła kombinację celtyckiego kośćca, zamglonych oczu, szerokich, romantycznych ust Donovanów i jeszcze tego czegoś, co nieokreślone. A poza tym miała serce wypisane na twarzy.

Szczeniak pomaszerował do skalnego ogródka, żeby obwąchać zioła. Ana roześmiała się z czegoś, co powiedziała Jessica.

- Jessie! - Głęboki, męski głos pełen niepokoju niósł się ponad krzakami róż. - Jessico Alice Sawyer!

- Oho, użył pełnego nazwiska! - Jessie poderwała się, ale w jej oczach zamigotały wesołe iskierki. Widocznie nie bała się reprimendy.

- Tu jestem, tatusiu! Jestem z Aną! Chodź do nas! W chwilę później nad różami wyrosła wysoka sylwetka mężczyzny. Nie trzeba było mieć żadnego nadzwyczajnego daru, żeby wyczuć fale ulgi, przygnębienia i irytacji. Ana zamruła powiekami, zdumiona, że ten szorstki mężczyzna jest ojcem małego elfa, podrygującego u jej boku.

Może to kilkudniowy zarost sprawiał, że wyglądał tak groźnie. Ale chyba raczej nie. Pod cieniem zarostu skrywała się twarz o ostrych rysach i pełnych, z goryczą zaciśniętych ustach. Tylko oczy przypominały oczy córki. Były przejrzyste, ale ich jaskrawy błękit zmacony był nutą niepokoju. Słońce obudziło miedziane refleksy w jego ciemnych, zmierzwionych włosach, kiedy przeczesywał je palcami.

Z dołu wyglądał jak olbrzym: atletycznie zbudowany, w podartym podkoszulku i spłowiałych dzinsach, prujących się na szwach.

Obdarzył Anę długim, nieufnym spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok na córkę.

- Jessico, nie mówiłem ci, że masz się bawić na podwórku?

- Chyba mówiłeś. - Dziewczynka posłała mu ujmujący uśmiech. - Ale Daisy i ja usłyszałyśmy śpiew Any. Zobaczyłyśmy, jak motyl siada jej na ręce, a potem ona zaprosiła nas do swojego ogródka. Ana ma kota. Jej kuzyn ma konie. A kuzynka ma i kota, i psa.

Ojciec, najwidoczniej przyzwyczajony do paplaniny córki, spokojnie ją przeczekał.

- Kazałem ci zostać na podwórku - powiedział, kiedy wreszcie skończyli. - Nie było cię, więc się zaniepokoiłem.

Powiedział to niezbyt głośno, spokojnym tonem. Ana poczuła nagły przyptyw szacunku do tego mężczyzny, który nie musiał podnosić głosu, żeby przekazać swoje racje.

- Przepraszam, tatusiu - mruknęła Jessie, a usta wygięły jej się w podkówkę.

- To raczej ja powinnam pana przeprosić. - Ana wstała i położyła Jessie rękę na ramieniu. W końcu ona także miała w tym swój udział. - To ja ją tu zaprosiłam i tak nam się dobrze rozmawiało, że nawet nie przyszło mi do głowy, że może się pan niepokoić o córkę.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią przez chwilę tymi swoimi błękitnymi oczyma, aż poczuła się jak skarcone dziecko, a potem znów przeniósł wzrok na Jessie. Wtedy uświadomiła sobie, że przez cały czas wstrzymywała oddech.

- Przyjdź tu z Daisy. Trzeba ją nakarmić.

- Dobrze. - Jessie wzięła na ręce opierającego się szczeniaka i już miała podejść do żywopłotu, kiedy jej ojciec skinął głową.

- Podziękuj pani...

- Donovan. Nazywam się Anastasia Donovan.

- Podziękuj pani Donovan za to, że poświęciła wam swój czas.

- Dziękuję, że nam poświęciłaś swój czas, Ana - powiedziała Jessica przesadnie uprzejmym tonem, po czym posłała jej porozumiewawczy uśmiech. - Czy będę mogła znowu przyjść do ciebie?

- Mam nadzieję, że będziesz przychodzić. Jessie promiennie uśmiechnęła się do ojca.

- Nie chciałam cię zmartwić, tatusiu, naprawdę. Mężczyzna nachylił się i pstryknął ją w nos.

- Łobuzica! - Ana usłyszała w jego głosie bezgraniczną miłość. Jessie, chichocząc, pobiegła przez podwórko, a szczeniak wiercił jej się w ramionach. Ana patrzyła na to z uśmiechem, który zamarł jej na twarzy, kiedy poczuła na sobie spojrzenie zimnych, niebieskich oczu.

- To uroczy dzieciak - zaczęła i ku swemu zdumieniu poczuła, że ma spocone dłonie. Szybko otarła je o szorty. - Przykro mi, że się pan niepokoił, ale mam nadzieję, że pozwoli jej pan przychodzić do mnie częściej.

- To nie pani wina. - Jego ton był obojętny, ani przyjazny, ani wrogi. Ana odniosła przykre wrażenie, że jest taksowana od stóp, obutych w pozieleniałe od trawy tenisówki, do potarganej głowy. - Jessie jest z natury ufna i ciekawa. Czasami nawet za bardzo. Ona jeszcze nie wie, że są na świecie ludzie, którzy mogliby to wykorzystać.

- Ma pan rację, panie Sawyer - Ana pochyliła głowę. - Ale mogę pana zapewnić, że nie pozeram małych dziewczynek na śniadanie.

W odpowiedzi uśmiechnął się. Kiedy z jego twarzy zniknęła surowość, wydał się Anie piekielnie seksowny.

- Zdecydowanie nie odpowiada pani mojemu wyobrażeniu więdźmy, panno Donovan. Teraz to ja chciałbym przeprosić za moją obcesowość. Ale Jessie napędziła mi stracha. Jeszcze się nie rozpakowałem, a już ją zgubiłem.

- Na szczęście się znalazła, tyle że nie na swoim miejscu. - Ana spróbowała się uśmiechnąć. Popatrzyła na piętrowy drewniany budynek w sąsiedztwie i pomyślała, że choć zawsze ceniła sobie spokój, szczerze się ucieszyła, że znów ktoś miał tam zamieszkać. - Miło jest mieć w pobliżu małe dziecko, zwłaszcza tak ujmujące jak Jessie. Mam nadzieję, że pozwoli jej pan przychodzić.

- Czasami zastanawiam się, czy moje pozwolenie w ogóle się liczy. - Pogłaskał czerwoną różyczkę. - Musiałaby pani posadzić bardzo wysoki żywopłot, żeby ją zniechęcić. - Pomyślał, że przynajmniej będzie wiedział, gdzie jej szukać, kiedy znowu zniknie.

- I niech się pani nie waha odesłać ją do domu, kiedy będzie siedziała za długo. - Schował ręce do kieszeni. - Pójdę sprawdzić, czy przypadkiem moja mała nie karmi Daisy naszym obiadem.

- Panie Sawyer? - odezwała się Ana, kiedy się odwrócił. - Mam nadzieję, że spodoba się panu w Monterey.

- Ja też. Dziękuję. - Przeciął trawnik i drewniany taras, i zniknął we wnętrzu domu.

Ana przez dłuższą chwilę nie ruszała się z miejsca. W końcu głęboko odetchnęła i zaczęła zbierać narzędzia ogrodnicze, a Quigley miękko ocierał jej się o nogi.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni powietrze było tak naładowane energią.

Z całą pewnością nie potrafiła sobie też przypomnieć, kiedy po raz ostatni pociły jej się dłonie, bo spojrzał na nią jakiś mężczyzna.

A poza wszystkim nie pamiętała, żeby kiedykolwiek ktoś patrzył na nią w taki sposób. Bo ten mężczyzna nie tylko patrzył na nią, ale i w nią, i jakby poprzez nią - i to jednocześnie. Niezły trik, myślała, odnosząc narzędzia do szklarni.

Intrygująca z nich para. Ojciec i córka. Popatrzyła na sąsiedni dom. Co w tym dziwnego, że się nimi interesuje? W końcu to jej najbliżsi sąsiedzi. Ale Ana, nauczona przykrymi doświadczeniami, była również na tyle mądra i ostrożna, że nie pozwoliłaby już sobie na to, by ciekawość zaprowadziła ją dalej, niż wymagała tego zwykła sąsiedzka życzliwość.

Tylko nieliczni wybrańcy otrzymali to, co nie było przeznaczone dla zwykłych śmiertelników. Ceną za jej moce było czułe serce, które kiedyś już wiele wycierpiało, gdy zostało odrzucone.

Ale teraz nie chciała do tego wracać. Na myśl o ojcu i córce uśmiechnęła się. Ciekawe, jak zachowałby się ten surowy mężczyzna, gdyby mu powiedziała, że wprawdzie nie jest wiedźmą - o, co to, to nie! - ale za to bez wątpienia jest wróżką.

W zalanej słońcem i rozpaczliwie zabałaganionej kuchni Boone Sawyer póty grzebał w pudłach, póki nie znalazł rondla. Był przekonany, że przeprowadzka do Kalifornii była słusznym krokiem - wciąż to sobie powtarzał - ale zdecydowanie przeliczył się, jeżeli chodziło o czas, kłopoty i niewygody związane ze zmianą miejsca zamieszkania.

Co zabrać? Co zostawić? Trzeba było wynająć firmę transportową. Przesłać samochód. Przetransportować szczeniaka, w którym Jessie zakochała się od pierwszego wejrzenia. Wytłumaczyć swoją decyzję zmartwionym dziadkom. Zapisać córkę do szkoły i skompletować szkolną wyprawkę. Boże, czy będzie musiał przeżywać ten koszmar każdej jesieni przez następnych jedenaście lat?

Na szczęście najgorsze miał już za sobą. Taką miał przynajmniej nadzieję. Teraz pozostało mu tylko rozpakować się, poukładać rzeczy na swoje miejsca i zamienić obcy budynek we własny dom.

Jessie była szczęśliwa. A to dla niego najważniejsze. Z drugiej strony, pomyślał, krojąc wołowinę na obiad, Jessie wszędzie była szczęśliwa. Jej promienne usposobienie i zdumiewająca łatwość zawierania przyjaźni stanowiły dla niego zarówno źródło radości, jaki i zdumienia. Boone nie był w stanie pojąć, jak dziecko, które w wieku dwóch lat straciło matkę, mogło być tak pogodne, pewne siebie i... normalne.

Wiedział jednak, że gdyby nie lessie, po śmierci Alice postradałby zmysły.

Teraz już nie myślał zbyt często o Alice. Czasami nawet odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia. Kochał ją - i to jak! - a dziecko, które poczęli, było żywym testamentem ich miłości. Z Alice żył jednak krócej niż bez niej, więc choć na dowód nieprzemijalności ich uczucia próbował wytrwać w bólu, jego miłość bladła z upływem czasu i wśród prozy życia.

Alice odeszła, ale Jessie została. To dla dobra Jessie - i własnego - podjął trudną decyzję o przeprowadzce do Monterey. W Indianie, w domu, który zbudowali, kiedy Alice nosiła lessie pod sercem, zbyt wiele łączyło go z przeszłością. Rodzice jego i Alice mieszkali w najbliższej okolicy, a lessie, jako jedyna wnuczka, znalazła się w centrum uwagi, stając się przedmiotem subtelnej rywalizacji.

Ze swojej strony Boone miał już dość ciągłych pouczeń oraz mniej lub bardziej łagodnej krytyki jego metod wychowawczych. Dopiekła mu też świadomość, że nieustannie go z kimś swatano. Dziecko potrzebuje matki. Mężczyzna potrzebuje żony. Jego matka za cel życia postawiła sobie znalezienie mu idealnej partnerki.

A ponieważ zaczynało go to poważnie denerwować, a także ponieważ zdał sobie sprawę, że jeśli zostanie w swoim starym domu, na zawsze ugrzęźnie we wspomnieniach, postanowił się przeprowadzić.

Pracować mógł wszędzie. Koniec końców jego wybór padł na Monterey, a to z powodu klimatu, stylu życia i dobrych szkół. A także dlatego, że jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że to jest najlepsze miejsce. Dla niego i dla Jessie.

Podobało mu się, że z okien widać było morze i fantazyjnie ukształtowane cyprysy. Oraz to, że miał niewielu sąsiadów. To Alice lubiła otaczać się ludźmi. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że odległość od drogi była na tyle duża, by stłumić odgłosy przejeżdżających samochodów.

Wyglądało na to, że podjął właściwą decyzję. Jessie już zaczęła zapuszczać tu korzenie. Wprawdzie kiedy zniknęła mu z oczu, przeżył kilka chwil paralizującego lęku, ale powinien był wiedzieć, że poszła poszukać sobie kogoś, z kim mogłaby porozmawiać i kogo mogłaby oczarować.

A ta kobieta!

Marszcząc brwi, Boone nakrył rondel pokrywką, żeby mięso mogło się chwilę podusić. Dziwna osoba, pomyślał, nalewając sobie kubek kawy, którą zamierzał wypić na tarasie. Jeden rzut oka wystarczył, żeby go uspokoić, że Jessie jest z nią bezpieczna. W jej ciemnoszarych oczach malowała się nieskończona dobroć. To jego własna reakcja, naturalna, wręcz instynktowna, sprawiła, że spał się, a jego głos stał się szorstki.

Pożądanie. Nagłe, bolesne i całkowicie nie na miejscu. Nie reagował tak na żadną kobietę, odkąd...

Uśmiechnął się gorzko. Od nigdy. Z Alice to zawsze były chwile słodkiej, wzniosłej komunii, które będzie sobie cenił do końca życia.

Tymczasem teraz poczuł się jak pływak, zmierzający do brzegu, porwany przez podwodny prąd.

Minęło już tyle czasu, pomyślał, patrząc na kołujące nad wodą mewy. Zdrowa reakcja na widok pięknej kobiety. To całkiem zrozumiałe i wybaczone. A ona była naprawdę piękna, piękna spokojną, klasyczną urodą, stanowiącą krańcowe przeciwieństwo jego gwałtownej reakcji. Poczul do siebie wstręt. Nie miał czasu na takie głupstwa i nie życzył sobie żadnych reakcji na widok żadnych kobiet.

Miał dziecko. Miał o kim myśleć.

Wyjął z kieszeni papierosa i zapalił, mimowolnie spoglądając w stronę żywopłotu z delikatnych róż.

Anastasia, pomyślał. To imię zdecydowanie do niej pasowało. Było staroświeckie, eleganckie i niecodzienne.

- Tato! Boone podskoczył jak nastolatek, przyłapano na paleniu w toalecie.

Chrząknął, a potem uśmiechnął się niepewnie do nadąsanej córki.

- Daj twojemu staremu pożyć, Jess. Już i tak ograniczyłem się do połowy paczki dziennie.

Jessie skrzyżowała ręce na piersi.

- Palenie szkodzi. Niszczysz sobie płuca.

- Wiem. - Wyjął z ust papierosa. Pod przenikliwym spojrzeniem tych mądrych dziecięcych oczu nie potrafił się nawet zaciągnąć po raz ostatni. - Sama wiesz, że staram się rzucić palenie.

Jessie posłała mu uśmiech z rodzaju „ja wiem swoje”, a on wsunął ręce do kieszeni i naśladując Jamesa Cagneya, wychrypiął:

- Daj spokój, szefie. Chyba mnie nie wsadzisz do pudła za jednego sztacha? Jessie zachichotała i podbiegła, żeby go uściskać.

- Jesteś niepoważny, tato - powiedziała.

- Jasne. - Podniósł ją za łokcie i dał jej siarczyste go całusa. - A ty jesteś mała.

- Jeszcze będę taka duża jak ty, zobaczysz. - Objęła go nogami w pasie i zawisła głową w dół. Była to jedna z jej ulubionych sztuczek.

- Masz małe szanse. - Boone mocno trzymał córkę. Jej włosy muskały deski tarasu. - Zawsze będę od ciebie większy. - Podciągnął ją do góry, a ona radośnie zapiszczała. - I mądrzejszy, i silniejszy. - Przycisnął szorstki policzek do jej gładkiej buzi. Jessie zapiszczała i zaczęła się wyrywać. - I ładniejszy.

- I zawsze będziesz miał większe łaskotki! - krzyknęła triumfalnie, kłując go palcem pod zebro. Tu go miała! Ze śmiechem opadł na ławkę.

- Dobrze już, dobrze! - Zacerpnął tchu i przytulił do siebie córkę. - Ty zawsze będziesz sprytniejsza.

Jessie, zarumieniona, usiadła mu na kolanach.

- Podoba mi się nasz nowy dom - powiedziała, a oczy jej lśniły.

- Tak? - Boone przygładził jej włosy. Lubił czuć pod ręką ich jedwabistą gładkość. -
Mnie też.

- Pójdziemy po kolacji na plażę, żeby popatrzeć na foki?

- Jasne.

- Daisy też?

- Daisy też. - Przyzwyczajony do kałuż na dywaniku i pogryzionych skarpetek, rozejrzał się wokoło. - Gdzie ona jest?

- Śpi. - Jessie oparła mu głowę na piersi. - Jest bardzo zmęczona.

- Nic dziwnego. To był ciężki dzień. - Całując córkę, poczuł, jak dziecko wierci się i ziewa.

- To był cudowny dzień. Poznałam Anę. - Powieki zaczęły jej ciążyć. Zamknęła oczy, ukołysana równym, spokojnym rytmem ojcowskiego serca. - Ona jest bardzo miła. Pokaże mi, jak się sadi kwiaty.

- Hm.

- Ona zna nazwy wszystkich kwiatów. - Jessie znowu ziewnęła. - Daisy polizała ją po twarzy, a ona się wcale nie pogniewała, tylko się śmiała. Ona się tak ładnie śmieje. Jak wróżka - wymruczała sennie i już po chwili spała.

Boone znów się uśmiechnął. Ta jego córka to dopiero ma wyobraźnię! Lubił myśleć, że to po nim ją odziedziczyła. Objął mocniej śpiące dziecko i popatrzył na nie czule.

O zmierzchu Ana szła wzdłuż skalistej plaży. Czuła się dziwnie poruszona i rozkojarzona. Dlatego nie była w stanie dłużej pracować w ogrodzie pełnym kwiatów i ziół.

Wiatr na pewno wywieje ze mnie ten niepokój, pomyślała, wystawiając twarz na jego wilgotne podmuchy. Po długim spacerze znów odzyska dobry humor i spokój, który był częścią jej natury.

W innych okolicznościach zadzwoniłaby do któregoś z kuzynostwa i zaproponowała wyjście do miasta. Wyobraziła sobie jednak, że Morgana spędza spokojny wieczór z Nashem, bo w tym stadium ciąży potrzebny jej wypoczynek. A Sebastian nie wrócił jeszcze do domu z podróży poślubnej.

Zresztą samotność nigdy jej nie doskwierała. Lubiła pustkę skalistej plaży i szum fal rozbijających się o skały, a także krzyki mew.

Podobną radość sprawiło jej tego popołudnia słuchanie śmiechu dziecka oraz mężczyzny. Był to miły dźwięk i nie musiała śmiać się wraz z nimi, żeby go polubić.

Teraz, kiedy słońce zbliżało się do horyzontu, barwiąc niebo wachlarzem kolorów, czuła, jak opuszcza ją ten dziwny niepokój. Mogła się tylko cieszyć, podziwiając gasnącą magię dnia.

W spięła się na drewniane kłody, wyrzucone przez morze. Rozbryzgujące się fale opryskały jej twarz i zmoczyły koszulę. Machinalnie wyjęła z kieszeni kamień i potarła go w palcach, patrząc na słońce, zanurzające się w morzu płomieni.

Kamyk rozgrzał się w ręce. W półmroku spojrzała na mały, przejrzysty klejnot, na jego perłowy połysk. Księżycowy kamień, pomyślała rozbawiona. Księżycowe czary. Czuwa nad podróżującymi nocą i pomaga człowiekowi odnaleźć samego siebie. No i oczywiście talizman, często stosowany, by wzbudzić miłość.

Czego szukała tej nocy?

Śmiejąc się z samej siebie, schowała kamyk do kieszeni i wtedy usłyszała, jak ktoś ją woła.

To była Jessie. Pędziła po plaży, a tłusciutki szczeniak płał jej się pod nogami. Kilka metrów za nimi szedł ojciec. Ana zadała sobie pytanie, czy naturalny wdzięk dziecka nie podkreśla jeszcze bardziej jego rezerwy.

Zeszła na piasek i wiedzioną naturalnym odruchem, chwyciła lessie w objęcia.

- Znowu się widzimy, słoneczko. Szukacie z Daisy zaczarowanych muszelek? Tych, w których mieszkają wróżki?

Jessie szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Zaczarowanych muszelek? A jak one wyglądają?

- Dokładnie tak, jak sobie wyobrażasz. Można je znaleźć tylko o wschodzie albo o zachodzie słońca.

- Mój tato mówi, że wróżki mieszkają w lesie i chowają się przed ludźmi.

- Twój tato ma rację. - Ana roześmiała się. - Ale lubią też wodę i wzgórza.

- Chciałabym kiedyś spotkać wróżkę, ale tatuś mówi, że one rzadko rozmawiają z ludźmi, bo już nikt w nie, nie wierzy, oprócz dzieci.

- To dlatego, że dzieci są bliskie magii. - Mówiąc to, Ana podniosła wzrok. Boone podszedł bliżej. Zachodzące za jego plecami słońce rzucało cienie na jego twarz, która wyglądała teraz groźnie, a zarazem bardzo pociągająco. - Rozmawialiśmy o wróżkach - zwróciła się do niego.

- Słyszałem. - Położył rękę na ramieniu córki. Gest, choć subtelny, wyraźnie sygnalizował „ona jest moja” .

- Ana mówi, że na plaży są czarodziejskie muszelki. Ale można je znaleźć tylko rano albo wieczorem. Mógłbyś napisać o nich książkę?

- Kto wie? - Uśmiech przeznaczony dla córki był łagodny i czuły. Ale kiedy zwrócił wzrok na Anę, poczuła niemiły dreszcz. - Przeszkodził mi pani w spacerze.

- Nie. - Wzruszyła ramionami. Zrozumiała, że to raczej ona im przerwała. - Chciałam tylko na chwilę popatrzeć na morze. I tak miałam już wracać do domu, bo robi się zimno.

- Pomożesz mi szukać czarodziejskich muszelek? - wtrąciła się Jessie.

- Może kiedyś. - Kiedy nie będzie przy tym jej ojca, który przesywał ją wzrokiem na wskroś. - Robi się już zbyt ciemno. Muszę wracać. - Leciutko pstryknęła lessie w nos. - Dobranoc. - Ojcu zimno skinęła głową na pożegnanie.

Kiedy odchodziła, Boone patrzył za nią. Pomyślał, że z pewnością nie zmarzłaby, gdyby miała na sobie coś, co zakryłoby jej nogi. Prychnął ze zniecierpliwieniem.

- Chodź, Jessie. My też musimy już wracać. Ścigamy się, kto pierwszy do domu?

ROZDZIAŁ DRUGI

- Chciałabym go poznać. Ana zerknęła na Morganę znad misy suszonych płatków, z których właśnie przygotowywała potpouni.

- Ale kogo?

- Ojca tej dziewczynki, która tak cię oczarowała.

- Morgana kolistym ruchem pogładziła swój bardzo już zaokrąglony brzuch. - Tak wiele mówisz o niej, za to podejrzanie mało na temat jej ojca.

- Bo on mnie nie interesuje - odparła Ana, wzruszając ramionami. Do misy, wypełnionej pachnącymi listkami i płatkami, dodała cytryny na wzmocnienie. Widziała, jak bardzo Morgana jest zmęczona. - Jest w takim samym stopniu zamknięty w sobie, jak jego córka otwarta i przyjazna. Gdyby nie jego rzucająca się w oczy miłość do dziecka, pewnie bym go nie polubiła, a tak, mam mieszane uczucia.

- Czy jest chociaż przystojny? Ana uniosła brwi.

- W porównaniu z kim?

- Z ropuchą - roześmiała się Morgana. - Ano, nie bądź taka tajemnicza!

- Szczerze mówiąc, brzydki to on nie jest. - Ana odstawiła misę i zaczęła szukać olejku w szafce. Pewnie zaliczyłabyś go do typu mężczyzn o surowym wyglądzie. Ma atletyczną budowę, ale nie jak ciężarowiec... - zawahała się, patrząc na dwie fiołki olejków. - Powiedziałabym, że ma raczej sylwetkę długodystansowca. Smukłą i niesłychanie zgrabną.

Morgana podparła rękami podbródek.

- Poproszę o jeszcze.

- I to ma być mężatka, która lada moment spodziewa się bliźniąt?

- A co? Coś ci się nie podoba? Ana roześmiała się i wybrała olejek różany, dla elegancji.

- No więc, jeżeli już muszę powiedzieć o nim coś miłego, ma wyjątkowo piękne oczy. Bardzo jasne i bardzo niebieskie. Kiedy patrzy na Jessie, robią się cudowne. A kiedy patrzy na mnie, podejrzliwe.

- A o co miałby cię podejrzewać?

- Nie mam pojęcia. Morgana tylko potrząsnęła głową.

- Anastasio, na pewno zaintrygowało cię to na tyle, że chciałabyś się dowiedzieć. Wystarczy zajrzeć...

Ana precyzyjnym ruchem dodała do przygotowywanej mieszanki kilka kropli wonnego olejku.

- Wiesz, że nie lubię być intruzem.

- O, czyżby?

- Poza tym, nawet gdybym była ciekawa - dodała, uśmiechając się ukradkiem na widok zawiedzionej miny kuzynki - raczej nie próbowałabym zobaczyć, co dzieje się w sercu pana Sawyera. Odnoszę wrażenie, że lepiej się z nim nie łączyć, nawet na kilka minut.

- Skoro tak uważasz... - Morgana wzruszyła ramionami. - W końcu sama wiesz najlepiej. Ale gdyby tu był Sebastian, zaraz by ci powiedział, co temu facetowi chodzi po głowie. - Upiła łyk relaksującego eliksiru, który przyrządziła jej Ana. - Jeżeli chcesz, mogę to dla ciebie zrobić. Od tygodni nie miałam pretekstu, żeby użyć mojego czarodziejskiego lusterka albo kryształowej kuli. Boję się, że mogę wyjść z wprawy.

- Nie! - Ana wychyliła się i pocałowała kuzynkę w policzek. - Dziękuję. A teraz posłuchaj. - Wsyłała mieszankę ziół do woreczka. - Chcę, żebyś zawsze nosiła to przy sobie, a resztę wsyp do miseczek i porozstawiaj w domu i w sklepie. Pracujesz teraz tylko przez dwa dni w tygodniu, tak?

- Dwa, czasami trzy. - Morgana uśmiechnęła się. - Obiecuję ci, kochana, że nie będę się przemęczać. Nash mi na to nie pozwoli.

Ana z roztargnieniem pokiwała głową, po czym mocno zawiązała woreczek.

- Pijesz herbatę, którą ci przyrządziłam?

- Codziennie. I używam twoich olejków. Noszę też chryzolit przeciwko napięciom emocjonalnym, topaz przeciwko stresom płynącym z zewnątrz, cyrkon na pozytywne nastawienie do świata oraz bursztyn, żeby podnieść się na duchu. - Ucisnęła Anę za rękę. - Jak widzisz, jestem zabezpieczona z każdej strony.

- Mam prawo się niepokoić. - Ana położyła woreczek z potpourri obok torebki Morgany, a potem nagle zmieniła zdanie i włożyła jej go do torebki. W końcu to nasze pierwsze dziecko.

- Dzieci - poprawiła ją Morgana.

- Tym większy powód do niepokoju. Bliźnięta często rodzą się przed terminem.

Morgana z westchnieniem zamknęła oczy.

- Mam nadzieję, że w moim przypadku tak będzie. Nie mogę już ani wstać, ani usiąść, żeby nie łąpały mnie skurcze.

- Więcej odpoczynku - zaleciła jej Ana. - I trochę łagodnych ćwiczeń. Ale to nie znaczy, że masz nosić ciężkie pudła i przez cały dzień być na nogach w sklepie.

- Tak jest, pani doktor.

- A teraz trochę sobie popatrzę. - Ana ostrożnie położyła rozpostarte dłonie na brzuchu kuzynki, otwierając się na cud, który rozwijał się w jego wnętrzu.

Morgana natychmiast poczuła, jak opuszcza ją zmęczenie, a w jego miejsce przychodzi dobre samopoczucie, i to zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Przez półprzymknięte powieki dostrzegła, jak oczy Any przybierają odcień ołowiu, koncentrując się na wizji, którą tylko ona mogła zobaczyć.

Wodząc rękami po brzuchu kuzynki, Ana czuła jego brzemię, a przez jeden krótki moment poczuła nawet pulsujące w nim nowe życie. Czuła też śmiertelne zmęczenie Morgany, straszną niewygodę, ale też jej błogie zadowolenie narastające podniecenie i zachwyty, że nosi pod sercem dwie maleńkie istotki. Ciało ją bolało, ale serce w niej rosło.

Ana uśmiechnęła się i na krótką chwilę sama stała się tymi istotkami - najpierw jedną, a potem drugą. To ona pływała w ciepłym, ciemnym brzuchu, karmiona i chroniona przez matkę, póki nie przyjdzie pora, by przyjść na ten świat. Dwa małe, zdrowe serduszka, bijące mocno i równo pod sercem matki. Drobne, poruszające się paluszki, wierzgające stópki. Radosne objawy życia.

Ana wycofała się. Znowu była sama.

- Wszystko w porządku. Z tobą i z dziećmi.

- Wiem. - Morgana chwyciła kuzynkę za rękę.

- Ale czuję się lepiej, kiedy mi to mówisz. Tak jak czuję się pewniej, wiedząc, że będziesz przy mnie, kiedy przyjdzie mój czas.

- A gdzie indziej mogłabym być? - Ana przytuliła do policzka ich splecione dłonie. - Ale co na to Nash? Akceptuje mnie w roli akuszerki?

- Ufa ci, tak samo jak ja. Wzrok Any złagodniał.

- Masz szczęście, Morgano, że trafiłaś na mężczyznę, który kocha cię, rozumie i ceni za to, że jesteś, kim jesteś.

- Wiem. Już samo to, że znalazłam miłość, jest wystarczająco cennym darem, i to tym większym, że pokochałam Nasha. - Uśmiech zniknął jej z twarzy.

- Ano, kochanie, przestań wreszcie o tym myśleć. Robert już dawno zniknął z twojego życia.

- Nie myślę o nim. To znaczy, jeżeli już, to nie tyle o nim, co o złym kierunku, obranym na szczególnie niebezpiecznej drodze.

Morgana spojrzała na nią z oburzeniem.

- Robert był głupcem. On nie był cię wart.

- Nigdy go nie lubiłaś - zauważyła Ana. - Nie spodobał ci się od pierwszego wejrzenia.

- To prawda. - Morgana z posępną miną machnęła ręką. - O ile pamiętasz, Sebastian też go nie lubił.

- Pamiętam. I pamiętam też, że początkowo miał pewne obiekcje co do Nasha.

- To było zupełnie co innego. Było - podkreśliła, widząc uśmiezek Any. - W obecności Nasha Sebastian zachowywał się bardzo opiekuńczo. Natomiast Roberta ledwie tolerował, traktując go z najbardziej obraźliwą uprzejmością.

- Pamiętam. - Ana wzruszyła ramionami. - Co w dużym stopniu wpłynęło na moje poczucie własnej wartości. Cóż, byłam wtedy bardzo młoda - dodała, machnąwszy ręką. - I na tyle naiwna, żeby sądzić, że jeśli już kogoś pokocham, to z wzajemnością. A także na tyle głupia, żeby wpaść w rozpacz, kiedy ta moja naiwność spotkała się z nieufnością, a potem wręcz z odmową.

- Wiem, że bardzo to przeżywałaś, ale nie miałaś wpływu na to, co się stało.

- I to najmniejszego - przyznała Ana, która miała swoją dumę. - Niektórzy z nas nie powinni łączyć się z ludźmi spoza naszej kasty.

W głosie Morgany przygnębienie mieszało się ze wzburzeniem.

- Wielu mężczyzn interesowało się tobą, kuzynko. I to zarówno tacy, którzy mieli naszą krew, jak i tacy, którzy jej nie mieli.

- Tylko że ja się nimi nie interesowałam - roześmiała się Ana. - Jestem straszliwie wybredna, Morgano. Poza tym, lubię moje życie.

- Niestety wiem, że to prawda. Gdyby tak nie było, kuśiłoby mnie, żeby rzucić na ciebie miłosne zaklęcie. Oczywiście nie chodziłoby mi o nic wiążącego - dorzuciła Morgana z błyskiem w oku. - Tylko mały romansik, żeby cię trochę rozerwać.

- Dziękuję ci, ale sama potrafię sobie znaleźć stosowne rozrywki.

- To też wiem. Jak również to, że byłabyś wściekła, gdybym próbowała się wtrącać w twoje życie.

Morgana odsunęła się od stołu. Wstała i na moment zatęskniła za swoją dawną lekkością i wdziękiem. Chodźmy się trochę przejść, a potem muszę wracać do domu.

- Pod warunkiem, że po powrocie poleżysz godzinę z nogami na poduszce.

- U mowa stoi. Słońce mocno przygrzewało, wiał balsamiczny wiatr. Ana pomyślała, że obie te rzeczy powinny pomóc Morganie bardziej niż drzemka, do której po powrocie do domu będzie nakłaniał ją Nash.

Obejrzały późno kwitnące nasturcje, gwiazdziste astry i wielkie, barwne cynie. Obie kuzynki kochały przyrodę. Miłość do niej miały we krwi. Zostały też tak wychowane.

- Masz jakieś plany na Halloween? - zapytała Morgana.

- Nic konkretnego.

- Mieliśmy nadzieję że wpadniesz, choćby tylko na część wieczoru. Nash nie może się doczekać, kiedy dzieci sąsiadów w maskach przyjdą nas straszyć. Przygotował już dla nich całą furę słodczy.

Ana uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Ktoś, kto żyje z pisania scenariuszy horrorów, musi to lubić. Bardzo chcę to zobaczyć.

- Dobrze. Może później Sebastian do nas dołączy. Posiedzimy sobie razem. - Nachylona nad grządką werbeny, Morgana zauważyła nagle dziecko i psa, prześlizgujących się przez szczelinę między krzakami róż.

Wyprostowała się.

- Oho, mamy gości!

- Jessie! - Ana z niepokojem spojrzała na sąsiedni dom. - Czy twój tata wie, gdzie jesteś?

- Powiedział, że mogę do ciebie pójść, o ile jesteś na dworze i nie jesteś bardzo zajęta. Ale nie jesteś bardzo zajęta, prawda?

- Nie. - Ana nachyliła się i pocałowała lessie w policzek. - To moja kuzynka, Morgana. Już jej mówiłam, że jesteś moją nową sąsiadką.

- Pani ma psa i kota, prawda? Ana mi opowiadała - powiedziała z ożywieniem Jessie. A potem jej wzrok padł na wydatny brzuch Morgany. - Czy pani ma tam dzidziusia?

- O tak. Nawet dwoje.

- Dwoje? - Jessie otworzyła szeroko oczy. - Skąd pani wie?

- Ana mi powiedziała. - Morgana roześmiała się i położyła rękę na brzuchu. - A poza tym za dużo wiercą się i kopią, żeby to mogło być jedno dziecko.

- Mama mojej koleżanki, pani Lopez, miała tylko jedno dziecko w brzuchu, a była taka gruba, że ledwo mogła chodzić. I pozwalała mi poczuć, jak ono kopie. - lessie z nadzieją spojrzała na Morganę.

Morgana, którą lessie już zdążyła podbić swoim wdziękiem, wzięła dłoń dziewczynki i przyłożyła do swego brzucha. Ana w tym czasie usiłowała powstrzymać Daisy przed dewastacją grządki.

- Czujesz? Jessie, chichocząc, skinęła głową.

- Ale kopia! Czy to boli?

- Nie.

- Myśli pani, że one już niedługo wyjdą z brzucha?

- Mam nadzieję.

- Tatuś mówi, że dzieci wiedzą, kiedy mają wyjść, bo aniołek szepcze im to do ucha.

Może ten Sawyer i jest dość oziębły, pomyślała Morgana, ale musi też być mądry i miły.

- Myślę, że twój tata ma rację - zwróciła się do Jessie.

- Tatuś mówi też, że potem ten anioł zostaje z dzieckiem na zawsze, jako jego anioł stróż - ciągnęła Jessie, z policzkiem przyciśniętym do brzucha Morgany, w nadziei, że usłyszy jakieś odgłosy ze środka. - jeżeli człowiek odwróci się bardzo szybko, może mu się uda zobaczyć kawałek skrzydła. Ja próbowałam dużo razy, ale mi się nie udało. Widocznie nie jestem dość szybka. - Podniosła oczy na Morganę. - Wie pani, anioły są bardzo nieśmiałe.

- Tak słyszałam.

- Ale ja nie. - Jessie cmoknęła Morganę w brzuch, a potem odskoczyła. - Nie ma we mnie za grosz nieśmiałości. Babcia Sawyer zawsze tak mówiła.

- Twoja babcia Sawyer musi być byстрыm obserwatorem - zauważyła Ana. Schyliła się i usiłowała wziąć na ręce wyrywającą się Daisy, która właśnie próbowała przerwać kotu poobiednią drzemkę.

Potem cała trójka zaczęła się przechadzać wśród grządek - to znaczy Ana i Morgana szły, a Jessie biegała, podskakiwała i fikała koziołki.

Kiedy wreszcie podeszły pod dom, przed którym stał samochód Morgany, Jessie wzięła Anę za rękę.

- Ja nie mam żadnych kuzynów. Dobrze jest mieć kuzyna albo kuzynkę?

- O tak, bardzo dobrze. Morgana, Sebastain i ja wychowywaliśmy się razem, jak rodzeństwo.

- Wiem, skąd bierze się rodzeństwo. Tatuś mi powiedział. Ale skąd się biorą kuzyni?

- Jeżeli któreś z twoich rodziców ma rodzeństwo i ktoś z nich ma dzieci, to te dzieci są twoimi kuzynami.

Marszcząc brwi, Jessie przyswoiła sobie tę informację.

- A jak to jest u was?

- To dosyć skomplikowane - roześmiała się Morgana. - Nasi ojcowie są braćmi. To znaczy ojciec Any, Sebastiana i mój. A nasze matki są siostrami. Dlatego jesteśmy ze sobą podwójnie spokrewnieni.

- Ale fajnie! Niestety, ja nie mam kuzynów. Może mogłabym mieć brata albo siostrę... Ale tata mówi, że sama wystarczę za całą gromadkę.

- Myślę, że on ma rację - przyznała Morgana, a Ana roześmiała się cicho. Morgana odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała w górę. W jednym z okien na piętrze sąsiedniego domu stał mężczyzna. Niewątpliwie musiał to być ojciec Jessie. Patrząc na niego, pomyślała, że Ana dobrze go opisała, choć był zdecydowanie bardziej męski i atrakcyjny, niżby to wynikało ze słów kuzynki. Podniosła z uśmiechem rękę i pomachała mu. Boone zawahał się, a potem także wykonał gest pozdrowienia.

- To mój tatuś. - Jessie radośnie zamachała rękami. - Pracuje w pokoju na górze, ale jeszcze nie rozpakowaliśmy wszystkich pudeł.

- A co on robi? - zapytała Morgana, widząc, że Ana nie ma zamiaru tego zrobić.

- Píše książki. Bardzo ciekawe. O czarownicach, wrózkach, smokach i czarodziejskich źródłach. Czasami mu pomagam. Ale teraz muszę już iść, bo jutro zaczyna się szkoła i tatuś kazał mi wcześniej wrócić. Chyba nie siedziałam za długo?

- Nie. - Ana pochyliła się i pocałowała ją w policzek. - Możesz przychodzić, kiedy tylko zechcesz.

- Pa, pa! - Jessie puściła się biegiem, a pies popędził za nią w podskokach.

- Dawno się tak nie ubawiłam i dawno nie byłam taka zmęczona - powiedziała z westchnieniem Morgana, wsiadając do samochodu. - Co to za urocze, żywe dziecko. - Wkładając kluczyk do stacyjki, zerknęła na Anę. - A i tatuś niczego sobie.

- Myślę, że niełatwo jest mężczyźnie samotnie wychowywać córkę.

- Z tego, co widziałam, jasno wynika, że nieźle sobie z tym radzi. - Przekręciła kluczyk. - To ciekawe, że on pisze książki. I to o wrózkach i czarach. Sawyer, powiadasz?

- Tak. - Ana odgarnęła włosy. - To chyba jest Boone Sawyer.

- Może go zaciekawi fakt, że jesteś siostrzenicą Bryny Donovan. Przecież działają w tej samej branży. O ile, oczywiście, chcesz, żeby się tobą zainteresował.

- Nie chcę - kategorycznym tonem oświadczyła Ana.

- Może już się tobą zainteresował... - Morgana wrzuciła wsteczny bieg. - Z Bogiem, kuzynko.

Ana w zamyśleniu długo patrzyła za odjeżdżającym samochodem.

Następnego dnia, po porannej wizycie w stajniach Sebastiana, większą część przedpołudnia Ana spędziła na rozwożeniu potpourri, olejków aromatycznych, nalewek i ziół. Sporą partię zapakowała do pudełek, żeby wysłać pocztą. Miała kilku miejscowych odbiorców, w tym sklep Morgany, ale większość klienteli pochodziła z dalszych stron.

Interes, który zaczęła przed sześciu laty, szedł dobrze. Sprawiał jej dużą satysfakcję, w pełni zaspokajał potrzeby i ambicje oraz stwarzał ten luksus, że mogła pracować w domu. Pieniądze nie miały tu znaczenia. Fortuna Donovanów pozwalała całej rodzinie żyć na wysokiej stopie. Ale Ana, podobnie jak Morgana prowadząca swój sklep i Sebastian rozliczne interesy, chciała pracować i czuć się potrzebna.

Była uzdrowicielką. Ale oczywiście nie wszystkich da się uleczyć. Wiele lat temu nauczyła się, że nie należy brać na siebie wszystkich cierpień i bolączek tego świata. Częścią ceny za jej dar była świadomość, że istnieje ból, którego nie potrafi uleczyć. Nie odrzuciła jednak swojego daru, tylko postanowiła używać go najlepiej, jak potrafiła.

Zawsze fascynowało ją ziołolecznictwo, przekonała się też, że potrafi leczyć dotykiem. Przed wiekami mogłaby być wiejską babką i fakt ten nieustannie ją śmieszył. W dzisiejszym świecie była po prostu kobietą interesu, która potrafiła sporządzić zarówno olejek kąpielowy, jak i czarodziejski napój.

A jeśli dodawała trochę czarów, robiła to od siebie. I była szczęśliwa, bardzo szczęśliwa z przeznaczenia, które zostało jej narzucone, a także z życia, które wiodła.

A nawet gdyby czuła się nieszczęśliwa, dzisiejszy dzień podniósłby ją na duchu. Promienne słońce, pieszczotliwy wietrzyk, w powietrzu delikatny przedsmak deszczu, który jeszcze przez wiele godzin nie spadnie, a kiedy już zacznie padać, to łagodnie.

Pragnąc jak najlepiej wykorzystać ten piękny dzień, postanowiła popracować w ogrodzie i wysiać trochę nowych ziół.

Znów ją podglądał. Co za brzydki obyczaj, pomyślał Boone, krzywiąc się. Stał w oknie z papierosem w ręku i spoglądał w dół. Pokonywanie złych nawyków sprawiało mu spore trudności. A odkąd wyrzwał przez okno i zobaczył ją w ogrodzie, nie szła mu nawet praca.

Pomyślał, że zawsze wyglądała tak... elegancko. Miała w sobie tę wewnętrzną elegancję, której nie umniejszały poplamione trawą szorty i podkoszulek. Elegancja kryła się w jej ruchach, w dumnej postawie.

Pomyślał, że zaczyna się robić sentymentalny, a ten rodzaj uczuć powinien zachować na użytek swoich książek.

Może to wszystko dlatego, że wygląda jak jedna z tych czarodziejek, które tak często opisywał? Otaczała ją eteryczna aura, jakby nie z tego świata. A ta dziwna moc w jej wzroku... Boone nigdy nie wierzył, że czarodziejki mogą być uległe i słabe.

Ona jednak miała bardzo delikatną budowę. Jej ciało... - po co znowu zaczął myśleć o jej ciele? Nie była krucha, ale miała w sobie łagodną kobiecość, która musiała robić wrażenie na mężczyźnie z krwi i kości.

A Boone Sawyer za takiego właśnie się uważał. Co ona tam robi? Zgniółł papierosa w palcach i podszedł bliżej do okna. Zniknęła w szopie, a potem wyszła z niej z naręczem doniczek.

Typowa kobieta - lubi nosić ciężary ponad swoją miarę.

Ledwo zdążył to pomyśleć - nie bez uczucia mężowskiej wyższości - zobaczył, jak Daisy ściga po trawniku szarego kota.

Już miał otworzyć okno i gwizdnąć na psa, ale okazało się, że jest za późno.

Na zwolnionym filmie wyglądałoby to pewnie jak jakiś skomplikowany układ choreograficzny. Kot przemknął między nogami Any, która się zachwiała. Gliniane doniczki zdrzwały jej w dłoniach. Boone zaklął, a potem odetchnął z ulgą, kiedy Ana się wyprostowała. Niestety, radość była przedwczesna. Daisy wpadła na Anę z impetem, który zniszczył chwilową równowagę. Tym razem Ana straciła grunt pod nogami i runęła jak długa, a doniczki wypadły jej z rąk.

Boone zaklął. Zbiegając na dół, usłyszał głośny brzęk.

Kiedy do niej dobiegł, mruzczała coś, co w jego uszach brzmiało jak egzotyczne przekleństwa. Prawdę mówiąc, wcale jej się nie dziwił. Kot siedział na drzewie, wściekle prychnął na ujadającego psa, a doniczki zmieniły się w kupę skorup.

Boone wzdrygnął się, chrząknął, a potem zapytał: - Nic się pani nie stało? Jak się pani czuje? Skulona na czworakach, odgarnęła włosy z twarzy i rzuciła mu powłóczyście spojrzenie.

- Fantastycznie.

- Stałem w oknie. - W takim momencie raczej nie wypadało się przyznawać, że ją podglądał. - To znaczy, przechodziłem obok okna - poprawił się - i zobaczyłem, jak pies goni kota, a potem jak pani upadła. - Przykucnął i zaczął zbierać potłuczone doniczki. Przepraszam za naszą Daisy. Jest u nas dopiero od kilku dni i na razie nie udało nam się jej wytresować.

- Przecież to jeszcze szceniak. Nie można winić psa, że robi to, co jest zgodne z jego naturą.

- Odkupię pani te doniczki - powiedział zgnębiony.

- Nie trzeba, mam pełno doniczek. - Ponieważ szczekanie i prychnanie stawało się coraz bardziej rozpaczliwe, Ana przysiadła na piętach. - Daisy! - Komenda była spokojna, lecz stanowcza i natychmiast poskutkowała. Piesek podbiegł, machając radośnie ogonem, i

zaczął lizać ją po rękach i twarzy. - Siad! - powiedziała, a Daisy posłusznie usiadła. - A teraz bądź grzeczna. - Popiskując żałośnie, Daisy oparła głowę na wyciągniętych łapkach.

Boone ze zdumieniem pokręcił głową. - Jak pani to zrobiła?

- Czary - odpowiedziała krótko. - Można powiedzieć, że zawsze miałam dobrą rękę do zwierząt. Daisy jest szczęśliwa i podniecona i strasznie chce się bawić. Musi pan dać jej do zrozumienia, że pewne zachowania są niewłaściwe. - Poglaskała psa po głowie, otrzymując w zamian spojrzenie pełne psiego uwielbienia.

- Próbowałem ją przekupić.

- To też dobry sposób. - Ana zanurkowała pod krzakiem fioletowego powojnika, szukając potłuczonych doniczek. Wtedy właśnie Boone zauważył długie zadrapanie na jej ramieniu.

- Skaleczyła się pani. Uda także miała podrapane.

- To nie do uniknięcia, kiedy na człowieka spadają doniczki - odparła. Poderwał się, chwycił Anę za rękę i pomógł jej wstać.

- Przecież pytałem, czy nic się pani nie stało.

- Prawdę mówiąc, ja...

- Trzeba to przemyć... - Zobaczył strużkę krwi spływającą jej po nodze i zareagował tak, jakby chodziło o Jessie. Po prostu wpadł w panikę. - O Boże! - Chwycił zdumioną Anę na rękę i ruszył w stronę najbliższych drzwi.

- Naprawdę, nie ma potrzeby...

- Wszystko będzie dobrze, moje dziecko. Zaraz się tym zajmiemy. Na wpół rozbawiona, na wpół zniecierpliwiona.

Ana głośno prychnęła, kiedy pchnął drzwi do kuchni.

- Skoro tak, to odwołam karetkę. Gdyby pan mógł mnie... - przerwała, bo Boone posadził ją na jednym z wyściełanych krzeseł przy stole. - No właśnie, o to mi chodziło.

Roztrzęsiony, Boone podskoczył do zlewu. Pierwsze, co przychodziło mu na myśl w takich sytuacjach, to skuteczność, szybkość i uśmiech. Mocząc ściereczkę, parokrotnie odetchnął, żeby się uspokoić.

- To nie będzie wyglądało tak źle, kiedy się obmyje. Zobacz pani. - Z przyklejonym do twarzy uśmiechem wrócił i ukląkł przed Aną. - I nie będzie bolało. - Zaczął ostrożnie ścierać czerwone strużki na jej łydce. - Zaraz wszystko opatrzę. Proszę zamknąć oczy i odprężyć się. - Znowu wziął głęboki oddech. - Pewnego razu żył sobie człowiek, który mieszkał w Briarwood... - zaczął improwizować bajkę, tak jak to zawsze robił dla swojej córki. - Był tam zaczarowany zamek...

Ana, która już miała mu kategorycznie powiedzieć, że sama potrafi o siebie zadbać, rzeczywiście poczuła, że wstępuje w nią spokój.

- Mury zamku porastało dzikie pnącze o długich, ostrych kolcach. Nikt nie odwiedzał zamku od ponad stu lat, bo nie było śmiałka, który chciałby zaryzykować spotkanie z tymi kolcami. Ale ten samotny biedak był ciekawy, więc codziennie chodził pod mur zamczyska i wspinał się na palce, żeby zobaczyć, jak słońce odbija się od najwyższych wież.

Wyplukał ściereczkę i zaczął ocierać skaleczenia.

- Człowiek ten nie potrafił nikomu wytłumaczyć, co działo się w jego sercu, kiedy tak wystawał pod murami zamku. A on rozpaczliwie pragnął wspiąć się na te mury. Nocami, kiedy leżał w łóżku, wyobrażał to sobie. Powstrzymywał go strach przed kolcami. Aż któregoś dnia, w środku lata, kiedy zapach kwiatów był wyjątkowo upajający, poczuł, że widok samych wież już mu nie wystarcza. Serce powiedziało mu, że to, czego najbardziej pragnie, znajduje się za tymi murami. Więc zaczął się na nie wspinać. Raz po raz spadał na ziemię, krwawiąc, ale znów próbował je sforsować.

Głos Boone'a brzmiał kojąco, za to dotyk, choć delikatny, wcale jej nie uspokajał. Poczula dziwny ból, powoli promieniujący z jej wnętrza. Boone muskał teraz jej uda, w miejscu gdzie ostra krawędź skorupy rozcięła jej skórę. Zaciśnęła pięści, czując, jak jednocześnie kurczy jej się żołądek.

Poczula, że musi coś zrobić, żeby przestał. A zarazem chciała, żeby nie przestawał. Ani na chwilę.

- Przez cały dzień próbował - ciągnął Boone tym swoim hipnotyzującym głosem. - Pot mieszał się z krwią, ale on nie ustawał. Nie mógł się poddać, bo wiedział, że jego marzenia, jego przyszłość i przeznaczenie leżą po drugiej stronie murów. Więc mimo poranionych rąk wspiął się aż na samą górę. Wyczerpany i obolały zeskoczył na gęsta murawę, porastającą teren między murem a czarodziejskim zamkiem. Księżyc stał wysoko na niebie. Ostatkiem sił powlókł się przez łąkę i przez zwodzony most wszedł do zamku, który od dzieciństwa nawiedzał go w snach. Kiedy przekroczył jego progi, zaślniły światła tysiąca pochodni. W tej samej chwili zniknęły wszystkie rany. W kręgu płomieni, rzucających światła i cienie na ściany z białego marmuru, stała najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział. Włosy miała złote jak słońce, a oczy siwe jak dym. Nim zdążyła się odezwać, nim jej cudowne usta rozchyliły się w powitalnym uśmiechu, pojął, że to dla niej narażał życie. A ona podeszła bliżej i podała mu rękę, mówiąc: „Czekałam na ciebie”.

Boone urwał i podniósł oczy na Anę. Był równie oszołomiony i zdezorientowany jak człowiek z jego opowieści. W którym momencie serce zaczęło mu tak mocno bić? Jak mógł

w ogóle myśleć, kiedy krew uderzała mu do głowy i łędźwi? Nie spuszczać z niej wzroku, spróbował się opanować.

Włosy złote jak słońce. Oczy siwe jak dym. Nagle uświadomił sobie, że klęczy między nogami Any, z ręką opartą na jej biodrze, a drugą gotową dotknąć jej złotych włosów.

W stał tak szybko, że omal nie przewrócił stołu.

- Przepraszam - powiedział, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. A kiedy wciąż patrzyła na niego w milczeniu, tylko żyłka na szyi pulsowała jej coraz szybciej, dorzucił: - Przeraziłem się, kiedy zobaczyłem, że pani krwawi. Nie najlepiej radziłem sobie ze skaleczeniami Jessie. - Nagle wydało mu się, że paple bez sensu. Rzucił Anie ściereczkę. - Chyba pani zrobi to lepiej.

Pokiwała głową bez słowa. Potrzebowała trochę czasu, żeby wziąć się w garść. Jak to możliwe, że ten człowiek tak głęboko ją poruszył, i to za pomocą wymyślonej na poczekaniu bajki? A potem kazał jej sobie radzić samej.

To moja wina, pomyślała, zbyt mocno trąc skaleczenie na ramieniu. To dar, a zarazem przekleństwo, że jestem taka wrażliwa.

- To raczej pan wygląda, jakby potrzebował pan usiąść - powiedziała ze sztucznym ożywieniem. Wstała i podeszła do szafki z lekarstwami. - Napije się pan czegoś zimnego?

- Nie... to znaczy tak. - Nawet morze lodowatej wody nie ugasi pożaru, który trawił jego wnętrze. - Na widok krwi wpadam w panikę.

- W panice czy nie, działa pan bardzo skutecznie. - Nalała mu szklanekę lemoniady z dzbanka, który trzymała w lodówce. - Poza tym to była bardzo ładna bajka. - Uśmiechnęła się, wyraźnie rozluźniona.

- Bajka zawsze pomaga mnie i Jessie przeżyć sesję z jodyną.

- Jodyna piecze. - Ana polała skaleczenia brunatnym płynem z apteczki. - Mogę panu dać coś, co nie piecze. Na wszelki wypadek.

- Co to jest? - Boone z podejrzliwą miną powąchał buteleczkę. - Pachnie kwiatami.

Tak jak ona, pomyślał.

- Bo to nalewka roślinna. Z ziół, kwiatów i różnych innych rzeczy. - Zakorkowała buteleczkę i odstawiła ją na bok. - To taki naturalny antyseptyk. Jestem zielarką.

- Ach tak. Widząc jego sceptyczną minę, Ana roześmiała się.

- Ludzie na ogół wierzą w leki, które można kupić w aptece. Zapominają, że przez całe wieki całkiem nieźle radzono sobie za pomocą środków danych przez naturę.

- Ale niektórzy umierali na tęcza od zadrapania zardzewiałym gwoździem.

- To prawda - przyznała. - O ile w pobliżu nie było dobrego znachora. - Nie miała zamiaru przekonywać go, dlatego zmieniała temat. - Jessie poszła dziś po raz pierwszy do szkoły?

- Tak. Nie mogła już się doczekać. To raczej ja byłam cały w nerwach. - Uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Chciałbym pani podziękować za wyrozumiałość. Wiem, że Jessie lubi się zasiedzieć u kogoś i nie przychodzi jej do głowy, że ten ktoś może mieć jej dość.

- Ach nie, to takie zajmujące dziecko. - Ana podsunęła mu talerzyk z ciasteczkami. - Jessie zawsze będzie tu mile widziana. Jest urocza, bystra i nie zapomina o dobrych manierach. Wspaniale ją pan wychowuje.

- Muszę przyznać, że Jessie bardzo mi ułatwia tę robotę.

- A jednak, chociaż to taka udana dziewczynka, musi panu być ciężko. Myślę, że nawet dwójka rodziców miałaby co robić przy takim żywym dziecku jak Jessie. I tak inteligentnym. - Ana sięgnęła po ciasteczko. - Pewnie odziedziczyła wyobraźnię po panu. To cudowne mieć ojca, który układa takie ciekawe baśnie.

- Skąd pani wie, co robię? - zapytał ostro. Zdumiała się, mimo to odpowiedziała z uśmiechem:

- Jestem zagorzałą fanką Boone'a Sawyera.

- Nie przypominam sobie, że bym mówił pani, jak mam na imię.

- Rzeczywiście, nie powiedział pan - przyznała ze spokojem. - Czy zawsze jest pan taki podejrzliwy, kiedy słyszy pan komplement?

- Mam swoje powody, dla których się tu osiedliłem. I nie chcę rozgłosu. - Odstawił hałaśliwie szklankę. - Nie życzę sobie, żeby sąsiedzi wypytywali moją córkę i grzebali w moich sprawach.

- Wypytywali? - Ana omal nie zakrztusiła się na tym słowie. - Ja miałabym wypytywać Jessie? A po co?

- Żeby się dowiedzieć czegoś więcej o bogatym wdowcu z sąsiedztwa. Anę po prostu zatkąło.

- Pan jest wyjątkowo bezczelny! Lubię towarzystwo Jessie i wcale nie muszę rozmawiać z nią o panu.

Jej jawne oburzenie wcale go nie zaskoczyło. Miał już do czynienia z podobną kobietą. Skończyło się to źle, a najbardziej ucierpiała na tym Jessie.

- No to skąd pani zna moje imię, zawód i stan cywilny? Ana nieczęsto wpadała w złość. Nie leżało to w jej naturze. Teraz jednak z trudem powstrzymywała gniew.

- Wie pan, nie jestem nawet pewna, czy zasługuje pan na to, żeby się przed panem tłumaczyć, ale zrobię to, bo jestem ciekawa, jak się będzie pan usprawiedliwiał. - Odwróciła się. - Proszę za mną.

- Nie chcę...

- Powiedziała, proszę za mną. - Wyszła z kuchni, pewna, że Boone pójdzie za nią.

Poszedł, choć niechętnie, tłumiąc przyływ irytacji. Przeszli do zalanego słońcem salonu, urządzonego białymi meblami z wikliny. Na półkach i stolikach lśniły kryształ. Było też wiele figurek elfów, wróżek i czarodziejów. Za kolejnymi łukowatymi drzwiami mieściła się przytulna biblioteka z kominkiem i bardziej tajemniczymi figurkami.

Stała tam też różowa sofa, wręcz zapraszająca do poobiedniej drzemki, w oknach drżały poruszane wiatrem koronkowe firanki, a zapach książek mieszał się z wonią kwiatów.

Ana podeszła do półki i wspięła się na palce, żeby dosięgnąć książek.

- „Marzenie pasterki” - czytała głośno, wyjmując kolejne tomy. - „Żaba, sowa i lis”, „Trzecie życzenie Mirandy”. - Obrzuciła Boone'a wymownym spojrzeniem, choć tak naprawdę miała ochotę walnąć go tymi książkami. - Przykro mi, że muszę panu mówić, jak bardzo podobają mi się pańskie książki.

Speszony, wsunął ręce do kieszeni. Teraz wiedział już, że źle trafił, i zastanawiał się, jak to naprawić.

- Dorosłe kobiety rzadko czytują baśnie dla przyjemności.

- A szkoda! Wprawdzie nie zasługuje pan na pochwałę, ale powiem panu, że pańskie książki są bardzo wzruszające i jest w nich wartościowe przesłanie nie tylko dla dzieci, ale i dla dorosłych. Wciąż zagniewana, odłożyła dwie książki na półkę. - Zresztą, mam tę tematykę we krwi. Często zasypiałam przy bajkach jednej z moich ciotek, Bryny Donovan - dorzuciła i z satysfakcją zauważyła, że zrobiło to na nim pewne wrażenie. - Musiał pan o niej słyszeć.

- Więc to pani ciotka?! - Boone z uznaniem pokręcił głową. - Spojrzał na półki i obok swoich bajek dostrzegł kilka tomików opowiadań Bryny o magii i zaklętych krainach. - Korespondowaliśmy przez jakiś czas. Od lat byłem miłośnikiem jej twórczości.

- Podobnie jak ja. A kiedy Jessie wspomniała mi, że jej ojciec pisze książki o zaklętych królewnach i smokach, doszłam do wniosku, że nasz nowy sąsiad, pan Sawyer, to musi być ten sławny Boone Sawyer.

Nie musiałam w tym celu przypiekać na różnie sześciolatniej dziewczynki.

- Przepraszam. Przykro mi, że tak się zachowałem. - Prawdę mówiąc, było mu raczej wstyd niż przykro. - Nie tak dawno miałem dość niemiłą przygodę, dlatego stałem się trochę przewrażliwiony. - Wziął do ręki misternie wyrzeźbioną figurkę wróżki i obracając ją w

palcach. mówił dalej: - To była wychowawczyni Jessie z przedszkola. Wyciągnęła z Jessie wszelkie informacje na mój temat, co nie było trudne, bo Jessie jest bardzo otwarta i ufna.

Z westchnieniem odstawił figurkę. Sam fakt, że próbował się tłumaczyć, wprawiał go w jeszcze większe zażenowanie.

- Ta kobieta po prostu manipulowała uczuciami mojej córki i jej potrzebą posiadania matki. Okazywała jej szczególne względy, wzywała mnie na osobne spotkania, by wspólnie przedyskutować nadzwyczajne zdolności Jessie. Posunęła się nawet do tego, że zaprosiła mnie na kolację, podczas której... No cóż, wystarczy, jak powiem, że bardziej interesował ją samotny mężczyzna z wypchanym portfelem niż dobro jego dziecka.

- Musiało to być przykre przeżycie dla was obojga - zauważyła Ana, chowając książkę na półkę. - Ale mogę pana zapewnić, że nie szukam męża. A nawet gdybym miała takie zamiary, nie uciekałabym się do podobnych wybiegów. Obawiam się, że za bardzo indoktrynowano mnie historiami z rodzaju „żyli długo i szczęśliwie”.

- Jeszcze raz przepraszam. Mina Any powiedziała mu, że nie do końca mu wybaczone.

- Wystarczy, że się zrozumieliśmy. A teraz pewnie musi pan wracać do pracy. Ja też mam jeszcze dużo do zrobienia. - Wyszła do holu i otworzyła frontowe drzwi. - Proszę powtórzyć Jessie, żeby do mnie wpadła. Jestem bardzo ciekawa, jak jej minął pierwszy dzień w szkole.

Boone poczuł się niemal jak odprawiony konkurent.

- Powtórzę - powiedział. - Proszę uważać na skaleczenia - dorzucił, ale ona już zamknęła mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nieźle się popisałeś, Sawyer! Potrząsając głową, Boone zasiadł przy komputerze. Najpierw jego własny pies przewrócił tę piękną sąsiadkę na jej własnym podwórku, a potem on sam, nieproszony, wtargnął do jej domu i głaskał ją po nogach. A na domiar wszystkiego uraził jej godność, sugerując, że chciała posłużyć się jego córką, żeby zwabić go w pułapkę.

A stało się to jednego popołudnia, pomyślał z niesmakiem. To cud, że nie wyrzuciła go z domu i ograniczyła się tylko do zatrzaśnięcia mu drzwi przed nosem.

A co było powodem, że zachował się tak idiotycznie? Przykre doświadczenia, to prawda, ale nie w tym tkwił sęk.

Hormony, pomyślał i zaśmiał się cicho. Burza hormonów, która bardziej przystoi nastolatкови niż dojrzałemu mężczyźnie.

Kiedy patrzył na nią w tej pełnej słońca kuchni, mając pod ręką jej ciepłe ciało i wdychając jej zmysłowy zapach, czuł, jak budzi się w nim pożądanie. Pragnął jej. Przez jeden oślepiający moment z niezwykłą jasnością wyobraził sobie, jak by to było, gdyby ściągnął ją z tego śmiesznego krzeselka i wpił się w te jej słodkie usta. Chciałby wtedy zobaczyć wyraz zaskoczenia na jej twarzy.

Nagły przyptyk pożądania był tak silny i tak porażający, że musiał chyba zostać zaplanowany przez jakieś siły wyższe albo nadprzyrodzone moce.

Łatwiej było mu uwierzyć, że padł ofiarą czarów. I zrzucić całą winę na tajemniczą sąsiadkę.

W innych warunkach może i próbowałby o tym zapomnieć. Ale kiedy spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich skrywane pragnienia, równie silne jak jego własne.

Wyobraźnia oczywiście nie była tu bez znaczenia. Jednak to, co zobaczył, a także to, co poczuł, było jak najbardziej prawdziwe.

Przez moment, jeden króciutki moment, pomieszczenie wibrowało od tych wszystkich pragnień jak napięta struna. A potem on się wycofał - tak jak powinien. Jaki miałby w tym interes, żeby uwodzić sąsiadkę w jej kuchni?

Ale tak czy owak, pewnie zaprzepaścił wszelkie szanse na to, żeby poznać ją bliżej. I to w chwili kiedy wreszcie zrozumiał, że bardzo chce zawrzeć bliższą znajomość z panną Anastasią Donovan.

Zapalając papierosa, rozmyślał nad różnymi sposobami przebłagania jej. Aż wreszcie wpadł na pomysł, i to śmiesznie prosty. Gdyby szukał drogi do serca jakiejś młodej damy - a tak przecież nie było - nie mógłby nic lepszego wymyślić.

Zadowolony z siebie zasiadł do pracy i pisał, póki nie przyszła pora, żeby odebrać Jessie ze szkoły.

Zarozumiała kretyn! Ana wyładowywała swoją złość, miażdżąc tłuczkiem w mózdzierzu Bogu ducha winne zioła. Nie do wiary! Jak on śmiał myśleć, że ona chciała go... poderwać? Pewnie uważał, że nikt nie jest w stanie mu się oprzeć. Może nawet posądzał ją o to, że wystaje z nosem przytkniętym do szyby i czeka na księcia z bajki.

Co za niebywała pewność siebie!

Ale przynajmniej mogła mieć tę satysfakcję, że utarła mu nosa. Nawet jeżeli zatraskiwanie przed kimś drzwi nie leżało w jej naturze, tym razem sprawiło jej to nieklamana satysfakcję.

Prawdę mówiąc, chętnie zrobiłaby to jeszcze raz.

Z drugiej strony szkoda, że ten facet jest taki utalentowany. Poza tym jest takim dobrym ojcem. Pewne jego zalety wzbudzały w niej mimowolny podziw. Nie mogła też zaprzeczyć, że był atrakcyjny, pociągający, zdecydowanie męski, a zarazem jakby nieśmiały.

A te jego oczy - niesamowite. Ich spojrzenie wręcz zapierało dech.

Gniewnie marszcząc brwi, Ana mocniej ścisnęła w dłoni tłuczek. Pomyślała, że to i tak bez znaczenia, bo ten człowiek jej po prostu nie interesuje.

Była oczywiście taka chwila, wtedy, w kuchni, kiedy była niemal gotowa mu ulec. On dotykał jej tak delikatnie i hipnotyzował głosem.

Obudził w niej podniecenie, ale w końcu to nie grzech.

Na szczęście zaraz się wycofał, co jej bardzo odpowiadało.

Od tej pory będzie już o nim myślała tylko jako o ojcu Jessie. Będzie zachowywała się z rezerwą, nawet gdyby miało ją to zabić. Będzie tylko na tyle przyjazna, by utrzymać dobry kontakt z dzieckiem.

Pojawienie się Jessie w jej życiu potraktowała jako miły dar losu. I nie zamierzała zrezygnować z niego tylko dlatego, że nie lubi jej ojca.

- Cześć!

Za ażurowymi drzwiami ukazała się roześmiana twarzyczka dziewczynki. Na jej widok Anie zaraz poprawił się humor.

Odstawiła mózdzierz i tłuczek i uśmiechnęła się do małej. Co za szczęście, że Boone mimo wszystko pozwolił, by Jessie do niej przychodziła.

- Widzę, że jakoś przeżyłaś pierwszy dzień szkoły, jak było?

- Fajnie. Moja pani nazywa się Farrell. Ma siwe włosy i strasznie duże stopy, ale jest miła. Poznałam Marcie, Toda, Lydię, Franka i dużo innych dzieci. Rano.

- Chwileczkę! - Ana ze śmiechem podniosła ręce do góry. - Wejdz i usiądź. A potem opowiesz mi, jak minął dzień.

- Ale ja nie mogę otworzyć drzwi. Ręce mam zajęte.

- Ach, tak. - Ana wpuściła ją do środka. - Co tam masz?

- Prezenty. - Jessie położyła paczkę na stole i podniosła wykonany kredkami obrazek.

- Dzisiaj rysowaliśmy, a ja zrobiłam dwa rysunki jeden dla taty, drugi dla ciebie.

- Dla mnie? - Ana ze wzruszeniem wzięła z rąk Jessie kolorowy obrazek na grubym kremowym papierze. Nagle przypomniały jej się dawne, szkolne czasy - jest śliczny, słonko.

- Zobacz, tu jesteś ty. - Jessie wskazała na figurkę ze złotymi włosami. - A to twój kot. A tu kwiaty. Róże, stokrotki i te inne. Nie pamiętam wszystkich nazw. Ale nauczysz mnie, prawda?

- Oczywiście. I bardzo ci dziękuję, Jessie.

- Tacie narysowałam nasz nowy dom. I jego, jak stoi na balkonie, bo on najbardziej lubi swój balkon. Przykleił mój rysunek na drzwiach od lodówki.

- To świetny pomysł. - Ana podeszła do lodówki i przyczepiła kartkę magnesami.

- Lubię rysować. Tata też ładnie rysuje. Mówi, że najładniej rysowała mama. Więc mam to po rodzicach. - Jessie chwyciła Anę za rękę - jesteś na mnie wściekła?

- Nie, kochanie. Czemu miałabym być na ciebie wściekła?

- Tatusz powiedział, że Daisy podcięła cię, a ty się przewróciłaś, potłukłaś doniczki i pokaleczyłaś sobie ręce i nogi. - Obejrzała zadrapanie na ręku Any i pocałowała ją w to miejsce. - Przepraszam.

- Nic takiego się nie stało. To nie była wina Daisy. Ona wcale tego nie chciała.

- Nie chciała też pogryźć tacie butów. Tata okropnie się na nią złościł.

- Na pewno nie chciała.

- Krzyczał na Daisy, a ona się tak strasznie zdenerwowała, że nasiusiała na dywan. A potem tata gonił ją dookoła domu i to tak śmiesznie wyglądało, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. W końcu on też zaczął się śmiać.

Powiedział, że zrobi budę dla Daisy i każe nam obu w niej zamieszkać. Ana także nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Myślę, że dobrze będzie wam się mieszkało w budzie. Ale jeżeli chcesz, żeby twój tata miał całe buty, pozwól mi trochę popracować z Daisy.

- Mogłabyś ją nauczyć różnych sztuczek?

- Chyba tak. Popatrz. - Ana posadziła sobie Jessie na biodrze i obudziła drzemiącego pod stołem Quigleya. Kot niechętnie otworzył jedno oko i przeciągnął się, ziewając. - Siad! - Quigley usiadł, posapując. - Wstań! - Kot stanął na tylnych łapach. - A teraz salto. Jak będziesz grzeczny, otworzę ci puszkę tuńczyka na kolację.

Kocur wyglądał, jakby się wahał. Widocznie jednak uznał, że salto to małe piwo w porównaniu z tuńczykiem. Skoczył do góry, wywinął w powietrzu koziółka i wylądował miękko na czterech łapach. Jessie wybuchnęła śmiechem i zaczęła bić brawo. Quigley wyciągnął się na podłodze i zaczął lizać sobie łapy.

- Nie wiedziałam, że koty potrafią robić sztuczki. - Quigley to wyjątkowy kot. - Ana pogłaskała go, a on zaczął mrużyć jak lokomotywa i ocierać się jej o nogi. - Ma rodzinę w Irlandii, tak jak ja.

- Czy nie jest mu czasami smutno? Ana z uśmiechem połaskotała go pod brodą.

- Mamy siebie. A teraz usiądź i opowiedz mi, jak było w szkole. Chcesz kanapkę? Jessie zawahała się.

- Chyba nie mogę, bo niedługo będzie kolacja. A tatuś... och, byłabym zapomniała! - Podbiegła do stołu i chwyciła paczkę owiniętą w prążkowany papier.

- To dla ciebie, od taty.

- Od... - Ana bezwiednie założyła ręce do tyłu.

- Co to jest?

- Wiem, ale nie powiem. - Jessie zaświeciły się oczy. - To ma być niespodzianka. Otwórz, to zobaczysz. - Podała jej paczkę. - Nie lubisz prezentów? - zapytała, gdy Ana wciąż trzymała ręce za plecami. - Ja uwielbiam dostawać prezenty. A tatuś daje najładniejsze.

- Jestem pewna, że tak, ale...

- Nie lubisz mojego taty? - Jessie posmutniała.

- Jesteś na niego zła, bo Daisy potłukła doniczki?

- Nie, nie jestem na niego zła. - A w każdym razie nie z powodu doniczek. - To nie była jego wina. Lubię twojego tatę. To znaczy, mało go znam i... - uśmiechnęła się - nie spodziewałam się prezentów bez żadnej okazji. - Wzięła z rąk Jessie paczkę i potrząsnęła nią. - Nie stuka - powiedziała, a Jessie klasnęła w ręce i roześmiała się.

- Zgadnij! Zgadnij co to jest?

- Puzon...?

- Nie! Puzony są duże. - Dziewczynka zaczęła podskakiwać, podniecona. - Otwórz!

Reakcja dziecka sprawiła, że i Anie szybciej zabiło serce. Żeby sprawić Jessie przyjemność, rozerwała kolorowy papier i...

- Ach! Była to książka - duża książka dla dzieci. Ze śnieżnobiałej okładki spoglądała na Anę złotowłosa wróżka w koronie i zwiewnej błękitnej szacie.

- „Królowa wróżek” - przeczytała Ana. - Napisał Boone Sawyer.

- Jest całkiem nowa - odezwała się Jessie. - Nie można jej jeszcze kupić, ale tatusiowi już przysłali. - Delikatnie pogładziła obrazek na okładce. - Powiedziałam mu, że ona wygląda zupełnie jak ty.

- To piękny prezent - westchnęła Ana. I sprytny, pomyślała. Teraz nie mogła się już gniewać na Boone'a.

- W środku jest coś napisane. - Zbyt niecierpliwa, by czekać, Jessie otworzyła książkę. - Widzisz, o, . tutaj.

„Anastasio, w nadziei że bajki są równie skuteczne jak biała flaga. Boone” Ana uśmiechnęła się. Czy można odrzucić z takim wdziękiem sformułowaną propozycję zawarcia pokoju?

Boone oczywiście na to liczył. Odsunął nogą kolejne nie rozpakowane jeszcze pudło i spojrzał przez okno na sąsiedni dom.

Podjeżdżał, że Ana będzie potrzebowała kilku dni, żeby się uspokoić, mimo to był przekonany, że podjął właściwe kroki. Nie chciał przecież żadnych konfliktów z nową przyjaciółką Jessie.

Odwrócił się do kuchenki, zmniejszył gaz pod mięsem, a potem zabrał się do przygotowywania ziemniaczanego puree.

Ulubiona potrawa Jessie, pomyślał, włączając mikser. Mogła ją jeść nawet codziennie. Ale oczywiście ustalanie menu należało do niego. A Boone bardzo dbał, żeby jego córka co wieczór zjadła zdrowy, kaloryczny posiłek.

Dolał trochę mleka i skrzywił się. Chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że gdyby miał z czegoś zrezygnować, chętnie przerzuciłby na cudze barki ciężar codziennego decydowania, co będą jedli na kolację.

Nie chodziło mu nawet o samo gotowanie, ale o konieczność męczącego wyboru pomiędzy zapiekanką, pieczonym kurczakiem, wieprzowym kotлетem i tak dalej. Plus dobór stosownych dodatków. Zdesperowany, zaczął nawet wycinać z gazet przepisy, żeby trochę urozmaicić menu swojej małej rodziny.

Przez jakiś czas poważnie zastanawiał się nad przyjęciem gosposi. Matka i teściowa zgodnie nalegały, żeby to zrobił. A potem obie zaczęły się prześcigać w poszukiwaniach

najwłaściwszej osoby na to miejsce. Zniechęciła go wizja obcej osoby kręcącej się po domu, która z czasem mogłaby próbować zdobyć względy jego córki.

Bo Jessie należała do niego i tylko do niego. W stu procentach. I tak miało pozostać. Dlatego godził się na codzienne zakupy i układanie menu.

Kiedy dodawał do puree łyżkę masła, usłyszał kroki Jessie na tarasie.

- W samą porę, żabko. Właśnie miałem na ciebie zagwizdać. - Odwrócił się, oblizując palec, i zobaczył w progu Anę z Jessie. Serce podskoczyło mu do żołądka. - O, dobry wieczór!

- Nie chciałam panu przeszkadzać - zaczęła Ana. - Przyszłam, żeby podziękować za książkę.

- Cieszę się, że się pani podobała. - Boone nagle przypomniał sobie, że ma zawiązany w pasie lniany ręcznik, więc go szybko zdjął. - To była najlepsza propozycja pokojowa, jaką byłem w stanie wymyślić.

- Okazała się skuteczna. - Ana z uśmiechem patrzyła, jak Boone kręci się po kuchni. - Dziękuję, że pan o mnie pomyślał. A teraz lepiej już sobie pójdę, żeby pan mógł w spokoju przygotować kolację.

- Ona może wejść, prawda? - Jessie pociągnęła Anę za rękę. - Zgadzasz się, tato?

- Oczywiście. Proszę bardzo. - Boone odsunął kolejne pudło. - Jeszcze nie zdążyłem się rozpakować. To zajmuje znacznie więcej czasu, niż sądziłem.

Ana zdecydowała się wejść. Po części z uprzejmości, a po części z ciekawości. W oknach nie było jeszcze zasłon, a kilka kartonowych pudeł leżało na podłodze z kolorowych kafelków. Za to na granatowym kuchennym blacie stał biały ceramiczny pojemnik na słodycze w kształcie Królika z „Alicji w krainie czarów”, czajniczek w kształcie Szalonego Kapelusznika i cukiernica w kształcie Myszy. Na mosiężnych haczykach wisiały ściereczki do naczyń, obrębione dziecięcą ręką. Drzwi lodówki zdobiły rysunki Jessie, a w kącie drzemał szczeniak.

Nie było tu może ani specjalnie czysto, ani porządnie, ale na pewno był to już przytulny dom.

- To duży dom - odezwała się Ana. - Wcale się nie dziwiłam, że tak szybko został sprzedany.

- Chcesz zobaczyć mój pokój? - Jessie znów pociągnęła Anę za rękę. - Mam łóżko z daszkiem i dużo wypchanych zwierząt.

- Później zaprosisz Anę na górę - wtrącił się Boone. - A teraz idź umyć ręce.

- Dobrze. - Jessie błagalnie spojrzała na Anę. - Ale nie odchodź.

- Może kieliszek wina? - zaproponował Boone po wyjściu córki. - Żeby przypieczętować pokój.

- Dobrze - powiedziała Ana. Kiedy otwierał lodówkę, rysunki Jessie zatrzęsły się na drzwiach. - Jessie to mała artystka. To takie miłe z jej strony, że zrobiła dla mnie rysunek.

- Obawiam się, że niedługo będzie pani miała całe ściany wytapetowane jej rysunkami. - Zawahał się z butelką w rękę, zastanawiając się, gdzie schował kieliszki i czy w ogóle je rozpakował. Szybki przegląd szafek uzmysłowił mu, że jeszcze tego nie zrobił. - Może być chardonnay w szklance z królikiem Bugsem?

Ana roześmiała się.

- Oczywiście. - Zaczekała, aż naleje jej i sobie.

- Witamy w Monterey - powiedziała, unosząc szklankę.

- Dzięki. - Popatrzył na jej uśmiechnięte usta i poczuł, że zgubił wątek. - ja... Od dawna pani tu mieszka?

- Przez całe życie i jeszcze wcześniej. - Zapach smażonego kurczaka i radosny bałagan w kuchni były tak znajome, że Ana się odprężyła. - Moi rodzice mieli jeden dom tutaj, a drugi w Irlandii. Teraz w zasadzie mieszkają w Irlandii, za to moi kuzyni i ja zostaliśmy w Monterey. Morgana urodziła się w tym domu, w którym teraz mieszka, a Sebastian i ja urodziliśmy się w Irlandii, w zamku Donovanów.

- W zamku Donovanów? Ana roześmiała się.

- Może to brzmi dość pretensjonalnie, ale to rzeczywiście jest zamek. Stary, piękny i położony na uboczu. Od wieków należał do rodziny Donovanów.

- Więc urodziła się pani na zamku w Irlandii - powiedział Boone. - Pewnie to dlatego kiedy zobaczyłem panią po raz pierwszy, pomyślałem, że w sąsiednim domu, wśród róż, mieszka królowa wróżek. - Nagle przestał się uśmiechać i bez namysłu palnął:

- Na pani widok zaparło mi dech w piersi. Szklanka zatrzymała się w pół drogi do jej ust. Ana rozchyliła je, dziwnie zmieszana.

- Ja... - Upiła łyk, żeby mieć czas na zastanowienie. - Myślę, że część pańskiego talentu opiera się na tym, że widzi pan wróżki pod krzakami, elfy w ogrodzie i czarnoksiężników na drzewach.

- Może i tak. - Pachniała pięknie jak powiew, który wpadł przez otwarte okno, przynosząc aromat kwiatów z ogrodu i słony zapach morza. Podszedł bliżej i nie bez satysfakcji zauważył, że w jej oczach mignął niepokój. - Jak tam skaleczenia, sąsiadko? - Delikatnie objął palcami jej rękę i wyczuł przyspieszony puls w zgięciu łokcia. To dziwne, że w pewnych sytuacjach reagowali w ten sam sposób. Uśmiechnął się.

- Boli?

- Nie. Jej lekko stłumiony głos podniecił go.

- Nie, ani trochę.

- Wciąż pachnie pani kwiatami.

- Woda kwiatowa...

- Nie. Wolną ręką odwrócił ku sobie jej twarz.

- Zawsze pachnie pani kwiatami. Polnymi kwiatami i morską pianą. Jak to się stało, że nagle wylądowała oparta plecami o kuchenny blat? Jego ciało napierało na jej ciało, a usta były tak kusząco blisko jej ust, że aż się prosiło, żeby ich spróbować.

A ona chciała tego. Pragnęła zatracić się w pocałunku, z niespotykaną siłą, która wyparła wszystko inne z jej głowy. Powoli, z oczyma utkwionymi w jego oczach, położyła mu dłoń na piersi, w miejscu gdzie bije serce. A serce biło mu namiętnie i dziko.

Pomyślała, że pewnie taki sam będzie ich pocałunek. Dziki i namiętny od pierwszej chwili.

Jakby czytając w jej myślach, Boone chwycił ją za włosy. Były gorące, tak jak przypuszczał. Gorące jak słońce, od których wzięły swój blask. Przez moment cały skoncentrował się na pocałunku, który miał nastąpić, i spodziewanych rozkoszach. Już tylko oddech dzielił jego usta od jej ust, a jej westchnienie wypełniało mu płuca, kiedy na schodach rozległ się tętent kroków Jessie.

Boone odskoczył jak oparzony. Popatrzyli na siebie oniemiałi, zaskoczeni siłą, która ich ku sobie po pchnęła.

Co on najlepszego wyprawiał? Rzucił się na gościa w swojej własnej kuchni, gdzie kurczak smażył się na piecu, kartofle stygły, a jego córeczka mogła w każdej chwili wrócić z łazienki.

- Muszę już iść. - Ana szybko odstawiła szklankę, z obawy by nie wypadła jej z drżących rąk. - Przyszłam tylko na chwilkę.

- Ano... - Boone zastąpił jej drogę. - Mam wrażenie, że to, co zaszło między nami, nie leży w naszych zwyczajach. Nie uważa pani, że to dziwne?

W odpowiedzi podniosła na niego te swoje poważne, Ciemnoszare oczy.

- Nie znam pańskich zwyczajów.

- No, więc nie mam zwyczaju uwodzić kobiet w mojej kuchni, kiedy moja córka jest w domu. I nie leży też w moim zwyczaju pragnąć dziko kobiety od pierwszego wejrzenia.

Po co odstawiła szklankę? Nagle zaschło jej w gardle.

- Pewnie pan się spodziewa, że uwierzę panu na słowo? Nie zrobię tego. W jego oczach błysnął gniew.

- Mam to udowodnić?

- Nie, pan...

- Umyłam ręce, umyłam ręce, umyłam. - Jessie wpadła jak burza do kuchni. - A tak w ogóle, czemu trzeba myć ręce? Przecież nie jemy palcami.

Boone cofnął się i pstryknął córkę w czubek nosa. - Ale zarazki mogłyby przejść z twoich rąk na talerz.

- Aha - mruknęła Jessie, a potem nagle powiedziała: - Tato bardzo dobrze gotuje. Chcesz spróbować? Czy Ana może zjeść z nami kolację? - zwróciła się do ojca.

- Ja naprawdę...

- Oczywiście, że może. - Boone spojrzał na Anę z uprzejmym uśmiechem, ale wzrok miał dziwnie niepokojący. - Będzie nam bardzo miło. Poza tym to świetna okazja, żeby się lepiej poznać. Na początek.

Nie musiała pytać - na początek czego. Było to zupełnie jasne. Poczowała lęk, a zarazem podniecenie”.

- To miło z pana strony - odparła z wymuszonym spokojem. - Żałuję, ale nie mogę. Muszę zajrzeć do stajni kuzyna - dodała, widząc zawiedzioną minę Jessie. - Pod jego nieobecność zajmuję się końmi.

- Wezmiesz mnie kiedyś ze sobą, żebyśmy mogła je obejrzeć?

- Jeżeli twój tata nie będzie miał nic przeciwko temu. - Ana nachyliła się i ucałowała nadąsaną buzię. - Dzięki za obrazek, słonko. Jest piękny. - Cofnęła się i spojrzała na Boone'a. - I dziękuję za książkę. Na pewno mi się spodoba. Do widzenia.

Nie wybiegła z domu, chociaż jej wyjście tak naprawdę było ucieczką. Po powrocie do siebie otworzyła kotu obiecaną puszkę tuńczyka i przed wyjazdem do stajni Sebastiana przebrała się w spodnie i dżinsową koszulę.

Wciągając buty do konnej jazdy, doszła do wniosku, że kilka spraw wymaga poważnego przemyślenia. Będzie musiała rozważyć wszystkie za i przeciw, a także wziąć pod uwagę ewentualne konsekwencje. Morgana na pewno będzie się z niej śmiała, kiedy się o wszystkim dowie. I znów powie jej, że jest typową Wagą.

Może to właśnie jej zodiakalny znak był po części odpowiedzialny za to, że zawsze musiała spojrzeć na każdy problem z obu stron. A to równie często komplikowało sprawy, jak pomagało je rozwiązać. W tym wypadku była jednak absolutnie pewna, że wolna głowa i chwila rozważenia są absolutnie konieczne.

Może Boone jej się po prostu podobał bardziej niż inni? Może to tylko pociąg fizyczny silniejszy niż zwykle? To uczucie nie było jej obce, ale nigdy nie doświadczyła go z taką mocą. A taka moc oznaczała później bolesne rany.

Tak, miała się nad czym zastanowić. Marszcząc brwi, chwyciła kurtkę i zbiegła po schodach.

Pomyślała, że przecież jest dorosła, wolna i bez zobowiązań, więc w zasadzie mogłaby sobie pozwolić na związek z wolnym, dojrzałym mężczyzną.

Z drugiej strony doskonale pamiętała, jak toksyczny może okazać się taki związek, jeśli partnerzy nie są w stanie nawzajem się zaakceptować.

Wciąż niezdecydowana, wybiegła z domu. Oczywiście nie musi się przed Boone'em z niczego tłumaczyć. Nie ma obowiązku wtajemniczać go w swoje sekrety i wynikające z nich obciążenia, co przed laty na próżno usiłowała wytłumaczyć Robertowi. Nawet jeśli zaczną się spotykać, nie będzie musiała mu o tym mówić.

Wsiadła do samochodu i ruszyła sprzed domu, a jej myśli wciąż krążyły wokół tego, co zaszło między nią i Boone'em.

Pewna rezerwa nie powinna być uznawana za zdradę. To raczej odruch obronny. Tego nauczyło ją doświadczenie. Więc dlaczego zastanawia się nad takimi sprawami, skoro nawet nie podjęła decyzji, czy chce się zaangażować?

Nie, to nie do końca prawda. Przecież chciała tego związku. Chodziło raczej o to, by podjąć decyzję, czy może sobie na to pozwolić.

Boone był w końcu jej sąsiadem. Więc gdyby coś poszło nie tak, mieszkanie w bezpośredniej bliskości mogłoby się okazać bardzo krępujące.

Była też oczywiście Jessie. Dziewczynka, którą już prawie pokochała. Nie chciałyby ryzykować tej przyjaźni i uczucia po to tylko, by zaspokoić swoje własne potrzeby. I to potrzeby natury czysto fizycznej - powtarzała sobie, jadąc krętą drogą wzdłuż wybrzeża.

Była pewna, że Boone byłby w stanie dać jej fizyczną przyjemność. Nie miała co do tego wątpliwości. Jednak cena za to mogłaby się okazać zbyt wysoka dla obu stron.

Dlatego będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli pozostanie przyjaciółką Jessie, zachowując jednocześnie rozsądny dystans w stosunkach z jej ojcem.

Kolacja minęła, naczynie zostały pozmywane. Odbyła się też niezbyt skuteczna lekcja z Daisy, choć suczka zaczęła wreszcie siadać, kiedy naciskało się jej pupę. Potem była kąpiel w wannie i jeszcze kilka chwil zabawy ze świeżo wykąpaną córką. A potem trzeba było jeszcze opowiedzieć bajkę na dobranoc i przynieść szklanek wody.

Kiedy Jessie wreszcie zasnęła i dom pogrążył się w ciszy, Boone zasiadł na balkonie ze szklaneczką brandy. Na biurku czekał go stos formularzy - zadanie domowe dla rodziców - które trzeba było wypełnić w związku z pójściem Jessie do szkoły.

Pomyślał, że wypełni je później. Bo ta cicha godzina po zmroku, kiedy księżyc piął się po niebie, należała wyłącznie do niego.

Patrzył na chmury sunące nad głową i zwiastujące deszcz, słuchał hipnotycznego szumu fal, rozbijających się o skały, ćwierkania świerszczy w trawie, którą wkrótce będzie musiał skosić, i wdychał zapach kwiatów nocy.

Nic dziwnego, że ten dom urzekł go już od pierwszego wejrzenia. Nigdzie indziej nie potrafił tak odpoczywać, nigdzie nie czuł takiego spokoju. Nigdzie też nie znalazł takiej pozywki dla swojej wyobraźni. Tajemniczo ukształtowane cyprysy, magiczne rośliny porastające nadbrzeżne skały, puste plaże.

Nie mówiąc już o tej zjawiskowo pięknej kobiecie, zamieszkującej sąsiedni dom.

Uśmiechnął się do siebie. Jak na kogoś, na kim kobiety od dawna nie robiły większego wrażenia, teraz doświadczył tego wrażenia aż w nadmiarze.

Po śmierci Alice długo nie mógł dojść do siebie.

Później, choć nie uważał się za kawalera do wzięcia, nie żył jednak jak mnich. W jego życiu nie było pustki i kiedy już zagoiły się rany, pogodził się z faktem, że musi nadal żyć.

Siedział na balkonie, sącząc brandy i delektując się urokami nocy, kiedy usłyszał samochód Any. Oczywiście wcale na nią nie czekał, zapewnił sam siebie, zerkając na zegarek. A jednak świadomość, że wróciła tak wcześnie - czyli nie mogła być na randce - sprawiła mu niekłamaną przyjemność.

Oczywiście nic mu do jej życia towarzyskiego.

Z balkonu nie widział podjazdu, usłyszał za to hałas zatraskiwanych drzwi. A po chwili usłyszał, jak otwierają się i zamykają drzwi jej domu.

Opierając stopy o balustradę, spróbował sobie wyobrazić Anę, jak chodzi po domu. Najpierw pójdzie do kuchni. Tak, miał rację, w kuchni zapaliło się światło i zobaczył cień Any w oknie. Pewnie parzy sobie herbatę albo nalewa wina.

Po chwili światło zgasło, a on znów ruszył za nią w myślach. Na górę. Więcej światła, wyglądających jego zdaniem bardziej na świece niż lampy. Kilka chwil później doszły go ciche dźwięki muzyki. Harfa. Porywająca, romantyczna i jakby smutna.

Przez moment mignęła mu w oknie sylwetka Any. Kiedy zdejmowała koszulę, zobaczył wyraźnie jej smukłe kształty.

Przełknął brandy i szybko odwrócił wzrok. Wprawdzie pokusa była silna, ale nie zniży się do tego, żeby podglądać. Rozpaczliwie zachciało mu się za to zapalić. Przeprosił w myślach córkę i sięgnął po papierosa.

Dym nasycił powietrze, kojąc jego nerwy Boone z przyjemnością wsłuchał się w dźwięki harfy.

Nieprędko wrócił do domu, by zasnąć przy akompaniamencie kropel deszczu, bębniących o dach, i płynącej z daleka tajemniczej muzyce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nadbrzeżny bulwar tętnił życiem. Ana lubiła ten gwar i tłum, tak jak lubiła ciszę i spokój swojego własnego ogrodu.

Teraz cierpliwie posuwała się wraz ze strumieniem innych samochodów, przybyłych do Monterey na weekend. Przejeżdżając obok sklepu Morgany, zauważyła, że wszystkie miejsca na parkingu są zajęte. Wobec tego zamiast denerwować się i szukać wolnego miejsca na ulicy, zaparkowała trzy przecznice dalej.

Kiedy wysiadła, żeby otworzyć bagażnik, usłyszała płacz dziecka i gderanie zmęczonych rodziców.

- Przestań, bo nic nie dostaniesz! Ja nie żartuję, Timothy. Już dosyć nakupiliśmy. A teraz ruszaj!

W odpowiedzi dziecko bezwładnie osunęło się na ziemię. Matka bezskutecznie usiłowała je podnieść, ciągnąc za rękę. Ana przygryzła wargi, tłumiąc śmiech. Rodzice dziecka zdawali się nie dostrzegać komizmu sytuacji. Ręce mieli pełne pakunków, a twarze posępne.

Wyglądało na to, że Timothy zaraz dostanie w skórę, choć wątpliwe, czy po tym będzie bardziej posłuszny. Jego tata wcisnął swoje paczki mamie i z zaciętą miną nachylił się nad chłopcem.

To taki drobiazg, pomyślała Ana. A oni są tacy zmęczeni i nieszczęśliwi. Najpierw połączyła się z ojcem. Poczowała miłość, gniew i zażenowanie. Potem z dzieckiem - odebrała zmęczenie i rozpacz z powodu wielkiego słonia, którego chłopczyk zobaczył na wystawie i którego mu odmówiono.

Zamknęła oczy. Ojciec zamachnął się, żeby wymierzyć klapsa w wypchaną pieluszkami pupę synka. Chłopczyk wstrzymał oddech, gotowy wydać rozpaczliwy krzyk upokorzenia.

Nagle mężczyzna westchnął i opuścił rękę. Timothy spojrzał w górę. Buzię miał rozpaloną i zalaną łzami.

Ojciec przykucnął i wyciągnął rękę.

- Zmęczyliśmy się, prawda? Timothy czknął, zaszlochał, a potem wtulił się w ramiona taty i oparł mu ciężką głowę na ramieniu. - Pić!

- Dobrze, stary. - Ojciec delikatnie poklepał synka po pupie i posłał bliskiej łez żonie krzepiący uśmiech. - Chodźmy się napić czegoś zimnego. Małemu trzeba zmienić pieluchę.

Odeszli zmęczeni, ale pogodzeni.

Ana uśmiechnęła się do siebie i otworzyła bagażnik. Rodzinne wakacje to nie tylko sama zabawa i przyjemności. Kiedy następnym razem będą chcieli na siebie warczyć, nie będzie jej w pobliżu, żeby im pomóc. Mogła tylko mieć nadzieję, że jakoś poradzą sobie bez niej.

Zarzuciła torebkę na ramię i zaczęła wypakowywać pudełka przygotowane dla Morgany. Było ich pół tuzina, a zawierały mieszanki ziół, buteleczki z olejkami, kremy, pachnące saszetki, atlasowe poduszeczki na sen oraz miesięczny zapas specjalnych zamówień, od toników po perfumy specjalnie dobierane dla konkretnych osób.

W pierwszej chwili pomyślała, że musi obrócić dwa razy, ale potem doszła do wniosku, że jeśli należycie wyważy ładunek, na pewno uda jej się zanieść wszystko za jednym zamachem.

Ustawiła pryzmę pudełek, wzięła ją na ręce, a potem łokciem zamknęła bagażnik i ruszyła przed siebie. Gdzieś w połowie drogi zaczęła się zastanawiać, dlaczego zawsze popełnia ten sam błąd.

Znacznie łatwiej byłoby obrócić dwa razy. I nie chodziło tylko o to, że pudełka były takie ciężkie. Rzecz w tym, że ładunek był niewygodny, a chodnik strasznie zatłoczony. Na domiar wszystkiego włosy ciągle opadały jej na oczy. Uskoczyła i w ostatniej chwili uniknęła zderzenia z parą nastolatków.

- Może ci pomóc? Zła na siebie i na cały świat odwróciła się. To był Boone. W luźnych spodniach i podkoszulku wyglądał piekielnie pociągająco. Niósł Jessie na barana, a ona śmiała się i klaskała z radości.

- Przejechaliśmy się na karuzeli, poszliśmy na lody i nagle zobaczyliśmy ciebie - zawołała.

- Chyba lubisz nosić ciężary - zauważył Boone.

- To wcale nie jest ciężkie. Boone poklepał Jessie po nodze, a ona szybko ześlizgnęła się po jego plecach na ziemię.

- Pomożemy ci.

- Nie trzeba. - To nonsens odrzucać pomoc, której naprawdę potrzebowała, ale wołała zostać sama. W końcu udawało jej się unikać Boone' a przez ponad pół tygodnia. Udało jej się też, choć z nieco gorszym skutkiem, unikać myślenia o nim.

- Nie chcę wam psuć planów.

- Nie mamy żadnych konkretnych planów, prawda, Jessie?

- Aha. Tak sobie tylko spacerujemy. Mamy dziś wolny dzień. Ana uśmiechnęła się, ale kiedy spojrzała na Boone'a, spoważniała. Patrzył na nią tym swoim deprymującym wzrokiem, a w jego uśmiechu kryło się wyzwanie.

- To niedaleko - zaczęła, poprawiając paczkę, która zaczynała się zsuwać. - Mogę...

- To się dobrze składa - przerwał jej Boone. Wziął z jej rąk pudełko i spojrzał w oczy.

- Po to ma się sąsiadów.

- Ja wezmę jedno - zaproponowała Jessie. - Dam sobie radę.

- Dziękuję. - Ana wręczyła jej najlżejsze pudełko. - Idę do sklepu mojej kuzynki.

- Czy dzieci już się urodziły? - zapytała Jessie, kiedy ruszyli przed siebie.

- Jeszcze nie.

- Pytałam tatusia, jak to się stało, że ona ma w brzuchu dwoje dzieci, a on mi powiedział, że czasami jest dwa razy więcej miłości.

Jak można się bronić przed takim człowiekiem, pomyślała Ana. Ciepło spojrzała Boone'owi w oczy.

- Czasami tak bywa. Zawsze potrafisz znaleźć stosowną odpowiedź? - spytała cicho.

- Nie zawsze. - Sam nie wiedział, czy to dobrze, że ma zajęte ręce, czy źle. Bo gdyby miał wolne ręce, kusiłoby go, żeby jej dotknąć. - Po prostu staram się znaleźć najlepszą w danych okolicznościach. Gdzie się ukrywałaś, Anastasio?

- Ja się ukrywałam? - Ciepły blask zniknął z jej oczu.

- Nie widziałem cię na podwórku od wielu dni. A przecież nie wyglądasz mi na osobę, którą łatwo przestraszyć.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Miałam dużo pracy. - Ze względu na Jessie, która biegła przodem, starała się mówić spokojnie. - Nawet bardzo dużo. - Skinęła w stronę pudełek. - Właśnie niesiesz to, co robiłam przez ten czas.

- Czyżby? Wobec tego dobrze, że nie zapukałem do twoich drzwi pod pretekstem pożyczania szklanki cukru. Mało brakowało, ale koniec końców wydało mi się to zbyt banalne.

- Doceniam twoją powściągliwość.

- Bo i powinnaś. Nie odpowiedziała, tylko odrzuciła włosy z czoła i zawołała do Jessie:

- Pójdziemy tędy, żeby wejść do sklepu od tyłu. W soboty na ogół jest duży ruch - wyjaśniła. - Nie lubię przechodzić z pudełkami przez cały sklep i przeszkadzać klientom.

- A co twoja kuzynka sprzedaje?

- Och... - Ana znowu się uśmiechnęła. - To i owo. Myślę, że zainteresuje cię jej towar. Wchodzimy! - Wskazała na wąski ganek, zastawiony doniczkami z czerwonym geranium. - Możesz otworzyć, Jessie?

- Dobrze. - Zaciekawiona dziewczynka pchnęła drzwi i wydała przejmujący pisk. - Och, tato, patrz!

Odstawiła pakunek i rzuciła się w stronę drzemiącego na stole olbrzymiego białego kota.

- Jessico! - Już sam ton Boone'a wystarczył, żeby jego córka zatrzymała się w pół kroku. - Chyba ci mówiłem, że nie należy się zbliżać do obcych zwierząt.

- Ale tatusiu, on jest taki śliczny.

- Ona - poprawiła ją Ana, kładąc pudełka na blacie. - Poza tym twój tatuś ma rację. Nie wszystkie zwierzęta lubią małe dziewczynki.

- A ona lubi? - zapytała Jessica. Palce świerzbiły ją, żeby pogłaskać gęste białe futerko.

- Czasami Luna nie lubi nikogo. - Ana ze śmiechem podrapała kotkę między uszami. - Ale jeżeli będziesz grzeczna i będziesz ją głaskać tylko wtedy, kiedy ci na to łaskawie pozwoli, może cię polubi. Ona nie drapie - zwróciła się do Boone'a. - Kiedy ma dosyć, po prostu odchodzi.

Tym razem jednak Luna musiała być w dobrym humorze. Podeszła do krawędzi stołu i zaczęła się ocierać o wyciągniętą rękę Jessie.

- Lubi mnie! - Jessie uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Widzisz, tatusiu, ona mnie lubi!

- Widzę.

- Morgana zawsze ma coś zimnego do picia. - Ana otworzyła małą lodówkę. - Napijcie się czegoś?

- Chętnie. - Prawdę mówiąc, wcale nie chciało mu się pić, ale była to dobra okazja, żeby jeszcze trochę pobyć w jej towarzystwie. Oparł się o blat i czekał, aż Ana wyjmie szklanki. - Sklep jest tam? - Wskazał na drzwi.

Skinęła głową.

- Tak. A tam jest magazyn. Morgana sprzedaje w zasadzie pojedyncze egzemplarze, więc nie trzyma większych zapasów.

Boone sięgnął ponad ręką Any i dotknął listków rozmarynu na parapecie.

- Ona też się zajmuje takimi rzeczami? Udała, że nie czuje, że się przy tym o nią otarł. Pachniał wiatrem i słoną wodą.

Pewnie byli z Jessie nad morzem i karmili mewy.

- Jakimi rzeczami? - zapytała.

- Ziołami i tak dalej...

- Coś w tym rodzaju. - Odwróciła się i ponieważ stał zbyt blisko, stuknęła go szklanką w pierś. - Piwo korzenne.

- Fantastycznie. - Czuł, że to nie fair, ale wziął z jej rąk szklankę i nie cofnął się ani o krok. Musiała przechylić głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - To mogłoby być niezłe hobby dla mnie i Jessie. Nauczysz nas, jak hodować zioła?

- Dokładnie tak samo jak wszystko, co żyje - powiedziała, siłąc się na spokój. - Z troską, uwagą i miłością. Stoisz mi na drodze, Boone.

- Mam nadzieję. - Spojrzał na nią przenikliwie i dotknął jej policzka. - Anastasio, uważam, że powinniśmy...

- Umowa jest umową, kochanie! - Drzwi nagle się otworzyły. - Kwadrans odpoczynku po dwóch godzinach pracy.

- Nie bądź śmieszny! Zachowujesz się, jakbym była jedyną kobietą przy nadziei na całym świecie. - Morgana z westchnieniem weszła na zaplecze. Na widok gości, a raczej obcego mężczyzny, który przypierał jej kuzynkę do ściany, uniosła brwi.

- Bo jesteś jedyną kobietą przy nadziei w moim świecie - oświadczył Nash. - O, cześć, Ano! Zjawiłaś się w samą porę. Musisz przekonać Morganę, żeby się oszczędzała. A skoro już tu jesteś, mogę... - Spojrzał na mężczyznę stojącego obok kuzynki i nagle się rozpromienił. - Boone?! Niech mnie wszyscy diabli! Boone Sawyer! Ty stary skurczy... - Przerwał, bo Morgana trąciła go łokciem w zębra. Przy stole, wytrzeszczając oczy, stała mała dziewczynka. - ... byku - dokończył, przeszedł przez pokój, wyciągnął rękę do Boone'a i klepnął go w plecy. - Co ty tu robisz?

- Dostarczam towar. - Boone z uśmiechem uściśnął mu rękę. - A ty?

- Próbuję przemówić żonie do rozsądku. Boże, ile to już czasu? Cztery lata?

- Coś koło tego. Morgana splotła rękę na brzuchu.

- Widzę, że się znacie.

- Jasne, że tak. Poznaliśmy się na zjeździe pisarzy. To musiało być jakieś dziesięć lat temu. Nie widzieliśmy się od... od pogrzebu Alice - przypomniał sobie Nash. Przypomniał sobie też rozpacz i niedowierzanie w oczach Boone'a, kiedy stał nad grobem żony. - Co u ciebie?

- W porządku - uśmiechnął się Boone.

- To dobrze. - Nash uściskał go, a potem zwrócił się do Jessie. - A ty musisz być Jessica?

- Aha. - Dziewczynka rozpromieniła się. Lubiła poznawać nowych ludzi. - Kim pan jest?

- Jestem Nash. - Nash podszedł do niej i przykucnął. Z wyjątkiem oczu, odziedziczonych po ojcu, mała była kopią Alice. Bystra, ładna, istny chochlik. Podał jej rękę.
- Miło mi cię poznać.

Jessica zachichotała.

- Czy to pan włożył Morganie dzieci do brzucha? Trzeba było przyznać Nashowi, że zamurowało go tylko na chwilę.

- Tak, przyznaję się do winy. - Ze śmiechem podniósł Jessicę. - Za to Ana będzie musiała je wyjąć. A co wy robicie w Monterey?

- Teraz tu mieszkamy - odparła Jessie. - Jesteśmy sąsiadami Any.

- Żartujesz?! - Nash spojrzał na Boone'a. - Od kiedy?

- Od ponad tygodnia. Słyszałem, że i ty tu mieszkasz, więc miałem zamiar cię odszukać, kiedy już się rozlokujemy. Nie wiedziałem, że ożeniłeś się z kuzynką mojej sąsiadki.

- Ale ten świat jest mały - zauważyła Morgana i spojrzała na Anę, która nie odezwała się, odkąd weszli do pokoju. - Chyba nikt nie zamierza mnie przedstawić, więc muszę to zrobić sama. Jestem Morgana.

- Przepraszam. - Nash podsadził sobie Jessie na biodro. - Usiądź, Morgano.

- Nic mi nie...

- Siadaj! - odezwała się Ana, podsuwając krzesło.

- Widzę, że zostałam przegłosowana - westchnęła Morgana i usiadła. - Jak wam się podoba w Monterey?

- Bardzo - odparł Boone, a jego wzrok spoczął na Anie. - Bardziej niż się spodziewałem.

- Musimy się spotkać - powiedziała Morgana. Może wtedy dowiem się różnych rzeczy, które Nash przede mną ukrywa.

- Bardzo chętnie.

- Ależ kotku, ja jestem jak otwarta księga. - Nash cmoknął żonę w czoło, mrugając przy tym do Any. - Czy to jest towar zamówiony przez Morganę?

- Tak. Zaraz wszystko rozpakuję. Chciałabym, żebyś wypróbowała ten nowy fiołkowy balsam do ciała, zanim go wystawisz. Przyniosłam też trochę więcej mydlanego szamponu.

- To dobrze, bo już sprzedałam cały zapas. - Morgana wzięła z rąk Any butelkę i otworzyła ją. - Ładnie pachnie. - Roztarła na dłoni kilka kropel. - I ma przyjemną konsystencję.

- Słodkie fiołki i irlandzki mech, przysłany przez tatę. - Ana podniosła wzrok znad pudełek. - Nash, może byś oprowadził Jessie i Boone'a po naszym sklepie?

- To dobry pomysł. Myślę, że znajdziesz tu masę rzeczy z twojej działki - zwrócił się Nash do Boone'a, kiedy szli do drzwi.

W progu Boone obejrzał się.

- Anastasio! - Poczekał, aż spojrzy na niego, a potem powiedział z naciskiem: - Tylko mi nie ucieknij.

- No, no... - Morgana uśmiechnęła się, kręcąc głową. - Chcesz mi o tym opowiedzieć? - zwróciła się do Any, kiedy mężczyźni i Jessie zniknęli za drzwiami.

- O czym? - Ana mocniej niż to było potrzebne szarpnęła taśmę klejącą pudełka.

- O tobie i o tym przystojniaku z sąsiedztwa, oczywiście.

- Nie ma o czym mówić.

- Moja droga, ja cię dobrze znam. Kiedy tu weszłam, byłaś nim tak zaabsorbowana, że nawet gdybym wywołała tornado, nie zwróciłabyś na to uwagi.

Ana zaczęła pospiesznie rozpakowywać buteleczki.

- Nie bądź śmieszna! Nie spowodowałaś tornado od czasów, kiedy po raz pierwszy obejrzałyśmy „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”.

- Ana! - powiedziała z naciskiem kuzynka. - Wiesz, że cię kocham.

- Wiem. I ja też cię kocham.

- Znam cię. Rzadko się denerwujesz. Dlatego tak mnie to fascynuje, a zarazem niepokoi, że jesteś teraz strasznie zdenerwowana.

- Wcale nie jestem zdenerwowana. - Ana skrzywiła się. - No dobrze, niech ci będzie. Nie mogę zaprzeczyć, że denerwuję się w jego obecności. Dlatego, że on mi się tak bardzo podoba. Muszę się nad tym zastanowić.

- Nad czym chcesz się zastanawiać?

- Co z tym zrobić. To znaczy z nim. Nie zamierzam popełnić kolejnego błędu, tym bardziej że w grę wchodzi również Jessie.

- Czy ty się aby w nim nie zakochałaś?

- Co za absurd! - Ana zbyt późno zdała sobie sprawę, że jej energiczny protest mógł wzbudzić podejrzenia. - Jestem po prostu rozdrażniona, to wszystko. Żaden mężczyzna nie

działał tak na mnie, fizycznie, od... - nigdy, pomyślała, nigdy dotąd i, jak się obawiała, nigdy więcej - od dłuższego czasu. Muszę się nad tym zastanowić - powtórzyła.

- Ana. - Morgana wyciągnęła do niej rękę. - Sebastian i Mel za parę dni wracają z podróży poślubnej. Poproś Sebastiana, żeby spojrział w przyszłość. Będiesz znacznie spokojniejsza, jeżeli dowiesz się, jak rozwinie się wasza znajomość.

- Nie! - Ana potrząsnęła głową. - Muszę przyznać, że przez chwilę o tym myślałam, ale potem doszłam do wniosku, że co ma być, to będzie. Chcę startować na równych zasadach. Gdybym wszystko z góry wiedziała, byłoby to nie fair względem Boone' a. Mam wrażenie, że wyrównane szanse są szczególnie ważne dla nas obojga.

- Ty wiesz najlepiej. Ale powiem ci coś jako kobieta. - Morgana uśmiechnęła się. - Jako wróżka. To czy wiesz, czy nie, nie ma żadnego znaczenia, kiedy jakiś mężczyzna zapadnie ci w serce. Najmniejszego znaczenia.

Ana skinęła głową.

- Muszę wobec tego dopilnować, żeby nie zapadł mi w serce, póki nie będę na to gotowa.

- To niesamowite - powtarzał Boone, zwiedzając sklep. - Wprost niesamowite.

- Ja też tak pomyślałem, kiedy po raz pierwszy tu wszedłem. - Nash sięgnął po kryształową różdżkę, zakończoną ostrzem z ametystu. - Ludzie z naszej branży muszą wariować za takimi rzeczami.

- Owszem - przyznał Boone, biorąc różdżkę. - Autorzy bajek albo okultyści. Między tymi dwoma gatunkami jest wątła granica. Twój ostatni film zmroził mi krew, nawet jeśli mnie rozśmieszył.

- Humor w horrorze - uśmiechnął się Nash.

- Nikt nie potrafiłby zrobić tego lepiej. - Borne zerknął na córkę. Właśnie podziwiała miniaturowy srebrny zamek, otoczony fosą z tęczowego szkła. - Obawiam się, że nie wyjdę stąd z pustymi rękami.

- Ona jest śliczna - powiedział Nash, a jego myśli znów powędrowały ku jego własnym dzieciom, które już wkrótce miały się urodzić.

- Wygląda zupełnie jak jej matka. - Boone spostrzegł nieme pytanie i troskę w oczach przyjaciela. - Ból przemija, Nash, czy nam się to podoba, czy nie. Alice była w moim życiu czymś cudownym. Jestem wdzięczny losowi za każdą spędzoną z nią chwilę. - Odłożył różdżkę. - A teraz chciałbym się dowiedzieć, jak do tego doszło, że taki żelazny kawaler jak ty ożenił się i ma zostać ojcem bliźniąt.

- Zbierałem materiały - wyjaśnił ze śmiechem Nash. - Chciałem się wyprowadzić z Los Angeles i zamieszkać gdzieś pod miastem, skąd mógłbym dojeżdżać do pracy. Niedługo po przyjeździe zorientowałem się, że potrzebne mi są pewne materiały do scenariusza. Wszedłem do tego sklepu i zobaczyłem Morganę.

Zobaczył znacznie więcej, ale nie zamierzał opowiadać teraz Boone'owi o dziedzictwie Donovanów. Bo nawet Boone by mu nie uwierzył.

- A ty jak już decydujesz się na skok, to tylko na głęboką wodę - stwierdził Boone.

- Ty też. Indiana leży daleko stąd.

- Ja nie chciałem być w zasięgu ręki. - Borne skrzywił się. - Chciałem uciec od rodziców, moich i Alice, bo nagle uświadomiłem sobie, że staliśmy się z Jessie treścią ich życia. Poza tym zapragnąłem odmiany.

- I w ten sposób wylądowałaś obok Anastasii?

- Nash zmrużył oczy. - To ten drewniany dom z balkonami i masą okien?

- Tak.

- Dobrze wybrałaś. - Nash znów zerknął na Jessie. Obeszła cały sklep i po raz kolejny zmierzała w stronę srebrnego zamku. Ani razu o niego nie poprosiła, ale zachwyty w jej oczach były bardziej wymowny niż słowa. - Jeżeli ty jej go nie kupisz, ja to zrobię - powiedział do przyjaciela.

Kiedy Ana wyłoniła się z zaplecza, żeby poustawiać towar na półkach, zobaczyła na ladzie nie tylko miniaturowy zamek, ale także metrowej wysokości rzeźbę skrzydlatej wróżki, która niedawno wpadła jej w oko, kryształową figurkę jednorożca, mosiężnego czarnoksiężnika, trzymającego kryształową kulę o wielu płaszczyznach, oraz globus wielkości piłki nożnej.

- Ulegliśmy słabości - wyznał Boone z zażenowaniem. - Kompletny brak silnej woli.

- Masz za to pierwszorzędny gust. - Pogłaskała skrzydło wróżki. - Piękna, prawda?

- Jedna z najładniejszych, jakie widziałem. Chyba ją sobie postawię w gabinecie, jako źródło natchnienia.

- To dobry pomysł. - Ana nachyliła się nad gablotą z amuletami. - Malachit na jasne myślenie. - Brała w palce gładkie kamienie, oglądała je i odkładała. - Sodalit przeciwko dezorientacji, kamień księżycowy na wrażliwość. Ametyst oczywiście na intuicję.

- Oczywiście. Udała, że go nie słyszy.

- Kryształ na dobre prądy. - Przyjrzała mu się spod oka. - Jessie mówi, że próbujesz rzucić palenie.

- Na razie staram się ograniczyć. - Boone wzruszył ramionami. Wręczyła mu kryształ.

- Noś go przy sobie. To na koszt firmy. - Kiedy się odwróciła, Boone wziął kamień i potarł go w palcach.

To na pewno nie zaszkodzi.

Boone nie wierzył w magiczną siłę amuletów czy kamieni, uważał za to, że mogą być źródłem natchnienia. Uznał też, że będą się ładnie prezentować w szklanej czarce na jego biurku. Takie rzeczy pomagają stworzyć odpowiednią atmosferę. Podobnie jak globus, którego zamierzał używać jako przycisku do papierów.

W sumie popołudnie okazało się całkiem udane i miało kilka plusów. Spędził masę czasu z Jessie i doskonale bawili się na karuzeli, pograli w gry elektroniczne, przeszli się po nabrzeżu. Spotkanie z Anastasią także można było zaliczyć na plus. A spotkanie z Nashem, który, jak się okazało, mieszkał w tej samej miejscowości, to przecież istny cud!

Pomyślał, że brakowało mu męskiego towarzystwa. Do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy, zajęty przygotowaniami do przeprowadzki, a potem samą przeprowadzką. A Nash, choć ich przyjaźń latami ograniczała się do korespondencji, był właśnie takim kumplem, jakiego było mu trzeba.

Bezpośrednim, lojalnym, obdarzonym wyobraźnią.

Miło będzie móc udzielić mu kilku ojcowskich porad, kiedy już przyjdą na świat jego bliźnięta.

Trzymając w dłoni kamień księżycowy, pomyślał, że ten świat jest rzeczywiście mały, lecz fascynujący.

Jeden z jego najdawniejszych przyjaciół ożenił się z kuzynką ich sąsiadki. Anastasia nie będzie już mogła tak łatwo go unikać.

Bo bez względu na to, co mówiła, czuł, że starała się go unikać. Odnosił też wrażenie, że denerwuje tę śliczną sąsiadkę, co, szczerze mówiąc, sprawiało mu pewną satysfakcję.

Już prawie zapomniał, jak to jest zbliżać się do kobiety, która reaguje rumieńcem, zmieszaniem i przyspieszonym tętnem. Kobiety, z którymi się zadawał w ostatnich latach, były na ogół atrakcyjne i doświadczone. A także zupełnie niegroźne, pomyślał, wzruszając ramionami. Lubił ich towarzystwo, bo nigdy tak do końca nie przestał lubić kobiet. Ale nie było w tym nic nadzwyczajnego, żadnej tajemnicy, żadnej magii.

Widocznie należał do tego rodzaju mężczyzn, których pociągają kobiety bardziej staroświeckie. Różano - księżycowy typ, pomyślał ze śmiechem. A potem zobaczył Anę i śmiech uwiązł mu w gardle.

Była w ogrodzie; szła, a właściwie sunęła w srebrzystej poświacie, a towarzyszący jej szary kot to zniknął, to wylaniał się z cienia. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona i

bladoniebieską koszulę jak złoty płaszcz. Niosła koszyk, do którego wrzucała ścięte kwiaty. Zdawało mu się też, że śpiewała.

Bo rzeczywiście śpiewała stare zaklęcia, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Było już dobrze po północy i Ana sądziła, że jest sama i nikt jej nie widzi.

Pierwsza noc jesiennej pełni to pora żniw, tak jak pierwsza noc wiosennej pełni była porą siewu. Zakreśliła już krąg, oczyszczając teren.

W oczach miała magię. I magię miała we krwi.

- Pod księżycem, światłem, mrokiem wybieram dotykem, wzrokiem. Na moje zawołanie, co zechcę, niech się stanie.

Wykopała korzeń mandragory, wybrała bukwięcę i heliotrop, wrotycz i niecierpka, krwistoczerwone róże na wzmocnienie sił i bylicę na mądrość. Kosz stawał się coraz cięższy i coraz bardziej pachnący.

- Dzisiaj żniwa, jutro siewy, zbieraj plony, wyrzuć plewy. Po to przyszło się rodzić, by pomagać, nie szkodzić. Nachyliła się nad kwiatami, wdychając ich dojrzały zapach.

- Zastanawiałem się, czy to ty, czy jakaś zjawa. Poderwała się i zobaczyła go, a raczej cień nad żywopłotem. Cień przeniknął przez płot, wszedł do jej ogrodu i stał się mężczyzną. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. - To księżyc musiał sprawić, że wyglądała tak... czarownie. - Pracowałem do północy, a kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem ciebie. Czy nie jest za późno, żeby zrywać kwiaty?

- Księżyc świeci dość jasno. - Ana uśmiechnęła się. Boone nie zobaczył nic, czego nie powinien widzieć. - Powinieneś wiedzieć, że wszystko, co się zbiera przy księżycu, jest zaczarowane.

- Rzadko opieram się czarom. - Boone wyciągnął rękę i chwycił pasmo jej włosów. Zobaczył, jak z jej oczu znika uśmiech, a w jego miejsce pojawia się coś, od czego krew zawrzała mu w żyłach.

- Wracaj lepiej do domu - powiedziała. - Jessie jest sama.

- Jessie śpi. - Podeszedł jeszcze bliżej, jakby jej włosy, które owinął sobie wokół palców, były liną, przyciągającą go do Any. Był teraz w zakreślonym przez nią magicznym kręgu. - Okna są otwarte, więc gdyby mnie wołała, usłyszę.

- Jest już późno. - Ana chwyciła kosz tak mocno, że uchwyt wpił jej się w rękę. - Muszę...

Boone delikatnie odebrał jej koszyk i postawił na ziemi.

- Ja też muszę. - Zanurzył drugą rękę w jej włosach. - I to bardzo. Kiedy zbliżył usta ku jej ustom, zadrżała i po raz ostatni spróbowała zapanować nad sytuacją.

- Boone, to może nam wszystkim bardzo skomplikować życie.

- A może mam już dość prostych sytuacji - powiedział, ale odwrócił lekko głowę, tak że jego usta musnęły policzek Any tuż przy skroni. - Powinnaś wiedzieć, że jeśli mężczyzna spotyka kobietę zbierającą kwiaty przy księżycu, nie ma innego wyjścia, tylko musi ją pocałować.

Poczuła, że miękną pod nią kolana. Osunęła się w jego ramiona.

- Ona także nie ma wyboru. Musi go pragnąć. Odchyliła głowę i podała mu usta. Postanowił sobie, że będzie delikatny. Taka noc sama prosiła się o to, przesycona aromatem ziół i muzyką fal rozbijających się o skały. Kobieta w jego ramionach była smukła jak trzcina, a pod chłodną, jedwabną koszulą kryło się gorące ciało.

Ale kiedy zatonął w tych miękkich, ponętnych ustach, kiedy owionął go czarowny zapach jej perfum, przyciągnął ją mocno i dał się ponieść zmysłom.

Tak silnych odczuć nie dało się wytłumaczyć logicznie. Nigdy dotąd nie reagował w taki sposób na żadną kobietę. Pragnienie było ostre i bolesne, niemal zwierzęce, a jęk, jaki wydarł mu się z ust, oznaczał nie tylko rozkosz, ale i ból.

Tysiące sztyletów przeszywały mu ciało. A on nie mógł się od niej oderwać, nie potrafił utrzymać ust z dala od jej ust. Bał się, że jeśli wypuści ją z uścisku, Ana zniknie, a on już nigdy w życiu nie zazna podobnej namiętności.

Nie potrafiła dać mu ukojenia. Chciała go pogłaskać, chciała zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogła, bo kompletnie zatraciła się w jego ramionach.

Dobrze wiedziała, że to pierwsze zetknięcie będzie niepoohamowane i dzikie. Pragnęła tego, mimo iż się bała. Teraz pokonała strach. I podobnie jak Boone, czuła tylko ból i obezwładniającą rozkosz.

Drżącymi rękami głaskała go po twarzy, po włosach, a jej rozpalone ciało tuliło się do jego ciała. Resztkami tchu wyszeptwała jego imię.

Ale on i tak ją usłyszał. Poprzez oszalały szum krwi usłyszał ten cichy, drżący szept. Czy to ona drżała, czy on? I w końcu ta niepewność, które z nich jest bardziej oszołomione, kazała mu się wycofać.

Nie wypuszczając Any z objęć patrzył jej w twarz. W księżycowej poświacie wyglądała jak uwięziona w morzu błękitu. Uwięziona przez niego.

- Boone...

- Jeszcze nie. - Potrzebował dłuższej chwili, żeby się opanować. Mało brakowało, a byłby się zapomniał. - Jeszcze nie. - Musnął jej usta w lekkim pocałunku, którym ostatecznie ją rozbroił. - Nie chciałem cię dotknąć.

- Nie dotknąłeś mnie. - Wargi jej drżały. - Ty mnie ugodziłeś.

- Sądziłem, że już do tego dojrzałem. - Puścił ją. - Nie wiem, czy którekolwiek z nas jest już gotowe. - Bał się jej dotknąć, więc schował ręce do kieszeni. - Może to ten księżyc, a może ty. Chcę być z tobą szczerzy, Anastasio. Nie wiem, co z tym wszystkim począć.

- No cóż - westchnęła bezradnie. - Widać, że oboje mamy podobne rozterki.

- Gdyby nie Jessie, nie wróciłabyś sama do domu tej nocy. A ja nie, traktuję lekko intymnych zbliżeń.

Ana skinęła głową.

- Gdyby nie Jessie, zaprosiłabym cię, żebyś został u mnie na noc. - Zaczerpnęła tchu - Czowała, że szczerowość ma tu wielkie znaczenie. - Byłbyś moim pierwszym mężczyzną.

- Twoim... - Boone na moment zaniemówił. Na myśl ojej niewinności poczuł lęk, a zarazem niebywałe podniecenie. - O Boże!

- Nie wstydzę się tego - powiedziała, dumnie unosząc głowę.

- Nie to chciałem powiedzieć... - Speszony, przeciągnął ręką po włosach. Więc ona jest czysta! Złotowłosa dziewczica w zwiewnej błękitnej szacie z kwiatami u stóp. A on musiał jej się oprzeć, musiał odejść sam. - Pewnie nie wiesz, co to znaczy dla mężczyzny.

- Raczej nie. Przecież nie jestem mężczyzną. - Schyliła się po koszyk. - Wiem za to, co znaczy dla kobiety świadomość, że wkrótce odda się komuś po raz pierwszy. Dlatego wydaje mi się, że powinniśmy się oboje nad tym poważnie zastanowić. - Spróbowała się uśmiechnąć. - A trudno się nad czymś poważnie zastanawiać po północy, kiedy jest pełnia, a kwiaty dojrzały do zerwania. Dobranoc, Boone.

- Ano! - Dotknął jej ręki. - Nic się nie zdarzy, póki nie będziesz gotowa. Anastasia potrząsnęła głową.

- Wiele się wydarzy, ale nie wcześniej, niż jest to nam pisane. Odwróciła się i pobiegła w stronę domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sen długo nie chciał przyjść. Boone przez wiele godzin leżał na wznak, wpatrując się w sufit. Nie spał jeszcze, gdy światło księżycy przechodziło w głęboką czerń, tuż przed świtem.

Teraz słońce jasnymi pasmami kładło się na pościeli, a on spał jak kamień, z twarzą wtuloną w poduszkę. W swoim śnie chwycił właśnie Anę w ramiona i po białych marmurowych schodach zaniósł na górę, tam gdzie nad skłębionymi chmurami królowało olbrzymie łoże w kaskadach białego atlasu. Setki cienkich białych świec rozsiewały wokół ciepłą poświatę. Czuł słodki aromat wanilii i tajemniczą woń jaśminu. A także drażniący zmysły zapach, który towarzyszył Anie wszędzie, gdziekolwiek była.

Uśmiechnęła się. Włosy miała złote jak słońce, a oczy siwe jak dym. Kiedy położył ją na łóżku, zapadli się głęboko, jakby w chmury. Słyszał smętne dźwięki harfy i szept, cichy jak oddech obłoków.

Kiedy objęła go ramionami, popłynęli jak duchy w fantastyczny świat, złączeni wspólnym pragnieniem, wspólną mądrością i niebiańską słodyczą pierwszego, niespiesznego pocałunku.

Pod dotykiem jego ust jej uległe usta wyszeptaly...

- Tato! Boone obudził się, gdy córka z impetem wylądowała mu na plecach, a jego nieprzytomny pomruk niestosownie ją rozśmieszył. Głośno chichocząc, cmoknęła go w zarośnięty policzek.

- Zbudź się, tato! Śniadanie gotowe!

- Śniadanie? - burknął w poduszkę, próbując oczyścić gardło ze snu, a głowę i ciało z marzeń. - Która godzina?

- Mała wskazówka jest na dziesiątce, a duża na trójce. Zrobiłam grzanki z cynamonem i nalałam soku pomarańczowego do szklaneczek.

Chrzękając, przewrócił się na wznak i przez zapuchnięte od snu powieki spojrzał na Jessie. Była promienna jak słońce, w jaskrawo - różowej bluzeczce i szortach. Guziki zapięła krzywo, za to starannie rozczesła włosy.

- Dawno wstałaś?

- Strasznie dawno. Wypuściłam Daisy na dwór i dałam jej jeść. Ubrałam się, wyczyściłam zęby i obejrzałam poranek VI telewizji. A kiedy zgłodniałam, zrobiłam śniadanie.

- Napracowałaś się od rana.

- Aha. Staralam się też nie hałasować, żebyś mógł dłużej pospać w ten dzień, kiedy nie idziesz do pracy.

- Rzeczywiście, zachowywałaś się bardzo cicho przyznał Boone i sięgnął, żeby poprawić jej krzywo zapiętą bluzkę. - Myślę, że zasłużyłaś sobie na nagrodę.

Jessie zaświeciły się oczy.

- A co dostanę?

- Łaskotki w brzuch. - Boone przewrócił córeczkę na łóżko i zaczęli się ze śmiechem mocować. Oczywiście pozwolił jej wygrać, udając, że jest kompletnie wyczerpany. - Jesteś dla mnie za silna.

- Bo jem jarzyny, a ty nie.

- Niektóre jem.

- O, nieprawda. Wcale ich nie jesz.

- Jak będziesz miała trzydzieści trzy lata, nie będziesz już musiała jeść brukselki.

- Ale ja lubię brukselkę.

- Tylko dlatego, że tak dobrze gotuję - oświadczył z satysfakcją Boone. - Moja mama była za to okropną kucharką.

- Teraz też nie lubi gotować. - Jessie palcem wypisała mu na plecach swoje imię. - Zawsze z dziadkiem jedli obiad w mieście.

- Bo dziadek nie jest głupi. - Boone zauważył, że córka wciąż ma kłopoty z literą S. Będą musieli nad tym popracować.

- Mówiłeś, że moglibyśmy dziś zadzwonić do dziadków Sawyerów. I do Nany i Popa.

- Dobrze, ale dopiero za kilka godzin. - Odwrócił się i spojrzał córce w oczy. - Tęsknisz za nimi, kotku?

- Tak. - Przygryzając język, zaczęła mu pisać na piersi „Sawyer”. - To takie dziwne, że ich tu nie ma. Czy oni przyjadą nas odwiedzić?

- Oczywiście, że tak. - Odezwało się w nim poczucie winy, nieodłączny atrybut ojcostwa. - Wolałabyś, żebyśmy zostali w Indianie?

- Za nic na świecie! - wykrzyknęła Jessie. - Tam nie ma plaży i fok, nie ma karuzeli, i Ana tam nie mieszka. Tu jest najlepsze miejsce, jakie znam.

- Mnie też się tu podoba. - Boone usiadł i pocałował ją w czoło. - A teraz zmykaj, żebym mógł się ubrać.

- Ale zejdiesz zaraz na śniadanie? - zapytała, zsuwając się z łóżka.

- Jasne, że tak. Umieram z głodu i marzę o grzankach z cynamonem. Jessie uszczęśliwiona pobiegła do drzwi.

- No to zrobię jeszcze jedną porcję. Przeczuwając, że Jessie gotowa pokroić cały bochenek, Boone szybko wziął prysznic, zrezygnował z golenia, po czym nałożył szorty i podkoszulek, który już od dawna nadawał się tylko do wyrzucenia.

Starał się nie myśleć o przerwany śnie. W końcu łatwo było go zinterpretować. Pragnął Any, nie była to żadna nowość. A ta wszechogarniająca biel to symbol jej niewinności.

Niewinności, która śmiertelnie go przerażała. Zastał Jessie w kuchni, pracownicę smarującą grzanki masłem. Obok stał cały talerz na wpół spalonych kromek. Wokół unosił się zapach spalonego chleba i cynamonu.

Nastawił kawę i dopiero potem sięgnął po grzankę. Była zimna, twarda i pokryta grudkami cukru z cynamonem. Widocznie Jessie odziedziczyła talenty kulinarne po babce.

- Pyszne - powiedział, głośno przełykając przeżuty kęs. - Moje ulubione niedzielne śniadanie.

- Czy Daisy też może trochę spróbować? Boone znów spojrzał na piętrzący się przed nim stos grzank, a potem na Daisy, która stała obok stołu z wywieszonym językiem.

- Myślę, że tak - stwierdził. - Nachylił się i dał psu grzankę do powąchania. - Siad! - zakomenderował pewnym głosem, zgodnie z zaleceniami podręczników do tresury.

Ale Daisy nadal wystawiała język i merdała ogonem.

- Daisy, siad! - Klepnął ją po pupie. Daisy przysiadła a potem nagle skoczyła na niego. - Przestań! - Uniósł rękę z grzanką i powtórzył polecenie. Po pięciu przygnębiających minutach, podczas których starał się nie myśleć o tym, jakie to było proste dla Any, udało mu się zmusić wreszcie psa, by usiadł. Daisy chwyciła kawałek chleba, bardzo z siebie zadowolona.

- Zrobiła to w końcu, tato!

- Coś jakby. - Boone wstał, żeby sobie nalać kawy.

- Zaraz weźmiemy ją na spacer, na prawdziwą lekcję.

- Dobrze. - Jessie z zadowoleniem chrupała grzankę. - Może gość Any już sobie pójdzie i Ana będzie nam mogła pomóc.

- Jaki gość? - zapytał Boone, sięgając po dzbanek.

- Widziałam ją przed domem z jakimś panem. Ścisnęła go i całowała, i tak dalej.

- Co?! - Dzbanek wyslizgnął mu się z rąk i stuknął o blat.

- Dziurawe ręce! - roześmiała się Jessie.

- Masz rację. - Boone odwrócił się tyłem i nalał sobie kawy. - Jak on wyglądał? - rzucił jakby nigdy nic, ale gardło miał ściśnięte.

- Był bardzo duży i miał czarne włosy. Śmiali się i trzymali za ręce. I całowali. Może to jej chłopak.

- Chłopak... - powtórzył Boone przez zaciśnięte zęby.

- O co ci chodzi, tatusiu?

- O nic. Kawa mi wystygnie. - Pociągnął mały łyeczek. Trzymali się za ręce, pomyślał. I całowali. Musi sobie obejrzeć faceta. - Wyjdźmy na taras, Jess. Może uda nam się namówić Daisy, żeby znowu usiadła.

- Dobrze. - Podśpiewując radośnie, Jessie wzięła talerz z grzankami. - Lubię jeść na dworze. Tam jest bardzo ładnie.

- Tak, bardzo ładnie. - Kiedy wyszli na taras, Boone nie usiadł, tylko z kubkiem w ręku stanął przy balustradzie. W sąsiednim ogrodzie nie było nikogo i to go jeszcze bardziej zaniepokoiło. Oczyma duszy widział już, co Ana robi w domu z tym swoim wysokim, czarnowłosym chłopakiem.

Zjadł jeszcze trzy grzanki, popił je kawą, nie przestając myśleć o tym, co powie pannie Anastasii Donovan, kiedy ją znowu zobaczy.

Jeżeli ona sobie wyobraza, że może w nocy całować się z jednym, doprowadzając go niemal do szaleństwa, a rano w najlepsze flirtować z innym, to się grubo myli.

Już on jej powie, co o tym myśli. Jak tylko ją dorwie...

Nagle w drzwiach do ogrodu ukazała się Ana. Wołała coś do kogoś w głębi domu.

- Ana! - Jessie poderwała się i zaczęła wymachiwać rękami. - Cześć, Ana! Ana spojrzała w ich stronę. Boone'owi wydało, że się zawahała, a jej uśmiech był jakby nerwowy.

Nic dziwnego, pomyślał, pijąc kolejny łyk kawy. Ja też byłbym zdenerwowany, gdyby w moim domu był obcy mężczyzna.

- Mogę iść jej powiedzieć, że Daisy usiadła? Mogę, tato?

- Tak. - Z ponurą miną odstawił kubek. - Oczywiście, idź!

Jessie chwyciła w biegu grzankę i wołając Daisy, popędziła do ogrodu Any.

Boone czekał tak długo, póki z domu nie wyłonił się znajomy Any. Rzeczywiście, był bardzo wysoki. Musi mieć dobrze ponad metr osiemdziesiąt, pomyślał z niechęcią, mimowolnie prostując plecy. Włosy miał czarne, gęste i na tyle długie, że mogły układać się na kołnierzu w romantyczne fale. Tak pewnie myślały wszystkie kobiety.

Był opalony, postawny i elegancki. Podszedł do Any i objął ją gestem posiadacza. Boone syknął przez zaciśnięte zęby.

Już ja mu pokażę, pomyślał i bez namysłu ruszył w stronę domu Any, zaciskając pięści. Już ja się z nim policzę.

Kiedy doszedł do żywopłotu, Jessie opowiadała z przejęciem o Daisy, a Ana śmiała się, obejmując nieznajomego.

- Ja też bym usiadł, gdyby ktoś mi zaproponował grzanki z cynamonem - odezwał się mężczyzna, mrugając porozumiewawczo do Any.

- Ty byś usiadł, gdyby ktoś zaproponował ci cokolwiek do jedzenia. - Ana uściśnęła go i dopiero potem zauważyła Boone'a za płotem. - Och... - oblała się rumieńcem. - Dzień dobry.

- Jak leci? - Boone sucho skinął głową, a potem przeniósł podejrzliwy wzrok na stojącego obok niej mężczyznę. - Widzę, że masz gości. Nie chcieliśmy ci przeszkadzać...

- Nie przeszkadzacie mi. Ja... - urwała, zbита z tropu, wyczuwając napiętą atmosferę. - Boone, poznaj mojego kuzyna, Sebastiana. Sebastianie - to ojciec Jessie, Boone Sawyer.

- Więc to twój kuzyn? - zdumiał się Boone. Sebastian nie mógł powstrzymać znaczącego uśmiechu.

- Dobrze, że od razu nas sobie przedstawiłaś, Ano - zwrócił się do kuzynki. - W przeciwnym wypadku pewnie już bym miał podbite oko. - Wyciągnął rękę. - Miło mi pana poznać. Ana opowiadała mi, że ma nowych sąsiadów.

- To ten kuzyn, co ma konie, tato.

- Tak, pamiętam.

Uścisk dłoni Sebastiana był mocny i zdecydowany. Boone byłby zaakceptował kuzyna Any, gdyby nie dostrzegł rozbawienia w jego wzroku.

- Słyszałem, że pan się niedawno ożenił?

- Tak. Moja... - Trzasnęły siatkowe drzwi. Sebastian odwrócił się. - O, właśnie tu idzie. Światło mojego życia.

Z domu wyszła wysoka, szczupła kobieta z krótkimi włosami, w zakurzonych butach do konnej jazdy.

- Daj spokój, Donovan.

- Oto moja spłoniona żoneczka. - Było jasne, że para z siebie żartuje. Sebastian pocałował żonę w rękę. - To nowi sąsiedzi Any, Boone i Jessie Sawyer. A to moja miłość, Mary Ellen.

- Mel - szybko poprawiła kobieta. - Tylko Donovan jest na tyle bezczelny, żeby mnie nazywać Mary Ellen.

Ładny dom - dodała, wskazując na sąsiedni budynek..

- O ile wiem, pan Sawyer pisze bajki i książki dla dzieci, w stylu ciotki Bryny.
- Ach tak? To dobrze. - Mel uśmiechnęła się do Jessie. - Założę się, że je lubisz.
- Tatuś wymyśla najlepsze bajki na świecie. A to Daisy. Nauczyliśmy ją robić siad.

Mogę kiedyś przyjść i obejrzeć wasze konie?

- Jasne. - Mel przykucnęła, żeby pogłaskać psa.

Podczas gdy Mel rozmawiała z Jessie o koniach i psach, Sebastian spojrzął na Boone'a.

- Ma pan piękny dom - powiedział. Prawdę mówiąc, kiedyś sam nosił się z zamiarem jego kupna. W jego oczach znów pojawił się błysk rozbawienia. - To świetna lokalizacja.

- Rzeczywiście, ta lokalizacja bardzo mi odpowiada. - Boone nie zamierzał udawać, że nie rozumie aluzji. - Nawet bardzo. - Wyciągnął rękę i obwiodł palcem policzek Any. - Jesteś dziś strasznie blada, Anastasio.

- Nic mi nie jest. - Ana starała się, by jej głos brzmiał naturalnie, ale doskonale wiedziała, że Sebastian, jeśli tylko zechce, może czytać w niej jak w otwartej księdze. Już teraz czuła, jak delikatnie podgląda myśli Boone'a. - Przepraszam na chwilę. ale obiecałam Sebastianowi głóg.

- Nie narwałaś głogu tej nocy? Ana spojrzała mu w oczy.

- Ten głóg jest mi potrzebny do czegoś innego.

- Nie będziemy wam przeszkadzać. Chodź, Jess - Boone wziął córkę za rękę. - Miło mi było was poznać. Do zobaczenia, Ano.

Sebastian taktownie milczał, póki Boone nie zniknął im z oczu.

- No, no... - odezwał się w końcu. - Wystarczy, że wyjadę na kilka tygodni, a ty zaraz pakujesz się w kłopoty.

- Nie bądź śmieszny! - Ana odwróciła się i ruszyła w stronę rabatki z ziołami. - Nie mam żadnych kłopotów.

- Moja najdroższa Ano, twój sąsiad i przyjaciel gotów był mi skoczyć do gardła, póki się nie dowiedział, że jestem twoim kuzynem.

- Ja bym cię obroniła - odezwała się z powagą Mel.

- Moja ty bohaterko!

- Poza tym - ciągnęła dalej Mel - moim zdaniem on miał większą ochotę wytargać Anę za włosy, niż zabrać się za ciebie.

- Co za bzdury! - burknęła Ana, tnąc głóg. - To bardzo sympatyczny człowiek.

- O, jestem tego pewny - mruknął Sebastian. - Ale jako mężczyzna rozumiem, co to własne terytorium. Oczywiście to pojęcie jest kobietom zupełnie obce.

- Daj spokój! - Mel dziabnęła go łokciem pod żebro.

- Moja droga Mary Ellen, prawda wygląda tak, że wtargnąłem na jego terytorium. Tak mu się przynajmniej zdawało. Gdyby nie zareagował, miałbym go za nic.

- Oczywiście - sucho odparła Mel.

- Ana, powiedz mi, czy to coś poważnego?

- To nie twoja sprawa! - Ana podniosła się. - I była bym ci wdzięczna, kuzynie, gdybyś zechciał trzymać się od tego z daleka. Już i tak wiem, że nas podglądałeś.

- Ach, to dlatego mnie zablokowałaś. Ale twojemu sąsiadowi to się nie udało.

- To bardzo nieładnie - mruknęła. - To naprawdę nieładnie grzebać ludziom w głowach pod byle pretekstem.

- On lubi się popisywać - powiedziała ze współczuciem Mel.

- Jesteście niesprawiedliwe. - Sebastian pokręcił głową. - Ja nie grzebię ludziom w głowach pod byle pretekstem. Zawsze mam po temu poważne powody. A w tym przypadku jako jedyny mężczyzna w rodzinie, przynajmniej w Ameryce, uważam to za swój obowiązek. Przecież muszę wiedzieć, co tu jest grane.

Mel wzniosła oczy do nieba. Ana zachnęła się.

- Naprawdę? - Dźgnęła go palcem w pierś. - Wyjašnjmy to sobie od razu. To, że jestem kobietą, nie oznacza automatycznie, że potrzebna mi pomoc i rady jakiegokolwiek mężczyzny, nawet jeżeli jest on moim jedynym krewnym. Mam dwadzieścia sześć lat i jakoś sobie dotąd radziłam.

- Za miesiąc będziesz miała dwadzieścia siedem - życzliwie podpowiedział Sebastian.

- I nadal będę sobie radzić sama. Sprawy między Boone'em a mną...

- No widzisz! - Sebastian triumfalnie uniósł palec. - Sama przyznałaś, że jest coś między wami.

- Odczep się, Sebastian!

- Ona tylko tak mówi, kiedy uda mi się zapędzić ją w kozi róg - powiedział Sebastian do Mel. - Bo na ogół jest bardzo łagodna i dobrze wychowana.

- Uważaj, bo każę Mel wlać ci do zupy taki napój, że przez tydzień nie będziesz mówił.

- Naprawdę? - zainteresowała się Mel. - Mogłabyś mi dać coś takiego?

- Co by ci z tego przyszło? - roześmiał się Sebastian. - Przecież i tak to ja gotuję. - A potem uściskał Anę. - Chodź tu, kochanie, nie złość się na mnie. Muszę się o ciebie martwić. Już taki mój los.

- Nie ma się czym martwić - burknęła Ana, ale rysy jej złagodniały.

- Kochasz się w nim?

- Wiesz co, Sebastianie! - obruszyła się Ana. - Przecież znam go dopiero od tygodnia.

- A co to za różnica? - Ponad jej głową Sebastian spojrzał na Mel. - Ja nie potrzebowałem aż tyle czasu, żeby zrozumieć, że Mel tak bardzo działała mi na nerwy, bo za nią szalałem. Jej zajęło to znacznie dłużej. Ale w końcu zrozumiała, że wpadła po uszy. Ona jest strasznie oporna.

- Biorę ten napój! - zdecydowała Mel. Ignorując jej złowieszczy ton, Sebastian cofnął się i spojrzał uważnie na Anę.

- Pytam, bo widzę, że on interesuje się tobą nie tylko jako sąsiad. Jeżeli mam być szczery, to...

- Dostyc tego! Swoją wiedzę zatrzymaj dla siebie. Mówię poważnie, Sebastianie. Wolę postępować po mojemu.

- Skoro tak sobie życzysz... - westchnął Sebastian.

- Tak sobie życzę. A teraz zabieraj swój głóg i idź do domu bawić się w młodego żonkosia.

- To najlepszy pomysł, jaki dziś słyszałam. Zostaw ją w spokoju, Donovan. - Mel pociągnęła męża za rękę. - Ana sama świetnie poradzi sobie ze swoimi problemami.

- Jeśli będzie miała jakieś problemy, powinna wiedzieć, że...

- Wynocha! - Ana ze śmiechem zaczęła wyganiać go z podwórka. - Już cię tu nie ma! Mam masę pracy. A jak będę potrzebowała wróżki, to cię zawołam.

- No to do zobaczenia. - Sebastian pocałował ją, po czym, odchodząc, zwrócił się do żony: - Zajrzyjmy po drodze do Nasha i Morgany.

- Dobrze. - Mel po raz ostatni zerknęła przez ramię. - Chętnie posłucham, co sądzą o tym facecie.

Przez następnych kilka dni Ana pracowała w domu. I to nie dlatego, żeby starała się unikać Boone'a. Miała po prostu masę pracy. Jej zapasy były już znacznie uszczuplone. Tego dnia rano miała telefon od klienta, któremu skończył się eliksir na reumatyzm. Na szczęście znalazła jeszcze kilka buteleczek, więc mogła mu wysłać zamówione lekarstwo, ale było jasne, że będzie musiała jak najprędzej przygotować nowe zapasy. Już teraz na piecu dymił napar z ziół.

W pokoiku przylegającym do kuchenki trzymała słoje do destylacji, skraplacze, palniki i butelki. Obok nich stały fiolki, srebrne czarki i świece, przygotowane na ten dzień. Dla niewprawnego oka pokój wyglądał jak małe laboratorium. Jednak między chemią a

alchemią jest kolosalna różnica. W alchemii liczył się rytuał i precyzyjne przestrzeganie astrologicznego czasu.

Wszystkie kwiaty, korzenie i zioła, jakie zebrała przy księżycu, zostały starannie obmyte w porannej rosie. Te zebrane podczas innej fazy księżyca już zostały przygotowane zgodnie z przeznaczeniem.

Makowy syrop czekał na destylację, hyzop miał zostać zasuszony i użyty do syropu na kaszel. Potrzebny był olejek z szałwi, do specjalnej mikstury, którą musiała uzupełnić rumiankiem, na dobre trawienie. Musiała też przygotować napary i wywary, a także olejki i pachnidła.

Jest co robić, myślała Ana. Lubiła swoją pracę - zapachy wypełniające kuchnię, różowe listki kwitnącego majeranku, ciemną purpurę naparstnicy, słoneczny odcień nagietka.

Były takie piękne; nigdy nie mogła się oprzeć pokusie, by część z nich porozmieszczać w wazonach w całym domu. Właśnie krzywiąc się, próbowała gorzki roztwór gencjany, kiedy Boone zapukał w ażurowe drzwi.

- Tym razem naprawdę przychodzę pożyczyć trochę cukru - powiedział z uśmiechem, od którego szybciej zabiło jej serce. - Jutro mam być „dyżurną mamą” i muszę upiec trzy tuziny ciasteczek.

Ana przyjrzała mu się spod oka.

- Przecież możesz je kupić.

- Żadna szanująca się matka nie poda pierwszacom kupnych ciastek. Wizja Boone'a piekącego ciastka wywołała uśmiech na twarzy Any.

- Wejdz - powiedziała. - Ale musisz poczekać, aż skończę.

- Jak tu ładnie pachnie. - Boone nachylił się nad rondlem na piecu. - Co to jest? - zapytał i już miał zamoczyć palec w szklanym rondlu, w którym studził się ciemny płyn.

- Nie! - wykrzyknęła Ana. - To belladonna. Nie do użytku wewnętrznego.

- Belladonna?! - zdumiał się Boone. - Przygotowujesz truciznę?

- Sporządzam łagodzący płyn na neuralgię i reumatyzm. Poza tym to nie jest trucizna, jeżeli tylko zostanie właściwie przygotowana. To środek uspokajający.

Boone zajrzał do pokoiku z aparaturą chemiczną i bulgoczącymi naparami.

- Nie musisz mieć na to licencji?

- Jestem wykwalifikowaną zielarką i dyplomowaną farmaceutką, o ile cię to uspokoi. - Odsunęła jego rękę od garnka. - To nie jest zajęcie dla laików.

- Masz coś na bezsenność? Oczywiście poza belladonną? Pytam poważnie.

- Źle sypiasz? - z miejsca zaniepokoiła się Ana. - Mierzyłeś sobie gorączkę? - Dotknęła jego czoła i zamarła, kiedy Boone wziął ją za rękę.

- Odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. - Dotknął ustami jej dłoni. - Może i jestem „dyżurną mamą”, ale to nie znaczy, że przestałem być mężczyzną, Ano. Ciągle o tobie myślę.

- Przykro mi, że przeze mnie nie sypiasz. - Naprawdę? - Boone uniósł brwi.

- Przynajmniej się staram. - Ana uśmiechnęła się. - Prawdę mówiąc, to mi nawet pochlebia. Nie wiem, co z tym zrobić. - Odwróciła się i zgasiła palnik. - Sama też jestem dość niespokojna. - Kiedy położył jej ręce na ramionach, zamknęła oczy.

- Kochaj się ze mną, Ano. - Boone musnął wargami jej szyję. - Nie zrobię ci krzywdy.

Umyślnie na pewno nie, pomyślała. Miał w sobie tyle łagodności i dobroci. Ale czy nie skrzywdzą się nawzajem, jeśli ulegnie swoim pragnieniom i odda mu się, zachowując w tajemnicy tę część swojej natury, która sprawiała, że była tym, kim była?

- To dla mnie ważny krok, Boone.

- Dla mnie też. - Delikatnie odwrócił ku sobie jej twarz. - Od śmierci Alice nikt się dla mnie nie liczył. Miałem wprawdzie kilka kobiet, ale chodziło mi tylko o wypełnienie fizycznej pustki. Z żadną z nich nie chciałem być na dłużej, nie chciało mi się nawet z nimi rozmawiać. A na tobie mi naprawdę zależy. - Zbliżył usta do jej ust. - Sam nie wiem, jak to się stało, że w tak krótkim czasie tak bardzo się zaangażowałem, ale tak jest. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

Nie musiała się z nim łączyć, żeby wyczuć, że to prawda. A to w pewnym sensie wszystko komplikowało.

- Wierzę ci.

- Dużo o tym myślałem. Nie mogłem spać, więc miałem masę czasu. - Machinalnym ruchem poprawił jej spinę we włosach. - Tej nocy, kiedy próbowałem wyrzucić na ciebie presję... pewnie cię przestraszyłem...

- Nie. - Ana cofnęła się, wzruszyła ramionami, a potem zaczęła nalewać miksturę do jednej z opisanych buteleczek. - To znaczy, tak.

- Gdybym wiedział, że jesteś... Gdybym podejrzewał, że nigdy... Ana z westchnieniem zakorkowała buteleczkę.

- Jestem dziewicą z wyboru i nie czuję się z tym źle.

- Nie to chciałem powiedzieć... - Boone potarł czoło. - Ciągle o tym myślę. Ana sięgnęła po kolejną butelkę.

- Czemu jesteś taki zdenerwowany? Boone z przykrością zauważył, że ręce jej nawet nie drgnęły, kiedy napełniała następną buteleczkę.

- Raczej przerażony. Byłem brutalny, a nie powinienem. Z wielu powodów. A to, że nie masz doświadczenia, to tylko jeden z nich.

- Nie byłeś brutalny - zaprzeczyła, starając się nie okazywać zdenerwowania. Co za szczęście, że miała zajęte ręce. - Jesteś po prostu impulsywnym człowiekiem. Czemu miałbyś za to przeproszać?

- Przepraszam, że próbowałem wyrzucić na ciebie presję. A także za to, że tu dziś przyszedłem w dobrych zamiarach, a potem znów zacząłem na ciebie naciskać.

Ana z uśmiechem podeszła do zlewu, żeby obmyć garnek.

- Naprawdę to robiłeś?

- Obiecywałem sobie, że nie będę cię prosił, żebyś poszła ze mną do łóżka, mimo iż miałem na to ochotę. Chciałem cię tylko poprosić, żebyś poświęciła mi trochę czasu. Na przykład zjadła ze mną kolację albo gdzieś się ze mną wybrała, jak to robią ludzie, którzy chcą się bliżej poznać.

- Chętnie zjem z tobą kolację albo się gdzieś wybiorę.

- To dobrze. - Boone pomyślał, że to wcale nie było takie trudne. - Może pod koniec tygodnia? W piątek wieczorem? Znajdę kogoś, kto posiedzi z Jessie. - Wzrok mu spochmurniał. - Kogoś, komu będę mógł zaufać.

- Myślałam, że to ty przygotujesz kolację dla mnie i Jessie. Kamień spadł mu z serca.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu?

- Myślę, że będzie bardzo przyjemnie.

- To świetnie. - Boone otoczył rękami jej twarz. - Cieszę się. - Ich pocałunek był niespieszny i słodki. - Wobec tego jesteśmy umówieni na piątek.

- Przyniosę wino - powiedziała Ana z uśmiechem. - Dobrze. - Chciał ją jeszcze raz pocałować, ale bał się, że ją przestraszy. - No to do zobaczenia. - Odwrócił się.

- Boone! - zawołała za nim Ana. - Nie chcesz cukru?

- Skłamałem - przyznał z łobuzerskim uśmiechem.

- Więc nie masz dyżuru i nie musisz upiec ciasteczek?!

- To akurat była prawda. Natomiast jeżeli chodzi o cukier, mam dziesięć kilo w spizami. Nieźle to sobie wykombinowałem! - Boone, pogwizdując, ruszył ku drzwiom.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Czemu Any jeszcze nie ma? Kiedy ona wreszcie przyjdzie?

- Już niedługo - po raz dziesiąty powtórzył Boone. Niestety, o wiele za prędko, pomyślał. Był ze wszystkim spóźniony, a w kuchni panował straszliwy rozgardiasz. Przede wszystkim użył za dużo garnków - ale przecież zawsze tak robił. Poza tym nie mógł zrozumieć, jak można gotować, nie używając wszystkich rondli, misek i patelni, jakie były pod ręką.

Potrąwka z kurczaka pachniała wprawdzie smakowicie, ale wcale nie miał pewności, czy się udała. To idiotyczny pomysł, żeby w takich okolicznościach sięgać po nie sprawdzony przepis. Ale przecież Ana zasługuje na coś więcej niż tylko piątkowe mielone kotlety.

Jessie tym razem doprowadzała go do szału, co zdarzało jej się raczej rzadko. Była bardzo podekscytowana perspektywą wspólnej kolacji i nie dawała mu spokoju, odkąd po szkole przywiózł ją do domu.

Daisy wybrała sobie akurat ten wieczór, żeby pogryźć poduszki, więc stracił masę czasu, goniąc ją i zamiatając pierze. Wcześniej zepsuła się pralka, zalewając całą pralnię, a on uznał, że poradzi sobie bez hydraulika, więc sam ją rozkręcił, a potem z powrotem złożył.

Był zresztą pewny, że udało mu się ją naprawić. Agent z Hollywood zadzwonił, żeby powiedzieć, że jedna z większych wytwórni pragnie kupić prawa do realizacji filmu animowanego na podstawie jego książki *Trzecie życzenie Mirandy*. Byłaby to świetna wiadomość o każdej innej porze, ale teraz perspektywa wyjazdu do Los Angeles wcale go nie cieszyła.

Jessie zdecydowała, że chce zostać harcerką i wielkodusznie zaproponowała jego kandydaturę na drożynowego.

Na samą myśl o tym, że miałyby uczyć sześciolatnie dziewczynki, jak robić szkatułki na biżuterię z pojemników na jajka, przeszedł go zimny dreszcz.

Może z pewną dozą pomysłowości i tchórzostwa uda mu się jakoś wykręcić od tej zaszczytnej funkcji.

- Jesteś pewny, że ona przyjdzie, tato?

- Jessico! - powiedział ostrzegawczym tonem. - Wiesz, co się dzieje z małymi dziewczynkami, które w kółko zadają to samo pytanie?

- Nie wiem.

- No to się zastanów. Idź i sprawdź, czy Daisy nie obgryza mebli.

- Jesteś na nią wściekły?

- Tak. A ty będziesz następną w kolejce. - Poklepał ją dobrotliwie po plecach. - Idź i zrób, co mówię, bo inaczej ugotuję cię żywcem i podam na kolację.

Dwie minuty później usłyszał jazgot, który świadczył o tym, że Jessica przyłapała Daisy na gorącym uczynku i teraz na miejscu przestępstwa rozgrywała się regularna bitwa. Przerażliwe krzyki i piski sprawiły, że uporczywy ból głowy zaczął przeradzać się w migrenę.

Pomyślał, że przydałaby mu się aspiryna, dwie godziny spokoju i wakacje na Hawajach.

Już miał ryknąć, żeby uciszyć córkę i psa, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

- Dobry wieczór. Co za smakowite zapachy. Miał nadzieję, że to prawda. Ana wyglądała piękniej niż zazwyczaj. Nie widział jej dotąd w sukience, a ta kreacja z bladego - turkusowego jedwabiu cudownie podkreślała jej smukłą figurę i odsłaniała białe ramiona. Na szyi Any dyskretnie połyskiwał złoty amulet, który spoczywał między jej piersiami. Nałożyła też kryształowe kolczyki.

- Zaprosiłeś mnie na piątek, prawda? - zapytała z uśmiechem.

- Tak. Na piątek.

- No, to chyba mogę wejść?

- Och, przepraszam! - Boone poczuł się jak ostatnia niezdara. - Jestem trochę rozkojarzony.

- Widzę. - Ana jednym spojrzeniem ogarnęła kuchnię i pokiwała głową. - Może ci pomóc?

- Nie, dziękuję. Panuję nad wszystkim. - Wziął butelkę, którą mu podała, i zauważył, że jest bez etykiety, za to ozdobiona wytrawionymi w szkło monogramami. - Domowej roboty?

- Tak, mój ojciec robi domowe wino. Ma... - w jej oczach błysnęły iskierki - ...ma czarodziejską rękę.

- Leżakowane w piwnicach zamku Donovanów?

- Szczerze mówiąc, tak. - Gdy Boone sięgnął po kieliszki, Ana podeszła do kuchenki. - Tym razem nie będziemy pili ze szklaneczek z królikiem Bugsem?

- Niestety, Bugs miał tragiczny w skutkach wypadek w zmywarce. - Boone rozlał złoty napój do kryształowych kieliszków.

Ana roześmiała się i uniosła kieliszek.

- Zdrowie sąsiadów!

- Zdrowie sąsiadów! - powtórzył. Kryształ stuknął o kryształ. Boone pociągnął łyk i uniośł brwi. - Następny toast będzie za twojego ojca. To wino jest fantastyczne.

- Można powiedzieć, że to jedno z jego licznych hobby.

- Z czego ono jest?

- Z jabłek, kapryfolium, gwiazdnego pyłu. Już wkrótce będziesz mógł wyrazić mu swoje uznanie. Razem z resztą rodziny wybiera się tu na wigilię Wszystkich Świętych. Czyli na Halloween.

- Wiem, co to jest. Jessica nie może się zdecydować, czy przebrać się za wróżkę, czy za gwiazdę rockową. Więc twoi rodzice przyjeżdżają na Halloween aż z Irlandii?

- Zazwyczaj tak. To rodzinna tradycja. - Ana podniosła pokrywkę i powąchała. - No, no, jestem pod wrażeniem.

- O to mi właśnie chodziło. - Boone chwycił pasmo jej włosów. - Pamiętasz tę historyjkę, którą opowiadałem ci tego dnia, kiedy Daisy przewróciła cię i potłukła doniczki? Postanowiłem ją spisać. Ten pomysł tak bardzo mi się spodobał, że odłożyłem wszystkie inne prace.

- To była piękna bajka.

- Gdyby wszystko szło normalnym trybem, musiałyby poczekać. Ale ja chcę się dowiedzieć, dlaczego ta kobieta była uwięziona w zamku przez te wszystkie lata. Czy to wina czarów? A może jej własne zaklęcia? Co to za siła kazała temu młodemu człowiekowi wspiąć się na mur i odnaleźć księżniczkę?

- Decyzja należy do ciebie.

- Nie, ja chcę się tylko tego dowiedzieć.

- Boone... - Ana ujęła go nagle za rękę. - Co ci się stało?

- Nic takiego. Otarłem sobie kostki. - Wzruszył ramionami. - Naprawiałem pralkę.

- Trzeba było przyjść do mnie, tobym ci opatrzyła skaleczenie. - Powiodła palcami po rozciętej skórze, z nadzieją że potrafi ją zagoić. - Boli?

W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, ale zaraz uświadomił sobie swój błąd.

- Kiedy Jessie coś boli, całuję ją w to miejsce.

- Pocałunek czyni cuda - przyznała, dotykając ustami jego otartych kostek. Zaryzykowała też krótki kontakt, żeby się upewnić, że ból nie jest zbyt dotkliwy i Boone'owi nie grozi zakażenie. Okazało się, że wprawdzie skaleczenia nie były groźne, za to Boone cierpi na straszny ból głowy, wywołany nadmiernym stresem. Tu akurat mogła mu pomóc. Z uśmiechem odgarnęła mu włosy z czoła.

- Jesteś przepracowany. Miałeś ostatnio tyle roboty z przeprowadzką, masę pisania, martwiłeś się też, czy podjąłeś właściwą decyzję.

- Nie wiedziałem, że jestem przezroczysty.

- Nietrudno to zobaczyć. - Zaczęła delikatnie masować mu skronie. - A na domiar wszystkiego miałeś tyle kłopotów z przygotowaniem dla mnie kolacji.

- Chciałem...

- Wiem. - Czula teraz męczący go ból. Żeby odwrócić jego uwagę, przytknęła usta do jego ust i starała się uleczyć migrenę. - Gotowe. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - mruknął, przygarniając ją mocniej do siebie.

Oparła mu ręce na ramionach. Trudniej było jej poradzić sobie z pulsującym bólem, który nagle rozszedł się po jej ciele.

- Boone... - Wysunęła się z jego objęć. - Nie przyspieszajmy biegu rzeczy.

- Przecież ci mówiłem, że nie będę tego robił. Ale to nie oznacza, że nie będę próbował cię pocałować, kiedy nadarzy się taka okazja. - Podał Anie kieliszek.

- Nie posunę się dalej, póki sobie tego nie zażyczysz.

- Sama nie wiem, czy powinnam ci za to dziękować, czy nie, choć czuję, że powinnam.

- Nie. Nie musisz mi za to dziękować. Ani za to, że cię pragnę. Widocznie tak musi być. Czasami myślę o tym, co będzie, jak Jessie dorośnie. I wiem, że gdyby jakiś mężczyzna próbował zmusić ją do czegoś, na co jeszcze nie byłaby gotowa, zabiłbym go własnymi rękami. - Skrzywił się i upił łyk wina. - Oczywiście jeżeli zacznie jej się wydawać, że jest już wystarczająco gotowa, powiedzmy przed... czterdziestką, zamknę ją w domu, póki jej to nie przejdzie.

Ana roześmiała się. Patrząc na przejętego Boone' a, który stał oparty o brudną kuchenkę, ze ścierką zawiązaną w pasie, uświadomiła sobie, że jest gotowa się w nim zakochać.

- Mówisz jak paranoiczny ojciec.

- Paranoja i ojcostwo to synonimy. Masz na to moje słowo. Poczekaj tylko, jak Nash będzie miał te swoje bliźnięta. Zacznie myśleć o ubezpieczeniu, higienie jamy ustnej i tak dalej... Jedno kichnięcie w środku nocy będzie w nim budziło panikę.

- Morgana mu na to nie pozwoli. Paranoiczny ojciec potrzebuje sensownej matki... - ponieważ ugryzła się w język. - Przepraszam.

- Nie ma za co. O pewnych sprawach lepiej mówić otwarcie. Alice nie żyje już od czterech lat. Rany goją się, zwłaszcza jeżeli ma się miłe wspomnienia. - W sąsiednim pokoju

coś huknęło, potem rozległy się szybkie kroki. - I sześciolletnią córkę, która trzyma cię przy życiu.

W tym samym momencie Jessica wpadła do kuchni i rzuciła się Anie na szyję.

- Nareszcie! Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz!

- Oczywiście, że przyszedłam. Jak mogłabym odrzucić zaproszenie moich najmilszych sąsiadów?

Patrząc na nie obie, Boone uświadomił sobie, że ból głowy gdzieś się ulotnił. To dziwne, pomyślał, nakrywając do stołu, przecież nawet nie zdążyłem zażyć aspiryny.

Nie była to spokojna, romantyczna kolacja. Boone zapalił świece i udekorował stół kwiatami, które zostały w ogrodzie po poprzednim właścicielu. Nakrył we wnęce z wielkim, półokrągłym oknem, zza którego dochodził szum morza i śpiew ptaków. Wymarzona sceneria na romantyczny wieczór.

Ale nie było ani wyznawanych tajemnic, ani składanych szeptem obietnic. Zamiast tego były śmiechy i radosny, dziecinny głosik. Nie było mowy o tym, jak blask świec pozłaca skórę Any i pogłębia barwę jej oczu. Mówiono o szkole Jessie, o tym, co tego dnia robiła, a także o nowej bajce, która zrodziła się w głowie Boone'a.

Po kolacji Ana wysłuchiwała opowieści o szkolnych sukcesach Jessie, a także o nowej koleżance Lydii, po czym zaproponowała, że razem z Jessie pozmywają naczynia.

- Nie, zrobię to później. - Boone czuł się świetnie w zalanej słońcem jadalni. Zbyt dobrze pamiętał też bałagan pozostawiony w kuchni. - Brudne naczynia nie uciekną.

- Ale ty gotowałeś. - Ana wstała i już zaczęła zbierać talerze ze stołu. - Kiedy mój ojciec gotuje, mama zmywa. I vice versa. Zasada Donovanów. Poza tym kuchnia to dobre miejsce na babskie rozmowy. Prawda, Jessie?

Tego Jessie nie wiedziała, ale natychmiast obudziła się w niej ciekawość.

- Pomogę ci. Prawie nie tłukę naczyń.

- Mężczyznom nie wolno wchodzić do kuchni podczas babskich rozmów. - Ana nachyliła się ku Jessie. - Bo tylko przeszkadzają. - Spojrzała wymownie na Boone'a. - Mógłbyś w tym czasie przejść się z Daisy po plaży.

- Ja nie... - Spacerować po plaży? Samemu? - Tak uważasz?

- Tak. Odetchnij trochę. Wiesz co, Jessie, kiedy byłam ostatnio w mieście, widziałam prześliczną sukienkę. Była niebieska jak twoje oczy i miała atlasowa kokardę. - Ana przystanęła z piramidą talerzy w rękach i spojrzała na Boone'a. - Jeszcze tu jesteś?

- Już wychodzę. Kiedy wychodził w zapadający mrok, z Daisy płaczącą mu się pod nogami, słyszał kobiece śmiechy, dobiegające przez okno.

- Tata mówi, że urodziłaś się na zamku - mówiła Jessie, układając naczynia w zmywarce.

- Tak. W Irlandii.

- W prawdziwym zamku?

- Jak najprawdziwszym, nad morzem. Takim co ma wieże, mury, potajemne przejścia i most zwodzony.

- Zupełnie jak w książkach taty.

- Tak, bardzo podobnie. To zaklęty zamek. - Słuchając szumu zmywarki, Ana myślała o olbrzymiej zamkowej kuchni tonącej w blasku ognia, rozbrzmiewającej gwarem i śmiechem, przesyconej zapachem świeżego chleba. - Mój ojciec i jego bracia tam się urodzili. I ojciec jego ojca, i tak dalej...

- Gdybym ja się urodziła na zamku, chciałabym tam zawsze mieszkać. - Jessie przysunęła się do Any. - Czemu stamtąd wyjechałaś?

- To wciąż jest mój dom, ale czasami trzeba wyjechać i poszukać sobie swojego własnego domu.

- Tak jak my z tatą?

- Tak. - Ana zamknęła zmywarę i zaczęła napelniać zlew gorącą wodą, żeby pozmywać garnki i patelnie. - Podoba ci się w Monterey?

- Bardzo. Ale Nana mówi, że po jakimś czasie mogę zatęsknić za dawnym domem.

- Jeżeli zaczniesz tęsknić, pomyśl sobie, że najlepiej jest tam, gdzie właśnie jesteś.

- Najbardziej lubię być z tatą. Nawet gdyby chciał mnie zabrać do Timbaktu.

- Nie rozumiem.

- Babcia Sawyer mówi, że równie dobrze moglibyśmy się przeprowadzić do Timbaktu. - Jessie wzięła od Any czysty garnek i zaczęła go w skupieniu wycierać. - Czy to jakieś prawdziwe miejsce? - zapytała.

- Tak. Ale to też takie wyrażenie na określenie miejsca, które jest bardzo daleko. Myślę, że twoi dziadkowie ogromnie za tobą tęsknią.

- Ja za nimi też, ale rozmawiam z nimi przez telefon, a tatuś pomógł mi napisać list na swoim komputerze. Myślisz, że mogłabyś wyjść za tatę? Wtedy babcia Sawyer dałaby mi wreszcie święty spokój.

Patelnia, którą Ana właśnie zmywała, wyslizgnęła jej się z rąk, rozpryskując pianę.

- Raczej nie.

- Słyszałam, jak mówił babci Sawyer, że przez cały czas siedzi mu na karku i szuka żony, żeby nie był sam, a dziecko nie chowało się bez ojca. Był wściekły, jak wtedy kiedy

Daisy pogryzła poduszki. Powiedział też, że za żadne skarby świata nie da się uwiązać tylko po, żeby wszyscy się od niego odczepili.

- Rozumiem. - Ana zacisnęła usta, próbując zachować powagę. - Myślę, że lepiej, żebyś tego nikomu nie powtarzała, Jessie.

- Myślisz, że tata czuje się samotny?

- Nie. Myślę, że jest mu bardzo dobrze z tobą i Daisy. I jeżeli zdecyduje się ożenić po raz drugi, to tylko dlatego, że znalazł kogoś, kogo wszyscy razem pokochaliście.

- Ale ja cię kocham.

- Och, moje słoneczko. - Nie zważając na namydlone ręce, Ana mocno przytuliła Jessie i uściskała ją. - Ja też cię kocham.

- A kochasz tatę? Sama nie wiem, pomyślała Ana, a głośno powiedziała:

- To zupełnie co innego. - Czuła, że porusza się po śliskim gruncie. - Kiedy jest się dorosłym, miłość oznacza trochę coś innego. Ale jestem szczęśliwa, że się tu przeprowadziliście i że się zaprzyjaźniliśmy.

- Tatuś nigdy przedtem nie zaprosił żadnej pani na kolację.

- Ale mieszkacie tu dopiero od paru tygodni.

- Tam w Indianie też nie. Więc pomyślałam sobie, że może to znaczy, że wyjdiesz za tatę i zamieszkas z nami. Wtedy babcia Sawyer dałaby mu wreszcie święty spokój, a ja nie chowałabym się bez matki.

- Nie. - Ana z trudem powstrzymała się od śmiechu. - To znaczy tylko, że się lubimy i chcemy zjeść razem kolację. - Zerknęła w stronę okna, żeby się upewnić, że Boone jeszcze nie wraca. - Czy on zawsze tak gotuje?

- Zawsze robi straszny bałagan, a czasami mówi brzydkie słowa, no wiesz...

- Wiem.

- Mówi je, jak ma posprzątać. A dzisiaj był naprawdę w okropnym humorze, bo Daisy pogryzła poduszkę i rozsypała pióra, pralka' wybuchła, a do tego chyba będzie musiał wyjechać.

- To rzeczywiście dużo jak na jeden dzień. - Ana zagryzła wargi. Nie chciała wypytywać Jessie, ale była bardzo ciekawa. - Gdzie twój tatuś wyjeżdża?

- Do takiego miasta, gdzie robią filmy, bo chcą zrobić film według jednej z jego książek.

- To wspaniale!

- Tata musi się jeszcze zastanowić. On zawsze tak mówi, kiedy nie chce powiedzieć „tak”, ale pewnie w końcu pojedzie.

Tym razem Ana nawet nie próbowała ukrywać uśmiechu.

- Widzę, że dobrze go znasz, Jessie. Kiedy skończyły sprzątać w kuchni, Jessie zaczęła ziewać.

- Chodź zobaczyć mój pokój. Ładnie posprzątałam na gości.

- Bardzo chętnie. Kiedy przeszły do salonu z otwartym balkonem i kręconymi schodami, Ana zauważyła, że pudła zniknęły. Meble sprawiały wrażenie wygodnych, a kolorowe pokrycia były na tyle mocne, by wytrzymać ataki dziecięcych rąk i nóg.

Przydałoby się wprawdzie trochę kwiatów na oknach i kilka pachnących świec na kominku. I może jeszcze parę wypchanych poduszek, porzucanych tu i ówdzie. Domową atmosferę stwarzały porostawiane fotografie i głośno tykający stary zegar. Było też parę zabawnych przedmiotów, jak mosiężne głowy smoka przy palenisku oraz stojący w kącie pokoju jednorożec na biegunach.

Nawet jeżeli meble były trochę zakurzone, dodawało to tylko czaru temu wnętrzu.

- Muszę sobie wybrać nowe łóżko - powiedziała Jessie. - A kiedy już się na dobre rozlokujemy, wybiorę też tapetę. - O, tu śpi tatuś. - Wskazała pokój po prawej stronie, z dużym łóżkiem przykrytym bladozieloną kapą, bez poduszek, pogryzionych przez Daisy, z ładną komodą i resztkami pierza na podłodze.

- Tata ma też swoją łazienkę z dużą wanną i szklanym prysznicem. A w mojej łazience są dwie umywalki i coś takiego, co wygląda jak muszla, ale to nie jest muszla.

- Bidet?

- Chyba tak. Tata mówi, że to jest dla pań. A to mój pokój. Pokój wyglądał jak marzenie małej dziewczynki, spełnione przez człowieka, który dobrze rozumiał, że dzieciństwo trwa zbyt krótko i jest bezcenne. Białoróżowy, z łóżkiem pod baldachimem, półkami pełnymi lalek, książek i kolorowych zabawek, śnieżnobiałą toaletką z okrągłym lustrem oraz małym biureczkiem, na którym leżały kredki i ścinki kolorowego papieru.

Na ścianach wisiały ilustracje z bajek. Kopciuszek zbiegał po schodach srebrnego zamku, zostawiając za sobą pantofelek. Księżniczka, wystawiająca złote włosy z okna wieży, pod którą stał jej książę. Sprytny duszek z jednej z książek Boone'a i - ku zdumieniu Any - ilustracja z jednej z książek jej ciotki.

- To ze „Złotej kuli”.

- Ta pani, która to napisała, przysłała tacie ten obrazek, kiedy byłam mała. Lubię jej bajki zaraz po bajkach taty.

- Nie wiedziałam o tym - mruknęła Ana. Wszyscy wiedzieli, że Bryna nigdy nie rozstawała się ze swoimi rysunkami, chyba że chodziło o kogoś z najbliższej rodziny.

- Tata narysował elfa - pokazała Jessie - a mama całą resztę.

- Obrazki twojej mamy są piękne - powiedziała Ana. Były nie tylko dobre i pomysłowe jak Boone'a czy eleganckie jak rysunki ciotki Bryny, ale pełne wdzięku i odzwierciedlające ducha bajki.

- Narysowała je dla mnie, kiedy byłam malutka. Nana mówiła, że tatuś powinien je zdjąć, żeby mi nie było smutno, kiedy na nie patrzę. Ale mi nie jest smutno. Lubię na nie patrzeć.

- To cudowne, że mama zostawiła ci na pamiątkę takie śliczne obrazki. Jessie potarła oczy i ziewnęła.

- Mam też lalki, ale rzadko się nimi bawię. Babcie często dawały mi lalki, ale ja wolę morsy, które dostałam od tatusia. Podoba ci się mój pokój?

- Jest śliczny, Jessie.

- Z okna widzę morze i twoje podwórko. - Rozsunęła zasłony. - A to łóżko Daisy, ale ona woli spać ze mną. - Jessie wskazała legowisko psa z różową poduszką.

- Może chciałabyś się już położyć i poczekać, aż Daisy wróci ze spaceru?

- Może. Ale wcale nie jestem zmęczona. Znasz jakieś bajki?

- Może i tak. - Ana posadziła Jessie na łóżku. - A jaką byś chciała?

- O czarach.

- Czyli najlepszą. - Ana zamyśliła się na chwilę, a potem się uśmiechnęła. - Irlandia to stary kraj - zaczęła, otaczając dziewczynkę ramieniem. - Jest w niej mnóstwo tajemniczych miejsc, posępnych wzgórz i zielonych pól, a woda jest tak niebieska, że aż oczy bołą. To zaczarowana kraina. Dlatego mieszka tam tyle wróżek, elfów i czarownic.

- Dobrych czy złych?

- I takich, i takich, ale zawsze było tam więcej dobra niż zła.

- Dobre wróżki są ładne - powiedziała Jessie, głaszcząc ją po ręce. - Po tym można je poznać. Czy to będzie bajka o dobrej wróżce?

- Oczywiście. Bardzo dobrej i bardzo pięknej, a także o bardzo dobrym i bardzo przystojnym wróżu.

- Mężczyźni nie mogą być wrózkami - zachichotała Jessie - tylko czarodziejami.

- Przepraszam, ale kto tu opowiada bajkę? - Ana pocałowała Jessie w czubek głowy. - No więc, pewnego dnia, nie tak wiele lat temu, piękna młoda wróżka pojechała z dwiema siostrami odwiedzić dziadka. Dziadek był bardzo potężnym czarnoksiężnikiem, ale się już zestarzał. Niedaleko jego domu był zamek. W zamku mieszkało trzech braci - trojaczków. Oni także byli czarodziejami. Przez całe lata stary czarownik i trzech bracia toczyli między

sobą wojnę. Nikt już nie pamiętał, z jakiego powodu, ale waśń wciąż trwała. A obie rodziny od lat ze sobą nie rozmawiały.

Ana posadziła sobie Jessie na kolanach i głaszcząc ją po głowie, ciągnęła dalej:

- Młoda wróżka była nie tylko piękna, ale i uparta. I bardzo ciekawa. Któregoś letniego dnia wymknęła się z domu dziadka i poszła przez pola i łąki do zamku wroga. Po drodze napotkała staw, przy którym zatrzymała się, żeby obmyć nogi i obejrzeć sobie zamek z daleka. Kiedy tak siedziała z nogami w wodzie i włosami spływającymi na ramiona, zobaczyła żabę, która do niej przemówiła: „Piękna panienko, co robisz na mojej ziemi?” Młoda wróżka wcale się nie zdziwiła na widok mówiącej żaby. Znała przecież czary i podejrzewała jakiś podstęp. „To ma być twoja ziemia? - zapytała. - Żabom wystarczy woda i błoto. Mogę sobie chodzić, gdzie mi się podoba”. „Ale trzymasz nogi w mojej wodzie. Dlatego musisz zapłacić myto”. Ale wróżka tylko się roześmiała i powiedziała, że nic nie jest żabie winna. Żaba bardzo się zdziwiła. Nieczęsto zdarzało jej się spotkać i rozmawiać z piękną kobietą. Spodziewała się okrzyków strachu albo chociaż objawów szacunku. Lubiała sztuczki i była głęboko zawiedziona, że tym razem wszystko poszło inaczej, niż sobie wyobrażała. Wobec tego powiedziała, że nie jest zwykłą żabą i jeżeli nie dostanie okupu, będzie musiała ukarać dziewczynę. A jakiego okupu się spodziewała? Oczywiście pocałunku, bo dziewczyna była młoda i piękna. Na to dziewczyna odpowiedziała, że nawet gdyby ją pocałowała, wątpliwe, żeby żaba zamieniła się w księcia, dlatego oszczędzi sobie trudu. Żaba rozgniewała się. Użyła czarów, wywołując wichurę i potrząsając liśćmi drzew, ale dziewczyna tylko ziewnęła, znudzona. Na koniec żaba skoczyła jej na kolana i zaczęła ją besztać. Żeby dać jej nauczkę, dziewczyna wrzuciła żabę do wody. Kiedy żaba dotknęła powierzchni stawu, zamieniła się w młodego mężczyznę, mokrego i wściekłego, że je go żart obrócił się przeciwko niemu. Kiedy dopłynął do brzegu, stanął naprzeciw pięknej dziewczyny i zaczęli na siebie krzyczeć. Rzucali zaklęcia, miotali błyskawice i wywoływali grzmoty. Ale choć zagroziła mu demonami z piekła rodem, on powiedział, że musi dostać okup, bo to jego ziemia i jego prawo. I pocałował ją z całych sił. Jeden pocałunek wystarczył, żeby zmienić złość w jej sercu w miłość, a jego wściekłość w namiętność. Bo nawet wróżki i czarodzieje padają czasem ofiarą tego najpotężniejszego ze wszystkich czarów. Tak jak stali, przysięgli sobie miłość i po miesiącu wzięli ślub nad brzegiem stawu. I odtąd żyli długo i szczęśliwie. A wróżka, choć nie jest już młoda, każdego lata idzie nad staw i moczy w nim nogi, czekając, aż pojawi się rozzłoszczona żaba. Ana podniosła śpiącą dziewczynkę. Koniec bajki opowiedziała już tylko sobie samej, tak jej się przynajmniej zdawało. Jednak kiedy odwijała różową kapę, poczuła, jak ręka Boone'a zamyka się na jej dłoni.

- Jak na amatorkę, to bardzo ładna bajka. Pewnie irlandzka?

- To stara rodzinna opowieść - odparła, myśląc o tym, ile razy słyszała historię poznania się jej rodziców.

Boone zręcznie rozwiązał buty Jessie.

- Uważaj, bo ci ją ukradnę. Kiedy otulał Jessie kołdrą, Daisy rozpędziła się i wskoczyła na łóżko.

- Dobrze było na spacerze?

- Tak, kiedy przestałem mieć wyrzuty sumienia, że zostawiłem was z całym bałaganem w kuchni, czyli gdzieś tak po dwóch minutach. - Boone odgarnął Jessie włosy z czoła i pocałował ją na dobranoc. - Czego najbardziej dzieciom zazdroścę, to tej umiejętności szybkiego zasypiania.

- Nadal masz kłopoty z zaśnięciem?

- Mam za dużo na głowie. - Boone wziął Anę za rękę i wyprowadził z pokoju, zostawiając jak zwykle otwarte drzwi. - Przede wszystkim ciebie, ale też i parę innych spraw.

- Dzięki za szczerość, ale to niezbyt mi pochlebia. - Przystanęła na szczycie schodów. - Mówię poważnie, Boone. Mogłabym ci coś na to dać... - przerwała i widząc błysk w jego oku, splonęła rumieńcem. - Jakiś łagodny środek ziołowy.

- Wolałbym seks. Potrząsnęła głową i zaczęła schodzić na dół.

- Nie traktujesz mnie poważnie.

- Wręcz przeciwnie.

- Jako zielarki, oczywiście.

- Nie znam się na tym, ale oczywiście tego nie krytykuję. - Nie miał najmniejszej ochoty brać od niej czegokolwiek na sen. - Czemu się tym zajęłaś?

- Bo zawsze się tym interesowałam. W mojej rodzinie od pokoleń byli uzdrowiciele.

- Lekarze?

- Niezupełnie. Boone wziął butelkę i dwa kieliszki. Wyszli na taras.

- Nie chciałaś zostać lekarką?

- Nie mam po temu odpowiednich kwalifikacji.

- To brzmi co najmniej dziwnie w ustach kobiety nowoczesnej i niezależnej.

- Jedno nie ma z drugim nic wspólnego. - Ana wzięła z jego rąk kieliszek. - Nie wszystkich da się uleczyć. Poza tym... ciężko mi patrzeć na cudze cierpienie. To, co robię, zaspokaja moje potrzeby, a zarazem chroni mnie przed nadmiernym bólem. - Tyle mogła mu powiedzieć. - Poza tym lubię pracować sama.

- Znam to uczucie. Moi rodzice uważali, że jestem stuknięty. To znaczy, nie mieli nic przeciwko mojemu pisaniu, ale spodziewali się, że napiszę co najmniej jakąś wielką amerykańską epopeję. Na początku trudno im było pogodzić się z tym, że piszę bajki.

- Ale teraz muszą być z ciebie dumni.

- Na swój sposób. To mili, dobrzy ludzie - powiedział i nagle uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie rozmawiał o nich z nikim prócz Alice. - Zawsze mnie kochali. Bóg jeden wie, ile nadziei pokładają w Jessie. Ale trudno im zrozumieć, że mogę chcieć czegoś innego niż oni. To znaczy domu pod miastem, gry w golfa i oddanej żony.

- Żadna z tych rzeczy nie jest zła.

- Nie, i już raz to wszystko miałem, poza golfem. Nie chciałbym spędzać reszty życia na przekonywaniu ich, że jestem zadowolony z istniejącego stanu rzeczy. - Owinął sobie kosmyk włosów Any wokół palca. - Nie masz takich problemów ze swoimi rodzicami? „Kiedy się wreszcie usatkujesz, Anastasio? Kiedy wyjdiesz za jakiegoś miłego chłopaka i będziesz miała dzieci?”

- Nie - roześmiała się Ana. - Absolutnie nie. - Na myśl o tym, że jej rodzice mogliby nawet pomyśleć coś takiego, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - Moi rodzice są dość... ekscentryczni. - Rozsiadła się wygodnie w fotelu i zapatrzyła w gwiazdy. - Nie wiem, czy byliby zachwyceni, gdybym się z kimś związała na stałe. Nie mówiłeś mi, że masz jedną z ilustracji ciotki Bryny.

- Na początku wydawało mi się to niestosowne, a potem po prostu zapomniałem.

- Ona musi cię bardzo cenić. Dotąd dała tylko jeden rysunek Nashowi, zaraz po ślubie, a on chwali się tym od lat.

- Tak? Postaram się utrzyć mu nosa, kiedy go znowu zobaczę. - Boone ujął w dłonie twarz Any i odwrócił ku sobie. - Już tak długo nie całowałem cię na tarasie. Muszę sprawdzić, czy nadal mnie to pociąga.

Musnął ustami jej usta raz, dwa, trzy razy, póki jej wargi nie rozchyliły się w oczekiwaniu. Wtedy odstawił jej kieliszek i zaczął ją całować.

Była taka słodka i ciepła, a jej pocałunek podniecał go, a zarazem przynosił mu ukojenie. Aż nagle buchnął płomień. Ale Boone nie zachował się jak roztrzęsiony nastolatek. Był w stanie zapanować nad rozbudzonymi zmysłami. Skoro nie mógł jeszcze ofiarować jej całej swojej namiętności, mógł przynajmniej ofiarować swoje doświadczenie.

Kiedy się już nasycił pocałunkiem, obdarzył ją pieścizotami, od których drżała w bezradnej męce.

Chciała, żeby zawsze tak ją trzymał w ramionach, z taką czułością, a zarazem żądzą. W najśmielszych snach nie potrafiła sobie czegoś takiego wyobrazić. Jego język badał wnętrze jej ust, a dłonie wędrowały po ciele. Kiedy oderwał usta od jej warg i dotknął szyi, wygięła się w łuk, pragnąc, by nigdy nie przerywał tej pieszczoty.

Boone czuł jej oddanie, tak jak czuł na skórze zimny powiew wiatru. Wiedział, że balansuje na skraju przepaści, mimo to uległ pokusie i dotknął Any.

Była drobna i tak cudownie miękka. A jej serce rozpaczliwie trzepotało pod jego ręką. Mógł sobie wyobrazić, jaką ma gładką, jedwabistą skórę. Niemal czuł na wargach jej smak. Co za tortura nie móc rozerwać stanika jej sukni i posmakować jej ciała do woli.

Kiedy poczuł pod jedwabiem sukni naprężone sutki, jęknął i wrócił ustami do ust Any.

Jej wargi były rozchylone i rozpaczliwie chwytaly powietrze. A ręce błądziły po jego ciele z nie skrywanym zapalem. Wiedziała, że teraz nie mogą się jeszcze kochać. Nie tutaj, na tarasie, pod gwiazdami, w pobliżu okna dziecka, które mogłoby się nagle obudzić i zacząć szukać ojca.

Ale wiedziała też, że nie ma już odwrotu. Zakochała się. I to na dobre. Nie potrafi już wyrzec się tego uczucia, tak jak nie potrafiłaby wyrzec się krwi, która krążyła jej w żyłach.

Dlatego była pewna, że przyjdzie taki czas, i to już wkrótce, kiedy ofiaruje Boone'owi to, czego nie dała nikomu.

Oszołomiona, ukryła twarz na jego ramieniu.

- Nie masz pojęcia co się ze mną dzieje.

- No to mi powiedz. - Chwył zębami płatek jej ucha. - Chcę to usłyszeć.

- Sprawiasz mi ból. I budzisz pragnienie. - I nadzieję, pomyślała, zaciskając powieki. - Nikomu się to dotąd nie udało. - Cofnęła się z westchnieniem. - Tego się właśnie oboje boimy.

- Nie mogę zaprzeczyć. - Oczy Boone'a w przyćmionym świetle miały odcień kobaltu.

- I nie mogę też zaprzeczyć, że chciałbym wziąć cię teraz na ręce i zanieść do sypialni.

Na myśl o tym serce głucho załomotało jej w piersi.

- Wierzysz w moc przeznaczenia, Boone?

- Muszę.

- Ja też. - Ana pokiwała głową. - Wierzę w przeznaczenie, w fatum, w to, co ludzie zwykli nazywać palcem bożym. I kiedy patrzę na ciebie, wiem, że to przeznaczenie. - Wstała i oparła mu dłonie na ramionach, żeby nie wstawał. - Potrafisz pogodzić się z tym, że mam swoje tajemnice, których nie mogę ci wyjawić? Ze pewnej części mnie samej nie będę mogła

z tobą dzielić? Nie odpowiadaj teraz... Musisz to sobie przemyśleć, żeby się upewnić. Tak jak ja.

Nachyliła się, żeby go pocałować, i na moment się z nim złączyła. Nim się cofnęła, poczuła, jak drgnął zaskoczony.

- Śpij dobrze - powiedziała, wiedząc, że będzie dobrze spał tej nocy. Czego nie mogła powiedzieć o sobie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ana zwykła dawać sobie na urodziny wolny dzień. Mogła wtedy leniuchować do woli albo - jeśli miała ochotę - uwijać się jak pszczołka. Mogła wstać o świcie i jeść na śniadanie lody albo wylegiwać się w łóżku do południa, oglądając w telewizji stare filmy.

Na ten jeden, jedyny dzień w roku, który należał tylko do niej, najlepszym planem był kompletny brak planu.

Tego dnia wstała wcześniej i przygotowała aromatyczną kąpiel z ulubionymi olejkami oraz ziołami, specjalnie dobranymi dla ich właściwości odprężających. Nałożyła maseczkę z ziół, jogurtu i glinki kaolinowej, po czym nastawiła płytę z koncertem na harfę i zanurzyła się w wannie ze szklanką mrożonego soku.

Potem, z włosami jeszcze wilgotnymi i pachnącymi rumiankowym szamponem, skropiła się perfumami i narzuciła jedwabny szlafrok w kolorze promieni księżyca.

W drodze do sypialni zastanawiała się, czy jeszcze uciąć sobie drzemkę. Ale pośrodku pokoju, w którym jeszcze przed chwilą nie było nic prócz starej maty modlitewnej, stała teraz duża drewniana skrzynia.

Z okrzykiem radości podbiegła i pogłaskała rzeźbione drewno, wypolerowane na wysoki połysk.

Skrzynia pachniała woskiem i rozmarynem i była gładka jak jedwab.

Była stara, liczyła sobie dobrych parę wieków. Ana podziwiała ją jeszcze jako dziecko, kiedy mieszkała na zamku Donovanów. Należała niegdyś do czarownika, który jakoby mieszkał na zamku Camelot, przekazany Merlinowi przez młodego Artura.

Ana ze śmiechem przykucnęła obok skrzyni. Zawsze udawało im się zrobić jej miłą niespodziankę. Rodzicom, ciotkom i wujom... przynajmniej jak dotąd.

Połączona moc sześciu czarnoksiężników i wrózek przesłała skrzynię z Irlandii, poprzez przestrzeń i czas, środkami mniej więcej konwencjonalnymi.

Powoli uniosła wieko. Z wnętrza buchnęła woń dawnych wspomnień, odwiecznych czarów i magicznych zaklęć. Zapach był suchy i aromatyczny, jak pokruszone na pył płatki kwiatów, przesycone dymem z ogniska, jakie czarnoksiężnicy zwykli rozpalać nocą.

Uklękła i wyciągnęła ręce ku górze.

Oto moc, którą trzeba przyjąć i uszanować. Wymawiała przy tym słowa w starożytnym języku mędrców, a wezwany przez nią wiatr szarpał kotarami i rozwiewał jej włosy. Powietrze rozbrzmiewało muzyką harf, a potem nagle zapadła cisza.

Ana opuściła ręce i zanurzyła je w skrzyni. Na widok amuletu z krwawnika, którego kamienne serce odcinało się jaskrawą czerwienią od głębokiej zieleni, westchnęła głęboko. Kamień należał do jej matki od wielu pokoleń i posiadał niezwykłą uzdrowicielską moc. Kiedy uświadomiła sobie, że właśnie został jej przekazany w dowód uznania dla uzdrowicielki najwyższej klasy, łzy napłynęły jej do oczu.

Oto mój dar, pomyślała, wodząc palcami po kamieniu, wygładzonym na przestrzeni wieków przez tyle innych palców. Oto moje dziedzictwo.

Delikatnie odłożyła go z powrotem do skrzyni i wyjęła kolejny prezent - kulę z chalcedonu, której niemal całkowicie przezroczysta powierzchnia po zwałala zajrzeć w głąb wszechświata, gdyby miała na to ochotę. To od rodziców Sebastiana. Była tego pewna, bo poczuła ich, kiedy zamknęła kulę w dłoniach. Następna była owcza skóra zapisana runami. Była to bajka stara jak świat i słodka jak dzień jutrzejszy.

Podarunek od ciotki Bryny i wuja Matthew, pomyślała, odkładając skórę do skrzyni.

Amulet był od matki i Ana była pewna, że w skrzyni znajdzie się jeszcze coś szczególnego od ojca. I nie myliła się. Po chwili natrafiła na żabkę, misternie wyrzeźbioną z jadeitu.

- Wygląda zupełnie jak ty, papo - powiedziała ze śmiechem. Zamknęła skrzynię i wstała. W Irlandii było teraz popołudnie.. Sześć osób oczekuje na potwierdzenie, że otrzymała przesyłkę.

Ruszyła w stronę telefonu, kiedy usłyszała puka nie do drzwi. Serce podskoczyło jej w piersi, a potem znów się uspokoiło. Irlandia będzie musiała poczekać.

Boone trzymał swój prezent za plecami. W domu miał dla Any jeszcze jeden podarunek, który wybrali razem z Jessie, ale ten chciał jej wręczyć osobiście. I bez świadków.

Na dźwięk jej kroków uśmiechnął się. Słowa powitania miał już na końcu języka, ale na jej widok omal się nie zadławił.

Ana promieniała, a kaskada złotych włosów opadała jej na srebrzystą szatę.

Oczy miała ciemniejsze i bardziej przepastne. Przejrzyste jak toń jeziora, a jednak zdawały się skrywać tysiące sekretów. Otaczający ją zapach zmysłowej kobiecości omal nie powalił Boone'a na kolana. Kiedy kot otarł mu się o nogi na powitanie, podskoczył jak oparzony.

- Boone! - Ana ze śmiechem położyła dłoń na siatkowych drzwiach. - Dobrze się czujesz?

- Tak, tak. Ja... Obudziłem cię?

- Nie. - Z udanym spokojem otworzyła drzwi. - Już dawno wstałam i leniuchuję sobie - powiedziała, a widząc, że Boone nadal stoi w progu, zapytała - Nie chcesz wejść?

- Chcę. - Wszedł, ale stanął w bezpiecznej odległości. Przez ostatnie tygodnie wciąż toczył ze sobą walkę, próbując unikać zbyt częstego sam na sam. A jeśli już byli razem, starał się utrzymać lekki, pogodny nastrój. Teraz zrozumiał, że robił to, mając na uwadze nie tylko swoje, ale i jej dobro.

Ale tego ranka, kiedy tak stali naprzeciw siebie, a jej tajemnicze perfumy torturowały jego zmysły, bał się, że będzie to ponad jego siły.

- Coś się stało? - zapytała, ale uśmiechała się, jakby już wiedziała.

- Nie, nic... Jak się czujesz?

- Dobrze. A ty?

- Świetnie. - Był tak napięty, że jeszcze chwila, a zamieni się w kamień. - Doskonale.

- Miałam właśnie zaparzyć herbatę. Niestety nie mam kawy, ale może napijesz się ze mną herbaty?

- Herbata? - Boone odetchnął. - Tak, tak, chętnie. - Patrzył, jak Ana podchodzi do kuchenki, a szary kocur ociera się o jej nogi. Nastawiła czajnik, a potem nalała kotu mleka do miski. Kiedy zaczął pić, przykucnęła i pogłaskała puszyste futro. Poła szlafroka odchyliła się, odsłaniając zgrabną nogę.

- Czy marzanna i hyzop przyjęły się?

- Czy się przyjęły...

- Te sadzonki, które ci dałam, żebyś je posadził za domem.

- Ach, te. Tak, wyglądają w porządku.

- Mam w szklarni trochę bazylii i tymianku w doniczkach. Weź je i postaw na parapecie. Przydadzą ci się w kuchni. - W stała, bo czajnik zabulgotał. - Są lepsze niż przyprawy ze sklepu.

- Dziękuję. - Boone zdołał już się nieco rozluźnić. Miło było patrzeć, jak Ana zaparza herbatę, rozgrzewając czajniczek i sypiąc do niego garść aromatycznych listków. Nie mógł pojąć, jak kobieta może być jednocześnie tak spokojna i tak uwodzicielska. - Jessie zasiała margerytki i siedzi teraz nad nimi jak kura na jajkach.

- Niech ich za często nie podlewa. - Ana odwróciła się - No, czekam... Boone zamrugnął gwałtownie.

- Na co czekasz?

- Żebyś mi wreszcie pokazał, co tam trzymasz za plecami.

- Ciebie się nie da oszukać. - Boone wyciągnął przed siebie pudełko owinięte w jaskrawo - niebieski papier. - Wszystkiego najlepszego!

- Skąd wiedziałeś, że dziś mam urodziny? - Nash mi powiedział. Nie otworzysz?

- Ależ oczywiście. - Rozdarła papier. Pudełko pochodziło ze sklepu Morgany. - Dobry wybór - powiedziała. - Ona ma takie ładne rzeczy. - Podniosła pokrywkę i z westchnieniem wyjęła delikatną figurkę wróżki wyrzeźbioną w bursztynie.

Z odrzuconą do tyłu głową, złotymi włosami opadającymi na plecy i uniesionymi rękami, wróżka stała w pozie, jaką ona sama przybrała tego ranka. W jednej dłoni trzymała połyskującą perłę, a w drugiej srebrną różdżkę.

- Cudo! - wyszeptała Ana. - Istne cudo!

- Zajrzałem do sklepu w zeszłym tygodniu. Morgana właśnie ją dostała. Kiedy ją zobaczyłem, od razu pomyślałem o tobie.

- Dziękuję. - Ana dotknęła jego policzka. - Nie mogłeś mi ofiarować nic piękniejszego.

W spięła się na palce i dotknęła ustami jego ust. Wiedziała, co robi, także i wtedy, gdy oddawał jej pocałunek. Poczula, jak wstępuje w nią moc, orzeźwiająca jak krople deszczu.

Na to właśnie czekała. To dlatego cały ranek poświęciła na ten starodawny kobiecy rytuał olejków, kremów i perfum.

To wszystko dla niego. Dla niej. Na ten pierwszy raz.

Żołądek miał skurczony, a krew huczała mu w głowie. A choć ich wargi ledwo się stykały, smak Any doprowadzał go do szaleństwa. Chciał się cofnąć, ale oplotły go jej ramiona.

- Ana...

- Óśś... - wyszeptała z ustami przy jego ustach.

- Pocałuj mnie.

Jak mógłby jej nie pocałować, kiedy jej usta rozchyłały się tak blisko jego ust? Otoczył dłońmi jej twarz, powtarzając sobie, że nie wolno mu posunąć się za daleko.

Kiedy zadzwonił telefon, z jego piersi wydarł się jęk zawodu, a zarazem ulgi.

- Lepiej już pójdę.

- Nie! - Ana z uśmiechem wysunęła się z jego objęć. - Zostań, proszę. Nalej herbaty, a ja tymczasem odbiorę.

Nalej herbaty, pomyślał. Dobrze będzie, jeżeli uda mu się unieść czajnik. Roztrzęsiony ruszył w stronę kuchenki. Ana podniosła słuchawkę.

- Mama! - W jej śmiechu zabrzmiała czysta radość. - Dziękuję! Bardzo wam wszystkim dziękuję! Tak, przyszła dziś rano. Co za cudowna niespodzianka! - Znowu się roześmiała, słuchając matki. - Oczywiście. Tak, wszystko w porządku. Czuję się świetnie. Ja... Papa! - zachłysnęła się, kiedy jej ojciec wtrącił się do rozmowy. - Tak, wiem, co oznacza żaba. Uwielbiam ją. Ciebie też uwielbiam. Nie, wolę ją od prawdziwej, dziękuję. - Uśmiechnęła się do Boone'a, który podał jej filiżankę herbaty. - Ciocia Bryna? To była urocza bajka. Tak. Morgana czuje się świetnie, bliźnięta też. To już niedługo. Tak, zdążycie na czas.

Boone krążył po pokoju, popijając herbatę, która okazała się wyjątkowo dobra. Co ona takiego do niej dodała? I co jemu zadała, że już na sam dźwięk jej głosu robiło mu się gorąco?

Ale potrafi sobie z tym poradzić. Wypiją grzecznie herbatę, a on będzie trzymać ręce przy sobie. A potem ucieknie i zagrzebie się w pracy na resztę dnia, żeby także myśli zająć czymś innym.

Najnowsza bajka była mniej więcej skończona i był już gotów wziąć się za ilustracje. Wiedział też, czego chce.

Any.

Potrząsnął głową i wypił kolejny łyk. Pomyślał, że Ana rozmawia chyba z każdym członkiem rodziny po kolei. To zresztą w porządku. Będzie miał więcej czasu, żeby się uspokoić.

- Tak, ja też za tobą tęsknię. Za wami wszystkimi. Zobaczymy się za kilka tygodni. Z Bogiem.

Kiedy odłożyła słuchawkę, w oczach miała łzy, mimo to uśmiechnęła się do Boone'a.

- To moja rodzina - wyjaśniła.

- Tak też sobie pomyślałem.

- Dziś rano przyszła od nich przesyłka. Cała skrzynia prezentów. A ja nie miałam jeszcze okazji, żeby im podziękować.

- To miłe. Posłuchaj, ja... Dziś rano? - powiedział, marszcząc brwi. - Nie widziałem furgonetki pocztowej.

- Przesyłka nadeszła bardzo wcześnie. - Ana odstawiła filiżankę. - Można powiedzieć, specjalną pocztą. Nie mogą się już doczekać końca miesiąca, kiedy się spotkamy.

- Pewnie się cieszysz, że ich zobaczysz.

- O, tak. W padli tu na krótko w lecie, ale nagle zaręczyny i ślub Sebastiana sprawiły, że nie było zbyt wiele czasu na spokojne rozmowy. - Podeszła do drzwi i wypuściła kota. - Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie, naprawdę dziękuję. Muszę już iść. Mam dużo pracy. - Ruszył do wyjścia. -
Wszystkiego najlepszego, Ano.

- Boone! - Położyła mu rękę na ramieniu. - Co roku na moje urodziny daję sobie jakiś prezent. To bardzo proste. Jeden dzień, w którym mogę robić, co mi się podoba. I co uważam za słuszne. - Zamknęła drzwi i stanęła pomiędzy nimi a Boone'em. - Dzisiaj wybrałam ciebie. O ile nadal mnie chcesz.

Popatrzył na nią, a jej słowa głucho dźwięczały mu w uszach. Była taka spokojna, taka opanowana, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Dobrze wiesz, że cię pragnę.

- To prawda - uśmiechnęła się. Była spokojna jak oko cyklonu. - Wiem. - Kiedy zrobiła krok w jego stronę, cofnął się mimowolnie. Czy tak wygląda uwodzenie, pomyślała, nie spuszczać z niego wzroku. - Widzę to, kiedy na ciebie patrzę, i czuję, kiedy mnie dotykasz. Byłeś bardzo cierpliwy i bardzo miły. Dotrzymałeś słowa, że do niczego między nami nie dojdzie, póki sama o tym nie zadecyduję.

- Przynajmniej się starałem. - Cofnął się o jeszcze jeden niepewny krok. - Ale nie było to łatwe.

- Dla mnie też nie. - Ana nie ruszała się z miejsca, a jej srebrzysta szata lśniła w blasku słońca. - Musisz mnie tylko zaakceptować. Musisz uwierzyć, że daję ci wszystko, co mogę. I to ci musi wystarczyć.

- O co mnie właściwie prosisz?

- Żebyś był moim pierwszym - odpowiedziała.

- I żebyś mi pokazał, czym może być miłość. Wzruszony, ośmielił się dotknąć jej włosów.

- Jesteś tego pewna?

- Tak, absolutnie pewna. - Spojrzała mu w oczy.

- Zaniesiesz mnie do łóżka i zostaniesz moim kochankiem? Co mógł na to odpowiedzieć? Nie było słów, którymi dałoby się opisać, co się z nim teraz działo. Więc nie tracąc czasu na słowa, wziął ją po prostu na ręce.

Niósł ją tak ostrożnie, jakby była kruchą bursztynową czarodziejką, którą jej ofiarował. Za taką ją też uważał i lękiem napawała go myśl, że mógłby okazać się nie dość delikatny.

Kiedy znalazł się u stóp schodów i zaczął wchodzić na górę, serce zabiło mu w trwożliwym oczekiwaniu.

Ze względu na Anę wolałby, żeby to była noc, wypełniona blaskiem świec, cichą muzyką i poświatą księżycy. Z drugiej strony wydawało się słuszne, że po raz pierwszy będą się kochać o poranku, kiedy słońce świeci na błękitnym niebie, a ptaki radośnie śpiewają w ogrodzie.

- Gdzie? - zapytał, a ona wskazała na drzwi sypialni. W pokoju unosił się jej zapach - mieszanina delikatnych perfum i pudrów - i jeszcze coś, czego nie potrafił opisać. Coś jakby dym i kwiaty. Słońce wpadało przez okna i oświetlało olbrzymie łoże o rzeźbionym wezłowi.

Ominął skrzynię, oczarowany tęczowym światłem, rozsiewanym przez zawieszane w oknach kryształ.

Tęcze zamiast księżycowej poświaty, pomyślał, kładąc ją na łóżku.

To głupie, że jestem taka zdenerwowana, pomyślała Ana, a kiedy go przytuliła, ręce jej drżały. Przecież sama tego chciała. Pragnęła go. A jednak w ostatnim momencie ta spokojna pewność zniknęła.

Boone widział w jej oczach pragnienie i lęk. Były odzwierciedleniem jego własnych pragnień i lęków. Czy Ana to zrozumie? Była taka delikatna i eteryczna. Świeża i nieskalana jak biała lilia. I miała należeć tylko do niego. Dlatego, wbrew własnym zmysłom, będzie musiał ją wziąć delikatnie i czule.

- Anastasio. - Wtulił usta w jej dłoń. - Nie skrzywdzę cię, obiecuję.

- Wiem. - Pomyślała, że chciałaby wiedzieć, czy lęk, jaki odczuwała, był właściwy wszystkim kobietom w takiej sytuacji. A może była to obawa przed przytłaczającą siłą miłości, jaką do niego żywiła?

Pośród rozedrganych tęczy dotknął ustami jej ust i obdarzył ją pocałunkiem kojącym, a zarazem podniecającym. Czas nagle stanął w miejscu. Zostały tylko ich złączone usta.

Dotknął jej włosów, przeczesał je palcami, podziwiając ich miękkość i złocisty blask. A potem rozpostarł je na poduszce, jak złoty pył na irlandzkim płótnie.

Oderwał usta od ust Any i tak długo wodził nimi po jej twarzy, póki nie poczuł, że drży w jego objęciach, ale już nie z lęku, tylko z pragnienia. Mimo to nie spieszył się, jakby mieli przed sobą całą wieczność.

Mruczał cicho czule słówka, żeby ją uspokoić; składał szeptem rozkoszne obietnice. Jego przytłumiony głos upajał ją.

Powinna była wiedzieć, że z nim tak będzie. Słodko i cudownie aż do bólu. W jego objęciach czuła się kochana, bezpieczna i upragniona. Kiedy zsunął jej z ramion szlafrok, nie

złękła się, tylko z radością powitała dotyk jego ust na nagim ciele. Zaczęła mu rozpinąć koszulę, a on pomógł jej po chwili wahania.

Kiedy dotknęła jego nagich pleców, zadrżał i delikatnie rozchylił poły jej szlafroka.

Jej skóra miała piękny kremowy odcień. Była miękka i gładka, nasycona olejkami. Upajała jak nektar, kusiła, żeby jej spróbować. Kiedy dotknął ustami piersi Any, jęknęła cicho, a jej jęk odbił się z wielokrotnym echem w jego głowie.

Delikatnymi pieściami doprowadził ją do kolejnego stadium rozkoszy, lekceważąc swoje własne żądze, które domagały się natychmiastowego spełnienia.

Powieki miała tak ciężkie, że nie mogła otworzyć oczu. Skąd on wiedział, gdzie powinien jej dotykać, gdzie całować, jak przyspieszać bicie serca? A jednak wiedział. I chciał ją wszystkiego nauczyć.

Ciche szepty, czułe pieścoty. Zapach lawendy i róż. Gładkie prześcieradła, rozgrzane od ich ciał, i skóra wilgotna od potu. Tęczowe refleksy na opuszczonych powiekach Any.

Unosiła się na magicznej fali, którą wspólnie tworzyli, a w miarę jak Boone pomagał jej wspiąć się na szczyt, jej oddech stawał się coraz szybszy.

A potem przyszła fala gorąca. Wybuchła w niej jak wulkan, tak gwałtownie, że aż krzyknęła:

- Nie! Nie, Boone! Ja... - A potem błyskawica i spazm rozkoszy, po którym leżała osłabła i drżąca.

- Ana... - Musiał wbić pięści w materac, żeby okiełznać namiętność, która domagała się, by wszedł w nią natychmiast, bez zwłoki. - Moja słodka. - Pocałował ją w dyszące usta. - Moja najśłodsza. Nie bój się.

- Ja się nie boję. - Poruszona do głębi swojego jestestwa przytuliła go jeszcze mocniej. - Pokaż mi. Pokaż mi wszystko.

Ponaglony, zdarł z niej powłóczystą szatę, a widok jej nagiego ciała w blasku słońca omal nie przyprawił go o utratę zmysłów. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, pociemniałymi oczyma. Prócz pasji dostrzegł w nich także ufność, która sprawiła, że poczuł się bardzo mały.

A potem uczynił ją kobietą.

Pryśły łęki. Nie było już dla nich miejsca, kiedy jej ciało wibrowało tysiącem doznań. A kiedy znów wprowadził ją na szczyt, po raz drugi doznała miłosnego olśnienia.

Sam powstrzymywał się, czerpiąc rozkosz z jej rozkoszy, poruszony spontanicznością, z jaką reagowała na każdy jego pocałunek, każdą pieścotę, składając mu w darze swoją

niewinność. I w końcu z jękiem, który rozrywał mu płuca, z sercem eksplodującym w piersi, wszedł w nią i usłyszał, jak głośno krzyknęła. Wtedy zatrzymał się, choć wszystko w nim domagało się spełnienia.

Ale Ana nie cofnęła się, tylko wykrzyknęła jego imię, obejmując go ramionami. Krótki ból był niczym w porównaniu z niewyobrażalną rozkoszą, jaka po nim nastąpiła.

Teraz wreszcie należę do niego, pomyślała. Jestem jego. I zaczęła się z nim poruszać w odwiecznym rytmie miłości.

Wchodził w nią coraz głębiej i głębiej, a kiedy znów krzyknęła, drżąc spazmatycznie, ukrył twarz w jej włosach i nareszcie podążył za nią do końca.

Boone patrzył, jak światła tańczą na ścianie, i wsłuchiwał się w miarowy rytm serca Any. Leżała pod nim, obejmując go i gładząc czule po głowie.

Nie wiedział, że może być aż tak cudownie. To dziwne, bo przecież miał w życiu kilka kobiet. Co więcej, zdarzyło mu się też kochać, i to głęboko i szczerze. A jednak tym razem było zupełnie inaczej. Przeżył i otrzymał znacznie więcej, niż był to sobie w stanie wyobrazić.

Nie potrafił tego wytłumaczyć Anie, bo sam nie był w stanie tego zrozumieć.

Pocałował ją w ramię, a potem uniósł się lekko, żeby na nią popatrzeć. Miała zamknięte oczy, a twarz zarumienioną i odprężoną. Ciekawe, czy wiedziała, jak wiele się tego ranka zmieniło, i to dla nich obojga.

- Dobrze się czujesz? Potrząsnęła głową, a on się przeraził. Uniósł się na łokciach, żeby uwolnić ją od swojego ciężaru. Otworzyła oczy. Były siwe jak dym.

- Nie czuję się dobrze - powiedziała gardłowym tonem. - Czuję się cudownie. Ty też jesteś cudowny. - Posłała mu słodki uśmiech. - Wszystko jest cudowne.

- Przestraszyłaś mnie. - Odgarnął jej z policzka wilgotne pasemko. - Chyba nigdy w życiu tak się nie denerwowałem. - Kiedy nachylił się, żeby ją pocałować, jej usta już na niego czekały. - Chyba nie żałujesz?

Ana uniosła brwi.

- Czy wyglądam na osobę, która czegokolwiek żałuje?

- Nie. - Obwiodł palcem kontur jej twarzy. - Wyglądasz na osobę bardzo z siebie zadowoloną. - Prawdę mówiąc, sprawiło mu to wielką satysfakcję.

- Bo jestem z siebie zadowolona. I mam ochotę poleniuchować. - Przeciągnęła się, a potem oparła mu głowę na ramieniu.

- Wszystkiego najlepszego! - powiedział. Ana zaśmiała się cicho.

- To był najbardziej... niezwykły prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Rzecz w tym, że będziesz mogła używać go wiecznie.

- Albo jeszcze dłużej. - Spojrzała mu poważnie w oczy. - Byłeś dla mnie bardzo dobry, Boone.

- Nie nazwałbym tego aktem altruizmu. Pragnąłem cię od chwili, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem.

- Wiem. I to mnie przerażało, a zarazem pociągało. - Położyła mu dłoń na piersi. Żałowała, że nie mogą tak zostać na wieczność, skąpani w słonecznym blasku.

- To wiele zmienia. Ręka na jego piersi nagle zeszywniała.

- Tylko o ile tego chcesz.

- Chcę. - Usiadł i przyciągnął ją do siebie. - Chcę, żebyś stała się częścią mego życia. Chcę być z tobą tak często, jak to możliwe.

Poczuła, jak budzi się w niej dawny lęk. Gdyby ją teraz odepchnął, chyba by tego nie przeżyła.

- Jestem częścią twojego życia. I odtąd zawsze będę... W jej oczach dostrzegł napięcie, które zaczęło narastać wokół nich.

- Ale co? - zapytał.

- Nie ma żadnych ale - odparła, zarzucając mu ręce na szyję. - Jest tylko to. - Pocałowała go, wkładając w to niemal całą duszę. Czowała, że zatajając przed nim pewne sprawy, oszukuje ich oboje. Bała się jednak, że jeśli powie mu o wszystkim, Boone może ją odtrącić. - Będę przy tobie, kiedy zechcesz i jak długo zechcesz. Obiecuję ci.

Czy miał prawo spodziewać się, że pokochała go tylko dlatego, że mu się oddała? Nie był nawet pewny swoich własnych uczuć. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, w porywie chwili. Potem przypomniał sobie, że jest jeszcze ktoś, o kim nie wolno mu zapominać.

Jessie.

To, co zaszło między nim a Aną, będzie miało wielki wpływ na życie jego córki. Dlatego nie mogło tu być żadnej pomyłki, żadnych impulsywnych działań i żadnych zobowiązań, póki nie będzie absolutnie pewny.

- Nie spieszmy się - powiedział i poczuł, że Ana się odprężyła. - Ale jeżeli jakiś inny facet pojawi się u twoich drzwi z prezentami albo prośbą o szklankę cukru...

- Nie wpuszczę nikogo. - Ana mocno go uściskała. - Nie istnieją dla mnie inni faceci. - Dotknęła ustami jego szyi. - Z tobą jestem szczęśliwa.

- Postaram się, żebyś była jeszcze bardziej szczęśliwa.

- Naprawdę? - roześmiała się Ana.

- Ale nie tak. - Boone musnął ustami jej usta.

- I jeszcze nie teraz. Pomyślałem, że powinienem zejść do kuchni i przygotować lunch, a ty poleż sobie i czekaj na mnie. A potem znowu będziemy się kochać. I znowu.

- No cóż... - Kusząca propozycja, ale Ana przypomniała sobie, jak wyglądała kuchnia po jego gotowaniu. Poza tym miała za dużo słoików i butelek, których mógłby użyć niezgodnie z przeznaczeniem. - Może zrobmy inaczej - ty poczekaj, a ja przygotuję lunch.

- Przecież to twoje urodziny.

- No właśnie. - Pocałowała go, nim wyslizgnęła się z łóżka. - Dlatego dziś wszystko musi być tak, jak sobie życzę. Wracam za chwilę.

Tylko głupiec nie skorzystałby z takiej oferty, pomyślał Boone, wyciągając się wygodnie na poduszkach. Słuchając szumu wody w łazience, próbował sobie wyobrazić, jak to będzie spędzić rozkoszne popołudnie w łóżku.

Schodząc na dół, Ana zawiązała pasek szlafroka. Pomyślała, że miłość cudownie wpływa na samopoczucie. Lepiej niż którykolwiek z przyrządzanych przez nią napojów. Może z czasem, jeśli nadal będą się tak kochać, będzie mogła otworzyć przed nim swoją duszę.

Ale przecież Boone to nie Robert. Poczowała wstyd, że w ogóle ich kiedykolwiek porównywała. Nawet przez chwilę. Ale ryzyko było tak duże, a dzień tak wspaniały...

Podśpiewując, ruszyła do kuchni. Kanapki byłyby najlepsze, pomyślała. Wprawdzie niezbyt eleganckie, za to wygodne do jedzenia w łóżku. Kanapki, a do tego wino jej ojca. Podeszła do lodówki, której drzwi zdobiła cała kolekcja prac Jessie.

- Jeszcze się nie ubrałaś - odezwała się Morgana od drzwi. - Tego można było się spodziewać.

Ana odwróciła się, z udkiem indyka w ręku. Za siatkowymi drzwiami stała Morgana w towarzystwie Nasha, Sebastiana i Mel.

- Och! - Ana spłonęła rumieńcem. - Nie słyszałam, jak podjeżdżaliście.

- Pewnie byłaś zbyt zajęta świętowaniem swoich urodzin - stwierdził sarkastycznie Sebastian.

Weszli do kuchni i zaczęli ścisnąć i całować Anę. Wszyscy przynieśli kolorowe pudełka, przewiązane kokardkami. Nash już otwierał butelkę szampana.

- Poszukaj kieliszków, Mel. Zaczynamy przyjęcie. - Mrugnął do żony, która z westchnieniem opadła na krzesło. - Dla ciebie sok jabłkowy, kotku.

- Jestem za gruba, żeby się kłócić. - Morgana spróbowała przybrać wygodniejszą pozycję. - Były jakieś wiadomości z Irlandii?

- Dziś rano przysła skrzynia z prezentami. Jest przepiękna. Kieliszki są w następnej szafce - powiedziała Ana do Mel - Rozmawiałam z nimi... - Tuż przed tym, jak poszła na górę kochać się z Boone'em. Znowu się zarumieniła. - Ach... muszę... - zaczęła, ale Mel już wcisnęła jej do ręki kieliszek pianistego szampana.

- Muszę się napić - dokończył za nią Sebastian. - Anastasio, kochanie, wyglądasz olśniewająco. Dwadzieścia siedem lat pasuje do ciebie jak ulał.

- Przestań mi grzebać w głowie - mruknęła Ana i upiła łyk, żeby dać sobie trochę czasu na wymyślenie jakiegoś drobnego kłamstwa. - Nie wiem, jak wam dziękować za to, że wpadliście tak nieoczekiwanie. Ale teraz muszę was na moment przeprosić...

- Dla nas nie musisz się przebierać. - Nash rozlał resztę szampana. - Sebastian ma rację. Wyglądasz fantastycznie.

- Tak, ale ja naprawdę muszę...

- Mam lepszy pomysł, Ano - rozległ się z holu głos Boone'a. - Może byśmy tak... - Boso i bez koszuli, z potarganymi włosami, wszedł do kuchni i zastygł w pół kroku.

- A to ci niespodzianka! - prychnęła Mel, kryjąc uśmiech.

- No właśnie. - Sebastian spojrzał na Boone'a przez zmrużone powieki. - A pan wpadł z sąsiedzką wizytą, tak?

- Cicho bądź, Sebastianie! - Morgana z uśmiechem położyła ręce na brzuchu. - Zdaje się, że wam przeszkodziliśmy.

- Byłoby tak, gdybyśmy przyszli trochę wcześniej - mruknął Nash, a Mel zakrztusiła się szampanem.

Ana spiorunowała go wzrokiem, a potem zwróciła się do Boone'a:

- Moja rodzina wpadła z wizytą i wydaje się rozbawiona faktem, że mogę mieć swoje prywatne życie. - Spojrzała znacząco przez ramię. - Które ich nie dotyczy.

- Ona zawsze była wściekła, kiedy ktoś ją wyciągnął z łóżka - powiedział Sebastian, gotów zaakceptować Boone'a. Przynajmniej na razie. - Mel, kochanie, nalej jeszcze jeden kieliszek.

- Już to zrobiłam. - Mel z uśmiechem podeszła do Boone'a. - Jeżeli nie możesz ich pokonać... - powiedziała półgłosem, a on pokiwał głową.

- Zdrowie! - Boone upił łyk szampana, po czym westchnął. Było jasne, że jego plany na dzisiejszy dzień musiały ulec zmianie.

- A może by tak rozpakować tort? - Morgana ze śmiechem skinęła w stronę pudła z cukierni. - Nash, podaj Anie nóż, żeby mogła ukroić pierwszy kawałek. Śweczki możemy sobie darować. Wygląda mi na to, że jej życzenie już się spełniło.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ana była za bardzo przyzwyczajona do swojej rodziny, żeby się nią długo przejmować albo jej wstydzić. Była też zbyt szczęśliwa z Boone'em, żeby mieć do nich pretensje. Dni mijały, a oni powoli i ostrożnie cementowali swój związek.

Ufała już Boone'owi na tyle, żeby ofiarować mu serce i ciało, ale jeszcze nie dość mocno, by powierzyć mu swoje sekrety.

Choć jej uczucie dojrzało i przerodziło się w miłość, jakiej już pewnie nigdy więcej nie zazna, wciąż nie mogła się zdobyć na ten ostatni krok, który miał ich na zawsze połączyć.

A w centrum wszystkiego było jeszcze dziecko, którego żadne z nich nie chciało skrzywdzić.

Jeżeli udawało im się skraść dla siebie kilka godzin w deszczowe poranki, ten czas należał tylko do nich. Nocami, leżąc samotnie w swoim łóżku, Ana zastanawiała się, jak długo potrwa to czarowne interludium.

Przed zbliżającym się świętem Halloween oboje z Boone'em pograżyli się w przygotowaniach do tego dnia. Od czasu do czasu Ana przyłapywała się na tym, że z drżeniem serca myśli o spotkaniu kochanka z jej rodziną. A czasami śmiała się z siebie, że zachowuje się jak podłotek, który ma przedstawić rodzicom swojego pierwszego chłopca.

Trzydziestego pierwszego października już w południe była u kuzynki Morgany, żeby pomóc jej w przygotowaniach.

- Mogłam kazać Nashowi, żeby to zrobił. - Morgana przycisnęła dłonie do obolałego krzyża, a potem usiadła przy kuchennym stole, żeby zagnieść ciasto.

- Wystarczy, że go poprosisz. - Ana kroїła w kostkę jagnięcinę na tradycyjną irlandzką zapiekankę. Ale on cieszy się jak mały chłopiec, przygotowując efekty specjalne.

- Jak każdemu laikowi, wydaje mu się, że potrafi przewyższyć fachowców. - Morgana nagle skrzywiła się i cicho jęknęła.

- Kochanie? - zaniepokoiła się Ana.

- Nie, nie, to jeszcze nie to, chociaż chciałabym, żeby już było po wszystkim. Jest mi już tak niewygodnie w każdej pozycji. Poza tym nie znoszę narzekania.

- Narzekaj sobie, ile chcesz. Jesteśmy tu tylko we dwie. Masz. - Ana wręczyła Morganie kubek z jakimś napojem. - Wypij to.

- Już i tak czuję się, jakbym miała odpłynąć. Jak łódź Kleopatry. Na Boga, ależ jestem gruba. - Morgana wypijała do dna, obracając w palcach zawieszony na szyi kryształ.

- Masz już dwóch pasażerów - odezwała się Ana, chcąc ją rozśmieszyć.

- Mówmy o czym innym. - Morgana znowu zabrała się za ciasto. - O czymkolwiek, co pozwoli mi zapomnieć, że jestem taka niezdarna i gruba.

- Nie jesteś aż taka gruba i nie taka znów strasznie niezdarna. - Ana gorączkowo szukała w myślach nowego tematu. - Słyszałaś, że Sebastian i Mel pracują wspólnie nad nowym przypadkiem?

- Nie, nic o tym nie wiem. To mnie dziwi, bo Mel zwykła się zarzekać, że zawsze będzie pracować sama.

- Tym razem spuściła z tonu. Chodzi o dwunastolatka, który uciekł z domu. Jego rodzice są w rozpacz. Kiedy z nią wczoraj rozmawiałam, powiedziała, że mają pewien ślad, i prosiła, żeby cię przeprosić, że nie może ci dzisiaj pomóc.

- Może to i lepiej, bo Mel porusza się w kuchni jak słoń w składzie porcelany. - W głosie Morgany zabrzmiała głęboka sympatia. - Ona tak dobrze rozumie się z Sebastianem, prawda?

- Tak. - Ana uśmiechnęła się do siebie i ułożyła na mięsie warstwę ziemniaków i cebuli. - Jest twarda, rozumna i ma dobre serce. Dokładnie takiej kobiety było mu trzeba.

- A czy ty jesteś zadowolona z tego, co masz? Ana w milczeniu sypała ziola do brytfanny.

Dawno przeczuwała, że prędzej czy później Morgana poruszy ten temat.

- Jestem bardzo szczęśliwa - odpowiedziała po chwili.

- Lubię go - powiedziała Morgana. - Od początku mi się podobał.

- Miło mi to słyszeć.

- Sebastian też go lubi, chociaż ma pewne zastrzeżenia. - Ściągnęła brwi, ale ton jej się nie zmienił. - Zwłaszcza po tym jak przyparł Boone'a do muru i poszperał w jego głowie.

Ana zacisnęła usta.

- Jeszcze mu tego nie wybaczyłam.

- No cóż - westchnęła Morgana. - Boone i tak się o tym nie dowie, a Sebastian trochę się udobruchał. Prawdę mówiąc, nie był zachwycony, kiedy w dniu swoich urodzin powitałaś go, wychodząc z łóżka.

- To nie jego sprawa.

- On cię kocha. - Morgana ścisnęła Anę za rękę. I martwi się o ciebie bardziej niż o mnie, bo jesteś najmłodsza. A poza tym twój dar oznacza szczególną wrażliwość.

- Potrafię się obronić. Mam też swój rozum.

- Wiem, kochanie. Ja... - Morgana szybko otarła oczy. - To był twój pierwszy raz. Nie chciałam ci tego mówić, ale... o Boże, dawniej nie byłam taka sentymentalna.

- Może po prostu dawniej potrafiłaś to lepiej ukrywać. - Ana odstawiła brytfannę i objęła Morgane. To było cudowne przeżycie, a Boone był taki delikatny. Zawsze wiedziałam, że jest jakiś powód, dla którego powinnam z tym poczekać. Teraz wiem, że chodziło o niego. - Cofnęła się z uśmiechem. - Boone dał mi więcej, niż mogłam sobie wymarzyć.

Morgana z westchnieniem dotknęła jej twarzy.

- Jesteś w nim zakochana?

- Tak, i to bardzo.

- A on w tobie?

- Nie wiem. - Ana spuściła wzrok.

- Och, Ano!

- Nie połączę się z nim w ten sposób. - Spojrzała Morganie w oczy. - To byłoby nieuczciwe, skoro nie powiedziałam mu, kim jestem, i nie mam odwagi przyznać się, co czuję. Ale wiem, że mu na mnie zależy. Nie potrzebuję do tego żadnych szczególnych mocy. I to mi wystarczy. Kiedy dojdzie do wniosku, że czuje do mnie coś więcej, na pewno mi powie.

- Twój upór nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

- Należę do rodziny Donovanów - obruszyła się Ana. - A to jest bardzo istotne.

- Zgadzasz się. Powinnaś mu powiedzieć. - Morgana chwyciła Anę za rękę. - Sama nie lubię, jak ktoś daje mi rady, o które nie proszę. Ale musisz zapomnieć o przeszłości i spojrzeć w przyszłość.

- Ja patrzę w przyszłość. I chciałabym widzieć w niej Boone'a. Ale potrzebuję jeszcze trochę czasu. - Głos jej się załamał. - Ja go świetnie znam, Morgano, to dobry człowiek. Ma serce, wyobraźnię i wielkoduszność, której sobie nawet nie uświadamia. Ma także dziecko.

Kiedy Ana odwróciła się, Morgana uchwyciła się krawędzi stołu.

- Czy tego się boisz? Ze będziesz musiała zaakceptować cudze dziecko?

- Ach, nie! Kocham Jessie. Jak można jej nie kochać? Ona jest pępkiem jego świata i tak być powinno. I nie ma takiej rzeczy, której bym dla nich nie zrobiła.

- No to spróbuj mi to wyjaśnić. Ana opłukała ugotowane jajka.

- Masz trochę świeżego kopru? Wiesz, jak wuj Douglas lubi jajka na twardo w sosie koperkowym. Morgana postawiła przed nią słoiczek.

- Czekam na wyjaśnienie. Ana, wzburzona, otworzyła słoik.

- Nawet nie wiesz, jakie to szczęście, że spotkałaś Nasha, który kocha cię bez względu na wszystko.

- Oczywiście, że wiem - powiedziała cicho Morgana. - Ale co Nash ma z tym wspólnego?

- Powiedz mi, ilu mężczyzn potrafiłoby nas zaakceptować tak całkowicie i bez reszty? Ilu chciałoby się z nami ożenić albo wziąć czarownicę jako matkę swojego dziecka?

- Przestań, Anastasio! - wybuchnęła Morgana. Mówisz, jakbyśmy były wiedźmami latającymi na miotle i odbierającymi krowom mleko.

- A czy większość ludzi nie myśli o nas w ten sposób? - zapytała bez uśmiechu Ana. - Robert...

- Niech go wszyscy diabli!

- Dobrze, nie mówmy już o nim. - Ana machnęła ręką. - Ile razy na przestrzeni wieków urządzano na nas polowania, prześladowano, bano się i odtrącano nas tylko za to, że takie już się urodziłyśmy? Ale ja się nie wstydzę mojej krwi. I nie żałuję posiadania ani mojego dziedzictwa, ani daru. Ale nie zniosłabym tego, gdybym mu wszystko wyznała, a on popatrzyłby na mnie, jakbym... - roześmiała się - jakbym miała w piwnicy dymiący kocioł z ropuchami.

- Jeżeli cię kocha...

- Jeżeli - powtórzyła Ana. - Zobaczymy. A teraz uważam, że powinnaś się położyć na godzinę.

- Proszę, nie zmieniaj tematu - zaczęła Morgana. W tym momencie do kuchni wpadł Nash. We włosach miał pajęczyny - na szczęście sztuczne - a w oczach błysk.

- Musicie to zobaczyć! To niewiarygodne! Udało się! Jestem taki dobry, że aż sam się przestraszyłem. - Chwycił ze stołu łydę selera i zaczął ją chrupać. - Chodźcie, nie siedźcie w kuchni.

- Amatorzy - westchnęła Morgana i z trudem podniosła się z krzesła. Wyszły do holu i zaczęły podziwiać hologramowe duchy Nasha. I wtedy Ana usłyszała warkot samochodu.

- Już są! - Podniecona perspektywą ujrzenia rodziny, skoczyła w stronę drzwi i zamarła w pół kroku. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Morgana ciężko opiera się o Nasha.

- Kochanie? - Nash zrobił się błąd jak jego duchy. - Czy ty...? O Boże!

- Nic mi nie jest. - Morgana głęboko odetchnęła, kiedy Ana wzięła ją pod rękę. - To tylko mały skurcz. - Opierając się o Nasha, uśmiechnęła się do Any. - Myślę, że to w bardzo dobrym guście urodzić bliźnięta w noc Halloween.

- Nie ma się czym denerwować - zapewniał Nasha Douglas Donovan. Był wysoki, podobnie jak syn, a jego gęsta czarna czupryna była tylko z lekka przyprószone siwizną. Na dzisiejszą okazję nałożył frak z muszką, a do tego fluorescencyjne pomarańczowe tenisówki, które, ku jego radości, świeciły jaskrawo w ciemnościach. - Cóż to w końcu jest poród? Najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. I to jeszcze w taką noc!

- Racja. - Nash z trudem przełknął ślinę. Gardło miał całkiem ściśnięte. Jego dom był pełen ludzi, to znaczy wrózek i czarnoksiężników, a jego żona siedziała na sofie z miną jakby nigdy nic, mimo iż poród zaczął się już dobre trzy godziny temu. - Może to był fałszywy alarm.

Camilla, w balowej sukni z cekinami, uderzyła go w ramię wachlarzem ze strusich piór.

- Zostaw to Anie, drogi chłopcze. Już ona się wszystkim zajmie. Sebastiana rodziłam trzynaście godzin. Śmiałyśmy się później z tego, pamiętasz, Douglas?

- Dopiero po tym jak przestałaś mnie przeklinać, moje serce.

- To całkiem zrozumiałe. - Camilla poszła do kuchni, żeby zajrzeć do zapiekanki. Jej zdaniem Ana zawsze dodawała za mało szałwi.

- Gdyby nie to, że była zajęta czym innym, zamieniłaby mnie w jeżozwierza - wyznał Nashowi Douglas.

- Dzięki. Zaraz się lepiej poczułem - mruknął Nash. Douglas poklepał go serdecznie po plecach.

- Po to tu jesteśmy, Dash.

- Nash.

- Rzeczywiście. - Douglas uśmiechnął się dobrotliwie.

- Mamo! - Morgana ścisnęła matkę za rękę. - Idź i ratuj Nasha przed wujem Douglasem. Biedak minę ma nietęgą.

Bryna odłożyła szkicownik.

- Mam poprosić tatę, żeby wziął go na spacer?

- Świetny pomysł. - Morgana westchnęła z wdzięcznością, kiedy Ana zaczęła jej masować ramiona. - Na razie nic tu po nim.

Ojciec Any, Padrick, opadł na zwolnione przez Brynę krzesło.

- Jak się miewa nasza dziewczynka?

- Całkiem dobrze. Na razie. Ale myślę, że niedługo już się zacznie. - Morgana nachyliła się i pocałowała go w pulchny policzek. - Cieszę się, że tu jesteście.

- Nie mógłbym być nigdzie indziej. - Padrick kojącym gestem położył jej rękę na brzuchu, po czym uśmiechnął się do Any. - A jak ty się miewasz, moje maleństwo? Jesteś śliczna jak z obrazka. To po tatusiu, prawda?

- Oczywiście, że tak. - Ana zorientowała się, że Morgana zaczyna mieć skurcze, i chwyciła ją mocno za ramiona. - Oddychaj głęboko, kochanie.

- Może dać jej ziółka? - zapytał Padrick.

- Jeszcze nie. Na razie radzi sobie całkiem nieźle. Mógłbyś mi za to podać mój woreczek. Potrzebne mi kryształki.

- Już się robi. - Padrick wstał, machnął ręką i zademonstrował łożysko fioletowych wrzosów. - Skąd to się wzięło? Potrzymaj to przez moment, bo ja mam co innego do roboty.

Morgana przytuliła wrzosy do policzka.

- Padrick to najmiłszy człowiek na świecie.

- Będzie rozpieszczał twoje maluchy jak nikt. Papa uwielbia dzieci. - Ana wyczuła, że bóle Morgany zaczynają się nasilać. - Myślę, że niedługo powinnaś iść na górę.

- Jeszcze nie. - Morgana chwyciła ją za rękę. - Tak mi tu z wami dobrze. - Gdzie ciocia Maureen?

- Mama jest w kuchni. Pewnie kłóci się z ciocią Camillą nad zapiekanką. Morgana jęknęła i zamknęła oczy.

- Boże, mogłabym zjeść całe tony.

- Później - obiecała jej Ana i podniosła oczy. Od drzwi słychać było szczęk łańcuchów i potępieńcze jęki.

- Ktoś przyszedł.

- Biedny Nash. Nie miał okazji nacieszyć się swoimi pomysłami. Czy to Sebastian?

Ana odwróciła głowę.

- Aha. Razem z Mel krytykują hologramy. A teraz śmieją się z maszynki do puszczenia dymu i nietoperzy.

Sebastian energicznie wkroczył do pokoju.

- Amatorzy!

- A Lydia tak się przestraszyła, że krzyczała bez końca - opowiadała Jessie o zbudowanym w szkole nawiedzonym zamczysku. - A potem Frankie zjadł tak dużo ciastek, że aż wymiotował.

- To dopiero historia. - Żeby zapobiec podobnym przygodom, Boone już wcześniej schował połowę słodczy, które Jessie uzbierała do torby, odwiedzając w przebraniu sąsiadów.

- Mój kostium był najładniejszy. - Kiedy wysiedli z samochodu przed domem Morgany, Jessie okręciła się na pięcie tak, że różowy materiał zawirował wokół jej drobnej figurki. Zadowolony z siebie, Boone przykucnął, żeby przypiąć jej skrzydła z aluminiowej folii. Przygotowanie kostiumu zajęło mu prawie dwa dni. Ale patrząc na córkę, uznał, że było warto.

Jessie uderzyła go w ramię tekturową różdżką.

- Teraz jesteś moim księciem z bajki.

- A przedtem kim byłem?

- Brzydką ropuchą. - Jessie zapiszczała, kiedy uszczypnął ją w czubek nosa. - Jak myślisz, co powie Ana? Czy pozna, że to ja?

- Na pewno nie. Ja sam ciebie nie poznaję. - Po wspólnej naradzie zrezygnowali z maski i Boone pomalował jej policzki na różowo, usta na czerwono, a powieki na złoto.

- Poznamy całą rodzinę - przypomniała mu Jessie, jakby potrafił o tym zapomnieć. Od tygodnia perspektywa tego spotkania napawała go lękiem. - A ja znowu zobaczę psa i kota Morgany.

- Tak. - Boone próbował udawać, że pies go nie niepokoi. Wprawdzie Pan wyglądał jak prawdziwy wilk, ale podczas ostatniej wizyty był bardzo przyjazny i łagodny.

- To będzie najlepsze przyjęcie na Halloween, jakie miałam. - Jessie wspięła się na palce i nacisnęła dzwonek. Zza drzwi rozległy się jęki i szczęk łańcucha.

Drzwi otworzył starszawy, łysiejący jegomość o wesołych oczach. Spojrzał na Jessie i zahuczał:

- Witaj w nawiedzonym zamczysku. Wejście na własne ryzyko. Jessie miała oczy wielkie jak spodki.

- Naprawdę jest nawiedzony?

- Wejdz... jeśli masz dość odwagi. - Przykucnął i nagle wyciągnął z rękawa puszystego wypchanego królika.

- Och! - Jessie, zachwycona, przytuliła go do policzka. - Czy pan jest magikiem?

- Oczywiście, że tak. Jak wszyscy.

- Ja jestem dobrą wróżką.

- To ładnie. A to twój narzeczony? - Mężczyzna podniósł oczy na Boone'a.

- Nie - zachichotała Jessie. - To mój tatuś. A ja, tak naprawdę, jestem Jessie.

- A ja, tak naprawdę, jestem Padrick. Padrick wyprostował się i choć oczy miał nadal pełne radości, Boone był pewny, że starannie go taksują.

- A pan?

- Nazywam się Sawyer. - Boone wyciągnął rękę.
- Boone Sawyer. Jesteśmy sąsiadami Anastasii.
- Powiadasz, sąsiadami? Ale to chyba nie wszystko. Wejdźcie, proszę. - Ujął Jessie za rękę. - Chodź, zobaczymy, co my tu dla ciebie mamy.
- Duchy! - wykrzyknęła nagle Jessie. - Zobacz tato, duchy!
- Całkiem niezła robota jak na amatora - stwierdził Padrick. - A tak przy okazji, Ana właśnie zabrała Morganę i Nasha na górę. Dziś w nocy urodzą się nam bliźnięta. Maureen, kwiatuszku, poznaj sąsiadów Any.

Postawna amazonka w szkarłatnym turbanie wyłoniła się z kuchni i ruszyła w ich stronę.

- Pewnie masz ochotę się napić, chłopcze - zwrócił się Padrick do Boone'a.
- O, tak. - Boone głęboko odetchnął. - Bardzo chętnie.

Po dłuższym wahaniu Mel zapukała do drzwi Morgany, po czym wsunęła głowę; Nie potrafiła powiedzieć, czego się spodziewała - czy klinicznej i jej zdaniem przerażającej atmosfery właściwej porodówkom, czy mistycznej aury magicznego kręgu. Tymczasem żadne z jej przewidywań się nie spełniło.

Morgana leżała na wielkim, wygodnym łóżku, otoczona kwiatami i świecami.

W pokoju rozbrzmiewały dźwięki fletu i harfy. Była lekko zarumieniona, za to Nash był błydy jak ściana, ale poza tym wszystko wyglądało zupełnie normalnie.

- Wejdź, Mel - odezwała się Ana. - Ty powinnaś być tu ekspertem. W końcu to ty pomogłaś nam odebrać żrebaki kilka miesięcy temu.

- Rzeczywiście, czuję się jak koń - mruknęła Morgana - ale nie powiem, żeby to porównanie mi pochlebiało.

- Nie chcę wam przerywać i przeszkadzać... o rany... - szepnęła Mel, kiedy Morgana odrzuciła głowę. do tyłu i zaczęła sapać jak lokomotywa.

- Dobrze już, dobrze. - Nash chwycił żonę za rękę i zerknął na stoper. - Zaraz będzie następny skurcz. Dobrze nam idzie.

- Nam? - syknęła Morgana. - Chciałabym cię widzieć...

- Oddychaj - rozległ się łagodny głos. Ana położyła jej na brzuchu kryształ, które zaczęły rozsiewać nieziemski blask.

Mel zdumiała się, ale zaraz przypomniała sobie, że od dwóch miesięcy jest żoną czarnoksiężnika.

- Wszystko w porządku, kochanie. - Nash przycisnął usta do dłoni Morgany, modląc się w duchu, żeby ból ustąpił. - Zaraz będzie po wszystkim.

- Nie odchódź! - Kurczowo chwyciła go za rękę.

- Nie odchódź!

- Jestem przy tobie. Jesteś cudowna. - Zgodnie z instrukcją Any, zwilżonym ręcznikiem otarł żonie twarz. - Kocham cię, moja śliczna.

- Nie masz wyjścia. - Morgana uśmiechnęła się z wysiłkiem i zrobiła głęboki, oczyszczający wydech, a potem zamknęła oczy. - Jak mi idzie, Ano?

- Świetnie. Jeszcze tylko kilka godzin.

- Kilka godzin?! - przeraził się Nash. - To cudownie - dodał szybko z kwaśnym uśmiechem.

Mel głośno chrząknęła. Ana spojrzała na nią.

- Przepraszam. Mieliśmy tu trochę roboty.

- Nic nie szkodzi. Chciałam tylko powiedzieć, że przyszedł Boone Borne Jessie.

- Och! - Ana otarła czoło. - Zapomniałam. Już idę. Możesz powiedzieć ciotce Brynie, żeby przyszła na górę?

- Jasne. Jak się czujesz, Morgano? Morgana uśmiechnęła się blado.

- Doskonale. Może chcesz się zamienić?

- Dziękuję, może innym razem. - Mel ruszyła do drzwi. - Nie będę wam przeszkadzać.

Nash spojrzał błagalnie na Anę.

- Wrócisz niedługo, prawda?

- Za minutkę. A ciotka Bryna także zna się na rzeczy. Poza tym przyda nam się trochę brandy.

- Brandy? Przecież jej nie wolno pić!

- Dla ciebie - powiedziała Ana, po czym wymknęła się z pokoju. Kiedy Ana zeszła na dół, zauważyła, że Jessie jest w centrum uwagi. Matka Any zanosila się od śmiechu, słuchając opowieści dziewczynki o szkolnych obchodach Halloween. A ponieważ Jessie tuliła do siebie dwa pluszowe zwierzaki, Ana wywnioskowała, że jej ojciec zaczął już demonstrować swoje sztuczki. Miała tylko nadzieję, że ojciec był dyskretny.

- Jak tam idzie na górze? - zapytała cicho Bryna, kiedy Ana weszła do salonu.

- Świetnie. Jeszcze przed północą zostaniesz babcią. - Niech cię Bóg błogosławi, Anastasio. - Bryna pocałowała ją w policzek. - Powiem ci też, że podoba mi się ten twój młody człowiek.

- On nie jest... - zaczęła Ana, ale Bryna już pospieszyła na górę. Przy kominku stał Boone, popijając jedną z nalewek jej ojca, i słuchał jak urzeczony jednej z historyjek wuja Douglasa.

- No więc oczywiście przyjęliśmy go na noc, bo rozpętała się burza. A on rano wyleciał jak z procy, krzycząc coś o zjawach i duchach. Musiał być biedak stuknięty - mówił Douglas, pukając się w czoło ocienione rondem pomarańczowego kapelusza. - To bardzo smutna historia.

- Może to dlatego, że biegałeś po zamku w starej zbroi - wtrącił się Matthew Donovan, ogrzewając w dłoniach kieliszek brandy.

- Nie, nie, przecież zbroja nie przypomina ducha. Myślę, że to kot Maureen piszczał przez całą noc.

- Moje koty nie piszczą - obraziła się Maureen. - Są bardzo dobrze wychowane.

- A ja mam psa - wtrąciła się Jessie. - Ale koty też lubię.

- Naprawdę? - Jak na zawołanie, Padrick wyjął spod skrzydeł jej kostiumu przegowanego pluszowego kotka. - A ten ci się podoba?

- Och! - Jessie ukryła twarz w miękkim futerku, a potem wspięła się Padrickowi na kolana i pocałowała go w rumiany policzek.

- Papa! - Ana nachyliła się nad sofą i przycisnęła usta do łysiny ojca. - Ty się nigdy nie zmienisz.

- Ana! - Jessie usiłowała objąć całą swoją menażerię. - Twój tata to najzabawniejszy człowiek na świecie!

- Ja też go lubię. - Ana spojrzała z ukosa na dziewczynkę. - A kim ty jesteś?

- Jestem Jessie. - Mała, chichocząc, ześlizgnęła się z kolan Padricka i obróciła na pięcie.

- Naprawdę?

- Słowo. Tatuś zrobił mi kostium wróżki na Halloween.

- Rzeczywiście, masz głos Jessie. - Ana przykucnęła. - Pocałuj mnie, to zobaczymy.

Jessie przycisnęła umalowane usteczka do twarzy Any, zachwycona, że jej kostium odniósł taki sukces.

- Naprawdę mnie nie poznałaś?

- Ale mnie nabrałaś! Byłam pewna, że to prawdziwa wróżka.

- Twój tata powiedział, że byłaś jego z czarowaną księżniczką, bo twoja mama była królową.

Maureen parsknęła śmiechem i mrugając do męża, wykrzyknęła.

- Moja ty żabko!

- Przepraszam, ale nie mogę dłużej zostać, żeby z tobą porozmawiać - zwróciła się Ana do Jessie.

- Wiem. Pomagasz Morganie urodzić dzieci. Czy one wyjdą naraz, czy po kolei?

- Po kolei, mam nadzieję. - Ana ze śmiechem pogładziła czuprynkę Jessie i spojrzała na Boone'a. - Możecie tu zostać, jak długo chcecie. Mamy masę jedzenia.

- Nami się nie przejmuj. Powiedz lepiej, jak tam Morgana?

- Bardzo dobrze. Prawdę mówiąc, zesłałam na dół po brandy dla Nasha. Biedak jest kompletnie roztrzęsiony.

Matthew pokiwał głową ze współczuciem i wręczył jej karafkę i kieliszek.

- Doskonale go rozumiem. Ana poczuła uderzenie jego mocy i zrozumiała, że mimo pozornego spokoju całym sercem i myślami był na górze, przy rodzącej córce.

- Bądź spokojny, wuju. Wszystko pójdzie dobrze. - Wiem. Nie mogła być w lepszych rękach. - Popatrzył jej w oczy, a potem dotknął krwawnika, który miała na szyi. - A znałam wiele. - Uśmiechnął się. - Boone, może byś odprowadził Anastasię na górę.

- Z przyjemnością. - Kiedy stanęli u stóp schodów, Boone zaczął.

- Twoja rodzina...

- Tak? - Ana nagle zeszywniała.

- Co za niewiarygodni ludzie! Nie co dzień człowiek trafia w sam środek grupy nieznajomych do domu, gdzie jest kobieta, która lada chwila ma urodzić bliźnięta, pod stołem w kuchni leży wilk, bo dam głowę, że to nie jest żaden pies, obgryzający coś, co przypomina mamucią kość, a do tego nad głową latają mu nakręcane nietoperze. Ach, byłbym zapomniiał o duchach w sieni.

- Przecież to Halloween.

- To chyba ma niewiele wspólnego z tym świętem.

- Przystanął na szczycie schodów. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłem. Oni są fantastyczni, Ano. A te genialne sztuczki twojego ojca! Nie mam pojęcia, jak on to robi.

- Ma po prostu talent.

- Mógłby zbić na tym fortunę. Tak się cieszę, że tu przyszedłem. - Objął ją za szyję. - Brakuje mi tylko ciebie.

- Bałam się, że nie będziesz się tu dobrze czuł.

- Dlaczego? Miałem wprawdzie plan, że zwabię cię do jakiegoś ciemnego kąta i opowiem ci taką okropną historię, że będziesz się trzęsła z strachu, ale i tak jestem zachwycony.

- Nie tak łatwo mnie przestraszyć. - Ana objęła go z uśmiechem. - W końcu wychowałam się na historiach mrozących krew w żyłach.

- Wśród wujków, którzy po nocach tłukli się w starych zbrojach - mruknął, muskając ustami jej usta.

- Och, to najmniej groźne. Często bawiliśmy się w lochach. A ja spędziłam całą noc w wieży, w której straszło, bo Sebastian mi kazał.

- Dzielna dziewczynka!

- Nie, uparta. I głupia. Nigdy w życiu nie było mi tak niewygodnie. - Zatraciła się w pocałunku. - Dopiero później Morgana wyczarowała mi poduszkę i koc.

- Wyczarowała? - roześmiał się Boone.

- Podrzuciła - poprawiła się Ana i znowu zaczęła go całować, tak że zapomniał o bożym świecie.

Kiedy za ich plecami otworzyły się drzwi, drgnęli jak para dzieciaków przyłapanych na gorącym uczynku. Bryna uniosła brwi, przyjrzała im się i na koniec uśmiechnęła wyrozumiale.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale Boone jest nam bardzo potrzebny. Boone mocniej ścisnął karafkę.

- Ja? Tam? Bryna roześmiała się.

- Nie. Poczekaj tutaj, a ja przyślę ci Nasha. Przyda mu się kilka chwil męskiej rozmowy.

- Ale najwyżej parę minut - dodała Ana. - Morgana go potrzebuje. Zanim Boone zdążył cokolwiek powiedzieć. Ana zniknęła za drzwiami.

Zrezygnowany, nalał kieliszek brandy, wychylił go do dna, po czym nalał następny dla Nasha.

- Masz, stary, strzel sobie jednego.

- Nie wiedziałem, że to tak długo potrwa. - Nash wziął głęboki oddech, a potem napił się brandy. - I że to tak boli. Jak już przez to przebrniemy, przysięgam, że jej nigdy więcej nie dotknę.

- Na pewno.

- Mówię poważnie. - Nash zaczął nerwowo krążyć po korytarzu.

- Nash, nie chciałbym się wtrącać, ale czy nie czułbyś się lepiej, to znaczy pewniej, gdyby Morgana rodziła w szpitalu, gdzie miałyby zagwarantowaną opiekę medyczną?

- W szpitalu? Nie. - Nash potarł z westchnieniem czoło. - Morgana urodziła się w tym samym łóżku. Nie zgodziłaby się na żaden szpital. Ja chyba też nie.

- To może chociaż wezwać doktora?

- Ana jest najlepsza. - N a myśl o tym Nash lekko się odprężył. - Możesz mi wierzyć, Morgana jest w najlepszych rękach.

- Słyszałem, że położne są bardzo dobre i bardziej naturalne. - Boone wzruszył ramionami. W końcu to nie jego problem. Skoro Nashowi odpowiada taka sytuacja, czym się tu martwić. - Rozumiem, że ona już to wcześniej robiła.

- Nie, to pierwszy poród Morgany.

- Miałem na myśli Anę - roześmiał się Boone i odbieranie porodu.

- O, tak, oczywiście. Ona zna się na rzeczy. Szczerze mówiąc, oszalałbym, gdyby jej przy tym nie było. Ale... - zrobił kolejne kółko i upił łyk brandy - to już trwa tyle godzin. Nie wiem, jak ona może to znieść. Jak w ogóle kobiety mogą coś takiego znieść? A przecież mogłaby coś z tym zrobić. Jak by nie było, to czarownica!

Boone zagryzł wargi, tłumiąc śmiech, a potem przyjaźnie poklepał Nasha po plecach.

- Nash, to nie jest dobra pora, żeby ją przezywać. Rodząca kobieta ma prawo być niemą.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć... - Nash ugryzł się w język. - Muszę się po prostu wziąć w garść.

- Jasne.

- Wiem, że wszystko będzie dobrze. Już Ana tego dopilnuje. Ale tak mi ciężko patrzeć na cierpienia Morgany.

- Masz rację. Kiedy się kogoś kocha, to najtrudniejsza rzecz na świecie. Ale czasem nie ma się wyboru i trzeba przez to przejść. A jeżeli chodzi o ciebie, będziesz z tego miał coś fantastycznego!

- Nigdy nie myślałem, że będę w stanie przeżywać coś takiego. Pokrzepiony na duchu, Nash oddał Boone'owi kieliszek.

- Czy tak samo jest z Aną?

- Myślę, że może tak być. Ona jest osobą niezwykłą.

- O, tak. - Nash zawahał się, a kiedy znów zaczął mówić, starał się ostrożnie dobierać słowa. - Myślę, że powinieneś ją zrozumieć, Boone. Ty, z twoją wyobraźnią i rozumieniem spraw wykraczających poza ludzki rozum. To bardzo szczególna osoba, obdarzona umiejętnościami, jakich nie miał nikt spośród twoich dotychczasowych znajomych. Jeżeli ją kochasz i chcesz, żeby stała się częścią życia twojego i twojej córki, niech cię te cechy nie przerażają.

Boone zasepił się.

- Chyba nie do końca cię rozumiem.

- Wystarczy, że zapamiętasz, co ci powiedziałem. Dzięki za kielicha. - Zaczepnął tchu, a potem poszedł do żony.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Oddychaj głęboko, oddychaj głęboko, kochanie!

- Przecież oddycham - wydyszała Morgana pomiędzy kolejnymi skurczami. - A co ja innego robię?

Nash doszedł do wniosku, że jeżeli chodzi o niego, najgorsze miał już za sobą. Morgana obrzuciła go już wszelkimi istniejącymi epitetami, a także wymyśliła kilka nowych. Na szczęście Ana powiedziała, że koniec jest już bliski, i Nash czepiał się tej myśli tak kurczowo, jak Morgana jego ręki. Dlatego też uśmiechnął się po prostu do swojej zlanej potem żony i mokrą chustką otarł jej czoło.

- Chyba nie chcesz zamienić mnie w ślimaka albo dwugłową jaszczurkę? - zapytał.

Morgana roześmiała się, jęknęła i głośno wydmuchała powietrze.

- Mam kilka lepszych pomysłów. Mogę usiąść wyżej, Ano?

- Nash, usiądź za nią na łóżku i podeprzyj jej plecy. To już nie potrwa długo. - Ana po raz ostatni sprawdziła, czy wszystko gotowe. Były koce zagrane przy kominku, gorąca woda, wysterylizowane kleszcze i nożyczki oraz lśniące kryształy, pulsujące mocą.

Bryna stała u boku córki, a w jej wzroku malowały się troska i współczucie. Przed oczyma stanęła jej podobna chwila sprzed lat, kiedy wydawała na świat Morganę. W tym samym łóżku jej własne dziecko cierpiało teraz ostatnie bóle.

- Nie przyj, póki ci nie powiem. Oddychaj, oddychaj - powtarzała Ana, czując narastające w niej samej napięcie, słodkie, a zarazem straszne, od którego jej skóra okryła się świeżym potem. Morgana posłusznie wykonywała jej polecenia. - Dobrze, dobrze. Już prawie koniec. Obiecuję ci, kochanie. Wybraliście już imiona?

- Mnie się podoba Cudy i Moe - powiedział Nash, dysząc razem z Morganą, póki nie trąciła go łokciem.

- Dobrze już, dobrze, Ozzie i Harriet, ale tylko jeżeli to będzie parka.

- Nie rozśmieszaj mnie, idioto. - Mimo to Morgana roześmiała się, a ból zelżał. - Chcę przeć. Muszę przeć.

- Jeżeli to będą dziewczynki - ciągnął dalej Nash - nazwiemy je Lucy i Ethel. - Przytulił policzek do jej rozgrzanego policzka.

- A jeżeli dwaj chłopcy, to Boris i Bela. - Morgana roześmiała się histerycznie i zarzuciła Nashowi ręce na szyję. - O Boże, Ana, muszę...

- Przyj! - wykrzyknęła Ana. - Teraz, przyj! Morgana odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła przecć, żeby wydać nowe życie na ten świat.

- O Boże! - Za oknami błysnęło, huknął grom z jasnego nieba.

- Dobra robota, kotku - zaczął Nash i nagle zbladł. - Patrzcie! O Boże! Popatrzcie tylko na to!

W nogach łóżka Ana delikatnie odwróciła ciemną główkę.

- Wstrzymaj się, kochanie. Wiem, że to trudne, ale wstrzymaj się tylko na minutkę. Oddychaj. Tak, właśnie tak.

- Ono ma włoski - słabym głosem odezwał się Nash. Twarz miał zalaną potem i łzami. - Popatrz na to! Co to jest?

- Nie wiem. Jeszcze nie widać drugiego końca. - Ana uśmiechnęła się do kuzynki. - No, zaraz będzie po wszystkim. Poprzyj jeszcze raz, kochanie, i zobaczymy, czy to Ozzie, czy Harriet.

Morgana zebrała siły i ze śmiechem urodziła dziecko prosto w rozpostarte dłonie Any. Kiedy pierwszy zwiastujący życie krzyk odbił się echem od ścian pokoju, Nash ukrył twarz w splątanych włosach żony.

- Morgano. Dobry Boże, Morgano. Nasze dziecko!

- Nasze. - Morgana już zapomniała o bólu i z ogniem w oczach wyciągnęła ręce, żeby Ana mogła złożyć w nie małe, wierzące się zawiniątko. Dotykając czule dziecka, zaczęła mu nucić powitalną pieśń w języku przodków.

- Chłopiec czy dziewczynka? - Nash drżącą ręką dotknął maleńkiej główki. - Zapomniałem sprawdzić.

- Masz syna - powiedziała mu Ana.

Na pierwszy krzyk dziecka rozmowy w salonie ucichły. Wszystkie oczy skierowały się w stronę schodów. Na górze zapadła cisza. Boone ze wzruszeniem popatrzył na własną córkę, która spała smacznie na sofie, z głową na kolanach Padricka.

Poczuł drżenie podłogi pod stopami. Wino zafalowało w kieliszku. Nim zdążył coś powiedzieć, Douglas zdjął cylinder i klepnął Matthew w plecy.

- Nowy Donovan - powiedział, unosząc kieliszek. - Za nowe dziedzictwo! Camilla ze łzami w oczach podeszła do szwagra i pocałowała go w policzek.

- Bogu niech będą dzięki.

Boone już miał im pogratulować, kiedy do salonu wkroczył Sebastian. Zapalił białą świeczkę, a potem złotą. Wziął nową butelkę wina, złamał pieczęć i przelał bladezłoty płyn do misternie rzeźbionego srebrnego kielicha.

- Gwiazda weszła pośród nocy. Krew z krwi doda jej swej mocy. Dzięki miłości się zrodził, będzie po tej ziemi chodził. Krew z naszej krwi, kość z kości, przejmie po nas dar mądrości. Czar księżycy, słońca moc, przyjmij dobro, oddał zło.

Sebastian podał kielich Matthew, by jako pierwszy upił łyk złocistego napoju. Boone patrzył jak urzeczony, jak Donovanowie przekazują sobie kielich z rąk do rąk. Zaczął się zastanawiać, czy to jakaś irlandzka tradycja. Było to znacznie bardziej wzruszające, symboliczne niż podawanie sobie cygara.

Kiedy wręczono mu kielich, poczuł się wzruszony i zaszczycony. Podniósł go do ust, upił nieco wina i wtedy z góry dobiegł kolejny krzyk, zwiastujący kolejne nowe życie.

- Dwie gwiazdy - powiedział z dumą Matthew. - Dwa dary. Wzniosły nastrój przysł, gdy Padrick wyczarował kolorowe girlandy i zasypał wszystkich barwnym deszczem konfetti. Kiedy zatrąbił na kolorowej trąbce, jego żona wybuchnęła śmiechem.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - wykrzyknęła, wskazując na zegar, który właśnie zaczął wybijać północ. - To najlepsza noc Halloween, odkąd Padrick przyprawił świniom skrzydła. - Uśmiechnęła się do Boone'a. - Straszny z niego kawalarz.

- Świnie... - zaczął Boone, ale wszyscy jak na komendę zwrócili się w stronę drzwi. Do salonu wkroczyła Bryna. Podeszła do męża, który chwycił ją w objęcia.

- Wszyscy mają się dobrze. - Otarła łzy radości. - Takie śliczne dzieci. Mamy wnuka i wnuczkę, kochany. Nasza córka zaprasza na górę, żebyście mogli ich powitać.

Kiedy wszyscy ruszyli w stronę schodów, Boone cofnął się, żeby nie przeszkadzać. Sebastian przystanął w progu i spojrzał na niego znacząco.

- A ty nie idziesz?

- Myślałem, że rodzina...

- Zostałeś zaakceptowany przez naszą rodzinę - powiedział Sebastian. Sam wciąż miał mieszane uczucia. Nie mógł zapomnieć, jak głęboko Ana została kiedyś zraniona.

- Dziwne, że akurat ty to mówisz - odparł ze spokojem Boone, choć krew uderzyła mu do głowy. - Przecież jesteś innego zdania.

- Mimo to - W oczach Sebastiana odmalowało się wyzwanie i ostrzeżenie. Ale gdy spojrzał w stronę sofy, wzrok mu złagodniał. - Myślę, że Jessie byłaby głęboko rozczarowana, gdybyś jej nie obudził i gdyby nie mogła popatrzeć na dzieci.

- Ale ty wolałbyś, żeby tego nie robił?

- Tak, ale Ana wolałaby, żebyś to zrobił - odciął się Sebastian. - A to jest znacznie ważniejsze. - Podeszedł do drzwi, a potem przystanął. - Sprawisz jej ból. Anastasia nie płacze, ale przez ciebie będzie płakać. A ja, ponieważ ją kocham, będę ci to musiał wybaczyć.

- Nie rozumiem...

- Nie rozumiesz. - Sebastian skinął głową. - Ale ja rozumiem. Przyrowadź dziecko, Sawyer, i dołącz do nas. To noc dobroci i drobnych cudów.

Boone nie potrafił powiedzieć, czemu słowa Sebastiana tak bardzo go ubodły. Patrzył na puste drzwi i myślał, że chyba nie ma obowiązku tłumaczyć się przed jakimś nadopiekuńczym, wścibskim kuzynem Any. Kiedy Jessie zamrużyła sennie oczami, zapomniał o Sebastianie.

- Tatusiu?

- Jestem przy tobie, żabciu. - Nachylił się i wziął ją na rękę. - Mam coś ważnego.

Jessie potarła oczy.

- Chce mi się spać.

- Niedługo pójdziemy do domu, ale najpierw chciałbym ci coś pokazać. - Wziął ją na rękę i zaniósł na górę.

W pokoju na piętrze wszyscy zgromadzili się wokół łóżka Morgany, a hałas, jaki robili, zdaniem Boone'a przekraczał wszelkie normy, nawet jak na domową salę porodową. Nash siedział na brzegu łóżka obok Morgany i z łzawym uśmiechem spoglądał na trzymane w rękach zawiniątko.

- Nie uważacie, że wygląda zupełnie jak ja? - pytał w kółko. - Nos! On ma mój nos!

- Przecież to Allysia - poinformowała go Morgana, przytulając policzek do główki synka. - To ja mam Donovana.

- W porządku. Wobec tego to ona ma mój nos. - Nash zerknął na syna. - A on ma moją brodę.

- To broda Donovanów - sprostował Douglas. - Przecież to jasne jak słońce.

- Ha! - odezwała się Maureen. - To wykapani Corriganowie! Nasza rodzina zawsze miała silne geny.

Podczas gdy dorośli dyskutowali zawzięcie nad podobieństwem, Jessie ocknęła się nagle ze snu.

- Czy dzieci już się urodziły? Mogę je zobaczyć?

- Przepuście małą. - Padrick łokciem odsunął brata. - Niech sobie popatrzy. Trzymając ojca za szyję, Jessie wychyliła się do przodu.

- Och! - Rozpromienionym wzrokiem popatrzyła na maleństwa, które Ana wzięła na rękę i uniosła, żeby jej pokazać. - Wyglądają jak małe elfy. - Delikatnie dotknęła palcem ich policzków.

- Bo to są małe elfy. - Padrick pocałował Jessie w nos. - Księżę i księżniczka elfów.

- Przecież nie mają skrzydeł - zachichotała Jessie.

- Niektóre elfy nie potrzebują skrzydeł - Padrick mrugnął do córki - bo mają skrzydlate serca.

- Teraz te małe” elfy potrzebują spokoju, ponieważ muszą odpocząć. - Ana odwróciła się i oddała dzieci Morganie. - Podobnie jak ich mama.

- Ale ja czuję się świetnie.

- Mimo to... - Ana wymownie spojrzała na rodzinę, która zaczęła posłusznie opuszczać pokój.

- Boone! - zawołała Morgana. - Możesz poczekać na Anę i odwiedzić ją do domu? Jest bardzo wyczerpana.

- Nic mi nie jest. Boone powinien...

- Oczywiście, że ją odwiozę. - Boone przytulił ziewającą Jessie. - Czekamy na dole.

Ana potrzebowała jeszcze piętnastu minut, żeby się upewnić, że Nash zapamiętał wszystkie instrukcje. Morgana już zasypiała, kiedy Ana zamknęła za sobą drzwi, zostawiając nową rodzinę w komplecie. Przez dwanaście godzin przechodziła wraz z kuzynką przez wszystkie fazy porodu, złączona z nią tak ściśle, jak tylko było to możliwe. Ciało i umysł miała ociążałe ze zmęczenia na skutek długotrwałej empatycznej więzi.

U szczytu schodów potknęła się, ale zaraz się wyprostowała i chwyciła amulet z krwawnika, żeby wyciągnąć z niego resztkę sił. Kiedy zeszła do salonu, czuła się już trochę lepiej. W fotelu przy kominku drzemał Boone, z Jessie skuloną na piersi. Otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Hej! Muszę przyznać, że choć to wszystko było trochę dziwaczne, świetnie się spisałaś.

- Sprowadzanie nowego życia na ten świat zawsze mnie fascynowało. Nie musiałeś na mnie czekać.

- Ale chciałem. - Roone pocałował Jessie w czoło. - Ona też. Zakasuje całą szkołę, kiedy opowie to wszystko w poniedziałek.

- To była dla niej długa noc i na pewno jej nie zapomni. - Ana potarła oczy zupełnie jak Jessie i rozejrzała się nieprzytomnie wokoło. - Gdzie są wszyscy?

- W kuchni. Opróżniają lodówkę i dają sobie w szyję. Ja już sobie odpuściłem, bo i tak wypilem za dużo wina. - Uśmiechnął się, zmieszany. - W którymś momencie zaczęło mi się wydawać, że dom trzęsie się w posadach, więc przerzuciłem się na kawę.

- I teraz nie będziesz mógł zmrużyć oka. Pójdę im powiedzieć, że wracam do domu, a ty idź już z Jessie do samochodu.

Po wyjściu na dwór Boone nabrał w płuca spory haust chłodnego powietrza. Ana miała rację, był kompletnie trzeźwy. Będzie musiał popracować przez kilka godzin, zanim kofeina wyparuje z jego krwi, a jutro to sobie odeśpi. Ale warto było poświęcić jedną noc. Spojrzał przez ramię na dom i jarzące się okna pokoju Morgany.

Przerzucił Jessie przez ramię skrzydła kostiumu i położył ją na tylnym siedzeniu.

- Piękna noc - odezwała się cicho Ana za jego plecami. - Chyba wszystkie gwiazdy wyszły na niebo.

- I jeszcze dwie nowe. - Boone otworzył jej drzwi. - Tak właśnie powiedział Matthew. To było takie miłe. Sebastian wznosił toast za życie, dary i gwiazdy, i wszyscy podali sobie kielich wina. Czy to irlandzki obyczaj?

- W pewnym sensie. - Ana oparła głowę o fotel i po kilku sekundach już spała. Kiedy Boone zatrzymał się przed swoim domem, zaczął się zastanawiać, jak uda mu się zanieść obie panie do łóżek. Kiedy otworzył drzwi, Ana już się obudziła.

- Zaniosę tylko Jessie do łóżka i wrócę, żeby ci pomóc.

- Nie trzeba. - Ana, na wpół przytomna, wysiadła z samochodu. - To raczej ja ci pomogę. - Pozbierała ze śmiechem pluszowe zwierzaki. - Papa jak zwykle trochę przesadził. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Chyba żartujesz! On tak wspaniale zabawiał Jessie. Chodźmy, kochanie. - Wziął śpiącą córkę na ręce. - Jessie była zachwycona twoją mamą i całą resztą, ale twój ojciec stał się jej bohaterem numer jeden. Jestem pewny, że będzie mi teraz codziennie wiercić dziurę w brzuchu, żebyśmy pojechali do Irlandii, odwiedzić go w jego zamku.

- Papa będzie szczęśliwy. - Ana wzięła srebrne skrzydła wróżki i poszła za Boone'em do domu.

- Połóż je byle gdzie. Napijesz się brandy?

- Nie, dziękuję. - Położyła zwierzaki i skrzydła na sofie, po czym zaczęła sobie masować obolałe ramiona. - Chętnie bym się za to napiła herbaty. Nastawię czajnik, a ty połóż małą do łóżka.

- Dobrze. Zaraz wracam. Kiedy wniósł Jessie do pokoju, spod łóżka rozległo się głośnie warczenie.

- Grzeczny piesek, pilnuje domu. Ale to tylko my, głuptasie. Daisy wypełzła spod łóżka, merdając ogonem. Poczekala, aż Boone zdejmie Jessie buty i kostium, a potem wskoczyła na łóżko i ułożyła się w nogach.

- Tylko mnie nie budź o szóstej, bo cię zamorduję! Daisy znów pomerdała ogonem i zamknęła oczy.

- Nie rozumiem, czemu nie kupiliśmy sobie jakiegoś mądrzejszego psa, skoro już musieliśmy to robić - narzekał Boone, idąc do kuchni. - To nie byłoby... - zaczął i umilkł.

Czajnik stał na kuchence. Z dzióbka buchała para. Obok stał przygotowany czajniczek i filiżanki. A Ana smacznie spała, z głową opartą na kuchennym stole.

Jej długie rzęsy rzucały cienie na policzki, a cera, w ostrym świetle lampy, była tak blada, że niemal przezroczysta. Włosy rozsypały się na ramionach. Usta miała lekko rozchylone.

Przypominała królową pogrążoną we śnie, z którego może ją obudzić dopiero pocałunek zakochanego księcia.

- Anastasio, jesteś taka piękna. - Boone dotknął jej włosów i nagle zapragnął mieć ją w swoim łóżku, tak by rano mógł ją zobaczyć, gdy tylko otworzy oczy. - Co ja mam z tobą począć?

Podszedł z westchnieniem do kuchenki i zgasił gaz, a potem wziął Anę na ręce, jak Jessie, i zaniósł na górę, do swojej sypialni.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałem mieć cię tutaj - szepnął, zdejmując jej buty. - W nocy, w moim łóżku. Przez całą noc. - Nakrył ją kołdrą, a ona mrucząc coś przez sen, wtuliła twarz w poduszki.

Raz jeszcze spojrzał na nią, a potem nachylił się i dotknął ustami jej ust.

- Dobranoc, śpiąca królowo.

Jessie wkroczyła do sypialni przed świtem. Miała zły sen o nawiedzonym zamczysku i chciała, żeby ojciec ją uspokoił.

Bo on zawsze potrafił odegnąć wszystkie złe potwory.

Wślizgnęła się do łóżka i chciała do niego przytulić, i dopiero wtedy zorientowała się, że to nie jej tata, tylko Ana.

Zdumiona, przysunęła się bliżej i zaczęła bawić się jej włosami. Ana mruknęła coś przez sen i przyciągnęła ją do siebie. Fala dziwnych doznań zaatakowała dziewczynkę. Inne zapachy, inny dotyk, a mimo to czuła się równie dobrze i bezpiecznie jak w objęciach ojca. Z ufnością oparła głowę na ramieniu Any i zasnęła.

Kiedy Ana obudziła się, poczuła, że obejmują ją drobne ramiona. Zdezorientowana spojrzała na Jessie, a potem rozejrzała się po pokoju.

To nie był jej pokój. I nie pokój Jessie. Była w sypialni Boone'a!

Tuląc do siebie dziewczynkę, próbowała przypomnieć sobie, co się stało.

Pamiętała tylko, że nastawiła wodę na herbatę i usiadła przy stole. Czuła się wtedy taka zmęczona.

Na moment oparła głowę... i wtedy musiała zasnąć.

Ale wobec tego gdzie jest Boone?

Odwróciła ostrożnie głowę, niepewna, jak zareaguje, jeśli nie będzie go w łóżku. Byłoby to niezbyt stosowne, zważywszy na okoliczności, a jednak miło byłoby móc przytulić się do niego, nawet ze śpiącą obok Jessie.

Kiedy się odwróciła.. powitały ją szeroko otwarte oczy małej.

- Miałam zły sen - powiedziała dziewczynka zaspanym głosem. - Śnił mi się jeździec bez głowy. Śmiał się i gonił mnie.

Ana przysunęła się i pocałowała Jessie w czoło.

- Założę się, że cię nie złapał.

- Aha. Obudziłam się i przybiegłam do taty. On zawsze odgania potwory. Te w szafie, pod łóżkiem, w oknie i w ogóle wszędzie.

- Tatusiowie są w tym bardzo dobrzy. - Ana uśmiechnęła się i przypomniała sobie, jak jej własny ojciec przepędzał je czarodziejską miotłą, kiedy miała sześć lat.

- Tymczasem zamiast taty zastałam ciebie, ale ciebie też się nie boję. Czy będziesz teraz sypiać w łóżku taty?

- Nie. - Ana pogłaskała Jessie po głowie. - Myślę, że obie zasnęłyśmy i twój tatuś musiał nas położyć do łóżka.

- Ale to duże łóżko - powiedziała Jessie. - Jest w nim dość miejsca. Ja śpię z Daisy, a tata musi spać sam. Czy twój kot z tobą śpi?

- Czasami - odparła Ana, rada, że Jessie zmieniła temat. - Pewnie się teraz zastanawia, gdzie jestem.

- Myślę, że wie - odezwał się od drzwi Boone. Był zaspany i potargany i miał na sobie tylko dzinsy. Szary kocur ocierał mu się o nogi. - Miauczał i drapał w drzwi, póki go nie wpuściłem.

- Och. - Ana przyglądała włosy i usiadła. - Przepraszam, pewnie cię obudził.

- Zgadłaś. - Kot wskoczył na łóżko i zaczął się skarżyć swojej pani. Boone wsunął zaciśnięte pięści do kieszeni. Jak mógł wyjaśnić Anie, co poczuł, kiedy zobaczył ją z Jessie w swoim wielkim, miękkim łóżku. - Jessie, co ty tu robisz?

- Miałam zły sen. - Jessie oparła głowę na ramieniu Any i zaczęła głaskać kota. - Dlatego przyszedłam do ciebie, ale w twoim łóżku zastałam Anę. Ona też potrafi odganiać potwory. - Kot miauknął wymownie, a Jessie zachichotała. - Jest głodny. Biedny kiciuś. Mogę wziąć go na dół i dać mu śniadanie?

- Oczywiście. Zanim Ana skończyła mówić, Jessie wyskoczyła z łóżka, wołając kota.

- Przepraszam, że cię obudziła. - Boone zawahał się, a potem podszedł i usiadł na brzegu łóżka.

- Wcale mnie nie obudziła. Wślizgnęła się do łóżka i spała dalej. To ja powinnam cię przeprosić za to, że sprawiłam ci tyle kłopotu. Trzeba było mną potrząsnąć i odesłać mnie do domu.

- Byłaś wykończona. - Boone wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. - Niewiarygodnie piękna i kompletnie wykończona.

- Przyjmowanie dzieci na ten świat to bardzo męcząca robota. - Ana uśmiechnęła się. - A ty gdzie spałeś?

- W pokoju gościnnym. - Skrzywił się, bo nagle chrupnęło mu w plecach. - Muszę natychmiast kupić porządne łóżko.

Ana położyła mu dłonie na plecach i zaczęła je masować.

- Trzeba było mnie tam położyć. Spałam tak mocno, że nie zauważyłabym różnicy między łóżkiem a gołą deską.

- Chciałem, żebyś spała w moim łóżku. - Boone spojrzał jej w oczy. - Bardzo. - Przygarnął ją do siebie. - I nadal tego chcę.

Jego usta nie były już wcale takie cierpliwe i delikatne. Ana poczuła dreszcz podniecenia, kiedy przycisnął ją do poduszek.

- Boone...

- Tylko na minutkę - powiedział zdesperowanym tonem. - Chcę побыć z tobą przez minutę.

Dotknął ustami jej piersi, okrytej cienkim jedwabiem bluzki. Podczas gdy jego dłonie błądziły po jej ciele, usta brały i brały, połykając jej stłumione jęki.

Pragnął czuć ją przy sobie, chciał ją mocno do siebie przycisnąć i wziąć gwałtownie, nawet dziko, to, co mogła mu ofiarować.

- Ana! - Zamknął ją w stalowym uścisku. Czuł, że to nie fair w stosunku do nich obojga, dlatego próbował się wycofać.

- Ile czasu potrwa karmienie tego kota?

- Za krótko. - Ana ze śmiechem oparła mu głowę na ramieniu. - Trochę za krótko.

- Tego się właśnie obawiałem. - Boone odsunął się. - Jessie prosiła, żebym jej pozwolił zanocować u Lydii. Czy jeśli wszystko załatwię, zostaniesz ze mną? Tutaj?

- Tak. - Przycisnęła jego dłoń do policzka. - Kiedy tylko zechcesz.

- Dziś w nocy. - Puścił ją, choć wcale nie miał na to ochoty. - Dziś w nocy - powtórzył. - Zadzwońię do matki Lydii i będę ją błagał, jeśli zajdzie potrzeba. - Zaczerpnął

tchu, żeby się uspokoić. - Obiecałem Jessie, że pójdziemy na lody i zjemy lunch na molo. Pójdiesz z nami? Jeżeli wszystko wypali, moglibyśmy zawieźć Jessie do Lydii, a potem wybrać się na kolację.

Ana podniosła się z łóżka i zaczęła machinalnie wygładzać pogniecione spodnie i bluzkę.

- To brzmi całkiem przyjemnie.

- Cieszę się. Przepraszam, że położyłem cię w ubraniu do łóżka, ale zabrakło mi odwagi, żeby cię rozebrać.

Na myśl o tym, że mógłby rozpiąć guziki jej bluzki, poczuła lekki dreszcz podniecenia. Na pewno robiłby to bardzo powoli, tylko oczy by mu płonęły.

- Nic nie szkodzi. To trzeba tylko wyprasować. Pójdę się przebrać, a potem muszę zajrzeć do Morgany i bliźniąt.

- Mógłbym cię zawieźć.

- Nie trzeba. Ojciec po mnie przyjedzie, a wrócę własnym wozem. O której chcesz wyjechać?

- Za kilka godzin, koło południa.

- Dobrze. Spotkamy się u ciebie. W drodze do drzwi zatrzymał ją i raz jeszcze mocno pocałował.

- Moglibyśmy kupić coś na wynos i przywieźć do domu.

- To też brzmi całkiem przyjemnie - mruknęła. A może po prostu zadzwonimy po pizzę, kiedy zgłodniejemy?

- Tak będzie lepiej. Znacznie lepiej.

O czwartej po południu Jessie stała przed domem Lydii i machała wesoło na pożegnanie. Jej różowy plecak pękał w szwach od różnych rzeczy, niezbędnych, by sześciolatka mogła spędzić noc u koleżanki. A na domiar szczęścia Daisy także została zaproszona na przyjęcie.

- Powiedz mi, żebym nie czuł się winny - poprosił Boone, zerkając po raz ostatni we wsteczne lusterko. - Z jakiego powodu?

- Bo chcę się pozbyć mojej córki z domu na tę noc.

- Boone. - Ana wychyliła się i pocałowała go w policzek. - Dobrze wiesz, że Jessie nie mogła już się doczekać wizyty u Lydii.

- Tak, ale... Chodzi mi nie tyle o to, żeby się jej pozbyć, ale o te motywy. Na myśl o motywach Ana poczuła lekki skurcz żołądka.

- Nie będzie się przez to gorzej bawić. Zwłaszcza że obiecałeś, że jej przyjaciółki będą mogły u was nocować za kilka tygodni. Jeżeli ciągle masz wyrzuty sumienia, pomyśl, jak będziesz się czuł, mając przez całą noc na głowie tabun małych dziewczynek.

Boone zerknął na nią z ukosa.

- Pomyślałem sobie, że mi pomożesz, bo ty też miałaś swoje powody.

- Naprawdę tak sobie pomyślałeś? - zapytała uradowana, że Boone ją o to poprosił. - Może ci pomogę. - Położyła dłoń na jego ręce. - Jak na paranoicznego ojca, nękanego wyrzutami sumienia, robisz świetną robotę.

- Tak trzymaj. Zaraz się lepiej poczułem.

- Za dużo pochlebstw nie wychodzi nikomu na dobre.

- Właśnie dlatego ci nie powiem, ilu facetów omal nie skrzyło sobie karku, oglądając się za tobą, kiedy spacerowaliśmy na molo.

- Ach, tak? - Ana odrzuciła włosy do tyłu. - Dużo ich było?

- To zależy, co uważa się za dużo. Poza tym nadmiar komplementów tobie także nie wyszedłoby na dobre. Mógłbym za to powiedzieć, że nie spodziewałem się, że ktoś może tak świetnie wyglądać po takiej ciężkiej nocy.

- To dlatego, że spałam jak suseł. - Ana przeciągnęła się. - Bransoletka z agatów zalsniła na jej przegubie. - To raczej Morgana jest niesamowita. Kiedy zaszłam do niej dziś rano, karmiła bliźnięta i wyglądała, jakby właśnie wróciła z urlopu w jakimś ekskluzywnym kurorcie.

- Dzieci dobrze się czują?

- Są fantastyczne. Zdrowe i pełne energii. A Nash już zdążył nabrać wprawy w zmienianiu pieluch. Twierdzi, że maluchy się do niego uśmiechają.

Boone dobrze znał to uczucie i nagle za nim zatęsknił.

- To dobry chłopak - dodała Ana.

- Muszę przyznać, że mnie zatkało, kiedy się dowiedziałem, że się ożenił. Nash nigdy nie miał takich ciągot.

- Miłość zmienia ludzi - mruknęła Ana, starając się, by w jej głosie nie było żalu. - Ciotka Bryna nazywa to najczystsza formą magii.

- Trafne określenie. Kiedy cię to dotyka, zaczyna ci się wydawać, że nie ma rzeczy niemożliwych. Byłaś kiedyś zakochana?

- Raz. - Ana odwróciła wzrok. - Dawno temu. Ale okazało się, że ta magia nie była dość silna. A potem przekonałam się, że moje życie na tym się nie kończy i że mogę być

szczęśliwa, żyjąc samotnie. Dlatego kupiłam sobie dom nad wodą - powiedziała z uśmiechem. Urządziłam ogród i zaczęłam wszystko od nowa.

- Ze mną było chyba tak samo. - Boone zamyślił się. - Czy to, że jesteś szczęśliwa, żyjąc samotnie, oznacza, że nie możesz być szczęśliwa z kimś?

Niepewność i nadzieja wstąpiły w jej serce.

- To chyba znaczy, że mogłabym być szczęśliwa tak jak jest, póki nie znajdę kogoś, kto nie tylko da mi magię, ale ją zrozumie.

Boone skręcił na podjazd i wyłączył silnik.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego, Ano.

- Wiem.

- Po śmierci żony myślałem, że nigdy już nie zaznam równie głębokich uczuć. Ale teraz czuję coś zupełnie innego niż wtedy i sam nie wiem, co to ma oznaczać. Zresztą nie wiem nawet, czy chciałbym to wiedzieć.

- To nie ma znaczenia. - Ana wzięła go za rękę. - Czasami trzeba się zadowolić dzisiejszym dniem.

- Ale mnie to nie zadowala. - Boone spojrzał na nią pociemniałymi oczyma. - Nie w twoim przypadku.

Ana zaczerpnęła tchu.

- Nie jestem tym, kim myślisz. Ani tym, za kogo chciałbyś mnie uważać. Boone...

- Jesteś dokładnie taka, jak sobie wymarzyłem. - Przyciągnął ją do siebie, a jego natarczywe usta stłumiły jej jęki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Boone jednym szarpnięciem rozpiął pasy i posadził sobie Anę na kolanach. Jego ręce ścisnęły ją mocno, a usta parzyły. To nie był ten Boone, który kochał się z nią tak delikatnie, tak słodko, cierpliwymi dłońmi i ustami szepczącymi czułe słówka. Kochanek spokojnych poranków i leniwych wieczorów stał się nagle źródłem obcej, groźnej siły, której nie potrafiła się oprzeć.

Czuła, jak pod jego niecierpliwymi rękami krew wrze jej w żyłach. Była to dzika namiętność, której już kiedyś doświadczyła w oświetlonym księżycem ogrodzie, wśród odurzająco pachnących kwiatów.

Rozpalona, przywarła do Boone'a, gotowa dotrzymać mu kroku na każdej ścieżce, którą zamierzało brać.

Zadrzała, kiedy zaczął miażdżyć ustami jej usta, a jego palce wbiły się boleśnie w ramiona. Przez głowę przemknęła jej myśl, że mógłby ją wziąć tutaj, w samochodzie, zanim zdążą się opamiętać.

Jednym szarpnięciem rozerwał jej bluzkę. Odgłos rozdieranego materiału poprzedził cichy jęk, kiedy jego wargi dotknęły jej szyi. Pod głodnymi ustami Boone'a puls Any rozpoczął dziki galop. Zalała ją fala gorąca.

Boone zaklął, otworzył drzwi, wyciągnął ją z samochodu i na wpół zaniósł, na wpół powlókł przez trawnik.

- Boone! - Potykając się, próbowała odzyskać równowagę, ale zgubiła przy tym buty. - Boone, twój wóz. Zostawiłeś kluczyki...

Chwycił ją za włosy i przegiął do tyłu, tak by patrzyli sobie w oczy. Jego oczy! Boże, te jego oczy, pomyślała, drżąc, ale nie ze strachu. Ich żar dosięgnął jej duszy.

- Do diabła z samochodem! - Znowu wpił się w usta Any, aż zawiroowało jej w głowie, a ziemia zaczęła uciekać spod nóg. - Wiesz, co ty ze mną wyrabiasz? - wydyszał. - Za każdym razem, kiedy cię widzę? - Zaczął ją ciągnąć na górę, nie przestając jej dotykać. - Taką spokojną i łagodną, z płomieniem ukrytym w oczach?

Popchnął ją pod drzwi, miażdżąc przez cały czas jej usta. W oczach Any dostrzegł teraz coś nowego. Strach. I podniecenie. Oboje nagle zdali sobie sprawę, że bestia, którą trzymał na uwięzi przez całe tygodnie, została nagle wypuszczona na wolność.

Ciężko dysząc, objął rękami jej twarz.

- Ano, powiedz mi, że mnie chcesz. Teraz. I tak, jak ja chcę. Bała się, że nie zdoła wydobyć z siebie głosu. W gardle jej zaschło, w głowie miała mętlik.

- Chcę cię - powiedziała schrypniętym głosem, który szarpał mu zmysły. - Teraz. I w taki sposób, jak chcesz.

Jednym szarpnięciem zdjął z niej podartą bluzkę, a potem kopniakiem otworzył drzwi.

- Boone, proszę cię - zaszlochała, choć sama nie wiedziała, o co go prosi, chyba że o więcej.

Owładnięty pasją, zaczął ją ciągnąć na górę, a kiedy znaleźli się na podeście, krzyknął - Tutaj! - Pociągnął ją na podłogę. - Właśnie tutaj! Rzucił się na nią, pijąc do woli z jej ust i napawając się jej ciałem. Zapomniał o czymś takim jak cierpliwość, jak samokontrola, jak взгляд na jej kruchość. Kobieta wijąca się pod nim z rozkoszy wcale nie była krucha. Jej obejmujące go ręce były silne, a usta równie zachłanne jak jego usta.

Ana poczuła się nieśmiertelna i wreszcie wyzwolona. Ciało jej było pobudzone jak nigdy dotąd, a w żyłach tętniła rozpalona krew. Świat wirował wokół, kolory zlewały się w jedno, aż wreszcie musiała uchwycić się poręczy, żeby nie wzlecieć ponad ziemię.

Boone zdarł z niej spodnie, a potem cienkie koronkowe majteczki. Jego oszalałe, chciwe usta były już teraz wszędzie. Kiedy posłał ją w rozpaloną przepaść bez dna, stłumiła okrzyk.

Mruczała coś w języku, którego nie rozumiał, ale domyślił się, że pomógł jej przekroczyć wszelkie granice rozsądku. Chciał, żeby tam była, razem z nim, kiedy katapultowali w szaleństwo zwierzęcej, bezrozumnej pasji.

Czekał, aż się doczekał. Teraz jej blade, smukłe ciało wibrowało w oczekiwaniu. Była jak klacz pełnej krwi, gotowa, by ją ujeżdżać. Drząc jak ogier, dosiadł jej i zanurzył się w wilgotny, oczekujący żar. Wygięła się w łuk, aby się z nim lepiej połączyć, i poruszając biodrami, pogalopowała z nim w rozszalałą ciemność.

Oslabłe ręce Any ześlizgnęły się ze spoconych pleców Boone'a. Była zbyt oszołomiona, żeby czuć ból, kiedy osunęli się na schody. Chciała zatrzymać ukochanego przy sobie, ale zabrakło jej sił. Nie mogła sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Pamiętała tylko nagle, oślepiające doznania i wybuchy namiętności.

Jeżeli to miała być ta mroczna strona miłości, nie była na nią przygotowana. Jeśli ta obezwładniająca żądza żyła w nim od zawsze, jak to możliwe, że tak długo trzymał ją na uwięzi?

To ze względu na nią. Wtuliła wilgotną twarz w jego szyję. To wszystko dla niej.

Leżała bezwładna pod jego wciąż dygoczącym ciałem. Wreszcie Boone oprzytomniał i pomyślał, że powinien zmienić pozycję. Po tym wszystkim, co zrobił Anie, pewnie ją całkiem zmiażdżył. Ale kiedy chciał się unieść, jęknęła cicho.

- Kochanie, zaraz ci pomogę. Odsunął się i pozbierał podarte kawałki jej bluzki, żeby ją okryć, a potem zaklął i odrzucił je. Ana przewróciła się na bok, szukając wygodniejszej pozycji. Co ja najlepszego zrobiłem? - pomyślał zdegustowany. Wziąłem ją jak dziwkę na schodach! Na schodach!!

- Ana! - Znalazł swoją koszulę i narzucił jej na ramiona. - Anastasio, nie wiem, jak mam się usprawiedliwić.

- Usprawiedliwić? - powtórzyła ledwo dosłyszalnym szeptem. Gardło miała suche jak pieprz.

- Na to nie ma usprawiedliwienia... Chodź, pomogę ci. - Leciała mu przez ręce jak kukła. - Przyniosę ci coś do ubrania, albo... A niech to...

- Nie mogę wstać. - Oblizła usta i poczuła jego smak. - Nie będzie ci przeszkadzać, że tu zostanę?

I to na kilka dni, zanim dojdę do siebie.

Marszcząc brwi, próbował zinterpretować jej słowa. Nie słyszał w nich gniewu. Aarii przygnębienia. Raczej głębokie zadowolenie.

- Nie jesteś przygnębiona?

- A powinnam?

- No... przecież tak naprawdę rzuciłem się na ciebie. Zaatakowałem cię na przednim siedzeniu samochodu, zdarłem z ciebie ubranie, a potem zaciągnąłem cię do domu i niemal zgwałciłem na schodach.

Nie otwierając oczu, Ana wzięła głęboki oddech, a potem się uśmiechnęła.

- To wszystko prawda. Od dziś za każdym razem kiedy będę szła po schodach, będę zmuszona o tym myśleć.

Boone westchnął.

- Myślałem, że uda mi się dociągnąć cię do sypialni.

- Spokojnie, tam też zdążymy. - Ana ujęła go za rękę. - Czym się tak przejmujesz, Boone? Boisz się, że mogę być przygnębiona, bo mnie tak bardzo pragniesz?

- Bałem się, że cię przeraziłem, bo nie przywykłaś do czegoś takiego. Ana usiadła, krzywiąc się z bólu. Oczyma duszy już widziała liczne siniaki, które wkrótce pokażą się na jej rękach i nogach.

- Nie jestem ze szkła. Możemy się kochać na wszystkie sposoby i nie ma w tym nic niewłaściwego. Ale... - zarzuciła mu ręce na szyję - pod warunkiem, że jednak zdążymy do domu.

Boone objął ją.

- Widzę, że moja sąsiadka jest bardzo tolerancyjna.

- Już to słyszałam. Na szczęście mój sąsiad rozumie, co to namiętności. Nic nie jest w stanie go zaszokować. Nawet gdybym mu opowiedziała, co o nim myślę, kiedy nocami leżę sama w łóżku.

- Naprawdę? - Boone poczuł, że znów budzi się w nim pożądanie. - A co takiego myślisz?

- Że przychodzi do mnie - wyszeptala - do mojego łóżka, kiedy na dworze szaleje burza. Widzę jego oczy, kobaltowo - niebieskie, w świetle błyskawic, i wiem, że pragnie mnie jak nikt nigdy i nigdzie.

Boone pomyślał, że jeżeli teraz się nie zdecyduje, znów zaczną się kochać na schodach. Szybko wstał i pociągnął Anę za rękę.

- Nie mogę ci obiecać błyskawic - westchnął. Kiedy wnosił ją na górę, uśmiechnęła się.

- Błyskawice już były.

Wiele godzin później klęczeli na skłębionym łóżku, jedząc pizzę przy świecach. Ana kompletnie straciła rachubę czasu. Było jej wszystko jedno, czy to dopiero północ, czy już świt. Kochali się, śmiali i rozmawiali, a potem znowu kochali. Nie przeżyła dotąd równie cudownej nocy. Czas nie miał najmniejszego znaczenia.

- Ginewra nie była heroiną. - Ana zlizwała sos z palców. Rozmawiali o poezji epickiej, współczesnej animacji, starożytnych legendach, folklorze i klasycznych horrorach. Nie potrafiła powiedzieć, jak to się stało, że cofnęli się aż do króla Artura, ale kiedy rozmowa zesłała na jego królową, zademonstrowała nieprzejednane stanowisko. - I z całą pewnością nie była postacią tragiczną.

- Sądziłem, że kobieta, zwłaszcza tak współczująca jak ty, będzie miała więcej zrozumienia dla kogoś w jej położeniu. - Boone zamyślił się nad ostatnim kawałkiem pizzy w pudełku, które położyli na środku łóżka.

- Ale dlaczego? - Ana uprzedziła go. - Przecież ona zdradziła męża i to przez nią upadło królestwo. A wszystko dlatego, że była słaba i samolubna.

- Była zakochana.

- Miłość nie tłumaczy wszystkiego. - Ana przyjrzała mu się uważnie w migoczącym świetle świec. Boone wyglądał cudownie męsko w samych tylko gimnastycznych spodenkach, z potarganymi włosami i cieniem zarostu na twarzy. - Mówisz jak typowy mężczyzna. Próbujesz usprawiedliwić kobiecą niewierność, tylko dlatego że została przedstawiona w sposób romantyczny.

Nie potraktował tego jak bezpośredni zarzut, jednak poczuł się dość niepewnie.

- Myślę, że ona nie mogła temu zaradzić. Nie miała żadnego wpływu na to, co się stało.

- Oczywiście, że miała. I dokonała złego wyboru. Podobnie jak Lancelot. A te wszystkie peany na temat rycerskości, heroizmu i lojalności, te próby rozgrzeszenia ich zdrady w stosunku do człowieka, który kochał ich oboje, próby usprawiedliwienia wszystkiego brakiem samokontroli? Przecież to czysta bzdura!

Boone roześmiał się.

- Zaskakujesz mnie. Myślałem, że jesteś romantyczką. Kobieta, która zrywa kwiaty przy świetle księżyca, która kolekcjonuje figurki wróżek i czarnoksiężników, taka kobieta potępia Ginewrę za to, że się niemądrze zakochała?

- Biedna Ginewra... - wybuchnęła Ana.

- Poczekaj. - Boone świetnie się bawił. Nie przyszło mu nawet do głowy, że kłócą się o jedną z najsłynniejszych miłosnych historii. - Nie zapominajmy o innych bohaterach. Medin miał się podobno temu wszystkiemu przyglądać. Czemu on nic nie zrobił?

Ana strzepnęła okruchy z nóg.

- Żaden czarownik nie powinien działać wbrew przeznaczeniu.

- O czym my mówimy? Jedno małe zaklęcie i wszystko mogło zostać naprawione.

- To by znaczyło, że losy setek ludzi uległyby zmianie - zauważyła Ana, gestykułując kieliszkiem. - Zmieniłby się też bieg historii. Nie, nie mógłby tego zrobić, nawet dla Artura. Ludzie, i to zarówno czarodzieje i królowie, jak zwykli śmiertelnicy, są kowalami własnego losu.

- Przecież Merlin nie miał najmniejszego problemu z zaplanowaniem biegu wydarzeń tak, żeby Igraine mogła począć Artura.

- Bo takie było przeznaczenie - cierpliwie tłumaczyła mu Ana, jakby był dzieckiem. - To było celem samym w sobie. Medin, jakkolwiek potężne byłyby jego moce, miał jedno główne zadanie powołać Artura na ten świat.

- To mi wygląda na dzielenie włosa na czworo. - Boone przełknął ostatni kęs pizzy. - Dlaczego jedne zaklęcia są w porządku, a inne nie?

- Kiedy otrzymujesz jakiś dar, musisz wiedzieć, jak i kiedy wolno go użyć. Na tym polega odpowiedzialność. Możesz sobie wyobrazić, jak on cierpiał, patrząc na upadek tych, których kochał? Przecież już w chwili narodzin Artura wiedział, jak się to skończy. Magia nie uwalnia od emocji i bólu i rzadko chroni tych, którzy ją posiadli.

- Chyba masz rację. - W swoich bajkach często opisywał cierpienia wróżek i czarowników. Nadawało im to bardziej ludzki wymiar i sprawiało, że stawali mu się bardziej bliscy. - Kiedy byłem dzieckiem, wyobrażałem sobie, że sam żyję w tamtych czasach.

- I ratujesz piękne dziewice przed smokiem?

- Oczywiście. Brałem udział w krucjatach, wyzywałem na pojedynki Czarnego Rycerza i tak dalej.

- Tak też sobie myślałam.

- A potem dorosłem i uświadomiłem sobie, że mogę czerpać z obu światów to, co najlepsze. Pisząc, przenosiłem się w zamierzchłe czasy, a zarazem mogłem korzystać ze wszystkich komfortów nowoczesności.

- Takich jak pizza.

- No właśnie, jak pizza - zgodził się Boone. - Komputer zamiast gęsiego pióra, bawełniana bielizna. Ciepła i zimna bieżąca woda. A jeżeli już o tym mowa... - Jednym ruchem przerzucił sobie Anę przez ramię i wyskoczył z łóżka.

- Co ty wyprawiasz? - wykrzyknęła ze śmiechem.

- Gorąca bieżąca woda - powtórzył. - Czas, żebym ci zademonstrował, co potrafię robić pod prysznicem.

- Będziesz śpiewać?

- Może później. - W łazience otworzył szklane drzwi kabiny i odkręcił wszystkie kurki. - Mam nadzieję, że lubisz gorącą kąpiel.

- Ja... - Wciąż wisiał a mu na ramieniu, kiedy wnosił ją do środka. W jednej chwili przemokła do suchej nitki. - Boone! Chcesz mnie utopić?

- Przepraszam. - Boone chwycił mydło. - Wiesz, że ten dom kupiłem głównie z powodu tej łazienki? Jest tu tyle miejsca. - Namydlił jej łydkę. - Czy to nie świetny wynalazek, dwie główce prysznic?

- Trudno mi to ocenić z tej pozycji - stwierdziła Ana. Kiedy odgarnęła mokre włosy z twarzy, zauważyła, że podłoga wyłożona jest lustrzanymi kafelkami. - O Boże!

Boone uśmiechnął się i zaczął powoli namydlać jej uda.

- A widziałaś sufit? Spojrzała w górę.

- Czy te okna nie zachodzą parą?

- To specjalne szkło. Może się trochę zaparować, jeżeli łazienka jest używana dosyć długo. - A on zamierzał tam zabawić bardzo długo. Zaczął powoli opuszczać Anę na podłogę. - Ale to tylko podkreca atmosferę. - Przycisnął ją do ściany, obejmując jej piersi, obklejone mokrym materiałem. - Chcesz posłuchać, co mi się marzy?

- To... och... - przerwała, bo Boone zaczął pieścić jej sutki - chętnie posłucham.

- Mam lepszy pomysł. - Musnął ustami jej usta. - Zaraz ci pokażę. - Zdjął z niej mokry podkoszulek i rzucił na podłogę. - No więc, zacznę stąd. - Zaczął jej mydlić ramiona. - A dojdę aż do palców nóg.

Chwyciła go w pasie i odgięła się do tyłu, kiedy mokrymi, śliskimi od mydła rękami zakreślał koła wokół jej piersi.

Para. Gorąca para wokół niej. I w niej. Jak ciężko oddychać w tropikalnym powietrzu. Dwa śliskie ciała, ocierające się o siebie. Jej ręce w pianie, na jego plecach i piersi. Jego zaborcze usta i drżący oddech. Jej śmiech, zmysłowy i triumfalny.

Płonęła i on także płonął. Dwie potężne siły ścierały się ze sobą. Nie było już wątpliwości, że potrafiła odwzajemnić tę dziką, szaloną rozkosz, jaką ją obdarzał. Rozkosz tym słodsza i bogatsza, że pochodząca zarazem z miłości i pasji.

Zaczęła wodzić dłońmi po jego ciele - po muskularnych ramionach, szerokim torsie. Kiedy dotknęła płaskiego brzucha, westchnął głęboko.

Potrząsnął głową, żeby trochę oprzytomnieć. Spodziewał się, że będzie Anę uwodził, tymczasem to on był uwodzony. Jej delikatne dłonie, błędzące po jego śliskiej skórze, słały drażniące impulsy do najdalszych zakątków ciała.

- Zaczekaj! - Chwycił ją za ręce. Czuł, że jeśli Ana nie przestanie go teraz dotykać, za chwilę będzie za późno. - Pozwól mi...

- Nie - powiedziała stanowczo, uzbrojona w nową, cudowną wiedzę. - To ty mi pozwól.

Zaczęła go pieścić, wsłuchując się w coraz szybszy, coraz bardziej urywany oddech Boone'a. Kiedy poczuła, jak zadrżał spazmatycznie, ogarnęła ją dzika radość. A potem zapragnęła mieć go w sobie.

- Ano... - Wydało mu się, że traci resztki poczucia rzeczywistości. - Ano, ja nie mogę...

- Przecież mnie pragniesz. - Upojona nową, nieznaną dotąd siłą, spojrzała mu wyzywająco w oczy. - No to mnie weź. Teraz!

Wyglądała jak boginka, wynurzająca się z morskich odmętów. Mokra włosy opadały jej ciemno złotą falą na ramiona, a skóra jaśniała niezwykłym blaskiem. W oczach miała tajemnicę, mroczny sekret, do którego nikt nie ma dostępu.

Była cudowna. Wspaniała. I należała tylko do niego.

- Trzymaj się mocno. - Boone oparł ją o ścianę i uniósł jej biodra. Objęła go za szyję, patrząc mu prosto w oczy. Wziął ją tak, jak stali, wchodząc w nią w tryskających z góry strumieniach wody. Odrzucając głowę do tyłu, wykrzyczała jego imię. Poprzez mgłę dostrzegł w lustrze ich odbicie - dwa ciała złączone tak ściśle, że niemal tworzące zrośniętą jedność.

Jęcząc z rozkoszy, oparła mu głowę na ramieniu. Była zgubiona. Zgubiona - i dziękowała za to Bogu.

- Kocham cię. - Nie potrafiła powiedzieć, czy te słowa tylko dźwięczały jej w głowie, czy też wymówiły jej osłabłe wargi. Powtarzała je jednak bez końca, aż ciało zadrżało w nieprzytomnym spazmie.

Kiedy i Boone doznał spełnienia, oparł się o ścianę, czując, że uszły zeń wszystkie siły. Krew wciąż huczała mu w uszach. Wziął Anę w ramiona.

- Teraz mi powiedz. Uśmiechnęła się niepewnie i podniosła na niego zamglone oczy.

- Co mam ci powiedzieć? Boone ścisnął ją jeszcze mocniej.

- Że mnie kochasz. Powiedz mi to teraz.

- Ja... Nie uważasz, że powinniśmy się wysuszyć? Jesteśmy w wodzie od dłuższego czasu.

Niecierpliwym gestem zakręcił prysznic.

- Chcę patrzeć na ciebie, kiedy będziesz to mówiła. I chcę być przynajmniej częściowo przytomny. Zostaniemy tu tak długo, póki mi tego nie powiesz.

Zawahała się. Boone nie mógł wiedzieć, że zmuszał ją w tej chwili do podjęcia kolejnego kroku. Przeznaczenie, pomyślała. Konieczność dokonania wyboru. Pora, by wziąć los we własne ręce.

- Kocham cię. Gdybym cię nie kochała, nie byłoby mnie tutaj w tej chwili. Boone spojrział na nią pociemniałymi oczyma. Jego uścisk zelżał, a twarz złagodniała.

- Mam wrażenie, jakbym czekał całe lata, żeby to usłyszeć. Odgarnęła mu z czoła wilgotne włosy.

- Wystarczyło zapytać.

- Ale ty nie musisz mnie pytać. - Ujął jej dłonie i poczuł, że drży, więc wyprowadził ją z kabiny i okrył ręcznikiem. A potem objął ją i mocno przytulił, żeby mogła się rozgrzać. -

Anastasio. - Przepelniony czulością, dotknął ustami jej włosów, policzka, a w końcu ust. - Kocham cię. Dałaś mi coś, co jak sądziłem, utraciłem bezpowrotnie. Myślałem też, że nigdy więcej nie będę tego pragnął.

Z westchnieniem wtuliła twarz w jego pierś. A więc to prawda, pomyślała. Boone należał do niej. A ona postara się go przy sobie utrzymać.

- Jesteś ucieleśnieniem moich marzeń, Boone. Kochaj mnie! Obiecuj, że nigdy nie przestaniesz mnie kochać.

- Nie mógłbym przestać cię kochać. - Odsunął ją. - Nie płacz.

- Ja nie płaczę. - Łzy zalśniły jej na rzęsach. - Nie płaczę. „Anastasia nigdy nie płacze, ale przez ciebie będzie płakać”. Słowa Sebastiana zadźwięczały Boone'owi w głowie, ale natychmiast postarał się wymazać je z pamięci. Przecież to śmieszne! Nigdy nie skrzywdzi Anastasii! Otworzył usta, ale się rozmyślił. Łazienka, pełna pary, nie była stosownym miejscem na oświadczenia. Poza tym wcześniej chciał omówić z Aną kilka spraw.

- Chodźmy się przebrać. Musimy porozmawiać. Była zbyt szczęśliwa, żeby zwrócić uwagę na lekką nutę niepewności w jego głosie. Śmiała się, kiedy niósł ją do sypialni, i potem, kiedy naciągał jej przez głowę swoją czystą koszulę.

Rozmarzona, nalala do dwóch kieliszków wina, a Boone w tym czasie próbował się ubrać.

- Pójdiesz ze mną? - Wyciągnął rękę, a ona ją ochoczo ujęła.

- Dokąd idziemy?

- Chcę ci coś pokazać. - Poprowadził ją tonącym w mroku korytarzem do swojego gabinetu.

- To tu pracujesz? - zapytała, rozglądając się wokoło. Pokój miał szerokie, pozbawione zasłon okna. Ramy z wiśniowego drewna były rzeźbione w misterne wzory. Na podłodze leżały wyblakłe dywaniki. Przez podwójny świetlik wpadała księżycowa poświata. O tym, że było to miejsce pracy, świadczył spracowany komputer, rzyzy czystego papieru i rzędy książek na półkach. Ale gabinet nosił też osobiste piętno właściciela. Na ścianach wisiały jego urocze ilustracje, a na półkach i biurku prezentowała się kolekcja smoków i rycerzy. Na wysokim rzeźbionym postumencie rozpościerała skrzydła bursztynowa wróżka, kupiona w sklepie Morgany.

- Przydałoby się tu trochę roślin - powiedziała Ana i pomyślała o narcyzach i żonkilach ze swojej szklarni. - Pewnie spędzasz tu wiele godzin dziennie. - Zerknęła na pustą popielniczkę przy komputerze.

Boone popatrzył w ślad za jej wzrokiem i zmarszczył brwi. To dziwne, pomyślał. Nie palił od wielu dni. Zupełnie zapomniał o papierosach. Będzie musiał sobie później tego pogratulować.

- Czasami patrzę na ciebie przez okno, kiedy jesteś w ogrodzie. Trudno mi się wtedy skoncentrować.

Roześmiała się i przysiadła na brzegu biurka.

- Trzeba będzie powiesić w oknach zasłony.

- Wykluczone. - Uśmiechnął się, ale ręce ukrył nerwowo w kieszeni. - Ano, muszę ci opowiedzieć o Alice.

- Boone. - Pełna współczucia, wyciągnęła ręce. - Ja wszystko rozumiem. Wiem, że to bolesna sprawa. Niczego nie musisz mi wyjaśniać.

- Muszę. - Ujął ją za rękę i wskazał na obrazek na ścianie. Przedstawiał śliczną, młodą dziewczynę, klęczącą nad stawem, zanurzającą złote wiadro w srebrnej wodzie. - Alice narysowała to jeszcze przed urodzeniem Jessie. Dała mi to w pierwszą rocznicę naszego ślubu.

- Piękny obrazek. Alice miała duży talent.

- Tak. Była bardzo utalentowana i wyjątkowa. - Boone pociągnął łyk wina w mimowolnym toaście za utraconą miłość. - Znałem ją niemal od zawsze. Prześliczną Alice Reeder. Skoro chciał o niej rozmawiać, wysłucha go.

- Zaczęliście ze sobą chodzić w liceum?

- Nie. - Boone roześmiał się. - Alice była czirliderką, przewodniczącą samorządu studenckiego, atrakcyjną dziewczyną, a przy tym najlepszą uczennicą. Obracaliśmy się w różnych kręgach, poza tym była o kilka lat młodsza. Ja w tym czasie przeżywałem obowiązkowy okres buntu. Rozrabiałem w szkole, chodziłem na wagary i udawałem twardziela.

Ana z uśmiechem pogładziła go po szorstkim po liczku.

- Chciałabym to widzieć.

- Ja paliłem w szkolnej toalecie, a Alice malowała dekoracje do szkolnych przedstawień. Znaliśmy się, ale to wszystko. Potem poszedłem do college'u i wylądowałem w Nowym Jorku. Uznałem to za słuszne, skoro chciałem zostać pisarzem. Wynająłem sobie garsonierę i zacząłem przymierać głodem.

Ana objęła go opiekuńczym gestem i czekała, by mógł zebrać myśli.

- Któregoś ranka wyskoczyłem do piekarni za rogiem i tam natknąłem się na nią, jak kupowała rogaliki. Zaczęliśmy rozmawiać. Sama wiesz... o tym, co robimy, o starych

znajomych, o szkolnych czasach i tak dalej. To było takie miłe, a zarazem ekscytujące. Dwójka dzieciaków z małego miasteczka spotyka się Nowym Jorku.

Los zetknął ich z sobą, pomyślała Ana. W mieście liczącym miliony mieszkańców.

- Studiowała sztukę - ciągnął dalej Boone. - Wynajmowała z koleżankami mieszkanie kilka przecznic dalej. Odprowadziłem ją do metra. Odtąd spotykaliśmy się często, przesiadywaliśmy w parku, porównywaliśmy nasze rysunki i całymi godzinami rozmawialiśmy. Alice była taka pełna życia, pełna energii i nowych pomysłów. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, ale raczej spokojny, długotrwały proces. - Spojrzał na obrazek i wzrok mu złagodniał. - Bardzo powolny i bardzo słodki. Pobraliśmy się tuż przed tym, jak udało mi się sprzedać moją pierwszą książkę. Alice była jeszcze wtedy na studiach.

Musiał przerwać, bo wspomnienia napłynęły ze zdwojoną siłą. Mimowolnie ścisnął Anę za rękę. Połączyła się z nim, żeby przekazać mu siłę i wsparcie, jakich bardzo w tym momencie potrzebował.

- Wszystko zdawało się układać tak dobrze. Byliśmy młodzi, szczęśliwi, zakochani. Alice dostała zamówienie na obraz. Wtedy okazało się, że jest w ciąży. Wobec tego postanowiliśmy wrócić do domu i wychowywać nasze dziecko w miłej, podmiejskiej dzielnicy, w pobliżu rodziny. Kiedy urodziła się Jessie, byliśmy w siódmym niebie. Tylko Alice jakoś dziwnie nie mogła odzyskać sił po porodzie. Wszyscy mówili, że to normalne. Że jest zmęczona dzieckiem i pracą. Kiedy zaczęła chudnąć, mówiłem żartem, że niknie w oczach i jeszcze gotowa się rozpuścić. - Zamknął na moment oczy. - I tak się właśnie stało. Po jakimś czasie zaczęliśmy się niepokoić. Alice zrobiła sobie badania, ale w laboratorium był straszny bałagan i wyniki przyszły za późno. Kiedy się dowiedzieliśmy, że to rak, nie można było już nic zrobić.

- Och, Boone, tak strasznie mi przykro.

- Alice bardzo cierpiała. To było najgorsze. A ja nie mogłem nic na to poradzić. Patrzyłem na jej powolną śmierć i sam chciałem umrzeć. Ale była przecież Jessie. Alice miała tylko dwadzieścia pięć lat, kiedy ją pochowałem. A Jessie niewiele wcześniej skończyła dwa lata. - Zaczerpnął tchu i zwrócił się do Any. - Kochałem Alice. I zawsze będę ją kochał.

- Wiem. Takiej miłości się nie zapomina. Ona zawsze będzie obecna w twoim życiu.

- Po śmierci Alice przestałem wierzyć w „żyli długo i szczęśliwie”, no, chyba że w książkach. I nie chciałem się już nigdy więcej zakochać. Z obawy przed kolejnym cierpieniem, a także przez wzgląd na Jessie. Tymczasem znów się zakochałem. Moje uczucia do ciebie są tak głębokie, że przywracają mi wiarę. Ale to nie to samo co przedtem, chociaż wcale nie kocham cię mniej... Po prostu... jesteśmy tylko my.

Dotknęła jego policzka. Wydawało jej się, że go rozumie.

- Boone, czy bałeś się, że każę ci o niej zapomnieć? Że mogę być o nią zazdrosna? O waszą miłość? Właśnie tym bardziej cię kocham. Alice dała ci szczęście. Dała ci Jessie. Mogę tylko żałować, że nie było mi dane jej poznać.

Głęboko wzruszony, zbliżył twarz do jej twarzy.

- Wyjdź za mnie, Ano - poprosił cicho.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ana zastygła bez ruchu. Ręce, sięgające, by przytulić Boone'a, zamarły w pół gestu. Oddech uwiązał jej w płucach. Nawet serce, nagle przepełnione nadzieją, nakazywało jej czekać.

Wpuściła go z objęć.

- Boone, wydaje mi się...

- Tylko mi nie mów, że cię popędzam. - Teraz, kiedy wreszcie odważył się na ten krok - krok, na który tak naprawdę zdecydował się już znacznie wcześniej - był dziwnie spokojny. - Może i działam zbyt pospiesznie, ale jesteś mi potrzebna, Ano. Chcę, żebyś stała się częścią mojego życia.

- Przecież już tak się stało. - Uśmiechnęła się, próbując utrzymać lekki ton. - Już ci to mówiłam.

- Było mi ciężko kiedy cię tylko pragnąłem, ale potem, kiedy zaczęło mi na tobie zależeć, było jeszcze gorzej. A kiedy cię pokochałem, nasza sytuacja stała się nie do zniesienia. Nie chcę być tylko twoim sąsiadem. - Chwycił ją mocno za rękę. - Nie chcę wysłać dziecka z domu, żeby móc spędzić z tobą noc. Mówiłaś, że mnie kochasz.

- Bo kocham. - Impulsywnie przytuliła się do niego. - Wiesz, że cię kocham. I to bardziej, niż sądziłam, że potrafię. A na pewno bardziej, niż chciałam. Ale małżeństwo to...

- Racja. - Poglaskał ją po wilgotnych włosach. - To prawda. Ale kiedyś już ci powiedziałem, że nie traktuję lekko intymności, i nie miałem na myśli tylko seksu. - Cofnął się i spojrzał jej w twarz. - Chodzi mi o to, co czuję, ilekroć na ciebie patrzę. Zanim cię poznałem, byłem całkiem zadowolony z życia. Ale teraz przestało mi to wystarczać. Nie mam zamiaru przedzierać się przez żywopłot, żeby z tobą pobyc przez chwilę. Chcę, żebyśmy zawsze byli razem, Ano. Ty, ja i Jessie.

- Boone, gdyby to mogło być takie proste... - zawahała się, szukając właściwych słów.

- To może być bardzo proste. - Boone poczuł, że ogarnia go panika. - Kiedy dziś rano wszedłem do sypialni i zobaczyłem cię w moim łóżku, z Jessie... nie umiem tego opisać... Nagle uświadomiłem sobie, że tego właśnie pragnąłem. Żebyś tam była zawsze. Żebym mógł z tobą dzielić się Jessie, bo wiem, że ją pokochasz. Żebyśmy mogli mieć więcej dzieci. I wspólną przyszłość.

Zamknęła oczy, żeby jak najdłużej zatrzymać pod powiekami tę tak słodką wizję. Dlaczego próbowała odebrać im obojgu tę szansę? Ze strachu?

- Gdybym teraz powiedziała „tak”, zanim mnie zrozumiesz, zanim mnie poznasz, to byłoby nie w porządku.

- Przecież cię dobrze znam. - Otoczył ją ramionami. - Wiem, że masz swoje pasje, że jesteś bardzo uczuciowa, lojalna, szczodra i otwarta. Ze kochasz rodzinę, że lubisz romantyczną muzykę i jabłkowe wino. Znam twój śmiech, znam zapach twojej skóry. I wiem, że potrafię dać ci szczęście, jeżeli mi tylko na to pozwolisz.

- Jestem z tobą szczęśliwa, Boone. A waham się dlatego, że sama też chciałabym ci dać szczęście. - Zaczęła krążyć po pokoju. - Nie wiedziałam, że to się stanie tak szybko, zanim się upewnię. Gdybym wiedziała, że myślisz o małżeństwie...

Być jego żoną, pomyślała. Związaną z nim na zawsze. Na dobre i złe. O niczym bardziej nie marzyła.

Dlatego musi mu o wszystkim powiedzieć. Żeby miał wybór. Żeby mógł ją zaakceptować albo... odrzucić.

- Byłeś w stosunku do mnie znacznie bardziej szczery niż ja w stosunku do ciebie.

- O czym ty mówisz?

- O tym, kim się jest. - Zamknęła oczy. - Jestem tchórzem. Przykre przeżycia mnie załamują. Panicznie boję się bólu, i to zarówno fizycznego, jak psychicznego. Reaguję zbyt mocno na sprawy, których inni nawet nie dostrzegają.

- Nie wiem, o czym mówisz, Ano.

- To prawda, nie wiesz. - Zaciśnęła wargi. - Czy jesteś w stanie zrozumieć, że niektórzy ludzie są bardziej wrażliwi niż inni? Że niektórzy muszą rozwinąć w sobie system samoobrony, żeby nie przyjmować na siebie zbyt wielu emocji pochodzących z zewnątrz? My to musimy, Boone, bo inaczej byśmy tego nie przeżyli.

Machnął ręką, zniecierpliwiony, ale spróbował się uśmiechnąć.

- Masz na myśli tak zwane sprawy tajemne? Roześmiała się i zakryła oczy.

- Nie wiesz nawet połowy rzeczy. Próbuję ci to wyjaśnić, ale nie bardzo mi to wychodzi. Gdybym mogła... - Już miała mu wszystko powiedzieć. Odwróciła się, strącając przy tym z biurka szkicownik. Machinalnie pochyliła się, żeby go podnieść.

Może to fatum, ale szkicownik upadł obrazkiem do góry. To świetny rysunek, stwierdziła, przyglądając mu się z uwagą. Z kartonu spoglądały na nią złe, płonące oczy wiedźmy w czarnej pelerynie. Zło, pomyślała. Zło w najczystszej postaci. Tak doskonale uchwycone śmiałymi kreskami.

- Nic się nie stało. - Boone próbował jej odebrać rysunek, ale ona potrząsnęła głową.

- Czy to ilustracja do twojej bajki?

- Tak. Do „Srebrnego zamczyska”. Proszę, nie zmieniamy tematu.

- Wcale go nie zmieniamy - mruknęła. - Poczekaj chwileczkę - powiedziała. -
Opowiedz mi coś więcej o tym rysunku.

- Nie o tym teraz rozmawiamy, Ano!

- Ale ja proszę. Zdesperowany, przeciągnął ręką po włosach.

- Jest na nim dokładnie to, co widzisz. Zła czarownica, która rzuciła zaklęcie na królową i zamek. Doszedłem do wniosku, że musiało być jakieś zaklęcie, które nie pozwalało nikomu wchodzić i wychodzić poza obręb zamku.

- I ty uznałeś, że to robota czarownicy?

- Przecież to oczywiste. Zła wiedźma, zazdrosna o piękną i dobrą królową, rzuca na nią czar, odcinając ją od świata. I od miłości. A potem, kiedy prawdziwa miłość zwycięża, czar pryska i czarownica znika. A oni żyją długo i szczęśliwie.

- Czy mam rozumieć, że twoim zdaniem czarownice są wyrachowane i złe? -
Wyrachowane, pomyślała. To właśnie słowo Robert cisnął jej w twarz. To i wiele innych, znacznie gorszych.

- To zależy. Władza rodzi korupcję, prawda? Ana odłożyła rysunek.

- Niektórzy tak myślą. - To tylko rysunek, powiedziała sobie. Ilustracja do bajki, którą wymyślił. A jednak ten właśnie rysunek uświadomił jej, jak wielką dzieli ich przepaść. -
Boone, chciałabym cię o coś poprosić tej nocy.

- Tej nocy możesz mnie prosić, o co zechcesz.

- Więc proszę cię o czas. I zaufanie. Kocham cię, Boone, i tylko z tobą chcę iść przez życie. Ale potrzebuję trochę czasu, podobnie jak ty. Daj mi tydzień - powiedziała, uprzedzając jego protesty. - Tylko jeden tydzień. Do pełni księżyca. A potem powiem ci o kilku sprawach. I jeżeli nadal będziesz chciał, żebyś została twoją żoną, powiem „tak”.

- Powiedz „tak”. Teraz. - Przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem. -
Czy ten tydzień ma dla ciebie aż takie znaczenie?

- Tak - wyszeptała, tuląc się do niego. - Zasadnicze znaczenie.

Nie chciał czekać. W miarę jak upływały dni, był coraz bardziej niecierpliwy i rozdrażniony. Jeden dzień, drugi, a potem trzeci. Żeby się pocieszyć, zaczął myśleć o tym, jak odmieni się jego życie, kiedy ten męczący tydzień dobiegnie końca.

Koniec samotnych nocy. Już niedługo, nawet jeśli nie będzie mógł zasnąć, będzie spokojniejszy, mając Anę u boku. Dom będzie pełen pięknych zapachów, aromatu olejków i ziół. A w długie, spokojne wieczory będą mogli posiedzieć na tarasie i porozmawiać o minionym dniu, a także o dniu jutrzejszym.

A może Ana będzie wolała, żeby się do niej przeprowadzić? W sumie to bez znaczenia. Będą mogli przechadzać się po jej ogrodzie, a ona będzie ich uczyła nazw kwiatów i ziół.

Mogliby też pojechać do Irlandii, gdzie pokazałyby im ciekawe miejsca związane z jej dzieciństwem. Mogłaby mu opowiedzieć bajki, na przykład tę o wróżce i zabie, a on mógłby je później spisać.

Po jakimś czasie pewnie pojawią się dzieci. Będzie mógł wtedy patrzeć, jak Ana trzyma na rękach ich dziecko, tak jak trzymała bliźnięta Morgany i Nasha.

Więcej dzieci... Na myśl o tym ożywił się i spojrzał na Jessie, uśmiechając się do niego z fotografii na biurku.

Jego córka. Jedyńca już od tylu lat. A przecież chciał mieć więcej dzieci, choć dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo. Ojcostwo zawsze sprawiało mu radość. Czuł, że jest stworzony na ojca.

Teraz, kiedy o tym myślał, widział już siebie kołyszącego w nocy jakąś małą istotkę, tak jak to robił z Jessie. Widział, jak pomaga maluchowi stawiać pierwsze, niepewne kroki. Jak gra z dzieckiem w piłkę i uczy je jeździć na rowerze.

Syn. To byłoby niesamowite mieć syna! Albo jeszcze jedną córkę. Rodzeństwo dla Jessie. Ona też byłaby szczęśliwa, pomyślał z uśmiechem. A co dopiero on!

Oczywiście nie pytał dotąd Any, co sądzi o powiększeniu rodziny. Będą musieli o tym porozmawiać. Żeby tylko nie wyszło na to, że znowu ją popęda.

Ale zaraz przypomniał sobie, jak wyglądała, kiedy spała w jego łóżku, tuląc do siebie Jessie. I jak jej twarz jaśniała, kiedy podnosiła do góry maleństwo Morgany, żeby Jessie mogła je sobie obejrzeć.

Nie, pomyślał. Za dobrze ją znał. Będzie jej zależało tak samo jak jemu, by ich miłość jak najprędzej wydała owoce.

Podjął decyzję. Pod koniec tygodnia złączą wspólnie układać plany na przyszłość.

W przeciwieństwie do niego, Ana odnosiła wrażenie, że czas płynie zdecydowanie zbyt szybko. Całymi godzinami zastanawiała się, jak powiedzieć Boone'owi o wszystkim. A kiedy jej się wydawało, że już wie, nagle zmieniała zdanie i wracała do punktu wyjścia.

Mogła to zrobić szorstko i bez ogródek. Wyobraziła sobie, jak siedzi z nim w kuchni, popijając herbatę. „A tak przy okazji, Boone” - powiedziałaaby - jestem czarownicą. Jeżeli ci to nie przeszkadza, możemy już planować ślub.

Były też bardziej subtelne sposoby.

Siedzieliby na patio, pod drzewem. Popijając wino i patrząc na zachód słońca, rozmawialiby o swoim dzieciństwie.

„Dzieciństwo w Irlandii różni się trochę od dzieciństwa w Indianie”, powiedziałyby Boone'owi. „Irlandczycy uważają sąsiedztwo czarownic za coś zupełnie normalnego”. A potem uśmiechnęłyby się. „Dolać ci jeszcze wina, kochany?”

A może wybrać sposób intelektualny?

„Zgodzisz się pewnie ze mną, Boone, że większość legend opiera się na faktach”. Rozmowa ta miałaby miejsce na plaży. W tle byłoby słychać szum morza i krzyki mew. „Twoje książki przepojone są zrozumieniem i szacunkiem dla spraw, które większość ludzi uważa za folklor bądź mit. Sama będąc czarownicą, doceniam twój pozytywny stosunek do magii i czarów. Na szczególne uznanie zasługuje sposób, w jaki poprowadziłaś postać czarodziejki w *Trzecim życzeniu Mirandy*”.

Ana mogła tylko mieć nadzieję, że wystarczy jej poczucia humoru, żeby później śmiać się z tych żalonych scenariuszy. Będzie musiała naprawdę coś wymyślić, bo pozostała jej już tylko doba.

Boone już i tak okazał się wyjątkowo cierpliwy. Nie było powodu, dla którego miałaby kazać mu czekać dłużej.

Na szczęście tego wieczoru mogła liczyć na moralne wsparcie. Morgana i Sebastian z rodzinami byli już w drodze na piątkową kolację na świeżym powietrzu leżeli to nie pomoże jej w wymyśleniu scenariusza rozmowy z Boone'em, która ma się odbyć następnego dnia, to już nic nie pomoże. Idąc na patio, obróciła w palcach zawieszony na szyi przezrzysty cyrkon.

Jessie musiała być w pogotowiu, bo już przedzierała się przez szczelinę w żywopłocie, prowadząc ze sobą Daisy. Na widok psa Quigley ostentacyjnie zaczął czyścić sobie futerko.

- Idziemy do was na piknik - oświadczyła Jessie. - Dzieci też będą i może będę mogła je trochę potrzymać. Ale muszę uważać.

- Myślę, że to się da załatwić. - Ana mimowolnie rozejrzała się, szukając Boone'a. - Jak było dziś w szkole słonko?

- Całkiem fajnie. Umiem już napisać moje imię, taty, i twoje. Umiem też napisać Daisy, ale Quigley nie umiem, więc napisałam po prostu „kot”. A potem wymieniałam całą naszą rodzinę, tak jak nam kazała nasza pani. - Przerwała i po raz pierwszy odkąd Ana ją poznała, zmieszala się. - Powiedziałam, że jesteś moją rodziną. Nie gniewasz się?

- Cieszę się, że tak powiedziałaś. - Ana przyklękła i uściskała Jessie. O, tak, pomyślała, zaciskając powieki, tego właśnie chcę, tego potrzebuję. Mogłabym być żoną

Boone'a i matką jego dziecka. Boże, pomóż mi znaleźć drogę, żeby to stało się możliwe. - Kocham cię, Jessie.

- I nie odejdziesz, prawda?

- Nie, dziecinko. - Ana instynktownie wyczuła, że dziewczynka myśli o matce. Odsunęła się i zaczęła mówić, ostrożnie dobierając słowa: - Gdyby to zależało tylko ode mnie, nigdy nie chciałabym odejść. Ale gdybym musiała, gdybym nie miała innego wyjścia, nadal pozostałabym blisko ciebie.

- Ale jak mogłabyś odejść i być blisko?

- Zatrzymałabym cię w moim sercu. Masz, to dla ciebie. - Zdjęła łańcuszek z cyrkonem i założyła go Jessie na szyję.

- Och, jak to się ślicznie błyszczy!

- To bardzo szczególny kamień. Kiedy będzie ci smutno albo poczujesz się samotna, potrzymaj go i pomyśl o mnie. Będę o tym wiedziała i sprawię, że znowu poczujesz się szczęśliwa.

Jessie z zachwytem obróciła w palcach kryształ, który eksplodował feerią kolorów.

- Czy to czary?

- Tak. Jessie przyjęła odpowiedź z dziecięcą ufnością.

- Muszę to pokazać tatusiowi. - Już miała pobiec do ojca, ale przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Dziękuję!

- Nie ma za co. Czy... czy Boone jest w domu?

- Nie. Jest na dachu.

- A co on robi na dachu?

- Za miesiąc są święta, więc liczy, ile lampek trzeba będzie kupić. Cały dom ma być oświetlony. Tata mówi, że to będą szczególne święta.

- Mam nadzieję. - Ana osłoniła oczy od słońca i spojrzała w górę. Boone siedział na dachu i patrzył na nią. Jak zwykle na jego widok serce podskoczyło jej w piersi. Mimo zdenerwowania uśmiechnęła się i pomachała mu, drugą rękę trzymając na ramieniu Jessie.

Wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie. Wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze.

Boone zapomniał na chwilę o girlandzie lampek i patrzył, jak Jessie biegnie przez podwórko, a za nią wchodzi do domu Ana.

Wszystko będzie dobrze, powiedział sobie. Będzie dobrze.

Sebastian wziął z półmiska oliwkę.

- Kiedy zaczniemy jeść?

- Już zaczęliśmy - zauważyła Mel.

- Chodzi mi o prawdziwe jedzenie. - Sebastian mrugnął do Jessie. - Czyli o hot dogi.

- Kurczaki w ziołach - poprawiła go Ana, obracając na ruszcie skwierczące mięso.

Wszyscy zgromadzili się na patio. Jessie siedziała na żelaznym krześle, kołysząc w ramionach maleńką Allysię. Boone i Nash wymieniali uwagi o pielęgnacji noworodków. Morgana, z Donovanem przy piersi, słuchała relacji z udanej akcji, którą Mel przeprowadziła wspólnie z Sebastianem.

- Dzieciak był w okropnym stanie - mówiła Mel. - Żałował, że uciekł, ale bał się wracać. Kiedy go znaleźliśmy - zmarzniętego, załamane i głodnego - i powiedzieliśmy mu, że jego rodzice nie są wściekli, tylko przerażeni, nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu. - Zaczekała, aż Morgana podniesie dziecko, żeby mu się odbiło. Ręce świerzbiły ją, żeby dotknąć maleństwa. - Mogę go wziąć na ręce?

- Jasne. - Morgana przyjrzała jej się uważnie. - Nie myślałaś o tym, żeby mieć własne? Jedno albo dwoje?

- Szczerze mówiąc - Mel poczuła specyficzny zapach dziecka i ugięły się pod nią kolana - mam wrażenie... - Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Sebastian jest zajęty droczeniem się z Jessie. - To jeszcze nie jest pewne, ale wydaje mi się, że mogę być w ciąży.

- Och, Mel! To...

- Ćśś. - Mel nachyliła się. - Nie chcę, żeby Sebastian coś podejrzewał, bo zacznie używać swoich czarów, żeby się dowiedzieć. A ja chcę mu sama o tym powiedzieć. - Uśmiechnęła się. - Ta wiadomość zwali go z nóg. - Ostrożnie położyła dziecko do bliźniaczego wózka.

- Allysia też już śpi - odezwała się Jessie, dotykając palcem policzka malutkiej.

- Chcesz ją położyć obok braciszka? - Sebastian pomógł Jessie wstać z dzieckiem na rękach. - O, właśnie tak. - Podłożył ręce pod jej ręce, kiedy kładła Allysię do wózka. - Będiesz kiedyś bardzo dobrą mamą.

- Może też będę mogła mieć bliźnięta. - Jessie odwróciła się, bo Daisy zaczęła szczeleć. - Cicho! - wyszeptała. - Bo zbudzisz dzieci!

Ale Daisy już pędziła za Quigleyem, który przemknął przez szczelinę w żywopłocie do sąsiedniego ogrodu.

- Przyprowadzę go! - Jessie pobiegła za zwierzętami. Przecięła podwórko i obiegnęła dokoła domu, a kiedy wreszcie udało jej się dogonić Daisy, z surową miną ujęła się pod boki.

- Musicie być przyjaciółmi. Ana nie będzie zadowolona, jeżeli będziesz drażnić jej kota.

Daisy uderzyła ogonkiem o ziemię i zaszczekała. W połowie drabiny, którą Boone przystawił do domu, żeby wejść na dach, rozwścieczony Quigley jeżył futro, syczał i pluł.

- On tego nie lubi, Daisy. - Jessie przykucnęła z westchnieniem, żeby pogłaskać psa. - On nie wie, że to tylko zabawa i że nie chcesz mu zrobić krzywdy. Popatrz, co zrobiłaś! Przestraszyłaś go. - Spojrzała w górę. - Chodź, kotku. Już wszystko w porządku. Możesz zejść.

Quigley prychnął, zmrużył oczy, a potem zaczął się wspinać w górę po drabinie, na co Daisy odpowiedziała histerycznym szczekaniem.

- Och, Daisy, co ty narobiłaś! - Jessie zawahała się. Ojciec kategorycznie zabraniał jej zbliżyć się do drabiny. Ale nie mógł przecież wiedzieć, że Quigley tak się przestraszy. Co będzie, jeżeli kot Any spadnie z dachu i się zabije? Cofnęła się i już miała iść po ojca, kiedy usłyszała rozpaczliwe miauczenie Quigleya.

To wszystko przeze mnie, pomyślała. Miałam przecież pilnować Daisy. Jeżeli teraz coś stanie się Quigleyowi, to będzie moja wina.

- Już idę. Nie bój się, kotku! - Zagryzając wargi, zaczęła wchodzić po drabinie. Widziała, jak ojciec to robił, to wcale nie było trudne. To tak jakby wspinać się po drabinkach w szkole na gimnastyce albo wchodzić na dużą zjeżdżalnię na boisku.

- Kici, kici! - wołała i zachichotała, kiedy Quigley wystawił głowę znad krawędzi dachu. - Ty głuptasie! Daisy chciała się tylko pobawić. Zaraz cię zdejmę. Nie bój się.

Była już prawie na samej górze, kiedy stopa omsknęła się jej na kolejnym szczeblu.

- Mmm, pachnie cudownie - mruknął Boone, wachając nie kurczaka na talerzu, tylko szyję Any. - Mogę już zaczynać?

- Jeżeli chcecie się całować - odezwał się Nash, sięgając po talerz - odejdźcie gdzieś na bok. My chcemy jeść.

- Dobrze. - Boone objął zarumienioną Anę i zamknął jej usta długim pocałunkiem. - Czas już prawie minął - powiedział półgłosem. - Możesz zakończyć moje cierpienia, albo...

Słowa zamarły mu na ustach, kiedy powietrze przeszył przeraźliwy krzyk Jessie. Z sercem w gardle popędził przez podwórko, krzycząc jak oszalały:

- O Boże! O mój Boże! Kiedy ją zobaczył, skuloną na ziemi, z nienaturalnie wykrzywioną ręką, krew zastygła mu w żyłach.

- Jessie! - W panice ukląkł obok córki. Była spokojna. Zbyt spokojna. Nawet jego rozgorączkowany umysł zarejestrował ten złowieszczy fakt. A kiedy się nachylił, żeby ją podnieść, zobaczył krew.

- Nie ruszaj jej! - krzyknęła Ana, przyklękając obok. Oddychała ciężko, ogarnięta trwogą, ale jej ręce pewnie ścisnęły nadgarstki Boone'a. - Nie wiadomo, jakie odniosła obrażenia. Jeżeli ją ruszysz, możesz jej zaszkodzić.

- Ona krwawi! - Boone ujął w dłonie twarz córki. - Jessie! Posłuchaj mnie, Jessie! - Drżącymi palcami próbował wyczuć puls na szyi. - Nie rób mi tego! Boże, tylko nie to! Trzeba wezwać karetkę!

- Ja zadzwonię - odezwała się z tyłu Mel. Ana potrząsnęła tylko głową.

- Boone! - Kiedy zrozumiała, co ma robić, wstąpił w nią spokój. - Boone, posłuchaj mnie. - Trzymała go mocno za ręce, choć próbował ją odepchnąć. - Musisz się odsunąć. Ja ją obejrzę. Chcę jej pomóc.

- Zobacz, ona nie oddycha! - Boone nie mógł oderwać wzroku od córki. - Nie widzę, żeby oddychała. I chyba złamała rękę!

To jeszcze nie wszystko. Ana nie musiała się łączyć z nieprzytomnym dzieckiem, żeby wiedzieć, że obrażenia są znacznie poważniejsze. I nie ma już czasu na karetkę.

- Mogę jej pomóc, ale musisz się odsunąć.

- Ona potrzebuje doktora! Na miłość boską, niech ktoś wezwie pogotowie!

- Sebastianie - powiedziała ze spokojem Ana, a jej kuzyn wystąpił do przodu i chwycił Boone'a za ręce.

- Puść mnie! - Boone zaczął się wrywać, podczas gdy Sebastian i Nash odciągali go od dziecka. - Co wy robicie! Trzeba ją zawieźć do szpitala!

- Niech Ana robi, co może! - powiedział Nash, przytrzymując przyjaciela i walcząc z narastającą paniką. - Musisz jej zaufać! Tu chodzi o życie Jessie!

- Ano. - Morgana, blada i wstrząśnięta, podała jedno z bliźniąt Mel. - Może już być za późno. Wiesz, co się stanie, jeżeli...

- Wiem, ale muszę spróbować. Delikatnie oparła ręce po obu stronach głowy Jessie i poczekała, aż jej własny oddech się uspokoi. Trudno było zablokować gwałtowne uczucia Boone'a ale teraz musiała się skupić na dziecku. Tylko na dziecku. Musiała się otworzyć.

Ból. Ostry, piekący ból przeszywał jej głowę. Zbyt wielki ból jak na takie małe dziecko. Ana wchłonęła jej ból. A kiedy nadmiar męki groził naruszeniem spokoju, potrzebnego do tak delikatnej roboty, czekała, aż ból nieco zelżeje. A potem próbowała dalej.

Tyle obrażeń, myślała, wodząc rękami po ciele Jessie. Tyle szczebli w dół. Przed oczyma stanął jej obraz zbliżającej się ziemi. Poczwała bezradny strach, a potem ogłuszający impet upadku.

Palce jej dotknęły głębokiej rany na ramieniu dziewczynki. Taka sama rana ukazała się na jej ręce, a potem obie rany powoli zblizniły się i zniknęły.

- Mój Boże! - Boone nagle osłabł i przestał się szarpać. Co się dzieje? Jak ona to zrobiła?

- Jej potrzebny jest spokój - mruknął Sebastian. Odsunął się od Boone'a i wziął Morganę za rękę. Nie mogli już nic zrobić.

Teraz pozostało im tylko czekać.

Obrażenia wewnętrzne były bardzo poważne. Na czole Any perliły się kropelki potu, kiedy badała, wchłaniała, leczyła. Mruczała przy tym ciche zaklęcia, czując, że musi wprawić się w głębszy trans, żeby ocalić dziecko i siebie.

Boże, co za ból! Palił ogniem jej ciało, tak że drżała jak w febrze. Przez moment poczuła instynktowne pragnienie, żeby się wycofać. Kurczowo zacisnęła palce na kryształowym wisiorze, który Jessie miała na szyi, a potem położyła go jej na sercu.

Kiedy podniosła głowę, oczy miała koloru gradowej chmury, lecz przezroczyste jak szkło.

Światło! Jaskrawe, oślepiające światło! Ledwie widziała leżące przed nią dziecko. Zaczęła wołać, krzyczeć, czując, że jeden fałszywy krok będzie oznaczał koniec dla nich obu.

Spojrzała pod światło i poczuła, że Jessie wymyka jej się z rąk.

- W dniu narodzin przyjąłem ten dar - zaczęła. Jej głos nabrzmiewał cierpieniem i siłą.
- Dziecka ból przyjmę bez skarg. Niech na moje zawołanie tu i teraz to się stanie.

A potem krzyknęła z bólu, bo wielka była cena, jaką przyszło jej zapłacić za oszukanie śmierci. Po czuła, jak opuszczają ją siły i powoli uchodzi z niej życie, gdy nagle pod jej ręką serce Jessie drgnęło, a potem zaczęło bić regularnym tempem.

Ostatkiem sił podjęła walkę za Jessie i za siebie, odwołując się do wszystkich możliwych mocy.

Boone zobaczył, że jego córka poruszyła się i zamrugwała oczami.

- Jess! Jessie? - Podskoczył, żeby ją porwać w ramiona. - Moja kochana, nic ci nie jest?

- To ty, tatusiu? - Zamglone oczy dziewczynki odzyskały blask. - Czy ja spadłam z drabiny?

- Tak. - Osłabły z radości, przytulił ją i zaczął kołysać. - Tak.

- Nie płacz, tatusiu. - Jessie poklepała go po plecach. - Zobacz, nic mi się nie stało.

Boone zaczerpnął tchu, a potem powiódł rękami po ciele córki. Nie było krwi. Ani żadnych, nawet najmniejszych skaleczeń. Znów ją przytulił, patrząc na Anę, której Sebastian pomagał wstać.

- Boli cię coś, Jessie?

- Nie. - Dziewczynka ziewnęła i oparła mu głowę na ramieniu. - Szłam do mamy. Była taka śliczna, cała w złotym świetle. Ale kiedy mnie zobaczyła, wyglądała, jakby się miała rozpłakać. A potem przyszła Ana i wzięła mnie za rękę. A mama bardzo się ucieszyła i pomachała nam na pożegnanie. Strasznie mi się chce spać, tatusiu.

Z sercem w gardle, schrypniętym głosem powiedział:

- Zaraz cię położę, kochanie.

- Ja się nią zajmę - odezwał się Nash, a widząc wahanie Boone'a, ściszył głos. - Z nią już wszystko w porządku, a z Aną nie. - Wziął na ręce drzemiące dziecko. - Rozum nie ma tu nic do rzeczy, bracie - dodał, niosąc Jessie do domu.

- Chcę wiedzieć, co tu się stało. - Boone starał się mówić spokojnie. - Muszę wiedzieć, co się stało.

- Dobrze - Ana spojrzała na swoją rodzinę. - Moglibyście nas zostawić na chwilę? Chciałabym... - urwała i zachwiała się. Świat poszarzał jej przed oczyma. Boone zerwał się i z krzykiem chwycił ją w ramiona.

- Co się dzieje? - zapytał podniesionym głosem. - Co ona zrobiła Jessie? - Z przerażeniem zauważył, że Ana jest niemal przezroczysta. - Co ona sobie zrobiła?

- Uratowała życie twojej córki - odezwał się Sebastian - ryzykując własne.

- Daj spokój, Sebastianie - mruknęła Morgana. - On już i tak dość dużo przeszedł. - Położyła rękę na ramieniu kuzyna. - Boone, Ana musi teraz odpocząć. Potrzebny jej spokój. Jeśli chcesz, możesz ją zanieść do domu. A jedno z nas zostanie przy niej, żeby się nią opiekować.

- Nie, ona zostanie u mnie. - Boone odwrócił się i wniósł Anę pod swój dach.

Dryfowała w przestrzeni pozbawionej koloru. Nie czuła bólu. Nic nie czuła. Była bezcielesna jak mgła. Raz czy dwa słyszała, jak Sebastian i Morgana zaglądają w jej głęboko uśpiony umysł, żeby zaoferować pomoc. Potem przyłączyli się do nich inni - jej rodzice, wujowie i ciotki.

W końcu zaczęła wracać do siebie po długiej, nieskończonej długiej podróży.

Bezbarwny świat z wolna zaczął nasączać się kolorami. Skóra zaczęła odbierać pierwsze drobne bodźce. Westchnęła - i był to pierwszy odgłos, jaki wydała w ciągu ostatniej doby - a potem otworzyła oczy.

Widząc to, Boone wstał z fotela, żeby jej podać lekarstwo, które zostawiła Morgana.

- Masz. - Podsunął jej kubek do ust. - Musisz to wypić. Posłuchała go, bo rozpoznała zapach i smak.

- Co z Jessie?

- Wszystko w porządku. Nash i Morgana wzięli ją do siebie na noc. Pokiwała głową i wypila kolejny łyk.

- Jak długo spałam?

- Spałaś? - prychnął. Co za określenie! - Byłaś w sypialce przez dwadzieścia sześć godzin. - Zerknął na zegarek. - I trzydzieści minut.

Najdłuższa podróż, jaką kiedykolwiek przedsięwzięła.

- Muszę zadzwonić do rodziny, żeby im powiedzieć, że już wszystko w porządku.

- Ja to zrobię. Jesteś głodna?

- Nie. - Udawała, że nie poczuła się dotknięta jego obojętnym tonem. - Nic mi na razie nie trzeba.

- Wobec tego zaraz wracam. Kiedy wyszedł, ukryła twarz w dłoniach. To jej wina. Zdradziła przed nim swój sekret. Nie przygotowała go na to, a potem los wmieszał się między nich. Z westchnieniem wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

- Co ty wyprawiasz, na Boga?! - krzyknął Boone, stając w progu. - Masz odpoczywać.

- Już dosyć odpoczęłam. - Spuściła wzrok i zaczęła zapinać bluzkę. - A zresztą wolę stać, kiedy będziemy o tym rozmawiać.

Roztrzęsiony, pokiwał głową.

- Jak sobie życzysz.

- Możemy wyjść na dwór? Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Dobrze. - Wziął ją za rękę i sprowadził po schodach na taras. Kiedy posadził ją w fotelu, wyjął papierosa i zapalki. Odkąd zaniósł Anę na górę, nie zmrużył oka. Przy życiu trzymały go tylko tytoń i kofeina. - Jeżeli czujesz się na siłach, chciałbym usłyszeć twoje wyjaśnienia.

- Chętnie spróbuję ci wszystko wyjaśnić. Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej. - Ana splotła ręce. - Chciałam, ale nie wiedziałam, jak.

- Mów szczerze - powiedział, zaciągając się dymem.

- Pochodzę z bardzo specyficznego rodu, po ojcu i matce. Z innej kultury, jeśli chcesz. Wiesz, co to wikka?

Boone drgnął, jakby ktoś dotknął go zimną ręką, ale to było tylko chłodne nocne powietrze.

- Czary?

- Prawdziwe znaczenie tego słowa to „mędrzec”. Ale może być też czarownik. Albo czarownica. - Jej szare przejrzyste oczy spotkały się z jego zmęczonymi, podkrążonymi oczyma. - Jestem czarownicą. Odziedziczyłam krew po przodkach. Przy urodzeniu otrzymałam dar empatii, pozwalający mi łączyć się psychicznie i fizycznie z innymi. Potrafię też leczyć.

Boone znów zaciągnął się dymem.

- Masz czelność tak siedzieć i mówić mi prosto w oczy, że jesteś czarownicą?

- Tak. Odrzucił z wściekłością papierosa.

- Co za gry ze mną uprawiasz, Ano? Nie uważasz, że po tym, co zdarzyło się ubiegłej nocy, zasługuję na jakieś rozsądne wyjaśnienie?

- Myślę, że zasługujesz na prawdę. Choć w twoich oczach może ona mieć mało wspólnego z rozsądkiem. - Podniosła rękę, zanim zdążył się odezwać. - Powiedz mi, jak ty wyjaśniłbyś to, co się wydarzyło?

Boone otworzył usta, ale się rozmyślił. Od dwudziestu czterech godzin zastanawiał się nad tym, ale nie udało mu się wymyślić zadowalającego wytłumaczenia.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ale to nie znaczy, że kupię tę twoją historyjkę.

- Poczekaj - powiedziała Ana. - Wstała i położyła mu rękę na piersi. - Jesteś zmęczony. Mało spałeś. Boli cię głowa i żołądek.

- Nie musisz być czarownicą, żeby się tego domyślić.

- Nie. - Nim zdążył się cofnąć, położyła mu jedną rękę na czole, a drugą na żołądku. - Lepiej ci? - zapytała.

Poczuł, że musi usiąść, ale bał się, że już potem nie wstanie. Ana tylko go dotknęła, a ból zniknął bez śladu.

- Co to jest? Hipnoza?

- Nie. Spójrz na mnie, Boone.

Podniósł na nią oczy i zobaczył obcą kobietę, której splecione włosy rozwiewał wiatr. Bursztynowa czarodziejka, pomyślał w osłupieniu. Nic dziwnego, że tamta figurka tak bardzo przypominała mu Anę.

Dostrzegła na jego twarzy szok i cień zrozumienia.

- Kiedy mi się oświadczyłeś, poprosiłam, żebyś dał mi trochę czasu. Chciałam się zastanowić, jak ci o tym wszystkim powiedzieć. Bałam się... - Opuściła rękę.

- Bałam się, że popatrzysz na mnie dokładnie tak jak teraz. Jakbyś mnie nie znał.

- To jakaś bzdura. Sam piszę takie historie i potrafię odróżnić prawdę od fikcji.

- Moje magiczne zdolności są bardzo ograniczone. - Sięgnęła do kieszeni, w której zawsze nosiła kilka kryształów. Trzymając je w otwartej dłoni, spojrzała Boone'owi w oczy. Kamienie zalśniły niezmierną poświatą. Fiolet ametystu pogłębił się, róż kwarcu stał się bardziej jaskrawy, a zieleń malachitu głęboko soczysta. A potem kamienie uniosły się nad jej dłoń i zaczęły wirować w powietrzu, rozsiewając tajemniczy blask. - Morgana jest pod tym względem bardziej utalentowana.

Boone patrzył na lewitujące kryształy i próbował znaleźć logiczne wytłumaczenie tego, co widział.

- Morgana też jest czarownicą?

- Jest moja kuzynką.

- Czyli Sebastian też...

- Sebastian otrzymał dar widzenia. Nie chciał w to uwierzyć, ale przecież musiał wierzyć własnym oczom.

- Twoja rodzina... - zaczął. - Te magiczne sztuczki twojego ojca...

- To najczystsze czary. - Ana zebrała kryształy i schowała je do kieszeni. - Jak ci już mówiłam, ojciec to bardzo utalentowany człowiek. Podobnie jak reszta rodziny, każdy na swój sposób. Wszyscy jesteśmy czarodziejami. - Wyciągnęła rękę, ale Boone cofnął się. - Przepraszam cię, Boone.

- Ty mnie przepraszasz? - Boone był wstrząśnięty. Czy to jawa, czy sen? Przecież stoi na swoim własnym tarasie, czuje powiew wiatru i słyszy szum morza. To chyba jakiś koszmar! - To świetnie. Fantastycznie. Ty mnie przepraszasz. A za co, Ano? Za to, że jesteś, kim jesteś, czy może za to, że nie uznałaś za stosowne, żeby mi o tym bodaj wspomnieć?

- Nie przepraszam za to, że jestem, kim jestem. Ana wyprostowała się dumnie.

- Tylko za to, że ci o tym nie powiedziałam. Jest mi poza tym strasznie przykro, że nie potrafisz na mnie patrzeć tak jak dotąd.

- A czego się spodziewałaś? Ze przejdę nad tym do porządku dziennego i wszystko będzie tak jak przedtem? Mam pogodzić się z faktem, że kobieta, którą kocham, jest jak bohaterka moich bajek i uważa, że to nie ma znaczenia?

- Jestem, kim jestem. Taka byłam wczoraj i taka będę jutro.

- Jesteś czarownicą.

- Tak. - Ana splotła ręce. - Czarownicą, urodzoną po to, żeby doskonalić swój dar. Nie podaję zatrutych jabłek i nie zwabiam dzieci do domku z piernika.

- I to ma mnie uspokoić?

- Nawet ja nie potrafię uspokoić twojego sumienia. Jak ci już mówiłam, człowiek jest kowalem własnego losu. To ty musisz dokonać wyboru. Nikt tego za ciebie nie robi.

Boone starał się ją zrozumieć, ale nie potrafił.

- Potrzebowałam czasu, żeby mi o tym powiedzieć. Teraz ja potrzebuję trochę czasu, żeby to sobie przemyśleć. - Zaczął krążyć nerwowo po tarasie. Nagle stanął jak wryty. - Jessie! Jessie jest u Morgany!

Ana miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce.

- Rzeczywiście. A moja kuzynka też jest czarownicą. - Pojedyncza łza potoczyła jej się po policzku. - Czego się boisz? Że ją zamieni w jaszczurkę? Albo zamknie w wieży?

- Sam już nie wiem, co robić. Znalazłem się w samym środku bajki! Co mam o tym myśleć?

- Myśl sobie, co chcesz - znużonym tonem powiedziała Ana. - Nie potrafię się zmienić, i nie chcę. Nawet dla ciebie. Nie zamierzam też stać tu dłużej. Nie będziesz patrzył na mnie jak na jakiegoś potwora.

- Ja nie...

- Mam ci powiedzieć, co czujesz? - zapytała, ocierając kolejną łzę. - Czujesz się oszukany, zraniony i zły. I boisz się mnie. Boisz się tego, kim jestem, co robię i co mogę jeszcze zrobić.

- Moje uczucia to moja sprawa - odciął się Boone. Był wstrząśnięty. - Nie życzę sobie, żebyś wchodziła w moją duszę.

- Wiem. Wiem też, że gdybym teraz wyciągnęła do ciebie ręce, odsunąłbyś się ode mnie. A tego wolę nam obojgu oszczędzić. Dlatego mówię ci dobranoc, Boone.

Zeszła z tarasu i zniknęła w mroku. A on patrzył za nią i nie potrafił przywołać jej z powrotem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Mam wrażenie, że ciągle jesteś trochę oszołomiony. Nash oparł się o balustradę i pociągnął łyk piwa. Był miły, chłodny wieczór.

Siedzieli na tarasie u Boone'a.

- Nigdy nie byłem trochę oszołomiony - powiedział Boone. - Może i jestem ograniczonym facetem, Nash, ale kiedy się dowiedziałem, że moja sąsiadka jest czarownicą, po prostu ścięło mnie z nóg.

- Zwłaszcza że byłeś zakochany w tej sąsiadce.

- Tak. Kto by w to uwierzył? Ja sam nie mogę w to uwierzyć. Ale przecież widziałem na własne oczy, co zrobiła z Jessie. A potem wszystkie fragmenty zaczęły się układać w jedną całość. - Roześmiał się gorzko. - Czasami budzę się w środku nocy i myślę, że mi się to wszystko przyśniło. - Podeszedł do balustrady, wychylił się i zasłuchał w szum fal. - To nieprawda! To nie może być prawda!

- Czemu nie? Boone, posłuchaj, w naszym własnym interesie musimy być trochę bardziej elastyczni.

- Tak. Ale dotąd robiliśmy to dla dobra naszej twórczości, dla książek i kina. Dla rozrywki, Nash. A tutaj chodzi o życie.

- To jest także moje życie, Boone. Boone prychnął, zdesperowany.

- Pewnie tak. Ale czy nigdy... czy nigdy nie miałeś jakichś pytań? Nigdy cię to nie niepokoiło?

- Ależ tak. Myślałem, że Morgana żartuje. Póki nie uniosła mnie w powietrze i nie kazała lewitować nad ziemią. - Na myśl o tym uśmiechnął się. - Morgana nie jest taka subtelna jak Ana. Kiedy już wpadłem, to na całego. To było czyste szaleństwo.

- Czyste szaleństwo - z westchnieniem powtórzył Boone.

- Tak. Przeważającą część życia spędziłem na wymyślaniu tego rodzaju historii, a na koniec wylądowałem jako mąż czarownicy, w której żyłach płynie czarodziejska krew celtyckich mędrców.

- Czarodziejska krew... - zaniepokoił się Boone. - To cię nie przeraża?

- A czemu miałyby mnie przerażać? To dzięki niej Morgana, jest jaka jest, i taką ją pokochałem. Muszę przyznać, że miałem pewne wątpliwości co do dzieci. Kiedy i one zaczną uprawiać swoje czary, znajdę się w mniejszości.

- Bliźnięta! Chcesz mi powiedzieć, że te maleństwa są... że one będą...

- Mogę się o to założyć. Daj spokój, Boone, przecież one nie wyrosną na jakieś gnomy. Odziedziczą tylko po matce pewne dodatkowe zdolności. Słyszałeś, że Mel jest przy nadziei? To już pewne. To najbardziej rzeczowa kobieta, jaką znam, a radzi sobie z Sebastianem, jakby od urodzenia chowała się w towarzystwie jasnowidzów.

- Dlatego ty mówisz mi teraz: „Odpręż się, Boone. Co cię gnębi?” Nash przysiadł na ławce.

- Wiem, że to nie takie proste.

- Pozwól, że zadam ci jedno pytanie... jak dalece byłeś zaangażowany, kiedy Morgana powiedziała ci o jej... jak by to powiedzieć... dziedzictwie?

- Byłem wtedy wolny jak ptak. Robiłem dokumentację scenariusza i ktoś mi o niej powiedział. Ludzie ciągle donoszą mi o takich rzeczach.

- Wiem.

- Nie powiem, żebym w to uwierzył, ale pomyślałem sobie, że to dobry materiał na wywiad. Więc...

- A Mel i Sebastian?

- Nie jestem pewny, ale wiem, że ona go poznała, kiedy jej klientka zażyczyła sobie wizyty u jasnowidza. Czyli też wiedziała o wszystkim od początku. - Nash zasępił się. - Wiem, do czego zmierzasz, i w pewnym sensie masz rację. Może Ana powinna od początku być z tobą szczerą.

- Może? - prychnął drwiąco Boone.

- No dobrze. Powinna być szczerą. Ale nie wiesz o wszystkim. Morgana opowiadała mi, że Ana była kiedyś strasznie zakochana w jednym facecie. Miała tylko dwadzieścia lat i nie widziała poza nim świata. On był lekarzem w jakimś szpitalu, a ona sobie wymyśliła, że mogliby pracować razem, że będzie mu pomagać. Więc powiedziała mu o wszystkim i wtedy on z nią zerwał. I to brutalnie. Z jej nadwrażliwością bardzo to przeżyła i długo nie mogła dojść do siebie. A w końcu zdecydowała się na samotne życie. - Boone milczał, więc Nash zaczął mówić dalej. - Posłuchaj, nie mogę ci powiedzieć, co masz robić i co czuć. Ale zapewniam cię, że Ana nigdy w życiu nie skrzywdziłaby ani ciebie, ani Jessie. Ona nie jest zdolna do czegoś takiego.

Boone popatrzył na sąsiedni dom. Okna były martwe i ciemne, jak przez cały ubiegły tydzień.

- Gdzie ona jest?

- Chciała wyjechać na jakiś czas. Żeby zejść wszystkim z oczu.

- Nie widziałem jej od dnia, w którym mi o wszystkim powiedziała. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że lepiej żebym trzymał się z daleka. Jessie też trzymałem z dala od niej - dodał w nagłym poczuciu winy. A potem, jakiś tydzień temu, Ana wyjechała.

- Pojechała do Irlandii, ale obiecała, że wróci na Gwiazdkę. Boone, skołowany, pokiwał tylko głową.

- Pomyślałem, że przed świętami wybiorę się z Jessie do Indiany. Tylko na parę dni. Może kiedy wszyscy znowu tu zjedziemy, będę już wiedział, co robić.

- Wigilia. - Padrick spróbował piwa własnej roboty, po czym westchnął. - Najpiękniejsza noc w roku. - Nappełnił kufel i podał go córce. - To ci doda rumieńca, kochanie.

- I roznieci ogień w żyłach. - Ana z uśmiechem umoczyła usta. - To nie do wiary, jak szybko rosną te bliźnięta.

- Tak. - Padrick nie dał się nabrać na jej ożywiony ton. - Nie mogę patrzeć, jak moja królewna jest taka smutna.

- Wcale nie jestem smutna. - Ana ścisnęła go za rękę. - Nic mi nie jest, papo. Naprawdę.

- Wiesz, że mogę go zamienić w dudka. Dla ciebie zrobiłbym to z przyjemnością, córeczko.

- Nie. - Ana cmoknęła go w czubek nosa. - Poza tym obiecałeś, że kiedy wszyscy się tu zjedzą, nie będziemy o tym rozmawiać.

- Tak, ale...

- Obiecałeś - powtórzyła, po czym podeszła do pieca, żeby pomóc matce. Cieszyła się, że jej dom był pełen ludzi, których kochała. Wszędzie unosiły się zapachy, które nieodłącznie kojarzyły jej się ze świętami. Cynamon, gałka muszkatołowa, wanilia, żywica. Kiedy przed kilkoma dniami wróciła do domu, z miejsca rzuciła się w wir przygotowań świątecznych. Ubieranie choinki, pakowanie prezentów, pieczenie ciast. Wszystko, byle tylko nie myśleć o tym, że Boone wyjechał.

Że nie rozmawiali ze sobą od ponad miesiąca.

Ale ona jakoś to przeżyje. Wiedziała już, co robić, i postanowiła, że nie dopuści do tego, żeby jej własne nieszczęście popsuło wszystkim radość z rodzinnych świąt.

- Będziemy się cieszyć, jeżeli wrócisz z nami do Irlandii, Ano. - Maureen pocałowała córkę w policzek. - O ile oczywiście tego właśnie chcesz.

- Stęskniłam się za Irlandią - odpowiedziała Ana. - Gęś jest już chyba gotowa. - Otworzyła piekarnik, powąchała i pokiwała głową. - Jeszcze dziesięć minut - stwierdziła. - Pójdę sprawdzić, czy na stole niczego nie brakuje.

- Ona nie chce o tym mówić - powiedziała Maureen do męża, kiedy Ana zniknęła za drzwiami.

- Powiem ci, czego bym chciał, gołąbeczko. Chciałbym wysłać tego młodego człowieka na biegun północny. Ale tylko na dzień albo dwa.

- Gdyby Ana nie była taka przewrażliwiona na tym punkcie, mogłabym przygotować napój, który by go tu sprowadził.

Padrick poklepał żonę po pośladku.

- Masz taką delikatną rączkę, Reenie. Chłopak ani by się obejrzał, a już by tu był. Co byłoby najlepszym wyjściem i dla niego, i dla tej jego rozkosznej dziewczuszki. - Westchnął i pocałował żonę w ramię. - Ale Ana nigdy by nam tego nie wybaczyła. Dlatego musimy jej pozwolić, żeby rozegrała to wszystko po swojemu.

Zmęczony i sfrustrowany, po dniu pełnym spóźnień i odwoływanych lotów, Boone zatrzasnął drzwi samochodu. Marzył już tylko o jednym - o gorącej kąpieli. Przed sobą miał perspektywę długiej nocy, pełnej kłopotów z powodu braku współnika.

Jeżeli Święty Mikołaj miał się pojawić jeszcze przed świtem, Boone Sawyer będzie się musiał nieźle natrudzić.

- Chodź, Jess. - Potarł zmęczone oczy. Spędzili w podróży ponad dwanaście godzin, w tym sześć na lotnisku, podczas których nudził się jak mops.

- Trzeba wnieść bagaże do domu.

- Tato, popatrz na dom Any! - Jessie pociągnęła go za rękaw. Odwrócił się. Dom jarzył się światłami. - Jest samochód Morgany i Sebastiana, i ten duży czarny też. Wszyscy są u niej na święta.

- Widzę. - Serce szybciej zabiło mu w piersi, ale zaraz zamarło, bo jego wzrok padł na tabliczkę „Na sprzedaż”.

- Możemy iść do niej i złożyć jej życzenia? Proszę cię, tatusiu. Stęskniłam się za Aną. - Jessie ścisnęła w palcach cyrkon, który dostała od Any. - Chodźmy życzyć jej wesołych świąt.

- Dobrze. - Patrząc na tabliczkę, ścisnął rękę córki. - Pójdziemy. I to zaraz. A więc ona chce się wyprowadzić? - myślał, przemierzając trawnik wielkimi krokami. Jeszcze czego! Chciała sprzedać dom pod jego nieobecność? Nigdy w życiu! Już on jej to wybije z głowy!

- Tatusiu, czemu tak pędzisz? - Jessie próbowała dotrzymać mu kroku. - I nie ściskaj mnie tak mocno! To boli!

- Przepraszam. - Zaczerpnął tchu, a potem powoli wypuścił powietrze z płuc. U stóp schodów wziął Jessie na ręce i wszedł na górę, po dwa stopnie naraz. A kiedy zapukał do drzwi Any, zabrzmiało to nie jak prośba, ale jak rozkaz.

Otworzył Padrick, z białą sztuczną brodą i w długiej czerwonej czapce. Na widok Boone'a przestał się uśmiechać.

- No, no, kogo ja widzę? Nie boisz się stawić czoła nam wszystkim, chłopcze? Nie jesteśmy tacy mili jak Ana.

- Chciałbym się z nią zobaczyć.

- Chciałbyś, tak? Poczekaj chwilę. - Wziął z jego rąk Jessie. - Widzę, że tym razem trafiłem na prawdziwego elfa. Wiesz, co ci powiem, córciu? Biegnij pod choinkę i poszukaj, czy nie ma tam czegoś dla ciebie.

- Mogę? - Jessie uściskała Padricka, a potem odwróciła się do ojca. - Mogę, tato?

- Jasne - powiedział z uśmiechem, który przerodził się w grymas, gdy tylko dziewczynka zniknęła w salonie. - Przyszedłem, żeby się zobaczyć z Aną, panie Donovan.

- Tymczasem zobaczyłeś mnie. Ciekawe, co byś ty zrobił, gdyby ktoś zabrał serce Jessie, a potem wycisnął je jak cytrynę? - Choć był o głowę niższy od Boone'a, zbliżył się, wymachując pięściami. - Porachuję się z tobą gołymi rękami. Masz na to moje słowo czarownika. No, chodź ze mną walczyć!

Boone nie wiedział, czy śmiać się, czy uciekać.

- Panie Donovan...

- No, proszę, uderz pierwszy! - Padrick wyglądał zupełnie jak obrażony Święty Mikołaj. - Spuszczę ci niezłe lanie, bo na to zasłużyłeś. Słyszałem, jak ona przez ciebie płakała w nocy, i krew się we mnie zagotowała. Wtedy powiedziałem sobie: Padrick, musisz zniszczyć tego nędznego gada. To sprawa honoru. - Wziął duży rozmach, a jego zaciśnięta pięść trafiła w powietrze tuż obok Boone'a. - Nie pozwoliła mi się policzyć z tantym ulizanym szczurem, który złamał jej serce, ale ciebie dopadłem.

- Panie Donovan... - Boone próbował uniknąć kolejnych ciosów. - Nie chcę się z panem bić!

- Co ty możesz mi zrobić? - Padrick podrygiwał jak sprężyna. Mikołajowa czapka zsunęła mu się na oczy. - Bo ja mogę ci poprzewracać flaki albo przypawić głowę chomika. Mógłbym...

- Papo! - Ana ostro przerwała tę litanie śmiesznych gróźb.

- Wracaj do salonu, królewno, to męska sprawa.

- Nie będziecie się bić w Wigilię na progu mojego domu. Macie zaraz przestać!

- Pozwól mi wysłać go na biegun północny. Tylko na godzinę czy dwie. To mu dobrze zrobi.

- Nie pozwalam. - Ana położyła ojcu rękę na ramieniu. - A teraz wejdź do domu i zachowuj się przyzwoicie, bo powiem Morganie, żeby się tobą zajęła.

- Ha! Poradzę sobie z nią bez trudu. Jest ode mnie dwa razy młodsza.

- Morgana jest bardzo sprytna. - Ana pocałowała go w policzek. - Proszę cię, papo, zrób to dla mnie.

- Nigdy nie potrafiłem ci niczego odmówić - mruknął Padrick, a potem przeniósł wzrok na Boone'a. - A ty uważaj, koleś. - Dźgnął go w pierś pulchnym palcem. - Kto podpadł jednemu z Donovanów, podpadł nam wszystkim. - Prychnął gniewnie i pomaszerował do salonu.

- Przepraszam - zaczęła Ana, próbując się uśmiechnąć. - Papa jest trochę nadopiekuńczy.

- Tak mi się też wydaje. - Skoro już nikt nie kazał mu się bić, Boone schował ręce do kieszeni. - Chciałem... chcieliśmy życzyć wam wszystkim Wesołych Świąt.

- Jessie już to zrobiła. - Na chwilę zapadła męcząca cisza. - Wejdź i napij się z nami piwa.

- Nie chciałbym przeszkadzać. Twoja rodzina... - uśmiechnął się krzywo - nie chciałbym też ryzykować życia.

Ostatni cień uśmiechu zniknął z oczu Any.

- On by ci nic nie zrobił. My nie krzywdzimy ludzi.

- Nie to miałem na myśli... - Co miał jej powiedzieć? - Nie mam mu tego za złe, że był zdenerwowany, nie chcę też stwarzać krępujących sytuacji. Wolałbym... - Odwrócił się i jego wzrok padł na tabliczkę „Na sprzedaż”. Krew uderzyła mu do głowy. - Co to ma znaczyć?

- To chyba oczywiste. Sprzedaję dom. Postanowiłam wrócić do Irlandii.

- Do Irlandii? Myślisz, że możesz tak po prostu spakować się i przeprowadzić na drugi koniec świata?

- Tak właśnie myślę, Boone. A teraz przepraszam, ale wszyscy czekają przy stole i muszę wracać. Oczywiście będzie nam miło, jeżeli się do nas przyłączysz.

- Przestań być taka cholernie uprzejma! Ja... - urwał. - Nie przyszedłem tu na kolację - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Chcę z tobą pomówić.

- Teraz nie czas na to.

- To zależy tylko od nas. Chwyił ją za rękę, ale w tej samej chwili za plecami Any wyrósł Sebastian.

- Masz jakieś problemy, Anastasio? - zapytał, kładąc jej rękę na ramieniu i patrząc ostrzegawczo na Boone'a.

- Nie. Zaprosiłam Boone'a i Jessie na kolację, ale Boone nie może się do nas przyłączyć.

- Szkoda. - Sebastian uśmiechnął się złowieszczo. - Wobec tego przepraszam, Sawyer, ale musimy wracać do gości.

Boone z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi. Gwar umilkł jak nożem uciął. Kilka par oczu zwróciło się w jego stronę, ale Boone był zbyt wściekły, żeby zauważyć, że Sebastian przygląda mu się teraz wyraźnie rozbawionym wzrokiem.

- Zejdźcie mi z drogi! - powiedział cicho Boone. - Wszyscy razem i każdy z osobna. Nie dbam o to, kim i czym jesteście. - Gotów stawić czoło całej armii skrzydlatych smoków, chwycił Anę za rękę. - A ty pójdiesz teraz ze mną!

- Ale moja rodzina...

- Może sobie poczekać. - Wyciągnął ją na dwór. Jessie patrzyła na nich spod choinki szeroko otwartymi oczyma.

- Czy tatuś jest wściekły na Anę?

- Nie. - Uszczęśliwiona Maureen serdecznie uściskała dziewczynkę. - Myślę, że poszli po jeszcze jeden gwiazdkowy prezent dla ciebie. Taki, który ci się najbardziej spodoba.

Kiedy znaleźli się na dworze, Ana zaczęła się wyrywać.

- Przestań mnie ciągnąć, Boone!

- Ja cię wcale nie ciągnę - powiedział, prowadząc ją przez podwórko.

- Nie chcę iść z tobą. - Poczula wzbierające pod powiekami łzy. - Nie mam ochoty przeżywać tego samego po raz drugi.

- Myślisz, że ten głupi szylid przed domem rozwiąże wszystkie twoje problemy? - Boone pociągnął Anę w stronę kamiennych schodków prowadzących na plażę. - Podrzucasz mi taką bombę, a potem chcesz uciec do Irlandii?

- Mogę sobie robić, co mi się podoba.

- Wiedźma czy nie, zastanów się raz jeszcze.

- Nie chciałeś ze mną rozmawiać.

- Ale teraz mówię do ciebie.

- Tak, ale teraz ja nie mam już ochoty na rozmowę. - Wyrwała się i zaczęła się wspinać z powrotem na górę.

- Nie chcesz rozmawiać, no to mnie wysłuchasz. - Boone chwycił ją w tali i przerzucił sobie przez ramię. - I zrobimy to na tyle daleko od domu, żeby twoja rodzina nie siedziała mi na karku. - Kiedy zszedł na plażę, postawił Anę na piasku. - Jeden krok - ostrzegł ją - a znowu cię złapię.

- Nie dam ci tej satysfakcji - powiedziała, powstrzymując łzy. - Słyszałam, że masz mi coś do powiedzenia. No, to mów. Ja też powiem, co mi leży na sercu. Godzę się z twoją decyzją co do naszego związku. Jest mi tylko bardzo przykro, że postanowiłeś odizolować mnie od Jessie.

- Ja nigdy...

- Nawet nie próbuj zaprzeczać. Przed moim wyjazdem do Irlandii trzymałeś ją w domu przez tyle dni! - Podniosła garść kamyków i cisnęła je do wody. - Nie chciałeś, żeby twoja ukochana córka kręciła się w pobliżu czarownicy. - Odwróciła się do niego. - Czego się bałeś, Boone? Ze zaklęciem ją i jej psa?

Usta Boone'a drgnęły. Wyciągnął ręce, ale Ana uchyliła się.

- Ano, bądź dla mnie bardziej wyrozumiała.

- Byłam. Ale ty się ode mnie odwróciłeś. Wiedziałam, że tak będzie.

- Wiedziałaś? - Boone zaczynał już być tym wszystkim bardzo zmęczony. - Skąd wiedziałaś, jak zareaguję? Zajrzałaś w kryształową kulę czy może poprosiłaś twojego kuzyna jasnowidza, żeby mi pogrzebał w głowie?

- Ani jedno, ani drugie - odparła, tracąc resztki cierpliwości. - Nie pozwoliłam Sebastianowi, chociaż chciał to zrobić. A sama też nie patrzyłam, bo wydało mi się to nie fair. Wiedziałam, że się ode mnie odwrócisz, bo...

- Bo ktoś już raz to zrobił?

- Nieważne. To w niczym nie zmienia faktu, że się ode mnie odwróciłeś.

- Musiałem sobie to wszystko przemyśleć.

- Pamiętam, jak wtedy na mnie patrzyłeś. - Ana zamknęła oczy. - Widziałam już przedtem takie spojrzenie. Oczywiście nie byłeś tak okrutny jak Robert. Nie było obelg i oskarżeń, ale sens był taki sam: trzymaj się z daleka ode mnie i od tego, co moje. Nie akceptuję cię. Nie tak było? - zakończyła, krzyżując ręce na piersi.

- Nie zamierzam przeproszać za to, co moim zdaniem było tylko zdrową reakcją. Poza tym byłem śmiertelnie zmęczony i roztrzęsiony. Czuwałem przy twoim łóżku przez tyle godzin, nie wiedząc, czy przeżyjesz. A kiedy odzyskałaś przytomność, nie wiedziałem, jak cię traktować... A ty mnie poczęstowałaś takimi rewelacjami.

Ana spróbowała się opanować.

- To nie była pora na takie rozmowy. Byłam zbyt osłabiona, żeby sobie poradzić z twoimi negatywnymi uczuciami.

- Gdybyś mi powiedziała wcześniej...

- To co? Zareagowałbyś inaczej? - Podniosła na niego oczy. - Nie, nie sądzę. Ale masz rację. Powinnam była cię uprzedzić, zanim sprawy zaszły za daleko. To była moja wina. Moja słabość. I mój strach.

- Nie wkładaj słów w moje usta, Ano. Chyba że, jak to określasz, połączyłaś się ze mną. Bo jeżeli nie, to nie masz pojęcia, co czuję. Najbardziej zabolął mnie twój brak zaufania.

Ana pokiwała głową i otarła łzę.

- Wiem. Przepraszam.

- Bałaś się?

- Mówiłam ci, że jestem tchórzem. Marszcząc brwi, popatrzył, jak wiatr rozwiewa jej włosy.

- Mówiłaś, to prawda. Tej nocy, kiedy znalazłaś mój rysunek. Ten z wiedźmą. Wtedy się przestraszyłaś.

Ana wzruszyła ramionami .

- Czasami bywam przewrażliwiona. Wtedy akurat byłam w takim nastroju. Chciałam...

- Chciałaś mi powiedzieć, a potem przestraszyłaś się tego rysunku.

- To nie był dobry moment, żeby mówić takie rzeczy.

- Dlatego, że byłaś tchórzem - powiedział spokojnie, nie spuszczać z niej wzroku. - Pozwól, że cię o coś zapytam, Ano. Co konkretnie zrobiłaś Jessie tamtego dnia?

- Złączyłam się z nią. Mówiłam ci, że mam dar empatii.

- Bolało cię. Sam to widziałem. - Wziął ją za rękę i odwrócił ku sobie. - Raz nawet krzyknęłaś, jakby ból był nie do zniesienia. Potem zemdlałaś, a później spałaś jak zabita przez całą dobę.

- To cena, jaką płacę za mój dar. - Próbowała oswobodzić rękę. Dotyk Boone'a sprawiał jej ból. - Tak się zdarza, kiedy obrażenia są bardzo poważne.

- Rozumiem.. Pytałem Morgany. Powiedziała, że mogłaś umrzeć. Ze ryzyko było bardzo poważne, bo Jessie... - słowa z trudem przechodziły mu przez usta - bo Jessie o mały włos nie umarła. A ty nie tylko nastawiłaś złamane kości, ale praktycznie wyrwałaś ją z objęć śmierci. Granica między życiem i śmiercią jest bardzo wąta i łatwo ją przekroczyć. Często uzdrowiciel staje się ofiarą.

- A co miałam zrobić? Pozwolić jej umrzeć?

- Tchórz pozwoliłby na to. Myślę, że nasze definicje się różnią. To, że się boisz, nie czyni z ciebie tchórza. Mogłaś ocalić siebie i pozwolić jej odejść.

- Przecież ja ją kocham.

- Ja też. Ty mi ją zwróciłaś. A ja ci nawet nie podziękowałem.

- Myślisz, że chcę twojej wdzięczności? - To zbyt wiele, pomyślała. Za chwilę ofiaruje jej swoją litość. - Nie chcę. Zrobiłam to z własnej woli, bo nie mogłam znieść myśli, że ją utracę. I nie mogłam znieść myśli, że ty...

- Zrobiłaś to dla mnie? - zapytał cicho.

- Tak. Nie mogłam do tego dopuścić, żebyś stracił ukochane dziecko. Nie dziękuj mi za to. To mój dar.

- Robiłaś to przedtem? To, co zrobiłaś z Jessie?

- Jestem uzdrowicielką. Uzdrawiam. Ona była...

- Wciąż trudno jej było o tym myśleć. - Ona już nas opuszczała. Użyłam wszystkich mocy, żeby ją tu zatrzymać.

- To nie takie proste. - Jego ręce delikatnie gładziły jej ramiona. - Nawet dla ciebie. Czujesz więcej niż inni. To też Morgana mi powiedziała. Głębiej przeżywasz ból i wszystkie emocje. Dlatego nie płaczesz. - Otarł łzę z jej policzka. - Ale teraz płaczesz.

- Wiesz już wszystko, co chciałeś wiedzieć. Więc czego chcesz jeszcze?

- Chcę jeszcze raz cofnąć się do nocy, kiedy mi to próbowałaś wyjaśnić. Żebyś jeszcze raz spróbowała się przede mną otworzyć.

- Za wiele żądasz - wyszlochała, a potem ukryła twarz w dłoniach. - Zostaw mnie w spokoju. Nie widzisz, jak mnie to boli?

- Widzę. - Wziął ją w objęcia, mimo iż próbowała mu się wyrwać. - Schudłaś. Jesteś blada. Kiedy patrzę ci w oczy, widzę ból, który ci zadałem. Nie wiem, jak to cofnąć. Dziwię się też, że twój ojciec nie użył przeciwko mnie całego arsenału swoich czarów.

- Nie wolno nam używać naszych mocy w złych intencjach. To przeciwne naszej naturze. A teraz proszę cię, pozwól mi odejść.

- Nie mogę. Przez chwilę wydawało mi się, że potrafię. Okłamałaś mnie. Zawiodłaś moje zaufanie. Nie byłaś szczerą. - Trzymając ją mocno za ramiona, odsunął od siebie. - Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Nawet jeżeli to magia i czary, nie chcę tego stracić. Ciebie też nie chcę utracić. Kocham cię, Ano. Taką, jaka jesteś. - Dotknął ustami jej ust i poczuł słony smak łez. - Proszę cię, wróć do mnie.

W sercu Any zakiełkowała nadzieja.

- Chciałabym ci uwierzyć.

- Ja też chcę wierzyć. - Otoczył dłońmi jej twarz i znowu ją pocałował. - I wierzę. Wierzę w ciebie. W nas. Jeżeli to ma być moja bajka, chcę doprowadzić ją do końca.

Podniosła na niego oczy.

- Myślisz, że będziesz w stanie zaakceptować wszystko i wszystkich? Całą moją rodzinę?

- Wydaje mi się, że jako autor bajek doskonale zrozumieć się z twoją rodziną. Oczywiście to jeszcze trochę potrwa, zanim uda mi się przekonać twojego ojca, żeby nie przyprawiał mi głowy chomika. - Obwiodł palcem jej usta, które drgnęły w uśmiechu. Nie wiedziałem, czy jeszcze kiedyś uśmiechniesz się do mnie. Powiedz mi, że mnie nadal kochasz.

- Kocham cię. - Usta Any zadrżały pod jego ustami. - Zawsze będę cię kochać.

- Nigdy więcej nie sprawię ci bólu. - Boone otarł jej łzy. - I postaram się wynagrodzić ci wszystkie przykrości.

Chwyciła go za rękę.

- Mamy na to dużo czasu. Całą przyszłość.

- Nigdy więcej nie będziesz płakać przeze mnie. Uśmiechnęła się, ocierając mokre policzki.

- Przecież wiesz, że ja nigdy nie płaczę.

Boone ucałował jej mokre dłonie.

- Powiedziałaś mi wtedy, że mam cię znowu zapytać. Wprawdzie minął już ponad tydzień, ale mam nadzieję, że nie zapomniałaś, jaka miała być odpowiedź.

- Nie zapomniałam.

- Połóż rękę tutaj. - Przycisnął jej dłoń do swego serca. - Chcę, żebyś wiedziała, co czuję. - Ujął ją za drugą rękę. - Niedługo będzie pełnia. Po raz pierwszy pocałowałem cię w blasku księżyca. Byłem zachwycony, oczarowany, urzeczony. I zawsze będę. Jesteś mi potrzebna, Ano.

Poczuła, jak jego miłość zaczyna krążyć w jej żyłach.

- Jestem twoja.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła. Żebyśmy wspólnie wychowywali dziecko, które mi zwróciłaś. Jest teraz tak samo twoje jak moje. Chcę, żebyśmy mieli więcej dzieci. Kocham cię taką, jaka jesteś, i będę cię kochał do końca życia, Anastasio.

W poświacie księżyca wyciągnęła do niego rękę. Włosy miała złote jak słońce. Oczy siwe jak dym.

- Czekałam na ciebie.

EPILOG

N a wysokiej samotnej skale nad wzburzonym morzem wznosi się starożytny zamek Donovanów. Tej nocy błyskawice raz po raz rozdierały atramentowe niebo, a wiatr wprawiał w drżenie okienne witraże.

W komnatach ogień płonął na kominkach. Czarodziejki i czarodzieje, a także zwykli śmiertelnicy zgromadzili się przy ogniu i czekali na pierwszy krzyk, zwiastujący nowe życie.

- Czy ty oszukujesz, dziadku? - zapytała Jessie, która grała z Padrickiem w karty.

- Ja oszukuję?! - Padrick wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że tak. Proszę, ciągnij. Jessie zachichotała i wzięła nową kartę.

- Babcia Maureen mówi, że ty zawsze oszukujesz.

- Zerknęła na niego spod oka. - Czy to prawda, że byłeś żabą?

- Prawda, kochanie. Byłem śliczną, zieloną żabą. Jessie uwierzyła mu, tak jak uwierzyła w pozostałe czary, wiążące się z życiem wśród Donovanów. Pogłaskała pochrapującą Daisy, która spała z łbem na jej kolanach.

- A możesz kiedyś znowu zamienić się w żabę, żebym mogła to sobie obejrzeć?

- Może kiedyś zrobię ci niespodziankę. - Padrick mrugnął i karty w ręku dziewczynki zamieniły się w pęk tęczyowych lizaków.

- Och, dziadku! - roześmiała się Jessie.

- Sebastianie! - Mel zbiegła po schodach do holu, gdzie jej mąż sącył brandy i kibicował grającym w karty. - Shawn i Keely obudzili się i płaczą. Zajmij się nimi, bo ja pomagam Anie.

- Już idę. - Dumny ojciec trzymiesięcznych bliźniaków odstawił kieliszek i poszedł na górę, żeby zmienić dzieciom pieluszki.

Nash zabawiał roczną Allysię, a Donovan siedział na kolanach Matthew i bawił się jego kieszonkowym zegarkiem.

- Uważaj, żeby go nie połknął - powiedział Nash. - Albo zrób tak, żeby zniknął. Trudno utrzymać w ryzach naszego chłopaka.

- Mały musi rozwinąć skrzydła.

- Skoro tak twierdzisz... Ale któregoś dnia poszedłem, żeby go obudzić, a jego łóżeczko było pełne królików. I to prawdziwych.

- Ma to po matce - stwierdził z dumą Matthew. Allysia oparła się o ojca i roześmiała. Daisy obudziła się nagle i podeszła do nich. Po chwili do komnaty zbiegły się wszystkie zwierzęta, jakie tylko żyły na zamku.

- Ally? - westchnął Nash. - Pamiętasz, co mówiłem? Nie wszystkie naraz!

- Hau - hau! - Ally zaczęła ciągnąć za uszy wielkiego srebrzystego wilczura Matthew.

- Kicie.

- Następnym razem ma być tylko jeden, pamiętaj! Nash zdjął z ramienia kota i strącił drugiego z oparcia fotela.

- Kilka tygodni temu Ally kazała wyc wszystkich psom w promieniu dziesięciu mil. Chodźcie, moje kochane potwory. - W stał i wziął roześmiane, wierzgające bliźnięta pod pachę. - Czas do łóżka.

- Bajka! - zaczął się domagać Donovan. - Wujku Boone!

- Wujek jest bardzo zajęty - powiedział Nash. - Dziś wieczorem musi ci wystarczyć bajka taty.

Boone był rzeczywiście bardzo zajęty, obserwując odwieczny cud narodzin. W komnacie pachniało woskiem i ziołami. Ogień płonął na kominku. Boone trzymał w ramionach Anę, kiedy wydawała na świat ich syna.

A potem córkę.

A potem jeszcze jednego syna.

- Trojaczki - powtarzał z niedowierzaniem, kiedy Bryna podawała mu dzieci. - Trojaczki! - Mówili mu, że będzie trójka, ale on do końca w to nie wierzył.

- To u nas dziedziczne. - Ana, zmęczona, lecz szczęśliwa, wzięła z rąk Morgany kolejne zawiniątko. Przycisnęła usta do jedwabistego policzka. - Teraz mamy dwie dziewczynki i dwóch chłopców.

Boone uśmiechnął się do żony, kiedy Mel kładła obok niej trzecie dziecko.

- Potrzebny nam będzie większy dom.

- Rozbudujemy stary.

- Czy reszta rodziny może przyjść na górę? - zapytała cicho Bryna. - A może wolisz trochę odpocząć?

- Nie, poproś ich. - Ana oparła głowę na ramieniu Boone'a. Po chwili w komnacie zrobiło się gwarno i tłoczno. Ana poprosiła Jessie, żeby usiadła obok niej, a potem złożyła w jej ramiona jedno z trojaczków.

- To twój braciszek Trevor. To twoja siostra Mauve. A to drugi braciszek Kyle.

- Będę się nimi opiekować. Zawsze. Patrz, dziadku, jaką mamy teraz wielką rodzinę!

- To prawda, moje jagniątko. - Padrick wytarł nos w olbrzymią chustkę, otarł oczy i spojrzał zamglonym wzrokiem na Boone'a. - Dobrze, że cię nie zmiądzylem, synu, kiedy była okazja.

- Masz! - Boone podał mu piszczącego noworodka. - Potrzyj swojego wnuka.

- Maureen, mój pączuszk, popatrz tylko na niego. Ma moje oczy!

- Nie, mój żabi królu, moje. Po chwili wszyscy Donovanowie pogrążyli się w zażartej dyskusji na temat podobieństwa całej trójki.

Boone objął żonę i z uśmiechem patrzył, jak jego pierworodny poznaje smak matczynego pokarmu. Błyskawice rozdzierały niebo, wył wiatr, a ogień na kominku buchał wysoko.

W głębi borów i lasów, pośród łąk i wzgórz elfy i wróżki tańczyły w radosnym korowodzie.

A oni żyli długo i szczęśliwie.

NORA ROBERTS

OCZAROWANI

PROLOG

Była pełnia, godzina dziwów i magii. Czarny jak noc rączy wilk gnał oświetlony księżycowym blaskiem, wielkimi susami pokonując nieznaną przestrzeń. Rozkoszował się siłą swych stalowych mięśni, szumem przecinanego powietrza, miarowym oddechem. Mknął przez las, mijając ogromne niczym wieże drzewa, otoczone tajemną, czarodziejską poświatą.

Wiatr od morza targał gałęziami sosen, które śpiewały pieśni o ludziach żyjących w dawnych czasach i rozsiewały wokół żywiczny zapach. Drobne zwierzęta, o których obecności świadczyły błyszczące gdzieś ślepią, obserwowały z ukrycia lśniąca w świetle księżyca sylwetkę, przelatującą jak pocisk przez warstwę mgły unoszącą się nad drogą.

Wiedział, że są tutaj, mówił mu to jego węż, słyszał też ich gwałtownie pulsującą krew - lecz nie polował na nie, bowiem tej czarodziejskiej nocy zmagał się z potęgą magii i tylko to było jego celem.

Dlatego odłączył się od watahy i za partnerkę miał tylko samotność.

Dręczył go tajemny niepokój, którego nie były w stanie stłumić ani szybki pęd, ani smak wolności. Szukając ukojenia, przemierzał las, obiegał klify i okręzał leśne polany, lecz nic nie przynosiło mu ulgi ani radości.

Gdy ścieżka stała się bardziej stroma, a las zaczął rzednąć, wilk zwolnił biegu, węsząc w powietrzu... i poczuł coś, co go wywabiło z zawieszonych wysoko nad niespokojnym Pacyfikiem klifów. Potężnymi susami zaczął wspinać się po skałach, wyężając złociste ślepią, wypatrując i szukając.

Tutaj, na samym szczycie, w miejscu, gdzie fale rozbryzgiwały się i grzmiały niczym kanonada, a nad powierzchnią wody unosił się srebrzysty, okrągły księżyc, zadarł łeb i zawył.

Przywoływał magię.

Dźwięk poniósł się echem i wtargnął w noc, żądając i pytając zarazem.

Lecz szmery i szepty, przenikające do jego uszu z rozedrganego wiatrem powietrza, powiedziały mu tylko, że nadchodzi zmiana. Zbliża się kres starego, po którym nastąpi nowe. Bo takie jest przeznaczenie.

Czekało na niego, a on gnał na jego spotkanie.

Samotny wilk o złocistych oczach odrzucił do tyłu łeb i powtórnie zawył, jeszcze potężniej, bo domagał się więcej. Ziemia zadrżała, wzburzyła się woda. Daleko nad horyzontem ciemność rozdarła błyskawica, która oślepiła go, a w jej poświacie, migocącej nie dłużej niż jedno uderzenie serca, pojawiła się odpowiedź.

To miłość czekała na niego.

Nieziemska moc wstrząsnęła powietrzem i zawirowała nad wodą, niosąc dźwięk, który mógł być śmiechem. Miliony iskierek pokryły powierzchnię morza, po czym szybko wzbiły się ku górze, tworząc złoty wirujący obłok, który sięgnął wygwieżdzonego nieba. Wilk obserwował i słuchał. Nawet gdy już wrócił do lasu i do jego cieni, odpowiedź podążała za nim.

To miłość czekała na niego.

Narastający niepokój rozsadzał mu serce, więc bitą ścieżką pomknął co sił, rozdierając na strzępy smugi mgły. Wprost gorzał od szaleńczego biegu. Skręcił w lewo, przedarł się przez gąszcz drzew i pognął ku widniejącemu w oddali światłu. Była tam leśna chatka, a blask padający z jej okien miał moc powitania. Szmery i szepty nocy ucichły.

Gdy wpadł na stopnie ganku, biały dym zawirował, a niebieskie światło zamigotało. Wilk zamienił się w mężczyznę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy Rowan Murray spojrzała na leśną chatkę, doznała zarówno ulgi, jak i ogarnął ją strach, a oba te uczucia miały tę samą przyczynę - oto dotarła do kresu swej długiej podróży, która wiodła z San Francisco aż do tego zakątka na wybrzeżu Oregonu.

No cóż, a więc jest tutaj. Dokonała tego.

Tylko - co dalej?

Oczywiście najsensowniej byłoby wysiąść z samochodu, otworzyć frontowe drzwi i obejrzeć miejsce, które przez najbliższe trzy miesiące miało służyć jej za dom. Potem powinna rozpakować rzeczy, napić się herbaty i coś przekąsić oraz wziąć gorący prysznic.

Tak byłoby praktycznie i rozsądnie, pomyślała, lecz nie ruszyła się z miejsca. Siedziała i zaciskała kurczowo długie, szczupłe palce na kierownicy nowiutkiego range rovera.

Była zupełnie sama.

Od dawna o tym marzyła, dlatego gdy okazało się, że może zamieszkać w stojącej na odludziu chatce, uchwyciła się tej szansy jak ostatniej deski ratunku.

Jednak teraz, kiedy już to osiągnęła, nie była w stanie wysiąść z auta.

- Ale z ciebie idiotka, Rowan - powiedziała półgłosem, zamykając na chwilę oczy. - Jesteś tchórzem.

Siedziała tak i zbierała się w sobie - drobna, szczupła kobietka o jasnej cerze, z której odpłynęła krew. Jej włosy, spadające prosto jak struga deszczu, swą barwą i połyskiem przypominały dębowe drewno. Teraz, dla wygody, były ściągnięte do tyłu i splecione w gruby warkocz. Twarz Rowan miała trójkątny zarys, nos był długi i wąski, a usta nieco zbyt pełne. Głęboko osadzone, zmęczone po wielogodzinnej jeździe ciemnoniebieskie oczy wyróżniały się podłużnym kształtem.

Oczy elfa, jak często mawiał jej ojciec... i gdy teraz pomyślała o tym, poczuła, że napętniają się łzami.

Zawiodła jego i matkę, a poczucie winy ciążyło jej na sercu niczym kamień. Nie potrafiła im wytłumaczyć, dlaczego nie jest w stanie kontynuować drogi, którą dla niej obrali i do której tak starannie ją przygotowali. Każdy stawiany na niej krok wymagał od Rowan nienawistnego i bolesnego wysiłku, czuła bowiem, że podąża nie tam, gdzie powinna, i że oddala się od swojego prawdziwego, tkwiącego w jej duszy przeznaczenia.

Że staje się kimś dla siebie obcym.

Dlatego uciekła. Och, nie zrobiła tego w sensie dosłownym, wszak była zbyt rozsądna, aby po cichu zniknąć jak nocny złodziej. Poczyła odpowiednie plany i podjęła stosowne kroki, ale za tym wszystkim kryła się nagła potrzeba ucieczki z domu, od pracy, kariery i rodziny. Od miłości, która omal nie zagłaskała jej na śmierć.

Tutaj, wmawiała to sobie, będzie mogła swobodnie oddychać, myśleć i podejmować decyzje. Być może uda jej się wreszcie zrozumieć, dlaczego nie potrafiła zostać taką osobą, na jaką w oczach najbliższych powinna była wyrosnąć.

Jeśli na koniec przekona się, że jest w błędzie i że wszyscy inni mieli rację, gotowa jest stawić temu czoło, ale najpierw musi sobie podarować te trzy samotne miesiące.

Kiedy znowu otworzyła oczy, była już dużo pewniejsza siebie, a gdy się rozejrzała, dręczące napięcie, jakby pod wpływem cudownego balsamu, zaczęło ją opuszczać. Jak tu pięknie! Majestatyczne drzewa sięgały nieba i kołysały się na wietrze, piętrowy domek wdzięcznie przycupnął w dolince, a migotliwe słońce podświetlało żwawy, umykający ku wschodowi obłoczek.

W blasku słońca domek połyskiwał ciemnym złotem. Na tle gładko ociosanego drewna lśniły okna, a nieduży kryty ganek zdawał się zapraszać do spędzania na nim leniwych poranków i cichych, spokojnych wieczorów. Rowan dostrzegła też pierwsze odważne kielki wiosennych cebulek, jakby wysłane na rekonesans, by zbadać aurę.

Przekonają się, że jest jeszcze za chłodno, pomyślała. Namówiona przez Belinę, która ją uprzedziła, że w tym maleńkim zakątku świata wiosna przychodzi później, Rowan zaopatrzyła się we flanelowe koszule i piżamy.

Wielkie rzeczy! Przecież potrafi rozpaść w kominku, stwierdziła, rzucając okiem na kamienny komin. Jednym z jej ulubionych miejsc w domu rodziców był wielki salon, którego centralnym punktem był kominek z ogromnym paleniskiem, gdzie podczas wilgotnych miejskich chłódów radośnie trzaskał ogień.

Kiedy tylko się zainstaluje, tutaj zrobi to samo, by w ten sposób uczcić swoje przybycie do nowego domu.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu. Pod jej ciężkimi botami trzasnęła gruba gałąź, wydając dźwięk podobny do strzału. Rowan przycisnęła rękę do serca, by po sekundzie cicho się roześmiać. Nowe botki dla wielkowiejskiej dziewczyny, pomyślała. Nonszalancko wymachując kluczykami i przesadnie nimi hałasując, weszła na ganek. Wsunęła do zamku klucz, który opatrzyła napisem „drzwi frontowe”, i nabierając powoli powietrza, popchnęła drzwi.

I zakochała się.

- Och, kto by pomyślał! - Po wejściu do środka i rozejrzeniu się wokoło uśmiechnęła się radośnie. - Belindo, niech cię Bóg błogosławi!

Na obramowanych ciemnym drewnem ścianach w kolorze złocistego chleba wisiały tajemnicze, magiczne malowidła, z których znana była jej przyjaciółka. Kamienne palenisko było starannie oczyszczone, a obok, jakby na powitanie, ułożono szczapy na podpałkę, a także większe polana. Lśniącą drewnianą podłogę zdobiły rzucone tu i ówdzie kolorowe chodniki i małe dywany. Umeblowanie było proste i funkcjonalne, o niewymyślnych liniach, z wygodnymi, zapadającymi się poduszkami, które radowały oko cudownymi odcieniami szmaragdu, szafiru i rubinu.

Baśniowego charakteru tego miejsca dopełniały czarowne figurki smoków i czarnoksiężników, misy i wazy pełne kamieni oraz suszonych kwiatów, a także pięknie iskrzących się kryształów górskich. Oczarowana Rowan wbiegła na górę, gdzie z wrażenia aż oniemiała, gdy zaczęła oglądać znajdujące się tam dwa duże pokoje.

Pierwszy z nich, zalany wpadającym przez przeszkloną ścianę światłem, z całą pewnością służył jej przyjaciółce za studio. Świadczyły o tym starannie uporządkowane płótna, obrazy, sztalugi i pędzle, a także wiszący na mosiężnym haku i poplamiony farbą kitel.

Nawet tutaj nie brakowało ciekawych akcentów, takich jak grube białe świece na srebrnych podstawkach, szklane gwiazdy lub kula z przydymionego kryształu.

W sypialni Rowan zachwyciła się wielkim łóżem z baldachimem, z narzutą udrapowaną z białego lnu, niedużym kominkiem oraz rzeźbioną szafą z różanego drewna.

To miejsce tchnęło spokojem. Stabilnością, zaspokojeniem, gościnnością. Tak, tutaj będzie mogła swobodnie oddychać i myśleć o swym życiu. Nagle poczuła się tak, jakby po raz pierwszy naprawdę znalazła się u siebie.

Szybko zbiegła na dół, minęła otwarte drzwi i znalazła się przy samochodzie. Nagle, gdy chwyciła pierwsze pudło, poczuła ciarki na plecach, a jej serce gwałtownie załomotało.

Błyskawicznie się odwróciła - i zamarła.

Czarny jak smoła wilk łypał na nią złotymi niczym krążki monet ślepiami. Stał na skraju lasu, nieruchomy jak rzeźba z onyksu, i obserwował ją. Choć serce Rowan waliło jak oszałałe, nie ruszyła się z miejsca i pochłaniała wzrokiem niezwykle zwierzę. Dlaczego nie krzyczała? zapytywała siebie. Dlaczego nie uciekła?

Dlaczego była bardziej zdumiona niż przerażona?

Czy to jej się przyśniło? Czyżby otarła się o mglisty strzępek snu, w którym przybiegł do niej wilk? Czy właśnie dlatego wydał się jej taki bliski, niemal... oczekiwany?

Przecież to śmieszne. Nigdy w życiu, poza ogrodem zoologicznym, nie widziała wilka, a już tym bardziej takiego, który by się tak natarczywie w nią wpatrywał. Jakby jej zaglądał w duszę.

- Cześć... - usłyszała siebie, mówiącą z trudem, nerwowo się zaśmiała, po czym zamrugła oczami, a on zniknął.

Przez chwilę kołysała się jak osoba wychodząca z transu. Kiedy wreszcie się otrząsnęła, spojrzała na skraj lasu, wypatrując jakiegoś ruchu lub cienia, najmniejszego choćby śladu czyjejś obecności.

Lecz nic takiego nie dostrzegła.

- Znowu coś sobie wyobrażasz - mruknęła, przesuwając pudło i odwracając się. - Jaki wilk? Najwyżej mógł to być jakiś pies.

Wilki grasują w nocy, prawda? uspokajała się. Za dnia nie podchodzą do ludzi, najwyżej przyglądają im się z oddali, a potem znikają.

Dla pewności musi gdzieś to sprawdzić, choć i tak jest przekonana, że to był pies. Od razu poczuła się lepiej. Nastawiła się na pozytywne myślenie. Przecież Belinda nie wspominała nic o sąsiadach ani o jakimś innym domku. Jakie to dziwne, pomyślała teraz Rowan, że nawet jej o to nie zapytała.

No cóż, widać w pobliżu ktoś mieszka i ma pięknego czarnego psa. Miała nadzieję, że nie będą sobie wchodzić w drogę.

Wilk stał w cieniu drzew i obserwował. Kim jest ta kobieta? zastanawiał się. Co ona tu robi? Oddaliła się szybko i trochę nerwowo, oglądając się kilkakrotnie przez ramię, gdy przenosiła rzeczy z samochodu do domu.

Wyczuł ją na kilometr. Jej lęki, jej wzburzenie, jej tęsknoty - wszystko to dotarło do niego... i przywiodło go do niej.

Zaniepokojony, zmrużył oczy i obnażył zęby, jakby podejmował wyzwanie. Stałby się przeklęty, gdyby uległ podstępny czarom i porwał tę kobietę. Ściągnąłby klątwę na swoją głowę, gdyby pozwolił, by odmieniła go w kogoś, kim nie jest i nie chce być. Bo ze wszystkich sił pragnie pozostać sobą. Odwrócił się i zniknął w gęstwinie lasu.

Gdy Rowan napaliła w kominku, wesoły trzask ognia wprost ją zachwyił. Zaczęła się systematycznie rozpakowywać. Wzięła ze sobą niewiele rzeczy, a większość kartonów wypełniały książki, bo bez nich nie potrafiła żyć. Były tu pozycje dające radość i odpoczynek, jak i takie, w których zawarta była głęboka wiedza, wymagające skupienia i wysiłku. Wybrała te tytuły, które od dawna chciała przeczytać, ale do tej pory nie starczało jej na to czasu. Wychowała się w miłości do drukowanego słowa, dzięki któremu poznawała i zgłębiała

świat. I właśnie ta wielka miłość zmusiła ją, by postawiła sobie pytanie, dlaczego czuła tak wielką niechęć do zawodu, który wykonywała.

Jej rodzice zawsze podkreślali, że w życiu trzeba mieć cel, zajęła się więc nauką, ponieważ była naprawdę zdolna. Ukończyła studia oraz specjalizację pedagogiczną. Teraz miała dwadzieścia siedem lat i już szósty rok wykładała w pełnym wymiarze godzin.

Bez fałszywej skromności mogła stwierdzić, że odnosiła na tym polu znaczące sukcesy. Znała mocne i słabe strony swoich studentów, potrafiła rozbudzić ich zainteresowania oraz mobilizować do samodzielnej pracy.

A jednak zwlekała ze zrobieniem doktoratu. Każdego ranka budziła się niezadowolona z życia i co wieczór wracała do domu z przykrym poczuciem braku satysfakcji.

Nie miała serca do pracy, którą wykonywała.

Kiedy próbowała tłumaczyć to ludziom, którzy ją kochali, spotykała się z niezrozumieniem. Studenci uwielbiali ją i szanowali, również kierownictwo uczelni bardzo ją ceniło. Dlaczego więc nie robi doktoratu, nie wychodzi za Alana i nie układa sobie życia, tak jak powinna?

Niestety, jedyna odpowiedź, jakiej mogła udzielić sobie i innym, tkwiła w jej sercu i nie dawała przełożyć się na zrozumiałe dla wszystkich słowa.

Rowan wiedziała jednak, że samym rozpamiętywaniem przeszłości niczego nie załatwi, dlatego zaraz pójdzie na spacer, by jasno uzmysłwić sobie, po co tak naprawdę tu przyjechała. Przy Okazji popatrzy też na klify, o których tyle jej opowiadała Belinda.

Z przyzwyczajenia zamknęła drzwi na klucz, po czym zaczerpnęła duży haust powietrza, które pachniało morzem i sosnami. Ponieważ dobrze pamiętała narysowany przez Belinę plan okolicy, zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie, kierując się na zachód.

Całe życie mieszkała w dużym mieście. Wychowana w San Francisco, poczuła się dziwnie w ogromnym oregońskim lesie, pełnym niezwykłych zapachów i dźwięków. Mimo to zdenerwowanie zaczęło stopniowo ją opuszczać, ustępując miejsca zachwytowi.

To było jak w książce, jak w cudownej kolorowej bajce. Olbrzymie świerki o kłujących igłach wznosiły się do nieba, a przez ich gęste gałęzie prześwitywało słońce, zaś niżej rozrastał się zielony, gęsty i puszysty mech, zachęcający wędrowca do odpoczynku. Ściółka była miękka, usłana igłami i nasiąknięta żywicznymi sokami.

Rosły tu gęste paprocie, niektóre ostre i wąskie jak sztylety, inne zaś koronkowe jak wachlarze. Wyglądają jak leśne nimfy, które tańczą tylko w nocy, pomyślała Rowan, puszczając wodze wyobraźni.

Obok huczał i pienił się potok, mknąc po skałach, które przez tysiąclecia wyglądał i

zaokrąglął, po czym kaskadą opadał w dół, a biała, wzburzona woda wydawała się niewiarygodnie czysta i zimna Rowan szła z jego prądem, radując się śpiewaną przez niego melodią.

Wkrótce powinien być zakręt i małe wzniesienie, pomyślała, a dalej, po lewej, pień obumarłego drzewa, przypominający zniszczoną twarz starego człowieka Rosną tam narparstnice, które w lecie zakwitną bladą purpurą Tam zamierzała trochę odpocząć i poobserwować, jak las budzi się do życia.

Po chwili ujrzała powykręcaną korę, która rzeczywiście wyglądała jak twarz starca Skąd wiedziała, że ta niezwykła rzeźba jest tutaj ? zastanawiała się, przyciskając rękę do serca, które nagle zaczęło bić gwałtowniej. Przecież tego nie było na szkicu Belindy...

Musiała mi o tym kiedyś opowiadać, pomyślała Rowan, a ja zepchnęłam to do podświadomości, i tyle.

Jednak nie zatrzymała się, by poobserwować, jak las budzi się do życia. On wprost tętni wiosennym przebudzeniem, pomyślała oczarowana i uśmiechnęła się do swoich fantazji. No cóż, każda dziewczyna śni o niezwykłym lesie, w którym tańczy zaczarowana królowa, oczekująca chwili, gdy na ratunek przybędzie piękny książę i wyrwie ją z rąk zazdrosnej wiedźmy.

Nie ma się czego bać, bo teraz ten las należy do niej i nie ma przy niej nikogo, kto by pobłaźliwie podśmiewał się z jej myśli, pełnych zaczarowanych nimf i innych, tak bardzo niepoważnych spraw. Także jej sny i marzenia należą wyłącznie do niej.

Gdyby miała opowiedzieć młodej dziewczynie sen albo bajkę, akcję umieściłaby w zaczarowanym lesie, po którym wędrowałby książę, szukający swej jedynej prawdziwej miłości. Za sprawą czarów młodzieniec zostałby zamieniony w pięknego czarnego wilka. Książę błąkałby się tak długo, dopóki nie zjawiłaby się piękna dziewczina i nie uwolniła go. Osiągnęłaby to dzięki odwadze i sprytowi, a także przepełniającej jej serce miłości.

Westchnęła, jak zwykle rozczarowana sobą nie potrafiła bowiem ubarwiać ani rozwijać wątków. Umiała dyskutować na konkretne tematy, lecz nigdy nie udawało się jej własnych pomysłów i myśli ująć w formie interesujących, wciągających opowiadań.

Zamiast tego czytała więc i podziwiała tych, którzy to potrafią.

Usłyszała daleki zew oceanu i na rozwidleniu ścieżki nieomylnie skręciła w lewo. To, co z początku zdawało się tylko cichym poszumem, szybko zamieniło się w grzmot walących fal, przyspieszyła więc kroku, aż prawie biegnąc, wypadła z lasu i ujrzała klify.

Stukając obcasami, wspinała się na skały. Wiatr rozplótł jej warkocz, a uwolnione włosy szalały i fruwały na wszystkie strony. Kiedy zdyszana dotarła na szczyt, oniemiała z zachwytu, po chwili zaś radośnie i głośno roześmiała się, a wiatr daleko poniósł jej głos.

Była pewna, że nigdy jeszcze w swoim życiu nie oglądała tak wspaniałego widoku. Wokół roztaczała się nieogarniona przestrzeń niebieskiej wody, obrzeżonej białymi grzywami fal, które z dziką furią rzucały się na skały u podnóża klifów, zaś w górze skrzyło się popołudniowe słońce, rozsypując lśniące klejnoty na wzburzone odmęty.

W oddali zobaczyła łodzie kołyszące się na falach, a także zalesioną wysepkę, wystającą z morza niczym zaciśnięta pięść.

Połyskujące czarne małże poprzywierały do skały, Rowan wypatrzyła też ptasie gniazdo, uwite w rozpadlinie z ciemnych patyczków. Bez namysłu opuściła się niżej, aż zachwiała się na wietrze, lecz w nagrodę udało się jej rzucić okiem na złożone w gnieździe jajka.

Ukucnęła, podkładając ręce pod brodę i wpatrując się w wodę, dopóki nie odpłynęły łodzie i na morzu zrobiło się pusto, a cienie znacznie się wydłużyły.

Podciągnęła się do góry, przysiadła na piętach i podniosła głowę do nieba.

- Po raz pierwszy od stu lat przez całe popołudnie nie miałam nic do roboty. - Westchnęła z wyraźnym zadowoleniem. - Cudownie!

Wstała, podniosła do góry ramiona i odwróciła się. I omal nie potknęła się o krawędź klifu.

Spadłaby, gdyby nie podszedł tak szybko, że nawet nie spostrzegła żadnego ruchu. Mocno chwycił ją za ramiona i pociągnął w bezpieczne miejsce.

- Proszę się uspokoić - powiedział bardziej w formie rozkazu aniżeli sugestii.

Wyglądał jak królewicz, który mógłby narodzić się w wyobraźni każdej stęsknionej miłości kobiety, albo jak mroczny anioł z najskrytszych marzeń sennych Rowan. Czarne jak noc włosy tańczyły wokół ozłoczonej słońcem twarzy o ostrych, wyrazistych rysach, porażających swą surową, męską urodą. Nawet cień uśmiechu nie pojawił się na ustach mężczyzny.

Był wysoki. Takie przynajmniej odniosła wrażenie, zanim zakręciło się jej w głowie. Patrzył na nią brązowo - złotymi oczami wilka, którego, jak jej się zdawało, już spotkała. Te oczy, o wyraziście zarysowanych czarnych brwiach, były szeroko otwarte i wpatrywały się w nią niezwykle intensywnie, co zmąciło jej umysł i spowodowało szybsze bicie serca. Nawet gdy ją już puścił, wciąż czuła siłę jego rąk, zobaczyła też w spojrzeniu mężczyzny krótki przeblask zniecierpliwienia i ciekawości.

- Ja... przestraszyłam się. Nie słyszałam, kiedy pan nadszedł, tylko tak nagle pan... to znaczy, nagle pana zobaczyłam. - Skrzywiła się, słysząc własny bełkot.

To moja wina, pomyślał. Nie powinien był jej tak zaskakiwać. Lecz na jej widok, gdy

leżała na skałach i z tajemniczym uśmiechem wpatrywała się w coś, czego nie było, po prostu przestała myśleć logicznie.

- Nie mogła mnie pani usłyszeć, ponieważ śniła pani na jawie. - Uniósł szerokie czarne brwi. - I mówiła pani do siebie.

- Wiem, mówienie do siebie to zły, nerwowy nawyk.

- Dlaczego jest pani zdenerwowana?

- Nie jestem... nie byłam. - Boże, jeżeli natychmiast nie pozwoli jej odejść, zacznie dygotać na jego oczach. Minęło naprawdę dużo czasu, gdy ostatni raz stała tak blisko mężczyzny. ... oczywiście nie Ucząc Alana. Była też pewna, że nigdy dotąd żaden mężczyzna nie wywołał w niej tak gwałtownej i wytrącającej z równowagi reakcji. Musi jak najszybciej nad tym zapanować.

- Nie była pani. - Przesunął dłonie ku jej nadgarstkom i poczuł wariacko bijący puls. - A teraz jest.

- Powiedziałam przecież, że mnie pan przestraszył. - Z lękiem odwróciła się przez ramię i spojrzała w dół. - To byłby naprawdę długi lot.

- To prawda. - Odciągnął ją jeszcze dwa kroki. - Teraz lepiej?

- Tak, no cóż... Jestem Rowan Murray, chwilowo korzystam z domku Belindy Malone. - Wyciągnęłaby rękę na powitanie, ale to było niewykonalne, ponieważ nieznajomy wciąż trzymał ją za nadgarstki.

- Donovan. Liam Donovan - powiedział spokojnie, nie odejmując kciuków z puls, który teraz nieco się uspokoił.

- Ale pan nie jest stąd.

- Czyżby?

- Mam na myśli pański piękny irlandzki akcent.

Kiedy wygiął wargi, a w jego oczach pojawił się uśmiech, omal nie westchnęła jak nastolatka na widok gwiazdy rocka.

- Pochodzę z Mayo, ale już prawie od roku traktuję to miejsce jak własne. Mój domek leży niecały kilometr od domku Belindy.

- Więc pan ją zna?

- Och, bardzo dobrze, jesteśmy nawet dalekimi krewnymi. - Uśmiech zniknął.

Oczy Rowan były tak niebieskie jak dzwonki, które rosły na słonecznych leśnych polanach w najgorętszym okresie lata. I nie dostrzegł w nich cienia grzechu ani winy.

- Nie uprzedziła mnie, że będę miała sąsiada.

- Sądzę, że po prostu o tym nie pomyślała. Mnie również nie powiedziała, że mogę tu

kogoś zastać.

Wprawdzie ręce miała teraz wolne, ale nadal czuła ciepło jego palców, jakby na nadgarstkach nosiła bransoletki.

- Czym się pan tutaj zajmuje?

- Wszystkim, na co tylko mam ochotę. Podejrzewam, że podobnie będzie z panią.

Dobrze pani zrobi taka zmiana.

- Co pan może o tym wiedzieć?

- Niezbyt często robi pani to, na co akurat ma ochotę, prawda, panno Murray?

Zadrżała i wsunęła ręce do kieszeni. Słońce schodziło za horyzont, stąd więc pewnie to nagle uczucie chłodu.

- Sądzę, że powinnam uważać na to, co mówię do siebie, mając w pobliżu tak cicho skradającego się sąsiada.

- Dzieli nas prawie kilometr i myślę, że to powinno wystarczyć. Lubię moją samotność - powiedział stanowczo i chociaż mogło się to wydawać idiotyczne, Rowan odniosła wrażenie, że nie mówi do niej, ale do kogoś, kto jest daleko stąd, za ciemniejącymi lasami. Po chwili znów spojrzał na nią. - Nie będę wchodzić pani w drogę.

- Nie chciałam być nieuprzejma - powiedziała z przepaszającym uśmiechem, naprawdę bowiem żałowała swych obcesowych słów. - Zawsze mieszkałam w dużym mieście, wśród takiego tłumu sąsiadów, że z trudem ich dostrzegałam i rozpoznawałam.

- To nie dla pani - powiedział jakby do siebie.

- Co?

- Duże miasto. Najchętniej zamieszkałaby pani gdzie indziej, prawda?

Do jasnej cholery, co mu do tego! zbeształ siebie. Ta dziewczyna jest dla niego nikim, dopóki sam nie postanowi, że ma być inaczej.

- Kiedy ja... właśnie chcę mieć trochę czasu dla siebie.

- Och, będzie go pani miała aż nadto. Trafi pani z powrotem?

- Z powrotem? Do domu? Tak. Pójdę ścieżką na prawo, a potem wzdłuż strumienia.

- I proszę iść szybko. - Odwrócił się i zaczął iść, zatrzymując się jeszcze tylko na chwilę, by rzucić jej ostatnie spojrzenie. - Tutaj, o tej porze roku, noc szybko zapada i łatwo można zabłądzić w ciemności, gdy nie zna się dobrze terenu.

- Dobrze, zaraz wyruszę w drogę. Panie Donovan... Liam?

Jeszcze raz przystanął. Tym razem nie miała wątpliwości, że dostrzegła w jego oczach błysk zniecierpliwienia.

- Tak?

- Zastanawiałam się... gdzie jest pański pies?

Teraz uśmiech na jego twarzy pojawił się tak szybko i był tak promienny i rozbawiony, iż przyłapała się na tym, że odpowiada mu tym samym.

- Ja nie mam psa.

- Ale przecież... czy tutaj są jeszcze jakieś inne domki?

- Dopiero w promieniu sześciu kilometrów, i dalej. Jesteśmy skazani na to, co tutaj mamy, Rowan, i na to, co mieszka w lesie między naszymi domami. - Widząc, z jakim niepokojem zerka ku ciemnym drzewom, złagodniał. - Ale nic z tego, co tutaj żyje, nie zrobi pani krzywdy, życzę więc przyjemnego spaceru i równie udanego wieczoru, I proszę miło spędzać czas.

Zanim zdążyła wymyślić jakiś sposób, żeby go zatrzymać, zanurzył się w lesie i zniknął jej z oczu, Dopiero teraz zauważyła, jak szybko zapadł zmierzch, jak bardzo ochłodziło się powietrze i jak ostry powiał wiatr. Zrzucając pychę z serca, zeszła nieporadnie ze skalistej ścieżki i zawołała:

- Hej! Liam? Proszę chwilę zaczekać!

Lecz odpowiedziało jej tylko echo, a jej ze strachu zaschło w gardle, pomknęła więc ścieżką, mając nadzieję, że może go jeszcze wypatrzy wśród drzew. Jednak przed sobą miała jedynie gęsty mrok.

- Nie tylko bezszmerowy - mruknęła - ale jeszcze do tego szybki. Okej, okej. - Biorąc się w garść, wzięła trzy głębokie oddechy. - Nie ma tutaj nic, czego by nie było w dzień. Wracaj więc tą samą drogą, którą przyszedłeś, i przestań robić z siebie idiotkę.

Jednak im dalej zapuszczała się w las, tym robiło się ciemniej. Nad ścieżką unosiła się biała mgła. Nagle Rowan wydało się, że słyszy podobną do bicia dzwonów muzykę, która współbrzmiała z pieniącą się na skałach wodą, kontrastując z szumami i westchnieniami wiatru w drzewach.

Radio, pomyślała. Albo telewizor. Osobliwe dźwięki rozbrzmiewały z różnych miejsc. Pewnie Liam nastawił muzykę, która w dziwny sposób docierała do niej. Tyle że szła jakby przed nią, w kierunku jej własnego domu. No cóż, to pewnie wiatr płatał figle.

Gdy Rowan dotarła do ostatniego zakrętu strumienia, westchnęła z ulgą - i zaraz potem zamarła. Znów ujrzała błysk złotych ślepiów, łypiących na nią z gąszcza lasu. Po chwili, przy akompaniamencie szeleszczących liści, znikły.

Rowan przyspieszyła kroku i biegiem dotarła do domu.

Dopiero gdy znalazła się w środku i zabezpieczyła drzwi, znów zaczęła oddychać.

Szybko zapaliła światła w całym domu, a potem nalała do kieliszka wino i wzniosła

toast:

- Za dziwny początek, tajemniczych sąsiadów i niewidzialne psy.

Żeby poczuć się jak w prawdziwym domu, zagrzała puszkę zupy, którą zjadła na stojąco, wyglądając przez kuchenne okno, co często robiła w swoim miejskim apartamencie.

Jej marzenia stały się tutaj zarówno łagodniejsze w formie, jak i bardziej wyraziste.

Wysokie drzewa i pieniaća się woda, huk fal i ostatnie promienie zachodzącego słońca. Przystojny mężczyzna o brązowych oczach, który stał na smaganym wichrem klifie i uśmiechał się do niej.

Żałowała, że nie wykazała się ani bystrością, ani uprzejmością. Mogła przecież lekko poflirtować, zdobyć się na swobodną i sympatyczną rozmowę, by wzbudzić zainteresowanie Liama. A tak wywołała u niego tylko zniecierpliwienie i rozbawienie, graniczące z pobbżaniem.

To śmieszne, uznała nagle z dezaprobatą dla samej siebie, bo Liam Donovan na pewno nie marnował czasu i ani przez chwilę nie pomyślał o niej. Więc co jej się roi w głowie?

Posprzątała i pogasiła światła, po czym udała się na górę. Tam pofolgowała sobie, napełniając gorącą wodą i pachnącymi bąbelkami cudownie głęboką wannę, stojącą na nóżkach w kształcie pazurów. Z lubością zanurzyła się prawie po szyję, trzymając w jednym ręku książkę, a w drugim ponownie napełniony winem kieliszek. Na taki luksus rzadko sobie pozwalała!

- To się teraz zmieni. - Wyciągnęła się z rozkoszą. - Podobnie jak wiele innych rzeczy. Muszę tylko wszystko dokładnie przemyśleć.

Kiedy woda zrobiła się letnia, wyszła z wanny i włożyła wygodną flanelową piżamę, a następnie rozpałiła ogień w kominku w sypialni, po czym wsunęła się pod leciutką jak chmurka puchową kołdrę i umościła się z książką.

Po dziesięciu minutach już spała. W zsuniętych na nos okularach do czytania, z pałącym się światłem i resztką wina na stoliku.

Śnił jej się lśniący czarny wilk, który zakradł się bezszelestnie do jej pokoju i patrzył na nią zaciekawionymi złocistymi oczami. Zdawał się rozmawiać z nią - przekazując jej swoje myśli.

- Nie szukałem ciebie ani nie czekałem. Nie potrzebuję tego, co mi przynosisz. Wracaj do swojego bezpiecznego świata, Rowan Murray. Mój świat nie jest twoim światem.

Mogła mu tylko odpowiedzieć:

- Potrzebny jest mi czas, tylko jego szukam. Podeszedł do jej łóżka, tak blisko, że jej

ręka niemal musnęła jego łeb.

- Jeśli teraz skorzystasz ze swojego czasu, może okazać się to dla nas trudne i kłopotliwe. Chcesz wziąć na siebie takie ryzyko?

Och, chciała poczuć, więc pogłaskała dłonią ciepłe futro, zanurzyła w nim palce.

- Właśnie korzystam z mojego czasu.

Jej dotyk sprawił, że wilk stał się mężczyzną. Nachylił się tak blisko, że jego oddech igrał na jej twarzy.

- Gdybym cię teraz pocałował, Rowan, co by z tego wynikło?

Zadrzała z pożądania, wobec którego była zupełnie bezbronna. Pragnęła, by ten mężczyzna nasycił jej pragnienie i ukoił rozedrganą duszę.

Przytknął palec do jej warg.

- Śpij - powiedział i zdjął jej okulary, które położył na stoliku, a potem zgasił światło. W obronnym geście zacisnął dłoń w pięść, zwalczając przemożną pokusę dotknięcia... utulenia. .. kochania się z tą kobietą, która, tak bezbronna i słodka, czekała na niego - i wymknął się.

Bodaj to diabli wzięli! Nie chcę tego. Nie chcę jej.

Wykonał magiczny ruch dłonią i zniknął.

Po jakimś czasie przyśnił jej się wilk, czarny jak środek nocy, stojący na nadmorskim klifie. Z odrzuconym do tyłu łbem wył do płynącego po niebie księżycyca.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rowan przez kolejne dni często wypatrywała wilka, aż weszło jej to w nawyk. Najczęściej widywała go stojącego na skraju lasu wczesnym rankiem albo tuż przed zmierzchem.

Patrzy na dom, myślała. Patrzy na nią.

Kiedy nie pojawił się przez kilka kolejnych poranków, poczuła się tak bardzo zawiedziona, że zaczęła mu wystawiać jedzenie, mając nadzieję, iż w ten sposób skusi go i przywabi bliżej. W skrytości ducha liczyła, że z czasem wilk przekroczy niewidzialne granice i stanie się nieodłączną częścią tego małego mikrokosmosu, który Rowan coraz bardziej traktowała jako swój własny.

Dziwne zwierzę często zaprzętało jej umysł. Prawie każdego ranka, budząc się, wychwytywała skrawki błędzących na obrzeżach pamięci urywków snów, w których wilk siedział przy jej łóżku, gdy ona była pogrążona we śnie. Czasami wyciągała rękę i głaskała miękkie, jedwabiste futro lub wyczuwała silne, sprężone mięśnie na jego grzbiecie.

Od czasu do czasu miejsce wilka zajmował jej sąsiad. W takie poranki wrywała się ze snu rozedrgana, przepełniona bolesnym, erotycznym uczuciem nienasycenia, które ją zdumiewało i wprawiało w zakłopotanie.

Po dojsciu do siebie, gdy stać już ją było na logiczne myślenie, powtarzała sobie, że Liam Donovan jest zwyczajnym, przypadkowo poznanym facetem, który wyróżnia się tylko tym, że idealnie nadaje się na bohatera erotycznych snów.

Stanowczo wołała jednak rozmyślać o wilku, snując o nim całą opowieść. Najchętniej widziała go w roli strażnika, broniącego jej przed złymi duchami zamieszkującymi las.

Większą część czasu spędzała na czytaniu i rysowaniu oraz na długich spacerach, starając się nie myśleć o obowiązku zatelefonowania do domu. Umówiła się z rodzicami, że będzie do nich dzwonić co tydzień.

Często w czasie wędrówki po lesie lub gdy siedziała przy otwartym oknie, słyszała muzykę. Piszczalki i flety, dzwony i instrumenty strunowe. Raz nawet była to pieśń grana na harfie, tak słodka i tak czysta, że od tłumienia łez rozboleło ją gardło.

Choć pławała się w spokoju i izolacji od świata, i nikt od niej nie żądał, by dzieliła się swoim czasem i uwagą, zdarzały się trudne chwile, gdy dojmująca samotność dawała się boleśnie we znaki. Odczuwała wtedy wielką tęsknotę, by usłyszeć czyjś głos i nacieszyć się kontaktem z inną osobą, jednak nie znalazła żadnego racjonalnego powodu, a prawdę mówiąc

nie umiała zdobyć się na odwagę, by odnaleźć Liama.

Mogłaby go zaprosić na filiżankę kawy, dumiała, gdy półmrok spłynął na drzewa i nie widać było jej wilka. A może na gorący posiłek? Na niezobowiązującą, lekką rozmowę, zamysliła się, okręcając wokół palca koniec warkocza...

Czy zawsze spędza samotnie czas? zastanawiała się. Co robi całymi dniami i nocami?

Zerwał się wiatr, w oddali zagrzmiało. Rowan otworzyła drzwi, by wypuścić do domu ostre, chłodne powietrze. Po niebie pędziły ciemne, skłębione chmury, odległe błyskawice przecinały niebo.

Rowan pomyślała, jak miło będzie spać przy dźwięku uderzającego o dach deszczu. A jeszcze lepiej, gdy zwinie się w łóżku w kłębek z książką i będzie czytać przez pół nocy, wśród zawodzącego wiatru i wścieklej ulewy.

Uśmiechając się do tej myśli, machinalnie rozejrzała się wokół i spojrzała prosto w połyskujące oczy wilka.

Zaskoczona i przestraszona, odruchowo się cofnęła. Wilk stał w połowie drogi między lasem i domkiem, czyli bliżej niż zwykle. Wycierając nerwowo ręce o dzinsy, wyszła na ganek.

- Witaj. - Zaśmiała się niepewnie, na wszelki wypadek jedną ręką ściskając klamkę. - Jesteś taki piękny - wyszeptała, gdy niczym kamienna rzeźba stał nieruchomo. - Wypatruję cię każdego dnia, a ty gardzisz moim jedzeniem, które ci wystawiam. Podobnie jak inni. Wiem, że nie jestem dobrą kucharką. Jednak nie tracę nadziei, że podejdziesz bliżej.

Była już znacznie spokojniejsza.

- Nie zrobię ci krzywdy - ciągnęła półgłosem i przykucnęła. - Poczytałam sobie o wilkach. Czy to nie dziwne, że wśród książek, które przywiozłam, znalazła się jedna o tobie? Nawet nie pamiętałam, że ją zapakowałam, ale przywiozłam ich tak wiele. Nie powinieneś się mną interesować - powiedziała, wzdychając. - Powinieneś biegać ze stadem, ze swoją partnerką.

Smutek pojawił się tak nagle i był tak gwałtowny, że w obronnym odruchu Rowan przymknęła oczy.

- Wilki łączą się w pary na całe życie - powiedziała spokojnie, lecz zaraz gwałtownie się poderwała, gdyż błyskawica rozdarła niebo, a w odpowiedzi rozległ się potężny grzmot.

Czarny wilk zniknął, polana opustoszała. Rowan podeszła do bujanego fotela stojącego na ganku, usiadła i podwinęła nogi, by obserwować ulewę.

Myślał o niej o wiele za dużo i za często. Doprowadzało go to do szału, bo Liam należał do ludzi, którzy są dumni ze swej samokontroli. Tak zresztą powinno być, bo ktoś, kto

posiada władzę, musi być opanowany.

Od urodzenia równie dobrze znał swoje powinności, jak i przywileje. Tajemne moce, którymi został obdarowany, oraz ciężące nad nim obowiązki. Samotność, choćby chwilowa, była skutecznym sposobem na ucieczkę od tego wszystkiego. Jednak Liam lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, że nie umknie się przed nieuchronnym losem. Od księżęcego syna oczekiwano, że wykaże się pokorą i uległością wobec przeznaczenia.

Teraz, sam w swoim domku, myślał o niej. O tym, w jaki sposób patrzyła, gdy stał na polanie. O strachu, który jej nie opuszczał, chociaż wyszła przed dom.

Była w niej cudowna słodycz, która tak bardzo go pociągała, że musiał walczyć ze sobą, by nie podejść bliżej. Wydaje się jej, że każdego dnia wystawiając mu jedzenie oraz przemawiając spokojnym, choć drżącym ze zdenerwowania głosem, oswaja go i przyzwyczajają do siebie.

Ciekawe, ile kobiet, samotnie przebywających na takim odludziu, miałyby odwagę i chęć rozmawiania z wilkiem?

Liam wiedział, że Rowan uważa się za tchórze. Wprawdzie delikatnie poruszył i przeniknął jej umysł, ale to wystarczyło, by poznać jej myśli. Nie miała pojęcia, co w niej tkwi, bo nigdy tego nie zbadala. Zapewne nie dano jej ku temu okazji.

Silne więzi rodzinne, ogromna lojalność i żałośnie niska samoocena.

Potrząsnął głową, popijając kawę i obserwując nadchodzącą burzę. Co też, na Finna*, może go z nią łączyć?

Gdyby jego rola miała polegać tylko na zachęceniu Rowan, by poznała siebie i własne możliwości, mogłoby to być... interesujące, a nawet przyjemne. Wiedział jednak, że chodzi o coś znacznie więcej.

To, co do tej pory ujrział, wystarczyło, aby wzbudzić jego niepokój.

Do licha, niech nikt nie waży się podejmować za niego decyzji!

Poza tym ta kobieta nie jest w jego typie.

A jednak potrafiła obudzić w nim pożądanie. No cóż, jest taka śliczna, słaba i nieco zagubiona, więc to, że jej pragnie, nie powinno wywoływać zdziwienia, zwłaszcza po tak długim okresie samotności, którą sam sobie narzucił.

Samiec potrzebuje samicy.

Jego pragnienia były głębsze i dotyczyły sfer, które do tej pory ignorował, a przecież wiedział, że zbyt silne uczucia powodują utratę kontroli, co uniemożliwia dokonywanie wy-

* Finn (lub Fionn) MacCoul - bohater irlandzkich legend, wielki wódz i rycerz, opromieniony mądrością, szlachetnością i odwagą. Ponoć żył w III wieku n.e. (przyp. red.).

borów. A on na to właśnie przeznaczył ten rok.

Ale nie potrafił trzymać się od niej z daleka. Był wprawdzie na tyle mądry, że ukrywał się pod zmienioną postacią - przynajmniej wówczas, gdy Rowan była przytomna i świadoma - jednak nieodparcie ciągnęło go do niej. W gorączkowym pośpiechu przemierzał las, żeby choć na nią popatrzeć, żeby wsłuchiwać się w jej umysł.

To miłość czekała na niego.

Zacisnął zęby i mruknął ze złością:

- Co się ze mną dzieje?! Poradzę sobie z nią, zrobię to w odpowiednim czasie i po swoim. Nikt mi w tym nie przeszkodzi.

W ciemnej szybie okna jego własne odbicie zniknęło, ustępując miejsca kobiecie o zmierzwionych złotych włosach i o tym samym, intensywnym kolorze oczu, które łagodnie się uśmiechały.

- Liam - powiedziała. - Jesteś uparty, zawsze taki byłeś. Zmarszczył brwi.

- Matko, łatwo ci to mówić, bowiem uczyłaś się od najlepszego.

Roześmiała się, rozświetlając sobą noc.

- To prawda, o ile masz na myśli twojego ojca. Rozpętała się burza, a Rowan jest sama. Zostawisz ją tak?

- Tak jest lepiej dla nas obojga. Ona nie jest jedną z nas.

- Liamie, gdy będziesz gotów, zajrzyj w jej serce, a także w swoje. Zaufaj temu, co tam znajdziesz. - Westchnęła, wiedząc, że jej syn i tak zrobi, co zechce. - Przekażę ojcu najlepsze pozdrowienia od ciebie.

- Zrób to. Kocham cię.

- Wiem, synu. Wracaj prędko do domu, Liamie Donovan. Brakuje nam ciebie.

Kiedy jej twarz zniknęła, z nieba runęła błyskawica i przeszła ziemię jak włócznią. Nie pozostawiła śladu, nic nie spaliła, chociaż rozległ się grzmot; Liam zrozumiał, że w ten sposób jego ojciec przytakuje słowom swojej żony.

Niech więc wam będzie. Do jasnej cholery, zajrzę tam i zobaczę, jak Rowan sobie radzi w czasie burzy.

Skoncentrował się, wykonał magiczny ruch dłonią i uderzył palcem o zimne palenisko. Chociaż nie było w nim drewna, wystrzelił ogień.

- Błyskawica przelatuje płomieniem, piorun grzmi. A co robi samotna kobieta? Ogniu, ostudź się, abym mógł zobaczyć. Niech się spełni wola moja!

Płomienie strzeliły ku górze i w zimnym złotym świetle poruszyły się cienie, a potem pojawił się obraz. Rowan, z wyrazem strachu na twarzy, w ciemnościach niosła świecę. Po-

szperała w kuchennych szufladach, mówiąc coś do siebie, jak to miała w zwyczaju, i gwałtownie podskoczyła, gdy kolejne światło błyskawicy wdarło się w nocną ciemność.

No cóż, nie pomyślał o tym i poczuł się niezadowolony z siebie, co rzadko mu się zdarzało. Wysiadło jej światło, jest sama i bardzo się boi. Czyż Belinda nie nauczyła jej, jak należy posługiwać się niedużym generatorem, czy choćby gdzie leży latarka? Albo gdzie się znajdują awaryjne latarnie?

Czy może ją tak zostawić, drżącą i potykającą się co krok? Co, jak podejrzewa, jego Wścibska kuzynka z góry przewidziała.

A zatem postara się, by ta kobieta miała jasno i ciepło, i na tym koniec. Szybko, do dzieła!

- To tylko burza, po prostu burza. Nic wielkiego. - Rowan wręcz wyśpiewała te słowa, zapalając przy tym kolejne świece.

Nie bała się nocy, też mi coś! Ale to były potworne ciemności, a piorun znów uderzył tuż obok, aż zadzwoniły szyby...

Gdyby w chwili, kiedy rozpętała się burza, nie siedziała na zewnątrz, marząc i śniąc na jawie, zdążyłaby rozpaść w kominku. Byłoby ciepło i jasno, po prostu przytulnie i miło. Pod warunkiem, żeby to sobie wmówiła.

A teraz prąd wysiadł, telefon nie działał i wszystko wskazuje na to, że kulminacja burzy nastąpi akurat nad jej ślicznym domkiem.

Przypomniała sobie, że przecież wszędzie wokół są świece, dziesiątki i setki, białe, niebieskie, czerwone, zielone. Można by pomyśleć, że Belinda wykupiła gdzieś cały ich skład. Niektóre były naprawdę śliczne, zdobione dziwnym, symbolicznym ornamentem, aż żal było je zapalać. W efekcie płonęło ich już z pięćdziesiąt, dając dostatecznie dużo światła i wydzielając cudowny, kojący nerwy zapach.

Nagle poczuła coś dziwnego, błyskawicznie się odwróciła - i przeraźliwie wrzasnęła.

Kilka kroków od niej, z rozwianymi od wiatru włosami i błyszczącymi od blasku świec oczyma stał Liam. Rowan upuściła szczapy na stopy ubrane tylko w skarpetki, znów wrzasnęła i ciężko opadła na fotel.

- Zdaje się, że znowu panią przestraszyłem - powiedział swym miękkim i pięknym głosem. - Przepraszam.

- Ja... pan. Boże! Drzwi...

- Są otwarte. - Szybko je zamknął, zostawiając wiatr i deszcz z drugiej strony.

Była przekonana, że uciekając przed piorunami, przekręciła w zamku klucz, musiała się jednak mylić.

- Pomyślałem, że ta burza może sprawić pani pewne kłopoty. - Podeszedł do Rowan, a w każdym jego ruchu było tyle gracji, jak u tancerza... albo kroczącego wilka. - I jak widzę, miałem rację.

- Prąd wysiadł - wydusiła z siebie.

- Tak, i zimno tu u pani. - Pozbierał rozsypane szczapy i ukucnął przy palenisku. Uznał, że już tyle niespodzianek spotkało ją tego wieczoru, iż nie sprawi jej różnicy, jeśli zatrzyma się dłużej i trochę jej pomoże.

- Potrzebowałam choć trochę światła, żeby napalić w kominku. Belinda ma całą masę świec.

- Oczywiście. - Po chwili trzaskał już ogień, błyskawicznie rozprzestrzeniając się ze szczap na duże kawałki drewna. - Zaraz zrobi się ciepło. Z tyłu za domem znajduje się mały generator. Jeśli pani chce, mogę go uruchomić, ale to zajmie trochę czasu.

Światło z kominka igrało na jego twarzy i Rowan nagle zapomniała o burzy i strachu. Zastanawiała się, czy ta masa fantastycznych włosów, które sięgały mu niemal do ramion, jest tak miękka, na jaką wygląda.

Jakim cudem w jej głowie narodził się ten obraz... Liam pochyla się nad nią tak nisko, że jego usta niemal muskają jej wargi... niemal...

- Rowan, pani znowu śni na jawie.

- Och. - Zamrugała oczami, otrząsnęła się. - Przepraszam, to przez tę burzę stałam się taka nerwowa. Może odrobinę wina? - Podniosła się, zaczęła szybko wycofywać się do kuchni. - Mam przyjemne białe włoskie wino, zaraz naleję. To nie potrwa długo.

Prawie pobiegła do kuchni, gdzie pół tuzina świeczek świeciło na stole. Rany boskie, co się z nią dzieje? Dlaczego w jego obecności tak się płoszy, wręcz głupieje? Do licha, w końcu jest dorosłą i obytą kobietą!

Napełniła kieliszki winem i wzięła je w dłonie. Gdy się odwróciła, histerycznie podskoczyła. Liam stał tuż za nią.

Wino chlusnęło i oblało jej rękę.

- Koniecznie musiał pan to zrobić! - warknęła, lecz w odpowiedzi usłyszała nie wyrazy skruchy, lecz radosny, oszałamiający, promienny śmiech.

- Chyba nie. - Ach, do diabła z tym wszystkim, stwierdził. Należą mu się jakieś drobne przyjemności. Nie odrywając od niej oczu, uniósł jej mokre ręce, schylił głowę i powoli zlizał wino.

Najlepsze co mogła zrobić, to cicho i subtelnie westchnąć.

- Ma pani rację, to bardzo przyjemne wino. - Wziął od niej kieliszek i uśmiechnął się.

- Ma pani śliczną twarz, Rowan Murray. Myślałem o tym od chwili, gdy po raz pierwszy panią ujrzałem.

- Naprawdę?

- A czyż mogłoby być inaczej?

Była oszołomiona i aż go kusiło, żeby to wykorzystać, pójść za głosem natury i wziąć to, czego pragnie, a przed czym się wzbrania. Spotkać się ustami, objąć to kruche ciało...

No cóż, w obecnym nastroju na pewno nie poprzestałby na tak prostych i niewinnych igraszkach...

- Przenieśmy się bliżej kominka. - Cofnął się, by ją przepuścić. - Tam jest cieplej.

Poczuła rozchodzący się w środku ból. Taki sam, pomyślała, jak po porannym przebudzeniu, gdy śniła o Liamie.

Przeszła obok niego, weszła do salonu, modląc się, aby wreszcie powiedzieć coś, co nie zabrzmiałoby idiotycznie.

- Jeżeli przyjechała pani po to, by odpocząć i zrelaksować się - zaczął z ledwie słyszalną nutką zniecierpliwienia w głosie - to źle się pani do tego zabrała. Proszę się rozluźnić i uspokoić nerwy. Burza nie potrwa długo, ja też nie będę pani długo męczył.

- Ale ja lubię towarzystwo. Nie przywykłam przebywać sama tak długo.

Usiadła, zdobyła się nawet na uśmiech, zaś on uważnie ją obserwował. Robił to w taki sposób, że pomyślała o...

- Czy nie po to pani tu przyjechała? - Powiedział to, by oderwać jej myśli, zanim zbliży się do czegoś, do czego nie jest przygotowana. - Żeby samotnie spędzać czas?

- Tak, bardzo to lubię, choć na pozór powinno być inaczej. Przez długi czas nauczałam i przywykłam, że koło mnie kręci się dużo ludzi.

- Lubi ich pani?

- Moich studentów?

- Nie, w ogóle ludzi.

- Dziwne pytanie... oczywiście, że lubię. - Lekko się roześmiała i swobodniej rozsiadła się w fotelu, nieświadoma faktu, że poluzowała ramiona. - A pan?

- Niespecjalnie. - Zastanawiając się, wypił łyk wina. - Przeważnie są egoistyczni i zapatrzeni w siebie. Przy byle okazji ranią się nawzajem, często świadomie... Ze zła czynią cnotę.

- To bardzo skrajna opinia i na szczęście niewielu ją podziela. - Gdy w jego oczach pojawiły się niebezpieczne ogniki, energicznie potrząsnęła głową. - Och, jest pan surowy, a nawet cyniczny. Nie rozumiem takich osób jak pan.

- Bo ma pani romantyczną, a także naiwną naturę... co zresztą przydaje pani wdzięku.

- Niesłychane! Proszę mnie oświecić: czy to miał być komplement, czy krytyka? - zapytała rozbawiona. Czowała się już zupełnie swobodnie i nawet się nie spieszyła, gdy Liam usiadł na kanapie tuż przy jej fotelu.

- Prawda może mieć dwa oblicza. - Uśmiechnął się wesoło. - Co pani wyklada?

- Literaturę. I raczej wykladałam.

- Więc stąd te książki. - Cały ich sterta leżała na ławie. Widział także masę książek na kuchennym stole, wiedział również, że są w sypialni na górze.

- Czytanie to jedna z moich największych przyjemności. Uwielbiam przenosić się w inną rzeczywistość.

- Lecz to... - Sięgnął za siebie i wziął z ławy jedną z książek. - Kompendium wiedzy o wilkach, rozwój gatunku, obyczaje, rola w dziejach kultury... Tu nie ma żadnej akcji, tylko suche fakty, prawda?

- Kupiłam ją bez wyraźnego powodu i nawet nie mam pojęcia, kiedy ją zapakowałam, ale cieszę się, że ją wzięłam. - Swoim zwyczajem wygładziła i poprawiła włosy, które wysunęły się z jej warkocza. - Musiał go pan widzieć. - Wychyliła się do przodu, a jej duże, ciemne oczy wyrażały nieopisany zachwyt. - Odwiedza mnie piękny czarny wilk.

Delektując się winem, patrzył jej prosto w oczy.

- Nie miałem okazji.

- Och, a ja go widuję prawie każdego dnia. Jest wspaniały i wbrew temu, czego można by się spodziewać, nie ucieka przed ludźmi. Przyszedł na polanę tuż przed burzą. Czasami słyszę, jak wyje... przynajmniej tak mi się zdaje. A pan go nie słyszy?

- Mieszkam za blisko morza - odparł. - Wsluchuję się w nie. Wilk to dzikie stworzenie, Rowan, o czym musiała się pani dowiedzieć ze swojej książki. To także samotnik, chodzący własnymi drogami, do tego najdzikszy ze wszystkich. Nie można się z nim zaprzyjaźnić ani go oswoić.

- Nie zamierzam go oswajać, tylko przyglądamy się sobie nawzajem. - Zerknęła w stronę okna, zastanawiając się, czy wilk znalazł ciepłe i suche miejsce na noc. - One nie zabijają dla sportu - dodała, machinalnie odrzucając warkocz na plecy - ani dlatego, że są złe z natury. Polują, by zdobyć jedzenie. Większość żyje w stadach, w rodzinie. Ochrania swoje młode i... - przerwała, podskakując lekko, gdy oślepiająca błyskawica rozdarła w pobliżu niebo.

- Dzikie zwierzęta bywają gwałtowne i nieprzewidywalne. Musi pani zawsze pamiętać, że one nas tylko tolerują. To prawda, bywają łaskawe, ale częściej są bezwzględne.

- Odłożył książkę na bok. - Musi pani uważać i nie przesadzać z poufałością. Nawet wiedząc o nim tak wiele i umiejętnie z nim postępując, nigdy go pani do końca nie zrozumie.

Ocierali się kolanami, siedzieli tak blisko siebie. Czują jego zapach, męski, ostry, niemal zwierzęcy... naprawdę bardzo niebezpieczny. Jego wargi wygięły się w uśmiechu, gdy pokiwał głową.

- Tak już jest - powiedział półgłosem, odstawił kieliszek i wstał. - Uruchomię generator. Przy elektrycznym świetle poczuje się pani różniej.

- Tak, chyba ma pan rację. - Podniosła się, zastanawiając się, dlaczego tak mocno bije jej serce. To nie miało żadnego związku z szalejącą na zewnątrz burzą, natomiast bardzo dużo, o ile nie wszystko, z tym, co tak nagle rozpełtało się w niej samej. - Dziękuję za pomoc.

- Żaden kłopot. - Oby tak było, pomyślał, zaniepokojony stanem swego ducha i myśli. - To zajmie tylko chwilę. - Przelotnie, leciutko musnął palcami wierzch jej dłoni. - To było naprawdę dobre wino - szepnął i udał się do kuchni.

Potrzebowała dziesięciu sekund, żeby odzyskać oddech, opuścić rękę, którą przytknęła do policzka, i pójść za nim. Gdy wchodziła do kuchni, nagle rozbłysły wszystkie lampy, na co Rowan zareagowała pełnym zaskoczenia piskiem. I chociaż natychmiast roześmiała się z samej siebie, nie mogła zrozumieć, jak to jest możliwe, aby człowiek mógł się tak szybko poruszać. W pomieszczeniu nikogo nie było i paliło się światło, zupełnie jakby Liam nigdy tutaj nie zaglądał.

Otworzyła kuchenne drzwi, krzywiąc się, gdy wiatr i deszcz uderzyły ją w twarz. Trochę dygocząc, desperacko wyskoczyła na dwór.

- Liam? - Odpowiedziały jej tylko deszcz i mrok. - Nie odchodź - wyszeptała, cofając się i opierając o framugę drzwi, gdy deszcz zamoczył jej bluzę. - Proszę, nie zostawiaj mnie samej.

Kolejna błyskawica rozdarła niebo tuż nad lasem... i oświetliła sierść wilka, który w ulewnym deszczu stał u podnóża schodów.

- O Boże! - Po omacku znalazła kontakt i zapaliła latarnię. Stał tam nadal, z błyszczącą od deszczu sierścią, wpatrując się w nią ciepłymi oczami. Zwilżyła wargi, niespiesznie cofając się o krok. - Powinieneś się schować przed deszczem.

Kiedy z gracją wskoczył na ganek, ciarki przeszły jej po plecach. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki, wchodząc do środka, nie otarł się mokrym futrem o jej nogi.

- No proszę. - Trochę drżąc, odwróciła się i popatrzyli na siebie. - A więc mam w domu wilka. Niewiarygodnie pięknego wilka - zamruczała i nie namyślając się długo, za-

trzasnęła drzwi. - Hmm, może pójdziemy... - Wykonała bliżej nieokreślony ruch ręką. - Tam. Tam jest ciepło. Będziesz mógł...

Urwała, oczarowana i zbita z tropu, kiedy wilk najzwyczajniej w świecie odwrócił się i pomaszzerował do pokoju. Śledziła go wzrokiem, gdy podchodził do paleniska, usiadł przed nim, po czym spojrzął za siebie, jakby czekał na nią.

- Bystry jesteś, nie ma co! - powiedziała półgłosem. - Bardzo bystry. - Podeszła ostrożnie, a on ani na chwilę nie spuścił z niej wzroku. Usiadła na kanapie. - Należysz do kogoś? - Podniosła rękę i wysunęła palce, nie mogąc się powstrzymać, aby go nie dotknąć. Spodziewała się, że mruknie lub warknie ostrzegawczo, ale kiedy nic takiego nie nastąpiło, położyła lekko rękę na jego łbie. - Nie, jesteś niczyj, sam sobie jesteś panem. Dlatego jesteś taki odważny i piękny.

Kiedy dotykała jego szyi, delikatnieją pieszcząc, zmrużył ślepią. Odniosła wrażenie, że sprawia mu to przyjemność, i uśmiechnęła się do niego.

- Lubisz to? Ja też. Dotykać jest równie przyjemnie, jak być dotykanym. Prawdę mówiąc, już od dawna nikt mnie nie dotykał... lecz ty pewnie nie masz ochoty wysłuchiwać historii mojego życia. Bo też nie ma w niej nic interesującego. Gdyby jednak posłuchać twojej... - zadumała się na chwilę - ...to założę się, że mógłbyś opowiedzieć fascynujące historie.

Pachniał lasem, deszczem, dzikim zwierzęciem oraz, co dziwne, czymś... znajomym. Zupełnie już ośmielona, głaskała go obiema rękami po grzbiecie, po bokach, po karku.

- Wysuszysz się przy ognisku - zaczęła, gdy nagle jej ręka zawisła w powietrzu. Rowan zmarszczyła brwi.

- Wcale nie jest mokry - powiedziała spokojnym tonem. - Przyszedł z deszczu, ale nie jest mokry. Jak to jest możliwe? - Zaintrygowana, wyjrzała przez ciemne okno. Włosy Liama były równie czarne jak sierść wilka, ale nie połyskiwały od deszczu ani wilgoci. Tak przecież było!

- Jak to możliwe? Nawet gdyby tu nie przyszedł, tylko przyjechał, musiałby przejść od samochodu do drzwi i...

Urwała myśl, gdy wilk podszedł bliżej i swoim pięknym łbem zaczął obwąchiwać oraz trącać jej udo. Mrucząc z zadowolenia, znowu zaczęła go głaskać, uśmiechając się szeroko, gdy usłyszała dziwny dźwięk, jaki rozległ się z jego paszczy, tak bardzo podobny do ludzkiego, męskiego głosu, wyrażającego absolutną aprobatę.

- Może ty też jesteś samotny.

Usiadła przy nim, szczęśliwa jak nigdy dotąd, wprost upojona cudowną, magiczną

chwilą. Burza przesunęła się nad morze, pioruny ucichły, zaś chłoszczące podmuchy deszczu i wiatru straciły na sile.

Nie dziwiła się, gdy wilk wędrował z nią po domu. Uznała za rzecz zupełnie normalną i oczywistą, że to niezwykle zwierzę, księżę okolicznych lasów, towarzyszy jej podczas gaszenia świec i wyłączania światła. Wspiął się z nią po schodach i siedział przy jej boku, kiedy rozpalala ogień w kominku w sypialni.

- Uwielbiam to miejsce - powiedziała cichutko i usiadła na piętach, by obserwować zapalające się, tańczące płomienie. - Nawet gdy czuję się samotna, tak jak dzisiaj wieczorem, jest mi tutaj dobrze, jakby przyjazd do leśnego domku Belindy był nieunikniony i konieczny. - Zmarszczyła brwi w namyśle. - Nieunikniony i konieczny... - powtórzyła, zdumiona własnymi słowami. - Czyżby naprawdę istniało coś takiego jak przeznaczenie?

Odwróciła głowę i lekko się uśmiechnęła. Patrzyli sobie teraz w oczy, jej ciemnoniebieskie, jego ciemnozłote. Ujęła dłonią potężną szczękę wilka, pogłaskała i potarła jego jedwabistą szyję.

- Nikt ze znajomych by mi nie uwierzył, gdybym mu opowiedziała, że siedziałam w leśnej chacie w Oregonie i rozmawiałam z wielkim, czarnym i wspaniałym wilkiem. A może ja tylko śnię na jawie? To mi się często zdarza - dodała, wstając. - Może wszyscy mają rację, mówiąc, że za często i za dużo fantazjuję...

Podeszła do komody i wyjęła z szuflady piżamę.

- To żalosne, że najciekawsze i najwspanialsze przygody przeżywam w snach. Tak nie powinno być i bardzo chcę to zmienić. Co wcale nie znaczy, że w ramach terapii natychmiast zacznę się wspinać po górach lub skakać z samolotu.

Przestał słuchać, choć dotąd chłonał wszystko, co mówiła. .. lecz teraz, wciąż snując swój monolog, Rowan zdjęła przez głowę jasnogranatową dresową bluzę i zaczęła rozpinąć kraciastą koszulę, którą miała pod spodem.

Zupełnie nie słyszał już jej słów, bo zdjęła koszulę i zaczęła składać bluzę, mając na sobie jedynie biały stanik i dżinsy.

Była nieduża i smukła, o mlecznej karnacji. Dżinsy trochę opadały jej w talii, a gdy jej palce sięgnęły do guzika, mężczyzna ukryty w wilku zagotował się cały i sprężył. Zawrzała w nim krew, a puls zabił szybciej, gdy Rowan swobodnym ruchem zsunęła spodnie.

Wąziutki skrawek białego materiału nieco zsunął się po jej biodrach. Tak bardzo pragnął całować ją i tulić, poznać smak jej skóry, zgłębić wszystkie tajemnice tego cudownego ciała...

Usiadła i ściągnęła skarpetki, potrząsając stopami i uwalniając się do końca z dżinsów,

w ten sposób omal nie doprowadzając go do szaleństwa.

Niski pomruk, który wydobył się z jego gardła, gdy rozpięła stanik w niewinnym striptizie, przeszedł nie zauważony dla nich obojga. A kiedy sobie wyobraził, że kładzie ręce na małych, białych piersiach, muskając kciukami ich jasnoróżowe słodkie, tak delikatne i czułe zwieńczenia, poczuł, że przestaje nad sobą panować.

Pochylił głowę i zaczął przesuwać się ku Rowan...

Nagły, gwałtowny błysk pioruna poderwał ją. Wydała stłumiony krzyk.

- Boże! Chyba burza wraca. Myślałam ... - przerwała w pół zdania, gdy spojrzała przed siebie i zobaczyła jego złote, błyszczące ślepie. Instynktownie skrzyżowała ręce na gołych piersiach, pod którymi jej serce skakało jak zajac.

Ma zupełnie ludzkie oczy, pomyślała w panice. Jakby były głodne... Dlaczego nagle poczułam się jak Czerwony Kapturek? zapytała samą siebie. Starła się jakoś opanować rozdygotane nerwy. To przecież nie ma sensu! próbowała bagatelizować.

- Dziewczyno, weź się w garść! - powiedziała stanowczo, ale jej głos załamał się, gdy bowiem chwyciła górę piżamy, wilk błyskawicznie chwycił zębami za rękaw i wyrwał bluzę z rąk Rowan.

Zaśmiała się, najpierw niepewnie, a potem donośnie. Złapała kołnierz piżamy i mocno pociągnęła. Ta szybka, nieoczekiwana szarpanina jeszcze bardziej ją rozśmieszyła.

- Chcesz się bawić? - zapytała. Byłaby ślepa, gdyby nie zobaczyła wesołych ogników w fascynujących oczach drapieżnika. - Dopiero ją kupiłam. Może nie jest za piękna, ale za to ciepła, a tutaj noce są chłodne. No, już, oddaj mi ją, i to zaraz!

Natychmiast jej posłuchał, a ona poleciała dwa kroki do tyłu, zanim złapała równowagę. Cudownie naga, z wyjątkiem nad wyraz skąpego trójkątka na biodrach, popatrzyła na niego przez zmrużone oczy.

- Prawdziwy żartowniś z ciebie! - Podniosła do góry piżamę, szukając rozdarć albo śladów zębów, ale nic nie znalazła. - Dobrze i to. Przynajmniej jej nie zjadłeś.

Przyglądał się, gdy ubierała się i zapinała guziki. Nawet to, w jaki sposób brzeg wzorzystej piżamy muskał jej uda, było przesycone nieświadomym, naturalnym erotyzmem. Zanim wciągnęła dół, pozwolił sobie na chwilę upojonej rozkoszy, przechyliwszy bowiem łeb, przesunął językiem po jej nogach, od kostki aż po wewnętrzną stronę kolana.

Zachichotała i pochyliła się, żeby go podrapać za uchem, jakby był udomowionym psem.

- Ja też cię lubię. - Po nałożeniu spodni rozplotła to, co pozostało z jej warkocza. Gdy sięgnęła po szczotkę, wilk podszedł do łóżka, wskoczył na nie i wyciągnął się w nogach.

- Och, co to, to nie! - Rozbawiona, szczotkując wciąż włosy, odwróciła się w jego kierunku. - Naprawdę nie pozwalam. Będziesz musiał stamtąd zejść.

Popatrzył na nią i nawet nie mrugnął okiem, co więcej, mogłaby przysiąc, że przekornie się uśmiechnął. Parsknęła z udawanym oburzeniem, odrzuciła do tyłu włosy, odłożyła szczotkę i podeszła do łóżka. Wytrenowanym głosem nauczycielki powtórnie kazała mu zejść i jednoznacznie wskazała na podłogę.

Tym razem wiedziała, że się uśmiechnął.

- Nie będziesz spać w moim łóżku. - Wyciągnęła rękę, by go zrzucić na dół, gdy jednak obnażył zęby, chrząknęła tylko. - No dobrze, pozwalam, ale tylko na tę jedną noc. Co mi szkodzi? - próbowała ratować swój autorytet.

Ostrożnie, nie spuszczać wilka z oczu, wsunęła się pod puchową kołdrę. A on, jakby robił tak od lat, po prostu sobie leżał na jej łóżku, wtuliwszy pysk między przednie łapy. Wzruszyła ramionami, w ten sposób komentując niezwykle zachowanie władcy dzikich lasów, a potem szybkim ruchem sięgnęła po okulary i książkę. Zadowolona, ułożyła poduszki jedną na drugiej i zabrała się za lekturę.

Po chwili materac poruszył się, a wilk położył się u jej boku, kładąc łeb na jej podołku. Nie zastanawiając się, Rowan pogłaskała go i zaczęła czytać na głos.

Po kwadransie kolejny raz zasnęła z książką w ręku.

W powietrzu zadrżało, gdy wilk na powrót stał się mężczyzną. Liam dotknął palcem czoła Rowan.

- Śnij, dziewczyno - powiedział szeptem, przerywając, gdy poczuł, że zasypia jeszcze głębiej. Wyjął jej książkę, zdjął okulary i położył na stoliku, po czym wygodnie ją ułożył, podnosząc głowę i wyjmując jedną z poduszek.

- Musisz co rano budzić się zupełnie sztywna i połamana - mruknął. - Przecież śpisz na siedząco. - Musnął ręką jej policzek i westchnął.

Jej zapach, jedwabisty, kobiecy i nadzwyczaj subtelny, przyprawiał go o zawrót głowy, a każdy spokojny oddech, dobywający się z pełnych i rozchylonych warg, był jak słodkie, pełne pokusy zaproszenie.

- Do diabła, Rowan, leżysz ze mną w łóżku, deszcz bije o dach, a ty swoim cichym, nieco afektowanym głosem czytasz mi Yeatsa. Czy mogę się temu oprzeć? Prędzej czy później będę cię miał. Im później, tym lepiej dla nas obojga... ale już dzisiaj nie odejdę z niczym.

Ujął jej dłoń, splótł z nią palce i zamknął oczy.

- Pójdź za mną w jeden sen. Bowiem sen nie jest teraz tym, czym się wydaje. Daj mi

to, czego pragnę, i weź to, co możesz wziąć. Niech się spełni wola moja.

Westchnęła i poruszyła się. Wolne ramię podniosła nad głowę i w drżącym oddechu rozchyliła wargi, a Liam zdawał się wspólnie z nią przeżywać oniryczne i pełne tajemnej magii doznanie miłosne. Ich dusze zespoliły się w świecie, gdzie nie istnieją żadne zakazy ani ograniczenia, którymi tak tchórzliwie obwarowali się ludzie, nad cudowną wolność serc i ciał stawiając bezpieczną, niweczącą prawdziwe szczęście niewolę.

Pozwolił, by Rowan poznała swoje prawdziwe pragnienia.

Czuła go, ten piżmowy, na wpół zwierzęcy zapach, który już nieraz podniecał ją w snach. Obrazy mieszały się i zlewały, przenikając ją pożądaniem. Wyszeptała jego imię i otworzyła się na niego.

Wspomagana jego żarliwymi marzeniami, trwała tak niespokojna, spragniona, drżąca, by po chwili rozpląnąć się w niepowtarzalnej rozkoszy. Usłyszała, jak spokojnie i czule wymówił jej imię. Pożądanie osiągnęło swój zenit i w duchowej sferze wskazało ciału, czego na jawie powinno pragnąć, nie zaś tchórzliwie cofać się przed tym, co jedynie prawdziwe i w ludzkiej mierze nieskończone.

Usiadł, trzymając nadal jej rękę. Wsłuchiwał się w deszcz i w delikatny, równy oddech Rowan. Otworzył oczy. Powrót do realnego świata był bolesny. Liam rozpaczliwie pragnął tej kobiety, musiał jednak zwalczyć dławiącą pokusę, by położyć się przy niej, wziąć ją w ramiona, delikatnymi pocałunkami przywołać z krainy snu, a potem...

Gwałtownie odrzucił do tyłu głowę - i zniknął.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obudziła się wcześniej, cudownie zrelaksowana, dziwnie roziskrzona i przeniknięta rozkosznym ciepłem. Spokój, jasność umysłu i pogoda ducha towarzyszyły jej od rana. Była już pod prysznicem, gdy nagle wszystko sobie przypomniała. Zaklęła pod nosem, wyskoczyła z kąpieli i ociekając wodą, chwyciła ręcznik, by biegiem wrócić do sypialni.

Łóżko było puste, również przed wygaszonym, zimnym paleniskiem nie było pięknego wilka. Popędziła na dół i przeszukała cały dom, zostawiając mokre ślady.

Choć przez otwarte kuchenne drzwi wpadało chłodne poranne powietrze, mimo to wyszła na zewnątrz i uważnie przepatrzyła linię lasu.

Jak on wyszedł - i dokąd pobiegł? zastanawiała się. A przede wszystkim, odkąd to wilki otwierają sobie drzwi?

W żaden sposób nie potrafiła tego zrozumieć, lecz nie dopuszczała myśli, że wszystkie tak wyraziste obrazy były jedynie wytworem jej rozedrganej wyobraźni. Gdyby tak było, znaczyłoby to, że po prostu zwariowała, pomyślała, na wpół śmiejąc się do siebie, i ogarnięta chłodem szybko wróciła do domu.

Wilk był w jej domu. Siedział z nią, został na noc, a nawet spał w łóżku. Dokładnie pamięta dotyk jego sierści, zapach deszczu i lasu, który przywędrował wraz nim, wyraz jego oczu, a także ciepło i prawdziwą radość, jaką poczuła, gdy położył łeb na jej podolku.

Jakkolwiek niezwykle był ten wieczór, to przecież wszystko to miało miejsce. Jakkolwiek dziwne było jej zachowanie wobec groźnego drapieżnika, wszystko to zdarzyło się naprawdę.

Gdyby miała trochę oleju w głowie, zrobiłaby kilka zdjęć.

Aby czegoś dowieść? Pochwalić się przed kimś? Nie, uznała szybko, ten niezwykle wilk jest jej osobistą i prywatną sprawą. Nie zamierza z nikim się nim dzielić.

Podśpiewywała i śmiała się radośnie, od dawna nie była tak szczęśliwa i pełna energii. Czyż nie po to tu przyjechała? pomyślała, nadstawiając twarz pod prysznic i puszczając strumień gorącej wody. Przecież miała odkryć siebie, zrozumieć, jaka droga może doprowadzić ją do szczęścia. Jeśli miałyby to być burzliwa noc spędzona z wilkiem, to co z tego?

- No i wytłumacz to komuś, Rowan. - Śmiejąc się do siebie, wytarła ciało ręcznikiem. Podśpiewując, zaczęła usuwać parę z lustra i uważnie spojrzała na swoje zamglone odbicie.

Czy nie wyglądam inaczej? pomyślała, nachylając się bliżej, by przestudiować swoją

twarz, blask skóry, połysk mokrych włosów, a przede wszystkim tak bardzo błyszczące oczy.

Jak to się stało? Podniosła rękę, z zaciekawieniem przesuując palce wzdłuż twarzy.

Sny, gorące, namiętne i przyprawiające o dreszcze. W jej umyśle, a także w jej ciele rozbłysły teraz kolory, pojawiły się kształty, tak bardzo zdumiewające i niezwykle... erotyczne. Dłonie na jej piersiach... usta miażdżące jej wargi, choć nigdy tak naprawdę ich nie dotykające.

Zamykając oczy, upuściła ręcznik i przebiegła rękami wokół wzdłuż ciała. Próbowała skoncentrować się na tym, dokąd zawędrowała we śnie.

Smak męskiej skóry, jej gorący dotyk na ciele. Pożądanie, spełniające się i spełniające, tak piękne, że aż przyprawiające o łzy.

W całym swoim życiu nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego, więc w jaki sposób zawędrowało to do jej snów?

I dlaczego poszła spać z wilkiem, a śniła o mężczyźnie?

O Liamie.

Wiedziała, że to był Liam, jeszcze czuła kształt jego warg na swoich ustach. Ale jak to jest możliwe? zastanawiała się, przesuając koniuszkiem palca po ustach. Skąd to niezbite przekonanie, że wie, jak wyglądałby ich pocałunek?

- Ponieważ tego chcesz - wyszeptwała, otwierając oczy, żeby znowu popatrzeć na ich odbicie w lustrze. - Ponieważ pragniesz go, a jeszcze nigdy dotąd nikogo nie pożądałaś w taki sposób. I ponieważ, Rowan, ty kretynko, nie masz najmniejszego pojęcia, co zrobić, żeby to się stało na jawie. Więc tylko śniesz o tym. Sięgnij po podręcznik psychologii, przypomnij sobie podstawowe wiadomości...

Nie mając pewności, czy powinna się śmiać, czy też niepokoić swoim stanem, ubrała się i zeszła na dół, by zaparzyć poranną kawę. Otulona w ciepły sweter, otworzyła szeroko okna, by wpuścić chłodne i cudownie rześkie, jak to po burzy, powietrze.

Bez entuzjazmu pomyślała o płatkach zbożowych, grzance i jogurcie. Mimo że dochodziła zaledwie ósma rano, miała ochotę na ciasteczka z czekoladowymi wiórkami. Odrzuciła tę pokusę, bo w rażący sposób łamała jej dotychczasowe obyczaje, posłusznie otworzyła kredens, żeby wyjąć płatki - i natychmiast z powrotem zatrzasnęła drzwiczki.

Skoro ma ochotę na ciasteczka, nie odmówi ich sobie. Z szelmowskim uśmiechem i błyskiem w oku zaczęła przygotowywać potrzebne składniki. Wysypała mąkę i cukier na kuchenny blat, a potem energicznie je wymieszała. Nie było nikogo, kto by ze zgorzeniem patrzył, jak zlizuje z palców ciasto. Nikogo, kto by ją w grzeczny sposób upomniał, że należy sprzątać po sobie po każdym etapie pracy.

Narobiła potwornego bałaganu.

Podskakując z niecierpliwości, czekała na pierwszy wypiek.

- No już, szybciej. Muszę zjeść choćby jedno. - W tej samej chwili, kiedy zabrzączał kuchenny budzik, wyciągnęła blachę, rzuciła ją na kuchenkę i chwyciła pierwsze ciasteczko. Zaczęła na nie dmuchać i przerzucać z ręki na rękę, mimo to, gdy je wreszcie ugryzła, błyszcząca czekolada sparzyła ją w język. Jednakże, przewracając teatralnie oczami, z ogromną radością przełknęła gorący kęs.

- Dobra robota, Rowan, świetnie się spisałaś. No, to jeszcze jedno, na zdrowie.

Nim dopiekła się druga porcja, zjadła dwanaście sztuk.

Totalna rozpusta, degrengolada i dziecinada! A przy tym jakże cudowne uczucie...

Gdy zadzwonił telefon, zamykała w piecyku kolejną blachę, musiała więc podnieść słuchawkę zapaćkanymi od ciasta palcami.

- Halo?

- Rowan? Dzień dobry.

Przez chwilę ten głos nic jej nie mówił, po czym, czując się jak winowajca, poznała, że to Alan.

- Dzień dobry.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Nie, skądże. Już od dobrej chwili jestem na nogach. Właśnie... - Uśmiechnęła się szeroko i sięgnęła po następne ciasteczko. - Właśnie jem śniadanie.

- Cieszę się, że to słyszę. Zwykle jesz za mało. Wsunęła całe ciasteczko i mówiła z pełnymi ustami.

- Nie tym razem. Może to górskie powietrze... - udało się jej przełknąć kolejne ciastko - ...wzmaga mój apetyt.

- Nie poznaję cię.

- Naprawdę? - Nie jestem sobą, chciała powiedzieć. - Czuję się znacznie lepiej. I nie zamierzam na tym poprzestać.

- Masz taki nieswój głos. Dobrze się czujesz?

- Doskonale, po prostu cudownie. - Jak ma wytłumaczyć temu solidnemu i poważnemu mężczyźnie, że tańczyła w kuchni, zajadając się ciasteczkami, oraz że spędziła wieczór z wilkiem i miała erotyczne sny o mężczyźnie, którego ledwie zdążyła poznać?

I że za nic nie wyrzekłaby się tych doznań...

- Dużo czytam - powiedziała zamiast tego - oraz chodzę na długie spacerunki. Trochę też szkicuję. Już prawie zapomniałam, jaką to może sprawiać radość. Jest cudowny poranek z

niewiarygodnie niebieskim niebem.

- Wysłuchałem wczoraj wieczorem komunikatu o pogodzie na twoim terenie. Mówili o burzach z groźnymi piorunami. Próbowałem się dodzwonić, ale linia była uszkodzona.

- Tak, mieliśmy tu solidną burzę. Może dlatego wszystko dzisiaj tak fantastycznie wygląda.

- Niepokoiłem się, Rowan. Gdyby teraz nie udało mi się z tobą połączyć, poleciałbym do Portland, a stamtąd wynająłbym samochód.

Na myśl o tym, że Alan mógłby wtargnąć na teren jej magicznej krainy, ogarnęła ją panika. Kosztowało ją sporo wysiłku, żeby nie dać tego po sobie poznać.

- Och, Alanie, nie ma najmniejszego powodu do niepokoju. Naprawdę mam się świetnie, a burza była po prostu fascynująca. Siedziałam w domu i za szybą rozgrywał się niezwykle spektakl. Poza tym mam tutaj awaryjny generator.

- Trudno mi się pogodzić z myślą, że jesteś tam sama, w jakimś prymitywnym leśnym szałasie, zagubiona na końcu świata. A jeśli się skaleczysz albo w ogóle gdy stanie się coś złego, na przykład zachorujesz albo złapiesz gumę?

Poczuła, jak z niej samej stopniowo ulatuje powietrze. Jeszcze chwila, a zupełnie oklapnie. Podobnie jak jej rodzice powtarzał zawsze to samo, tym swoim troskliwym, a zarazem nieco zawiedzionym tonem.

- Alanie, to jest prześliczny, solidny i przestronny domek, a nie żaden szałas. Do najbliższego miasteczka mam niecałe dziesięć kilometrów, więc wcale nie jestem zagubiona gdzieś końcu świata. Gdybym się skaleczyła lub zachorowała, po prostu udam się do lekarza, a koło też potrafię zmienić.

- Jednak nadal w pobliżu ciebie nie ma nikogo, Rowan, a jak dowiodła ostatnia noc, łatwo możesz zostać odcięta od świata.

- Telefon działa teraz bez zarzutu - powiedziała przez zaciśnięte zęby - a w samochodzie mam telefon komórkowy.

Poza tym wydaje mi się, że jestem nowoczesną i inteligentną osobą, która na dodatek cieszy się doskonałym zdrowiem i ma dwadzieścia siedem lat, a jedynym i wyłącznym celem mojego przyjazdu do Oregonu było właśnie to, że bardzo potrzebuję samotności.

Przez chwilę panowała cisza, na tyle długa, aby dotarło do niej, iż zraniła uczucia swojego narzeczonego. Natychmiast pogrzyżała się w poczuciu winy.

- Alanie...

- Miałem nadzieję, że będziesz gotowa do powrotu do domu, ale, jak widzę, pomyliłem się. Tęsknię za tobą, Rowan, podobnie jak twoja rodzina. Chcę, żebyś o tym

wiedziała.

- Przepraszam. - Ile jeszcze razy będzie musiała wypowiadać to słowo? zastanawiała się, przyciskając palcami skronie, gdzie pojawił się tępy ból. - Nie miałam zamiaru być opryskliwa. Zdaje się, że przyjąłam pozycję obronną. Nie, nie jestem gotowa do powrotu. A jeśli chodzi o rodziców, to powiedz im, że zadzwonię dzisiaj wieczorem i że mam się dobrze.

- Będę się dzisiaj widział z twoim ojcem. - Znowu mówił oziębłym głosem, co czynił zawsze, gdy chciał jej dać do zrozumienia, że czuje się bardzo dotknięty. - Powiem mu. Odezwij się.

- Oczywiście, że się odezwę. Miło, że zadzwoniłeś. Pod koniec tygodnia napiszę do ciebie długi list.

- Bardzo bym się ucieszył. Do zobaczenia, Rowan.

Jej radosny nastrój zniknął bezpowrotnie. Odłożyła słuchawkę, odwróciła się i popatrzyła na straszny bałagan w kuchni. Traktując to jako karę, posprzątała i wyszorowała każdy milimetr, po czym włożyła ciasteczka do plastikowego pojemnika.

- No, nie, dlaczego mam się tym wszystkim zadreć? Nie zgadzam się na to! - Otworzyła z hukiem drzwi kredensu, wyjęła mniejszy pojemnik i przełożyła do niego połowę ciasteczek.

Szybko, żeby się nie rozmyślić, nałożyła lekką kurtkę i wsuwając pojemnik pod pachę, wyszła z domu.

Nie miała pojęcia, gdzie szukać domku Liama, wiedziała tylko, że znajduje się blisko morza. Dobrze byłoby odszukać to miejsce, pomyślała, tak na wszelki wypadek, bo w razie nagłej potrzeby... Przespaceruje się, a jeżeli go nie znajdzie... No cóż, stwierdziła, potrząsając ciasteczkami, przynajmniej po drodze nie umrze z głodu.

Ruszyła w drogę. Śpiewały ptaki, szumiały drzewa, słodko pachniały sosny. Tam gdzie słońcu udało się przedrzeć, pocętkowane promienie tańczyły na leśnej ściółce i roziskrzyły wodę strumienia.

Im dalej szła w las, tym szybciej wracał jej humor. Przystanęła na chwilę, by zamknąć oczy i poczuć, jak wiatr rozwiewa jej włosy i chłoszcze policzki. Czy można to wszystko wytłumaczyć takiemu człowiekowi, jak Alan? zastanawiała się. Mężczyźnie, dla którego każda potrzeba musi być logicznie uzasadniona, a każde posunięcie racjonalne i oparte na solidnych podstawach.

Czy mogłaby sprawić, by on lub ktokolwiek ze świata, od którego uciekła, zrozumiał, co to jest szaleńcza tęsknota za czymś tak niepraktycznym jak śpiew drzew, zapach rześkiego powietrza i czysty smak wody, a także spokój wynikający z samotnego obcowania z

tajemniczą i tętniącą życiem naturą?

- Nie zamierzam tam wracać. - Te słowa, które stanowczym głosem wypowiedziała do siebie, zdumiały ją i sprawiły, że gwałtownie otworzyła oczy. Nie zdawała sobie sprawy, że oto samodzielnie podjęła wreszcie jakąś decyzję, przy tym dotyczącą czegoś niesłychanie ważnego. Usłyszała nagle, że z jej gardła wydobywa się... chyba triumfalny... śmiech. Nie zamierzam wracać - powtórzyła. - Nie wiem, dokąd się udam, ale tam na pewno nie wrócę.

Znów się zaśmiała, i w szaleńczym tempie zawirowała radosnym tańcu, po czym zwawym krokiem ruszyła ścieżką, by na rozstaju skrócić w prawo. Kątem oka dostrzegła coś białego. Odwróciła się i otworzyła szeroko usta na widok białej łania.

Przyglądały się sobie, a między nimi rwał i pieniał się strumień - łania o spokojnych złocistych oczach i o skórze tak białej jak obłok, oraz kobieta, na której twarzy malowały się jednocześnie olśnienie i niedowierzanie.

Urzeczona Rowan postąpiła dwa kroki naprzód. Łania stała nieruchoma, elegancka jak rzeźba z lodu. Po czym, podnosząc do góry głowę, odwróciła się i płynnym ruchem skoczyła między drzewa. Bez chwili wahania, przeskakując po wypolerowanych skałach jak po kamiennych stopniach, Rowan przebiegła przez strumień. Od razu dostrzegła ścieżkę, a potem łanię, teraz wyglądającą jak rozmazana, skacząca biała plama.

Popędziła za nią, lecz łania wciąż była przed nią, migając lśniąca bielą i dudniąc kopytami po ubitej drodze.

Wkrótce Rowan znalazła się na idealnie okrągłej polanie, otoczonej majestatycznymi drzewami. W jej środku znajdowało się drugie koło, utworzone z ciemnoszarych kamieni, z których najkrótsze miały długość jej ramienia, a najwyższe przerastały ją.

Oszołomiona, wyciągnęła rękę i zbliżyła koniuszki palców do powierzchni najbliższego kamienia. Mogłaby przysiąc, że poczuła wibrację, podobną do szarpnięcia strun harfy... i w jakiejś tajemnej części świadomości usłyszała współgrającą z nią nutę.

Taneczny kamienny krąg w Oregonie? Nie, to wykluczone, stwierdziła. A jednak był tutaj i musiał powstać niezbyt dawno, bo gdyby miał historyczną wartość, pisano by o nim, naukowcy by go badali, a turyści odwiedzali.

Zaciekawiona, weszła między dwa kamienie i natychmiast się cofnęła. Zdawało się jej, że w środku drży powietrze, jest inne, bogatsze światło, a szum morza bliższy, niż zdawał się jeszcze przed chwilą.

Przekonywała siebie, że jest kobietą rozumną, nie powinna więc wierzyć w takie bzdury... nie ma przecież żywych, wibrujących i świecących kamieni... a jednak lepiej będzie, gdy obejdzie to miejsce.

W pół drogi od kręgu, na wąskiej, ocienionej ścieżce wśród drzew, czekała na nią łania. Spojrzała na Rowan jakby ze zrozumieniem, a także radością, zanim z wdziękiem skoczyła przed siebie.

Szybko idąc i biegnąc za nią, Rowan straciła orientację w terenie. Dochodził do niej dźwięk morza, ale z której strony? Tego nie potrafiła ustalić. Ścieżka skręciła gwałtownie, zwęziła się, aż w końcu zniknęła zupełnie. Rowan wdrapała się na powaloną kłodę, ześlizgnęła po jej pochyłości i powędrowała dalej, zagłębiając się w gęste cienie podobne do wieczornego mroku.

Gdy ścieżka urwała się raptownie, pozostawiając ją w otoczeniu drzew i gęstych krzewów, wyzwalała siebie od idiotek.

Odwróciła się, by powrócić na poprzednią drogę, gdy nieoczekiwanie ujrzała rozwidlający się dukt. Za nic nie mogła sobie przypomnieć, z której strony przyszła.

I wtedy znowu ujrzała jakiś migający, biały kształt. Mocno podekscytowana, Rowan zaczęła przedzierać się przez krzaki, torując sobie drogę i wyplątując się z gęstych i kłujących pnących roślin. Poślizgnęła się, z trudem złapała równowagę. Wreszcie, potykając się, błędząc i klęcząc na całym, wydostała się z gąszczy drzew.

Domek stał blisko klifów, oparty o skały, a z pozostałych trzech stron otoczony był drzewami. Z komina dobywał się kłębiasty dym, unoszony przez wiatr i rozplywający się na niebie.

Odgarnęła włosy i starła kropelkę krwi, ślad po ukłuciu kolcem. Chatka była mniejsza od domku Belindy i zbudowana z kamienia, a nie z drewna. W słońcu mika błyszczała jak diament. Przestronny ganek nie był kryty. Z przeszklonych drzwi na piętrze wychodziło się na malutki, wdzięczny kamienny balkonik.

Na ganku stał Liam, z kciukami zaczepionymi o przednie kieszenie džinsów, w czarnym swetrze z podwiniętymi do łokci rękawami. Nie wyglądał na uszczęśliwionego widokiem niespodziewanego gościa.

Jednak na przywitanie pokiwał głową i powiedział:

- Wejdz, Rowan, zapraszam na herbatę.

Nie czekając na jej odpowiedź, wszedł do środka, pozostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała muzykę: dźwięki piszczałek i strun łączyły się w pełną smutku melodię.

Część mieszkalna domku wydała się większa, niż się spodziewała, pomyślała jednak, że jest to złudzenie wywołane bardzo skąpym umeblowaniem, stał tu bowiem tylko prosty, szeroki fotel i długa sofa, obite ciepłą, rdzawą tkaniną. W palenisku, obramowanym

matowym szarym łupkiem, płonął ogień. Ozdobnym akcentem kominka był nie obrobiony zielony kamień, duży jak ludzka pięść, a także wyrzeźbiona w alabastrze figurka nagiej i szczupłej jak trzcina kobiety, stojącej z uniesionymi ramionami i z głową odrzuconą do tyłu.

Rowan chciała podejść bliżej i uważniej przyjrzeć się twarzy, lecz uznała takie zachowanie za zbyt obcesowe, więc udała się na tył domu, gdzie w małej, schludnej kuchni zastała Liama. W czajniku gotowała się już woda, stały też przygotowane żółte jak słońce, śliczne porcelanowe filiżanki.

- Wcale nie byłam pewna, czy pana znajdę - zaczęła, po czym, gdy odwrócił się od pieca i spojrzał na nią tym swoim przykuwającym wzrokiem, zgubiła wątek.

- Naprawdę?

- Tak, to znaczy miałam nadzieję, że mi się to uda, ale... nie byłam pewna. - Dlaczego jest aż tak bardzo zdenerwowana? Powinna nad tym zapanować! - Upiekłam ciasteczka. Przyniosłam trochę, żeby podziękować panu za wczorajszą pomoc.

Uśmiechnął się lekko i nalał wrzątek do żółtego dzbanka.

- Jakie? - zapytał, mimo że dobrze to wiedział. Poczł ich zapach, poczuł też Rowan, zanim jeszcze wyszła z lasu.

- Czekoladowe. - Zdobyła się na uśmiech. - Zna pan lepsze? - Pośpiesznie otworzyła pojemnik. - Naprawdę są wyśmienite. Zjadłam już ich co najmniej dwa tuziny.

- Więc proszę usiąść. Powinna je pani popić herbatą.

Musiała pani nieźle zmarznąć, błędząc i nadkładając drogi. Ostro dziś wieje.

- To prawda. - Usiadła przy niedużym kuchennym stole, w sam raz na dwie osoby. - Nie mam nawet pojęcia, od jak dawna tak krążę - zaczęła, przeczesując palcami zmierzwiłone włosy, gdy tymczasem on stawiał dzbanek na stole. - Straciłam orientację przez... - urwała, gdy delikatnie przesunął palcem po jej policzku.

- Podrapała pani sobie twarz - powiedział to łagodnie, i ciepłym, poufałym ruchem zdjął na palec małą kropelkę krwi.

- Och, musiałam gdzieś się zaczepić. To te kolce. - Zatraciła się w jego oczach, mogłaby się w nich zatopić. Chciała tego.

Jeszcze raz dotknął jej twarzy i usunął mały kolec, którego nie zauważyła, tak bardzo była oszołomiona.

- Gdy była pani w lesie, coś rozproszyło pani uwagę - powiedział, odsuwając się do tyłu, by potem usiąść naprzeciw niej.

- Aha... tak. Biała łania. Nalewając herbatę, uniósł brwi.

- Biała łania? Szła pani jej śladem, Rowan? Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Biała łania, biały ptak, biały koń... To tradycyjny symbol w literaturze, oznaczający pogoń za czymś, co nieznanne. Sądzę, że był to dość łagodny rodzaj pościgu, ponieważ szukałam pana... ale ja ją naprawdę widziałam.

- Nie kwestionuję tego - powiedział z pewną tkliwością. Jego matka uwielbiała tradycyjne symbole.

- Pan ją widział?

- Tak. - Podniósł filiżankę do ust. - Choć już dość dawno temu.

- Prawda, że piękna?

- O. tak, bardzo piękna. Rozgrzej się, Rowan. Jesteś drobna i krucha, możesz się przeziębic.

- Wychowałam się w San Francisco, więc przywykłam do chłodów. Najważniejsze, że ją widziałam. Nie mogłam się oprzeć, żeby za nią nie pobiec, i wylądowałam na polanie z kamiennym kręgiem.

W jego oczach pojawił się błysk, stały się uważne.

- Zaprowadziła tam panią?

- Sądzę, że można to tak ująć. Zna pan to miejsce? Nie spodziewałam się, że zastanę tu coś takiego. Na ogół kamienne kręgi kojarzą się z Irlandią, z Wielką Brytanią, zwłaszcza z Walią lub z Kornwalią, ale nie z Oregonem.

- Można je spotkać wtedy, kiedy są potrzebne... gdy bardzo się tego chce. Weszła pani do środka?

- Nie. Może to niemądre, ale trochę się przestraszyłam, więc obeszłam je dookoła. I wtedy już na dobre się pogubiłam.

Wiedział, że powinien poczuć ulgę, tymczasem był rozczarowany. Ale oczywiście, był świadomy faktu, że gdyby tam weszła natychmiast dowiedziałby się o tym.

- Na szczęście pani tutaj dotarła.

- Wszystko wskazywało jednak na to, że jednak się zgubiłam. Ścieżka zniknęła i nie wiedziałam, w którą mam iść stronę. Pewnie mam słabą orientację w terenie. Wspaniała herbata - zauważyła. Była gorąca, mocna i aksamitna, miała też jakiś nieznaną, cudowny i słodki posmak.

- Nasza tradycyjna rodzinna mieszanka - powiedział, nieznacznie się uśmiechając, po czym spróbował jedno z jej ciasteczek. - Dobrze. Rowan, czy to znaczy, że pani gotuje?

- Tak, ale efekty bywają, jak by to powiedzieć, różne.

- Wróciła jej poranna wesołość i aż perlila się w jej głosie.

- Dziś rano udało się. Podoba mi się pański domek. Jest trochę jak z książki, z tymi

klifami i morzem z tyłu, i błyszczącymi w słońcu kamieniami.

- Odpowiada moim potrzebom. Jak dotąd.

- A widoki... - Wstała, żeby podejść do okna nad zlewem, i aż jej dech zaparło na widok klifów. - Niesłychane. Wyobrażam sobie, że podczas takiej burzy jak wczorajsza muszą wyglądać niesamowicie. Jakby ktoś rzucił czary.

Rzucił czary, pomyślał, a znając skłonność swojego ojca do manipulowania pogodą w zależności od potrzeby, uznał, że to określenie idealnie pasuje do wczorajszej burzy.

- A dobrze spałaś, Rowan?

Nagle zrobiło jej się gorąco. Za żadne skarby nie wyjawi mu, że jej się śnił i że się z nią kochał.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek tak dobrze spała.

Zaśmiał się, wstał z miejsca.

- Pochlebia mi pani. - Widział, jak kurczą się jej ramiona.

- Nie wiedziałem, że moje towarzystwo tak panią zrelaksuje.

- Hm. - Próbując się otrząsnąć z uczucia, wokół którego krążyły jej myśli, a które on tak dobrze znał, zaczęła się odwracać. Dostrzegła otwarte drzwi, a za nimi nieduży pokój, w którym na biurku paliło się światło i pracował lśniący czarny komputer.

- To pański gabinet?

- Od biedy tak to można nazwać.

- A zatem przeszkodziłam panu w pracy.

- To nic pilnego. - Potrząsnął głową. - Jeżeli chce pani zobaczyć, wystarczy powiedzieć słowo.

- Chciałabym - przyznała. - Jeżeli można - Zaprosił ją ruchem ręki i puścił przodem. Pomieszczenie było małe, ale okno na tyle duże, że było przez nie widać wprost oszałamiające klify. Aż dziw, że można pracować i koncentrować myśli w warunkach, które skłaniają raczej do marzeń. Roześmiała się, gdy spojrzała na monitor.

- A więc zabawia się pan komputerowymi grami? Akurat tę znam. Moi studenci szaleli na punkcie „Tajemnic Myor”.

- A pani nie interesują gry komputerowe?

- Jestem w tym po prostu beznadziejna. Strasznie się w to wciągam i przejmuję, a tutaj liczy się każdy krok i trzeba bardzo uważać. Tak się tym ekscytuję, że nie wytrzymuję napięcia. - Śmiejąc się, podeszła bliżej i pochyliła nad widniejącymi na ekranie zamkiem oraz uroczymi, zwiewnymi wrózkami. - Dobrzełam zaledwie do trzeciego etapu, gdzie Brinda, królowa wrózek, obiecuje otworzyć Zaczarowane Wrota temu, kto znajdzie trzy kamienie.

Zwykle znajduję tylko jeden, po czym wpadam do Lochu Skąd Nie Ma Odwrotu.

- Na drodze do zaczarowanego świata zawsze muszą być pułapki, bo w przeciwnym razie dotarcie do niego nie byłoby żadną atrakcją. Chce pani jeszcze raz spróbować?

- Nie, od tego pocą mi się ręce i sztywnieją palce. Naprawdę żalosne i poniżające widowisko. - Roześmiała się.

- Pewne gry należy traktować poważnie, inne nie.

- Dla mnie wszystkie są poważne. - Rzuciła okiem na obwolutę płyty kompaktowej, podziwiając ilustrację, po czym zamrugała z wrażenia oczami na widok napisu: Copyright By The Donovan Legacy. - To pana gra? - Zachwycona, wyprostowała się i odwróciła do Liama.

- Wymyśla pan gry komputerowe? To wymaga ogromnej inteligencji i zręczności.

- Powiedziałbym, że to raczej rozrywka.

- Dla kogoś, kto dopiero stawia pierwsze kroki w Internecie, jest to genialne. Myor to cudowna opowieść. Strona graficzna też jest wspaniała, ale tak naprawdę podziwiam i uwielbiam samą fabułę. Prawdziwa magia. Prowokująca baśń, z tymi wszystkimi nagrodami i konsekwencjami.

Zauważył, że gdy jest szczęśliwa, w jej oczach pojawiają się małe srebrne cętki światła, a w miarę jak poprawiał się jej nastrój, pachniała coraz cieplej. Wiedział, jak sprawić, by ten zapach stał się jeszcze cieplejszy, a te srebrne cętki utonęły w intensywnym, ciemnym błękicie.

- Wszystkie bajki mają jedno i drugie. Lubię panią z takimi włosami. - Stał bliżej i wsunął w nie palce, jakby badał ich gatunek i ciężar. - Rozpuszczone i zmierzwione.

Ścisnęło ją w gardle.

- Zapomniałam rano je zapleść.

- To dzieło wiatru - powiedział półgłosem, podnosząc pełną ich garść do twarzy. - Czuję w nich wiatr i morze.

Wiedział, że postępuje lekkomyślnie, lecz on także uczestniczył w tamtym śnie i zapamiętał każde wzniesienie i zagłębienie ciała Rowan. - Na pewno na pani skórze również poczułbym smak wiatru i morza.

Nie mogła się ruszyć, mogła jedynie oddychać. Więc stała tylko, wpatrując się w jego oczy... i oczekując.

- Rowan Murray o oczach nimfy leśnej. Ty naprawdę chcesz, żebym cię dotknął. - Położył rękę na jej sercu, wyczuwając pod delikatną wypukłością piersi każde walące jak młotem uderzenie. - O, tak, właśnie tak.

Oczy zaszyły jej mgłą, a drżący oddech zamienił się w tęskne westchnienie. Wprawdzie

Liam dotykał jej leciutko, lecz żar jego palców zdawał się palić jej ciało. Nadal nie ruszyła się z miejsca.

- Wystarczy tylko, że powiesz nie - wyszeptał. - Pytam tylko, czy chcesz, żebym poznał smak twojego ciała.

A gdy pochylił głowę, żeby skubnąć i przejechać zębami wzdłuż linii jej podbródka, odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła zamglone oczy.

- Czuję morze i wiatr, a także niewinność. Co by się stało, gdybym cię teraz pocałował, Rowan?

Na wspomnienie takiego samego pytania, zadanego we śnie, rozchyliła drżące usta i tak jak wtedy, nie mogła wydobyć z nich dźwięku. A gdy przywarł do niej wargami, pozbyła się wszelkich myśli i przestała walczyć ze sobą. Przed jej oczami w zawrotnym tempie zawirowały światelka, a ciałem wstrząsnęło pożądanie. Pierwszy dźwięk, jaki wydała, był płaczliwy, skamlący i mógł wyrażać strach, ale następny był już głębokim westchnieniem, mówiącym o niewyobrażalnej rozkoszy.

Był delikatniejszy, niż się spodziewała, może bardziej, niż sam zamierzał. Jego wargi muskały ją, dopóki jej usta - teraz miękkie i gorące - nie poddały się. Kołysząc się, przytuliła się do niego, uległa i prosząca.

Och, tak. Chcę tego. Właśnie tego!

Zadrzała, gdy ją objął za szyję, gdy ponaglając przechylił do tyłu jej głowę i całował coraz mocniej i głębiej, a ich coraz bardziej nierówne i przyspieszone oddechy stopiły się i połączyły w jeden. Uchwyciła się jego ramion, najpierw dla utrzymania równowagi, a potem dla czystej radości kontaktu z twardymi, niebezpiecznie naprężonymi mięśniami. Przesunęła do góry ręce i zanurzyła w jego włosach. W przebłysku świadomości zobaczyła wilka i jego gęstą, czarną sierść, poczuła silny, masywny tułów, a potem ujrzała mężczyznę siedzącego na jej łóżku, trzymającego kurczowo jej rękę, gdy dreszcz rozkoszy wstrząsał jej ciałem.

Przypomnienie czegoś, co zdarzyło się we śnie, oraz zalew obecnych doznań oszołomiły ich oboje.

Nagle Rowan wybuchła i popłynęła jak wrząca, gorąca i zdobywcza lawa.

Jej usta stały się dzikie i drapieżne, wymykające się spod jego kontroli. Jej uległość była słodka, lecz żądania obezwładniające. Gdy zawrzała w nim krew, przyciągnął ją bliżej, a gorący pocałunek stał się zachłanny, niemal zwierzęcy.

A ona wciąż napierała, pociągając go ze sobą, aż zanurzył twarz w jej szyi, walcząc ze sobą, żeby nie użyć zębów.

- Nie jesteś gotowa, żeby mnie przyjąć - powiedział, z trudem chwytając powietrze, i

szarpnął ją do tyłu, lekko potrząsając. - Na Finna, ja także nie jestem gotów, żeby cię przyjąć. Może przyjdzie taki czas, gdy to nie będzie ważne, i wówczas to wykorzystamy... lecz dzisiaj to ma znaczenie. - Jego uścisk zelżał, ton głosu złagodniał. - Wracaj do domu, Rowan, gdzie będziesz bezpieczna.

Nadal wirowało jej w głowie, nadal wrzała w niej krew.

- Nigdy z nikim tak się nie czułam. Nawet nie wiedziałam, że to jest możliwe.

Błysk, który pojawił się w jego oczach, sprawił, że aż zadrżała na myśl o nieznanym przeżyciach, które mogły stać się jej udziałem. Lecz Liam tylko coś mruknął w języku, którego nie rozumiała, opuścił głowę i przywarł do niej czołem.

- Otwartość i szczerść mogą być groźne. Nie zawsze zachowuję się w cywilizowany sposób, Rowan, ale staram się i pracuję nad tym. Bacz na to, co ofiarowujesz, bo nie ręczę, czy nie zechcę wziąć więcej, niż sama zechcesz mi ofiarować.

- Jestem beznadziejna, gdy chodzi o udawanie. Nie umiem też kłamać.

Rozśmieszyła go tym, a gdy się wyprostował, jego oczy były już zupełnie spokojne.

- Więc najlepiej nic nie rób, na Boga. Wracaj teraz do domu. Pójdź inną drogą, niż tu przysłaś. Idź przed siebie, a wkrótce zobaczysz ścieżkę. Nie zbaczaj z niej, a doprowadzi cię prosto do domu.

- Liamie ja chcę...

- Wiem, czego chcesz. - Wziął ją zdecydowanym ruchem za ramię i wyprowadził. - Gdyby tylko chodziło o pójście na górę i baraszkowanie w łóżku, dawno już byśmy tam byli. - Podczas gdy ona zasyczała wściekle, on wciąż ją ciągnął, aż dotarli do frontowych drzwi. - Lecz ty nie jesteś taka zwyczajna i nieskomplikowana, jak ci się zdaje... i ja też nie. Na Boga, Rowan, wracaj do domu!

I po prostu wypchnął ją za drzwi. Choć rzadko i tylko w wyjątkowych okolicznościach pozwalała sobie na upust gniewu, tym razem, gdy wichur smagnął ją w twarz, wybuchnęła:

- Świetnie się składa, Liamie, ponieważ ja sama nie chcę, żeby to było zwyczajne. Mam dość zwyczajności. Więc nie dotykaj mnie więcej, o ile nie chcesz komplikować spraw.

Niesiona złością, zakręciła się na pięcie i nie podjęła dyskusji na temat szerokiej i wyraźnej ścieżki, której, jej zdaniem, przedtem tu nie było. Po prostu pomaszzerowała nią, by po chwili zniknąć wśród drzew.

Obserwował ją, stojąc na ganku. Jeszcze długo po tym, gdy zniknęła, patrzył za nią i uśmiechnął się leciutko, kiedy wreszcie dotarła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Tak będzie dla ciebie lepiej, Rowan Murray.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ten człowiek wyrzucił mnie z domu, pomyślała Rowan, gdy jak burza wpadła do siebie. Jeszcze chwilę wcześniej całował ją nieprzytomnie, przyciskał do swojego cudownie męskiego ciała, by już w następnej pokazać jej drzwi. Wykopał ją, jak jakąś natrętną handlarke, która wciska marny towar.

Och, jakie to było upokarzające!

Złość nie mijała, a obraźliwe słowa dźwięczały jej w uszach. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Nerwowo krążąc po salonie, obeszła go kilkakrotnie. To on dobrał się do niej, to była jego inicjatywa. On ją pocałował, do cholery! Sama by nie zaczęła.

Dlaczego jednak, stwierdziła, gdy złość ustąpiła miejsca zażenowaniu, stała tam jak matoł? Pozwoliła mu się całować... i pozwoliłaby na wszystko, tak bardzo była oszołomiona.

- Och, jakaś ty durna, Rowan! - Opadła na krzesło i położyła głowę na stole. - Co za tuman, co za mięczak.

Czyż nie poszła do niego, błakając się po lesie jak Małgosia z bajki Grimma, tylko zamiast okruszków chleba niosła pudełko ciasteczek? W poszukiwaniu magii, pomyślała, przykładając policzek do gładkiego drewna. Zawsze w pogoni za czymś cudownym, przyznała z westchnieniem. Co tym razem, na bardzo krótko, znalazła.

Tym gorzej, stwierdziła, bowiem zaraz po tym, gdy doznała prawdziwego zawrotu głowy, wyrzucono ją za próg.

Boże, czyżby była aż tak spragniona, żeby padać do nóg facetowi, którego widziała zaledwie dwa razy i o którym prawie nic nie wie? Czyżby była tak słaba i chwiejna, by tylko dlatego, że ma pociągającą twarz, snuć fantazje na jego temat?

Prawdę mówiąc, nie chodziło tylko o twarz, która wyraża, jak sądziła, istotę tego mężczyzny. Tajemniczość i romantyczność, które tak szybko ją ujęły. Istniało tylko jedno słowo, oddające to, co przeczuwała - spełnienie... idealne spełnienie.

Była nim tak bardzo zachwycona, iż wystarczyło, aby jej dotknął - i było po niej. Natychmiast się zorientował, że jej żalosna wyprawa, rzekomo w celu wyrażenia podziękowań, była tylko pretekstem do...

Nic dziwnego, że pokazał jej drzwi. Lecz nie musiał być przy tym tak bardzo okrutny, pomyślała. Poniżył ją.

- Nie jesteś gotowa, żeby mnie przyjąć - mruknęła, przypominając sobie jego słowa. - Skąd on, do licha, może wiedzieć, do czego jestem gotowa, skoro sama tego nie wiem?

Przecież nie czyta w moich myślach!

Zasepiwszy się, zerwała pokrywkę pojemnika z ciasteczkami i chwyciła jedno. Zjadła je z ponurą miną, przesyłając przy tym Liamowi Donovanowi cudowny, soczysty tekst, który miał go osadzić na miejscu.

- A więc mnie nie chce - burknęła. - Nikt tego od niego wcale nie oczekuje! Nie wejdę mu w drogę, będę go unikać. Całkowicie. Totalnie. - Chwyciła następne ciasteczko. - Przyjechałam tu po to, żeby się zastanowić nad sobą, a nie po to, by próbować zagłębiać się w tajniki duszy jakiegoś irlandzkiego pustelnika.

Czując lekki przesyty, zatrzasnęła pudełko z ciasteczkami. Pierwsza rzecz, jaką zrobi, to pojedzie do miasteczka, znajdzie księgarnię i kupi jakiś poradnik o konserwacji domu, uznała, maszerując do salonu po torebkę.

Nie zamierza się miotać jak głupia, gdy ją coś nowego zaskoczy, poradzi sobie sama ze wszystkim. A gdyby Liam stanął w drzwiach jej domu i zaproponował pomoc, odpowie wyniośle, że sama potrafi o siebie zadbać.

Zatrzasnęła drzwiczki auta i uruchomiła silnik. Jak przez mgłę pomyślała o możliwości złapania gumy i doszła do wniosku, że skoro już przy tym jest, warto by również kupić książkę o naprawach samochodów.

Pomknęła wyboistą, zakurzoną drogą, cisnąc gaz do dechy, by w ten sposób odreagować stres. W miejscu, gdzie droga Belindy łączyła się z główną szosą, zobaczyła srebrnego ptaka.

Był to potężny, wspaniały orzeł. Bez namysłu gwałtownie zahamowała. Była naprawdę zdumiona, bo orzeł wyglądał niezwykle. Ogromny, majestatyczny, prawdziwie królewski, intensywnie srebrzystoszary. Zamiast latać w przestworzach lub odpoczywać na wierzchołkach skał, siedział na znaku drogowym i złowieszczo łypał oczami na przejeżdżające samochody.

Jakże cudowną i dziwną faunę mają tu w Oregonie, zadumała się, odnotowując w pamięci, że musi dowiedzieć się czegoś o tutejszym świecie dzikich zwierząt. Na szczęście przywiozła ze sobą sporo książek. Opuściła okno i wystawiła głowę na zewnątrz.

- Jakiś ty piękny. - Uśmiechnęła się, kiedy ptak nastroszył pióra, jakby się pysznił. - Jaki królewski! Założę się, że w powietrzu wyglądasz jeszcze bardziej majestatycznie. Zastanawiam się, jakie to uczucie, kiedy się lata do... własnego nieba. Ty to wiesz.

Uświadomiła sobie, że ptak ma zielone oczy. Srebrzystoszary orzeł o kocich oczach?! Przez chwilę zdawało jej się, że dostrzega połyskujące na jego piersi złoto, jakby miał tam wisior. Zwykle złudzenie, pomyślała i z zalem podkręciła szybę do góry.

- Wilki i łanie, a teraz orły. Że też ludziom chce się żyć w mieście. Do widzenia, wasza wysokość.

Gdy rover zniknął, orzeł rozpostarł skrzydła i wzniósł się ku niebu, wydając triumfalny krzyk, który poniósł się echem ponad wzgórzem, lasem i morzem. Poszybował nad drzewami, zatoczył koło, po czym sfrunął w dół. Zawirował biały dym, zamigotało niebieskie jak błyskawica światło.

I wylądował miękko na leśnej ściółce, na dwóch obutych nogach.

Mierzył ponad metr osiemdziesiąt, miał grzywę srebrzonych włosów, zielone jak szkło oczy i tak ostre i wyraziście zaznaczone rysy twarzy, jakby zostały wyrzeźbione w marmurze z ciemnych wzgórz Irlandii. Złoty łańcuch połyskiwał na jego szyi, a na nim amulet symbolizujący jego wysoką rangę.

- Czmycha jak zając, a winą obarcza lisa - mruknął.

- Jest młoda, Finnic - Kobieta, która wyłoniła się z zielonego cienia, była prześliczna, jej włosy złociły się i spadały na plecy, miała łagodne, brązowe oczy i mleczną, gładką jak alabaster cerę. - I nie zna swojej prawdziwej natury, podobnie jak nie zna natury Liama.

- Brak jej mocnego kręgosłupa, przydałoby się jej też więcej odwagi i tupetu, które pokazała, kiedy mu dała niedawno nauczkę. - Sroga twarz mężczyzny złagodniała pod wpływem uśmiechu. - Tobie nigdy nie brakowało charakteru ani odwagi, Arianno.

Zaśmiała się i ujęła w dłonie twarz męża. Złota obrączka błyszczała na jednej ręce, a ognisty rubin skrzył się na drugiej.

- Z takim jak ty potrzebowałam obu tych cech, lecz oni są inni, Finnic Musimy im teraz pozwolić pójść własną drogą.

- A kto wciągnął dziewczynę do tej zabawy, a potem doprowadził do chłopaka? - zapytał z arogancko uniesioną brwią.

- No i co? - Koniuszkiem palca leciutko dotknęła jego policzka. - Przecież zgadzałam się z tym, że od czasu do czasu powinniśmy im dać lekkiego kuksańca. Dziewczyna zadrezcza się, a Liam... och, Liam jest trudnym człowiekiem. Jak jego tatuś.

- Więcej cech odziedziczył po matce. - Nadal się uśmiechając, Finn pochylił się, żeby pocałować żonę. - Kiedy dziewczyna odnajdzie siebie, chłopak będzie miał pełne ręce roboty. Ukorzy się, nim pozna prawdziwą wartość dumy, zaś ona niejeden jeszcze raz poczuje się zraniona, nim pozna pełnię swojej władzy.

- Z tego, co mówisz, wynika więc, że odnajdą się nawzajem. Lubisz ją. - Arianna objęła Finna za szyję. - Zdaje się, że schlebia twojej próżności, gdy wzdycha do ciebie i nazywa cię przystojnym.

Srebrzyste brwi uniosły się ponownie, gdy Finn błysnął szerokim uśmiechem.

- Jestem przystojny, sama to mówiłaś. Zostawimy ich na jakiś czas samym sobie. -
Objął ją ręką w pasie. - Wracajmy do siebie, *a ghra*. Już się stęskniłem za Irlandią.

Zawirował biały dym, zadrżało białe światło, i znaleźli się w domu.

Po powrocie z miasteczka Rowan najpierw posiliła się zupą, a potem pochłonęła rozdział poświęcony głównym usterkom i naprawom hydraulicznym. Zapadł zmrok. Po raz pierwszy od przyjazdu nie wyszła na dwór, aby podziwiać fantastyczne światło odchodzącego dnia.

Siedząc z łokciami opartymi o kuchenny stół, ze stygnącą obok herbatą, zapragnęła niemal, żeby zaczęła przeciekać jakaś rura, by mogła w praktyce sprawdzić zdobytą właśnie wiedzę.

Zadowolona z siebie, postanowiła wziąć się za rozdział poświęcony elektrycznym urządzeniom. Najpierw musiała jednak zatelefonować, nie mogła bowiem tego dłużej odwlekać. Początkowo chciała się pokrzepić kieliszkiem wina, ale uznała to za objaw słabości.

Zdjęła okulary do czytania i ruszyła w stronę telefonu.

To straszne bać się zadzwonić do ludzi, których się kocha.

Odwlekła jeszcze tę chwilę, układając równiutko książki, które kupiła. Było ich kilkanaście. Cieszyła się, że nabyła również pozycje dotyczące legend i mitów. Jedną z nich przeznaczyła na nocną lekturę.

Przyniosła drewno i położyła je przed kominkiem, pozmywała naczynia i starannie je powycierała, a także, jak zwykle, rozejrzała się za wilkiem, którego nie widziała przez cały dzień.

Gdy już nie było nic, czym mogłaby zająć czas, podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

Dwadzieścia minut później siedziała na schodkach z tyłu domu. Światło z kuchni padało na jej drżące w spazmach plecy. Rowan płakała.

Omal nie ugięła się pod życzliwą presją, omal się nie załamała, słuchając zakłopotanego i zadającego ból głosu matki. Tak, tak, oczywiście, wróci do domu. Wróci i będzie dalej uczyć, zrobi doktorat, wyjdzie za Alana, założy rodzinę. Zamieszka w ślicznym domu w bezpiecznej okolicy. Będzie robiła wszystko, co zechcą, tak długo, jak długo będą z tego powodu szczęśliwi.

Tyle jej miała do powiedzenia, ale przecież matka i tak by nie zrozumiała. Wolą więc wszystko przemilczeć.

Łzy, które popłynęły z oczu Rowan, były gorące, pochodziły prosto z serca. Chciałaby

zrozumieć, dlaczego zawsze ciągnie ją w inną stronę, dlaczego tak rozpaczliwie pragnie osiągnąć to, co jej chodzi po głowie i tli się w duszy, ale jest takie nieuchwytnie i mgliste.

Jest coś, co od lat na nią czeka. Coś, co ma jakiś niepojęty związek z tym, kim naprawdę była... albo kim chciała być. To wszystko, nic więcej nie wie.

Kiedy wilk wsunął łeb pod jej rękę, objęła go i po prostu wtuliła twarz w jego szyję.

- Och, jak ja nie lubię nikogo ranić! Nie znoszę tego, a ciągle to robię i nic na to nie mogę poradzić. Co jest we mnie takiego? Może jestem z gruntu zła?

Zrosiła łzami jego szyję... czym poruszyła jego serce. Aby ją pocieszyć, zaczął obwąchiwać i trącać jej policzek, pozwolił, żeby się go kurczowo uchwyciła. Po czym poddał jej kojącą myśl:

- Zaprzecz się siebie i zaprzecz się wszystkiego, co od nich dostałaś. Miłość otwiera drzwi. Nie odcina cię od nich. Gdy przez nie przejdiesz i odnajdziesz siebie, oni nadal tam będą.

Wzdrygnęła się, potarła twarz o jego sierść.

- Nie mogę tam wrócić, nawet jeżeli jakaś część mnie chce tego. Wiem na pewno, że gdybym to zrobiła, po prostu coś by się we mnie... skończyło. - Wyprostowała się, przytrzymując głowę rękami. - Gdybym wróciła, nigdy już nie spotkałabym nikogo takiego jak ty. Nawet gdyby tam był, nigdy bym go przecież nie dostrzegła... nigdy też nie pobiegnęłabym za białą łanią ani nie przemawiałabym do orła.

Westchnąwszy, pogłaskała wilka po potężnym karku.

- Nigdy bym nie pozwoliła, żeby mnie pocałował zadufany i wrogo do mnie nastawiony Irlandczyk ani też nie zrobiłabym niczego tak śmiesznego i idiotycznego, jak jedzenie ciasteczek na śniadanie.

Pokrzepiona na duchu, oparła głowę na łbie wilka.

- A ja nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie robić. Widać już taka jestem, lecz oni nie potrafią tego zrozumieć, wiesz? To ich rani i przeraża, ponieważ mnie kochają.

Westchnęła i wyprostowała plecy, odruchowo głaszcząc wilczy łeb, wpatrując się w głębokie cienie lasu i wsłuchując się w jego niepojęte, powtarzane szeptem tajemnice.

- Muszę tak zrobić, aby wszystko było inaczej. Muszę przestać zadawać im ból i przestać się bać. Jestem przerażona, że to może się udać, ale też boję się, że mi się nie powiedzie. - Posmutniała, - Jestem jednym wielkim tchórzem.

Wilki zmrużyły ślepia, łypnęły nimi i warknęły takim basem, że aż zamrugała oczami. Jej twarz znajdowała się blisko jego pyska, mogła więc dostrzec mocne, nadzwyczaj białe zębiska. Przestraszona, pogłaskała drżącymi palcami wilczy łeb.

- O co chodzi? Uspokój się. Może jesteś głodny? Mam ciasteczka. - Z bijącym sercem powoli wstała, podczas gdy on nie przestawał warczeć. Kiedy podniósł się i ruszył za nią, zaczęła się wycofywać, nie spuszczając go z oczu.

Gdy dotarła do drzwi, miała ogromną chęć zatrzaskać je i zamknąć na klucz. To dzika bestia, której nie można ufać. Gdy jednak popatrzyli sobie w oczy, myślała tylko o tym, jak przywarł do niej pyskiem i pocieszał, gdy płakała.

Zostawiła drzwi otwarte.

Choć drżała jej ręka, sięgnęła po ciasteczko i podała mu.

- Pewnie nie będzie ci smakować, ale spróbuj. - Wydała stłumiony okrzyk, kiedy zaskakująco delikatnie chwycił je z jej palców.

Mogłaby przysiąc, że jego oczy śmieją się do niej.

- No cóż, w porządku, teraz wiemy, że cukier, równie skutecznie jak muzyka, łagodzi obyczaje dzikich zwierząt. Jeszcze jedno i na tym koniec.

Gdy z zaskakującą prędkością i gracją wspiął się na tylne łapy, przednie kładąc na jej ramionach, wydała tylko głuchy jęk. Jej szeroko otwarte, okrągłe oczy spotkały się z błyszczącymi ślepiami wilka. A kiedy długim, gorącym pociągnięciem języka polizal ją od obojczyka aż do ucha, zaczęła się śmiać.

- Ale z nas para - mruknęła i przycisnęła wargi do grzywy na karku wilka. - Naprawdę niezwykła para!

Z równą gracją opuścił się na cztery łapy, przy okazji porywając z jej palców kolejne ciasteczko.

- Sprytnie, bardzo sprytnie. - Mierząc go wzrokiem, zamknęła pudełko i odstawiła je na lodówkę. - Marzę o gorącej kąpieli i o książce - oznajmiła. - A także o tym kieliszku wina, którego sobie wcześniej odmówiłam. Nie zamierzam myśleć o tym, co komu może się podobać lub też nie podobać - ciągnęła, otwierając lodówkę. - Nie zamierzam też rozmarzać się o seksownym sąsiedzie i o jego niesamowitych, cudownych ustach. Zamierzam myśleć o tym, jak miło mieć tyle czasu i przestrzeni dla siebie.

Skończyła nalewać wino, a ponieważ wilk nie przestawał na nią spoglądać, wzniosła za niego toast.

- Wszystkiego najlepszego. Właściwie dlaczego nie miałbyś pójść na górę i dotrzymać mi towarzystwa, gdy będę brać kąpiel?

Wilki przeciągnął językiem po zębach, wydał niski dźwięk podobny do śmiechu i pomyślał: dlaczego nie?

Zafascynowała go. Było to dość krępujące doznanie, ale nie mógł się z niego

wyzwolić. I na nic się zdało powtarzanie sobie, że ma do czynienia ze zwykłą kobietą, do tego obarczoną zbyt wielkim bagażem nie załatwionych spraw, aby się w to angażować.

Po prostu nie potrafił trzymać się od niej z daleka.

Był przekonany, że skutecznie ostudził jej zapał, gdy z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi. I chociaż był zachwycony jej świętym oburzeniem, płonącymi z gniewu i oburzenia oczami, zawziętym grymasem ślicznych, delikatnych ust, postanowił nie myśleć o niej przez najbliższe dni.

Tak będzie mądrzej i bezpieczniej.

Lecz cóż, usłyszał jej płacz. Gdy siedział w swoim gabinecie, bawiąc się i pracując nad kolejnym odcinkiem gry o perypetiach w krainie Myor, usłyszał przejmujące dźwięki i poczuł, jak smutek Rowan i jej rozpaczliwe poczucie winy rozdzierają mu serce.

Nie może jej zostawić w takim stanie, udał się więc do niej i przyniósł odrobinę pocieszenia. Potem bardzo go rozsierdziła, kiedy nazwała siebie tchórzem. Co gorsze, wierzyła w to.

A co zrobiła ta tchórzliwa kobieta, gdy wilk groźnie na nią warknął? Poczęstowała go ciasteczkami.

Na Finna, ciasteczkami!

Była rozbijająco czarująca.

Następnie zabawiał się i jednocześnie przeżywał męki, siedząc i obserwując, jak bez pośpiechu, leniwie zdejmuje z siebie ubranie. Słodki Boże, jak ta kobieta potrafi rozpalić mężczyznę! A potem, przebrana w czerwony szlafrok, którego nawet nie zawiązała paskiem, napelniła staroświecką wannę pieniącym się płynem o zapachu jaśminu.

Zapaliła świece. Napuściła bardzo gorącej wody i nastawiła cichą muzykę. Gdy zrzuciła z siebie szlafrok, zaczęła śnić na jawie. Oparł się pokusie przeniknięcia jej myśli i zobaczenia, co sprawia, że jej oczy są takie odległe i nieobecne, dlaczego na jej wargach pojawił się uśmiezek...

Zachwyciło go jej ciało. Było takie smukłe i gładkie, o perłowej skórze i delikatnych krągłościach. Drobne kości, maleńkie stopy, różowe pączki piersi.

Chciał je smakować, przeciągnąć po nich językiem, z bliskości wchłaniać ich zapach.

Kiedy się pochyliła, by zakręcić krany, trzeba było ogromnego aktu woli, żeby się powstrzymać i nie uszczypnąć tego jędrnego, gołego tyłeczka.

Złościło go i zachwycało zarazem, że nie jest ani trochę świadoma tego, jaka jest. Zgarnęła włosy do góry w cudowny, zmierzwiony czub i nawet nie spojrzała do lustra.

Zamiast tego rozmawiała z nim, paplając to i owo, po czym, wchodząc do wanny,

syknęła. Para zafalowała, gdy ostrożnie zanurzała się w wodzie, dopóki bąbelki nie przykryły jej piersi.

Miał straszną ochotę przeobrazić się w mężczyznę i wślizgnąć do wanny razem z nią.

Zaśmiała się tylko, gdy podszedł bliżej i zaczął ją obwąchiwać. Odruchowo pogłaskała go po głowie, sięgając ręką 'po książkę.

Łatwe naprawy domowe dla tych, którzy znajdują się w kłopotach.

Zachichotał, wydając dźwięk podobny do szczeknięcia. Szybko podrapała go za uszami, po czym sięgnęła po wino.

- Piszą tutaj - zaczęła - że zawsze powinnam mieć pod ręką kilka podstawowych narzędzi. Wydaje mi się, że w pakamerze widziałam wszystko, co trzeba, ale będzie lepiej, jeżeli sporządzę listę i porównam ją z tym, co jest. Następnym razem, gdy wysiądzie prąd albo pójdą korki, poradzę sobie sama. Nie będę szukać niczyjej pomocy, a tym bardziej Liama Donovana.

Zaparło jej dech, po czym zachichotała, gdy wilk zanurzył język w jej kieliszku i wypił trochę wina.

- No, no! To jest bardzo wytrawne białe sauvignon, nie dla ciebie, braciszku! - Przetawiała kieliszek, żeby nie mógł dosięgnąć. - A tutaj mam proste wyjaśnienie, jak wymienić zepsutą instalację elektryczną. Wcale tak strasznie to nie wygląda. Poza tym jestem dobra, gdy trzeba postępować zgodnie z instrukcją. Zmarszczyła czoło.

- Stanowczo za dobra. - Wypiła łyk wina i zanurzyła się głębiej. - Na tym polega sedno sprawy. Przyzwyczaiałam się postępować zgodnie z poleceniami i dlatego gdy teraz trochę zboczyłam z drogi, wszyscy tak bardzo się przerazili.

Odłożyła na bok książkę, niespiesznie wyjęła z wody nogę, podniosła ją do góry i pociągnęła końcem palca po łydce.

- Chyba nawet mnie samą, nie mniej niż ich, zaskoczył fakt, że lubię zmiany. Przygody - dodała i uśmiechnęła się do niego szeroko. - Tak naprawdę jest to moja pierwsza przygoda. - Wynurzyła się znowu, a bąbelki przylgnęły do jej piersi. Zebrała ich całą garść i leniwym ruchem rozprowadziła po skórze.

Zaśmiała się tylko, gdy ją polizał od łokcia do ramienia.

- Bądź co bądź, to przecież nie byle jaka przygoda! Leżała w wannie jeszcze przez pół godziny, bezwiednie wprawiając go w zachwyt. Jej zapach, kiedy się wycierała, nappełnił go niewymowną tęsknotą. Stwierdził, że w piżamie wygląda równie pociągająco.

Gdy ukucnęła, żeby napalić w sypialni, tak ją trącał pyskiem i węszył, że śmiała się jak dziecko. Kolejna rzecz, jakiej się nauczyła, to wesołe zapasy z wilkiem na dywaniku

przed kominkiem. Jego oddech łaskotał ją w gardło. Podrapała go po brzuchu, a on zamruczał jak kot. Jego język był ciepły i wilgotny, kiedy ją polizał po policzku. Nie posiadając się z radości, uklękła, zarzuciła mu ramiona na szyję, i wyściskała z całej mocy.

- Och, tak się cieszę, że tutaj jesteś. Tak się cieszę, że cię spotkałam. - Przycisnęła policzek do jego pyska i wsunęła palce w jego jedwabistą sierść. - A może to ty mnie znalazłeś? - zapytała półgłosem. - Nieważne. Dobrze jest mieć przyjaciela, który nie oczekuje od ciebie niczego poza przyjaźnią.

Wtuliła się w niego, by obserwować ogień, uśmiechając się do obrazów, które dostrzegała w płomieniach.

- Zawsze lubiłam to robić. Kiedy byłam małą dziewczynką, wciąż mi się zdawało, że widzę w ogniu różne magiczne rzeczy - szepnęła i położyła głowę na jego szyi. - Piękne, wspaniałe. Zamki, obłoki, klify... - Głos jej stawał się niewyraźny, a powieki ciężkie. - Pięknych królewiczów i zaczarowane wzgórza. Wyobrażałam sobie, że mogę się tam dostać, że wystarczy przejść przez dym, aby znaleźć się w magicznym świecie. - Westchnęła, jakby wróciła z dalekiej i pięknej krainy. - A teraz widzę tylko formy i światło.

I zasnęła.

Kiedy spała, stał się Liamem. Dotykał jej włosów i wpatrywał się w ogień. Jest sposób, pomyślał, by przejść przez dym i znaleźć się w magicznym świecie. Co by sobie pomyślała, gdyby go jej pokazał? Gdyby ją tam zabrał?

- Niestety, musisz wrócić do innego świata, Rowan. Nie ma sposobu, żeby cię tutaj zatrzymać. Nie chcę cię zatrzymywać - poprawił się stanowczym tonem. - Lecz, na Boga, tak pragnę cię mieć!

Westchnęła przez sen i zmieniła pozycję. Objęła go ramieniem. Zamknął oczy.

- Lepiej się pospiesz - powiedział do niej. - Szybko zdecyduj, czego naprawdę chcesz i dokąd zamierzasz iść. Wcześniej czy później przyślę po ciebie.

Wstał i delikatnie ją uniósł.

- Gdy do mnie przyjdiesz... - wyszeptał, kładąc ją na łóżku i przykrywając kołdrą. - Gdy do mnie przyjdiesz, Rowan Murray, pokażę ci magię. - Lekko dotknął ustami jej warg. - Niech ci się przyśni wszystko, czego zapragniesz, i śpij spokojnie.

Pocałował ją jeszcze raz i pognał przez nocne mgły jako wilk.

Przez cały następny tydzień rozsadzała ją niezwykła energia i Rowan każdą chwilę dnia wypełniała czymś nowym. Poznawała las, odwiedzała klify i radowała się możliwością rysowania wszystkiego, co tylko wpadło jej w oko.

Ponieważ z każdym dniem robiło się cieplej, cebulki roślin zaczęły pączkować.

Nocami bywało jeszcze chłodno, ale czuło się, że wiosna jest blisko i tylko czeka na odpowiedni moment, by przejąć władzę nad światem. Rowan radośnie otwierała okna na jej powitanie.

Przez cały tydzień nie widziała nikogo poza wilkiem. Rzadko się zdarzało, żeby nie spędzał z nią przynajmniej jednej godziny. Dotrzymywał jej kroku, gdy wędrowała po lesie, czekał cierpliwie, gdy przyglądała się pierwszym pączkom leśnych kwiatów i muchomorom czy też zatrzymywała się i rysowała drzewa.

Cotygodniowe telefony do domu sprawiały jej wielki ból, ale powiedziała sobie, że czuje się silna. Sumiennie, tak jak obiecała, napisała długi list do Alana, jednak ani słowem nie wspomniała o powrocie.

Każde poranne przebudzenie witała z radością, co wieczór wślizgiwała się do łóżka z uczuciem satysfakcji. Jej jedynym zmartwieniem była tylko niemożność dotarcia w głąb siebie i odkrycia, co naprawdę powinna robić. Czasami nawet myślała, że być może powinna żyć tak jak teraz - samotnie, ze swoimi książkami, rysunkami i z wilkiem.

Liam nie każdego ranka budził się zadowolony, podobnie jak nie każdego wieczoru czuł się usatysfakcjonowany. Winił za to Rowan, choć wiedział, że ją tym krzywdzi.

A jednak, gdyby była choć odrobinę mniej niewinna, mógłby wziąć to, co mu raz ofiarowywała. Mógłby wyjść jej naprzeciw i zaspokoić fizyczne pragnienie. Równocześnie pocieszał się, że ten emocjonalny pociąg z czasem minie.

Nie chciał przyjąć tego, co los mu podsuwał, dopóki w pełni nie zapanuje nad własnym umysłem i ciałem.

Stał twarzą do morza w jasne, czyste popołudnie, kiedy wiatr jest ciepły, a w powietrzu czuje się budzącą do życia wiosnę. Wyszedł, aby odświeżyć myśli. Praca nie ucieknie, może poczekać. Bo chociaż utrzymywał niezmiennie, że to tylko rozrywka i zabawa, był dumny i przywiązywał dużą wagę do historyjek, które wymyślał.

Odruchowo przesunął w palcach kawałek kryształu, który wsunął do kieszeni. To go powinno uspokoić i zaprowadzić ład w jego głowie, gdy tymczasem myśli miał niespokojne jak morze, które obserwował.

Czuł niepokój w powietrzu, a zwłaszcza w sobie samym.

Wiedział, co mu jest przeznaczone, zdawał sobie też sprawę z tego, że inni czekają na jego decyzję. Cokolwiek jednak było mu przeznaczone, pierwszy krok należał do niego i ci, którzy czekali, zapytywali, kiedy go podejmie.

- Kiedy, do licha, będę gotowy - burknął. - Moje życie należy do mnie. Zawsze istnieje jakiś wybór. Nawet gdy spoczywa na nas odpowiedzialność, nawet gdy nasz los został

przesądzony z góry, istnieje wybór. Liam, syn Finna, dokona własnego wyboru.

Nie zdziwił go widok białej mewy, szybującej nad jego głową. Promień słońca padł na jej skrzydło, a ona przechyliła się z wdziękiem i sfrunęła na dół. Jej złote oczy, podobne do jego, zaświeciły, gdy usiadła na skale.

- Co za niespodzianka, matko.

Zawirowawszy tylko odrobinę mocniej niż zwykle, Arianna przeistoczyła się w kobietę. Uśmiechnęła się i otworzyła szeroko ramiona.

- Cała radość po mojej stronie, najdroższy.

Podszedł do niej, objął ją i przywarł twarzą do jej włosów.

- Tęskniłem za tobą. Och, czuję zapach domu.

- Tam też tęsknią za tobą. - Zwolniła uścisk, ale ujęła w dłonie jego twarz. - Wyglądasz na zmęczonego. Nie sypiasz dobrze.

Zachmurzył się.

- Nie, nie za dobrze. Sądziłaś, że może być inaczej?

- Nie. - Zaśmiała się i ucałowała go w oba policzki, zanim się odwróciła, by spojrzeć na morze. - To miejsce, które wybrałaś, by spędzić trochę czasu, jest piękne. Zawsze umiałaś wybierać, Liamie, i zawsze decyzja będzie należała do ciebie. - Spojrzała na niego spod oka. - Ta kobieta jest śliczna i ma czyste serce.

- Czy to ty mi ją przysłałaś?

- Tamtego dnia? Tak, a raczej pokazałam jej drogę.

- Arianna wzruszyła ramionami i wróciła, żeby usiąść na jej skale. - Lecz nie przysłałam jej tutaj. Przecież wiesz, że istnieją moce inne niż moja i twoja, które ustanawiają porządek zdarzeń. - Skrzyżowała nogi, a jej długa, biała szata cichutko zaszeleściła. - Uważasz, że jest pociągająca?

- Raczej tak - powiedział ostrożnie.

- Zwykle pociąga cię inny typ kobiet, w każdym razie nie z takimi jak ona flirtujesz.

Skrzywił się.

- Dorosły mężczyzna nie dyskutuje z własną matką o intymnych sprawach.

- Och. - Machnęła ręką, oddalając jego obiekcje, połyskując przy tym pierścieniami. - Seks, gdy jest powściągany przez szacunek i uczucie, jest zdrowy. A czyż nie jest moim życzeniem, żeby moje jedyne dziecko było zdrowe? Nie będziesz z nią flirtować, ponieważ boisz się uwikłać w coś więcej niż seks, czyż nie tak?

- A co mi zostaje? - Złość gotowała się w jego głosie.

- Czy mam ją wziąć i zdobyć jej serce tylko po to, żeby ją zranić? „Nie rań nikogo”,

tak przecież brzmi nasza dewiza. Czyżby odnosiła się tylko do magii?

- Nie - powiedziała łagodnym tonem i wyciągnęła ku niemu rękę. - To również odnosi się do życia. Dlaczego przypuszczasz, że ją zranisz, Liamie?

- Jestem na dobrej drodze, by tak się stało.

- Nie ma mowy, by mężczyzna zranił kobietę, gdy ich serca biją jednym rytmem. Podejmujecie jednakowe ryzyko.

- Przechyliła głowę, patrząc na niego uważnie. - Czy sądzisz, że twój ojciec i ja, miłując się od trzydziestu lat, nie raniliśmy się nigdy i nie przeżywali kryzysów?

- Ona nie jest taka jak my. - Poglaskał rękę Arianny, po czym puścił ją. - Jeżeli podejmę odpowiednie kroki i doprowadzę do tego, że oboje poczujemy do siebie więcej, niż czujemy obecnie, będą musiał albo ją odprawić, albo zaniedbać moje powinności. Muszę w tej sprawie podjąć decyzję, właśnie po to tu przyjechałem. - Wściekły na siebie, odwrócił się, stając twarzą do morza. - Lecz nawet tego nie zrobiłem. Wiem, że ojciec chce, abym zajął jego miejsce.

- Jeszcze nie teraz - powiedziała ze śmiechem Arianna.

- Owszem, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, spodziewamy się, że staniesz na czele rodu i pokierujesz nim.

- Mogę przekazać władzę komuś innemu. Mam do tego prawo.

- Oczywiście, Liamie. - Tym razem zatroskana Arianna zsunęła się ze skały i podeszła do niego. - Możesz odstąpić swoją władzę i pozwolić, by ktoś inny nosił amulet. Czy na pewno tego pragniesz?

- Nie wiem. - W jego głosie słychać było rozterkę. - Nie jestem ojcem, nie umiem postępować z ludźmi jak on. Nie potrafię osądzać. Nie mam jego cierpliwości, a także jego współczującej natury.

- Nieprawda, bo masz to wszystko, tylko na swój własny sposób. - Położyła rękę na jego ramieniu. - Gdybyś się nie nadawał do przejęcia odpowiedzialności, ta możliwość nie zostałaby ci dana.

- Myślałem o tym, starałem się z tym pogodzić, zaakceptować to. Wiem także, że gdybym się związał z kobietą, w której żyłach nie płynie czarodziejska krew elfów, zrzekłbym się prawa wzięcia na siebie tej odpowiedzialności. Jeżeli okażę słabość i ją pokocham, odżegnam się od powinności wobec mojej rodziny.

Arianna popatrzyła na niego surowo.

- Mógłbyś to zrobić?

- Gdybym ją pokochał, odwróciłbym się od wszystkiego i od wszystkich, poza nią.

Zamknęła oczy, czując, jak napęlniają się łzami.

- Och, Liamie, jestem z ciebie taka dumna. - Położyła głowę na jego sercu. - Nie istnieje potężniejsza prawdziwsza magia niż miłość. Niczego bardziej nie pragnę, niż tego, byś o tym wiedział i poczuł w sobie moc tej tajemnicy.

Arianna błyskawicznie zacisnęła rękę w pięść, a w jej oczach pojawiła się irytacja. Liam ze zdumieniem przyglądał się, jak matka tłucze go po piersi.

- I, na miłość Finna, gdzie ty masz oczy? Twoja władza i potęga są darami należnymi ci z tytułu twojego pierworództwa, i jesteś bardziej do tego predestynowany niż ktokolwiek inny, oczywiście poza twoim ojcem. A jak się wywiązujesz?

J - zapytała, podrzucając do góry ręce i obracając nimi, jak gdyby przędła białą jedwabną nić. - Uganiaasz się po lesie, wyjesz do księżycy, układasz swoje gry. Zadręczysz siebie, pragnąc jej, więc idź i dotrzyмай jej towarzystwa podczas burzy.

- Którą, jak się domyślam, tatuś już szykuje.

- To nie ma nic do rzeczy - warknęła i przeszła go ostrym, karcącym wzrokiem, który pamiętał z dzieciństwa.

- Za co los pokarał mnie takim głupim synem? Jeżeli nie będziesz z nią przebywał, twoje hormony wezmą górę, rozumiesz? Seks to nie wszystko, ty zakuta pało. Trzeba jeszcze zacząć myśleć jak mężczyzna.

- Do licha, przecież jestem mężczyzną.

- Jesteś baranią głową, zapamiętaj to dobrze, i nie podnoś na mnie głosu, Liamie Donovan.

Liam także podniósł ręce do góry i dorzucił krótkie, soczyste przekleństwo po gaelicku*.

- Nie mam już dwunastu lat.

- Nie obchodzi mnie, czy masz sto, czy dwanaście lat, tylko masz okazywać matce więcej szacunku.

Zapienił się i syknął, ale przełknął gniew.

- Tak jest, matko.

- No! - Skinęła z aprobatą głową. - To wystarczy. A teraz przestań się zadręczać wątpliwościami i spójrz na rzeczywistość. Jeśli zaś twoje dumne zasady nie pozwolą ci spuścić z tonu, zapytaj ją o rodzinę jej matki.

Arianna odsapnęła i wygładziła włosy.

* Język gaelicki - odmiana języka celtyckiego, z której wywodzą się dzisiejsze języki irlandzki i szkocki (przyp. red.).

- Teraz pocałuj mnie na do widzenia jak dobry chłopiec. Ona tu za chwilę będzie.

Ponieważ Liam był wciąż naburmuszony, sama go pocałowała, po czym uśmiechnęła się doń promiennie.

- Czasami wyglądasz jak twój ojciec, teraz jednak zmień wyraz twarzy, bo jeszcze przestraszysz dziewczynę. Powodzenia, Liamie - dodała, po czym, gdy zamigotało światło, rozpostarła białe skrzydła i poszybowała ku niebu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie poczuł jej i to go zirytowało. Złość pozbawiła go elementarnych instynktów. Dopiero teraz, gdy się odwrócił, pochwycił ten zapach - kobiecy, niewinny, z lekką domieszką jaśminu.

Patrzył, jak wychodziła z lasu, choć ona z początku go nie dostrzegła. Szła tyłem do słońca i wypatrywała drogi, zanim weszła na nierówną, wyboistą ścieżkę prowadzącą na sam szczyt klifów.

Zauważył, że związała włosy w koński ogon, który błyszczał w słońcu i powiewał na wietrze. Niosła solidną skórzaną torbę, zawieszoną w poprzek przez ramię. Ubrana była w lekko znoszone szare spodnie i w koszulę w kolorze żonkili.

Miała nie pomalowane usta i krótko obcięte paznokcie, a na nowych butach, w okolicy palca lewej nogi, widniała długa, świeża rysa. Jej widok, mrużącej coś do siebie, kiedy się wspinała, przyniósł mu ulgę, a zarazem zaniepokoił go.

Oba te uczucia zamieniły się w spontaniczną wesołość, gdy ujrawszy go, podskoczyła do góry i skrzywiła się, nim wzięła się w garść i rzuciła mu obojętne spojrzenie.

- Dzień dobry, Rowan.

Skinęła głową, po czym zacisnęła dłonie na pasku torby, jakby nie wiedząc, co z nimi począć. Jej chłodne spojrzenie aż nadto wyraźnie kontrastowało z nerwowym ruchem jej rąk. Minęła go bez słowa.

- Hej! Poszedłbym inną drogą, gdybym wiedział, że tutaj jesteś. Domyślam się, że chcesz być sama.

- Niekoniecznie.

Na chwilę jej wzrok powędrował w jego stronę.

- A właściwie to chcę - powiedziała stanowczo i zaczęła iść dalej po skałach, oddalając się od Liama.

- Masz do mnie żal, Rowan Murray.

Podniosła dumnie głowę, nie przestając maszerować.

- To oczywiste.

- Wiesz dobrze, że długo tak nie wytrwasz. Gniew nie leży w twojej naturze.

Żachnęła się i wzruszyła ramionami, wiedząc, jak śmieszny i dziecinny może się wydawać taki gest. Przyszła tutaj, żeby rysować morze, podskakujące na falach łódki, unoszące się i krzyczące w górze ptaki. Chciała też obejrzeć jajka w gnieździe, zobaczyć, czy

nie wykludy się pisklęta.

Nie chciała widzieć Liama, przywoływać w pamięci tego, co między nimi zaszło i jak ją to poruszyło. Lecz nie pozwoli, by ten gbur, niczym kot płoszący mysz, przepędzał ją z jej terytorium. Przybierając stanowczy wyraz twarzy, usiadła na szczycie skały i otworzyła torbę. Precyzyjnymi ruchami wyjęła butelkę z wodą i postawiła obok siebie, następnie sięgnęła po szkicownik i ołówek.

Ze wszystkich sił starając się skoncentrować, popatrzyła na wodę, by wczuć się w atmosferę pejzażu. Zaczęła rysować, zdecydowana nie odwracać się w stronę Liama. Och, była pewna, że nadal tam jest. Czym innym, jeśli nie jego obecnością, wytłumaczyć fakt, że jest tak bardzo spięta?

Lecz za żadne skarby nie obejrzy się.

Oczywiście, nie wytrzymała. A on stał tam nadal, kilkanaście kroków za nią, z rękami w kieszeniach i z twarzą zwróconą ku wodzie. Co za pech, pomyślała, że jest tak atrakcyjny, gdy tak stoi z rozwianymi przez wiatr wspaniałymi włosami, a profil ma ostry i wyraźnie zarysowany. Przypominał jej Heathcliffa z „Wichrowych wzgórz”^{*} albo Byrona, lub jakiegoś innego poetyckiego bohatera.

Tak mógł też wyglądać rycerz przed wyprawą na bitwę albo monarcha spoglądający na swoje królestwo.

O, tak, mógł być każdym z nich i wszystkimi naraz, taki romantyczny, choć ubrany w pospolite dżinsy i zwyczajny sweter.

- Nie zamierzam z tobą walczyć, Rowan.

Zdawało się jej, że wyrzekł te słowa, ale to przecież nonsens. Stał za daleko, by cicho wypowiedziane zdanie mogło do niej dotrzeć. Wyobraziła sobie po prostu, że mógłby jej tak odpowiedzieć, gdyby swoje myśli wyraziła na głos. Parsknęła więc, opuściła wzrok na blok rysunkowy, by z niesmakiem zauważyć, że nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła szkicować jego portret.

Poirytowanym ruchem szarpnęła kartkę i przewróciła na czystą stronę.

- Nie ma powodu, żeby się na mnie złościć... ani na siebie.

- Tym razem nie miała wątpliwości, że to on powiedział, popatrzyła więc do góry, żeby zobaczyć, co go tutaj sprowadza. Musiała zmrużyć oczy i przesłonić je ręką, gdyż zza jego pleców padało słońce i niczym aureola świeciło wokół jego głowy i ramion.

- Nie ma o czym mówić.

^{*} „Wichrowe wzgórza” - tytuł romantycznej powieści Emily Jane Bronte, żyjącej w latach 1818 - 1848 (przyp. red).

Wydała nieartykułowany dźwięk, gdy usiadł obok z wyraźnym zamiarem dotrzymania jej towarzystwa. Kiedy pogрузił się w milczeniu, zdając się szykować na dłuższy pobyt u jej boku, zaczęła postukiwać ołówkiem o blok.

- To długi brzeg. Nie mógłbyś wybrać sobie innego miejsca?

- Kiedy tu mi się podoba. - Gdy syknęła i zaczęła wstawać, szarpnął ją i zwyczajnie posadził z powrotem. - Nie rób z siebie idiotki.

- Tylko mi nie mów, że zachowuję się jak idiotka! Już dość się tego nasłuchałam. - Wyszarpnęła ramię z jego uścisku. - A ty mnie nawet nie znasz.

Przesunął się tak, że znaleźli się twarzą w twarz.

- Łatwo mogę się czegoś dowiedzieć, o tobie. Co masz w szkicowniku?

- Nic szczególnego. - Poirytowana, wsunęła blok z powrotem do torby. Po raz drugi zaczęła się podnosić, a on znów ją szarpnął i posadził z powrotem.

- Niech będzie - warknęła. - Porozmawiajmy zatem o tamtym dniu. Przyznaję, że błędziłam po lesie, bo chciałam ciebie spotkać. Założę się, że jesteś przyzwyczajony do kobiet, które czują pociąg do ciebie. Naprawdę chciałam ci podziękować za pomoc, ale to nie był jedyny powód, dla którego przyszedłam. To prawda, okazałam się natrętem, ale to ty mnie pocałowałeś.

- Tak było w istocie - powiedział prawie szeptem. Miał ochotę zrobić teraz to samo, gdy jej usta były takie zacięte i naburmuszone, a oczy wyrażały zarówno zażenowanie, jak i złość.

- A ja się zapomniałam. - Jeszcze teraz na to wspomnienie robiło się jej gorąco. - Miałaś absolutne prawo kazać mi się wynieść, ale nie powinieneś być robić tego w tak grubiański sposób. Nikt nie ma prawa być niemiły. To oczywiste, że nie musiałeś tak samo jak ja... zareagować, rozumiem też, że teraz chcesz trzymać się na dystans. - Odrzuciła włosy, które wysunęły się z końskiego ogona i wpadały jej w oczy. - Więc po co tu przyszedłeś?

- Poukładajmy to we właściwej kolejności - zaproponował. - Tak, jestem przyzwyczajony do tego, że kobiety czują do mnie pociąg. Cenię to sobie, ponieważ mam słabość do kobiet. - Gdy mruknęła z niesmakiem, nie powstrzymał się od uśmiechu. - Może miałabyś o mnie lepsze zdanie, gdybym teraz skłamał, ale uważam fałszywą skromność za głupotę i oszukaństwo. Poza tym, choć najczęściej wolę przebywać sam, nie potraktowałem cię wcale jak natręta. Pocałowałem cię, bo tak chciałem... ponieważ masz śliczne usta.

Na jej twarzy malowało się szczere zdumienie. Gdy ochłonęła, spojrzała na niego z ukosa. Uświadomił sobie, że nikt nigdy nie mówił jej tego, i tylko pokiwał głową nad niedorozwojem umysłowym rodzaju męskiego.

- Ponieważ masz oczy, które przypominają mi elfy tańczące na wzgórzach w mojej ojczyźnie. Włosy w kolorze dębu, który postarzał się i wytarł aż do połysku, a skórę tak delikatną, jak krystaliczna woda.

- Nie rób tego. - Jej głos drżał, gdy uniosła ramiona i objęła się nimi. - Nie rób. To nieczysta gra.

Być może używanie takich słów wobec kobiety nie przyzwyczajonej do tego rzeczywiście jest nieczystą grą, lecz nie przejmował się tym.

- Taka jest prawda. A moja reakcja na ciebie była bardziej ... gwałtowna i żywa, niż mógłbym się tego spodziewać. Dlatego zachowałem się niegrzecznie. Rowan, przepraszam cię za to, ale tylko za to.

Z trudem rozumiała, co do niej mówił, wołałaby jednak, by paniczny strach spowodowany jego słowami nie był aż tak przyjemny.

- Przepraszasz za niegrzeczne zachowanie czy za gwałtowną i żywą reakcję na moją osobę?

Bystra kobieta, pomyślał i postanowił powiedzieć jej szczerą prawdę.

- Za jedno i drugie, jeśli chodzi o ścisłość. Powiedziałem, że nie jestem przygotowany, żeby cię przyjąć, Rowan. Mówiłem prawdę.

Ta prawda sprawiła, że jej serce zmiękło, a nawet nieco zadrżało. Nie odzywała się przez chwilę, wpatrując się w swoje splecione na podolku palce, gdy na dole grzmiały rozbijające się fale, a nad głową szybowały mewy.

- Może potrafię to w jakimś stopniu zrozumieć. No cóż, znalazłam się w dziwnym punkcie życia - powiedziała powoli. - Na skrzyżowaniu dróg. Sądzę, że ludzie są bardziej podatni na zranienie, gdy docierają do kresu czegoś i muszą podjąć decyzję, w którą stronę się udać, by zacząć wszystko od nowa. Nie znam ciebie, Liamie, nie wiem, jaki jesteś.

- Przesunęła się z powrotem, by znowu spojrzeć mu w twarz.

- I nie wiem, co ci powiedzieć ani co zrobić.

Czy można pozostać obojętnym wobec tak naturalnej spontanicznej szczerości?

- Zaproponuj mi herbatę.

- Co?

Uśmiechnął się i wziął jej rękę. - Zaproś mnie na herbatę. Nadciąga deszcz i powinniśmy wejść do środka.

- Deszcz? Przecież świeci... - Ledwo to powiedziała, gdy zmieniło się światło. Ciemne chmury zasnuły niebo i spadły pierwsze krople.

Nie tylko jego ojciec wykorzystywał pogodę dla własnych celów.

- Mówili, że cały dzień będzie ładny. - Wsadziła z powrotem do torby butelkę z wodą. Liam pociągnął ją i bez najmniejszego wysiłku postawił na nogi, które wydały się dziwnie słabe.

- Och, to tylko kapuśniaczek, a do tego ciepły. - Zaczął ją prowadzić wśród skał. - Łagodna pogoda, tak to nazywamy u mnie w domu. Masz coś przeciwko deszczowi?

- Nie. Lubię deszcz, bo skłania mnie do marzeń. - Uniosła twarz, odświeżając ją kilkoma kroplami. - A słońce nadal świeci.

- Będziemy mieli tęczę - zapewnił ją i pociągnął pod rozłożyste drzewo, gdzie powietrze było ciepłe i wilgotne, a cienie układały się w ciemnozielone płaszczyzny. - Dosta-
nę herbaty?

Popatrzyła na niego z ukosa i uśmiechnęła się.

- Możliwe.

- Anie mówiłem? - Poglaskał ją leciutko po rękę. - Nie potrafisz długo się gniewać.

- Potrzebuję tylko trochę praktyki - odpowiedziała, rozśmieszając go.

- Mogę ci dać wiele okazji ku temu.

- Masz zwyczaj denerwować ludzi!

- O, jeszcze jak! Jestem trudnym człowiekiem. - Maszerowali wzdłuż strumienia, gdzie bujnie rosły wilgotne paprocie i gdzie mech był puszysty i zielony, a naparstnice tylko czekały, by okryć się kwiatami. - Moja matka powiada, że jestem zrzędą, ojciec - że zakutą pałą, a oni chyba wiedzą najlepiej.

- Czy oni są w Irlandii?

- Hm. - Wcale nie był tego pewny i naprawdę nie chciał wiedzieć, czy przebywają gdzieś w pobliżu i go obserwują.

- Tęsknisz za nimi?

- Oczywiście, ale... jesteśmy w stałym kontakcie. - Jej pełen zadumy i smutku głos sprawił, że spojrzał na nią, gdy wyszli na polanę. - Zdaje się, że ty także tęsknisz za swoją rodziną?

- Czuję się winna, ponieważ nie tęsknię za nimi tak, jak powinnam. Nigdy nie oddalałam się od nich na tak długo i...

- Cieszysz się z tego powodu - dokończył.

- Niezmiernie. - Lekko się zaśmiała.

- To żaden wstyd. - Popatrzył na nią znacząco, gdy otwierała kluczem drzwi. - Przed kim je zamykasz?

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i weszła do środka.

- To nawyk. Pójdę zaparzyć herbatę. Upiekłam cynamonową struclę, ale przypaliła się z wierzchu. Następną z moich licznych porażek.

- Nie przejmuj się, z radością uwolnię cię od tej klęski. - Powędrował za nią do kuchni.

Zauważył, że utrzymuje w niej porządek i że dodała parę własnych akcentów, jakby wiała tu sobie gniazdko. Typowo kobieca walka o stworzenie domowej atmosfery. Kilka wdzięcznych gałązek wyrastało z kolorowej butelki Belindy, tworząc miłą dla oka kompozycję ze stojącą na kuchennym stole białą misą pełną zielonych jabłek.

Pamiętał chwilę, kiedy wypatrzyła te gałązki. Była wtedy z wilkiem, który z królewską godnością protestował, gdy próbowała nauczyć go aportowania.

Liam rozsiadł się wygodnie za stołem, wsłuchując się z przyjemnością w spokojne, miarowe uderzenia deszczu o dach. Zastanowił się nad słowami matki. Nie chciał się w nie zagłębiać, nie zamierzał też traktować ich zbyt powierzchownie, ale takie wyrachowane drążenie wydało mu się nadużyciem władzy.

Człowiek, który domaga się prywatności dla siebie, powinien ją respektować u innych.

Zawsze jednak można powęszyć. Niewinne pytania nie powinny naruszyć spokoju jego sumienia.

- Twoja rodzina mieszka w San Francisco?

- Hm. Tak. - Nastawiła wodę i z prześlicznego kompletu Belindy zaczęła wybierać czajniczek do herbaty. - Oboje są wykładowcami. Ojciec kieruje katedrą anglistyki na uniwersytecie.

- A twoja matka? - Odruchowo, z torby, którą porzuciła na stole, wyciągnął blok rysunkowy.

- Wykłada historię. - Po chwili wahania wzięła czajniczek w kształcie wróżki, której skrzydła służyły za uchwyty.

- Są genialni — ciągnęła, odmierzając starannie herbatę - i naprawdę są wspaniałymi wykładowcami. Moja matka została w tym roku prodziekanem i...

Urwała, zawstydzona i stremowana, gdy zobaczyła Liama oglądającego jej szkic wilka.

- Są wspaniałe. - Nie podnosząc wzroku, odwrócił następną kartkę i mrużąc oczy, przyglądał się rysunkowi przedstawiającemu kępę drzew i koronkowych paproci. Zza nich wyzierały zwiewne, skrzydlate wróżki o śmiejących się oczach.

Rowan ujrzała czarodziejskie istoty, pomyślał i uśmiechnął się.

- To tylko takie sobie wprawki. - Swędziły ją palce, żeby mu wyrwać blok, zamknąć i

zanieść jak najdalej, ale dobre maniery na to nie pozwalały. - To tylko hobby.

A gdy napotkała jego oczy, od ich spojrzenia prawie zadrżała.

- Dlaczego tak mówisz, a do tego jeszcze starasz się w to wierzyć, skoro masz talent i uwielbiasz to robić?

- To jest coś, co robię tylko w wolnych chwilach, Przewrócił następną kartkę. Zrobiła szkic domku, z okalającymi go drzewami i gościnnym, zapraszającym gankiem, a wszystko to wyglądało, jakby zostało wyjęte ze starej, uroczej bajki.

- I czujesz się obrażona, gdy ktoś ci mówi, że robisz z siebie idiotkę! - mruknął. - Dopiero byłabyś idiotką, gdybyś nie robiła tego, co uwielbiasz, i tylko załamywała z tego powodu ręce.

- Nie mów bzdur, nikt tutaj nie zamierza załamywać rąk.

- Odwróciła się, żeby zdjąć z ognia czajnik i ustrzec się przed zrobieniem właśnie tego, co powiedział. - To jest hobby. Miewa je większość ludzi.

- To dar - poprawił ją - a ty go zaniedbujesz.

- Nie zarobisz na życie taką amatorszczyzną.

- Co ma jedno z drugim wspólnego?

Ton jego głosu był tak królewsko arogancki, że aż się zaśmiała.

- A to, że trzeba mieć za co jeść, mieszkać i tak dalej. - Odwróciła się, żeby wziąć filiżanki. - Na te wszystkie banalne, drobne rzeczy, od których roi się w realnym świecie.

- Więc sprzedawaj swoją sztukę, jeśli chcesz zarobić na życie.

- Nikt nie kupi rysunków od nauczycielki angielskiego.

- Ja kupię. Ten. - Wstał i otworzył blok na jednym ze szkiców wilka. Drapieżnik stał w dumnej postawie i patrzył przed siebie wyzywającym wzrokiem połyskujących oczu, takich samych jak Liama. - Podaj swoją cenę.

- Nie zamierzam go sprzedawać, a ty go nie kupisz tylko po to, żeby postawić na swoim. - Machnęła ręką. - Siadajmy i wypijmy herbatę.

- Więc daj mi ten rysunek. - Przechylił głowę, znów mu się przypatrując. - Podoba mi się. I ten także. - Odnalazł kartkę z drzewami i wrózkami. - Mógłbym to wykorzystać w grze, nad którą pracuję. Nie mam zdolności plastycznych.

- Więc kto ci opracowuje stronę graficzną? - zapytała, licząc, że Liam zmieni temat, by zaś na pewno osiągnąć swój cel, postawiła na stole przypaloną struclę.

- Różni ludzie, w zależności od potrzeby. - Usiadł i machinalnie sięgnął po kawałek ciasta. Było twarde i rzeczywiście przypalone, ale przy tym cudownie słodkie i pełne rodzynek.

- Więc w jaki sposób sobie...

- Czy któreś z twoich rodziców rysuje? - przerwał.

- Nie. - Na samą myśl o tym omal nie parsknęła śmiechem. Pomysł, by któreś z jej energicznych i wiecznie zajętych rodziców zasiadło, by pomarzyć, używając do tego ołówka i papieru, wydał się wręcz absurdalny. - Gdy byłam dzieckiem, zapisali mnie na lekcje i okazali zainteresowanie tym, co robię. Moja matka zachowała nawet rysunek zatoki, który zrobiłam jako nastolatka, oprawiła go i powiesiła w swoim gabinecie na uczelni.

- A więc docenia twój talent.

- Kocha swoją córkę - sprostowała Rowan i naląła herbatę do filiżanek.

- Więc pewnie się spodziewa, że córka, którą kocha, będzie chciała się zrealizować, rozwijać swój talent - powiedział zdawkowo, kontynuując rozpoczęty temat. - Może spośród twoich dziadków ktoś był artystą?

- Nie, dziadek ze strony ojca był nauczycielem, co jak widać, jest dziedziczne w rodzinie. Moja babka z tej samej strony była, jak na owe czasy przystało, typową żoną i matką. Nadal prowadzi uroczy dom.

Z trudem opanowując zniecierpliwienie i krzywiąc się na widok trzech łyżeczek cukru, które Rowan wsypała do filiżanki, zapytał jeszcze:

- No, to może ze strony twojej matki?

- Och, dziadek przeszedł już na emeryturę. Mieszkają z babcią w San Diego. Babcia robi śliczne rzeczy na drutach, można je nawet uznać za dzieła sztuki. - Dumiała przez chwilę, popijając herbatę. - Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że jej matka, a więc moja prababka, malowała. Zachowało się u nas kilka jej olejnych obrazów. Sądzę, że reszta znajduje się u babci i jej brata. Była... ekscentryczna. - powiedziała Rowan, uśmiechając się szeroko.

- Naprawdę? A jak się to wyrażało?

- Nie znałam jej, ale dzieci wyłapują okruchy z rozmów dorosłych. Wiem, że czytała z ręki i rozmawiała ze zwierzętami, wszystko to oczywiście za plecami męża. On, o ile pamiętam, był bardzo pragmatycznym Anglikiem, ona zaś marzycielską Irlandką.

- Ach tak, była Irlandką, naprawdę? - Liam poczuł ciarki na plecach. Odebrał to jak ostrzeżenie. - A jej panięskie nazwisko?

- Och... - Rowan zaczęła szukać w pamięci. - O'Meara. Otrzymałam po niej imię - ciągnęła, popijając herbatę, gdy tymczasem Liam niecierpliwił się, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu. - Moja matka dała mi jej imię w przypiływie, jak to określiła, gwałtownego przebłysku sentymentu. Sądzę, że to dlatego prababcia zostawiła mi swój wisior. To śliczna

stara robota. Owalny kamień księżycowy w srebrnej oprawie.

Liam powoli i ostrożnie odstawił herbatę.

- Więc nazywała się Rowan O'Meara.

- Tak. W rodzinie krążyła cudownie romantyczna opowieść o tym, jak moja prababcia poznała pradziadka, który spędzał wakacje w Irlandii. Siedziała właśnie na klifach i malowała, a działo się to w Clare. To dziwne, nie wiem skąd, ale jestem pewna, że to było Clare.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym dała sobie spokój.

- Faktem jest, że zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia i ona pojechała z nim do Anglii, a następnie wyemigrowali do Ameryki i osiedlili się w San Francisco.

Rowan O'Meara z Clare. Na Boga, jak to się wszystko układa! Los zastawił na niego jeszcze jedną pułapkę. Szybko sięgnął po herbatę, by zwilżyć gardło.

. - Rodzina mojej matki nazywa się O'Meara - powiedział bezbarwnym i opanowanym głosem. - Twoja prababka musiała więc być kuzynką mojej.

- Żartujesz. - Oszołomiona i zachwycona Rowan uśmiechnęła się promiennie.

- Gdy chodzi o sprawy rodzinne, staram się nie żartować.

- To by było zabawne. Niesłychane! No cóż, świat jest taki mały. - Roześmiała się i podniosła filiżankę. - Cieszę się ze spotkania, kuzynie Liamie.

Na miły Bóg, pomyślał i zdając się na los, trącił się z nią filiżanką. Kobieta, która właśnie uśmiecha się do niego tymi wielkimi, pięknymi oczami, ma w sobie krew elfów i nawet o tym nie wie!

- Oto twoja tęcza, Rowan. - Wskazał na kolorowy łuk, który rozciągnął się na niebie. Nie przywoływał go, ale czuł, że ojciec to zrobił.

- Och! - Poderwała się i szybko wyrzała przez okno, po czym pomknęła do drzwi. - Wyjdź i zobacz. Fantastyczna!

Wybiegła, aż zadudniło, i podniosła do góry głowę.

Jeszcze nigdy nie widziała tak wyraźnej tęczy, o tak doskonałych konturach. Na tle wodnistego błękitu nieba wybijała się każda świetlista, fluoryzująca warstwa o połączonych brzegach, zlewająca się z następnym kolorem. Sięgała wysoko, każdym koniuszkiem łaskocząc wierzchołki drzew.

- Nie widziałam nigdy aż tak pięknej!

Kiedy dołączył do niej, poczuł się zażenowany i poruszony, gdy wzięła go za rękę, ale nawet teraz obiecał sobie, że nigdy nie zakocha się w tej dziewczynie, jeżeli sam tak nie postanowi.

Nie pozwoli sobą manipulować, uwodzić się ani złapać na pochlebstwo. Podejmie

decyzję z jasnym umysłem.

Co nie znaczy, że nie może wziąć trochę tego, czego już wcześniej pragnął. Ujął twarz Rowan w obie dłonie, pochylił się i przywarł ustami do jej warg.

Miękkie jak jedwab, delikatne jak deszcz, który nadał padał, nasycając słońce perłowym światłem. Poprzestanie na tym, dla dobra ich obojga, powściągnie coraz żarliwsze i trudniejsze do opanowania pragnienie. Tak będzie mądrzej i bezpieczniej.

Tylko nasyci się smakiem tej niewinności, poczuje drgnienie jej czułego serca, przed którego reakcjami nie umiała się bronić. Zrobi wszystko, aby jej serce nie zatraciło się... nie pękło.

Jednak gdy podniosła rękę i położyła ją na jego ramieniu, a jej usta poddały mu się bez reszty, poczuł, jak mroczne żądze wyciągają pazury po jego wolność.

Dawała, nie żądając za swą czułość nic w zamian. Nawet gdy zacisnął palce na jej twarzy, jego usta pozostały delikatne i spokojne, jakby uczyły ją, czym jest tkliwość. Instynktownie rozluźniła ręce na jego napiętych ramionach i zanurzyła się w nich.

Ostrożnie, zanim pożądanie zmało mu rozum, wycofał się. A gdy zdumiona spojrzała na niego zamglonymi, nieziemskimi oczami, z rozchylonymi wargami, puścił ją.

- Wydaje mi się, że to tylko, och... że to działa chemia.
- Jej serce galopowało i waliło jak młotem.
- Chemia - powiedział - może być niebezpieczna.
- Nie byłoby odkryć, gdyby nie ryzyko.

Powinien ją zaszokować podobny komentarz, padający z jej własnych ust! Przecież to była oczywista zachęta do kontynuowania tego, co dopiero zaczęli... ale zdawało się to takie naturalne i słuszne.

- W takim razie będzie lepiej, gdy zapoznasz się także z innymi działami chemii. Zastanawiam się, co chcesz odkryć?

- Jestem tutaj, by odkrywać wszystko, co tylko możliwe.
- Oddychała teraz spokojnie. - Nie spodziewałam się jednak, że odkryję ciebie.
- Ale najpierw musisz odkryć Rowan. - Zaczepił kciuki palców o kieszenie i kołysząc się lekko na obcasach, cofnął się o krok. - Gdybym cię zaprowadził do środka i zaczął się z tobą kochać, szybko odkryłabyś jakąś część siebie. Czy tego chcesz?

- Nie. - Wypowiedzenie tego krótkiego słowa, gdy każdy nerw gwałtownie dopominał się czegoś wręcz przeciwnego, było dla niej kolejnym zaskoczeniem. - Ponieważ wtedy byłoby tak, jak powiedziałeś wcześniej, czyli zwyczajnie. A ja nie szukam zwyczajności.

- A jednak pocałuję cię jeszcze, kiedy będę miał na to ochotę.

Przechyliła głowę.

- Pozwolę, żebyś mnie jeszcze pocałował, kiedy ja będę miała na to ochotę.

Błysnął szerokim uśmiechem, pełnym podziwu.

- Masz w sobie coś z tej Irlandki, Rowan z O'Mearów.

- Niewykluczone. - Sama myśl o tym niezmiernie ją ucieszyła. - Muszę tylko odnaleźć w sobie więcej jej cech.

- Dobrze mówisz. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Mam nadzieję, że gdy to nastąpi, będziesz wiedziała, co z tym zrobić.

Wygospodaruj jakiś dzień w przyszłym tygodniu i zajrzyj do mnie. Przynies też szkicownik.

- Po co?

- Chodzi mi po głowie pewien pomysł. Przekonamy się, czy obojgu nam będzie odpowiadał.

Korona jej z głowy nie spadnie, pomyślała. Będzie miała trochę czasu, żeby przemyśleć to wszystko, co zdarzyło się dzisiejszego ranka.

- Zgoda, ale dni nie różnią się między sobą, więc skąd mam wiedzieć, kiedy przyjść?

- Będiesz wiedziała, gdy nadejdzie właściwy czas. - Wyciągnął rękę, by pobawić się koniuszkami jej włosów. - Podobnie jak ja.

- Czy to jakiś rodzaj irlandzkiego mistycyzmu?

- Nie domyślasz się nawet połowy - powiedział półgłosem. - Życzę ci udanego dnia, kuzynko Rowan.

Uścisnął ją zdawkowo, po czym odwrócił się i odszedł. No cóż, pomyślała, dni szybko mijają, więc nie jest tak źle.

Kiedy znowu przyszedł do niej w snach, przyjęła go z otwartymi ramionami, a gdy przeniknął jej umysł, dotykał jej i uwodził, westchnęła, poddała się i uległa mu.

Drżała z rozkoszy, szeptała jego imię i czuła, że Liam jest równie podatny na zranienie jak ona. Przez jedną mglistą i trudno uchwytną chwilę czuła, że jest zakłopotany i bezradny, nie mogąc jej dać tego, o co go prosi.

Gdyby tylko знаła właściwe pytanie...

Nawet gdy jej płonące ciało oderwało się już od rzeczywistości, a dusza poszybowała wysoko, jakaś jej część pozostała zatroskana.

O co go miała poprosić? Czego chciała się od niego dowiedzieć?

Obudziła się, gdy już zapadł głęboki mrok, przy kwadrze księżycy, sączącego delikatne światło przez otwarte okna, a obok niej nikogo nie było. Ukryła głowę w

poduszkach i ze zbolalym sercem sluchala glosu wilka wyjacego do ciemnego nieba.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rowan obserwowała przebudzoną do życia wiosnę. Wydawało się jej, że i w niej samej narodziło się coś zupełnie nowego. Żonkile i zawilce lśniły od kwiatów, a drzewko gruszy, rosnące naprzeciwko kuchennego okna, rozchyliło delikatne białe kwiatuszki, które pląsały na wietrze.

Głęboko w lesie na dzikich azaliach zaczęły się pojawiać różowe i białe czubeczki, a naparstnicy wyrosły grube pączki. Było jeszcze mnóstwo innych roślin, dlatego postanowiła przy najbliższej okazji udać się do miasteczka i kupić książkę o dziko rosnących kwiatkach. Chciała je poznać, dowiedzieć się czegoś o ich zwyczajach, zapamiętać nazwy.

Czuła, że sama zaczyna rozkwitać. Czy to sprawa intensywniejszych kolorów na jej twarzy? zastanawiała się. Czy może żywszego, promienniejszego blasku w oczach? Wiedziała, że częściej i bez konkretnego powodu się uśmiecha, gdy wędrowała, rysowała lub gdy po prostu siedziała na ganku w ciepłym powietrzu i godzinami czytała.

Noce nie wydawały się już takie samotne. Gdy odwiedzał ją wilk, opowiadała mu o wszystkim, co jej przychodziło do głowy, a gdy akurat go nie było, zadowalała się samotnie spędzonym wieczorem.

Nie była do końca pewna, na czym polegała różnica, wiedziała tylko, że coś się zmieniło i że nastąpią jeszcze inne, znacznie większe zmiany.

Może sprawiła to decyzja, iż nie wróci do San Francisco i do nauczania, a także do praktycznego, bo położonego zaledwie o kilka minut drogi od domu jej rodziców mieszkania.

Dotychczas cechowała ją rozważa w kwestiach finansowych. Nigdy nie czuła jakiejś szczególnej potrzeby gromadzenia rzeczy, zapełniania szafy ubraniami lub spędzania wakacji w drogich i ekskluzywnych miejscach. Do zaoszczędzonych w ten sposób pieniędzy dochodziła jeszcze pewna suma, którą odziedziczyła po krewnych ze strony matki i którą Rowan mądrze zainwestowała, dzięki czemu przez lata suma ta znacznie się powiększyła.

Wystarczy na zaliczkę na kupno małego domku.

Gdzieś, gdzie będzie spokojnie i pięknie, myślała teraz, stojąc na frontowym ganku z filiżanką parującej kawy, by powitać nowy poranek. Widziała, że to musi być dom. Koniec z mieszkaniem w dużym budynku z wielką liczbą apartamentów. I musi to być na wsi. Nie potrafi już być szczęśliwa w pełnym zgiełku, zatłoczonym wielkim mieście. I jeszcze ogród, który sama będzie uprawiać, gdy tylko się tego nauczy, a w nim strumyczek albo mały staw.

Musi być blisko do morza, żeby mogła tam chodzić na spacer i słuchać jego śpiewu

przed pójściem spać.

Być może podczas najbliższej wyprawy do miasta złoży wizytę pośrednikowi sprzedaży nieruchomości, aby zorientować się, czy to leży w zasięgu jej możliwości.

To wielki krok, takie wybieranie miejsca, kupowanie domu, a potem meblowanie go, konserwowanie i utrzymywanie. Złapała się na tym, że nawija koniec warkocza wokół palca, i świadomie opuściła rękę. Jest gotowa, zrobi to.

Znajdzie pracę, coś, co jej da satysfakcję. To nie muszą być duże pieniądze. Prawdziwym szczęściem będzie krzątanie się wokół własnego domku, malowanie go, robienie różnych napraw i ulepszeń, i przyglądanie się, jak rośnie i pięknieje jej ogród.

Gdyby znalazła coś w okolicy, nie musiałaby rozstawać się z wilkiem.

Ani z Liamem.

Pokręciła przecząco głową. Nie, w tym bilansie nie może brać pod uwagę Liama ani traktować go jako jeden z powodów, dla którego zamierza osiedlić się w tej okolicy. Liam jest osobą niezależną i samowystarczalną, pojawia się i odchodzi, kiedy ma na to ochotę.

Podobnie jak wilk, doszła do wniosku i westchnęła. W końcu żaden z nich nie należy do niej. Obaj są wspaniałymi, pięknymi samotnikami, dzikimi i kochającymi wolność. To prawda, pojawili się w jej życiu i w jakiś szczególny sposób, jak sądzi, przyczynili się do jej metamorfozy... choć i tak największe i najważniejsze zmiany są jeszcze przed nią.

Zdaje się, że po trzech tygodniach życia w leśnej chatce na polanie była już na nie gotowa. Skończyło się poruszanie po omacku. Koniec z niepewnością i wahaniem, pomyślała. Pora, by podjąć ostateczne kroki.

Nagle coś delikatnie wdarło się i poruszyło jej umysł, aż zmrużyła oczy i przechyliła na bok głowę, jakby nad słuchując dochodzącego z oddali pieszczotliwego szeptu. Mogła niemal usłyszeć własne imię.

Powiedział, żeby do niego przysłała, przypomniała sobie, oraz że będzie wiedziała, kiedy nadejdzie ten dzień. No cóż, nie może być lepszej chwili niż obecna, teraz, gdy jest w tak zdecydowanym, wręcz bojowym nastroju. A po wizycie pojedzie do miasteczka i zobaczy się z pośrednikiem.

Wiedział, że przyjdzie, bo przezornie pozostawał z nią w kontakcie przez ostatni tydzień. No cóż, prawdę powiedziawszy, nie był w stanie trzymać się tak całkiem na uboczu. Martwił się o nią... troszeczkę, była bowiem zupełnie sama i bardziej wytracona z równowagi, niż jej się to wydawało.

Dowiadywanie się i sprawdzanie, co u niej słychać, nie było trudne. Wystarczyło podejść do jej drzwi i poczekać, aż je otworzy. Nie przeczy, że cieszył go sposób, w jaki

wychodziła mu na spotkanie, witała się z nim, pochylając się i głaszcząc go po głowie, po karku, albo wtulając twarz w jego szyję.

Nie bała się wilka, zadumał się. Stawała się czujna i ostrożna tylko wtedy, gdy pojawiał się jako mężczyzna.

A jednak szła do mężczyzny, który chce z nią coś omówić. Uważał, że ma dobry pomysł, korzystny i dla niej, i dla niego. Taki, który pozwoli jej rozwinąć własne zdolności, a im obojgu da czas na dowiedzenie się czegoś więcej o sobie nawzajem.

Przyrzekł sobie, że nie tknie jej, dopóki to nie nastąpi. Delikatne smakowanie i szybkie wycofywanie się wiele go kosztowało, stanowiło naprawdę ciężką próbę charakteru. Przez ostatnie noce przenikał jej umysł i brał ją w posiadanie, pozostawiając ją rozpromienioną i usatysfakcjonowaną, podczas gdy sam czuł się dziwnie nie spełniony.

A przecież w ten sposób przygotowywał ją dla siebie, szykował do nocy, podczas której będzie mógł ucieleśnić swe sny i marzenia.

Na myśl o tym ścisnęło go w żołądku, mięśnie napięły się. Poirytowany taką reakcją, zmusił się do trzeźwego myślenia i rozluźnienia ciała... i jeszcze bardziej się wściekł, gdy okazało się, że jego nadprzyrodzone moce odmawiają mu posłuszeństwa, a w każdym razie podporządkowują się mu tylko częściowo.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żebym nie potrafił opanować fizycznej reakcji na jakąś niebrzydką półczarownicę - mruknął i wszedł do domku.

Brakowało tylko tego, żeby stał na ganku jak jakiś rozanielony wielbiciel i tęsknie wypatrywał Rowan.

Zamiast tego chodził więc tam i z powrotem, i ciskał plugawe gaelickie przekleństwa, dopóki nie usłyszał pukania do drzwi.

Otworzył je w wyjątkowo podłym nastroju, gdy ujrzał ją opromienioną słońcem, rozkosznie uśmiechniętą, z wymykającymi się z warkocza włosami i z bukietem purpurowych kwiatków w ręku.

- Dzień dobry. Sądzę, że to są leśne fiołki, ale do końca nie jestem tego pewna. Muszę sobie kupić atlas kwiatów.

Wyciągnęła rękę, żeby mu je ofiarować, a Liam poczuł, jak serce, którego z taką determinacją gotów był chronić, trzepocze mu w piersi. Z jej oczu biła niewinność i miała prześlicznie zaróżowione policzki. No i te dzikie kwiaty w ręku!

Nie odrywał od niej oczu. Pragnął jej.

Ponieważ nie zareagował, opuściła rękę.

- Nie lubisz kwiatów?

- Ależ tak, bardzo. Przepraszam, zamyśliłem się. - Na Boga, weź się w garść, Donovan. Pomimo tak stanowczego rozkazu rzucając wilkiem spojrzenie wyraźnie kontrastowało z jego słowami. - Wejdz do środka, Rowan Murray. Jesteś tu mile widziana, podobnie jak twoje kwiaty.

- Może wybrałam niewłaściwą porę - zaczęła, ale on już się cofał, otwierając szerzej drzwi w zapraszającym geście.

- Pomyślałam, żeby zajrzeć przed pojechaniem do miasteczka.

- Po kolejne książki? - Zostawił otwarte drzwi, jakby dawał jej możliwość ucieczki.

- To też, ale głównie po to, aby porozmawiać z kimś na temat nieruchomości. Zastanawiam się nad kupnem czegoś w tej okolicy.

- Nie za wcześnie? Teraz? - Zmarszczył czoło. - Czy to odpowiednie miejsce dla ciebie?

- Wydaje się, że tak. Chyba tak. - Wzruszyła ramionami.

- Gdzieś musi być to właściwe dla mnie miejsce.

- A czy już wiesz, w jaki sposób będziesz, jak to sama ujęłaś, zarabiać na życie?

- Nie. - Promień światła w jej oczach nieco przygasł.

- Mam jednak trochę czasu, by się nad tym zastanowić.

Zrobiło mu się przykro, że ją zasmucił.

- Mam pewien pomysł. Zajrzyjmy na chwilę do kuchni, żeby włożyć w coś twoje kwiatki.

- Byłeś w lesie? Wszystko pączkuje i kwitnie. Jest cudownie, a te fantastyczne kwiaty wokół domku Belindy! Połowy z nich nie znam, podobnie jak tych, które rosną u ciebie.

- Większość z nich jest zupełnie zwyczajna, ale można je wykorzystać do różnych celów. - Wyciągnął niebieski wazonik na fiołki, gdy tymczasem ona wychyliła się przez kuchenne okno i wyglądała na zewnątrz.

- Och, masz tego jeszcze więcej. Czy to są zioła?

- Tak, zioła.

- Nadają się do potraw?

- Także. - Uśmiechnął się, wstawiając delikatne łyżki do naczynka. - I do wielu innych rzeczy. Czy teraz zaczniesz polować na książkę o ziołach?

- Oczywiście. - Roześmiała się i wsunęła głowę do środka. - Jest taka masa rzeczy, na które dotąd nie zwracałam uwagi. Nie wydaje mi się, żebym je teraz mogła dostatecznie dobrze poznać.

- I to dotyczy także ciebie samej. Zrobiła wielkie oczy.

- Chyba nie masz racji.

- Więc... - Nie mógł się oprzeć i zaczął bawić się końcami jej warkocza. - Czego dowiedziała się o sobie Rowan?

- Że nie jest taka głupia i niepojętna, jak przypuszczałam. Spojrzał na nią surowym wzrokiem.

- A dlaczego miałabyś się za taką uważać?

- Och, nie na wszystkim się znam. Potrafię się uczyć i odpowiednio spożytkować tę wiedzę, wiem też, jak ją przekazać innym. Jestem zorganizowana i praktyczna, mam dobrze w głowie, ale zawsze gubiłam się zarówno w drobnych, jak i w poważnych sprawach. Wszystko, co jest pomiędzy nimi, nie sprawia mi kłopotu, tylko te małe sprawy, na które nie zwracałam uwagi, i te duże... Zawsze miałam wrażenie, że muszę robić to, czego inni po mnie oczekują.

- Zamierzam ci zaproponować coś, co nazwiesz wielką sprawą, i mam nadzieję, że zrobisz z tym to, co sama zechcesz.

- Co to takiego?

- Jeszcze chwila - odpowiedział, machając wymijająco ręką. - Idź tam i przyjrzyj się temu, co robię.

Zdezorientowana, weszła razem z nim do przylegającego obok gabinetu. Jego komputer był włączony, a na wygaszonym ekranie monitora pływały księżyce, gwiazdy oraz symbole, których nie знаła. Nacisnął klawisz i pojawił się tekst.

- Co o tym sądzisz? - zapytał, kiedy się pochyliła, żeby przeczytać. Po chwili roześmiała się.

- Chyba nie potrafię przeczytać czegoś, co wygląda jak znaki komputerowe i jakiś obcy język.

Zerknął na ekran i syknął zniecierpliwiony. Pochłonięty fabułą nie zwrócił na to uwagi. Zaraz to poprawi... i omal nie zrobił magicznego ruchu ręką, żeby od razu pokazać jej całą historyjkę, jednak w porę się zreflektował, by za chwilę dać popis błyskawicznego uderzenia w klawisze, szybko pisząc z głowy.

- Masz. - Obraz na ekranie poruszył się, komputer wydał krótkie, ostre dźwięki i ukazał się nowy tekst. - Siadaj i czytaj.

Ponieważ o niczym innym nie marzyła, zrobiła, jak kazał. Wystarczyło kilka linijek, żeby zrozumiała, o co chodzi.

- To dalszy ciąg przygód z Myor. - Drżąc z emocji, podniosła ku niemu twarz. - To cudownie. Napisałeś kolejną historyjkę. Całą?

- Przekonasz się, gdy przeczytasz.

- Oczywiście, tak. - Tym razem machnęła ręką, żeby jej nie przeszkadzał. - Och! Porwana! Została porwana, a zły magik rzucił na nią czary, żeby ją pozbawić jej mocy.

- Czarownik - mruknął, lekko się krzywiąc. - Czarownik, nie żaden magik.

- Ach, tak? Niech będzie... Zamknął wszystkie jej czarodziejskie moce w magicznej szkatułce... ponieważ się w niej zakochał, prawda?

- Co takiego?

- Tak powinno być - upierała się Rowan. - Brinda jest piękna i silna, a przy tym taka zwiewna. On jej pragnie i chce ją zwabić siłą, zmusić, żeby należała do niego.

- Uważasz, że tak powinno być? - zapytał nieśmiało.

- Tak musi być. Oto mamy pięknego magika, to znaczy czarownika, który podejmuje walkę z tym złym, żeby mu odebrać szkatułkę z nadprzyrodzonymi mocami. Wspaniale.

Dosłownie wsadziła nos w ekran, irytując się, że nie pomyślała o okularach do czytania.

- Popatrz tylko, ile pułapek, czarów i zaklęć musi pokonać, by wreszcie do niej dotrzeć. Po czym, gdy ją uwolni, okaże się, że ona straciła całą magiczną moc i że nie może mu pomóc. Ma tylko swój spryt - prawie szeptem powiedziała Rowan, oczarowana bajką. - Będą więc musieli razem stawić czoło wszystkiemu, ryzykując nawet życie. Uff! Dolina Wiecznych Burz! To brzmi złowieszczo i naprawdę fascynująco. Właśnie czegoś takiego brakowało w pierwszej wersji.

Bardziej zdumiony niż urażony, spojrział na nią z otwartymi ustami.

- Co proszę?

- Tamta wersja obfituje w cudowną magię i wspaniałe przygody, ale brak jej romantycznej nuty. Tak się cieszę, że dodałeś to tym razem. Rilana zakocha się do nieprzytomności w Brindzie, a ona w nim, gdy razem będą walczyć z wrogimi siłami.

Błyszczały jej oczy, gdy oderwała się od ekranu i spojrzała na Liama.

- A kiedy zwyciężą złego czarownika, odnajdą szkatułkę, ich miłość przełamie wszelkie zaklęcia i przywróci Brindzie jej czarodziejską moc. A potem będą żyli długo i szczęśliwie.

- Uśmiechnęła się trochę niepewnie na widok jego oczu, które zdawały się nic nie wyrażać, - A co, nie będą?

- Oczywiście, że będą. - Wystarczy tylko to i owo poprawić, nie zmieniając głównej kanwy, doszedł do wniosku. Zrobi to później, gdy zostanie sam. Na Finna, ta kobieta ma rację. - Co sądzisz o magicznych smokach z Krainy Zwierciadeł?

- O magicznych smokach?

- Tutaj. - Schylił się, przysunął bliżej i pokazał jej właściwy fragment. - Przeczytaj tutaj - powiedział, a jego ciepły oddech przyjemnie połaskotał ją w szyję. - I powiedz, co o tym sądzisz.

Musiała zebrać myśli i zagłuszyć nagle, szybkie bicie serca, by móc sumiennie skoncentrować się na tekście.

- Wyborne. Wprost wyborne. Już ich widzę, jak odlatują na grzbiecie smoka i fruną nad czerwonymi wodami morza i zasnutymi mgłą wzgórzami.

- Widzisz to? Pokaż mi, jak to widzisz. Narysuj mi to.

- Wyciągnął z jej torby blok rysunkowy. - Nie mam jeszcze dostatecznie jasnego obrazu tej sceny.

- Nie? Nie rozumiem, jak możesz bez tego pisać. - Złapała Ołówek i zaczęła szkicować. - Smok musi być wspaniały. Groźny i piękny, z cudownymi złotymi skrzydłami i oczami jak rubiny. Długi, lśniący i mocarny - mruzczała pod nosem - Dziki i niebezpieczny.

O to właśnie chodziło, stwierdził Liam, gdy rysunek ożywał pod jej ręką. Nie jakiś oswojony pieszczoch czy obłaskawiony dziwoląg. To było dokładnie to, czego potrzebował: dumny, hardy łeb, długie mocarne cielsko z potężnymi skrzydłami i biczowatym ogonem, a wszystko pokazane w sugestywnym ruchu.

- Teraz zrób coś innego. - Niecierpliwie się, wyrwał kartkę z pierwszym rysunkiem i odłożył go na bok. - Morze i wzgórze.

- W porządku. - Sądziła, że taki prosty, surowy szkic pomoże mu lepiej ogarnąć spojrzeniem całą historyjkę. Zamknawszy na chwilę oczy, wyobraziła sobie ten pejzaż: bezkresne, połyskujące morze z grzywami fal, ze skałami rozdzierającymi srebrne, kłębiące się mgły, i słońce wyłaczające brzegi, a nad tym wszystkim ciemny masyw gór.

Kiedy skończyła, wydarł i tę kartkę, domagając się kolejnego rysunku. Tym razem Yilarda, czyli złego czarownika.

Miała z tym niezłą zabawę i uśmiechała się do siebie podczas pracy. Powinien być piękny, postanowiła, a także okrutny. Nie jakiś pokraczny gnom z garbem na plecach, ale wysoki, buńczuczny mężczyzna o rozwianych włosach i bardzo ciemnych oczach. Ubierając go w szaty, wybrała dla niego czerwień, jako że miał być królewiczem.

- Dlaczego nie jest szpetny? - zapytał Liam.

- Bo nie będzie szpetny. Gdyby był, można by podejrzewać, że Brinda odrzuca jego względy z powodu jego wyglądu. Tymczasem nie, bo ona odrzuca jego złe serce, okrutną i mroczną naturę, którą można dostrzec w jego oczach.

- A zatem główny bohater musi być jeszcze przystojniejszy.

- Oczywiście, bo tego oczekuje, a nawet żąda widz. Lecz nie zrobimy z naszego dobrego czarownika ślicznego jak dziewczynka mężczyzny o bujnych złotych lokach. - Pochlōnięta baśnią, sama wydarła kartkę, żeby zacząć następną.

- On także będzie brunetem, niebezpiecznym i zabójczym. Oczywiście dzielnym, ale nie bez wad. Chcę, żeby moi bohaterowie mieli ludzkie cechy. Jednak ten ryzykuje życie dla Brindy przede wszystkim dlatego, że tak nakazuje mu honor, a dopiero potem miłość.

Odsunęła się, przyjrzała rysunkowi i zaśmiała się cicho.

- Przypomina trochę ciebie - zauważyła. - A właściwie czemu nie? Przecież to twoja opowieść. W końcu każdy chciałby być bohaterem własnej historii. - Uśmiechnęła się.

- A to jest naprawdę cudowna historia, Liamie. Mogę przeczytać do końca?

- Jeszcze nie teraz. - Najpierw trzeba wprowadzić zmiany, pomyślał i wyłączył ekran.

- Och! - W jej głosie rozbrzmiało rozczarowanie, które mile polaskotało jego ego. - Chcę tylko zobaczyć, co się stanie, gdy pofrzną do Krainy Zwierciadeł.

- Możesz to zrobić pod jednym warunkiem, a mianowicie, że przyjmiesz moją propozycję.

- Propozycję?

- Chodzi o pewną transakcję. Chcę, żebyś zilustrowała całą moją opowieść. To duża praca, bo opowieść jest skomplikowana i wielowątkowa. Będzie mi potrzebna dużo ilustracji, a mnie niełatwo zadowolić.

Podniosła rękę. Chciała mu przerwać, mieć czas na odzyskanie głosu. - Chcesz, żebym zrobiła rysunki do twojej opowieści?

- To nie jest takie proste. Będą potrzebne setki rysunków, różne sceny i ujęcia.

- Nie mam w tym żadnego doświadczenia.

- Nie? - Pokazał jej rysunek smoka.

- Tak to sobie tylko machnęłam - upierała się, szurając nogą w panicznym strachu. - Bez zastanowienia.

- Naprawdę? - No cóż, to naprawdę interesujące, pomyślał. - To świetnie! Więc się nie zastanawiaj, tylko rysuj.

To było nie do wytrzymania, prawie nie mogła złapać oddechu.

- Bądź poważny.

- Jestem bardzo poważny - poprawił ją i ponownie odłożył rysunek. - A ty nie byłaś, mówiąc, że chcesz zrobić coś, co sprawi ci radość?

- Tak. - Trzymała rękę na sercu, nieświadoma tego gestu.

- Więc popracuj ze mną nad tym, jeśli ci to sprawi przyjemność. Zarobisz na życie, Donovan Legacy już o to zadba. Teraz decyzja należy do ciebie, Rowan.

- Zaczekaj z tym trochę. - Opuszczając rękę, odwróciła się i podeszła do okna. Niebo nadal było błękitne, a las wciąż zielony. Także wiatr się nie zmienił.

Zmieniało się tylko jej życie. O ile wyrazi na to zgodę.

Zarabiać, robiąc coś, co się uwielbia? Robić to chętnie i z przyjemnością, a w zamian mieć wszystko, czego potrzebuje? Czyżby to było możliwe? Czyżby to było realne?

Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że to nie ze strachu robi się jej gorąco. To z ożywczego, twórczego podniecenia.

- Naprawdę uważasz, że moje rysunki będą się nadawać do twojej opowieści?

- Nie mówiłbym tego, gdyby było inaczej. Jak powiedziałem, wybór należy do ciebie.

- Do mnie - szepnęła. - A zatem tak, z wielką przyjemnością. - Powiedziała to powoli, z namysłem, ale gdy jego propozycja dotarła do niej w całości, zakręciła się wkoło, a jej oczy zapłonęły. Zobaczył w nich srebrne światełka. - Będę szczęśliwa, mogąc nad tym z tobą pracować. Kiedy zaczynamy?

Wziął jej wyciągniętą rękę i mocno uściśnął.

- Właśnie zaczęliśmy.

Później, gdy Rowan znalazła się znowu w swojej kuchni, świętując wydarzenie kieliszkiem wina i sandwiczem zapieczonym z serem, próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czuła się równie szczęśliwa.

Chyba nie.

Nawet nie pojechała do miasteczka w poszukiwaniu książek i domu. Przyjdzie na to czas. Przecież otwiera się przed nią droga do nowej, zupełnie niesamowitej kariery!

Oto ma niezwykłą okazję, by rozpocząć nowe życie.

Teraz wszystko zależy od niej, bo Liam Donovan wcale nie zamierzał cokolwiek jej ułatwiać. Wręcz przeciwnie, stwierdziła, zlizując z palca ser, jest wymagającym, czasami wręcz nieznośnym perfekcjonistą.

Zrobiła cały tuzin rysunków gnomów znad Zatoki, zanim w końcu zaakceptował jeden, zaś jego aprobatą polegała na mruknięciu i lekkim potaknięciu.

No i dobrze. Nie potrzebuje, żeby ją głaskać po głowie, nie żąda też wylewnych pochwał na wyrost. Docenia fakt, iż oczekuje od niej dobrej roboty i że jako zespół mogą odnieść sukces.

Zespół... wprost pieściła to słowo. Oznaczało bowiem, że Rowan stała się częścią czegoś. Po tylu latach tłumionych pragnień będzie opowiadać bajki. Nie słowami, bo nigdy

nie umiała dobrać odpowiednich słów, ale za pomocą swoich rysunków. A to uwielbiała najbardziej, choć przez lata skutecznie przekonywała samą siebie, że to tylko nic nie znaczące hobby.

A teraz może to wykorzystać, z pożytkiem się temu oddać.

Przecież była praktyczną kobietą. Poskromiwszy w sobie radość i zachwyty, przeszła do spraw zasadniczych, by omówić z Liamem warunki, na jakich będą pracować. Szkoda tylko, że nie okazała się dość przytomna i nie ukryła zdumienia, gdy wymienił sumę, jaką ma co tydzień otrzymywać.

Teraz będzie miała swój dom, pomyślała i chichocząc z radości, nałła sobie drugi kieliszek wina. Kupi więcej artystycznych bibelotów, książek i roślin. Pokręci się i wyszpera cudowne antyki, którymi umebluje swój nowy dom.

A potem zawsze będzie żyła szczęśliwie, pomyślała, wznosząc toast.

Samotnie.

Przyzwyczaj się do samotności, polubi ją. Może nadal na widok Liama szybciej zabije jej serce, ale przecież to rozumiała samo przez się, że teraz, gdy razem pracują, mogą utrzymywać tylko zawodowe kontakty.

Liam wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie pragnie teraz żadnych osobistych układów, i jeśli nawet uraził tym trochę jej dumę... ha, przecież różne już rzeczy zdarzały się w jej życiu.

W ostatniej klasie liceum nieprzytomnie zakochała się w chłopaku prowadzącym klub dyskusyjny. Dotąd jeszcze pamięta trzepotanie serca i szalone emocje, ilekroć udało jej się przechwycić jego spojrzenie. Tak bardzo jej zależało - jakie to, swoją drogą, było żałosne - by wydać się ładniejszą, bardziej interesującą i godną zaufania niż dziewczyna, z którą jej ukochany w końcu się związał.

Potem, w college'u, był wykładowca literatury angielskiej, poeta o sentymentalnych oczach i ponurym spojrzeniu na życie. Była pewna, że potrafi go natchnąć i podnieść na duchu. Kiedy przed końcem semestru przestał za nią wodzić swymi tragicznymi oczami, poczuła się tak, jakby spadała w przepaść.

Jednak w sumie nie żałowała tego, nawet gdy szybko zwrócił swe bolesne spojrzenie ku innej kobiecie. W końcu przeżyła dwutygodniowy, niemal książkowy romans i oddała swoje dziewictwo naprawdę wrażliwemu mężczyźnie, tyle że pozbawionemu zmysłu monogamii.

Długo trwało, nim uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie kochała go, a tylko jego obraz, który sama wymyśliła, dzięki czemu fakt, że tak beztrząsco ją porzucił, przestał tak

bardzo boleć.

No cóż, jak widać mężczyźni nie uważali jej za... pociągającą, tajemniczą i seksowną, doszła do wniosku. A, jak na ironię, ci, do których ją ciągnęło, zdawali się zawsze mieć te cechy w nadmiarze.

Na przykład Liam. On miał to wszystko i jeszcze dużo więcej.

Oczywiście, był jeszcze Alan, przypomniała sobie. Słodki, stateczny, wrażliwy Alan. Chociaż go kochała, kiedy tylko zostali kochankami, wiedziała, że nie poczuje nigdy tego dreszczu rozkoszy, tego przeszywającego pożądania ani narastającej miłosnej tęsknoty.

Starala się. Rodzice faworyzowali go i wydawało się logiczne, że stopniowo zakocha się w nim i ułoży sobie wygodne i miłe życie.

Czy to właśnie nie ta perspektywa - wygodnej i miłej egzystencji - tak ją przestraszyła, że aż musiała uciec? Teraz może śmiało powiedzieć, że podjęła słuszną decyzję. Byłoby źle, gdyby poprzestała na tym, rezygnując ze wszystkiego innego, a przede wszystkim z tego, co tutaj odnalazła. Swojego miejsca, możliwości samorealizacji i spełnienia pragnień, swojego talentu.

Teraz nie rozumieją tego, ale z czasem tak się stanie, była tego pewna. Kiedy już urządzi się we własnym domu i zacznie wykonywać zawód, który jej odpowiada, przekonają się, że dokonała właściwego wyboru. Być może nawet kiedyś będą z niej dumni...

Zerknęła na telefon, zastanawiając się przez chwilę, po czym potrząsnęła głową. Nie, jeszcze nie zadzwoni do rodziców i nie powie im, co zamierza. Nie chce, by dzielili się z nią swoimi wątpliwościami, wyrażali troskę o nią i przemawiali głosem kryjącym zniecierpliwienie. Przeżywała cudowną chwilę i nie chciała, by ktoś ją zmacił.

Więc kiedy usłyszała pukanie do drzwi, poderwała się na nogi. To Liam, na pewno on. Och, świetnie się składa. Pewnie przyniósł dalszy ciąg pracy, z którą usiądą sobie w kuchni, by podyskutować o niej, niezłe się przy tym bawiąc.

Mam świeżo zaparzoną herbatę, pomyślała, przemierzając w pośpiechu domek. Wypiła półtora kieliszka wina, akurat tyle, by rozjaśnić umysł. Przyszedł jej nowy pomysł na Krainę Zwierciadeł, wymyśliła też sposób, by jak najlepiej i najsugestywniej oddać odbijające się czerwone morze.

Nie mogąc się doczekać, kiedy mu to powie, otworzyła drzwi. Jej uroczy powitalny uśmiech zastygł w niemym szoku.

- Rowan, nie powinnaś otwierać drzwi, nie sprawdzając, kto do ciebie przychodzi. Za bardzo wierzysz w swoje szczęście.

W wiosennej, wiejącej od tyłu bryzie, Alan przekroczył próg domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Alanie, co ty tutaj robisz?

Natychmiast się zorientowała, że ton jej głosu jest szorstki i niemiły, a tak naprawdę oskarżycielski. Poznała to po zranionym i zdziwionym wyrazie twarzy narzeczonego.

- Minęły już trzy tygodnie, Rowan. Sądziłam, że może ucieszy cię krótkie spotkanie. A szczerze mówiąc... - Odgarnął spadające ciężko na czoło włosy w kolorze piasku. - Gdy ostatnio telefonowałam do domu, twój nienaturalny ton głosu zaniepokoił rodziców.

- Nienaturalny? - Zjeżyła się, na siłę zachowując miły uśmiech. - Nie rozumiem, o co chodzi. Powiedziałam im tylko, że czuję się świetnie i że jest mi tu dobrze.

- Może właśnie to ich niepokoi.

Wyraz troski w jego poważnych i szczerych brązowych oczach sprawił, że poczuła pierwsze wyrzuty sumienia, jednak gdy Alan zdjął płaszcz i przełożył go starannie przez poręcz, nad poczuciem winy wzięły górę żal i niechęć.

- Dlaczego miałoby ich to niepokoić?

- Tak naprawdę nikt z nas nie wie, co tutaj robisz, na co liczysz i co chcesz osiągnąć, odcinając się od wszystkiego.

- Przecież już tyle razy wam to wyjaśniałam. - Do poprzednich odczuć dołączyło znużenie. Do cholery, to jest jej domek i jej życie, a oni ją nachodzą i prowadzą jakieś dochodzenie! Jednak dobre wychowanie nakazało jej wskazać ręką fotel. - Usiądź, proszę. Czym mogę cię poczęstować? Herbatą, kawą?

- Nie, dziękuję za wszystko. - Mimo to usiadł. W nienagannym szarym garniturze i wykrochmalonej białej koszuli w paseczki zupełnie nie pasował do tego miejsca. Ciągłe nosił swój konserwatywny, prążkowany, starannie zawiązany krawat. Nie zdarzyło się, żeby go poluzował nawet w podróży.

Teraz, siedząc w fotelu przy palącym się kominku, z uwagą przyglądał się wnętrzu. Z jego punktu widzenia domek był prymitywny i całkowicie odizolowany od świata. A co z kulturą - gdzie muzea, biblioteki, teatry? Że też Rowan może tutaj wytrzymać, zagrzebana od tygodni w samym środku lasu!

Był przekonany, że wystarczy ją delikatnie popchnąć, a spakuje się i wróci z nim do domu. Jej rodzice zapewniali go, że na pewno tak się stanie.

Uśmiechnął się do niej tym wykrzywionym, lekko zażenowanym uśmiechem, który zawsze ją rozbrajał.

- Na Boga, i co ty tu robisz całymi dniami?

- Pisałam ci o tym w listach, Alanie. - Usiadła naprzeciw niego i pochyliła się w jego

stronę. Była pewna, że tym razem go przekona i że on ją zrozumie. - Trochę myślę, próbując zrozumieć i uporządkować pewne sprawy. Chodzę na długie spacery, czytam, słucham muzyki. Dużo też rysuję. Tak że...

- Rowan, to wszystko jest dobre na nie więcej niż kilka dni - przerwał jej, najwyraźniej tracąc cierpliwość, co było z jego strony dużym błędem. - Na dłuższą metę to miejsce nie może ci służyć. Z listów, które od ciebie dostałem, wyczytałem między wierszami, że kultywujesz w sobie pewien rodzaj romantycznego przywiązania do samotności, do życia byle gdzie i byle jak, jak najdalej od świata. Ale zapewniam cię, że nie jesteś w Walden Pond*.

Znowu przesłał jej taki sam uśmiech, który jednak tym razem jej nie udobruchał.

- A ja nie jestem Thoreau**, zgoda! Ale jestem tutaj szczęśliwa, Alanie.

Wcale nie wygląda na szczęśliwą, zauważył, jest poirytowana i drażliwa. Świącie przekonany, że może jej pomóc, poklepał ją po ręku.

- Teraz może tak, ale co będzie, gdy po kolejnych kilku tygodniach przekonasz się, że to wszystko jest tylko... - Wykonał nieokreślony ruch ręką. - Zwykłym przerywnikiem - zakończył myśl. - Wtedy będzie jednak za późno, by powrócić do szkoły na to samo stanowisko oraz by zapisać się na letnie kursy, w których chciałaś wziąć udział w związku z doktoratem. Przypominam też, że dzierżawa twojego mieszkania kończy się za dwa miesiące.

W obawie, by nie zacisnąć rąk w pięści i nie zacząć nimi tłuc w oparcie fotela, położyła je splecione na podolku.

- To nie jest żaden przerywnik. To jest moje życie.

- Właśnie. - Uśmiechnął się do niej dobrotliwie, jak to często robił, gdy na twarzy jakiegoś szczególnie wolno myślącego studenta widział nagły przeblysł olśnienia. - A twoje życie jest w San Francisco. Kochanie, oboje wiemy, że nie znajdziesz tutaj niezbędnych do rozwoju intelektualnych bodźców. Nie wytrwasz bez pracy naukowej, bez swoich studentów. A co z twoją comiesięczną grupą literacką? Zrezygnujesz z tego? A cykl wykładów, który zamierzałaś poprowadzić? Nawet słowem nie wspomniałaś o artykule, który pisałaś.

- Nie wspomniałam, ponieważ go nie piszę, i nie zamierzam napisać. - Była wściekła. Poderwała się na równe nogi. - Podobnie jak nie planuję nowych wykładów, nie mówiąc o tym, że tę decyzję podjęli za mnie inni ludzie. W taki sam sposób, w jaki planowali każdy mój krok. Nie chcę kontynuować pracy naukowej, nie chcę uczyć. Nie potrzebuję żadnych

* Walden Pond - miejsce w stanie Massachusetts, gdzie H. D. Thoreau miał swoją chatę.

** Henry David Thoreau - amerykański filozof i poeta romantyczny, wielbiciel przyrody i rzecznik demokratycznego indywidualizmu. Żył w latach 1817 - 1862 (przyp. red.).

intelektualnych bodźców, chyba że sama ich sobie dostarczę. Dokładnie to samo mówiłam już zarówno tobie, jak i rodzicom. Lecz ty, podobnie jak oni, po prostu nie chcesz tego słyszeć.

Był zaszokowany jej porywcznością.

- Bo my troszczymy się o ciebie, Rowan. Bardzo się troszczymy. - On także wstał. Teraz miał kojący głos. Rzadko wpadała w złość, ale gdy już to następowało, wiedział, że nie pomoże żadna logika i każdy jego argument będzie waleniem grochem o ścianę. Musi to po prostu przeczekać.

- Wiem, że się troszczysz. - W poczuciu bezsilności zakryła twarz rękami, zaciskając mocno palce. - I właśnie dlatego chcę, żebyś mnie wysłuchał. Chcę, żebyś zrozumiał, a jeżeli żądam za wiele, proszę, żebyś przynajmniej przyjął to do wiadomości. Alanie... - Opuściła ręce, spojrzała mu prosto w oczy. - Ja nie wracam.

Twąz mu stęzała, a oczy stały się zimne, jak zawsze, gdy Rowan nie zgadzała się z jakąś jego logiczną uwagą.

- Byłem przekonany, że masz już dość tej dziecinady i że odleczisz ze mną dzisiaj do domu, ale w tej sytuacji znajdę w okolicy jakiś hotel i poczekam na ciebie kilka dni.

- Nie, Alanie, źle mnie zrozumiałeś. W ogóle nie wracam do San Francisco. Ani teraz, ani później.

Stało się, wreszcie to powiedziała! Ciężki kamień spadł jej z serca, i nawet gdy wyczytała irytację w jego oczach, nadal było jej cudownie lekko.

- To jakaś bzdura, Rowan. Przecież twój dom jest tam i dlatego, oczywiście, wrócisz.

- Tam jest twój dom, a także dom moich rodziców, ale to nie czyni go moim. - Wzięła go za rękę. Przepelniało ją szczęście, którym chciała się z nim podzielić. - Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Kocham to miejsce. Czuję się tu jak u siebie, jakby tutaj były moje korzenie. Nigdy jeszcze tak się nie czułam, naprawdę. Dostałam nawet pracę, będę robić ilustracje do gry komputerowej. Żebyś wiedział, jakie to zabawne, Alanie, i jakie ekscytujące. Mam zamiar rozejrzeć się za jakimś domem w okolicy, za miejscem, które będzie należało tylko do mnie. Gdzieś blisko morza... chcę też mieć własny ogród, nauczyć się dobrze gotować i...

- Ty chyba zwariowałaś? - Ścisnął jej rękę prawie do bólu. Nie zauważył szczerej radości na jej twarzy, tylko usłyszał słowa, które odebrał jako kolejny dowód jej szaleństwa. - Gry komputerowe? Ogród? Czy ty wiesz, co mówisz?

- Tak, po raz pierwszy w moim życiu. Sprawiasz mi ból, Alanie.

- Ja sprawiam ci ból? - Jeszcze go takim nie słyszała, był bowiem bliski histerycznego krzyku, a zamiast rąk gniótł jej teraz ramiona. - A czy moje uczucie nic nie znaczy? Czy ktoś mnie zapytał, czego ja chcę? Niech to diabli, Rowan, moja cierpliwość ma swoje granice.

Zniosłem już wiele twoich kapryśków. Na przykład, gdy tak nagle i bez wyraźnego powodu zdecydowałaś się zmienić charakter naszego związku! Z dnia na dzień zdecydowałaś, że przestajemy być kochankami! Nie naciskałem, nie ponaglałem. Starłem się zrozumieć, pomyślałem, że trzeba ci dać więcej czasu, że pobyt tutaj może dobrze ci zrobić.

Zrozumiała, że źle to wszystko rozegrała. Niepotrzebnie zraniła go, bo nawet nie umiała znaleźć właściwych słów... nadal szło jej to z trudem.

- Alanie, jest mi naprawdę przykro, ale tu nie chodziło o czas. Chodziło...

- Cackałem się z tobą, choć nie rozumiałem, co cię ugryzło - ciągnął, tak bardzo wzburzony, że wciąż nią potrząsał - więc dałem ci tyle swobody, ile chciałaś, wierząc, że wykorzystasz ją jak należy, zanim się pobierzemy i stworzymy dom. A teraz okazuje się, że dla ciebie najważniejsze są gry komputerowe! O czym ty mówisz? Jakies idiotyczne gry? Jakies leśne domki?

- Tak, właśnie tak, Alanie.,.

Była bliska płaczu, chciała położyć rękę na jego piersi, nie żeby go odepchnąć, ale żeby go uspokoić. Nagle, przez otwarte okno, wyjąc przeraźliwie, wpadł wilk. Dając susa, obnażył kły, które w elektrycznym świetle zdawały się niezwykle białe. Warknął groźnie.

Potężnymi łapami chwycił Alana tuż poniżej ramion i popchnął go z całej siły. Pod podwójnym ciężarem trzasnął stolik. Rowan nie zdążyła nawet złapać oddechu, kiedy pobladły Alan leżał już na podłodze, a czarny wilk chwycił go za gardło.

- Nie, nie! - Przerazenie dodało jej siły. Rzuciła się między nich, żeby złapać wilka za szyję. - Nie, nie rób mu nic złego! Przecież nie chciał mi zrobić krzywdy.

Wyczuła jego napięte, drgające mięśnie, wciąż warczał, a dźwięk ten był jak niebezpieczny pomruk grzmotu. Widziała już upiorny obraz rozszarpywanego ciała, tryskającej krwi i przeraźliwych krzyków. Nie zastanawiając się, wsunęła między nich głowę i popatrzyła w błyszczące ślepia wilka.

I ujrzała w nich rozjuszoną bestię.

- Nie robił mi nic złego - powiedziała spokojnym tonem. - To mój przyjaciel. Jest teraz zdenerwowany i wytrącony z równowagi, ale nigdy by mnie nie skrzywdził. Pozwól mu się podnieść, proszę.

Wilk znowu warknął, ale w jego oczach błysnęło coś nieomal... ludzkiego, pomyślała. Bardzo delikatnie przytuliła do niego policzek.

- No, już dobrze. - Musnęła wargami jego sierść. - Wszystko jest w porządku.

Powoli cofnął się, jednak przywarł do niej i stanął między nią a Alanem. Gdy podniosła się z podłogi, na wszelki wypadek położyła rękę na jego karku.

- Tak mi przykro, Alanie, przepraszam cię za to. Nic ci się nie stało?

- Na miłość boską, na miłość boską. - Tylko tyle był w stanie wymówić drżącym głosem. Z przerażenia niemal odjęło mu władzę w nogach. Paliło go w piersi, a na skórze miał krwawe ślady pazurów. - Uciekaj stąd, Rowan. Uciekaj.

- Choć cały się trząśł, podniósł się i chwycił lampę. - Uciekaj, schowaj się na górze.

- Nie waż się go tknąć. - Oburzona, wyrwała mu lampę.

- On mnie tylko broni. Myślał, że robisz mi krzywdę.

- Broni cię? Na miłość boską, Rowan, to przecież wilk. Uskoczyła do tyłu, kiedy próbował ją złapać, po czym, instynktownie, pierwszy raz w życiu skłamała:

- Oczywiście, że nie. Nie bądź śmieszny. To pies. - Zdawało się, że na znak protestu wilk szarpnął łbem pod jej ręką. Kątem oka widziała, jak przekrzywia i podnosi do góry łeb i... no cóż, zerka na nią z niemym wyrzutem. - Mój pies - dodała z naciskiem. - Świetnie wytresowany, sam musisz to przyznać. Obronił mnie przed kimś, kogo potraktował jako mojego wroga.

- Pies? - Oszołomiony i wcale - nie przekonany, czy za chwilę zwierzę nie skoczy mu do gardła, Alan przeniósł wzrok na nią. - Masz psa?

- Tak. - Kłamstwo z trudem przeszło jej przez gardło.

- Jak widzisz, nie musisz się martwić o moje bezpieczeństwo.

- Co to za pies i jaka to rasa?

- Dokładnie nie wiem. - Och, jak żałośnie kłamała. - Jest cudownym towarzyszem, a także, o czym mogłeś się przekonać, moim obrońcą. Nie muszę się bać, że jestem tutaj sama. Gdybym go nie odwołała, ugryzłby cię.

- Wygląda jak jakiś cholerny wilk.

- Masz rację, Alanie. - Zrobiła, co w jej mocy, żeby się nie rozeźmiać, ale wypadło to słabo i piskliwie. - Słyszałeś kiedykolwiek o wilkach wskakujących przez okno albo słuchających rozkazów kobiety? On jest nadzwyczajny. - Pochyliła się, żeby zanurzyć twarz w jego futrze. - Wobec mnie jest delikatny jak labrador.

Jakby na znak oburzenia, wilk rzucił jej jedno lodowate spojrzenie, po czym odszedł, by usiąść przy kominku.

- Widzisz? - Odetchnęłyby z ulgą, gdyby nie obawa, że się zdradzi.

- Ani razu nie wspomniałaś o psie. Chyba jestem na niego uczulony. - Wyciągnął chustkę do nosa i kichnął.

- Nigdy za wiele nie mówię. - Podeszła znowu do niego, kładąc mu ręce na ramionach.

- Przepraszam cię za to, ale aż do tej pory nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak to zrobić.

Alan nie przestawał co jakiś czas zerkać w stronę wilka.

- Mogłabyś go wyrzucić na dwór?

Wyrzucić go na dwór? pomyślała i omal nie parsknęła śmiechem. Wilk przychodził i odchodził, kiedy chciał.

- On już będzie grzeczny, obiecuję. Chodź, usiądź, widzę, że jesteś wstrząśnięty.

- Raczej trochę oszołomiony - mruknął. Poprosiłby ją o brandy, ale wówczas, jak sądził, musiałaby opuścić pokój, żeby je przynieść. Wolał nie ryzykować pozostania sam na sam z tą wielką czarną masą.

Jakby na potwierdzenie rozsądnej decyzji, wilk obnażył zęby.

- Alanie. - Rowan usiadła obok niego na kanapie, wzięła go za rękę. - Przepraszam, stało się jednak tak, że zbyt późno zrozumiałam siebie samą, byś i ty mógł to w porę pojąć. Przepraszam za to, że okazałam się inna, niż się spodziewałeś, ale nie mogę tego wszystkiego zmienić ani wrócić do tego, co było.

Znowu odgarnął spadające na czoło włosy.

- Rowan, bądź rozsądna.

- Jestem rozsądna, jak nigdy dotąd. Naprawdę niepokoję się i troszczę o ciebie, Alanie, nawet nie wiesz, jak bardzo. Byłeś cudownym przyjacielem. Pozostań więc nim i nie oszukuj się. Nie jesteś we mnie zakochany... tylko tak ci się wydaje.

- Oczywiście, że cię kocham, Rowan.

W jej uśmiechu, kiedy sama odgarnęła mu włosy, widniała odrobina smutku.

- Gdybyś był we mnie zakochany, nie zachowałbyś się tak racjonalnie, gdy poprosiłam, żebyśmy przestali ze sobą sypiać. - Widząc jego zdenerwowanie, uśmiechnęła się z czułością. - Alan, byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale marnymi kochankami. Między nami nie było napiętności, nie było żadnego napięcia... po prostu nic.

Otwarta dyskusja na taki temat wprawiła go w zakłopotanie. Wstał i zaczął chodzić, ale wilk warknął na niego.

- A dlaczego miałyby między nami być coś takiego?

- Powinno być. Musi być. - Troskliwie wyciągnęła rękę, żeby mu poprawić krawat. - Moi rodzice zawsze chcieli mieć takiego syna jak ty. Jesteś dobry i miły, jesteś zdolny i bystry, i taki cudownie zrównoważony. Oboje cię kochają. - Podniosła na niego wzrok, wydało się jej, że dostrzegła w jego oczach cień zrozumienia. - Więc uznali, że powinniśmy się pobrać, a także przekonali ciebie, że pragniesz tego samego. Ale czy ty naprawdę tego chcesz?

Popatrzył w dół na ich złączone ręce.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś miała przestać być częścią mojego życia.

- Zawsze będę częścią twojego życia. - Wychyliła się do przodu i pocałowała go w usta. Na taki gest wilk wstał, zbliżył się do nich na sztywnych łapach i warknął. Kładąc odruchowo rękę na jego łbie, Rowan przyglądała się uważnie Alanowi. - Czy teraz krew szybciej w tobie krąży, a serce gwałtowniej bije? Oczywiście, że nie - szepnęła, zanim zdążył odpowiedzieć. - Ty mnie nie chcesz, Alanie, nie w taki sposób, w jaki do szaleństwa zakochany mężczyzna pragnie kobiety. Nie uda się sprowadzić miłości i namiętności do poziomu zimnej logiki.

- Gdybyś wróciła, moglibyśmy spróbować.. - Kiedy potrząsnęła przecząco głową, ścisnął ją mocniej za rękę. - Nie chcę cię stracić, Rowan. Jesteś dla mnie ważna.

- Więc pozwól, żebym była szczęśliwa. Pozwól mi się przekonać, że jest choć jedna osoba, dla której jestem ważna, a która jest ważna dla mnie i potrafi zaakceptować to, co robię.

- Nie mogę ci w tym przeszkodzić. - Zrezygnowany, uniósł ramiona. - Zmieniłaś się, Rowan. W ciągu trzech krótkich tygodni stałaś się inną osobą. Może jesteś szczęśliwa, a może tylko udajesz. Jakkolwiek jest, pamiętaj, że gdybyś zmieniła zdanie, my wszyscy nadal tam jesteśmy.

- Wiem.

- Powinienem już jechać. Przede mną długa droga na lotnisko.

- Przygotuję ci coś do jedzenia. Jeśli chcesz, możesz zostać na noc i wyjechać jutro rano.

- Lepiej, jeżeli teraz odjadę. - Zerkając przezornie na podnoszącego się wilka, wstał. - Nie wiem, co o tym myśleć, Rowan, i powiem uczciwie, że nie mam pojęcia, co powiedzieć twoim rodzicom. Byli pewni, że wrócisz ze mną.

- Powiedz im, że ich kocham... i że jestem szczęśliwa.

- Powiem im i postaram się ich przekonać, ale ponieważ sam nie mam pewności... - Znowu kichnął, zaczął się zbierać do wyjścia. - Nie wstawaj - powiedział, wiedząc, że będzie bezpieczniej, jeżeli zatrzyma rękę na łbie swojego groźnego, dzikiego psa. - Sam wyjdę. Postaraj się o obrozę dla niego, a przynajmniej... upewnij się, czy był szczepiony i...

Seria kichnięć wstrząsała jego długim i kościstym ciałem, poszedł więc do drzwi z przytkniętą do nosa chusteczką. To idiotyczne, ale zdawało się, że pies beczelnie się z niego śmieje.

- Zadzwoń do ciebie - wykrztusił jeszcze i wypadł na dwór.

- Zraniłam go. - Rowan ciężko westchnęła i oparła policzek na łbie wilka, wsłuchując

się w dźwięk zapalnego silnika wynajętego samochodu. - Nie znalazłam innego sposobu, zrobiłam to tak nieudolnie. Podobnie jak nie umiałam go pokochać. - Wtuliła twarz w ciepłe, miękkie futro, szukając pocieszenia. - Jesteś taki odważny i dzielny, i taki silny - powiedziała z westchnieniem. - Prawie na śmierć przestraszyłeś Alana.

Zaśmiała się cichutko, a dźwięk ten był niebezpiecznie bliski szlochowi.

- Zresztą mnie też. Wyglądałeś wspaniale, pojawiając się nagle w oknie, dziki i zawzięty. Naprawdę jesteś piękny. Z obnażonymi zębami, z błyskiem w oczach i tym cudownie zwinnym ciałem.

Zsunęła się z kanapy, by uklęknąć i przytulić się do niego.

- Kocham cię - powiedziała szeptem, a on zadrżał i poddał się pieszczocie.

Trwali tak przez długi czas, a wilk wpatrywał się w ogień i wsłuchiwał w jej spokojny oddech.

Przez następne trzy tygodnie pracowała dla Liama bez wytchnienia Kochała tę pracę, co mu wystarczało za usprawiedliwienie, że spędza z nią tyle godzin. Prawdę mówiąc, większość rysunków mogła, a nawet powinna robić bez jego udziału, ale nie protestowała, kiedy nalegał, żeby prawie codziennie przychodziła pracować u niego.

Chodziło mu tylko o to... żeby mieć na nią oko, powtarzał sobie. Obserwować, co robi, pomagać w podejmowaniu decyzji, podpowiadać, co dalej. Przecież nie zależało mu w jakiś szczególny sposób na jej towarzystwie. Wolał pracować sam i na pewno nie potrzebna mu była jej rozpraszająca uwagę obecność, jej zapach i słodycz. Ani też jej paplanina, która z kolei była urocza i odkrywczą. Na pewno nie potrzebował również darów, które często przynosiła. Były to ciasteczka lub placki owocowe, najczęściej zakalcowate albo przypalone - i nieprawdopodobnie słodkie.

Nie chodziło też o to, że bez trudu poradziłby sobie bez niej, co powtarzał każdego dnia, gdy niecierpliwie na nią czekał.

Jeżeli bywał u niej nocami jako wilk, to tylko dlatego, że rozumiał jej chęć samotności, Rowan cieszyła się z tych wizyt. Niewykluczone, że lubił leżeć na jej wielkim łóżu z baldachimem i słuchać, gdy na głos czyta jedną ze swoich książek, oraz przyglądać się jej, gdy śpi, jak zawsze w okularach i przy zapalanej lampie.

Jeżeli nawet często przyglądał się, gdy spała, to nie dlatego, że była taka śliczna i taka delikatna, lecz dlatego, że była dla niego zagadką, którą musiał rozszyfrować. Problemem, który wymagał logicznego potraktowania.

Jego serce było dobrze chronione, co do tego nie miał wątpliwości.

Wiedział, że wkrótce powinien zrobić kolejny krok, zbliżał się bowiem czas, gdy

będzie musiał oddać w jej ręce wybór decyzji, związanej z tym, kim stali się dla siebie.

Zanim jednak to uczyni, Rowan dowie się, kim naprawdę jest Liam i jaki jest.

Mógłby i bez tego uczynić z niej swoją kochankę, tak jak wcześniej działo się to z innymi kobietami... lecz co go tak naprawdę z nimi łączyło? Jego władza, dziedzictwo i życie należą wyłącznie do niego.

Jednak z Rowan może być inaczej.

Ona też ma swoje dziedzictwo, o którym jeszcze nic nie wie. W odpowiednim czasie będzie jej musiał o tym powiedzieć, a także sprawić, by uwierzyła, jaka w niej płynie krew.

A co ona z tym zrobi, to już jej wybór.

Tymczasem wytrwale strzegł swojego serca. Pożądanie jest do zaakceptowania, lecz miłość jest zbyt ryzykowna.

W czasie przesilenia dnia z nocą, kiedy magia działa najsilniej, a zmrok późno zapada, przygotował taneczny krąg, w środku którego stanął. Wokół niego powietrze śpiewało słodką pieśń o ludziach, którzy żyli dawno temu. Była to skoczna melodia o młodziuży, głosy tych, którzy czuwalili i czekali, oraz przejmujące dźwięki strun harfy, wyrażające nadzieję.

Świece były białe i wysmukłe jak kwiaty, które między nimi leżały. Liam ubrany był w szatę w kolorze lśniącego księżycy, przepasaną klejnotami należnymi jego wysokiej randze.

Gdy uniósł twarz ku ostatnim promieniom ustępującego słońca, wiatr rozwiewał mu włosy. Od ginącego światła zdawały się płonąć drzewa, migoczące złotem włócznie przeszywały gałęzie, by jak naostrzone miecze lec u jego stóp.

- To, co tu robię, robię z własnej, nieprzymuszonej woli, ale nie ślubuję ani kobiecie, ani na więzy krwi - Nie jestem związany żadną powinnością, żadną obietnicą. Nim zgaśnie najdłuższy dzień w roku, Wysłuchajcie mojego głosu. Przywołam ją, a ona przybędzie. Na podstawie tego, co tu zobaczy, zapamięta i w co uwierzy, niech sama podejmie decyzję.

Ujrzał sfruwającego z góry srebrzystego puchacza, który majestatycznie usadowił się na królewskim kamieniu.

- Ojcze - powiedział uroczyście i skłonił się paradnie.

- Twoje życzenia są mi znane, ale jeżeli im ulegnę i pozwolę, by miały nade mną władzę, czy potrafię mądrze sprawować władzę nad innymi?

Wiedząc, że to pytanie wywoła gniew, Liam odwrócił się w porę, jeszcze zanim uśmiech zagościł na jego wargach. I jeszcze raz uniósł twarz.

- Przyzywam Ziemię. - Otworzył rękę i ukazał żyzną ziemię, którą w niej trzymał. - I Wiatr. - Podniósł się ostry wiatr, zawirował i porwał ziemię wysoko do góry. I Ogień.

- Wystrzeliły dwa słupy niebieskich płomieni. - Zaświadczyć tutaj, co los zgotował.

Zew krwi, władcze ramię.

Jego oczy zaczęły się jarzyć jak bliźniacze ogniki na tle połyskującego mroku.

Przybyłem do tej krainy, by oddać wam cześć. Przekonajmy się, czy ta kobieta jest dla mnie. Niech się spełni wola moja.

Po czym odwrócił się, zapalając magicznym ruchem ręki każdą świecę, aż przezroczyście i proste jak strzały złote płomyki strzeliły ku górze. Podniósł się wiatr i zawył z mocą tysiąca wilczych gardzieli, ale pozostał ciepły, pachnący morzem, sosną i leśnymi kwiatami.

Łagodnie targnął rękawami szaty Liama i spłynął po jego włosach. A on poczuł w nim smak potęgi nocy.

- Niech wszędzie Księżyc w pełni, niech wszędzie Księżyc w bieli i oświetli jej drogę do mnie tej nocy. Przywiedź ją do kręgu. Niech się spełni wola moja.

Opuścił podniesione ku niebu ręce i wyteżył wzrok, poprzez noc, poprzez drzewa, aż zatrzymał go tam, gdzie kobieta, dręczona niepokojem, spała w łóżku.

- Rowan - powiedział z nutką westchnienia w głosie - już czas. Nie spotka cię nic złego. Chcę ci tylko złożyć obietnicę. Nie musisz się budzić. Trafisz, bowiem znasz drogę przez sny. Czekam na ciebie.

Coś ją... przywoływało. Słyszała to, jakiś szept w głowie, jakieś pytanie. Kręcąc się we śnie, w głębokim zdumieniu szukała odpowiedzi.

Wreszcie wstała i przeciągnęła się rozkosznie, ciesząc się z dotyku nowej jedwabnej nocnej koszuli. Jak przyjemnie nie mieć na sobie flaneli. Uśmiechając się do siebie, włożyła suknię w tym samym ciemnoniebieskim kolorze co jej oczy oraz wsunęła na stopy pantofle.

Na myśl o tym, co ją czeka, zadrżała z emocji.

W północy zeszła ze schodów, dotykając koniuszkami palców słupków balustrady. Jej rozświetlone oczy i uśmiech na wargach mogły wskazywać, że idzie na spotkanie z kochankiem.

Pomyślała o nim, o Liamie, o kochanku swoich snów, gdy wyszła z domu i zanurzyła w kłębiącej się mgle.

Mgła niczym zasłona spowiała drzewa, czyniąc ścieżkę niewidoczną. Powietrze, wilgotne i ciepłe, zdawało się wzdychać, po czym zaczęło się rozstępować. Zanurzyła się bez lęku w miękkim, białym oceanie mgły, przy pełni księżyca płynącego po niebie i gwiazdach migoczących jak punkciki lodu.

Drzewa zwarły szyki, jakby trzymały wartość. Paprocie poruszały się w parnej bryzie i połyskiwały od wilgoci. Usłyszała długie, niskie nawoływanie puchacza i bez wahania

odwróciła się w stronę, skąd dobiegł dźwięk. Ujrzała jasny kształt. Był taki potężny i wielki, srebrny jak mgła, ze złotem połyskującym na piersi i ze świecącymi zielonymi oczami.

To było jak wędrówka przez bajkę. Częścią umysłu rozpoznawała, uznawała i ogarniała magię tego zjawiska, podczas gdy inna jej część spała, jeszcze niegotowa, żeby zobaczyć i poznać. Jej serce biło równo i mocno, a krok był szybki i lekki.

Jeżeli były tam oczy zerkające spomiędzy koronkowych liści paproci, jeżeli radosny śmiech rozbrzmiewał z górnych gałęzi świerków, mogła się tylko z tego cieszyć.

Za każdym krokiem, na każdym zakręcie ścieżki mgła rozstępowała się, żeby otworzyć dla niej drogę.

I woda cicho śpiewała.

Ujrzała jarzące się światła, małe ogniki nocy. Poczula zapach morza, wosku świec, słodką woń kwiatów. Rozpłynęła się w błogim uśmiechu, wstępując na polanę, żeby wziąć udział w tańcu kamieni.

Mgła zadrzała na brzegach jak falujący rąbek, ale nie wdarła się między kamienie, świece i kwiaty, a on stał w samym środku, na jasnej plamie ziemi, w szacie białej jak światło księżycy, przepasanej klejnotami, od których biła siła i światło.

Jeżeli na jej widok podskoczyło mu serce, jeżeli zadrzało w miejscu, które - przysięgał to sobie - pozostanie nietknięte, nie przejął się tym.

- Wejdiesz do środka, Rowan? - zapytał i wyciągnął do niej rękę.

Ogarnęła ją jakaś tęsknota i poczuła dziwny dreszcz, ale wciąż się uśmiechała, gdy zrobiła kolejny krok.

- Oczywiście, że tak. - I weszła między kamienie.

Coś zawirowało w powietrzu, przesunęło się po jej skórze, dotarło do serca. Usłyszała szept kamieni. Światła świec zamrugały, po czym płomienie wyprostowały się znowu.

Musnęli się końcami palców. Nie odrywała od niego wzroku, ufna i pełna wiary, gdy ich palce splotły się z sobą.

- Śnię o tobie, każdej nocy - wyszeptała. - I tęsknię do ciebie całymi dniami.

- Nie pojmujesz, jakie mogą z tego wynikać korzyści i jakie konsekwencje. A musisz.

- Wiem, że chcę ciebie. Uwiodłeś mnie, Liamie. Poczul lekkie ukłucie winy.

- Ja też mam swoje potrzeby.

Podniosła rękę i przytknęła ją do jego policzka. Jej głos był łagodny, podczas gdy jego pozostawał szorstki.

- Czy potrzebujesz mnie?

- Chcę ciebie. - Potrzeba to za wiele, świadczy o słabości, jest zbyt ryzykowna.

- Jestem tutaj. - Podniosła ku niemu twarz. - Nie chcesz mnie pocałować?

- Zawsze. - Schylił się i spojrzał na nią. - Zapamiętaj to - wyszeptał, kiedy jego usta znalazły się na odległość oddechu od jej ust. - Zapamiętaj to, Rowan, jeżeli możesz. - Wtedy musnął wargami jej usta, raz, drugi, jakby je badał. A potem skubnął je leciutko, a ona zadrżała.

Kiedy westchnęła, spokojnie przytknął wargi do jej ust, przeciągając chwilę magii, wślizgując się dalej, gdzie czuł już jej smak, jej dotyk. Jego krew wzburzyła się.

Po obu stronach jasno zapłonął chłodny błękitny ogień.

- Obejmuj mnie, Liamie, dotykaj mnie. Tak długo na to czekałam.

Dźwięk jaki wydał, gdy ją pociągnął do siebie i powędrował po niej rękami, był na pograniczu warknięcia i czulego westchnienia.

Weź ją tutaj, weź ją teraz, w kręgu, gdzie nasze ciała się spleją. Niech się spełni wola moja... szeptało mu w duszy, lecz takie poddanie się pierwotnemu instynktowi klóciło się z honorem Liama. Czy to ważne, co ona wie, czego pragnie, w co wierzy? Czy to ważne, co on zyska lub straci? Ważne jest to, co jest teraz - jej namiętność i gotowość, kiedy ją trzyma w ramionach, a jej usta są jak płomień na jego wargach.

- Połóż się ze mną tutaj. - Oderwała wargi i całowała gorączkowo jego twarz i szyję. - Kochaj się ze mną tutaj.

- Już wiedziała, czym to będzie. Sny i fantazje płąsały radośnie w jej głowie. Gwałtownie i pierwotnie, szybko i mocno. Bardzo pragnęła tych szalonych doznań.

Szorstkim ruchem zsunął suknię z jej ramienia i wpił zęby w gołe ciało. Jej smak przyprawił go o zawrót głowy, zamroczył zmysły.

- Czy wiesz, kim jestem? - zapytał.

- Jesteś Liamem. - To imię już od dłuższej chwili dudniło jej w głowie.

Odsunął ją od siebie, zajrzał w jej ciemne oczy.

- Czy wiesz, jaki jestem?

- Inny. - To było wszystko, czego była pewna, choć miała wrażenie, że wie o nim znacznie więcej, lecz nie dociera do tego zmysłami.

- Wciąż boisz się poznać prawdę. - A skoro tego się boi, o ileż bardziej może ją przerazić wiedza o jej pochodzeniu? - Gdy będziesz wiedziała i staniesz się gotowa, żeby to powiedzieć, wówczas też będziesz gotowa, żeby mi się oddać.

I weź to, co ci daję.

Zaświeciły się jej głęboko osadzone, niebieskie oczy. Drżała nie ze strachu lub z chłodu, ale z pożądania nie znajdującego ujścia.

- Dlaczego to nie wystarczy?

Pogłaskał ją po głowie kojącym ruchem, walcząc, by samemu nie szukać ukojenia.

- Magia ma swoje zobowiązania. Dzisiejszej, szczególnej w roku nocy, tańczy w lesie, śpiewa na wzgórzach mojego domu, wędruje po morzach i oceanach i buja w powietrzu. Dzisiaj świętuje, ale jutro będzie sobie musiała przypomnieć o swojej powinności i celu. Wczuj się w jej radość.

Pocałował ją w czoło i w oba policzki.

- Dzisiejszej nocy, Rowan Murray z O'Mearów, zapamiętasz wszystko, co tylko zechcesz. A jutro będziesz mogła dokonać wyboru.

Cofnął się i rozpostarł ramiona, a jego szata zakręciła się wokół niego.

- Upływa noc, szybka i jasna, jutrzienka wyrzy w blaskach świtu. Jeżeli usłyszysz zew krwi, przyjdź do mnie. - Przerwał, a ich spojrzenia zwały się i tak trwały. - I niech spełni się wola moja.

Pochylił się, sięgnął po gałązkę kwitnącego tylko nocą wilca, zwanego też księżycowym kwiatem, i podał jej.

- Spij dobrze, Rowan.

Rękawy jego szaty zsunęły się do tyłu, ukazując twarde mięśnie. Błysnął światłem i oddalił ją od siebie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Promienie słońca wpadały przez okna. Niezadowolona Rowan mruknęła i przewróciła się na drugą stronę, ukrywając twarz w poduszce.

Chciała spać, bo tylko we śnie mogły się spełnić te cudowne i jakże żywe marzenia senne. Zachowała jeszcze ich strzępki.

Mgła i kwiaty, promienie księżycy i lśnienie świec. Połyskujący srebrem puchacz, cichy szmer morza. I Liam w białej szacie, która błyszczała od klejnotów, wprowadzający ją w środek kamiennego kręgu.

Czuła jeszcze na języku jego smak, namiętny i męski, wyczuwała jego prężność, a także bicie jego serca.

Żeby znowu tego wszystkiego doświadczyć, musi ponownie zasnąć.

Ale kręciła się niespokojnie, nie mogąc tam wrócić ani go odnaleźć.

To było takie prawdziwe, pomyślała, odwracając twarz, by przyjrzeć się wpadającemu przez okna słońcu. Takie realne i takie... cudowne. Często miewała bardzo dziwne i realistyczne sny, zwłaszcza w dzieciństwie.

Matka powiedziała, że to wyobraźnia i że ma jej w nadmiarze, oraz że musi się nauczyć odróżniać rzeczywistość od tego, co jest fikcją.

A Rowan - może zbyt często - wolała zmyślenia, ponieważ jednak wiedziała, że niepokoi tym rodziców, pogrzebała je. Doszła do wniosku, że teraz jej cudowne sny powróciły, ponieważ obrała własną drogę.

Nie potrzeba fachowca, żeby zrozumieć, dlaczego tak często śni jej się Liam, tak romantycznie i erotycznie. Chyba najrozsądniej będzie po prostu i zwyczajnie cieszyć się i czerpać z tego przyjemność, nie zapominając przy tym, co jest rzeczywistością, a co piękną ułudą.

Przeciągnęła się, podniosła wysoko ramiona i splotła dłonie. Uśmiechając się do siebie, odtworzyła to, co udało jej się zapamiętać.

Sen przeplatał się z grą, nad którą pracowali, pomyślała, z Liamem w charakterze głównego bohatera, z nią jako główną bohaterką. Magia i mgła, romans i odtrącenie.

Kamienny krąg, który zdaje się szeptać i śpiewać, wianuszek świec, których płomienie pomimo wiatru wznoszą się prosto ku górze. Słupy ognia, niebieskiego jak woda jeziora. Mgła, która rozstępuje się przed nią.

Prześliczne, zadumała się, po czym zamknęła oczy i znowu sięgnęła pamięcią wstecz,

próbując sobie przypomnieć, co Liam jej powiedział. Doskonale zapamiętała sposób, w jaki ją pocałował. Delikatnie, a potem gorąco i namiętnie. Lecz co powiedział? Coś o wyborach, o wiedzy i o odpowiedzialności.

Gdyby potrafiła to uporządkować, mogłaby mu podsunąć pomysł na fabułę nowej gry, ale jedyne, co wyraźnie widziała, to sposób, w jaki jej dotykał, oraz pożądanie, które zaczęło w niej pulsować.

Pracują teraz razem, przypomniała sobie. Myślenie o nim w taki sposób jest zarówno niestosowne, jak głupie. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to ludzi się, że mógłby się w niej zakochać tak samo szaleńczo, jak ona mogłaby zakochać się w nim.

Więc zamiast tego pomyśli o pracy, o przyjemności, jaką z niej czerpie. Będzie myślała o domu, który chce kupić. Już czas, żeby coś w tej sprawie przedsięwziąć. Najpierw jednak musi wstać, zrobić sobie kawy, odbyć poranny spacer.

Odrzuciła prześcieradło, którym była przykryta, i wtedy ujrzała gałązkę księżycowych kwiatów.

Serce Rowan załomotało gwałtownie, zabrakło jej powietrza. To przecież niemożliwe, uparcie podpowiadał rozum, ale nawet gdy mocno zacisnęła powieki, czuła tę delikatną woń.

Musiała je zerwać i zapomnieć o nich... lecz przecież dobrze wiedziała, że w pobliżu jej domku ani w lesie nie rosną takie kwiaty. Takie jak te - coś sobie przypomina - widziała chyba we śnie, rozsypane jak niewinne życzenia pomiędzy prostymi jak włócznie świecami.

Nie, to po prostu niemożliwe! To przecież był tylko sen, jeden z wielu, które ją nawiedziły, odkąd tu przybyła. Nie szła przez las, nie przedzierała się przez mgły. Nie wyszła na polanę, do Liama, ani nie przekroczyła kamiennego kręgu.

Chyba że...

Chodzenie we śnie, pomyślała trochę przerażona. Czyżby była lunaticzką? Wygramoliła się z łóżka i nie odrywając wzroku od kwiatów, chwyciła szlafrok.

Dół był wilgotny, jakby szła po rosie.

Przycisnęła do siebie szlafrok, podczas gdy fragmenty snu zbyt wyraźnie docierały do jej świadomości.

- To nie może być. - Lecz te słowa trafiały w próżnię.

Nagle poderwała się i szybko ubrała.

Biegła całą drogę, nie bacząc, że złość idzie w zawody ze strachem. Wiedziała tylko jedno - to jego sprawka! Może było coś w herbacie, którą rano zaparzył, pewnie jakiś halucynogen.

To było jedyne racjonalne wytłumaczenie, wszystko bowiem można objaśnić za

pomocą logiki...

Zdyszana, z wychodzącymi prawie na wierzch oczami, wbiegła po stopniach i zapukała do drzwi. W zaciśniętej do białości dłoni trzymała kwiaty.

- Coś ty mi zrobił? - zapytała w tej samej chwili, kiedy Liam otworzył drzwi.

Popatrzył na nią spokojnym wzrokiem i cofnął się, żeby ją wypuścić.

- Wejź, Rowan.

- Chcę wiedzieć, coś ty mi zrobił. Chcę wiedzieć, co to znaczy. - Cisnęła w niego kwiatami.

- Dałaś mi raz kwiaty - powiedział ze spokojem, który sprawił jej przykrość. - Wiem, że masz do nich słabość.

- Wsypałeś narkotyk do herbaty? Teraz jego spokój zakrawał już na obelgę.

- Przepraszam?

- Może być tylko jedno wytłumaczenie. - Odskoczyła od niego i zaczęła przemierzać pokój. - Było coś w herbacie, co sprawiło, że zaczęłam sobie wyobrażać i robić różne rzeczy. Nigdy, przy zdrowych zmysłach, nie poszłabym w nocy do lasu.

- Nie jestem specjalistą od tego rodzaju preparatów. - Wzruszył przy tym ramionami, dając znak, że uważa temat za wyczerpany, czym doprowadził ją do wściekłej furii.

- Kto by pomyślał! - Odwróciła się na pięcie i stanęła przed nim. Włosy spadały jej do ramion, a niebieskie oczy płonęły gniewem. - A zatem od jakich?

- Między innymi takich, które przynoszą ulgę zranionemu ciału i duszy. Ale to nie jest moja prawdziwa... specjalność.

Rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

- Gdybyś miała otwarty umysł, znałabyś już odpowiedź. Spojrzała mu prosto w oczy. Ponieważ w jej umyśle mignął obraz wilka, potrząsnęła głową i cofnęła się o krok.

- Kim ty jesteś?

- Wiesz, kim jestem. Do licha, dałem ci masę czasu, żebyś do tego doszła.

- Do czego? Do czego niby miałam dojść? - powtórzyła i dźgnęła go palcem w pierś. - Zupełnie cię nie rozumiem. - Tym razem popchnęła go, a jej złość sięgnęła szczytu. - Nie rozumiem, co według ciebie mam wiedzieć. Odpowiedz mi, Liamie. Muszę poznać odpowiedź teraz, a jeżeli nie, to chcę, żebyś dał mi spokój. Nie życzę sobie, żeby się mną bawiono w taki sposób, zwodzono i robiono ze mnie wariatkę. Więc powiedz mi jasno i wyraźnie, co to znaczy. - Wyrwała mu z ręki kwiaty. - Bo jeśli nie, to jestem skończona.

- Skończona, powiadasz? Naprawdę chcesz poznać odpowiedź? - Złość i obraza wzięły górę nad rozumem, kiedy skinął głową. - Niech więc ci będzie, oto twoja odpowiedź.

Odrzucił na boki ręce. Z koniuszków palców, bardziej ze złości niż z potrzeby, trysnęło zimne, niebieskie światło, a ciało Liama spowija cieniutka biała mgła, zza której błyszczą tylko złociste oczy, bystre i trzeźwe.

A były to oczy wilka, które na nią łypały, gdy obnażył zęby i wydał szyderczy dźwięk, połyskując czarną jak środek nocy sierścią.

Krew odpłynęła jej od głowy, która nagle stała się lekka, zamroczone, jakby cudza, gdy tymczasem mgiełka odsunęła się w dal, z której docierał niewyraźny, chrypiący, nierówny dźwięk jej własnego oddechu, a drżący krzyk rozbrzmiewał w jej głowie.

Chwiejąc się na nogach, cofnęła się nieco. Gdzieś na obrzeżach pola widzenia pojawiła się szarość. Małe światełka tańczyły przed oczami.

Kiedy ugięły się pod nią kolana, Liam zaklął soczyście i złapał ją, zanim upadła.

- Jeszcze tylko brakowało, żebyś zemdląła i żebym poczuł się jak potwór. - Posadził ją na fotelu i pochylił jej głowę do kolan. - Złap oddech, a na przyszłość uważaj, czego żądasz.

Czuła się tak, jakby rój pszczoł brzęczał jej w głowie, a sto lodowatych igiełek przesuwano się po skórze. Kiedy podniosła głowę, coś wybełkotała. Znowu prawie zapadła się w siebie, lecz on zdecydowanym ruchem podtrzymał ręką jej twarz.

- Przyglądaj się tylko - mruknął, trochę delikatniej. - Tylko się przyglądaj. Patrz na mnie i zachowaj spokój.

Docucona i bardziej już świadoma, poczuła teraz, jak jego umysł wchodzi w kontakt z jej myślami. Instynkt nakazywał jej bronić się przed tym, więc podniosła rękę, żeby go odepchnąć.

- Nie, nie walcz ze mną. Nie zrobię ci nic złego.

- Nie... ja nie chcę wiedzieć. - Już to rozumiała, w niewytłumaczalny sposób była tego pewna. - Czy mogłabym. .. czy mogę prosić o trochę wody?

Zamrugła oczami na widok szklanki, która nie wiadomo kiedy i jak znalazła się w jego ręku, a gdy się zawahała, dostrzegła ten sam co poprzednio błysk irytacji w jego oczach.

- To tylko woda. Masz moje słowo.

- Twoje słowo. - Popiła, westchnęła. - Jesteś... - To niemożliwe, to śmieszne, ale przecież widziała na własne oczy. Na Boga, przecież widziała. - Jesteś wilkołakiem.

Zrobił wielkie oczy, co mogło tylko oznaczać, jak bardzo jest oburzony, po czym przypadł do jej stóp, wpatrując się z niepojętą wściekłością.

- Wilkołakiem? Na miłość Finna, skąd coś takiego mogło ci przyjść do głowy? Wilkołak! - Mrucząc to słowo, zaczął krążyć po pokoju. - Nie jesteś głupia, tylko bardzo uparta. Jest jasny dzień, prawda? Widzisz stąd księżyc w pełni? Czy rzucam ci się do gardła?

Mrucząc gaelickie przekleństwa, odwrócił się na pięcie i wbił w nią wzrok.

- Jestem Liam Donovan - powiedział z dumą w głosie. - I jestem czarownikiem.

- Och, coś podobnego! - Zaśmiała się krótko i odrobinę histerycznie. - A zatem wszystko w porządku.

- Nie kul się przede mną ze strachu - warknął, gdy kurczowo objęła się ramionami. - Dałem ci dość czasu, żeby cię przygotować. Nie objawiłbym ci się tak nagle, gdybyś mnie do tego nie popchnęła.

- Dość czasu? Na przygotowanie mnie? Na to? - Niepewną, lekko drżącą ręką przejechała po włosach. - Może ja znowu śnię - szepnęła i natychmiast wyprostowała się jak struna. - Śnię. O Boże!

Zobaczył jej myśli, wsunął ręce do kieszeni.

- Nie wziąłem nic ponadto, co chciałaś dać.

- Kochałeś się ze mną, przyszedłeś do mojego łóżka, gdy spałam i...

- To działo się w myślach - przerwał. - Prawie cały czas trzymałem ręce z daleka od ciebie.

Krew, która odpłynęła z jej twarzy, powróciła i zaróżowiła policzki.

- To nie były sny.

- A jednak to były sny. Dałaś mi więcej niż to, Rowan. Oboje o tym wiemy, ale nie będę cię przeproszać za to wspólne śnienie.

- Wspólne śnienie. - Zmusiła się i wstała, ale musiała uchwycić się fotela, żeby stać równo na nogach. - I uważasz, że w to uwierzę?

- Mam nadzieję. - Uśmiech zagościł na jego wargach. - P o to tu jesteś.

- Mam uwierzyć, że jesteś czarownikiem? Że możesz przemieniać się w wilka i przenikać moje sny, ilekroć zechcesz?

- Ilekroć zechcę. - Trzeba zmienić taktykę, pomyślał, na taką, która będzie im obojgu odpowiadać. - Wzdychałaś do mnie, Rowan. Drżałaś przy mnie. - Podszedł bliżej i musnął rękami jej ramiona. - I uśmiechałaś się we śnie, gdy odchodziłem.

- To, co teraz mówisz, zdarza się w książkach oraz w grach, które piszesz.

- A także w innym świecie. Byłaś tam. Zabrałem cię ze sobą. Zapamiętałaś dzisiejszą noc, czytam to w twoich myślach.

- Nie zaglądam do moich myśli! - Oskoczyła do tyłu, przerażona, że jeszcze to zrobi. - Myśli to prywatna sprawa każdego z nas.

- Twoje myśli tak często i wyraźnie malują się na twojej twarzy, że nie muszę sięgać głębiej... i nie zrobię tego, jeżeli sprawia ci to przykrość.

- Sprawia. - Przygryzła zębami dolną wargę. - Jesteś medium?

Zamruczał gniewnie.

- Mam moc widzenia tego, czego inni nie widzą, jeśli o to ci chodzi. Zaklinania, przywoływania piorunów. - Wzruszył ramieniem. - Dowolnego przybierania różnych postaci.

Przybieranie różnych postaci! Dobry Boże! Czytała o czymś takim, lecz to się zdarza tylko w powieściach, w mitach i legendach, nie zaś w realnym życiu. A jednak... czy może zaprzeczyć temu, co widziała na własne oczy? Temu, co jej podpowiadało serce?

- Przyszedłeś do mnie jako wilk. - Jeżeli jest szalona, pomyślała, równie dobrze może zadawać szalone pytania.

- Wtedy się mnie nie bałaś. Inni by się przestraszyli, ale ty nie. Przyjęłaś mnie serdecznie, objęłaś mnie, płakałaś na mojej szyi.

- Nie wiedziałam, że to ty. Gdybym wiedziała... - Urwała, gdy zaczęły się wyłaniać inne wspomnienia. - Widziałeś mnie rozebraną. Siedziałeś przy mnie, kiedy byłam w wannie.

- Muszę przyznać, że masz śliczne ciało. Nie masz się czego wstydzić! Zaledwie przed paroma godzinami prosiłaś, żebym cię dotykał.

- To zupełnie co innego.

Coś, jakby tłumiona wesołość, mignęło w jego oczach.

- Poproś, żebym cię teraz dotknął, kiedy już wiesz, a przekonasz się, że będzie jeszcze inaczej.

Musiała zadać to pytanie.

- Dlaczego... nie dotknąłeś mnie dotąd?

- Potrzeba było czasu, zanim mnie poznałaś, a także siebie. Nie mam prawa sięgać po niewinność, nawet gdy zostaje mi ofiarowana.

- Nie jestem niewinna, w moim życiu byli mężczyźni. Teraz w jego oczach pojawiło się coś mrocznego, nie do końca poskromionego, lecz jego głos nie zmienił się i pozostał spokojny.

- Oni nie tknęli twojej niewinności, nie zmienili jej, a ja to zrobię. Jeżeli będziesz się ze mną kochać, Rowan, to będzie tak, jakby to był pierwszy raz. Dam ci rozkosz, od której spłoniesz...

Mówił coraz ciszej. Kiedy przejechał palcem wzdłuż jej szyi, zadrżała, ale nie cofnęła się. Kimkolwiek, czy też czymkolwiek był, poruszał ją do głębi jej serca, duszy i intelektu. Znajdował w niej odzew.

- A co ty poczujesz?

- Rozkosz - wyszeptał, przysuwając się bliżej i muskając wargami jej policzek. -

Pożądanie. Pragnienie. To, czego chciałaś i nie znalazłaś u innych... prawdziwą namiętność. Napięcie, jak powiedziałaś. Tęsknotę, desperacką pogoń za szczęściem. - Czuję to do ciebie, czy tego chcę, czy nie. Tak silną masz nade mną władzę. Czy to ci wystarczy?

- Nie wiem. Nikt nigdy nie czuł do mnie czegoś takiego.

- Ja czuję. - Uniósł ręce i rozpiął dwa pierwsze guziki jej bawełnianej bluzki. - Pozwól mi na siebie popatrzeć, Rowan. Tutaj, w świetle dnia.

- Liam. - To graniczyło z wariactwem. Czy działo się to naprawdę?... ale przeżywała wszystko tak intensywnie i tak szybko reagowała, czyż więc mogło być inaczej? Jeszcze nie nigdy nie było bardziej realne niż to, uświadomiła sobie nagle, wstrząśnięta tym odkryciem. - Myślę, że tak. Tak, chcę tego.

Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich zarówno strach, jak i przyzwolenie.

- Ja także.

Jego palce, przeslizgujące się po jej skórze, rozpinające bluzkę i zsuwające ją z ramion, pozostawiły na ciele Rowan palący ślad. Serce zabiło jej w piersi, kiedy się uśmiechnął.

- Musiałaś rano bardzo się spieszyć - powiedział półgłosem, zauważając, że nie włożyła stanika.

Dla własnej przyjemności przeciągnął leciutko końcem palca po łagodnym wzniesieniu i patrzył, jak jej oczy stają się przezroczyście.

- Wiem, że nie mogę cię powstrzymać - powiedziała, patrząc na niego.

- Zawsze możesz. - Tylko silna wola sprawiła, że poprzestał na delikatnym muskaniu jej ciała. - Wystarczy słowo. Mam nadzieję, że go nie usłyszę, bo chyba bym oszalał, nie mogąc cię teraz mieć. Czy chcesz, żebym cię dotykał?

- Tak. - Potrzebowała tego bardziej niż oddychania.

- Powiedziałaś raz, że to nie powinno być zwyczajne.

- Nadal rozpinął jej guziki. - Więc nie będzie. - Zwinne końce palców wślizgnęły się pod dzinsowy materiał, żeby pieścić i podniecać.

To jest jak sen, pomyślała. Jeszcze jeden cudowny sen.

- Dlaczego tego chcesz?

- Ponieważ zawładnęłaś moimi myślami, ponieważ mam cię w mojej krwi. - Tak rzeczywiście było, choć jeszcze niedawno powtarzał sobie, że jest w stanie wygnać ją ze swojego serca. Pochylając się ku Rowan, delikatnie chwycił zębami jej podbródek. - Tak samo jest z tobą.

Dlaczego miałyby się wypierać? Dlaczego nie miałyby zaakceptować, a nawet

przyjmować bez zastrzeżeń tych szalonych doznań, tego żaru w środku i kołatania serca? Pragnęła go do szaleństwa i z taką zachłannością, jakiej nigdy nie czuła do innego mężczyzny.

Więc bierz, szeptała w myśli, choćbym miała zapłacić najwyższą cenę.

Jej palce lekko drżały, kiedy ściągnęła mu przez głowę koszulę. Następnie, w błogim zachwyście, położyła ręce na jego piersi.

Ciepła i silna. Opanowywał się resztkami sił. Wiedziała o tym, nawet gdy jej palce powędrowały do góry, wzdłuż szerokich barków, i potem w dół, po napiętych mięśniach ramion. Usłyszała delikatne, zwierzęce mruczenie, by po chwili zorientować się, że dobywa się ono z jej własnego gardła.

Podniosła na niego oczy i zobaczyła w nich szok zmieszany z zachwytem.

- Robiłam to wcześniej... w moich snach.

- Prawie z takimi samymi rezultatami. - Chciał, żeby jego głos zabrzmiał oschle, ale posłyszał w nim coś, co go zdumiało. Łagodnie, wydał sobie polecenie, ją trzeba traktować łagodnie i delikatnie. - Czy teraz posuniesz się dalej niż w snach, Rowan, i będziesz się ze mną kochać?

W odpowiedzi podeszła jeszcze bliżej, wspinając się na palce, żeby ich usta mogły się spotkać. Już samo to było tak piękne, że podniósł ręce i mocno ją objął.

- Trzymaj się - wyszeptał.

Poczuła, jak zadrzało powietrze, usłyszała szelest wiatru. Jakby się unieśli w górę, zawirowali, po czym, zatoczywszy się, wpadli w ten sam rytm, w jedno bicie serca. Zanim do końca ogarnął ją autentyczny strach, zanim zdążyła mu to wyszeptać drżącymi wargami, leżała pod nim, zanurzona w miękkim i delikatnym jak obłok łożu.

Otworzyła powoli oczy i zobaczyła belki na suficie i strumień dziennego światła.

- Ale jak to...

- Sprawilem to dla ciebie, Rowan. - Dotknął wargami szczególnie wrażliwej skóry na jej szyi. - To magia. Mam jej jeszcze wiele w zanadrzu.

Zauważyła, że są w jego łóżku. W mgnieniu oka przenieśli się z jednego pomieszczenia do innego. A teraz jego ręce... och, słodki Boże, jak to możliwe, by zwyczajny dotyk skóry wywoływał takie uczucie?

- Oddaj mi swoje myśli. - Jego głos był chrypiący, a ręce lekkie jak powietrze. - Pozwól, żebym ich dotknął, i odkryj mi siebie.

Otworzyła swój umysł, chwytając łapczywie oddech, gdy oprócz ego rozpalonego ciała i dotyku rąk zobaczyła obrazy wydobywające się z oparów jej świadomości, ukazujące

ich oboje, splecionych razem w ogromnym, przepastnym łożu, skąpanych w świetle letniego poranka.

Teraz każde doznanie odbijało się i powracało, jakby tysiąc srebrnych luster jaśniało w jej sercu. A on jednym tylko pocałunkiem, długim i oszalamiającym, poprowadził ją łagodnie na sam szczyt.

Westchnęła z rozkoszy, oniemiała z zachwytu, kiedy jej ciało wzniosło się na sam wierzchołek. Gdzieś pierzchły wszystkie jej myśli, przekształcając się w niewyraźną, skomplikowaną mozaikę barw, która równie szybko się rozplynęła, gdy musnął zębami jej ramię.

Jej nagle, nieoczekiwane otwarcie się, całkowita i bezwarunkowa kapitulacja oraz zatracenie we własnej zmysłowości sprawiły, że nie miała szans. Wreszcie mógł brać, rękami i ustami, zachłannie i bez umiaru. Miękkie, jedwabiste ciało, białe jak księżyc, delikatne krągłości i subtelne zapachy.

Zwierzę, które tłuło się w jego ciele, domagało się działania pełnego gwałtu i przemocy, pochwylenia jej mocną ręką i brutalnego zanurzenia się w niej. Nie odmówiłaby mu. Wiedząc o tym, poskromił dziką bestię i ofiarował jej samą czułość.

Poruszała się pod nim, wzdychając tylko cicho i prężąc się z rozkoszy. Jej ręce buszowały bez skrępowania po jego ciele, rozpalając go, wzniecając w nim pożar. Kiedy uniósł głowę, jej ciemne oczy napotkały jego wzrok.

I rozchyliła powoli wargi w uśmiechu.

- Tak długo czekałam, żeby się tak poczuć. - Podniosła rękę i wsunęła palce w jego włosy. - Nawet nie wiedziałam, że na to czekam.

To miłość czekała na niego.

Te słowa powróciły do Liama jak bicie werbli, ostrzeżenie i podszept. Lekceważąc to, nachylił się znowu, by ująć wargami jej pierś, a ona krzyknęła, gdyż ruch był nagły i nieco szorstki.

A zaraz potem przymknęła oczy, a ręka, którą leniwie przeczesywała jego włosy, zacisnęła się w pięść, przyciskając go kurczowo do siebie. Pożądanie, jak szybka strzała, przeszło ją. Jego język znęcał się, przyprawiał o katusze, zęby kasały na granicy bólu. Podała się temu i zadrżała ponownie, gdy umysł i ciało pogrążyły się w rozkoszy.

Nikt jej nigdy tak nie dotykał, nie docierał tak głęboko, jakby znał jej potrzeby i sekrety lepiej od niej samej. Serce Rowan zadrżało, po czym poszybowało pod jego nieustępliwymi wargami. I otworzyło się szeroko, gdy zalała je miłość.

Przywarła teraz do niego, mrużąc i szepcząc nieskładnie. Rozogniona skóra była coraz bardziej wilgotna, a umysły zamroczone rozkoszą.

Bił od niej blask i była... wspaniała, pomyślał jak przez mgłę, zanurzając się w czeluści, której nigdy nie zgłębiał z kobietą. Jego wyostrzone zmysły szły w zapasy z jej zmysłami. Zapach jak wonny korzeń na wietrze, smak jak dojrzałe wino, dotyk jak gorący jedwab. O cokolwiek prosił, dawała mu, jak róża otwierająca kolejne płatki.

Uniosła się do góry, kiedy po nią sięgnął, a jej ciało było niewiarygodnie gibkie, wargi jak żywy ogień płonęły na jego ramieniu, na jego piersi, na zachłannych ustach.

A ona sama była gorąca i mokra, a jej ciało, gdy odnalazł ją palcami, reagowało na każdy jego gest. Patrząc na twarz Rowan, kiedy ją brał i ponaglał, był świadkiem zdumienia, rozkoszy i strachu.

Jej oddech przeszedł w szloch, ciałem wstrząsnął dreszcz, gdy przetoczyła się przez nią fala nieznanych dotąd doznań, pozostawiając ją oszołomioną i bezradną.

A potem Liam chwycił jej rękę, odczekał, aż odzyska jasność widzenia, otworzy oczy i napotka jego wzrok. Oddychał ciężko.

- Teraz.

To słowo, gdy w nią wszedł, zabrzmiało prawie jak przysięga.

Powstrzymaj się, powstrzymaj się jeszcze i patrz, jak jej oczy stają się wielkie i niewidzące. Powstrzymaj się, gdy dreszcz rozkoszy i wzruszenia rozpala ci krew.

Wtedy ona zaczęła się poruszać.

Powolny taniec miłosego zespolenia pochłonął ich w odwiecznym, tajemnym rytmie. Poznawali się wzajemnie, bez słów wyjawiali swoje najgłębsze tajemnice.

A potem oboje przenieśli się w ową przestrzeń, gdzie powietrze drżało i łaskotało skórę jak aksamit. W jego oczach, tak błyszczących i złotych, ujrzała ostateczne wyznanie. Splotła palce z jego palcami, nie zamykając oczu. Wszystkie pulsujące włókienka jej ciała zamieniły się w jedno równomierne potężne bicie, od którego omal nie pękło jej serce.

A kiedy nastąpiła eksplozja, zarówno jej ciała, jak i umysłu, w zachwycie wykrzyknęła jego imię. On zaś, wymawiając jej imię, zanurzył twarz w jej włosach - i popłynęli razem.

Wyciągnął się obok niej, z głową między jej piersiami. Nie otwierała oczu, bo pragnęła jak najdłużej przechować to uczucie unoszenia się w powietrzu i opadania. Nigdy przedtem nie była taka świadoma własnych potrzeb i pożądania, a także pragnienia mężczyzny.

Lekki uśmiech pojawił się na jej wargach, kiedy leniwym ruchem pogłaskała go po włosach. Zobaczyła w myślach jego i siebie, ich razem. Nagich, wilgotnych i splątanych.

Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim znowu będzie chciał jej dotknąć.

- Już to robię. - Głos Liama był gruby i niski. Bezceremonialnie przejechał językiem po jej piersi, przyprawiając ją o drżenie.

- No, nie wdzieraj się w moje myśli!

Była taka delikatna, miękka i ciepła w poświęceniu miłości, a ten leniwie smakowany fragment ciała miała taki rozkoszny. Przesunął rękę wyżej, dopasował ją do kształtu jej piersi i delikatnie zaczął pieścić.

- Byłem w twoich myślach. - Pod wpływem jego dotyku znów poczuła ogromne pożądanie. - Byłem w tobie, *a ghra*. Na co więc zdadzą się tajemnice?

- Wara od moich myśli - dodała, ale ostatnie słowo zakończyła rozkosznym pomrukiem.

- Jak sobie życzysz - wyszeptał, wchodząc w nią, i rzeczywiście opuścił jej myśli.

Musiała zasnąć. Nie zapamiętała nic poza tym, że znów oplotła sobą Liama i pomknęła ku niebu. Kręcąc się teraz w łóżku, stwierdziła, że jest w nim sama.

Słoneczny poranek zamienił się w deszczowe popołudnie. Równomierny i monotony dźwięk padających kropli, złocista mgiełka, która zdawała się ociągać w ciele Rowan, sprawiły, że aż ją korciło, by ułożyć się wygodnie i znowu zapaść w sen.

Jednak ciekawość okazała się silniejsza. To było jego łóżko, pomyślała z niepewnym uśmiechem, i jego pokój. Odgarniając poplątane włosy, usiadła i rozejrzała się wokół.

Łoże było naprawdę zabawne - puchowe, pokryte gładkimi, jedwabistymi prześcieradłami i poszewkami. Wezgielnie z ciemnego, politurowanego drewna ozdobione było gwiazdami, symbolami i literami, których nie umiała rozszyfrować, więc tylko powoli objechała końcem palca ich kontury i zagłębienia.

On także miał kominek stojący na wprost łóżka. Wykonany był z jakiegoś kosztownego zielonego kamienia i zwieńczony płytą z tego samego materiału. Zdobiące płytę kolorowe kryształy stanowiły bardzo wdzięczny akcent. Pomyślała, że ich płaszczyzny potrafią doskonale wychwytywać i odbijać promienie słońca. Na jednym końcu stały w rzędzie trzy grube, białe świece.

Był tu też wysoki fotel z oparciem rzeźbionym w podobny sposób, co rama łóżka. Na jednej poręczy wisiała przerzucona ciemnoniebieska, ręcznie wykonana tkanina, ozdobiona motywem półksiężyca.

Na stolikach przy łóżku stały lampy, którym za podstawy służyły syreny z brązu. Oczarowana Rowan, przeciągnęła palcem wzdłuż ich obfitych bioder.

Zauważyła, że mebli jest niewiele, ale wszystkie zostały dobrane starannie i z gustem.

Wstała, przeciągnęła się i odrzuciła do tyłu włosy. Deszcz działał na nią cudownie

rozleniwiające. Zamiast rozglądać się za swoim ubraniem, podeszła do szafy Liama, w nadziei że znajdzie tam szlafrok, w który się otuli.

A kiedy go znalazła, zadrżała. To była długa, biała szata z szerokimi rękawami.

Miał ją na sobie poprzedniej nocy, w kamiennym kręgu, w świetle księżyca. Czarodziejska szata.

Błyskawicznie zamknęła drzwi szafy, odwróciła się gwałtownie i z błędnym wzrokiem zaczęła szukać swojego ubrania. Na dole, przypomniała sobie zdenerwowana. Rozebrał ją na dole, a potem...

Co potem robiła? O czym myślała? Czy to wszystko jest realne i prawdziwe, czy może postradała zmysły?

Czy rzeczywiście spędziła z nim tyle godzin w łóżku?

A jeżeli to jest prawdą, jeżeli wszystko, co do tej pory uważała za fantazję, okaże się realną rzeczywistością, to czy Liam podstępnie wykorzystał swoje moce, by ją tutaj zwabić?

Z braku czegokolwiek innego złapała tkaninę i zawinęła się w nią. Chwyliła mocno za jej końce, gdy usłyszała otwierające się drzwi sypialni.

Kiedy Liam ją zobaczył, zawiniętą w narzutę utkaną dla niego przez matkę, gdy ukończył dwadzieścia jeden lat, uniósł brwi. Rowan była wzburzona, wyglądała prześlicznie i niewiarygodnie ponętnie. Postąpił krok w jej stronę, kiedy dostrzegł błysk podejrzania w jej oczach.

Zirytowany i trochę zaniepokojony, minął ją, żeby postawić na nocnym stoliku tacę z herbatą.

- Co pomyślałaś o tym, czego ci jeszcze nie wyjaśniłem?

- Jak można wyjaśnić coś, co wydaje się niemożliwe?

- Jest jak jest - odparł po prostu. - Jestem dziedzicznym czarodziejem, potomkiem Finna Celtów. Moja moc należy mi się z racji mojego urodzenia.

Nie mogła się z tym nie zgodzić, przecież widziała i czuła. Prostując ramiona, opanowanym głosem zapytała:

- Czy wypróbowałeś swoje moce na mnie, Liamie?

- Poprosiłaś, żebym nie dotykał twoich myśli, a ponieważ szanuję twoją wolę, postaraj się precyzyjnie wyrażać swoje pytania. - Poirytowany, usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po filizankę.

- Od pierwszej chwili poczułam do ciebie silny fizyczny pociąg. Moje zachowanie, a przede wszystkim reakcja na twoją osobę były inne niż w stosunku do innych mężczyzn, o których myślałam, że są mi bliscy. Po prostu poszłam z tobą do łóżka i doświadczyłam

czegoś... - Wzięła głęboki oddech, dojrzała bowiem w jego oczach błysk, który mógł być jedynie wyrazem triumfu. - Czy rzuciłeś na mnie czary, żeby mnie ściągnąć do swojego łóżka?

Błysk w jego oczach tak nagle zamienił się w ponure spojrzenie, a triumf w furię, że instynktownie, jakby w obronie, potykając się niemal, cofnęła się o parę kroków. Porcelana uderzyła o drewno, kiedy odstawił filiżankę. Nie wiadomo skąd, choć stosunkowo blisko, zagrział piorun.

Podniósł się powoli, jak wilk tropiący zwierzynę, pomyślała.

- Miłosne zaklęcia, miłosny napój? - Podszedł do niej. Znow się cofnęła. - Jestem czarownikiem, nie szarlatanem. Jestem mężczyzną, nie oszustem. Czy uważasz, że w ten sposób wykorzystałbym przekazane mi dary i dla seksu naraził na hańbę moje dobre imię?

Uczył przyzwalający ruch ręką i okno zamknęło się z hukiem, dając jej próbkę, jak niebezpieczna może być jego złość.

- Nie szukałem ciebie, kobieto. Niezależnie od roli, jaką odegrało przeznaczenie, przyszedł do tego domu, do mnie, z własnej, nieprzymuszonej woli. W taki sam sposób możesz stąd odejść.

- Nietrudno się było spodziewać, że będę tym wszystkim co najmniej zdumiona! - odparowała. - Nie sądziłeś chyba, że wzruszę ramionami i wszystko zaakceptuję? Och, jak fajnie, przecież Liam jest czarownikiem! Może zamienić się w wilka i czytać w moich myślach, a także niepostrzeżenie przenieść nas z jednego pomieszczenia do drugiego, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Jaka to wygoda!

Odwróciła się od niego gwałtownie, aż narzuta zakręciła się wokół jej gołych nóg.

- Jestem wykształconą, cywilizowaną kobietą, która po prostu nierozważnie wdała się w coś, co zakrawa na bajkę. Będę więc zadawać takie pytania, jakie sama zechcę.

- Podobasz mi się, kiedy się złościś - mruknął. - Zastanawiam się, dlaczego?

- No, to masz problem - warknęła. - A poza tym, na ogół nie złoścę się i nigdy nie krzyczę, ale na ciebie podnoszę głos. Nie rzucam się goła do łóżka z mężczyznami, jak też nie podejmuję dyskusji, dlaczego nie mam na sobie nic poza narzutą, więc skoro cię pytam, czy coś zrobiłeś, co mogłoby wpłynąć na moje zachowanie, uważam takie pytanie za doskonale logiczne.

- Może i tak. Obrażliwe, ale logiczne. Więc odpowiadam: nie. - Powiedział to niemal znudzonym głosem, po czym znow usiadł, by sączyć swoją herbatę. - Nie rzucam zaklęć, nie wplatom magii. Jestem Wikkanem, Rowan. My rządzymy się tylko jednym prawem, jedną zasadą, której nie możemy złamać, a brzmi ona: „Nie krzywdzić nikogo”. Nie uczynię

niczego, co by cię mogło zranić, zaś moja duma nie pozwoliłaby mi w jakikolwiek sposób wpływać na twoją reakcję i na twój stosunek do mnie. Tego możesz być absolutnie pewna. Czujesz to, co sama czujesz.

Kiedy nie powiedziała słowa, obojętnie wzruszył ramionami, nie dając po sobie poznać, że poczuł, jakby ostra, szponiasta pięść zaciskała się wokół jego serca.

- Będzie ci potrzebne ubranie. - Gdy tylko to wypowiedział, jej džinsy i koszula pojawiły się na fotelu.

Zaśmiała się nerwowo i pokiwała głową.

- I nadal uważasz, że nie powinnam być oszołomiona. Spodziewasz się zbyt wiele, Liamie.

Spojrzał na nią ponownie i pomyślał o płynącej w niej krwi. Jeszcze nie jest gotowa, by poznać prawdę, uznał, irytując się własnym brakiem cierpliwości.

- Tak, chyba zbyt wiele się spodziewam. Ty też mogłabyś się wiele spodziewać, gdybyś tylko chciała zaufać sobie.

- Nikt tak naprawdę nigdy we mnie nie wierzył. - Już uspokojona, podeszła do niego. - Bardziej od wszystkich cudów i ułudy cenię sobie ten rodzaj magii, który mi ofiarowujesz. Zacznę od tego, że najpierw jej zaufam, to znaczy uwierzę, że to, co czułam do ciebie i przy tobie, jest prawdziwe. Czy to na razie wystarczy?

Uniósł rękę, by ją położyć na jej ręce, którą przytrzymywała końce narzuty. Czułość, która go wypełniła, była czymś nowym, niewytłumaczalnym i zbyt słodkim, by podawać ją w wątpliwość.

- Wystarczy. Usiądź i wypij herbatę.

- Nie chcę herbaty. - Przerażona własną śmiałością, rozluźniła uchwyt i pozwoliła opaść narzucie. - I nie chcę moich ubrań. Chcę ciebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rzucono na nią czary, których nikt nie zamierza odczynić, pomyślała rozmarzona Rowan. Była zakochana, a to, jak sądziła, była najstarsza i najnaturalniejsza ze wszystkich magii.

Nigdy nie czuła się tak swobodnie z żadnym mężczyzną, z nikim nie była taka beztrocka, a nawet śmiała, jak z Liamem. Patrząc wstecz i oceniając swoje zachowanie, reakcje, słowa i życzenia, zdała sobie sprawę, że uległa czarom w momencie, kiedy się odwróciła i ujrzała tajemniczego sąsiada na klifach.

Jego rozwiane włosy, irytacja i zakłopotanie w oczach, irlandzki akcent oraz pełne gracji, muskularne ciało i niezwykła umiejętność bezwzględnego trzymania się w ryzach...

Miłość od pierwszego wejrzenia, pomyślała. Jeszcze jedna kartka z jej własnej, osobistej bajki.

A gdy już się w nim zakochała, znaleźli sposób na przyjaźń, którą również ceniła sobie jak skarb. Dotrzymanie sobie towarzystwa, łatwość obcowania. Wiedziała też, jaką mu sprawia przyjemność jej obecność, wspólna praca, rozmowy, bezczynne siedzenie i obserwowanie nieba, gdy nadchodził wieczór.

Umiałyby opisać sposób, w jaki uśmiecha się do niej albo dotyka i głaszcze jej włosy.

W takich chwilach jak ta potrafiła wyczuć, jak dręczący go niepokój przechodzi w zadowolenie. Podobnie jak wtedy, kiedy przyszedł do niej jako wilk, położył się obok i słuchał, jak czyta na głos.

Czy to nie dziwne, dumiała, że szukając dla siebie ukojenia i spokoju umysłu, potrafiła właśnie to komuś ofiarować?

Życie jest cudowne, stwierdziła, biorąc się do rysowania napastrnicy nad brzegiem strumienia. A teraz, nareszcie, zaczyna brać w nim udział.

Cudownie jest robić coś, co się lubi, przebywać w miejscu, gdzie człowiek czuje się szczęśliwy, i spędzać czas na odkrywaniu własnych uzdolnień... jak również obserwować drogę, którą odbywa słońce, przedzierając się przez wierzchołki drzew, albo jak wąska struga wody wije się i pieni.

A te wszystkie odcienie zieleni, różne formy i kształty, cudownie poplątane korzenie kłujących świerków, urzekająca ekscentryczność leśnych paproci...

To czas dla nich, czas dla niej.

Już nikt od niej nie żąda, żeby wstawiała wczesnym rankiem i ubierała się w

nieskazitelny, konwencjonalny kostium, pokonywała poranne korki, prowadziła samochód w strugach deszczu z leżącą obok na siedzeniu teczką pełną referatów i projektów. A także bywała przed studentami, wiedząc, że nie jest zbyt dobra w tym, co robi, a już na pewno nie ma dostatecznego powołania na takiego wykładowcę, na jakiego każdy z tych młodych ludzi zasługuje.

Już nigdy nie będzie musiała wracać wieczorem do mieszkania, w którym tak naprawdę nigdy nie czuła się jak w domu, jeść samotnych kolacji, sprawdzać i oceniać wypracowań, a potem, znużona i znudzona całym dniem, kłaść się spać. Z wyjątkiem piątków i sobót, kiedy oczekiwano jej na kolacji w domu rodziców, gdzie dzielono się wrażeniami z minionego tygodnia oraz zasypywano ją uwagami i radami dotyczącymi jej zawodowej kariery.

Tydzień w tydzień, miesiąc w miesiąc, rok w rok. Trudno się dziwić, że byli tak zaszokowani i zranieni, kiedy złamała święte zasady codziennej rutyny. A co by powiedzieli, gdyby ich wtajemniczyła w ten cudowny fakt, że przekroczyła wszelkie możliwe granice i bez pamięci zakochała się w czarowniku? W osobie przybierającej różne postaci, w magiku. W kimś, kto dokonuje cudów.

Już na samą myśl o tym roześmiała się i potrząsnęła głową w radosnym zachwycie. Nie, pomyślała, pewne sfery nowego życia lepiej zachować wyłącznie dla siebie.

Jej naprawdę kochani i stąpający twardo po ziemi rodzice nigdy by nie uwierzyli, a tym bardziej nie zrozumieliby tego.

Sama nie mogła tego pojąć. Taka była jej obecna rzeczywistość, prawdziwy, realny świat, i temu nie można było zaprzeczyć. A jednak jak to możliwe, by Liam był tym, za kogo się podaje? W jaki sposób robi to wszystko, co na Własne oczy widziała?

Ołówek nagle zsunął się po kartce, a ona podniosła rękę i zaczęła nerwowo kręcić koniec warkocza. Przecież to wszystko widziała, niecały tydzień temu, a potem było jeszcze co najmniej dziesięć drobniejszych, lecz równie mocno zapierających dech zdarzeń.

Widziała, jak Liam myślą zapalał świece, zrywał białą różę z powietrza, a raz - był wtedy w rzadkim u niego zwariowanym nastroju - jednym szerokim uśmiechem zwinął jej sprzed nosa ubranie.

Bawiło ją to i rozczulało, a także przyprawiało o dreszcz emocji. Musi jednak przyznać, że również napawa ją niejakim strachem.

Miał taką władzę i moc, nad każdym żywiołem i nad nią.

„Nigdy ich nie użyję, żeby cię zranić”.

Podskoczyła, słysząc ten wewnętrzny głos, aż szkicownik upadł zewnętrzną stroną na

leśne poszycie. Właśnie przycisnęła rękę do szybko bijącego serca, kiedy zobaczyła sfruwającą srebrzystą sowę. Puchacz usiadł na dolnej gałęzi drzewa i spoglądał na nią intensywnie zielonymi oczami, którymi nawet ani razu nie zamrugał. Złoto połyskiwało na jego piersi.

Kolejna strona z bajki, pomyślała, czując lekki zawrót głowy i z trudem podnosząc się na nogi.

- Witaj. - Przypominało to raczej rechot albo krakanie, zmusiła się więc, żeby jej głos zabrzmiał wyraźnie. - Jestem Rowan.

Z trudem powstrzymała okrzyk strachu, gdy puchacz rozpostarł swoje królewskie skrzydła, sfrunął z drzewa i błyskając srebrnym światłem, zamienił się w mężczyznę.

- Wiem, kim jesteś, dziewczyno. - W jego głosie rozbrzmiewała muzyka i magia, a także echo zielonych wzgórz i zamglonych dolin.

Zapomniała o zdenerwowaniu. Poczowała się zaszczycona.

- Jesteś ojcem Liama.

- To prawda. - Kiedy się uśmiechnął, jego sroga twarz złagodniała. Podszedł do niej bez szmeru, obuty w miękkie brązowe trzewiki, i ujął jej rękę, by złożyć na niej szarmancki pocałunek. - To wielka przyjemność móc cię spotkać, Rowan. Dlaczego siedzisz tu samotna i zatroskana?

- Czasami lubię być sama, a troskanie się to jedno z moich najbardziej ulubionych zajęć.

Potrząsnął głową i strzelił palcami, a jej szkicownik poszybował prosto do jego ręki.

- Nie, to jest twoje ulubione zajęcie. - Rozsiadł się na powalonym pniu drzewa, przechylając na bok głowę, tak że jego włosy, niczym płynne srebro, spłynęły mu na ramiona.

- Robisz to z talentem, a do tego z wdziękiem. - Posunął się trochę i niedbałym ruchem poklepał miejsce obok siebie. - Usiądź - powiedział, kiedy się nie ruszyła. - Nie zjem cię.

- To wszystko jest takie... niezwykle.

Kiedy popatrzył na nią, w jego zielonych oczach malowało się szczere zdziwienie.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Siedziała na drzewie obok czarownika, już drugiego, którego spotkała w życiu. - Może ty przywykłeś do tego, ale dla zwykłego śmiertelnika to wszystko jest po prostu zdumiewające.

Zmrużył oczy, a gdyby Rowan była w stanie przeniknąć umysł Finna, zdziwiłyby ją jego szybkie, zniecierpliwione myśli, skierowane do syna. Ten uparty szczeniak nie powiedział jej jeszcze. Na co on czeka?

Gdy Finn opamiętał się i przypomniał sobie, że to jest terytorium Liama, a nie jego,

uśmiechnął się znowu do Rowan.

- Czytałaś opowiadania, prawda? Poznałaś legendy i pieśni mówiące o nas?

- Tak, oczywiście, ale...

- A jak myślisz, Rowan, skąd biorą się i jak powstają legendy i pieśni, jeśli nie z ziarenek prawdy? - Po ojcowsku poklepał ją po ręku. - Oczywiście, że często bywają naciągane i wypaczone, stąd biorą się czarownicy zadający katusze niewinnym dzieciom lub wrzucający je do ognia, by potem zjeść je na kolację. Czy sądzisz, że chcemy cię upiec i urządzić sobie ucztę?

Jego wesołość była zaraźliwa.

- Nie, oczywiście, że nie.

- No, więc przestań dygotać. - Rozwiawszy jej obawy, zaczął kartkować szkicownik. - Naprawdę potrafisz to robić. - Rozpromienił się na dobre, gdy doszedł do rysunku, na którym oczy wróżek mrugały z gąszczu kwiatów. - Świetnie, dziewczyno, ale dlaczego nie używasz kolorów?

- Nie radzę sobie z farbami - zaczęła - ale właściwie dlaczego nie miałabym spróbować pastelii? To mogłoby być nawet całkiem zabawne.

Mruknął z aprobatą i dalej przewracał kartki. Kiedy doszedł do Liama, stojącego na klifach na szeroko rozstawionych nogach z arogancką miną, jak chłopiec uśmiechnął się od ucha do ucha, a w jego oczach i w głosie pojawiła się duma.

- Och, to cały on! Świetnie go uchwyciłaś.

- Naprawdę? - zapytała niemal szeptem i zaczerwieniła się, gdy znowu popatrzył na nią zielonymi oczami.

- Każda kobieta ma władzę i moc, Rowan, musi się tylko nauczyć z nich korzystać. Poproś go o coś.

- O co?

- O co zechcesz. - I już po chwili postukał palcem w kartkę. - Dasz mi to? Dla jego matki.

- Oczywiście, że tak. - Ledwie zaczęła wrywać rysunek, gdy kartka sama zniknęła.

- Ona za nim tęskni - powiedział Finn. - Życzę ci dobrego dnia, Rowan z O'Mearów.

- Och, ale... - Rozpłynął się, zanim zdążyła go zapytać, czy nie poszedłby z nią do Liama. - Są rzeczy na niebie i ziemi, o których się nie śniło naszym filozofom - wyrecytowała szeptem do siebie, podniosła się i sama poszła do Liama.

Nie czekał na nią, w każdym razie tak sobie mówił. Miał zbyt dużo spraw i przemyśleń, żeby wypełnić czas, więc oczywiście nie szwendał się bez celu po domu,

oczekując jej z utęsknieniem.

Czy nie powiedział jej, że nie zamierza dzisiaj pracować? Czy nie powiedział tego specjalnie po to, by mogli jakiś czas побыć osobno? Obojgu przyda się trochę samotności, czyż nie?

Więc gdzie, do diabła, ona się podziewa? zastanawiał się, krążąc bez celu po domu.

Mógłby to przecież sprawdzić, nie ruszając się z miejsca, ale byłby to niezaprzeczalny dowód i przyznanie się, że chce ją mieć tutaj, a przecież ona także dała jasno i wyraźnie do zrozumienia, że potrzebuje więcej prywatności.

Czy on jej w tym przeszkadza? Oparł się pokusie, by zerknąć w lustro i zobaczyć, co robi, albo po prostu wślizgnąć się na chwilę do jej myśli.

Niech to wszyscy diabli!

Może ją przywołać. Przerwał swoje nerwowe chodzenie i zastanawiał się. Może by tak podszepnąć powietrzu jej imię? Byłoby to pewne nadużycie, wtargnięcie w jej prywatność, ale przecież, jeżeli nie zechce, nie musi na to reagować. Kusiło go, więc ruszył ku drzwiom, otworzył je i wyszedł przed dom, gdzie powietrze było jak balsam.

Pomyślał, że jednak Rowan tego nie zignoruje. Jest zbyt szczodra, zbyt chętna do dawania. Jeżeli ją poprosi, ona przyjdzie... lecz prosząc, przyznałby się do swej słabości.

Na razie to tylko fizyczna potrzeba, zapewniał siebie samego. Zwykła tęsknota za smakiem tej kobiety, kształtami jej ciała, zapachem. Jeżeli nawet było to zbyt ostre uczucie, żeby mogło mu z tym być wygodnie, to wynikało to najpewniej z ograniczeń, jakie sam sobie narzucił.

Obchodził się z nią delikatnie. Choćby nie wiem jak burzyła się w nim krew, był wobec niej ostrożny i czuły. Mimo że każdy zmysł domagał się, żeby wziął więcej, powstrzymywał się.

Jest taka wrażliwa i krucha, powtarzał sobie. To on jest odpowiedzialny za sposób, w jaki się kochają, za hamowanie tej całej dzikiej pasji, aby jej tylko nie przestraszyć.

Ale chciał więcej, łaknął tego.

Dlaczego ma sobie odmawiać? Wsunął ręce do kieszeni, zszedł z ganku, zawrócił. Dlaczego, u licha, nie miałby robić z nią tego, co mu się podoba? Jeśli się zdecyduje - a jeszcze nie podjął decyzji - zaakceptować ją jako partnerkę, będzie musiała przyjąć go takim, jaki jest. Pod każdym względem.

Miał już dosyć czekania. Gdzie ona się podziewa? Im dłużej krążył, tym bardziej się niecierpliwił. Pora skończyć z dotrzymywaniem jej kroku, z ciągłym dostosowywaniem się do jej rytmu.

Najwyższy czas, żeby się dowiedziała, co wyprawia i z nim, i z sobą.

- Rowan Murray - mruknął i wznosił oczy do nieba. - Przygotuj się na moje zachcianki.

Wyrzucił do góry ramiona. Błysk światła, który się pojawił, zamienił się w roziskrzony płomień, gdy wyhamowywał na jej ganku.

Natychmiast się zorientował, że jej nie zastał.

Warknął i zaklął, wściekły nie tylko na siebie, że tak demonstracyjnie pokazał, jak bardzo jej chce, ale i na nią, za to, że nie było jej akurat w miejscu, w którym spodziewał się ją zastać.

Na boginię, czyż nie mógł tego wcześniej sprawdzić?

Gdy wyszła z lasu, uśmiechała się. Nie mogła się doczekać, by powiedzieć Liamowi, że spotkała jego ojca. Wyobraziła sobie, że usiądą sobie w kuchni, a on jej opowie historyjki o swojej rodzinie. Miał taki cudowny dar opowiadania bajek. Potrafiła godzinami wsłuchiwać się w śpiewną modulację jego głosu.

A teraz, kiedy spotkała Finna, będzie okazja, żeby zapytać Liama, czy nie mogłaby poznać innych członków jego rodziny. Wspominał od czasu do czasu o kuzynach, więc...

Przystanąła, zbulwersowana nagłym odkryciem. Belinda. Na miłość boską, przecież pierwszego dnia powiedział jej, że on i Belinda są spokrewnieni, a może spowinowaceni. Czyżby zatem Belinda była.

- Och! - Śmiejąc się, Rowan zakręciła się wkoło. - Jakie zadziwiające jest to życie.

Gdy to powiedziała, gdy jej śmiech poniósł się wysoko, powietrze zadrżało. Po raz drugi tego samego dnia szkicownik wypadł jej z rąk. Trzęsienie ziemi? pomyślała w panice.

Poczuła przejmujący, gwałtowny wiatr. Oślepił ją błysk światła, jaskrawy i bijący w oczy. Próbowwała zawołać Liama, ale słowa uwięzły jej w gardle.

A po chwili, przy wciąż wirującym świetle i przy kotłującym się wietrze, zderzyła się z nim, a on przywarł do jej ust i dosłownie je zmiażdżył.

Nie mogła złapać tchu, nie była w stanie znaleźć ani jednej sensownej myśli. Serce dudniło jej w piersi. Nagle jej stopy uniosły się w powietrze, gdy porwał ją z ziemi z normalną dla niego, a jednocześnie przerażającą siłą.

Całował ją brutalnie i zachłannie. Przemknął także jej umysł, zmaćił jej myśli, uwodząc je równie bezceremonialnie, jak jej ciało. Nie mogąc oddzielić jednego od drugiego, zaczęła dygotać.

- Liam, zaczekaj...

- Weź to, co ci daję. - Odciągnął jej głowę do tyłu za włosy, zdążyła więc tylko rzucić

przeżalone spojrzenie na jego pałający wzrok. - Chciej mnie takim, jaki jestem.

Gryzł jej szyję, przyspieszał i rozpałał się po każdym jej bezbronnym szlochu. Umysłem i myślami tak ją podniecił, że błyskawicznie doprowadził do szczytu. Kiedy krzyknęła, padł razem z nią na łóżko. Jej rozsypane, zmierzwione włosy, takie jak lubił, okalały jej głowę jak lśniące fale. Oczy miała szeroko otwarte, a namiętność, której towarzyszył strach, zmieniła je nie do poznania, nadając im czarny jak środek nocy odcień.

- Daj mi to, czego chcę. Kiedy wyszeptwała „tak”, wziął ją.

Pożądanie przychodziło i zalewało falami, uczucia bombardowały niczym pięści. Kiedy ją poniósł w nieznane szaleństwo, wszystko stopiło się w jedną pogmatwaną masę niekontrolowanych, gwałtownych doznań. Jest teraz wilkiem, pomyślała, kiedy darł na niej ubranie. Jeśli nie z wyglądu, to z temperamentu. Dziki i nieokiełznany. Usłyszała warczący dźwięk wychodzący z jego gardła, gdy dopadł jej piersi ustami.

A potem usłyszała swój własny, podniosły i triumfalny okrzyk.

Nie było czasu na wzloty i na westchnienia. Był tylko wyścig, szalony i niepowstrzymany.

Jego ręce jej nie szczędziły, tylko miażdżyły ją, zęby kąsały, zaś każdy ból z osobna był najmroczniejszą z rozkoszy.

Gdzieś wewnątrz niej odezwał się głos proszący o więcej.

Poderwał ją do góry i uklękli oboje na łóżku, dotykając się torsami, a jego ręce mogły sięgnąć po więcej. Wypuszczone na wolność zwierzę pożerało, siało spustoszenie, polowało i ścigało swoją ofiarę.

Dłonie prześlizgiwały się po ciele. Toczyli się po łóżku, spleceni i zatraceni w sobie.

Znów porwał ją ze sobą na sam szczyt, brutalnie i szybko, a tym razem, gdy jej ciałem wstrząsały dreszcze, a paznokcie wbijały się w niego, wyszlochała jego imię. Chwytała powietrze, czuła gorący płomień w gardle, na siłę szukała jakiegoś solidnego gruntu, czegoś, czego mogłaby się uchwycić.

Wtedy odnalazł ją swoimi ustami.

Ogarnięta nieokiełznaną namiętnością, pognała na oślep, bez opamiętania. Biła głową na wszystkie strony, wpijając kurczowo ręce w pościel, w jego włosy, w plecy. Językiem i zębami doprowadził ich oboje do szaleństwa, wstrząsało nim, gdy przez nią przetaczał się orgazm, a jej ciało wzniosło się jak płomień, po czym topniało, powoli i delikatnie jak wosk.

- Podążaj za mną. - Powiedział to przerywanym, zdyszczanym głosem i nadal uwodził jej drżące ciało namiętnymi, zachłannymi pocałunkami. Jednym ruchem podrzucił jej biodra i otworzył ją dla siebie.

I zanurzył się w niej.

Ich rozognione, twarde, szybkie ciała i umysły wzniosły się razem. Zatopił się głęboko, wpił zęby w jej ramię, gdy atakował ją zwierzęcymi pchnięciami. Nieprzytomna, oplotła go, zamknęła w sobie, złakniona każdego mrocznego i niebezpiecznego doznania. Przepęniała ją energia, dzika i słodka, dlatego jej ruchy i żądania były równie nieopanowane i zapalczywe, jak jego.

Zew krwi i zew serc. Jednym ostatnim gwałtownym ruchem przelał w nią wszystko.

Był zbyt przerażony, żeby cokolwiek powiedzieć, zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć. Wiedział, że ją przygniata swoim ciężarem, czuł wstrząsające ją spazmy. Słyszając jej krótki i chrypiący oddech, zawstydził się.

Wykorzystał ją, stracił nad sobą kontrolę.

Umyślnie, świadomie, egoistycznie.

Nie ma co! Znalazł racjonalne usprawiedliwienie dla swojej żądz i nie dając jej szansy, wziął Rowan jak zwierzę parzące się w lesie.

Przedłożył namiętność nad współczucie, przemijającą fizyczną przyjemność nad dobroć.

Teraz musi stawić czoło konsekwencjom: jej lękowi przed nim i sprzeniewierzeniu się własnemu nienaruszalnemu przyrzeczeniu.

Odwrócił się na bok. Nie był jeszcze gotów, by spojrzeć jej w twarz. Wyobrażał sobie, jaka jest blada, ile strachu maluje się w jej oczach.

- Rowan... - Znowu klął siebie. Przeprosiny, które przychodziły mu do głowy, brzmiały płasko i bezsensownie.

- Liam. - Wypowiedziała jego imię z westchnieniem. Kiedy się przesunęła, żeby się w niego wtulić, cofnął się gwałtownie, po czym wstał i podszedł do okna.

- Napijesz się wody?

- Nie. - Kiedy usiadła, jej ciało wciąż pałało i lśniło. Nie przyszło jej nawet na myśl, żeby podciągnąć prześcieradło, jak to zwykle robiła. Ocknęła się dopiero na widok jego sztywnych pleców. Wkradły się wątpliwości.

- Co ja złego zrobiłam?

- Co? - Obejrzał się. Siedziała z potarganymi włosami, które okalały jej ramiona, okrywały ciało, takie gładkie i mlecznobiałe, z widocznymi śladami jego rąk, szorstkiej, kłującej twarzy, której nie raczył ogolić.

- Pomyślałam... no cóż, to oczywiste, że nie byłam... że nie mam żadnego doświadczenia w tym, co właśnie się stało - powiedziała lekko załamującym się głosem. -

Jeżeli zrobiłam coś złego albo nie zrobiłam czegoś, czego się spodziewałeś, przynajmniej możesz mi to powiedzieć.

Nie wierzył własnym uszom.

- Postradałaś zmysły?

- Jestem całkowicie świadoma i przytomna. - Tak bardzo, że miała ochotę ukryć głowę w poduszkę, walić pięściami w łóżko, szlochać i krzyżeć. - Może w praktyce niewiele wiem o seksie, ale na pewno wiem, że bez wzajemnego porozumienia i uczciwości jest się skazanym w tej sferze związku na nieuchronną klęskę.

- Ta kobieta robi mi wykład - mruknął, przeciągając obiema rękami po włosach. - W takiej chwili ona mnie poucza.

- Proszę bardzo, możesz nie słuchać. - Obrażona i śmiertelnie zraniona, wysunęła się z łóżka. - Zostań tu sobie, dąsaj się dalej, a ja pójdę do domu.

- Jesteś w domu. - O mały włos by się roześmiał. - To twój dom, twoja sypialnia i twoje łóżko, w którym omal cię nie zniszczyłem.

- Ale... - Zdezorientowana, w resztkach koszuli zwisającej z ramienia, zaczęła się uważniej rozglądać. Rzeczywiście, to jej sypialnia. Wielkie łóżko z baldachimem, koronkowe zasłony na oknie, a przy nim nagi i zirytowany Liam.

- Kto by pomyślał. - Przycisnęła mocno koszulę i to, co pozostało z jej własnej godności. - Możesz sobie iść.

- Mam prawo być wściekły.

- A co ja mam powiedzieć! - Nie zamierza dalej tak stać i atakować w dzikiej furii, nie mając niczego po sobie. Pomaszzerowała do szafy i wyciągnęła szlafrok.

- Powinienem cię przeprosić, Rowan, ale po tym, co zrobiłem, każde słowo wydaje się banalne. Dałem ci słowo, że nie zrobię ci krzywdy i nie dotrzymałem go.

Powoli i niepewnie odwróciła się w jego stronę.

- Krzywdy?

- Pragnąłem ciebie i tylko o tym jednym myślałem. Celowo wyparłem inne myśli. Zaspokoilem swoje pragnienie, wyrządzając ci krzywdę.

To co wcześniej zobaczyła w jego oczach i potraktowała jako zniecierpliwienie, okazało się poczuciem winy.

- Liam, ty mnie nie skrzywdziłeś.

- Masz pełno śladów, które ci zostawiłem. Masz delikatne ciało, Rowan, a ja cię tak nierozważnie posiniaczyłem. Opatrzę je bez trudu, ale...

- Zaczekaj chwilę, tylko moment. - Podniosła rękę, żeby go powstrzymać. Stanął

natychmiast, zażenowany i zbolący na twarzy.

- Nie zamierzam cię dotykać, chcę cię tylko opatrzeć.

- Najlepiej w ogóle tego nie ruszaj. - Żeby mieć czas na uporządkowanie sobie wszystkiego w głowie, odwróciła się i zaczęła nakładać szlafrok. - Więc dlatego straciłeś humor, bo mnie chciałeś.

- Dlatego, że tak bardzo cię chciałem, że aż się zapomniałem.

- Naprawdę? - Odwróciła się uśmiechnięta, zachwycona widokiem jego zakłopotanych oczu. - Otóż zapamiętaj to sobie, że jestem wprost wniebowzięta. Nigdy, w całym moim dorosłym życiu, nikt nie pragnął mnie w taki sposób. Nie wyobrażałam sobie, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Moja wyobraźnia w tych sprawach nie jest aż tak... wybujała - dokończyła z uśmiechem.

To ona podeszła do niego.

- Teraz nie muszę sobie niczego wyobrażać, ponieważ już wiem.

- Posiadłem także twoje myśli, chociaż prosiłaś, żebym tego nie robił.

- I pozwoliłeś mi zajrzeć w swoje. Biorąc pod uwagę tak szczególne okoliczności, nie skarżę się i nie narzekam. To co się teraz stało, było niesamowite, wprost cudowne. Czulałam się tak ogromnie pożądana. Jedyne, czym mógłbyś mnie zranić, to gdybyś czuł się winny z tego powodu.

Stwierdził, że nie w pełni ją rozumie. Doszedł do wniosku, że, być może, jej potrzeby są mniej... subtelne.

- A więc nie jest mi ani trochę przykro. - A jednak wziął ją za rękę i podciągnął rękaw szlafroka. - Pozwól, żebym cię opatrzył. Nie chcę na tobie widzieć tych śladów, Rowan. Mówię poważnie.

Pocałował jej palce, a jej serce natychmiast podskoczyło. Kiedy pocierał jej wargi swoimi ustami, poczuła, jakby coś chłodnego i kojącego przesuwano się po jej skórze. Malusieńkie bolesne miejsca, których prawie nie zauważyła, zniknęły.

- Jak sądzisz, czy przyzwyczaję się do tego?

- Do czego?

- Do magii, do czarów.

Nawinał na palec kosmyk jej włosów.

- Nie wiem. - Wiedziałbyś, gdybyś uważnie patrzył, podszeptał mu wewnętrzny głos.

- Przeżyłam naprawdę zaczarowany i bardzo magiczny dzień. - Uśmiechnęła się. - Właśnie chciałam się z tobą zobaczyć, kiedy ty... zmieniłeś miejsce spotkania. Chciałam ci powiedzieć, że spotkałam twojego ojca.

Palec w jej włosach znieruchomiał, a jego oczy pociemniały.

- Mojego ojca?

- Siedziałam w lesie i rysowałam, kiedy się pojawił. No dobrze, najpierw pod postacią puchacza, ale od razu się zorientowałam. Już go wcześniej widziałam - dodała. - Raz jako orła. Nosi na szyi złoty wisior.

- Tak, rzeczywiście. - Ten, który ja mam przyjąć albo odrzucić, zadumał się Liam.

- Po czym on... no, zmienił postać i zaczęliśmy rozmawiać. Jest bardzo przystojny i sympatyczny.

- A o czym rozmawialiście? - zapytał i zaczął się ubierać. - Głównie o moich rysunkach. Chciał, żebym mu dała twój portret, dla twojej matki. Mam nadzieję, że jej się spodoba.

- Jestem tego pewien. Ma do mnie słabość. Usłyszała czułość w jego głosie i uśmiechnęła się.

- Powiedział, że ona za tobą tęskni, ale mam wrażenie, że mówił również za siebie. Pomyślałam, że może będzie się chciał z tobą zobaczyć. - Przygryzając górną wargę, zerknęła na skotłowaną pościel. - Dobrze jednak, że nie wpadł z wizytą.

- Nie składałby ci wizyty w sypialni - powiedział Liam, uśmiechając się z figlarną ulgą.

- Lecz mimo wszystko chciałbyś go chyba zobaczyć.

- Jesteśmy w kontakcie - rzucił szybko i zaraz potem poweselał. Wzruszył się, widząc, jak podeszła do łóżka, żeby je uporządkować. Tracisz czas, Rowan Murray, ponieważ już wkrótce wezmę cię znowu, pomyślał.

- Jest z ciebie dumny, sądzę też, że mnie polubił. Powiedział. .. nie, chyba nie powinnam ci tego mówić.

- Ale powiesz, ponieważ nie jesteś ani trochę przebiegła.

- To wcale nie jest taka zła cecha - mruknęła. - Powiedział, że powinnam cię o coś poprosić.

- Czyżby? - Śmiejąc się, Liam usiadł na łóżku. - A o co zamierzasz mnie prosić, Rowan Murray? Czy mam dla ciebie coś wyczarować? Szafir pod kolor twoich oczu? Diamenty, które rozbłysną u twoich stóp? Powiedz tylko słowo, a spełnię twoją prośbę.

Uśmiechnął się szeroko, widząc jej zafrasowaną minę. Kobiety uwielbiają błyskotki, pomyślał i zaczął się zastanawiać, jaki kamień mógłby jej sprawić największą przyjemność.

- Chciałabym poznać więcej członków twojej rodziny. - Wyrzuciła to szybko, żeby się nie rozmyślić.

Aż dwukrotnie zamrugął oczami.

- Mojej rodziny?

- Tak, no cóż, poznałam już twojego ojca i Belinę. Powiedziałeś, że jesteście spokrewnieni, ale ja nie wiedziałam, że ona... Czy to prawda?

- Prawda - odpowiedział machinalnie, próbując uporządkować myśli. - Wolisz to od diamentów?

- A co bym z nimi zrobiła? Na co mi diamenty? Może uważasz, że jestem niemądra, ale ja bym tylko chciała zobaczyć, jak twoja rodzina... żyje.

Zastanawiał się, powoli dostrzegając korzyści i sens takiego przedsięwzięcia.

- Myślisz, że dzięki temu będzie ci łatwiej zrozumieć magię... i życie?

- Tak, w każdym razie tak mi się wydaje. Poza tym jestem ciekawa - przyznała. - Gdybyś jednak nie...

Przerwał jej ruchem ręki.

- Mam kilkoro kuzynów, z którymi już od dość dawna się nie widziałem.

- W Irlandii?

- Nie, w Kalifornii. - Był zbyt zaaferowany pomysłem, by dostrzec jej rozczarowanie, które zresztą błyskawicznie ukryła.

Marzyła o Irlandii.

- Złożymy im wizytę - zdecydował i wstając wyciągnął do niej rękę.

- Teraz?

- Dlaczego nie?

- Bo ja... - Nigdy nie przypuszczała, że zgodzi się, i to tak szybko, spojrzała więc tylko bezradnie na swój szlafrok i białe stopy. - Muszę tylko Włożyć na siebie coś odpowiedniego.

Zaśmiał się i chwycił ją za rękę.

- Nie wygłupiaj się - powiedział i oboje zniknęli.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kolejne zdarzenie, którego Rowan była absolutnie pewna, miało miejsce wtedy, kiedy już stojąc na ziemi, trzymała kurczowo pod rękę Liama i przyciskała twarz do jego ramienia. Serce waliło jej nieprzytomnie, żołądek wyprawiał przedziwne harce, zaś w głowie dźwięczało echo szalonego wiatru.

- Zwijajmy się stąd - wydusiła z siebie, na co on zaniósł się gromkim śmiechem.

- Znam prostsze i zabawniejsze wyjście - powiedział i uniósł jej twarz, oddając się długiemu, namiętmemu, przyprawiającemu o zawrót głowy pocałunkowi.

- To ma swoje zalety - powiedziała grubym głosem, takim, jaki miewała zawsze, gdy ją rozpałał. On zaś poważnie się zastanowił, czy nie można by choć na krótko odłożyć tej pochopnej decyzji o podróży. Gdy rozluźniła swój żelazny chwyt, objął ją w pasie. - Gdzie teraz jesteśmy? - spytała.

- W ogrodzie mojej kuzynki Morgany. Zamieszkuje jeden z najstarszych rodzinnych domów, zajmując się wychowaniem dzieci.

Rowan odskoczyła do tyłu, spojrzała w dół i z mieszaniną szoku i ulgi odnotowała zamianę szlafroka na zwykłe spodnie i koszulę w kolorze dojrzałych brzoskwiń.

Podniosła rękę do włosów i stwierdziła, że są rozczochrane.

- Nie mam przy sobie szczotki.

- Lubię, gdy masz takie włosy - padła odpowiedź, gdy przyciągnął ją znowu do siebie. - Łatwiej w nie wsadzić ręce.

- Hm. - W miarę jak jej organizm wracał do normy, poczuła zapach kwiatów. Dzikie róże, heliotropy, lilie. Przesunęła się i pilnie śledziła promienie słońca, wpatrując się w chłodne zatoczki cienia. Drzewa i krzewy tonęły w kwiatkach, w powodzi barw, a między nimi wiła się wąska, kamienista dróżka.

- Ten ogród jest piękny, po prostu cudowny. Och, tak bym chciała urządzić coś równie czarownego. - Odsunęła się i odwróciła, by ogarnąć wzrokiem wyrzeźbione przez wiatr drzewa, pochylone i powyginane w różne groźne kształty. Po chwili, gdy na ścieżce, krocząc majestatycznie w ich stronę, pojawił się szary wilk, rozpromieniła się zupełnie. - Och, czy tonie...

- Wilk - powiedział Liam, uprzedzając ją. - Nie jest spokrewniony i należy do Morgany. - Czarnowłose dziecko o oczach niebieskich jak lapis - lazuli wyskoczyło zza usypanej z kamieni grot, po czym przystanęło i przyglądało im się niesamowitymi oczami. -

A oto ktoś z rodziny. Bądź pozdrowiony, kuzynie.

Liam, który poczuł szarpnięcie w głowie, mocniejsze niżby się można spodziewać po, na oko licząc, niespełna pięcioletnim dziecku, uniósł brwi.

- Niegrzecznie jest przenikać w głąb albo próbować to robić bez pozwolenia.

- Jesteście w moim ogrodzie - . odparło spokojnie dziecko, wyginając wargi w słodkim uśmiechu. - Jesteś kuzynem Liamem.

- A ty jesteś Donovan. Bądź pozdrowiony, kuzynie. - Liam postąpił parę kroków do przodu i trzymając się sztywnej, obowiązującej w tej rodzinie etykiety, podał malcowi rękę. - Przywiozłem przyjaciółkę, ma na imię Rowan i woli zachować swoje myśli dla siebie.

Młody Donovan Kirkland spojrział zezem, ale pamiętając o dobrych manierach, poprzestał na uważnym zlustrowaniu jej twarzy.

- Ma dobre oczy. Możecie wejść. Mama jest w kuchni. Nie minęła chwila, jak napięcie w jego oczach zniknęło i chłopiec stał się po prostu normalnym, małym dzieckiem podskakującym przed nimi na ścieżce, spieszącym, by powiadomić swoją matkę o przybyciu gości.

- Czy on... też jest czarownikiem? - Teraz, kiedy do Rowan dotarło to z całą siłą, wprost powaliło ją z nóg. Był dzieckiem, uderzająco ślicznym, z brakującym przednim zębem, a jaka tkwiła w nim moc!

- Tak, oczywiście. Jego ojciec nie, ale w żyłach mojej rodziny płynie solidna i mocna krew.

- Coś o tym wiem! - Rowan westchnęła przeciągle. Czarownicy czarownikami, pomyślała, zaś dom domem, a tymczasem Liam nie zadał sobie trudu, żeby zawiadomić rodzinę o ich przybyciu. - Nie powinniśmy tak... wpadać bez uprzedzenia do twojej kuzynki. Może być zajęta.

- Zapewniam cię, że zostaniemy powitani z otwartymi ramionami.

- Tylko mężczyzna może uważać... - Po czym, gdy rzuciła okiem na dom, zgubiła wątek. Budynek był wysoki, zbudowany na nieregularnym planie, rozłożysty i połyskujący w słońcu. Strzeliste wieże i wieżyczki sięgały błękitnej czaszy, jaką tworzyło niebo nad Monterey. - Och! Zupełnie jak z bajki. Jakże cudowne miejsce do życia.

Wtedy otworzyły się tylne drzwi i Rowan stanęła jak wryta, powalona mieszaniną strachu i czysto kobiecej zazdrości.

Było aż nadto oczywiste, po kim chłopiec odziedziczył urodę. Nigdy nie widziała piękniejszej kobiety. Czarne włosy spadające kaskadą na szczupłe, silne ramiona, kobaltowe oczy w oprawie długich, gęstych i czarnych jak atrament rzęs. Do tego gładka,

kremowomleczna cera i delikatne, pełne wdzięku rysy. Stała, opierając lekko jedną rękę na ramieniu chłopca, a drugą na hardym łbie wilka. Wielki biały kot ocierał się o jej nogi.

Kobieta uśmiechała się.

- Kogo ja widzę, kuzynie! Witaj w naszych progach. - Podeszła do nich i ucałowała Liama w oba policzki. - Jak to dobrze, że jesteś. I ty, Rowan.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy - zaczęła Rowan.

- Rodzina zawsze jest mile widziana. Wejdźcie, napijemy się czegoś orzeźwiającego. Donovan, pędź na górę i powiedz ojcu, że mamy gości. - Mówiąc to, odwróciła się i rzuciła synowi surowe spojrzenie. - No, tylko nie marudź. Biegnij na górę i powtórz mu, jak należy.

Wzruszając znudzonym gestem ramionami, chłopiec zawrócił pędem i zniknął gdzieś na tyłach domu, wołając ojca. - No cóż, jest dość uparty - powiedziała półgłosem Morgana.

- Ma silnie rozwinięty dar widzenia - zauważył Liam.

- Kiedyś nauczy się wykorzystywać go do ważnych i słuszych celów; - W jej głosie rozbrzmiała nuta doświadczonej i nieco rozdrażnionej matki. - Napijemy się mrożonej herbaty - powiedziała, gdy weszli do przestronnej, widnej kuchni.

- Pan, siadaj - zwróciła się do psa.

- Mnie on nie przeszkadza - wtrąciła szybko Rowan, głaszcząc zwierzę, które zaczęło ją obwąchiwać. - Jest wspaniały.

- Mam wrażenie, że zdążyłaś się przyzwyczać do pięknych wilków. - Uśmiechając się znacząco do Liama, wyjęła z lodówki przezroczysty dzbanek złocistej herbaty. - Czy nadal najbardziej lubisz to wcielenie, Liamie?

- Odpowiada mi.

- Jakżeby inaczej. - Podniosła wzrok, gdy jak huragan wpadł Donovan razem ze swoim sobowtórem.

- Już idzie - powiedział chłopiec. - Najpierw musi tylko kogoś zabić.

- Prawdziwym, wielkim, ostrym nożem - dodała buńczucznie bliźniaczka.

- To świetnie. - Po tym obojętnym komentarzu Morgana dostrzegła zaszokowaną twarz Rowan i wesoło się roześmiała. - Nash pisze scenariusze - wyjaśniła - dlatego często na papierze popełnia naprawdę makabryczne i bardzo krwawe zbrodnie.

- Och, rozumiem. - Chętnie przyjęła szklankę herbaty.

- Oczywiście.

- Możemy dostać ciasteczka? - chórem dopytywały bliźnięta.

- Tak, tylko usiądźcie i choć raz zachowujcie się przyzwoicie. - Morgana westchnęła, gdy wysoki szklany słój z polukrowanymi ciasteczkami pofrunął z kuchennego blatu i

wylądował z cichym trzaskiem na stole, gdzie niebezpiecznie zawirował. - Allysia, zaczekaj, aż poczęstuję gości.

- Tak, mam. - Mała uśmiechnęła się figlarnie, a jej braciszek zachichotał.

- Ja też chętnie usiądę... jeżeli nie macie nic przeciwko temu. - Rowan, czując nagłą słabość w nogach, opadła na krzesło. - Przepraszam, ale... prawdę mówiąc nie jestem do tego wszystkiego przyzwyczajona.

- Nic dziwnego, skoro... - Morgana przerwała w pół zdania, jakby coś sobie przemyślała, po czym uśmiechnęła się bez troski. - - Do moich dzieci rzeczywiście trzeba przywyknąć.

Sięgnęła po paterę i wymieniła z kuzynem parę myśli.

- Nie powiedziałaś jej, prawda, durniu?

- To moja sprawa. Ona nie jest gotowa.

- Zaniechanie jest siostrą oszustwa.

- Wiem, co robię. Podaj swoje wyroby i herbatę, Morgano, i pozwól, że załatwię to po swojemu.

- Uparty osioł, jak zawsze.

Liam uśmiechnął się nieznacznie, przypominając sobie, jak mu groziła w dzieciństwie, że go poturbuje i rozedrze na strzępy. Nawet mogło jej się to udać, pomyślał, bo miała szczególne właściwości właśnie na tym polu.

- Jestem Ally, a ty?

- Ja jestem Rowan. - Czując się trochę pewniej, uśmiechnęła się do dziewczynki, którą początkowo wzięła za chłopca z powodu jej żywego zachowania i podrapanych kolan. - Jestem przyjaciółką twojego kuzyna.

- Możesz mnie nie pamiętać. - Liam podszedł i zajął miejsce przy stole. - Ale ja ciebie pamiętam, Allysio, a także twojego brata, i noc, kiedy się urodziliście. To się działo podczas burzy, tutaj, u was w domu, gdzie również w czasie burzy, w tym samym pokoju, urodziła się twoja mama. A na wzgórzach w ojczyźnie niebo było wygwieżdżone i śpiewano na chwałę tego wydarzenia.

- Czasami jeździmy do Irlandii w odwiedziny do dziadka i babci do naszego zamku - oznajmił Donovan. - Pewnego dnia będę miał własny zamek, wysoko na klifach, nad samym morzem.

- Mam nadzieję, że przedtem nauczysz się utrzymywać w czystości własny pokój. - Słowa padły z ust mężczyzny, który zszedł z góry, trzymając pod każdą pachą dziewczynkę o różowych policzkach.

- Mój mąż Nash i nasze córki, Erynia i Mojra. A to, Nash, mój kuzyn Liam i jego przyjaciółka Rowan.

- Bardzo mi miło. Dziewczynki wybiły się ze snu, bo poczuły ciasteczka.

Postawił je. Jedna podreptała do wilka, który siedział obok stołu, licząc na okruszki, i rozkosznym ruchem zawisła na jego szyi. Druga podeszła wprost do Rowan, wdrapała się jej na kolana i pocałowała w oba policzki, w bardzo podobny sposób, w jaki Morgana przywitała Liama.

Ujęta do żywego Rowan uścisnęła małą i potarła policzkiem po delikatnych, złotych włoskach.

- Och, masz takie śliczne dzieci.

Swój ciągnie do swego, pomyślał Liam, kiedy Mojra rozsiadła się na kolanach Rowan.

- Postanowiliśmy je zatrzymać. - Nash wyciągnął rękę, żeby połaskotać starsze bliźnięta. - Dopóki nie trafi się nam coś lepszego.

- Tatusiu! - Allysia przesłała mu zachwycające spojrzenie, po czym, zanim ją zdążył powstrzymać, porwała ciasteczko.

- Jesteś szybka. - Nash połaskotał ją znowu i szybkim ruchem wyciągnął ciasteczko z jej paluszków. - Lecz ja jestem sprytniejszy.

- Bardziej żarłoczny - sprostowała Morgana. - Pilnuj swoich ciasteczek, Rowan, jemu nie można ufać, gdy ma pod ręką coś słodkiego.

- Też mi mężczyzna! - Liam ukradł jedno z talerzyka Rowan i przemycił je Donovanowi. - Co słyhać u Anastasii i Sebastiana, i ich rodzin?

- Będziesz się mógł osobiście przekonać. - Morgana z miejsca postanowiła zaprosić oboje kuzynów wraz z małżonkami i resztą rodziny. - Na powitanie ciebie i twojej przyjaciółki urządzimy wieczorem piknik w ogrodzie.

Magia może być nieuchwytna i bałamutna, ale może też być z powodzeniem wykorzystywana w codziennym życiu, doszła do wniosku Rowan. Może być oszałamiająca i naturalna jak deszcz. W otoczeniu Donovanów, w powodzi zapachów ogrodu Morgany, zaczęła wierzyć, że niewiele jest na świecie bardziej naturalnych i zwyczajnych sytuacji.

Nash, mąż Morgany, jej kuzyn Sebastian i Boone, mąż Anastasii, sprzeczali się, jak powinno się rozpalać ogień pod grillem. Ana zasiadła wygodnie w wiklinowym fotelu, karmiąc piersią najmłodszego synka, podczas gdy trójka starszych ganiała po podwórzu z innymi dziećmi i z psami, a wszystko to pośród serdecznych wybuchów śmiechu, okrzyków i dzikiego powarkiwania.

Wyluzowana Morgana zajadała kanapeczki i beztrosko rozmawiała z żoną Sebastiana,

Mel - o dzieciach, pracy, mężczyznach, pogodzie, i o tych wszystkich sprawach, o których rozmawia się między przyjaciółmi i w rodzinie w letnie popołudnia.

Rowan pomyślała, że Liam zachowuje się odrobinę wyniośle, nie mogła jednak pojąć, dlaczego tak postępuje. Zmieniła jednak zdanie, gdy złotowłosa córeczka Any wyciągnęła do niego rączki, a on z serdecznym i czułym uśmiechem pochylił się, żeby ją podnieść do góry, i z naturalną zręcznością usadowił ją sobie na biodrze.

Również z pewnym zdumieniem patrzyła, jak się z nią przechadza i z zainteresowaniem zdaje się przysłuchiwać jej szczebiotowi.

Lubi dzieci, uświadomiła sobie, i omal nie westchnęła ze wzruszenia.

To jest prawdziwy dom, pomyślała. Jakakolwiek mieszka w nim siła, jest to dom, w którym dzieci się śmieją i kłócą, po którym biegają na oślep i tłuką się, a potem godzą do następnego razu, jak wszystkie dzieci na całym świecie. A mężczyźni prowadzą dyskusje, sprzecząją się, rozmawiają o sporcie, zaś kobiety siedzą i mówią o swoich pociechach.

Wszyscy oni są tacy frapujący, zadumała się, i zachwycający pod względem fizycznym. Morgana, olśniewająca swoją urodą brunetki, Anastasia, taka delikatna i śliczna, Mel bystra i seksowna. Jej smukłe ciało jest jeszcze bardziej zniewalające z wydatnym brzuchem, w którym nosi dziecko.

A mężczyźni? Wystarczy tylko na nich popatrzeć, pomyślała. Naprawdę wspaniali. Uderzająco przystojny, jak gwiazdor filmowy, Nash; Sebastian, romantyczny jak księżę z bajki i odrobinę złośliwy. A Boone wysoki, o niezwykle wyrazistych rysach.

No i oczywiście Liam. Ciemnowłosy i pogrążony w myślach, z cudownymi błyskami wesołości, które zapalały się w jego złocistych oczach.

Jak tu się w nim nie zakochać? zastanawiała się. Nie było takiej siły na ziemi i na niebie, która by ją przed tym powstrzymała.

- Moje panie. - Pojawił się Sebastian. - Mężczyźni proszą o piwo, żeby móc doprowadzić do końca męską robotę.

Mel parsknęła.

- Jeżeli to są mężczyźni, to powinni je sobie sami wyjąć z turystycznej lodówki.

- Kiedy o wiele fajniej jest zostać obsłużonym. - Przesunął delikatnie ręką po wypukłości jej brzucha. - Jest niespokojna - powiedział pod nosem. - Nie chciałabyś się położyć?

- Czujemy się wybornie. - Poklepała go po ręku. - I nie kręć się tutaj.

Ale kiedy pochylił się i szepnął jej coś czułego do ucha, promiennie się uśmiechnęła.

- Bierz piwo, Donovan, i wracaj do zabawy ze swoimi koleśkami.

- Wiesz, jak mnie podniecają twoje obelgi. - Skubnął ją w ucho, rozśmieszył ją tym, po czym wyciągnął cztery butelki z lodówki i odszedł.

- Mężczyźni miękną i rozczulają się, gdy tylko na horyzoncie pojawi się niemowlę - podsumowała Mel, przesuwając się i sięgając do miski z chipsami, orzeszkami i innym zakąskami. - Kiedy urodził się Aiden, Sebastian kręcił się i miotał jak w klatce, jakby to on osobiście dokonał tego wszystkiego.

Popatrzyła na ich syna, który złapał Sebastiana za nogę, potem śledziła wzrokiem swojego eleganckiego męża, gdy kulejąc i holując chłopca wracał ochoczo do mężczyzn.

- Jest wspaniałym ojcem. - Ana położyła na ramieniu zaspane maleństwo, delikatnie pocierając jego plecki. Uśmiechnęła się na widok podbiegającej pasierbicy, której lśniące, brązowe włosy falowały w ruchu.

- Mogę go potrzymać? Pochodzę z nim, dopóki nie zaśnie, a potem, ułożę go w kojcu w cieniu. Proszę, mamó, będę uważać.

- Wiem, że będziesz, Jessie. Masz, weź braciszka.

Rowan przyjrzała się uważnie dziesięcioletniej dziewczynce. Skoro jest pasierbicą Any, a Boone nie jest... więc Jessie też nie jest. Niemniej nie wydawało się, żeby dziewczynka wśród obdarzonych mocami kuzynów czuła się nie na swoim miejscu. Wręcz przeciwnie, Rowan widziała ją, jak ostrym i zniecierpliwionym tonem przemawia do starszego chłopca, a także do Donovana, gdy trafił ją gumową piłką w głowę.

- Napijesz się wina, Rowan? - Nie czekając na odpowiedź, Morgana nalała do kieliszka płyn w kolorze słomki.

- Dzięki, to miło z waszej strony, że nas gościcie, zadając sobie tyle trudu.

- To dla nas prawdziwa radość, Liam tak rzadko nas odwiedza. - Kiedy spotkały się wzrokiem, Rowana dojrzała w nich serdeczne ciepło i przyjaźń. - A właściwie to jak ci się udało ściągnąć go tutaj?

- Po prostu go poprosiłam, ponieważ bardzo chciałam poznać kogoś z jego rodziny.

- No, no, po prostu go poprosiła. - Morgana wymieniła wiele mówiące spojrzenie z Aną. - Nie wydaje ci się to dość... interesujące?

- Mam nadzieję, że zostaniecie parę dni. - Ana uszczypnęła kuzynkę pod stołem. - Zatrzymałam na użytek odwiedzających nas przyjaciół i rodziny mój stary dom, który sąsiaduje bezpośrednio z domem, w którym obecnie mieszkamy. Zapraszamy was. Będziecie mile widziani.

Dziękuję, ale nie wzięłam ze sobą żadnych rzeczy. - Rowan spojrzała w dół na mocno wyciętą bawełnianą bluzkę i spodnie, przypominając sobie, że opuściła Oregon jedynie w

szlafroku i wylądowała w Monterey prawie bez niczego. - Mam nadzieję, że to nie szkodzi, prawda?

- Jesteśmy do tego przyzwyczajeni - zaśmiała się Mel, pogryzając kawałek surowej marchewki.

Rowan nie była tego taka pewna, ale z całą pewnością wiedziała, że z tymi ludźmi czuje się zupełnie swobodnie. Sącząc wino, zerknęła tam, gdzie stali Liam i Sebastian. Pewnie się cieszy, że ma rodzinę, z którą może o wszystkim porozmawiać, która go rozumie i wspiera.

- Jesteś kretynem - powiedział całkiem poważnie Sebastian.

- Nie twój interes.

- Zawsze tak mówisz. - Popijając piwo, Sebastian spojrzał na kuzyna rozbawionymi szarymi oczami. - Nic się nie zmieniłeś, Liamie.

- Niby po co? - Wiedział, że to dziecinna odpowiedź, ale Sebastian często go prowokował i usposabiał defensywnie albo wręcz denerwował.

- Co chcesz w ten sposób osiągnąć? Co zamierzasz przez to udowodnić? Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by wiedzieć, że ona jest ci przeznaczona.

Chłód, którego Liam bynajmniej nie potraktował jako strachu, przeszedł mu po plecach.

- Decyzja należy do mnie i jeszcze jej nie podjąłem.

Sebastian wyśmiałby go, gdyby nie zobaczył gwałtownego błysku niepokoju w oczach Liama, a także gdyby nie przeniknął jego myśli.

- Jesteś głupszy, niż sądziłem - mruknął, ale z pewnym zrozumieniem. - No cóż, skoro tak uważasz i czujesz, kuzynie, dlaczego jej nie powiedziałeś?

- Powiedziałem jej, kim sam jestem. - Liam starał się zachować spokój i nie podnosić głosu. - Pokazałem jej, a ona omal nie zemdląła. - Pamiętał tamtą chwilę, pamiętał też swoją wściekłość i poczucie winy. - Wychowano ją w nieufności.

- Lecz ona już ufa i wierzy. To, kim jest teraz, zawsze w niej było, ale dopóki jej tego nie powiesz, nie będzie miała wyboru. A przecież swobodny i wolny wybór stanowi dla ciebie najcenniejszą wartość.

Liam przyglądał się zadowolonemu z siebie Sebastianowi z najwyższą niechęcią, czyli z uczuciem, które jest możliwe jedynie w kochającej się rodzinie. Gdy byli chłopcami, Liam zawzięcie współzawodniczył ze swoim starszym kuzynem, postanawiając być równie szybki, zdolny i bystry jak on. W głębi duszy podziwiał go, a nawet wielbił niczym bohatera.

Nawet teraz, już jako dorosły mężczyzna, zabiegał o szacunek Sebastiana.

- Kiedy będzie gotowa, dokona wyboru. Na pewno tak zrobi, jestem o tym przekonany.

- Gdy ty będziesz gotowy - poprawił go Sebastian. - Czy to kwestia twojej denerwującej wyniosłości, Liamie, czy też po prostu strachu?

- To zdrowy rozum - odparował natychmiast Liam. - Zaledwie zdążyła przyswoić sobie to, co już jej powiedziałem, za wcześnie więc, żeby to w pełni zrozumiała. Jej własne pochodzenie i dziedzictwo jest tak głęboko ukryte, że do jej świadomości docierają zaledwie jego przebłyski. Dopiero zaczęła odkrywać siebie jako kobietę, czy więc mogę od niej żądać, by równolegle zaakceptowała dary i zdolności, które otrzymała po przodkach?

Albo mnie. Ale tego nie powiedział, wściekły na siebie, że mógł nawet o czymś takim pomyśleć.

Jest w niej zakochany, zdał sobie sprawę Sebastian, kiedy Liam odwrócił się i z ponurą miną spoglądał na plażę. Zakochany, a także zbyt uparty, żeby przyznać się do tego. Oto jak padają mocarze, zadumał się.

- Być może, Liamie, nie doceniasz jej jak należy. - Rzucił okiem do tyłu, tam gdzie przy stole z jego żoną siedziała Rowan. - Jest śliczna.

- Postrzega siebie jako nieładną i zwyczajną, a nawet pospolitą, chociaż jest zupełnie inaczej. - Liam nie musiał się odwracać, bo widział ją przecież oczyma duszy. - Jest wrażliwa i czuła. Mogę od niej dostać dużo, dużo więcej niż sądzi, że może mi dać.

Chory z miłości, pomyślał Sebastian nie bez pewnego zrozumienia. Jego również dotknęła ta sama choroba, kiedy poznał Mel, i popełniał takie same głupie błędy.

- Mało która wytrzymałaby z tobą. - Uśmiechnął się szeroko, gdy Liam odwrócił się i przeszył go swoimi hardymi, złotymi oczami. - Współczuję jej, że codziennie musi oglądać twoją szpetną i wiecznie ponurą twarz.

Uśmiech Liama ciął jak brzytwa.

- A jak twoja żona wytrzymuje z tobą, kuzynie?

- Szaleje na moim punkcie.

- Uderzyła mnie bystrość jej umysłu.

- Bo też jej umysł jest jak sztylet - odparł Sebastian, rzucając promienny uśmiech w stronę żony.

- Ile zatem czasu zajmuje ci rzucanie na nią czarów, żeby zmać jej myśli?

Tym razem Sebastian zaśmiał się zdrowo i natychmiast odparował:

- Znacznie mniej niż tobie zajmie przekonanie twojej ślicznej pani, iż warto ci poświęcić choćby jedno spojrzenie.

- Pocałuj mnie... - Nie pozostało mu nic innego, jak zakłąć i stłumić śmiech, gdy Sebastian pocałował go w same usta. - Zabiję cię za to - zaczął, po czym uniósł brwi na widok małego Aiden, który wpadł jak burza i swoim zwyczajem zaczął się wspinać na ojca. - Zrobię to trochę później - dodał Liam i podsadził dzieciaka.

Było już późno, kiedy Liam zostawił śpiącą Rowan w przeznaczonym dla gości domu Any, stojącym nad brzegiem morza. Był niespokojny, nie mógł znaleźć sobie miejsca, był też zbity z tropu z powodu bólu w okolicy serca, który nie ustępował.

Zastanawiał się, czy nie pobiegać wzdłuż brzegu albo wznieść się w powietrze nad wodą. Porządnie się zmęczyć, dopóki nie odzyska spokoju.

Zanurzył się w gąszczu roślin i zapachów ogrodu Any, szukając tam ukojenia. Minął żywopłot bajecznych róż, przeciął trawnik i wspiał się na pomost domu, w którym mieszkała Ana z rodziną.

Mógł się spodziewać, że ją tu zastanie.

- Powinnaś już spać.

Ana wyciągnęła tylko do niego rękę.

- Pomyślałam, że będziesz chciał porozmawiać. Jednak biorąc ją za rękę i siadając, wybrał milczenie. Nie znał nikogo, z kim tak przyjemnie można by posiedzieć, jak z Anastasią.

Księżyc zniknął i wyłaniał się zza chmur, świeciły gwiazdy. Dom, gdzie spała Rowan, był ciemny i pełen snów.

- Dopiero gdy was zobaczyłem, uświadomiłem sobie, jak bardzo mi was brakowało.

Ana ze zrozumieniem pogłaskała go po rękę.

- Ta samotność była ci potrzebna.

- Nie dlatego odgradziłem się od was na jakiś czas, że nie jesteście dla mnie ważni. - Dotknął jej włosów. - Przeciwnie, jesteście dla mnie zbyt ważni.

- Wiem o tym, Liamie. - Musnęła palcami jego policzek, poczuła w sercu jego rozterkę. - Martwisz się i zadrezczasz. - Spoglądała na niego spokojnymi szarymi oczami, łagodnie się uśmiechając. - Czy zawsze musisz tak mozolnie myśleć i wyęźać umysł?

- To jedyny sposób, jaki znam. - A jednak, siedząc z nią, czuł, jak dzięki szczególnemu darowi Any ustępuje napięcie i znikają problemy. - Masz cudowną rodzinę, Ano, i stworzyłaś wspaniały dom. Twój mąż dorównuje ci na każdym kroku, a dzieci są twoją prawdziwą radością. Widzę, jak bardzo jesteś szczęśliwa.

- Za to ja widzę, że ty nie jesteś szczęśliwy. Czy aby nie pragniesz rodziny i domu, Liamie? Czy to nie mogłoby cię uszczęśliwić?

Przyglądał się przez jakiś czas ich splecionym palcom, wiedząc, że powinien i że chce jej powiedzieć o rzeczach, o których z nikim innym by nie rozmawiał.

- Może nie byłbym w tym dobry.

Ach, oczywiście, jak mogła zapomnieć, że Liam zawsze ustawia sobie najwyższe poprzeczki.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Przyzwyczailem się myśleć za siebie i o sobie, robić to, co mi się podoba. To właśnie lubię. - Uśmiechnął się. - Jestem samolubnym człowiekiem, a tymczasem przeznaczenie domaga się, bym wziął na siebie odpowiedzialność, której mój ojciec tak łatwo umie sprostać. Bym związał się z kobietą, która nie będzie w stanie tego wszystkiego zrozumieć.

- Zapomniałeś o swoich zaletach - powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. - Byłeś uparty, byłeś też dumny i pyszny, ale nigdy nie byłeś samolubny, Liamie. Przede wszystkim niezwykle poważnie traktujesz zbyt wiele spraw i dlatego omija cię wiele radości. - Westchnęła, potrząsnęła głową. - A Rowan potrafi zrozumieć o wiele więcej, niż ci się wydaje.

- Lubię chodzić swoimi drogami.

- A tymczasem twoja droga prowadzi cię prosto do niej, prawda? - Tym razem Ana roześmiała się. Był zły, ponieważ jego własna logika obróciła się przeciwko niemu. - Wiesz, co między innymi najbardziej w tobie podziwiałam? Twoją zdolność do podważania i kwestionowania różnych spraw, rozbierania wszystkiego na części i wynajdywania uchybień. To jest fascynująca, a zarazem bardzo denerwująca cecha, ale robisz to dlatego, że tak bardzo się niepokoisz i troszczysz. Wolałbyś, żeby tak nie było, ale ta cecha wynika z głęboko zakorzonego poczucia odpowiedzialności.

- A co byś zrobiła, Ano, będąc na moim miejscu?

- Och, nie miałabym z tym większego problemu. - Uśmiechała się łagodnie, a w jej przymglonych oczach była wyrozumiałość. - Poszłabym za głosem serca. Zawsze tak robię... i ty zrobisz tak samo, gdy tylko będziesz gotów.

- Nie u każdego serce przemawia tak jasno i klarownie jak w twoim przypadku. - Znowu poczuł niepokój i zaczął stukać palcami o ławkę. - Pokazałem jej, kim jestem, ale nie powiedziałem, co to może dla niej oznaczać. Uczyniłem ją swoją kochanką, ale nie dałem jej miłości. Pokazałem moją rodzinę, nie mówiąc jej słowa o jej własnych korzeniach. Wszystko to niepokoi mnie i martwi.

- Możesz to zmienić, a decyzja należy do ciebie. Pokiwał głową i zapatrzył się w niebo.

- Rano, gdy się obudzi, wracamy. Pokażę jej, co w niej drzemie, zaś co do reszty, jeszcze nie wiem.

- Nie ukazuj jej samych tylko powinności i zobowiązań, Liamie, pokaż też radosne strony. - Podniosła się, zatrzymując jego rękę w swojej. - Dziecko się rusza, zaraz będzie głodne. Jeżeli chcesz, przyjdę się z wami pożegnać rano.

- Będę ci wdzięczny. - Wstał i mocno ją uściskał. - Bóg zapłać, kuzynko.

- Nie zostawiaj jej zbyt długo samej. - Pocałowała go w policzki, a zanim odeszła na dobre, zatrzymała się jeszcze przy drzwiach i obejrzała; Stał w smudze księżycowego światła, samotny i zamyślony. - Miłość czeka - szepnęła.

Miłość czeka, pomyślał Liam, wślizgując się do łóżka obok Rowan. Jest tutaj, w snach. Czy poczeka do rana, kiedy ją obudzi, a ona otworzy oczy i wreszcie zrozumie, kim naprawdę jest?

Obudzi ją jak księżniczkę z bajki, przywróconą do życia pocałunkiem. A on będzie jej księciem! Gdy o tym pomyślał, uśmiechnął się w ciemności, choć nie było mu wcale do śmiechu.

Los lubi płatać figle.

Te i inne myśli nie dawały mu spać aż do świtu, gdy więc pojawiło się pierwsze światło, wziął Rowan za rękę i przeniósł ich z powrotem do jej łóżka.

Pomruczała, pokręciła się, po czym znowu wygodnie się ułożyła. Wstając i ubierając się, Liam przez chwilę przyglądał się jej śpiącej twarzy, a potem cicho zszedł na dół, żeby przygotować mocną kawę.

Nastawiony na te same fale co i ona, rozpoznał chwilę, w której zaczęła się kręcić. Wyszedł na dwór, zabierając ze sobą kawę. Przyjdzie do niego, będzie mu zadawać pytania.

Budząc się na górze swojego domku, Rowan przecierała zdumione oczy. Czy znowu jej się to wszystko przyśniło? Nie wydawało się to możliwe, skoro wszystko pamiętała tak wyraźnie. Porażająco błękitne niebo w Monterey, promienny śmiech dzieci, ciepłe powitanie.

To musiało zdarzyć się naprawdę.

Po chwili zaśmiała się cieniutko, kładąc czoło na podciągniętych do góry kolanach. Nic nie musi być prawdziwe, już nigdy.

Wstała, przygotowana na doświadczenie jeszcze jednego magicznego dnia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Widok stojącego na ganku Liama jak zawsze dogłębnie ją poruszył. Niezwykła czułość, zalew miłości, i zdumienie, że ten oszałamiający i zupełnie wyjątkowy mężczyzna wzbudza w niej tak niewysłowiony zachwyty.

Wybiegła na zewnątrz, objęła go i przywarła policzkiem do jego pleców.

Wzruszyło go to słodkie, świeże uczucie, które tak swobodnie i radośnie okazywała, zaskoczyła go także jego żywa reakcja na Rowan. Chciał się odwrócić i unieść ją, porwać gdzieś, gdzie nikt i nic nie zakłóci spokoju i gdzie będzie mógł myśleć wyłącznie o niej.

Zamiast tego położył wolną rękę na jej dłoniach.

- Przywiodłeś nas z powrotem i nawet nie zdążyłam pożegnać się z twoją rodziną.

- Zobaczysz ich jeszcze, jeśli tylko zechcesz.

- Jeszcze jak. Strasznie bym chciała zajrzeć do sklepu Morgany oraz zobaczyć konie Sebastiana i Mel. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że poznałam twoich kuzynów. - Potarła policzkiem o jego koszulę. - Jakie to szczęście mieć taką dużą rodzinę. Ja też mam paru kuzynów ze strony ojca, ale oni mieszkają gdzieś daleko na wschodzie.. Nie widziałam ich od czasu, gdy byłam dzieckiem.

Szybko zebrał myśli. Czy można sobie wyobrazić doskonalszy wstęp do tego, co chce jej powiedzieć?

- Chodźmy do środka. Weź sobie kawę, Rowan, chciałbym z tobą porozmawiać.

Nagle straciła humor, opuściła ramiona, cofnęła się. Była tak pewna, że się odwróci i ją obejmie, tymczasem nawet na nią nie spojrział i jeszcze ją zmroził chłodnym głosem.

Co znowu złego zrobiłam? zapytywała siebie, wchodząc do środka i patrząc niewidzącym wzrokiem na rząd błyszczących kolorowych kubków. Czy coś powiedziałam? Albo nie powiedziałam? Czy...

Zacisnęła oczy, czując do siebie okropny niesmak. Dlaczego to robi? Dlaczego zawsze uważa, że źle coś zrobiła? Albo że coś zaniedbała?

No cóż, to się już więcej nie powtórzy. Ani z Liamem, ani z nikim innym. Z ponurą miną sięgnęła po kubek i napełniła go po brzeg kawą.

Kiedy się odwróciła, stał w kuchni i obserwował ją. Starając się nie okazywać zdenerwowania, zapytała obojętnym tonem:

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- Usiądź.

- Wolę stać. - Odgarnęła zmierzwione włosy i upiła łyk, lekko parząc sobie język. - Jeżeli jesteś na mnie zły, wystarczy, że powiesz, o co chodzi. Nie lubię zgadywać.

- Nie jestem na ciebie zły. Niby dlaczego miałbym być?

- Nie mam pojęcia. - Żeby zająć się czymś, wyjęła paczkę chleba na tosty, które, jak sądziła, staną jej w gardle. - Bo niby dlaczego patrzysz na mnie tak, jakbym ci coś złego zrobiła?

- Mylisz się.

Zerknęła przez ramię na jego twarz.

- Przecież widzę, tyle że mnie to nie wzrusza. Zmarszczył brwi. Zauważył wyraźną zmianę jej nastroju - z łagodnej i przymilnej na chłodną i odgryzającą się.

- Skoro tak, to przepraszam. - Niecierpliwym ruchem wyszarpnął krzesło i usiadł na nim okrakiem.

Uznał, że najlepiej zrobi, przechodząc nad tym do porządku dziennego.

- Zabrałem cię na spotkanie z moją rodziną i właśnie o niej chciałem porozmawiać. Wolałbym, żebyś usiadła, do jasnej cholery, zamiast miotać się po kuchni.

Wzruszyła ramionami, jakby odgradzając się od jego agresywnego i gniewnego tonu.

- Zrobię śniadanie, jeśli pozwolisz.

Mruknął coś, po czym wymownym gestem wyciągnął rękę po talerz z lekko przypieczonym tostem.

- W porządku, możemy uznać, że mam je za sobą. A teraz usiądź.

- Zrobię jeszcze dla siebie. - Postawiła swój talerz na stole, po czym nie spiesząc się, podeszła do lodówki i długo wybierała dżem.

- Rowan, nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę. Proszę cię tylko, żebyś usiadła i porozmawiała ze mną.

- Skoro wreszcie grzecznie poprosiłeś, usiądę. - Dziwiąc się, ile zadowolenia sprawiło jej to drobne zwycięstwo, wróciła do stołu i usiadła. - Może jednak zjesz grzankę?

- Nie, nie zjem - warknął, na co ona tylko westchnęła. - Dziękuję.

Nagle uśmiechnęła się do niego z taką słodyczą, że aż drgnęło w nim serce.

- Rzadko się zdarza, żebym wygrywała w sporach - powiedziała, rozsmarowując dżem na grzance. - Zwłaszcza gdy nie wiem, o co się kłócimy.

- A jednak tym razem wygrałaś, prawda?

- Uwielbiam wygrywać - odpowiedziała z błyskiem w oku.

Nie potrafił stłumić śmiechu.

- Zupełnie jak ja. - Przytrzymał jej rękę, gdy podniosła kubek do ust. - Zapomniałaś o

śmietance i o całej furze cukru. Przecież nie lubisz gorzkiej kawy.

- Tylko dlatego, że robię marną, a twoja jest dobra. Mówiłeś, że chcesz porozmawiać o swojej rodzinie.

- O rodzinie. - Odsunął rękę i już jej nie dotykał. - Już wiesz, co płynie w mojej krwi.

- Tak. - Przyglądał się jej tak uważnie, że musiała dokonać wielkiego wysiłku, żeby mu nie pokazać, jakie cierpi katusze. - Dary, które posiadacie, czyli dziedzictwo Donovanów.

- Uśmiechnęła się. - Dlatego tak nazwałeś swoją firmę.

- Oczywiście masz rację, ponieważ jestem dumny z mojego pochodzenia. Z mocą, którą posiadam, wiązą się też pewne zobowiązania i duża odpowiedzialność. Tym się nie igrą, ale też nie ma się czego bać.

- Nie boję się ciebie, Liamie, jeśli to cię niepokoi.

- Może, do pewnego stopnia.

- Więc nie, nie boję się, nie potrafiłabym. - Chciała go dotknąć, powiedzieć mu, że go kocha, ale on odsunął się od stołu i zaczął krążyć po kuchni, choć jeszcze przed chwilą sam ją prosił, żeby tego nie robiła.

- Patrzysz na to jak na bajkę. Magia, oczarowanie i romans, a potem żyli długo i szczęśliwie... ale to jest po prostu życie, Rowan, z jego wszystkimi świństwami i omyłkami. Z jego potrzebami i wymaganiami. Życie - powtórzył, odwracając się znowu w jej stronę - trzeba przeżyć.

- Masz rację tylko w połowie - odpowiedziała. - Nic nie poradzę, że postrzegam je jako magiczne, romantyczne, ale rozumiem też resztę. Jakżebym mogła tego nie pojmować po spotkaniu z twoimi kuzynami, po zobaczeniu twojej rodziny? Bowiem to, co spotkałam wczoraj, to właśnie rodzina, a nie żaden obrazek z książki.

- I... dobrze się z nimi czułaś?

- Wspaniale. - Serce powędrowało jej aż do gardła. Zobaczyła, jak ważna jest dla niego ta sprawa, jak mu zależy, żeby zaakceptowała jego rodzinę i jego samego. Ponieważ... czy to możliwe, żeby on także ją kochał? Że chce, by stała się częścią jego życia?

Nie posiadając się z radości, omal się nie rozplakała.

- Rowan. - Znowu usiadł, więc ukryła pod stołem trzęsące się dłonie. - Mam wielu kuzynów. Tutaj, w Irlandii, w Walii, Kornwalii. Niektórzy są z Donovanów, niektórzy z Malone'ów, jeszcze inni z Rileyów. A niektórzy z O'Mearów.

Teraz jej serce zabiło mocniej. Ogarnęło ją rozmarzenie.

- Tak, mówiłeś, że twoja matka jest z domu O'Meara. Może nawet jesteśmy dalekimi krewnymi. Czy to nie byłoby miłe? A idąc dalej tym tropem, mogłabym, w jakiś zupełnie

pokrętny sposób, być spowinowaconą z Morgana i z resztą twojej rodziny.

Sięgnął po jej ręce i ujął je mocno, po czym przysunął się do niej.

- Rowan, ja nie powiedziałem, że możemy być kuzynami, powiedziałem, że jesteśmy kuzynami. Dalekimi, to prawda, ale mamy wspólną krew. Wspólne dziedzictwo.

Zaintrygowana nagłą zmianą tonu jego głosu, zrobiła zdziwioną minę.

- Sądzę, że to możliwe, taka dziesiąta woda po kisielu. To ciekawe, ale...

Nagle jej serce zamarło.

- Dziedzictwo?!

- Twoja prababka, Rowan O'Meara, była czarownicą. Tak jak ja. I tak jak ty.

- To absurd. - Zaczęła wrywać ręce, ale był szybszy i nie pozwolił jej na to. - To absurd, Liam. Nawet jej nie znałam, a już ty na pewno.

- Słyszałem o niej - powiedział spokojnie. - O Rowan O'Meara z Clare, która zakochała się i wyszła za męża, opuściła swój kraj i wyrzekła się swoich darów. Zrobiła to dobrowolnie i miała do tego prawo. A kiedy urodziły się jej dzieci, nie powiedziała im o ich dziedzictwie, dopóki nie dorosły.

- Mówisz o jakiejś innej osobie - tylko tyle zdołała powiedzieć.

- Więc uznali ją za ekscentryczną kobietę, może nawet trochę niespełna rozumu, i jej nie wierzyli. Kiedy jej dzieci urodziły własne dzieci, powiedziano im tylko, że Rowan O'Meara była dziwna Dobra i oddana, ale dziwna. A potem córka jej córki urodziła córkę. Temu dziecku nie powiedziano, jaka krew płynie w jego żyłach. Ta osoba powinna o tym wiedzieć. Rowan, jak mogłabyś tego nie wiedzieć? - Tym razem puścił jej ręce, więc szybko je cofnęła i poderwała się na nogi. - Powinnaś to poczuć.

Także wstał, pragnąc za wszelką cenę powiedzieć jej o tym w taki sposób, żeby się nie przestraszyła.

- Nie było tak? Nie czułaś tego od czasu do czasu, nie zastanawiałaś się nad tym?

- Nie. - To było kłamstwo, pomyślała i cofnęła się o parę kroków. - Nie wiem, ale mylisz się, Liamie. Ja jestem zupełnie zwyczajna.

- Widziałaś obrazy w płomieniach, śniłaś swoje sny jako dziecko. Czowałaś drgnienie mocy pod skórą, a także w głowie.

- Imaginacja - upierała się. - U dzieci bywa nad wyraz rozwinięta. - Lecz teraz poczuła dziwne drgnienie, niemal szarpnięcie... i przestraszyła się.

- Powiedziałaś, że mnie się nie boisz - powiedział miękko i łagodnie, jak do przerażonej sarny w lesie. - Dlaczego więc miałabyś się bać siebie?

- Nie boję się, po prostu wiem, że to nieprawda.

- Więc może zechcesz poddać się próbie, żeby przekonać się, kto z nas ma rację?

- Próbie? Jakiej próbie?

- Pierwsza umiejętność, której się uczymy, a która nas opuszcza na końcu, to umiejętność wzniesienia ognia. Twój wewnętrzny instynkt wie, jak to się robi, a ja ci to tylko przypomnę. - Podszedł do niej i wziął ją za rękę, zanim zdążyła odskoczyć. - I daję słowo, że sam tego nie zrobię, z kolei proszę ciebie, żebyś dała słowo, że nie zablokujesz się na to, co ma się stać.

Zdawać by się mogło, że jej dusza już drży.

- Nie muszę się na nic blokować, ponieważ nie ma na co.

- Więc pójdź ze mną.

- Dokąd? - zapytała, gdy ją wyciągnął na dwór. Ale już wiedziała.

- Kamienny krąg - odparł zwyczajnie. - Na razie nie przejmuj się, to samo przyjdzie.

- Liam, to absurd. Naprawdę jestem normalną kobietą, a żeby rozpałcić ogień, trzeba mieć drewno i zapalki.

- Uważasz, że cię okłamuję? - zapytał po krótkiej przerwie.

- Uważam, że się mylisz. - Potykając się, prawie biegła, żeby dotrzymać mu kroku. - Pewnie była jakaś Rowan O'Meara, która była czarownicą, ale to nie była moja prababka. Moja prababka była słodką, lekko zbzikowaną starą kobietą, która pięknie malowała i opowiadała bajki.

- Zbzikowaną? - Na taką obelgę aż stanął w miejscu. - Kto ci to powiedział?

- Moja matka... to znaczy...

- No właśnie. - Pokiwał głową, jakby właśnie potwierdziła to wszystko, co jej dotąd mówił. - Zbzikowaną - mruknął i ruszył dalej. - Ta kobieta zrezygnowała ze wszystkiego dla miłości, a oni mówią, że zbzikowała. Poczekaj... coś w tym jest. W przeciwnym razie nie wyjechałaby z Irlandii, lecz wyszłaby za kogoś ze swoich.

Gdyby tak było, nie pędziłby teraz tą ścieżką i nie trzymał drżącej ręki Rowan.

Wcale nie był pewien, czy cieszyć się, czy martwić z powodu takiego splotu wydarzeń czy też raczej wyroków przeznaczenia.

Gdy dotarł do kamiennego kręgu, wciągnął ją od razu do środka. Nie mogła złapać tchu po szybkim marszu i biegu, a także z powodu przepływającego i falującego tutaj powietrza.

- Krąg jest gotowy, można więc zacząć. Zapewnijmy jej spokój i bezpieczeństwo! Ta kobieta przyszła, by odkryć prawdę. Niech spełni się wola moja!

Śpiew, który towarzyszył tym słowom, ucichł, a wiatr powiał wśród kamieni i owinał

się wokół ciała Rowan. Przerazona, skrzyżowała ręce na piersi, obejmując się kurczowo.

- Liam...

- Powinnaś zachować spokój, choć to nie będzie dla ciebie łatwe. Nie spotka cię żadna krzywda, Rowan, przysięgam ci. - Położył ręce na jej rękach i pocałował ją, delikatnie, ale głęboko, aż ustąpiła jej sztywność. - Jeżeli nie możesz zaufać sobie, zaufaj mi.

- Naprawdę ufam tobie, ale... boję się tego.

Opuścił rękę na jej włosy i zrozumiał, że to, co robi, jest jak miłosna inicjacja dziewicy, że powinno się to odbywać delikatnie, powoli, cierpliwie, a myśli mają się koncentrować wyłącznie na niej.

- Pomyśl o tym jak o zabawie. - Cofając się, uśmiechnął się do niej. - Ale w sposób bardziej zasadniczy, poważny. Oddychaj głęboko i powoli, aż usłyszysz w głowie bicie własnego serca. Gdyby ci to miało pomóc, zamknij oczy, aż poczujesz, że mocno stoisz na ziemi.

- Powiedziałeś, że mam wzniecić ogień z niczego, a teraz chcesz, żebym się nie ruszała. - Jednak zamknęła oczy. Im prędzej mu udowodni, że jest w błędzie, tym szybciej będzie po wszystkim. - Zabawa - powiedziała przy pierwszym głębokim oddechu. - W porządku, niech to będzie zabawa, a kiedy się przekonasz, że nie jestem w tym dobra, wrócimy do domu i dokończymy śniadanie.

Rozmyślaj nie nad tym, co zostało ci powiedziane, ale nad tym, co wiesz, usłyszała w głowie głos Liama. Był to spokojny, kojący szept. Poczuj to, co zawsze czułaś, a czego nigdy nie rozumiałaś. Usłuchaj swojego serca. Zaufaj własnej krwi.

- Otwórz oczy, Rowan.

Zastanawiała się, czy tak wygląda hipnoza. To niesamowite, być aż tak świadomą i jednocześnie przebywać gdzieś na zewnątrz siebie. Otworzyła oczy, spojrzała w źrenice Riana, gdy właśnie promień słońca padł między nich.

- Nie wiem, co dalej.

- Czy aby na pewno? - Teraz w jego głosie zabrzmiała ledwie słyszalna melodyjna nutka wesołości. - Otwórz się, Rowan, uwierz w siebie, przyjmij dar, który od dawna czeka na ciebie.

Zabawa, pomyślała znowu. To tylko zabawa, w której ona jest dziedziczną czarownicą i posiada moce, które na razie w niej drzemią.

Wyciągnęła ręce, spojrzała na nie, jakby należały do kogoś innego, do kogoś, kto na nie patrzy i widzi, jak drżą. Wąskie dłonie, o długich, szczupłych palcach. Bez żadnych ozdób, dziwnie wytworne. Rzucają podwójny cień na ziemię.

Usłyszała bicie własnego serca, tak jak Liam przepowiedział, i usłyszała też powolny, głęboki dźwięk własnego oddechu, tak jakby nie śpiąc, słuchała siebie śpiącej.

Ogień, pomyślała. Ogień, który oświetla, daje ciepło, zapewnia komfort i podnosi na duchu. Już go ujrzała oczyma duszy, blade, złociste płomienie lekko tylko tknięte żywą czerwienią na brzegach. Świeciły nisko, buzując i wznosząc się do nieba jak pochodnie. Ogień bez odrobiny dymu, jakże piękny i wspaniały.

Ogień, pomyślała ponownie, który ogrzewa i daje światło. Ogień, który pali się zarówno w dzień, jak i w noc.

Oszołomiona, lekko się zatoczyła. Liam użył całej siły woli, żeby jej nie podtrzymać.

Głowa opadła jej do tyłu, oczy przybrały ostry niebieski kolor. Powietrze zastygło, zapanowała pełna oczekiwania cisza. Nie spuszczał z niej wzroku, gdy utraciła swą niewinność.

Wstąpiła w nią siła, podobna do wiatru, który podniósł się nagle, żeby rozwiać jej włosy. Towarzyszący temu nagły żar sprawił, że z trudem chwyciła powietrze i zaczęła drżeć. A po chwili lotem błyskawicy spłynął po jej ramionach, zdawał się zapalać od jej palców, zamieniając się w wiązki ognia.

Patrzyła oślepienymi oczami na ogień, który rozpalila.

Na ziemi syczały maleńkie, roztańczone płomyki złota, czerwone na brzegach. Od żaru rozgrzały się jej kolana, a następnie ręce, które z pewnym wahaniem wyciągnęła. I cofnęła je szybko, kiedy płomienie strzeliły wysoko.

- Och, och, nie!

- Jeszcze trochę, Rowan. Musisz się jeszcze odrobinę skoncentrować.

Ku jej zdumieniu blady słup ognia obniżył się.

- Czy to ja... czy to możliwe, że ja... - Przechwyciła jego wzrok. - To ty.

- Wiesz przecież, że nie, bo to twoje dziedzictwo, Rowan. Do ciebie należy wybór, czy to zaakceptujesz, czy też nie.

- To wystrzeliło ze mnie! - Zamknęła oczy, powoli wdychając i wydychając powietrze, aż jej oddech przestał drżeć i stał się spokojny. - To wydobyło się ze mnie - dodała i popatrzyła na Liama. Teraz nie mogła zaprzeczyć czemuś, o czym jakaś jej część wiedziała wcześniej. A może nawet zawsze wiedziała.

- Poczułam to i zobaczyłam. A w głowie pojawiły się słowa, które były jak śpiew. Nie wiem, co o tym myśleć ani co z tym zrobić.

- Co czujesz?

- Jestem zdziwiona. - Wciąż jeszcze odurzona, zaśmiała się i zdumionymi oczami

wpatrywała się w swoje ręce. - Wstrząśnięta. Przerazona i zachwycona, i... czuję się fantastycznie. Mogę czynić magię, ona jest we mnie. - Wszystkie te odczucia roziskrzyły jej oczy, opromieniły jej twarz. Tym razem, kiedy się poderwała i zaczęła obracać wkoło wewnątrz pierścienia kamieni, jej śmiech był spontaniczny i niczym nie skrzepowany.

Liam usiadł, krzyżując nogi, uśmiechając się szeroko, i przyglądał się, jak z otwartymi ramionami Rowan witała swoje nowe odkrycie. Wypiękniała, zauważył. To uczucie czystej, niekłamanej radości czyniło ją prawdziwie piękną.

- Przez całe życie byłam przeciętną osobą, żałośnie zwyczajną i uparcie normalną. - Zatoczyła jeszcze jedno koło, po czym padła na ziemię obok Liama i objęła go za szyję. - A teraz jest we mnie magia.

- Zawsze była.

Czuła się jak dziecko, czekające na chwilę, gdy będzie mogło rozwinąć setki prezentów i dokładnie je obejrzeć.

- Możesz mnie nauczyć więcej.

- Pewnie, że mogę, i zrobię to, ale nie teraz. Spędziliśmy tutaj ponad godzinę, a ja chciałbym zjeść śniadanie.

- Godzina. - Zrobiła wielkie oczy, gdy wstał i pociągnął ją za sobą. - A wydaje się, że to trwało zaledwie kilka minut.

- Potrwało trochę, zanim dotarłaś głębiej, do istoty spraw.

Następnym razem pójdzie szybciej - powiedział i magicznym ruchem ręki stłumił ogień. - Gdy tylko coś zjem, przekonamy się, gdzie drzemią twoje talenty.

- Liam. - Obróciła się do niego, wpiła wargami w jego szyję. - Dziękuję.

Uczyła się szybko. Liam nigdy nie uważał się za dobrego nauczyciela, ale podejrzewał, że w tej dziedzinie istotny jest dobry kontakt z uczniem.

Uczeń zaś był pojętny, pilny i szybki.

Nie trzeba było wiele czasu, aby ustalić, że jej talenty zmiernają ku magii, podobnie jak Morgany. Po kilku dniach stwierdzili, że nie ma prawdziwego daru osiągnięcia wizji. Mogła przekazać mu swoje myśli, ale żeby odczytać jego, musiał się sam o to postarać.

A kiedy po ponadgodzinnej, wytężonej koncentracji nie udało jej się przeobrazić siebie i przybrać innej postaci, zamieniła kuchenny stół w pączek róży, śmiejąc się przy tym rozkosznie.

Pokaż jej też radość, powiedziała Ana. Tymczasem to ona jemu ją pokazała, płasząc na polanie, zamieniając wczesne letnie kwiaty w feerię barw i kształtów. Kamienie zamieniały się w kolorowe jak klejnoty kryształy, drobne kwiatki eksplodowały niczym

potężne sztuczne ognie o cudownych odcieniach. Strumyczek wezbrał i przekształcił się w wodospad z lśniącą, błękitną wodą.

Nie narzucał jej żadnych ograniczeń. Zasłużyła, by płynąć na fali cudownego odkrycia, które nie przestawało jej fascynować. Obowiązki, wybory - wiedział, że to wszystko już wkrótce się pojawi.

Tworzyła swoją własną baśń. Nagle się okazało, że to nic trudnego, bo może to zobaczyć we własnych myślach. Kiedy patrzyła, wszystko stawało się realne. Oto jej mały domek w lesie, oto zapierający dech w piersi czarodziejski ogród, oto wartki strumień i kaskada wody, a pośród tego hasający swobodnie wiatr.

I mężczyzna.

Odwróciła się, nieświadoma, jak oszałamiające wywiera wrażenie samymi tylko rozpuszczonymi włosami, lśniącymi i rozwianymi, z wyciągniętymi w wymownym geście rękami i z błyskiem świeżo zrodzonej mocy w oczach.

- Ja wiem, że to nie może tak trwać, ale jeszcze tylko dziś. Już przywykłam, by śnić o miejscu, takim jak to, z wodą i szumiącym wiatrem, i kwiatami tak wielkimi i jaskrawymi, że aż oślepiającymi. I o ich zapachu...

Urwała, uświadamiając sobie, że o tym właśnie śniła. I o nim, o Liamie Donovanie zstępującym ze stopni ganku uroczego domku i idącym ku niej, przechodzącym pod drzewami, z których sypią się na ziemię śliczne różowe płatki kwiatów.

Może zerwie różę, białą jak śnieg, z wysokiego jak on krzewu, i ofiaruje jej.

- Śniłam - powiedziała znowu. - Byłam we śnie małą dziewczynką.

Zerwał różę, białą jak śnieg z wysokiego jak on krzewu, i ofiarował jej.

- O czym śniłaś, Rowan Murray?

- O tym. - O tobie. Jakże często o tobie.

- Jeszcze tylko dziś możesz śnić swój sen. Westchnęła i przycisnęła różę do policzka. Jeszcze tylko dziś, pomyślała, to całkiem dużo.

- Miałam na sobie długą niebieską suknię, a twoja była czarna, ze złotymi brzegami. - Roześmiała się zachwycona, czując jak delikatny, cieniutki jedwab pieści jej skórę. - Czy to ja śniłam, czy ty?

- Czy to ważne? To twój sen, Rowan, ale mam nadzieję, że pocałowałem cię w nim.

- Tak. - Znowu westchnęła, wsuwając się w jego ramiona. - Takim pocałunkiem, jakie bywają tylko w snach.

Dotknął wargami jej ust, najpierw miękko i łagodnie, aż rozchyliły się wraz ze spokojnym oddechem, a potem mocniej i głębiej, a ona wzięła go w ramiona, zaś jej palce

ślizgały się po jego włosach.

Kiedy to robił, coś drgnęło w jego pamięci, co już raz widział i czego pragnął. Kiedy się temu oddał, zaczął odpływać w marzeniach razem z nią. Wtedy przyciągnął ją bliżej i zakręcili się razem w czarownym tańcu w jednym rytmie serc.

Nie dotykała już ziemi, kiedy zawirowali. Sny i marzenia romantycznej dziewczyny zamigotały i przemieniły się w pragnienia kobiety. Ciepło muskało jej skórę, gdy go przycisnęła mocniej, gdy przyjęła go do swojego serca. Ofiarowała mu wszystko.

Były świece w jej śnie, dziesiątki i setki pachnących płonących świec w wysokich srebrnych lichtarzach, oplecionych dekoracją z wijących się pozłacanych listków. Było też łóżko, całe w bieli i w zlocie.

Kiedy ją na nim położył, była nieprzytomna z miłości, pławiła się w zachwycie.

- Jak mogłam nie wiedzieć? - Przyciągnęła go do siebie. - Jak mogłam zapomnieć?"

Zadawał sobie te same pytania, lecz nie chciał ich głośno wypowiedzieć, nie teraz, gdy była tak słodka i oddana, a jej wargi rozchylały się w oczekiwaniu.

Słońce schowało się za drzewami, pozostawiając w ogniu ich wierzchołki, które płonęły na tle ciemniejącego nieba. W gałęziach drzew ptaki śpiewały do ostatnich promieni światła.

- Jesteś piękna.

Nie wierzyła w to, ale tutaj i teraz czuła się piękna, silna i kochana. Jeszcze tylko dzisiaj, pomyślała i zatopiła się w pocałunku.

Upajał się nią, pragnął jej, ale nie był zachłanny. Tulił ją czule, lecz nie desperacko. Tutaj czas nie miał granic. Oboje wiedzieli, że nie trzeba się spieszyć.

Chwytała rękami jedwabny materiał jego szaty, dotykała jego ciepłego i gładkiego ciała. Całował jej szyję, ponaglał i zachęcał, żeby dała mu więcej.

Raduj się mną, zdawała się mówić. Zachwyć się mną.

Wzdychała razem z nim, poruszała się w zgodnym rytmie, a wraz z powietrzem napłynęły zapachy i ciepło, zaś łagodny wiatr pieścił ich ciała. Zatracili się.

W delikatnym świetle jej ciało było czarownie smukłe i białe jak marmur, włosy rozwiane przez wiatr, a oczy pełne tajemnic. Urzeczony, powędrował rękami wzdłuż jej ud, po biodrach i torsie, aż je zamknął na jej piersiach.

A tam serce waliło jak młotem w tym samym rytmie, co jego.

- Rowan - wyszeptał. - Jesteś pod każdym względem czarownicą.

Zaśmiała się zwycięsko. Nachyliła się i chciwie wpiła w jego usta. Żądza dopadła go nagle i brutalnie, rozpałała jego krew jak ogień, który wzniciła przed godziną.

Poczuła to, tę szybką zmianę, a także to, że ona tego dokonała. To, pomyślała nieprzytomna ze szczęścia, była owa siła i potęga. Poniosła ją, a płynąc na jej fali, zamknęła go w sobie, upajając się nowym odkryciem i spoglądając na gwiazdy wędrujące po ciemnym niebie.

Chwycił jej biodra, oddech rozsadzał mu płuca. Instynktownie próbował jeszcze zapanować nad sobą, ale kiedy go wzięła, nie wytrzymał.

Jej biodra poruszały się w zawrotnym tempie, ciało szybowało z dziką energią, po czym zachęciło go, ponagliło, dodało mu bodźca, i pędziło naprzód, unosząc go ze sobą.

Prowadziła go ze sobą w tym szaleńczym rytmie. Wymówił jej imię. Usłyszała, jak wyrwał mu się ten dźwięk, gdy zanurzyli się razem. A kiedy wypłynęli, zobaczyła jeszcze krótki błysk w jego oczach.

Omam nie zapłakała ze szczęścia i ze zwycięstwa, gdy chwytając się go kurczowo, runęła razem z nim.

Nigdy nie dopuścił, by jakakolwiek kobieta przejęła nad nim kontrolę, a teraz zdał sobie sprawę, że nie był w stanie temu zapobiec. Nie z Rowan. Było jeszcze wiele innych rzeczy, na które nie miał przy niej wpływu.

Zanurzył twarz w jej włosach i zastanawiał się, co nastąpi zaraz.

- Kocham cię, Liamie. - Powiedziała to spokojnie, z wargami przy jego sercu. - Kocham cię.

Ogarnęła go panika.

- Rowan...

- Nie musisz odwzajemniać mojej miłości, po prostu nie mogłam wytrzymać, żeby ci tego nie powiedzieć. A wcześniej bałam się. - Przesunęła się, popatrzyła na niego. - Mam wrażenie, że już nigdy niczego nie będę się bała. A więc, kocham cię, Liamie.

Usiadł obok niej.

- Jeszcze nie wiesz wszystkiego, nie znasz całej prawdy, nie możesz więc wiedzieć, co myślisz ani co czujesz. Ani też, czego my chcemy - wyrzucił z siebie. - Muszę ci jeszcze wiele wytłumaczyć, wiele pokazać. Przenieśmy się więc do mojego domu.

- Zgoda. - Uśmiechnęła się tak swobodnie i naturalnie, jakby jej serca nie przepełniało przerażenie, że magia tego dnia dobiega końca.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czym jeszcze może ją zadziwić albo zaszokować? zastanawiała się. Powiedział, że jest czarownikiem, następnie to udowodnił, a ona jakoś to zaakceptowała. Potem wymazał tyle lat jej wyobrażeń o sobie, mówiąc, że i ona jest czarownicą, i udowodnił jej to. Nie tylko to zaakceptowała, ale przyjęła z całą powagą.

Czy to jeszcze nie wszystko?

Wolałaby, żeby jej powiedział, ale nie odezwał się słowem, kiedy w świetle księżyca szli z jej domku do jego. Na tyle już go знаła, by wiedzieć, że gdy zapada w ten rodzaj milczenia, nie powie słowa, dopóki nie będzie gotów.

Więc kiedy dotarli do jego domu i weszli do środka, miała nerwy napięte do ostatnich granic.

O jednym starała się nie myśleć: że jego milczenie nastąpiło po tym, kiedy mu powiedziała, że go kocha.

- Czy to aż tak ważne? - Wysiliła się na lekki, swobodny ton, ale jej słowa zabrzmiały chropawo, prawie jak wymówka.

- Dla mnie tak. Ty zaś zdecydujesz sama, co to oznacza dla ciebie.

Wszedł do sypialni i przesuwając palcem po ścianie obok kominka, otworzył drzwi, o których istnieniu nie wiedziała, prowadzące do pomieszczenia, które, mogłaby przysiąc, że nie istnieje.

Padało stamtąd łagodne światło, tak jasne i chłodne, jak światło księżyca.

- Skrytka?

- Nie, prywatny pokój - poprawił ją. - Wejdz, proszę.

Fakt, że ruszyła przed siebie w kierunku tego światła, stanowił miarę jej zaufania do niego. Podłoga była z kamienia, gładka jak lustro, a ściany i sufit z drewna, wy politurowane do połysku. Światło i cienie odbiły się od tych powierzchni i zaiskrzyły jak woda.

Był też stół, bogato rzeźbiony i intarsjowany, a na nim czara z grubego niebieskiego szkła oraz grawerowany cynowy puchar, lusterko zdobione na srebrnym odwrocie delikatnym ornamentem z wolutami, z gładką rączką z ametystu. Inna czara była pełna małych, kolorowych kryształów, a na srebrnym trójnogu ze skrzydlatych smoków spoczywała kula z przydymionego kwarcu.

Co widział, kiedy się w to wpatrywał? zastanawiała się. A co ona zobaczy?

Gdy się odwróciła, ujrzała, że Liam zapala świece, a ich płomienie wzniosły się do

góry, przenikając nasycone już pachnącym dymem powietrze.

Po czym zobaczyła inny stół, nieduży okrągły blat na prostej podporze. Liam otworzył stojące na nim pudełko, skąd wyjął srebrny amulet z łańcuchem. Trzymał go przez chwilę, a następnie odłożył z powrotem. Metal cicho zabrzączał o drewno.

- Czy to... jakiś obrzęd?

Spojrzał na nią z roztargnieniem, jakby zapomniał o jej obecności. Lecz on nie zapomniał o niczym.

- Nie. Tego już miałaś aż nazbyt wiele, prawda, Rowan?

Prosiłaś, żebym nie zaglądał w twoje myśli, więc nie wiem, co dzieje się w twoim umyśle i co o tym wszystkim sądzisz. Choć nie zamierzał jej dotykać, nie spostrzegł nawet, że muska palcami jej policzek.

- Wiele mogę wyczytać z twoich oczu.

- Powiedziałaś ci, co myślę i co czuję.

- To prawda.

Ale ty mi nie odpowiedziałeś, pomyślała, a ponieważ ją to zabolalo, odwróciła się w drugą stronę.

- Możesz mi wytłumaczyć, do czego to wszystko służy?

- zapytała, przesuwając koniuszkiem palca po wypukłym, wijącym się ornamencie lusterka.

- To są narzędzia. Nic innego, jak tylko ładne narzędzia - odpowiedział jej. - Będziesz potrzebowała trochę własnych.

- Czy widzisz różne rzeczy w lusterku?

- Aha.

- I nigdy nie boisz się w nie zajrzeć? - Uśmiechnęła się niepewnie. - Bo ja chyba bym się bała.

- Widzi się tylko różne możliwości.

Przechadzała się, unikając go. Zbliża się zmiana. Cokolwiek to będzie, jej kobiecy instynkt albo jej nowo odkryte dary podpowiadały jej to, nie miała co do tego wątpliwości. W szklanej skrzyneczce było mnóstwo kamieni, zachwycających kiści rozsiewających błyski, smukłych wieżyczek, różnokolorowych ozdobnych kul.

Czekał, aż będzie gotowa, choć nie kierowała nim cierpliwość; po raz pierwszy nie wiedział, jak zacząć. Kiedy się do niego odwróciła, poruszając nerwowo rękami, z oczami pełnymi wątpliwości, nie miał już wyboru.

- Wiem, że tu przychodziłaś.

Nie miał na myśli tego miejsca, tego pokoju, tego wieczoru. Dostrzegł, że go rozumie.

- Czy wiesz... co się wydarzy?

- I tak, i nie, ale zawsze istnieją wybory. Każde z nas ich dokonuje, a jest ich wiele. Wiesz coś o swoim i moim dziedzictwie, ale nie wszystko. W mojej ojczyźnie, w mojej rodzinie istnieje pewna tradycja. Najprościej, jak sędzę, można to porównać do szeregu, choć to niezupełnie to samo, ale jedna osoba stoi na czele rodziny, przewodzi jej, kieruje, radzi, a także łagodzi kłótnie, jeśli się takie pojawiają.

Ponownie sięgnął po srebrny amulet i ponownie odłożył go na miejsce.

- Twój ojciec nosi podobny ze złota.

- Rzeczywiście, nosi.

- Ponieważ stoi na czele rodziny?

Jest szybka, pomyślał Liam. Ale z niego idiota, że o tym zapomniał.

- Jest nim, do czasu przekazania swojej powinności.

- Tobie.

- Amulet tradycyjnie przechodzi na najstarsze dziecko, ale można dokonać wyboru.

Dotyczy to obu stron, są jeszcze... warunki i zastrzeżenia. Żeby dziedziczyć, trzeba na to zasłużyć, być tego godnym.

- To oczywiste, że jesteś.

- Jeszcze trzeba tego chcieć.

Na jej twarzy w miejsce uśmiechu pojawiło się zdumienie.

- A ty nie chcesz?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. - Wsunął ręce w kieszenie, zanim ponownie sięgnął po amulet. - Przybyłem tutaj, żeby dać sobie czas do namysłu, przemyśleć to i zastanowić się. To musi być mój wybór. Nie chcę, żeby zmuszało mnie do tego przeznaczenie.

Królewski ton jego głosu sprawił, że znowu się uśmiechnęła.

- Masz rację. A to tylko potwierdza, że będziesz w tym dobry. - Zaczęła iść ku niemu, ale zatrzymała ją, podnosząc rękę.

- Są jeszcze inne wymagania. Na przykład małżeństwo, które musi być zawarte z osobą, w której płynie krew elfów. Musi to być małżeństwo z miłości, nie zaś z obowiązku. Obie zawierające związek strony muszą to zrobić dobrowolnie.

- Wydaje się to ze wszech miar słuszne - zaczęła, po czym zatrzymała się. Jak powiedział Liam, była szybka. - We mnie płynie krew elfów, a dopiero co powiedziałam, że cię kocham.

- Jeśli cię wezmę za żonę, moje szanse zmaleją.

Tym razem musiała się zastanowić. Powiedział to zimnym tonem, jakby jej wbijał lodowaty sztylet w serce.

- Rozumiem, to ma być twój wybór. - Pokiwała niespiesznie głową, usiłując ratować serce przed kompletną rozsypką i bronić żalonych strzepów swej dumy. - Możesz wyrazić zgodę na ten aspekt twojego dziedzictwa albo go odrzucić. Traktujesz to bardzo poważnie, prawda, Liamie?

- Czy mógłbym inaczej?

- A ja, w ten czy w inny sposób, jestem jak odważnik na tej wadze. Musisz tylko zdecydować, na której szali mnie położysz. Jakże to musi być... krępujące i niezręczne dla ciebie.

- To nie jest takie proste, jakby się mogło wydawać - uciął krótko, wytrącony z równowagi jej nieoczekiwanie ostrym tonem. - Chodzi o całe moje życie.

- I o moje - dodała. - Powiedziałeś, iż wiem, że tutaj przychodziłam, ale ja nie wiedziałam nic o tobie, więc nie do mnie należał wybór. Kiedy zakochałam się w tobie, widziałam cię pierwszy raz, ale ty byłeś przygotowany, miałeś to jak gdyby rozpisane. Ty wiedziałeś, że cię pokocham.

Wykrzyczała mu to gorzkie oskarżenie, po którym popatrzył na nią zdumionym wzrokiem.

- Mylisz się.

- Czyżby? Ileż to razy wkradałeś się w moje myśli, żeby zobaczyć? Albo przychodziłeś do mnie pod postacią wilka i słuchałeś mojej paplaniny, nie dając mi wyboru, który tak sobie cholernie cenisz. Wiedziałeś, że będę musiała poznać te wymagania, więc badałeś mnie, oceniałeś i osądzałeś.

- Nie wiedziałem! - krzyknął do niej, wściekły, że jego poczynania mogą być odbierane jako podstęp. - Nie wiedziałem aż do dnia, kiedy mi powiedziałaś o swojej prababce.

- Ach, tak. A więc do tego momentu albo traktowałeś mnie jak zabawkę, albo zastanawiałeś się, czy mogę ci posłużyć jako pretekst do zrezygnowania z twojej pozycji.

- To śmieszne, co mówisz!

- Po czym, nagle, wpadła ci w ręce czarownica. Chciałeś jej - nie wątpię, że mnie chciałeś, a ja okazałam się wzruszająco łatwa. Przyjęłam wszystko, co miałeś ochotę mi dać, i jeszcze byłam ci za to wdzięczna.

Gdy o tym teraz myślała, czuła się poniżona. Ta radość i pośpiech, kiedy rzucała mu się w ramiona, ufając całym swoim sercem!

- Troszczyłem się o ciebie, Rowan. Robię to nadal.

W migoczącym świetle jej policzki były blade jak widmo, a oczy pociemniałe i wpadnięte.

- Czy wiesz, jakie to jest obraźliwe? Jakie poniżające? Wiedząc, że cię kocham, przymierzałeś się do tego na trzeźwo, dokonywałeś wyboru! A jaki ja miałam wybór, jaki dałeś mi wybór?

- Zrobiłem wszystko, co mogłem. Potrząsnęła zapalczywie głową.

- Nie, tylko to, co sam chciałeś - rzuciła mu w twarz.

- Doskonale wiedziałeś, w jak marnym byłem stanie, gdy tu przyjechałam, jaka byłem zagubiona.

- To prawda. I właśnie dlatego...

- Więc zaproponowałeś mi wspólną pracę - przerwała - wiedząc już wtedy, że szaleję za tobą, wiedząc, jak rozpaczliwie chcę się czegoś uchwycić. Po czym, w dogodnym dla siebie czasie, powiedziałeś mi, kim jesteś i kim ja jestem. Zawsze w swoim tempie. I za każdym razem robiłam dokładnie to, czego ode mnie oczekiwałeś. To wszystko było po prostu jeszcze jedną grą.

- To nieprawda. - Doprowadzony do wściekłości, złapał ją za ramiona. - Myślałem o tobie i zrobiłem to, co uważałem za słuszne i za najlepsze.

Trzepnęła go po palcach, a zaraz potem po całych ramionach, z taką siłą i żarem, że poleciał do tyłu o dwa kroki. Tym razem już tylko gapił się na nią, wzburzony, że tak nieświadomie dał jej się przyłapać.

- Do jasnej cholery, Rowan! - Tak silna była jej wola, że od uderzenia ciągle jeszcze kłuły go i parzyły ręce.

- Ja też nie dam się zastraszyć. - Nogi miała jak z galarety, gdy zdała sobie sprawę, że nie tylko ma taką moc, ale też i wściekłość, dzięki której może go wyrzucić, wypchnąć ze swojego umysłu. - Nie spodziewałeś się tego, nie brałeś takiej możliwości pod uwagę. Miałam tu przyjść, wysłuchać cię, po czym pokornie złożyć ręce, schylić głowę jak cicha myszka i zdać się na twoją decyzję.

Jej oczy były intensywnie niebieskie, blada przed chwilą twarz zaróżowiła się ze złości i ku jego strapieniu była niewiarygodnie piękna.

- Niezupelnie - powiedział z godnością. - Ale decyzja należy do mnie.

- Do diabła z tym! Masz postanowić, czego chcesz, to prawda, ale nie oczekuj, że będę siedziała potulnie, podczas gdy ty będziesz mnie wybierać albo odrzucać. Zawsze ludzie podejmują za mnie decyzje, wybierają mi sposób na życie. Czyż nie robisz tego samego?

- Nie jestem żadnym z twoich rodziców - warknął. - Ani twoim Alanem. To są inne okoliczności.

- Niezależnie od okoliczności miałaś nade mną władzę, kontrolowałaś mnie i cały czas mną kierowałaś. Nie zamierzam dłużej tego tolerować. Byłam zwyczajna. - Niemal wypluła te słowa. - Nie możesz tego zrozumieć, bo nigdy nie byłeś zwyczajny, ale ja tak, przez całe życie. Nie wrócę do tego i nie stanę się ponownie taka, jak niegdyś.

- Rowan... - Chciał ją uspokoić, tak sobie powiedział. Spróbować ją przekonać. - Jedyne czego chcę, to tego, czego ty sama chcesz dla siebie.

- A ja najbardziej ze wszystkiego chcę, żebyś mnie pokochał. Właśnie mnie, Liamie, kimkolwiek jestem i jakakolwiek jestem. Nie dopuszczałam myśli, że to może się stać, ale chciałam tego. Mój błąd polegał na tym, że znowu za mało myślałam o sobie.

Jej błyszczące od łez oczy zniewoliły go.

- Nie płacz, Rowan, nie chciałem cię skrzywdzić. Nigdy.

- Wziął ją teraz za rękę, której mu nie wyrwała.

- Nie, jestem pewna, że nie chciałeś - powiedziała spokojnie. Cała wściekłość minęła, teraz czuła tylko zmęczenie i słabość. - I to jest tym bardziej smutne... a ja bardziej żałowna. Powiedziałam ci, że cię kocham. - Głos jej drżał od łez. - A ty wiedziałeś o tym. Ale nie możesz się zdecydować, czy to ci... odpowiada.

Przełknęła łzy, uniosła się dumą, z której tak rzadko robiła użytek.

- Odtąd sama będę decydować o swoim losie. - Cofnęła rękę, odsunęła się. - A ty o swoim.

Odwróciła się do drzwi, wprawiając go w nieoczekiwany popłoch.

- Dokąd idziesz?

- Gdzie mi się podoba. - Obejrzała się za siebie. - Byłam twoją kochanką, Liamie, ale nigdy twoją partnerką. Nie godzę się na to, mimo że cię kocham. - Oddychając spokojnie, patrzyła na niego uważnie w przemieszczającym się świetle.

- Trzymałeś moje serce w rękach - powiedziała półgłosem - i nie wiedziałeś, co z nim zrobić. Więc powiem ci: bez kryształowej kuli, bez odpowiedniego daru nie dostaniesz nigdy drugiego takiego serca, jak moje.

Wymknęła mu się, zaś on wiedział, że taka była prawda.

Aż tydzień zajęło jej załatwianie praktycznych, przyziemnych spraw. San Francisco nie zmieniło się podczas jej paromiesięcznej nieobecności, podobnie jak w dniach po powrocie. To tylko ona się zmieniła.

Mogła teraz wyglądać przez okno i patrzeć na wielką metropolię, wiedząc, że to nie

samo miasto tak bardzo jej nie odpowiadało, ale miejsce, jakie jej w nim wyznaczono. Nie zamierzała tu wrócić na stałe, pomyślała jednak, że stać ją na spojrzenie wstecz i sięgnięcie do dobrych i złych wspomnień. Bowiem życie składało się z jednych i drugich.

- Jesteś pewna, że dobrze robisz, Rowan? - zapytała Belinda, pełna wdzięku ciemnowłosa kobieta, drobnutka jak chochlik, o zielonych, zamglonych oczach.

Rowan oderwała wzrok od pakowanych rzeczy i z uwagą popatrzyła na zatroskaną twarz przyjaciółki.

- Nie, ale i tak muszę to zrobić.

Belinda dostrzegła, jak bardzo Rowan się zmieniła. Była z pewnością silniejsza, ale nadal drażliwa. Ogarnęło ją poczucie winy.

- W jakiś sposób czuję się za to odpowiedzialna.

- Nie - odparła stanowczo Rowan, wsuwając do walizki sweter. - Za nic nie jesteś odpowiedzialna.

Nie znajdując sobie miejsca, Belinda podeszła do okna. Sypialnia prawie już opustoszała. Wiedziała, że Rowan po - rozdawała wiele swoich rzeczy, inne zaś odłożyła. Rano już jej tu nie będzie.

- Wysłałam cię tam.

- Nie, sama poprosiłam, żebyś pozwoliła mi skorzystać z twojego domku.

Belinda odeszła od okna.

- Były sprawy, o których mogłam ci powiedzieć.

- Nie miałaś powodu, Belindo.

- Gdybym wiedziała, że Liam jest takim dupkiem, to... - urwała i rzuciła gniewne spojrzenie. - Powinam była wiedzieć, znam go przez całe życie. Jeszcze się nie urodził bardziej uparty, tępy i irytujący facet. - Po czym westchnęła. - Ale jest przy tym dobry, a jego upór bierze się głównie z tego, że tak się wszystkim przejmuje i o wszystko troszczy.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. Gdyby mi zaufał i uwierzył we mnie, sprawy mogłyby się inaczej potoczyć. - Rowan wyjęła ostatnie ubrania z szafy i położyła je na łóżku.

- Gdyby mnie kochał, wszystko mogłoby być inaczej.

- Jesteś pewna, że cię nie kocha?

- Doszłam do wniosku, że pewna mogę być tylko siebie. To najtrudniejsza i najcenniejsza nauka, jaką stamtąd wyniosłam. Chcesz tę bluzkę? Nigdy mnie nie zdołała.

- Bo ten kolor bardziej pasuje do mnie niż do ciebie. - Belinda podeszła i położyła rękę na ramieniu Rowan. - Rozmawiałaś z rodzicami?

- Tak... a raczej próbowałam. - Zamyślona, złożyła spodnie i zapakowała je. - W

pewnym sensie wypadło lepiej, niż się spodziewałam. Najpierw byli zmartwieni i zaskoczeni, że wyjeżdżam i rezygnuję z nauczania. Oczywiście, próbowali wypunktować wszystkie ujemne strony i konsekwencje mojej decyzji.

- Oczywiście - powtórzyła Belinda, z tak poważną miną, że tylko rozśmieszyła tym Rowan.

- Tacy już są ale długo dyskutowaliśmy. Myślę, że w taki sposób jeszcze nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Wytłumaczyłam im, dlaczego wyjeżdżam, co chcę robić i dlaczego... no, może nie do końca.

- Nie zapytałaś matki o swoje pochodzenie?

- Prawdę mówiąc, nie zdobyłam się na to. Napomknęłam o prababce, powiedziałam coś o dziedzictwie, a także o imieniu, które mi nadali, a które okazało się takie... właściwe.

Moja matka zbyła to milczeniem. Nie - poprawiła się Rowan, - odcięła się od tego. Jakby zablokowała to w sobie. W jej świecie nie ma miejsca na to, co płynie w jej krwi, a tym bardziej w mojej.

- Więc poprzestałaś na tym?

- Nie było sensu naciskać i dodatkowo ją unieszczęśliwiać. Czy osiągnęłabym coś, gdybym nalegała?

- Myślę, że nie.

- W końcu ważne jest, że rodzice zrozumieli tyle, ile byli w stanie pojąć, ponieważ zależy im, żebym była szczęśliwa.

- Kochają cię.

- Tak, może bardziej niż na to zasłużyłam, biorąc pod uwagę ich oczekiwania. - Mówiąc to, uśmiechnęła się. - Pocieszają się, że przynajmniej Alan znalazł sobie kogoś, czyli pewną nauczycielkę matematyki. Moja matka w końcu nie wytrzymała i przyznała się, że zaprosiła ich na kolację i że oboje są czarujący.

- Życzymy im więc wszystkiego najlepszego.

- Jasne. To dobry i miły człowiek, zasłużył na to, żeby być szczęśliwy.

- Podobnie jak ty.

- Tak, masz rację. - Rzucając ostatnie spojrzenie, Rowan zamknęła walizkę. - Taki mam zamiar. Jestem podniecona, Belindo, zdenerwowana, ale podniecona. Taka podróż do Irlandii... z biletem w jedną stronę. - Złapała się za żołądek, który dawał się trochę we znaki. - Taka podróż w nieznane robi wrażenie.

- Udasz się najpierw do zamku Donovanów w Clare? Spotkasz się z rodzicami Morgany, Sebastiana i Any?

- Tak. Jestem ci wdzięczna za skontaktowanie się z nimi i za to, że mnie zaprosili do siebie.

- Spodobacie się sobie.

- Taką mam nadzieję. A poza tym chcę się więcej nauczyć. - Rowan zapatrzyła się w przestrzeń. - Bardzo tego potrzebuję.

- Więc się nauczysz. Och, będzie mi ciebie brakowało, kuzynko. - Po tych słowach Belinda porwała Rowan w ramiona i uściskała ją z całej mocy. - Muszę wyjść, zanim się rozbeczę. Odezwij się - przykazała i zgarniając bluzkę, wybiegła z pokoju. - Napisz, zagwizdź, ale bądź w kontakcie.

- Będę. - Rowan odprowadziła ją do drzwi pustego mieszkania, gdzie jeszcze raz mocno się uścisnęły. - Życz mi szczęścia.

- Życzę ci dużo szczęścia i jeszcze trochę. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Rowan. - Pochlipując, wybiegła.

Rowan, w równie płaczliwym nastroju, zamknęła drzwi, odwróciła się i rozejrzała dookoła. Nic nie zostało do zrobienia, pomyślała. Rano się wyprowadzi i wyruszy w drogę, o której nigdy wcześniej nie myślała. Ma rodzinę w Irlandii, tam są jej korzenie. Czas, by to zbadać i poznać, a przy okazji zgłębić siebie.

Wiedza, którą już zdobyła, daje jej podstawę, na której może zbudować więcej.

A jeżeli myślała o Liamie, jeżeli usychała za nim z tęsknoty, to trudno, widać tak musi być. Będzie więc żyła ze złamanym sercem, ale nie może żyć w nieufności.

Zaskoczyło ją pukanie do drzwi, ale natychmiast się uśmiechnęła. Pewnie Belinda jeszcze raz chce się pożegnać.

Ale w drzwiach stała nieznajoma kobieta. Piękna, wytworna w prostej sukni w kolorze zielonego mchu.

- Witaj, Rowan. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. W głosie usłyszała zaśpiew z irlandzkich wzgórz. Oczy miała ciepłe i złote.

- Nie, ani trochę. Proszę wejść, pani Donovan.

- Nie byłam pewna, czy będę mile widziana. - Weszła do środka i uśmiechnęła się. - Po tym, jak mój syn ośmieszył się.

- Cieszę się z tego spotkania. Przepraszam, że nawet nie mogę podać krzesła.

- A więc wyjeżdżasz. Ofiaruję ci prezent na pożegnanie. - Podała Rowan rzeźbione w drewnie jabłoni pudełko. - To także jest podziękowanie za portret Liama. Znajdziesz tam pastele, które chciałaś.

- Dziękuję. - Wzięła pudełko, wdzięczna za prezent i zadowolona, że może coś zrobić

w rękami. - Jestem zaskoczona, że chce się pani ze mną widzieć, po tym, jak Liam i ja... posprzeczialiśmy się.

- Ach. - Kobieta machnęła ręką i zaczęła przechadzać się po pokoju. - Tyle razy sama się z nim sprzeczałam, by wiedzieć, że z nim nie można inaczej. Jest uparty jak osioł, ale serce ma łagodne.

Gdy Rowan odwróciła wzrok, westchnęła.

- Nie chciałam ci robić przykrości.

- Wszystko w porządku. - Rowan postawiła pudełko na wąskim kontuarze, oddzielającym pokój od kuchni. - Jest pani synem i pani go kocha.

- Tak, i to bardzo, ze wszystkimi jego wadami. - Położyła delikatnie rękę na ramieniu Rowan. - Zranił cię i jest mi przykro z tego powodu. Och, wytargałabym go za to za uszy! - warknęła, błyskawicznie zmieniając nastrój, czym wprawiła Rowan w lekkie zakłopotanie.

- Zdarzyło się to pani kiedykolwiek?

- Wytargać go za uszy? - Tym razem Arianna roześmiała się lekko i swobodnie. - Och, a czy jest jakiś inny sposób na niego? Nigdy nie był łatwy. Dziewczyno, gdybym ci tylko opowiedziała o niektórych jego wybrykach, włosy by ci stanęły dęba. Wykapany ojciec. Tak samo jak on potrafi w mgnieniu oka przybrać królewską minę. Oczywiście Finn powiedziałby ci, że to po mnie ma te wybuchy gniewu, i miałby rację, ale jeżeli kobiecie brak jest kręgosłupa i zadziorności, tacy jak oni zdominują cię i wejdą ci na głowę.

Zawahała się, patrząc na twarz Rowan, a jej oczy gwałtownie napełniły się łzami.

- Och, ty go nadal kochasz. Nie chciałam podglądać, ale tego nie da się ukryć.

- Nic nie szkodzi.

Rowan nie zdążyła się odwrócić, gdy Arianna złapała ją za rękę.

- Tylko miłość się liczy, a ty jesteś za bystra, żeby o tym nie wiedzieć. Przyszłam tu do ciebie jedynie jako matka, kierując się matczynym sercem. On cierpi, Rowan.

- Proszę pani...

- Arianna. Decyzja należy do ciebie, ale chcę, żebyś wiedziała. On także cierpi i tęskni za tobą.

- On mnie nie kocha.

- Gdyby tak było, nie popełniłby tych wszystkich idiotycznych błędów. Znam jego serce, kochanie. - Powiedziała to miękko i z taką prostotą, że Rowan poczuła drzenie. - Będzie twoje, jeżeli je zdobędziesz. Nie mówię tego dlatego, że chcę, by poszedł w ślady ojca i zastąpił go. Nie odwracaj się od szczęścia tylko dlatego, żeby schlebić własnej dumie.

- Chce pani, żebym do niego poszła?

- Chcę, żebyś poszła za głosem serca. Nic poza tym.
- Wciąż go kocham i nigdy nie przestanę. Moje serce po prostu padło do jego stóp.
- A on nie docenił tego, jak należy, ponieważ się bał.
- On mi nie ufa.
- Nie, Rowan, on sobie nie ufa.
- Jeżeli mnie kocha... - Już na samą myśl o tym poczuła, jak mięknie, ale gdy się odwróciła, oczy miała suche, a ręce opanowane. - Więc będzie to musiał powiedzieć. I będzie musiał zaakceptować mnie na równych zasadach. Nie zadowolę się byle namiastką.

Uśmiech Arianny rozkwitał powoli i był pełen słodyczy.

- Och, Rowan Murray, zrób to dla siebie i dla niego. Wrócisz tam, żeby się przekonać?

- Tak. - Odetchnęła, nieświadoma, że tak długo wstrzymuje oddech. - Pomoże mi pani?

Wilk gnał przez las, jakby się ścigał z nocą. Wąski sierp księżyca dawał mało światła, ale on miał ostry wzrok.

Było mu ciężko na sercu.

Starał się jak najmniej sypiać, bowiem sny przychodziły, choćby nie wiadomo jak je odpędzał. A zawsze były o niej.

Kiedy dotarł na klify, odrzucił do tyłu łeb i zawył, przywołując swoją towarzyszkę. A gdy odpowiedziała mu cisza, oplakiwał to, co tak beztrzesko utracił.

Próbował ją oskarżać i robił to często, wynajdywał dziesiątki sposobów, żeby zrzucić na nią winę.

Była zbyt impulsywna, zbyt gwałtowna i złośliwie przekręcała jego myśli. Nie chciała dostrzec sensu w tym wszystkim, co robił.

Ale tej nocy nie przynosiło to ukojenia jego sercu. Zawrócił z klifów, zraniony i oburzony, że nie może przestać za nią tęsknić. Kiedy w głowie posłyszał wypowiedziane szeptem słowa „to miłość czekała na ciebie”, warknął ze złością i natychmiast się z nich otrząsnął.

Miotał się. Węszył w powietrzu, znowu warknął. Poczul Rowan i pomyślał, że umysł płata mu figle. Był wściekły z powodu własnej słabości. Zostawiła go i koniec.

Wtedy ujrzał światło połyskujące między drzewami. Mrużąc brązowe ślepie, pobiegł w stronę kręgu kamieni. Wszedł między nie i zobaczył, jak stoi w środku. Zamarł w bezruchu.

Ubrana była w długą suknię w kolorze księżycowego pyłu, która falowała wokół jej kostek. W rozpuszczonych, spadających do ramion włosach połyskiwało coś srebrnego, miała srebro na nadgarstkach, a także w uszach.

A stanik jej sukni ozdobił wisior, owalny księżycowy kamień w srebrnej oprawie.

Stała smukła i wyprostowana przy ogniu, który wznieciła, a potem uśmiechnęła się do niego.

- Czekasz na mnie, żebym cię podrapała po uszach, Liamie? - Pochwyciła błysk wściekłości w jego oczach i nie przestała się uśmiechać.

Wilk postąpił do przodu, zamienił się w mężczyznę.

- Odeszłaś bez słowa.

- Chyba powiedzieliśmy ich sobie całe mnóstwo.

- A teraz wróciłaś.

- Na to wygląda. - Uniosła brwi z wystudiowaną oziębłością, chociaż żołądek potężnie dawał się jej we znaki. - Włożyłaś amulet. A więc podjąłeś decyzję.

- Tak. Spełnię swój obowiązek, gdy nadejdzie czas. A ty włożyłaś swój.

- To moja spuścizna po prababce. - Ujęła w palce kamień, czując, jak koi jej nerwy. - Zaakceptowałam to, a także siebie.

Parzyły go ręce, tak strasznie chciał jej dotknąć, lecz trzymał je opuszczone po bokach, lekko zaciskając pięści.

- Wracam wkrótce do Irlandii.

- Naprawdę? - powiedziała to lekko, jakby nie miało to dla niej żadnego znaczenia. - Ja również zamierzam jutro rano udać się do Mandii, dlatego pomyślałam, że powinnam wrócić i rozmówić się z tobą.

- Do Irlandii? - Kim jest ta kobieta? zadawał sobie pytanie, patrząc na chłodną, opanowaną i świadomą siebie osobę.

- Chcę zobaczyć, skąd pochodzę. To mały kraj - powiedziała, wzruszając od niechcenia ramionami - ale na tyle duży, że nie będziemy sobie wchodzić w drogę. Jeśli takie jest twoje życzenie.

- Chcę, żebyś do mnie wróciła. - Słowa padły, zanim je zdążył powstrzymać. Syknął jakieś przekleństwo i wbił do kieszeni zaciśnięte w pięści ręce. A więc powiedział to, poniżył się, zdradził ze swoimi potrzebami. Pal licha! - Chcę, żebyś do mnie wróciła - powtórzył.

- Po co?

- Po to... - Zbiła go z tropu. Wyciągnął ręce, z niewyraźną miną przejechał nimi po włosach. - A jak myślisz? Stanę na czele mojej rodziny i chcę, żebyś była ze mną.

- Aż trudno uwierzyć, że to takie proste.

Zaczął mówić, nierozważnie i - zdawał sobie z tego sprawę - zbyt zapalczywie i namiętnie, więc pohamował się. Czasami trudno jest nad sobą zapanować - na Finna, jaka ona

jest piękna! - ale trzeba wziąć się w garść.

- Zgoda, zraniłem cię. Jest mi przykro z tego powodu. Nigdy nie miałem takiego zamiaru, więc przepraszam.

- No cóż, jest ci przykro. Pozwól więc, że rzucę ci się w ramiona.

Aż zmrużył oczy, zaskoczony jej uszczypliwym tonem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Popelniłem błąd, zresztą nie ten jeden. Nie lubię się do tego przyznawać.

- A będziesz musiał, uczciwie i szczerze. Miałeś czas, żeby sobie odpowiedzieć na pytanie, czy odpowiadam tobie i twoim celom... kiedy już wreszcie zdecydujesz, jakie mają być te cele. Nie wiedząc nic o moim pochodzeniu, zastanawiałeś się, czy wziąć mnie i zrzec się obowiązków wobec rodziny, na które i tak nie miałeś ochoty. A kiedy już wiedziałeś, pojawił się problem, czy będę odpowiednia do twoich zamierzeń.

- Widzisz wszystko w czerni albo w bieli, zapominasz o niuansach. - Westchnął, przyznając, że czasami szarości nie odgrywają większej roli. - Lecz cóż, w ogólnych zarysach to tak wygląda. W każdym razie, będzie to ważny krok w moim życiu.

- I w moim - odparowała, a jej oczy ciskały gromy. - Czy to do końca przemyślałeś? Odwróciła się na pięcie, a on ruszył za nią, zanim się zorientował, co robi.

- Nie odchodź.

Nie miała takiego zamiaru, chciała po prostu szybkim Marszem rozładować złość, ale jego natychmiastowa desperacka reakcja zatrzymała ją.

- Na litość boską, Rowan, nie zostawiaj mnie znowu. Nawet nie wiesz, co czułem, gdy przyszedłem do ciebie rano i zobaczyłem, że odeszłaś. Po prostu odeszłaś. - Odwrócił się, trąc twarz rękami i zmagając się z własnym bólem. - Dom bez ciebie, a wciąż pełny ciebie. Chciałem cię natychmiast odszukać i ściągnąć z powrotem tam, gdzie pragnąłem cię mieć. Gdzie cię potrzebowałem.

- Ale tego nie zrobiłeś.

- Nie. - Zwrócił się twarzą do niej. - Ponieważ miałaś rację. Wszystkie wybory miały należeć do mnie. Ten wybór był twój i musiałem się z tym pogodzić. Proszę cię, żebyś mnie teraz znowu nie opuszczała, nie kazała mi z tym żyć. Jesteś dla mnie ważna.

Jakże pragnęła do niego podejść! Tymczasem, zamiast tego, uniosła ironicznie brwi.

- Ważna? Tak niewielkie słówko na tak wielką prośbę.

- Zależy mi na tobie.

- A mnie zależy na piesku, którego ma dziewczynka w sąsiednim domu. Więc jeżeli to już wszystko...

- Kocham cię. Do licha, doskonale wiesz, że cię kocham! Chwycił jej rękę, żeby nie odeszła. Ten gesty, jak i głos przesyczone były miłością.

W jakiś dziwny, niewytłumaczony sposób zachowała spokojny, pewny siebie ton.

- Ustaliliśmy, że nie mam daru wizji, więc skąd tak dobrze wiem to, czego mi nie mówisz?

- Właśnie ci to mówię. Do licha, kobieto, czy ty nie słyszysz? - Na tyle już nie panował nad sobą, że wokół niego zaczęło iskrzyć. - Chodziło o ciebie, przez cały czas, od samego początku zależało mi na tobie.,, ale wmawiałem sobie, że tak nie jest i że nie zrobię kroku, dopóki nie podejmę decyzji. Wmówiłem to sobie, ale przecież przez cały czas myślałem jedynie o tobie.

Już same te słowa i pasja, z jaką je wypowiedział, kierowany złością i namiętnością, przepełniły ją cudownie rozkosznym uczuciem. Chciała zacząć mówić, gdy puścił jej rękę i zaczął krążyć, zupełnie jak wilk.

- I to mi się nie podoba - cisnął jej te słowa przez ramię.

- Nie musi mi się podobać.

- Nie. - Zastanawiała się, dlaczego czuje się taka szczęśliwa i uradowana, zamiast się obrazić. Aż dotarło do niej, że oto ma nad nim nieoczekiwaną, rozkosznie słodką przewagę.

- Nie, nikt tego od ciebie nie wymaga. Ja też nie.

Odwrócił się błyskawicznie i przeszył ją piorunującym wzrokiem.

- Byłem zadowolony z życia, jakie wiodłem.

- Nie, nie byłeś. - Odpowiedź zaskoczyła ich oboje. - Byłeś niespokojny, nieusatysfakcjonowany i nieco znudzony. Podobnie jak ja.

- Ty byłaś nieszczęśliwa, dlatego uważałaś, że wykorzystałem sytuację. Że uwiodłem cię, naopowiadałem rzeczy, na które nie byłaś przygotowana, i przeciągnąłem cię na swoją stronę, by zabrać cię do Irlandii. Lecz ja nie zrobiłem tego i nie będę cię za to przepraszać. Nie potrafisz. Uważasz, że cię zawiodłem, i może masz rację.

Wzruszył ramionami w królewskim geście, a na ten widok jej usta wygięły się w uśmiechu.

- Potrzebowałaś trochę czasu, tak jak ja go potrzebowałem. Przyszedłem do ciebie jako wilk, po to, żeby cię pocieszyć. Jak przyjaciel. Wtedy zobaczyłem cię nagą i zasmakowałem w tym. Bo niby dlaczego nie?

- Rzeczywiście, dlaczego nie? - mruknęła.

- Kiedy kochałem się z tobą w snach, oboje w tym zasmakowaliśmy.

Ponieważ zostało to powiedziane w formie wyzwania, przechyliła jedynie głowę.

- Chyba ani razu nie powiedziałam, że było inaczej. Lecz wybór nadal należał do ciebie.

- To prawda, tak było i zrobiłbym to ponownie, żeby cię choć dotknąć w myśli. Niełatwo jest mi się przyznać, jak bardzo cię chcę i jak mocno cierpiałem bez ciebie. Ani prosić cię o wybaczenie za wszystko, co zrobiłem, myśląc, że postępuję słusznie.

- Musisz mi jeszcze powiedzieć, czego się teraz po mnie spodziewasz.

- Przecież wyrażam się jasno. - Znowu był zły, a także zawiedziony. - Chcesz, żebym cię błagał?

- Tak - odpowiedziała po chwili namysłu.

Jego złote oczy zajaśniały z oburzenia, a następnie pociemniały ze złości. Kiedy ruszył w jej stronę, zadrżały pod nią kolana... a on zmrużył oczy i padł do jej stóp.

- A więc to robię. - Wziął ją za rękę. - Będę cię błagać, Rowan, jeżeli tylko w ten sposób mogę cię mieć.

- Liam...

- Jeżeli mam się ukorzyć, pozwól mi chociaż zacząć - warknął. - Nigdy nie uważałem cię za zwyczajną kobietę, nie wierzę też, żebyś była słaba. Widzę natomiast w tobie czułe serce, czasami zbyt czułe, żebyś mogła pomyśleć o sobie. Jesteś kobietą, jakiej pragnę. Pragnąłem wcześniej, ale nigdy nie potrzebowałem, a teraz potrzebuję ciebie. Jesteś kimś, o kogo się troszczę i na kim mi zależy. Zależało mi i wcześniej, ale nigdy nie kochałem. Kocham cię. I proszę, żebyś już na tym poprzestała, Rowan.

Oniemiała z wrażenia, a gdy po chwili odzyskała głos, położyła rękę na jego ramieniu.

- Dlaczego wcześniej nie poprosiłeś?

- Prośenie nie przychodzi mi łatwo. Jeżeli, to wynika z mojej arogancji, to znaczy, że taki już jestem. Do diabła z tym, a więc proszę cię, żebyś mnie wzięła takiego, jaki jestem. Kochasz mnie, wiem o tym.

Wystarczy tego błagania, pomyślała, starając się ukryć uśmiech. On zaś starał się wyglądać arogancko, nawet na kolanach.

- Nigdy nie mówiłam, że jest inaczej. Czy prosisz mnie o więcej?

- O wszystko. Proszę cię, żebyś mnie wzięła... takiego, jaki jestem i ze wszystkim, co robię. Żebyś została moją żoną, zostawiła swój dom i przeniosła się do mojego, i zrozumiała, że to jest na zawsze. Na zawsze, Rowan. - Przebłysk uśmiechu zagościł na jego wargach. - Bo wilki łączą się w pary na całe życie, podobnie ja. Proszę cię, żebyś dzieliła ze mną życie. Proszę cię tutaj, w samym środku tego uświęconego miejsca, abyś była moja.

Przywarł wargami do jej rąk i trwał tak, aż poczuła, że ego słowa zamieniają się w

uczucia i wdzierają się w nią niczym magia.

- Nie będę miał nikogo poza tobą - wyszeptał. - Powiedziałaś, że trzymam w rękach twoje serce i że nigdy nie znajdę takiego drugiego, A ja ci teraz powiadam, że masz moje w swoich rękach, i przysięgam ci, Rowan, że nigdy nie znajdziesz takiego drugiego. Nikt nigdy nie będzie cię kochać mocniej ode mnie.

Przyglądała się mu, patrzyła, jak podnosi ku niej twarz i jak światło, które nauczył ją zapalać, tańczy na mej i drzy. Wszystko, czego pragnęła, było tam, w jego oczach.

Dokonała wyboru i opuściła się na kolana, a ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

- Wezmę cię, Liamie, tak jak ty weźmiesz mnie, po wieczne czasy. Będę dzielila życie, które razem stworzymy. Będę należała do ciebie, tak jak ty do mnie, Oto mój wybór i moje przyrzeczenie.

Zalało go bezgraniczne wzruszenie, pochylił tylko głowę i przytknął czoło do jej czoła.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem, w każdej godzinie każdego dnia. Gdy zabraknie serca, magia nie istnieje.

Spotkali się ustami, przyciągnął ją do siebie. Objęła go ramionami. Nie trzeba już było o nic pytać ani na nic odpowiadać.

- Mógłbym tak trwać wiecznie. - Wstał i unióś ją wysoko do góry, a jej czysty i radosny śmiech niósł się długo i daleko.

Oślepiło ją światło gwiazd, a kiedy z nią wirował, ujrzała, jak jedna z nich odrywa się i mknie po niebie.

- Powtórz to jeszcze! - domagała się. - Powtórz to teraz. Natychmiast!

- Kocham cię. Teraz i zawsze.

Przytuliła go mocno, a ich serca były jednym rytmem.

- Liamie Donovan. - Odchyliła się lekko i uśmiechnęła do niego. Jej książkę, jej czarownik, jej towarzysz na całe życie. - Czy spełnisz moją prośbę?

- Rowan O'Meara, wystarczy tylko, że powiesz, a zrobię dla ciebie wszystko.

- Zabierz mnie do Irlandii. Zabierz mnie do domu. Nie mogła mu sprawić większej radości.

- Teraz, *a ghra!* Moja miłości.

- Rano. - Znowu przyciągnęła go do siebie. - Zostało nam jeszcze trochę czasu.

A kiedy się całowali przy płonącym ogniu, gwiazdy roziskrzyły się na dobre, wróżki roztańczyły się w lesie. A daleko, na wzgórzach, piszczalki zagrały na ich cześć i popłynęła

pieśń radości.

Miłość już nie czekała, podążyła swoim własnym tropem.